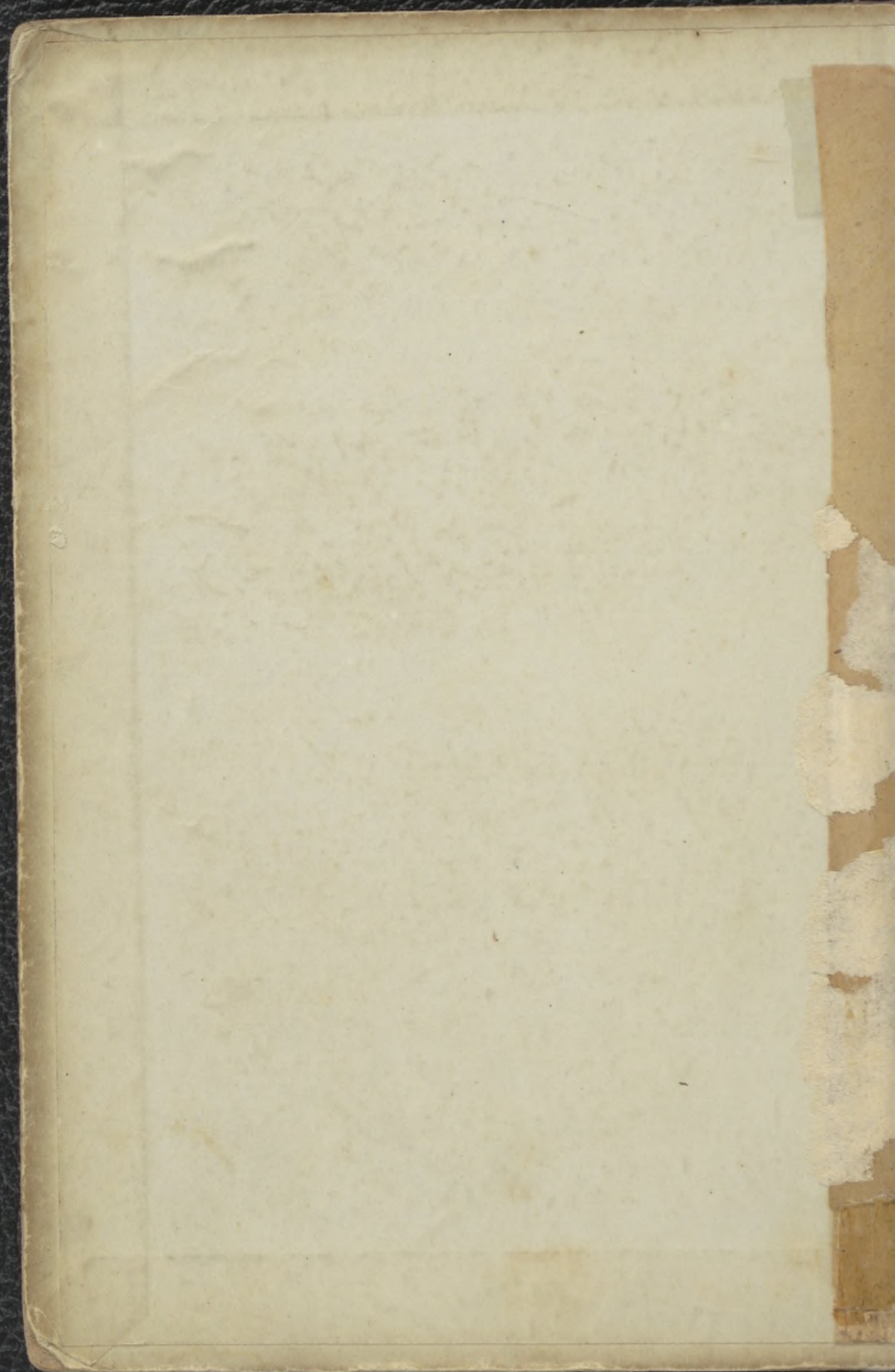


J-F COOPER



SZPIEG

NAKLAD KSIĘGARNI J. WOJCIECHA



J. FENIMORE COOPER

SZPIEG

POWIEŚĆ HISTORYCZNA NA TLE WALK
O NIEPODLEGŁOŚĆ STANÓW ZJEDNOCZONYCH

PRZEŁUMACZYŁA HAJOTA
ILUSTROWAŁ ST. SAWICZEWSKI
„DILECTA“ LIT. ANGIELSKA, II



NAKŁAD KSIĘGARNI ŚW. WOJCIECHA
POZNAŃ - WARSZAWA - WILNO - LUBLIN



3.101.810



CZCIONKAMI DRUKARNI ŚW. WOJCIECHA.

2019K 265

WSTĘP.

„Jestże gdzie człowiek z duszą tak umarłą,
Któryby nigdy nie rzekł sam do siebie:
To jest mój własny, mój rodzinny kraj.“

Cnota na szczęście jest równie pociągająca, jak zaraźliwym jest występki. Gdyby nie ten pocieszający wpływ, to przy wrodzonej ludzkiej skłonności do zła, nadzieje mądrych i szlachetnych umysłów na stopniowe zwycięstwa sprawiedliwości, rozwój filantropji, nigdyby się zapewne nie ziściły.

Ze wszystkich wzniosłych uczuć miłość ojczyzny jest najpowszechniejszą. Wszyscy jednogłośnie podziwiamy człowieka, poświęcającego się dla dobra społeczeństwa, do którego należy; i wszyscy bezwzględnie potępiamy tego, który z jakichkolwiek pobudek podniesie ramię lub obróci swe zdolności przeciwko krajowi ojczystemu. Najdumniejsze imiona i najpiękniejsze nadzieje padły pod obuchem oskarżenia o zdradę. Uwielbiamy Rzymianina, który umiał poświęcić najbliższe związki krwi na ołtarzu ojczyzny, ale męstwo i powodzenie Korjolana gasną w obliczu jego przewierstwa.

W prawdziwym patriotyzmie jest coś, co podnosi jednostkę ponad wszystkie samolubne względy, które z natury rzeczy muszą tkwić zawsze w uczuciach rodzinnych i osobistych. Ma on w sobie piękno samo poświęcenia bez najmniejszej domieszki osobistego interesu.

Przed wielu laty autor tej książki przebywał w gościnie u znakomitego męża, który odznaczył się tą

właśnie cnotą podczas najciemniejszych dni rewolucji amerykańskiej, jak również wysokiem stanowiskiem, jakie zajmował w owych pamiętnych czasach. Pewnego razu rozmowa zeszła na temat wpływów, jakie polityka wywiera na charaktery, i na uszlachetniające działanie miłości ojczyzny, skoro uczucie to obudzi się w narodzie.

Ten, którego wiek, zasługi i znajomość ludzi czyniły najodpowiedniejszym do zabierania głosu w podobnej rozmowie, głównie ją też podtrzymywał. Znacząwszy znamienny wpływ, jaki wielka walka narodu podczas wojny 1776 r. wywarła na pojęcia i postęпки tłumów, które przedtem pochłaniała wyłącznie pozioma troska o potrzeby życia, opowiedział nam jako przykład historję, której prawdziwość mógł poręczyć jako jeden z biorących w niej udział.

Zatarg pomiędzy Anglją a Zjednoczonymi Stanami Ameryki, aczkolwiek nie będący ściśle rodzinnym, miał wiele pozorów wojny domowej. Chociaż naród amerykański nie podlegał nigdy konstytucyjnie i właściwie narodowi angielskiemu, mieszkańcy obu tych krajów byli poddanyami wspólnego króla, a ponieważ Amerykanie jako naród nie chcieli uznać tego poddaństwa, Anglicy zaś uznali za słuszne poprzeć swego monarchę w usiłowaniach odzyskania władzy, większość charakterystycznych cech wewnętrznej wojny znalazła zastosowanie w tym zatargu. Znaczna ilość emigrantów europejskich osiedlonych w kolonjach oświadczyła się za koroną, i było wiele miejscowości, w których wpływy ich w połączeniu z wpływami Amerykanów nie chcących wyrzec się przynależności do Anglji, przeważały stanowczo szalę na stronę królewską. Ameryka była wówczas państwem zbyt młodem i zbyt potrzebującym każdego serca i każdej ręki, by obojętnie odnosić się do tych odszczepieńczych, aczkolwiek w gruncie rzeczy nielicznych objawów. Zło powiększała gorliwość Anglików w korzystaniu z tych wewnętrznych nieporozumień, i stało się ono podwój-

nie ważnem, gdy przekonano się, że przedsięwzięte były kroki celem uruchomienia wojsk prowincjonalnych, by te w połączeniu z armją europejską zgniotły w zarodku młodą republikę. Kongres wówczas powołał specjalną tajną komisję dla przeciwdziałania tym właśnie zakusom. Przewodniczącym owej komisji był pan X., ten, który nam opowiedział poniższą historję.

Przy pełnieniu tych ważnych obowiązków pan X. posługiwał się agentem, którego czynności niewiele różniły się od czynności pospolitego szpiega. Człowiek ten, jak łatwo odgadnąć, należał do sfery ludzi, którzy mniej niż inni wzdragać się mogli podjęcia tak dwuznacznych obowiązków. Był biedny, niewykształcony, ale przebiegły, sprytny i nieustraszony z natury. Zadaniem jego było dowiadywać się w jakich okolicach kraju agenci koronni starali się potajemnie zaciągać mężczyzn do wojska królewskiego, a zjawiwszy się tam, udawać gorliwego stronnika korony i tą drogą dowiadywać się możliwie najdokładniej o nieprzyjacielskich planach. Te, oczywiście, komunikował swoim zwierzchnikom, ci zaś przedsiębrali środki unicestwienia tych knowań, częstokroć z wielkiem powodzeniem.

Łatwo zrozumieć, że tego rodzaju służba połączona była z wielkiem osobistem niebezpieczeństwem; niezależnie od możliwości wykrycia prawdy, groziła tu co chwila obawa popadnięcia w ręce Amerykanów, którzy nieodmiennie karali tego rodzaju przestępstwa, popełniane przez miejscowych mieszkańców, o wiele surowiej, niż gdy chodziło o europejskiego szpiega.

Jakoż w istocie władza miejscowa niejednokrotnie aresztowała agenta pana X. a raz nawet rozgoryczeni rodacy skazali go na szubienicę. Jedyne szybkie i tajemne rozkazy, przesłane samemu nadzorczy więzienia, ocaliły biedaka od haniebnej śmierci. Pozwolono mu umknąć, a to pozorne i w istocie rzeczywiste niebezpieczeństwo było mu wielką pomocą w podtrzymaniu następnie przybranego charakteru wobec Anglików.

W najbliższem otoczeniu uchodził za śmiałego i ztwardziałego torysa. W ten sposób służył potajemnie ojczyźnie podczas pierwszych lat wojny, żyjąc w niezasłużonej wzdardzie i wśród grożących mu co chwila niebezpieczeństw.

W roku . . . pan X. otrzymał wysokie i zaszczytne stanowisko przy jednym z europejskich dworów. Przed opuszczeniem miejsca w Kongresie opowiedział swoim kolegom powyższe okoliczności, zataiwszy nazwisko swego agenta. Zażądał odpowiedniego wynagrodzenia dla człowieka, który oddał tyle cennych usług z tak wielkiem narażeniem własnego życia. Uchwalono dosyć poważną sumę i powierzono ją przewodniczącemu dla doręczenia.

Pan X. przedsięwziął należyte środki ostrożności, by porozumieć się osobiście ze swoim agentem. Spotkali się w lesie o północy. Tu pan X., pochwaliwszy towarzysza za jego wierność i zręczność, wyjaśnił mu powody, dla których musi wyrzec się dalszych jego usług, i wreszcie wręczył mu pieniądze. Tamten cofnął się i nie chciał ich wziąć. „Kraj potrzebuje tego złota”, rzekł, „ja zaś mogę pracować i zarobić na życie w różny sposób”. Nic nie pomogły nalegania; patryjotyzm górował ponad wszystkimi innymi uczuciami tego niepospolitego człowieka. Pan X. odszedł, zabierając złoto i unosząc w duszy głęboki szacunek dla tego, który bezinteresownie narażał życie, służąc wspólnej sprawie.

Piszący te słowa ma pewne dane mniemać, że agent pana X. zgodził się ostatecznie na przyjęcie zapłaty, ale było to dopiero wtedy, gdy kraj był w możności uiścić ją.

Zbytecznem byłoby dodawać, że tego rodzaju fakt, poprostu lecz dosadnie opowiedziany przez jednego z głównych w nim aktorów, wywarł głębokie wrażenie na wszystkich słuchaczach. W wiele lat potem, okoliczności zgola przypadkowej natury, i które byłoby rzeczą zbyteczną przytaczać tutaj, skłoniły autora do

napisania powieści, ta zaś, stała się — czego wówczas nie przewidywał — pierwszą z dość długiego szeregu następnych. Te same przypadkowe okoliczności, które wpłynęły na pojawienie się książki, rozstrzygnęły o jej tle i ogólnym charakterze. Akcja przeniesiona została na grunt cudzoziemski i autor starał się skreślić w niej cudzoziemskie obyczaje. Po wydrukowaniu powieści przyjaciele autora zaczęli czynić mu zarzuty, że on, Amerykanin z urodzenia i z przekonania, dał światu dzieło, które może w pewnym stopniu podziałało na młode i niedoświadczone wyobraźnie jego rodaków, budząc w nich zajęcie obrazami poczerpniętymi z obcych im zupełnie stosunków. Autor, który wiedział, jak dalece to co uczynił było czysto przypadkowe, wziął jednak do serca ten zarzut i jako jedyne zadośćuczynienie w jego mocy, postanowił napisać drugą książkę, której treść nie nastęrczałaby już pola do żadnych tego rodzaju uwag. Obrął tedy uczucie patriotyztu za temat, i ci wszyscy, którzy czytają ten wstęp i książkę, odgadną wnet, że wziął bohatera powyżej przytoczonej opowieści jako najwymowniejszy przykład tej szczytnej cnoty.

Po ukazaniu się „Szpiega” poczęto domniemywać się różnych osób, które jakoby autor miał na myśli, pisząc tę powieść. Ponieważ pan X. nie wymienił nazwiska swego agenta, autor pozostał na zawsze w zupełnej nieświadomości pod tym względem. Zarówno Washington jak sir Henryk Clinton mieli znaczną liczbę tajnych emisariuszy, gdyż w wojnie, posiadającej tyle cech domowego zatargu, w której w obu walczących stronach byli ludzie jednej krwi i języka, nie mogło być inaczej.

Autor przejrzał starannie styl powieści w niniejszem wydaniu. Pod tym względem starał się uczynić ją godniejszą łaskawego przyjęcia, jakiego doznała; aczkolwiek zmuszony jest wyznać, że pozostało tu jeszcze dużo do życzenia, szczególnie na punkcie budowy samej powieści; lecz zachodziła tu też sama

trudność, co z wielu zrujnowanemi gmachami, które łatwiej byłoby przebudować na nowo niż je reparaować. Dziesięć lat to ogromny przeciąg czasu, jeżeli się zważy na wielkie zmiany, jakie w trakcie tego zaszły w Ameryce, a wśród ogólnego postępu i literatura nie pozostała w tyle. Kiedy jednak powieść niniejsza była pisana, wydanie oryginalnego utworu tego pokroju tak mało mogło liczyć na powodzenie, że kilka miesięcy od wydrukowania pierwszego tomu „Szpiega” minęło, nim autor zdecydował się przystąpić do napisania drugiego. Wiadomo bowiem, że trudy poniesione bez odpowiedniej wewnętrznej podniety rzadko kiedy godną są tego, który je ponosi, jakkolwiek skromnemi mogłyby być jego ogólne zasługi.

Jaśniejsza przyszłość świta teraz nad republika i dąży ona szybkim krokiem do zajęcia wśród narodów tego miejsca, do którego przeznaczyla ją natura i do którego nieuchronnie zmierzają jej instytucje. Jeżeli za dwadzieścia lat wstępne te słowa dostaną się w ręce jakiego Amerykanina, uśmiechnie on się z pewnością na myśl, że rodak jego wahał się z ukończeniem tak już daleko posuniętej pracy poprostu dlatego, że nie dowierzał, czy książka, opisująca rzeczy ściśle ze sprawami jego kraju związane, obudzi dostateczne w tymże kraju zainteresowanie.

Paryż, 4-go kwietnia 1831 r.

ROZDZIAŁ I.

„A choć wśród zupełnego spokoju myśli, wyniosłe rysy mogą zdradzić czasem duszę ongi porywczą — ziemski to ogień, który niknie w promieniach umysłowości, jak blednie ogień Etny w blaskach powstającego dnia”.

Gertruda z Wyoming.

Na schyłku 1780 roku samotny podróżny jechał konno doliną West - Chester'u¹⁾. Wschodni wilgotny wiatr, dmący ze wzrastającą siłą, był niewątpliwą zapowiedzią zbliżającej się burzy, która jak zwykle mogła potrwać dni kilka, a doświadczone oko podróżnego napróżno usiłowało dojrzeć w wieczornym mroku przyzwoite schronienie przed deszczem, poczynającym już drobno padać poprzez gęstą mgłę, która jak płaszczem okryła całą okolicę. Nic jednak widać nie było prócz lichych klitek uboższych warstw ludności, z którymi w tem bezpośrednim sąsiedztwie nie wydawało się podróżnemu rozsądnem i bezpiecznem wchodzić w zetknięcie.

Hrabstwo West - Chester po opanowaniu wysepki New-Yorku²⁾ przez Anglików stało się polem, na którym obie strony walczyły do końca rewolucyjnej wojny.

¹⁾ Ponieważ każdy ze Zjednoczonych Stanów Ameryki ma swoje własne hrabstwa, zdarza się często, że po kilka noszą tę samą nazwę. Miejszem niniejszej powieści jest New-York, którego hrabstwo West-Chester znajduje się w najbliższym sąsiedztwie tegoż miasta.

²⁾ Miasto New-York leży na wysepce zwanej Manhattan, w pewnym punkcie wszelako, od hrabstwa West-Chester

Znaczna część mieszkańców, czy to krępowana związkami rodzinnymi, czy też powodowana obawą, udawała neutralność, której nie czuła. Niżej położone miasta były oczywiście bardziej pod władzą korony, kiedy wyższe, czując się bezpieczniejsze w sąsiedztwie wojsk lądowych, śmiało objawiały swe rewolucyjne przekonania i swe prawa do własnego rządu. Wielu jednak mieszkańców nosiło maski, których nie zrzucili po dziś dzień, a niejeden osobnik legł w grobie z piętnem wroga praw swoich rodaków, kiedy potajemnie był użytecznym działaczem na korzyść przywódców rewolucji, i nawzajem, gdyby światło dzienne mogło być przeniknąć do miejsc spoczynku wielu zagorzałych patriotów, wyszłyby tam najaw niedwuznaczne koronne sympatje, ukryte pod stosami angielskiego złota.

Tu i owdzie na odgłos tętentu szlachetnego rumaka, jakiego dosiadał podróżny, uchylały się ostrożnie drzwi dworaków, koło których przejeżdżał, gospodyni przypatrywała się bacznie obcemu wędrowcowi, poczem odwracając twarz, udzielała spostrzeżeń swych mężowi, ten zaś, przyczajony w głębi domostwa, trzymał się w pogotowiu do szukania w razie potrzeby zwykłej kryjówki w sąsiednich laskach.

Dolinka znajdowała się pośrodku hrabstwa, dość blisko obu walczących armij, wskutek czego zwrot skradzionych rzeczy bywał tam na porządku dziennym. Co prawda, niezawsze odyskiwano te same przedmioty, zawsze jednak właściciel otrzymywał jakieś odszkodowanie, częstokroć z okazałym naddatkiem, za czasowe użytkowanie z jego własności. Krótko mówiąc, prawo w owej okolicy było czasowo zawieszane, a wymiar sprawiedliwości podlegał osobistym interesom i namiętnościom silniejszego.

Pojawienie się obcego jeźdźca o wątpliwym wygładzie i dosiadającego rumaka, który acz bez wojen-

dzieli je tylko wąski na parę stóp „crik”. Most na tym criku nazywa się King-Bridge. Odbływały się na nim liczne utarczki w czasie wojny, i niniejsza powieść wspomina o nim.

nego rynsztunku miał coś ze śmiałej i stanowczej postawy charakteryzującej jego pana, wzbudziło pewien popłoch wśród mieszkańców tych różnych domostw, a tu i owdzie, gdzie sumienie zdradzało niezwykłą czujność, popłoch ten mocno był podszyty strachem.

Wszelako jeździec, znużony całodzienną podróżą i pragnący co prędzej schronić się przed deszczem, który teraz rozpadał się na dobre, uznał za konieczne zażądać wstępu do pierwszej siedziby ludzkiej, jaką napotka.

Sposobność nie dała długo czekać na siebie; wjechawszy przeto w zaniedbaną zagrodę zastukał głośno do wchodowych drzwi lichego domostwa, nie zsiadając z siodła.

W odpowiedzi na to wezwanie ukazała się w progu niewiasta w średnim wieku o wyglądzie nie o wiele więcej zachęcającym niż jej mieszkanie. Ujrawszy przy świetle płonącego wewnątrz ogniska jeźdźca tuż pod swoim progiem, przymknęła drzwi szybko i z wyrazem przerażenia, połączonego z ciekawością, na twarz zapytała, czego sobie życzy.

Pomimo prawie natychmiastowego zamknięcia drzwi podróżny zdążył zajrzeć do środka i to co tam zobaczył, zgoła ponętnem nie było; nie miał jednak wyboru wobec coraz gwałtowniejszej ulewy i zgęszczających się ciemności, więc ze złości ukrytą niechęcią wyłuszczył swe żądanie. Ale nim skończył mówić, przerwała mu jeszcze niechętniejsza odpowiedź:

— Nie mam wcale ochoty dawać schronienia nieznanym w dzisiejszych, niebezpiecznych czasach — rzekła ostrym, zrzędnym głosem niewiasta. — Jestem sama lub tak dobrze jak sama, bo prócz starego niema nikogo w domu, ale o pół mili dalej jest dom, gdzie pan znajdzie przytułek i to za darmo. Łatwiej to im przyjdzie, a i mnie to będzie bardziej na rękę, bo jak już powiedziałam Harveya niema, chociaż czemu się ten chłopak włóczy po świecie zamiast ustatkować się i prowadzić porządne życie jak inni mężczyźni

w jego wieku i położeniu, to radabym wiedzieć! Ale Harvey Birch musi zawsze postawić na swoim, i już umrze, jak jest, włóczęgą.

Jeździec, otrzymawszy udzieloną mu wskazówkę, nie czekał dłużej i zawrócił zwolna konia ku furtce, otulając się fałdami obszernego płaszcza, gdy coś w gadaninie niewiasty zwróciło jego uwagę.

— Więc to jest mieszkanie Harveya Bircha? — zapytał jakby mimowoli, i wstrzymał się, by nie powiedzieć nic więcej.

— Mieszkanie jak mieszkanie — odrzekła tamta, szybko nabierając oddechu w piersi, jak ktoś co się kwapi z odpowiedzią, — bo jego tu prawie nigdy nie ma, że zaledwie mogę go sobie przypomnieć, gdy czasem przyjdzie mu do głowy pokazać się biednemu, staremu ojcu i mnie. Ja tam o to nie dbam — skreć pan w pierwszą furtkę w lewo — nie, wcale o to nie dbam, czy Harvey pokaże się tu, czy nie, jeszcze czego!

I z temi słowy zatrasnęła drzwi przed jeźdźcem, który chętnie przedłużył swą podróż o pół mili, by pozyskać wygodniejsze i bezpieczniejsze schronienie.

Dość jeszcze było widno, by podróżny rozróżnić mógł ulepszenia¹⁾ w uprawie i w ogólnym wyglądzie pól otaczających domostwo, do którego się teraz zbliżał. Był to kamienny budynek, długi, niski, po obu końcach opatrzony niewielkimi skrzydłami. Taras frontowy z obrobionemi starannie drewnianemi słupami oraz doskonały stan ogrodu i przybudówek wyróżniał dodatnio tę posiadłość z pomiędzy okolicznych siedzib.

Podprowadziwszy konia za węgiel domu, by go do pewnego stopnia zabezpieczyć od wiatru i deszczu, podróżny zarzucił na ramię walizkę i zastukał głośno do drzwi frontowych.

¹⁾ Ulepszeniami nazywają Amerykanie wszelkie zmiany dokonane w przetwarzaniu dziewiczych gruntów w uprawne pola. W tem znaczeniu ulepszeniem nazywa się wycinanie drzew, i ocenia się je przypuszczalną wysokością kosztu.

Ukazał się wnet murzyn w podeszłym wieku, i widocznie nie uważając za potrzebne w danych okolicznościach odnosić się do swoich państwa, obrzucił baczny spojrzeniem podróznego przy blasku trzymanej w rękę świecy i spełnił jego prośbę o schronienie. Następnie wprowadził go do czyściutkiego saloniku, gdzie z racji burzy i chłodu październikowego wieczora płonął suty ogień. Oddawszy walizkę murzynowi i grzecznie powtórzywszy swą prośbę starszemu mężczyźnie, który wstał na jego widok, podróżny skłonił się z uszanowaniem trzem siedzącym przy stole z igłą w rękę damom, i zaczął rozbierać się ze zwierzchniej odzieży.

Gdy zdjął szal z szyi i płaszcz, przyglądająca mu się pilnie rodzina ujrzała wysokiego i nadzwyczaj kształtnego mężczyznę, mogącego liczyć lat około pięćdziesięciu. Twarz jego nacechowana była spokojem i godnością, prosty nos miał greckie linje, szare oczy miały wyraz zamyslenia i melancholji, usta i dolna część twarzy znamionowały silny i stanowczy charakter. Podróżny jego ubiór prosty był i niewyszukany, lecz taki, jaki zwykle noszą ludzie z wyższej sfery, nie miał peruki, a uczesanie włosów wraz z wyprostowaną i nieco dumną postawą nadawały mu wygląd wojskowy. Cała jego powierzchowność była tak uderzająca i pańska, że gdy skończył zdejmować podróżne szaty, trzy damy wstały i wraz z panem domu powitały go na nowo, a on odwzajemnił się w odpowiedni sposób.

Pan domu był o kilka lat starszym od podróznego, a jego obejście, ubiór i otoczenie świadczyły, że był człowiekiem, który znał życie i obracał się w najlepszych towarzystwach. Jedna z pań mogła liczyć czterdzieści lat, dwie inne znacznie młodsze, nie wyglądały nawet na dwadzieścia. Świeżość wiosny znikła już była z oblicza starszej damy, ale piękne oczy i obfite włosy nadawały bardzo miły wyraz jej twarzy, a w obejściu jej była wielka słodycz i miękkość stanowiące urok, jakiego wiele młodziutkich twarzyczek

nie posiada. Obie siostry, bo uderzające pomiędzy nimi podobieństwo świadczyło o tem pokrewieństwie, były w całym rozkwicie młodości, a róże, z których tak słyną piękne dziewczęta West-Chester'u kwitły na ich policzkach, dodając ich błękitnym oczom tego szczególnego blasku, tak miłego dla wzroku widza i świadczącego o wewnętrznym spokoju i niewinności. Powierzchnowość wszystkich trzech odznaczała się tą czysto kobiecą delikatnością, która również charakteryzuje płęć słabszą tych okolic, i podobnie jak starszy mężczyzna i one zdawały się należeć do wyższej sfery towarzyskiej.

Pan Wharton, tak się bowiem nazywał właściciel tej ustronnej posiadłości, podał gościowi szklanekę doskonałej madery i napełniwszy sobie drugą, zasiadł na poprzednim miejscu przy ognisku. Przez chwilę zdawał się wahać, jakby walcząc z wrodzoną grzecznością, wreszcie obrzucił gościa pytającym spojrzeniem i zagadnął:

— Za czyje zdrowie mam zaszczyt pić?

Podróżny usiadł także i zapatrzył się w ogień, usłyszawszy jednak zapytanie pana Whartona, zwrócił z wolna oczy ku niemu i odpowiedział z rodzajem lekkiego jakby zapłonięcia w twarzy:

— Nazywam się Harper.

— Panie Harper — ponowił gospodarz domu z wyszukaną uprzejmością tamtych czasów — mam zaszczyt wypić pańskie zdrowie i wyrazić nadzieję, że deszcz, na jaki byłeś pan wystawiony, nie przyniesie panu szkody.

Pan Harper skłonił się w milczeniu i wnet popadł znów w zadumę, której długa droga i niesprzyjające warunki atmosferyczne, w jakich ją odbywał, łącznie mogły służyć za wymówkę.

Panienci zasiadły znów do krosienek, zaś ciotka ich, panna Joanna Peyton, odeszła wydać rozporządzenia ku zaspokojeniu głodu nieoczekiwanego gościa. Nastąpiło krótkie milczenie, podczas którego pan Har-

per rozkoszował się widocznie obecnym błogim nastrojem. Pan Wharton przerwał je znowu, pytając, czy dym jest może nieprzyjemny gościowi, a otrzymawszy przeczącą odpowiedź, powrócił wnet do fajki, która przy wejściu podróznego był odłożył.

Widoczne było, że pragnął zawiązać rozmowę, ale czy to z obawy wstąpienia na jakiś grunt niebezpieczny, czy przez poszanowanie milczącego usposobienia gościa zawahał się kilkakrotnie, aż wreszcie pan Harper podniósł oczy i spojrzał na otaczających w sposób, który dodał zachęty jego uprzejmemu gospodarzowi.

— Bardzo to trudno — rzekł pan Wharton, ostrożnie unikając naprzód tematów, które właśnie pragnął poruszyć — bardzo to trudno dostać teraz tytoniu w tym gatunku, do którego jestem oddawna przyzwyczajony.

— Sądziłem, że sklepy w New-Yorku zaopatrzone są dostatecznie w najlepsze gatunki — odpowiedział spokojnie tamten.

— No tak — odrzekł z pewnem wahaniem pan domu, podnosząc oczy na Harpera i spuszczać je natychmiast pod jego przenikliwym spokojnym wzrokiem — w mieście musi go być poddostatkiem; ale wojna uczyniła najniewinniejsze nawet stosunki ze stolicą tak niebezpiecznymi, iż niesposób narażać się na to dla takiej drobnostki jak tytoń.

Pudełko, z którego pan Wharton naładował był sobie właśnie fajkę, stało otwarte tuż pod łokciem Harpera. Ten wziął szczyptę tytoniu i położył go sobie na języku w sposób zupełnie naturalny, który jednak przejął strachem jego towarzysza, poczem, nie czyniąc żadnej uwagi co do gatunku, wybornego w istocie, pograżył się znów w zadumie. Ale pan Wharton, nie chcąc utracić pozyskanej sposobności, ciągnął dalej:

— Z głębi serca pragnę, aby ta dzika walka raz się skończyła, byśmy nareszcie mogli zażywać w spokoju dawnych stosunków rodzinnych i przyjacielskich.

— Tak, to byłoby bardzo pożądane — rzekł Harper z naciskiem, podnosząc znów oczy na pana domu.

— Nie słyszałem o żadnych ważniejszych potyczkach, od czasu przybycia naszych nowych sprzymierzeńców — rzekł pan Wharton, strząsając popiół z fajki i obracając się plecami do gościa pod pozorem wzięcia węgielka od młodszej córki.

— Dotychczas nic o tem nie słyhać, o ile wiem.

— Czy zanosi się na jakieś ważniejsze kroki? — zapytał pan Wharton, wciąż obrócony ku córce, lecz bezwiednie zapominając o fajce, w oczekiwaniu odpowiedzi.

— Alboż można się tego spodziewać?

— O! nic pewnego niema, ale oczywiście można się spodziewać jakichś nowych planów po tak potężnej sile jaką rozporządza Rochambeau.

Harper zamiast odpowiedzi skinął potakująco głową, a pan Wharton, zapaliwszy wreszcie fajkę, ponowił:

— Podobno się tam na południu ruszają. Gates i Cornwallis chcą tam jakoby doprowadzić wojnę do jakiegoś rozstrzygającego momentu.

Brwi Harpera ściągnęły się, głębszy cień melancholji powlókł jego rysy, a w oczach zapłonął przelotny blask zdradzający tajemne źródło wielkiego cierpienia. Ale zaledwie pełen zachwytu wzrok młodszej siostry zdołał pochwycić ten wyraz, zwykły spokój powrócił na twarz gościa i ta osobliwsza godność tak dobitnie świadcząca o przewadze rozumu nad uczuciem.

Starsza siostra poruszyła się na krześle parę razy, poczem, głosem, w którym przebijał się odcień niepośledniego triumfu, rzekła:

— Generałowi Gates nie powiodło się tak z Hrabią jak z generałem Burgoyne.

— Ależ generał Gates jest Anglikiem, Saro — zawołała z żywością młodsza siostra, poczem zaczer-

wieniwszy się po białka oczu, jakby zawstydzona własną śmiałością, spuściła nisko głowę nad koszyczkiem do roboty, w nadziei, że jej uwaga przejdzie niepostrzeżenie.

Podróżny przenosił wzrok z jednej siostry na drugą, w miarę jak mówiły; niedostrzegalne prawie drżenie przebiegło mu usta, świadcząc o jakimś nowym wzruszeniu, poczem zwrócił się do młodszej i rzekł żartobliwie:

— Czy wolno zapytać, jaki wniosek wyciąga pani z tej okoliczności?

Fanny zaczerwieniła się jeszcze bardziej na to tak bezpośrednie odwołanie się do jej poglądów na sprawę, którą nierozważnie poruszyła w obecności nieznanego, ale widząc, że coś odpowiedzieć musi, rzekła wahająco i z niemałym pomieszaniem:

— Tylko... tylko to, panie, że moja siostra i ja różnimy się często w zapatrywaniach na dzielność Anglików.

Wielce znaczący uśmiezek, który zaigrał na jej dziecięcej niewinnej twarzyczce, dokończył myśl nie-domówioną.

— A na jakim punkcie ich dzielności różnicie się panie? — pytał w dalszym ciągu Harper, spoglądając na nią z uśmiechem ojcowskiej niemal tkliwości.

— Sara uważa, że Anglicy nie mogą być nigdy pobici, ja zaś nie przywiązuję takiej wiary do ich niezwykłości.

Podróżny słuchał z tą rozweseloną pobłażliwością, z jaką cnotliwa dojrzałość lubi oglądać na zapale młodzieńcze, nic jednak nie odpowiedział, tylko zwrócił się do ognia i patrzył znów na dogasające głównie w milczeniu.

Pan Wharton napróżno usiłował przeniknąć polityczne przekonania gościa, który przy całej poprawności swego obejścia był wprost zastanawiająco wstrzemięźliwym w mowie, i gdy wreszcie oznajmiono wieczerzę, zacny gospodarz wstał równie nieświadomo-

my jak w pierwszej chwili tego, co w owych czasach było najważniejszą stroną charakteru każdego osobnika, i poszedł przodem, wskazując drogę do jadalni.

Pan Harper podał ramię Sarze Wharton, a Fanny szła za nimi mocno zatroskana, czy przypadkiem nie uraziła w czem uczuć gościa swego ojca.

Nawałnica rozpętała się z nową gwałtownością; potoki deszczu, spływające po ścianach domu, wzbudziły w biesiadnikach to rozkoszne poczucie ciepła i spokoju, jakiego na taką niepogodę doznaje się w zacisznym, dobrze ogrzany i oświetlonym pokoju, gdy nowe stukanie do drzwi wchodowych odwołało czarnego sługę z jadalni. W chwilę potem murzyn powrócił z wiadomością, że drugi podróżny, którego zaskoczyła burza, prosi o nocleg.

W pierwszej chwili, gdy niecierpliwie dobijania się nowego przybysza doszły uszu pana Whartona, ten uniósł się z krzesła widocznie zaniepokojony, i rzucając szybkie spojrzenia to na gościa to na drzwi, wyglądał tak, jakby oczekiwał, że z tego powtórnego wtargnięcia wyniknie coś, co będzie miało związek i to niepożądany z panem Harperem.

Zaledwie zdążył powiedzieć słabym głosem murzynowi, by wpuścił nowoprzybyłego, gdy drzwi otwarły się prędko i on sam ukazał się na progu. Spostrzegłszy pana Harpera, przystanął chwilę, poczem w sposób dość grzeczny powtórzył prośbę o nocleg. Panu Whartonowi i jego rodzinie w najwyższym stopniu nie podobał się wygląd tego nowego gościa, ale fatalna niepogoda i niepewność, jakie skutki mogłaby pociągnąć odmowa, skłoniły pana domu, że acz niechętnie udzielił pozwolenia.

Na rozkaz panny Peyton postawiono znów na stole parę półmisków i zaproszono przemoczonego do nitki natręta, by się posilił resztkami wieczerzy, od której tylko co wstało towarzystwo. Gość zrzuciwszy gruby płaszcz zasiadł na podanem krześle i bez ceremonji dał folgę apetytowi. Ale za każdym kęskiem

zerał niespokojnie na Harpera, który przyglądał mu się bacznie, tak bacznie, że było to aż kłopotliwe dla przedmiotu jego obserwacji. Wreszcie nalawszy sobie szklanę wina, przybysz, zanim podniósł ją do ust, skinął znacząco głową panu Harperowi i z pewną goryczą rzekł:

— Piję na cześć naszej lepszej znajomości, łaskawy panie. Zdaje mi się, że spotykamy się po raz pierwszy, chociaż pan patrzy na mnie tak, jak gdyby chciał mnie sobie przypomnieć.

Wino zasmakowało mu widocznie, mlasnął bowiem językiem, aż się po całym pokoju rozległo, i wzięwszy butelkę trzymał ją chwilę pod światło, przypatrując się w milczeniu jasnej i pięknej barwie płynu.

— Nie sądzę, żebyśmy się kiedykolwiek dotąd spotkali — odpowiedział Harper z lekkim uśmiechem, śledząc oczyma poruszenia tamtego, poczem jakby zadowolony z wyniku swych badań zwrócił się do siedzącej przy nim Sary Wharton i zauważył niedbale:

— Pani musi zapewne nudzić się w tem. ustroniu, będąc przyzwyczajoną do miejskich rozrywek.

— O! niezmiernie! — odpowiedziała Sara z żywością — to też oboje z ojcem pragniemy, aby ta okrutna wojna skończyła się jak najprędzej i abyśmy mogli wrócić znów do dawnego trybu życia.

— A pani, panno Frances, czy i pani tak gorąco pragnie pokoju jak siostra pani?

— Z wielu względów tak — odrzekła tamta, rzucając nieśmiało spojrzenie na pytającego, a spotkawszy ten sam dobrotliwy wyraz na jego twarzy, ciągnęła dalej z uśmiechem, który dziwnie rozpromienił jej drobne rysy: — Pragnę pokoju, ale nie kosztem praw rodaków.

— Praw! — powtórzyła jej siostra niecierpliwie. — Jakież prawa mogą być silniejsze ponad prawa władzy, i jakież prostszy obowiązek nad posłuszeństwo względem tych, którzy mają prawo rozkazywać?

— Żaden, zapewne — odpowiedziała Frances, śmiejąc się żartobliwie, poczem ujęła rękę siostry w obie dłonie i z uśmiechem, zwróconym ku Harpellowi, dodała: — Dałam panu do zrozumienia, że moja siostra i ja różnimy się w politycznych przekonaniach, ale mamy bezstronnego rozjemcę w naszym ojcu, który kocha swoich rodaków i kocha również Anglików i nie trzyma ani za tymi, ani za tamtymi.

— Tak — rzekł pan Wharton, z pewnym prze-strachem spoglądając na pierwszego a potem na drugiego gościa — mam bliskich sercu memu w obu armjach, dlatego lękam się zwycięstwa tych lub tamtych, jako źródła osobistych nieszczęść.

— Rozumiem, ale nie masz pan powodu obawiać się czegoś podobnego ze strony Jankeśów — przerwał gość przy stole, i z zimną krwią nalał znów sobie szklankę wina z butelki, którą się tak przed chwilą zachwycał.

— Jego Królewska Mość może mieć bardziej doświadczone wojska niż lądowcy — odpowiedział pan domu trwożliwie — ale Amerykanie odnieśli parę zwycięstw poważnych.

Harper nie zwrócił uwagi na tę wymianę zdań, i wstawszy poprosił, by mógł się udać na spoczynek. Przywołano tedy małego chłopaczka, by go zaprowadził do przeznaczonego dlań pokoju, i podróżny z grzecznym życzeniem dobrej nocy opuścił towarzystwo. Nóż i widelec wypadły z rąk tamtego niepożądanego natręta, skoro tylko drzwi zamknęły się za Harperem; powstał zwolna z krzesła i bacznie nad słuchując, postąpił ku owym drzwiom, otworzył je, wyrzał ostrożnie i wśród ogólnego zdumienia i przerażenia obecnych zamknął je napowrót. W jednej chwili ruda peruka, kryjąca jego czarne kędziory, spadła na ziemię, jak również czarny plaster zasłaniający mu pół twarzy; pochylona sztucznie jakby pod ciężarem wieku gibka postać wyprostowała się nagle.

— Ojczel! drogi ojczel! — wykrzyknął piękny młodzieniec — i wy, moje najdroższe siostry i ciotko! narzecie widzę was znowu!

— Wielkie nieba! to Henryk! mój syn! — zawołał zdumiony i uradowany rodzic, kiedy obie siostry padły z płaczem w objęcia brata.

Stary murzyn, wychowany w domu pana swego, jakby na urągowisko swego upośledzonego położenia noszący imię Cezara, był jedynym świadkiem nieoczekiwanego przybycia syna pana Whartona. Ucałowawszy gorąco podaną mu rękę młodego pana, Cezar wyszedł. Wrócił jednak po pewnym czasie, właśnie w chwili gdy młody angielski kapitan zawołał:

— Ale kto jest ten pan Harper? Czy on mnie nie zdradzi?

— Nie-nie-nie, massa Harry! — wykrzyknął murzyn wstrząsając głową. — Ja był widzieć... massa Harper na kolanach modlić się; a żaden taki co się modlić, nie wydać dobry syn, co przybyć do stary ojciec, skinner to zrobić, nie chrześcijanin.

To słabe wyobrażenie, jakie pan Cezar Thompson — jak murzyn sam siebie pompatycznie nazywał — miał o skinnerach, nie było jego wyłącznym udziałem.

Dowódcy wojsk amerykańskich zmuszeni byli ze strategicznych względów posługiwać się pomocnikami wielce niesfornych obyczajów, przy przeprowadzaniu pewnych planów, mających na celu niepokojenie przeciwnika. Nie była to pora na dochodzenie wszelkiego rodzaju nadużyć, więc ucisk i swawola były nieuniknionymi skutkami posiadania wojskowej władzy, nie podlegającej ograniczeniom cywilnych zarządzeń.

Zczasem wytworzyła się pewna kategoria rzekomych wychowawców sprawiedliwości, których jedynym zajęciem było uwalnianie współobywateli od nadmiaru doczesnych dóbr, będących w ich posiadaniu, a to pod egidą patriotyzmu i umiłowania swobody.

Przygodnie wtrącały się w to władze wojskowe, dopomagając temu samowolnemu podziałowi darów

fortuny, a jakiś podrzędny komisarzyna miejskiej milicji udzielał zezwolenia uprawniającego nie tylko czyni, będące prostym rabunkiem, lecz częstokroć z rozlewem krwi połączone.

Ze strony Anglików gorliwość patriotyczna nie zasypiała również gruszek w popiele, tam gdzie przedstawiało się tak owocne pole dla jej działania. Tutaj jednak ujęte to było w pewne karby; długie doświadczenie bowiem nauczyło przywódców wierzyć w skuteczność zjednoczonych sił, i o ile tradycja nie kłamie, pomyślnie wyniki uwieńczyły ich przezorność. Wolontariusze ci otrzymali osobliwą nazwę „cow-boyów” zapewne na skutek ich znanego zamiłowania w hodowaniu bydła.

Cezar jednakże był zbyt prawomyślnym, by zestawiać ludzi, służących królowi Jerzemu Trzeciemu, z niepowołanymi wojownikami, których wybryków był często świadkiem i od których łupieskiej chciwości nie osłoniło go nawet ubóstwo i niewola. Nie miał przeto na myśli „cow-boyów” gdy mówił, że tylko „skinner” mógłby zdradzić przywiązanego syna, który z narażeniem życia śpieszył odwiedzić dom rodzicielski.

ROZDZIAŁ II.

„I wiele spokojnych, cichych dni przeżył bez przerwy, aż straszny cios pozbawił go ukochanego serca — ona umarła — a Gertruda wdrapywała się na kolana owdowiałego ojca“.

Gertruda z Wyoming.

Ojciec pana Whartona urodził się w Anglii; pochodził z rodziny, która dzięki parlamentarnym stosunkom wyrobiła młodszemu synowi stanowisko w kolonji New-Yorku. Młodzieniec, jak setki innych w jego położeniu, osiadł na wsi, ożenił się i wysłał jedynaka swego do Anglii, by się w tamtejszych kształcił szkołach. Otrzymawszy stopień naukowy w uniwersytecie, młodzian ów pozostał nadal w Europie i nabierał znajomości życia w tem środowisku. Ale śmierć ojca odwołała go, po dwóch latach spędzonych na tych praktycznych studjach, do Ameryki, gdzie czekało go dziedzictwo szanowanego nazwiska i bardzo pokażnej majątności.

W owych czasach przyjęte było powszechnie, że synowie wielu rodzin wstępowali do armji lub marynarki angielskiej, co się uważało za punkt wyjścia dla dalszej kariery. Większość wyższych urzędów w kolonjach sprawowali wojskowi, i nierzadko wysłużony weteran odkładał miecz, by przywdziać gronostaje najwyższej władzy sądowej. Zgodnie z tym obyczajem starszy pan Wharton zamierzał oddać syna do wojska, ale wrodzona lękliwość chłopca sprzeciwiła się jego życzeniom.

Przez cały rok ów młodzieniec wahał się w wyborze tej lub innej służby pod wezwaniem Marsa, gdy zaskoczyła go śmierć ojca. Znaczny majątek i zabiegi, których celem stał się młody właściciel jednej z największych posiadłości w kolonjach, ochłodziły znacznie jego ambitne marzenia. Miłość wdała się rozstrzygająco w tę sprawę, pan Wharton ożenił się i poniechał wojowniczych zapędów. Długie lata żył szczęśliwie na łonie rodziny, poważany przez współobywateli jako człowiek prawy i bogaty, gdy nagle cała jego szczęśliwość przysła jak bańka mydlana. Jego jedyny syn, ten właśnie z którym zaznajomiliśmy się w poprzednim rozdziale, wstąpił do wojska i na krótko przed rozpoczęciem kroków nieprzyjacielskich wrócił do rodzinnego kraju z posiłkami, które przeczorne ministerjum wojny uznało za właściwe rozrzucić wśród wzburzonych kolonij Ameryki Północnej. Córki pana Whartona dorastały i wykształcenie ich potrzebowało tych uzupełnień, jakich tylko miasto może dostarczyć. Żona jego, już od pewnego czasu zapadająca na zdrowiu, zaledwie zdążyła przycisnąć ukochanego syna do łona i ucieszyć się połączeniem rodzinnego kółka, gdy nagle wybuchła rewolucja, objawszy jak płomień cały kraj od Georgji do Massachusetts. Był to zbyt silny cios dla matki, której jedyny syn musiał pośpieszyć na pole walki przeciw członkom jej własnej rodziny, i nie przeżyła go.

W żadnym punkcie amerykańskiego ładu obyczaje Anglii i jej arystokratyczne pojęcia o rodowości i związkach nie przeniknęły tak głęboko jak w New-Yorku i jego najbliższych okolicach. Tradycje dawniejszych holenderskich mieszkańców mieszały się do pewnego stopnia z angielskimi, ale te ostatnie brały górę. To przywiązanie do Wielkiej Brytanji wzmacniało się jeszcze przez częste małżeństwa angielskich oficerów z powabnymi córami miejscowych zamożnych rodzin, tak że po wybuchu rewolucji sympatje kolonij przechylały się niedwuznacznie na stronę korony.

Parę jednak przodujących rodzin stanęło po stronie ludu i z pomocą skonfederowanych wojsk udało im się wbrew zabiegom ministerjalnej partji utworzyć i utrzymać niezależny rząd republikański.

Jedynie miasto New-York i jego okolice uchyliły się z pod tej nowej formy rządu, co się zaś tyczy władzy królewskiej, to ta sięgała jedynie tak daleko, jak obecność armji mogła podtrzymać jej powagę. W takim stanie rzeczy lojaliści wzięli stanowiska rozmaite, stosownie do ich charakterów i położenia. Wielu chwyciło za oręż w obronie korony, starając się własnem męstwem i czynami poprzeć to co nazywali prawami swego króla, inni opuszczali kraj, szukając w Anglji, którą pompatycznie nazywali ojczyzną, krótkotrwałego, jak im się zdawało, schronienia przed niebezpieczeństwami i zamętem wojny. Inni wreszcie, ostrożniejsi, pozostali na miejscu, poczęści przez wzgląd na swe znaczne posiadłości, które zostawiać na cudzej opiece nie wydawało im się rzeczą rozsądną w tak niespokojnych czasach, a poczęści powodowani przywiązaniem do miejsc rodzinnych. Pan Wharton należał do tych ostatnich. Zabezpieczywszy się na wszelki wypadek przez tajemne wysłanie całej gotówki do banków angielskich, postanowił pozostać u siebie, zachowując tak ścisłą neutralność, by w razie zwycięstwa tej czy innej strony dobra jego nie ucierpiały na tem. Mieszkał więc w dalszym ciągu w New-Yorku, pochłonięty napozór całkowicie wychowaniem córek, gdy jeden z jego krewnych, zajmujący wysokie stanowisko w nowym rządzie, dał mu do zrozumienia, że pobyt w mieście, które w danej chwili było angielskim obozem, mało się różnił w oczach rodaków od pobytu w samej stolicy Wielkiej Brytanji. Pan Wharton nie omieszkał przekonać się rychło, że w obecnym stanie rzeczy było to wykroczeniem nie do darowania, i natychmiast przeniósł się na wieś. Miał on w hrabstwie West-Chester posiadłość, w której od wielu lat zwykł był spędzać z rodziną letnie miesiące, i która

z tego względu była zawsze zdalna do zamieszkania i gotowa na jego przyjęcie. Jego starsza córka Sara bywała już w świecie, ale młodsza Frances potrzebowała jeszcze parę lat przygotowania do wystąpienia z należytych blaskiem, tak przynajmniej twierdziła panna Joanna Peyton, a ponieważ panna Joanna po śmierci swej starszej siostry a żony pana Whartona opuściła dom rodzicielski w Wirginji, by z właściwym swej płci poświęceniem zastąpić matkę osieroconym siostrzenicom, pan Wharton liczył się bardzo z jej zdaniem i w danym wypadku podporządkował swe ojcowskie uczucia dobru dzieci.

Wyjechał tedy na wieś, z ciężkiem sercem rozstając się z tem wszystkim co mu pozostało po ubóstwianej żonie, ale wrodzony rozsądek nakazywał mu to z wielu względów. Córki jego pozostały w mieście pod opieką ciotki. Pułk, w którym służył kapitan Wharton, stanowił część stałej załogi New-Yorku, i ta świadomość była niejaką pociechą osamotnionemu ojcu w ciągłych rozmyślaniach o nieobecnych córkach. Ale kapitan Wharton był człowiekiem młodym i żołnierzem, jego sąd o charakterach ludzkich niezawsze był trafny, a sam wysoko czcząc honor armji nie wyobrażał sobie, aby pod czerwoną kurtką mogło bić jakie nieszlachetne serce.

Dom pana Whartona stał się modnem miejscem zebrania dla oficerów królewskiej armji, jak zresztą inne podobne mu domy, które ci synowie Marsa uznali za godne szacunku swą obecnością. Wyniki tych odwiedzin bywały dla niektórych z odwiedzanych pomysły; dla wielu szkodliwe, jako budzące nadzieje, które nigdy urzeczywistnione być nie miały, a w dodatku często na nieszczęście zgubne. Dobrze znana zamożność ojca, a może być i obecność zapalczego brata ochroniły obie panienki od tego ostatniego niebezpieczeństwa, jednakże niepodobieństwem było, aby wszystkie hołdy, jakie składano u stóp pięknej Sary, spełżyły na niczem. Wdzięki jej, wczesnie rozwinięte

pod wpływem klimatu i umiejętnie pielęgnowane, uczyniły z niej pierwszą piękność New-Yorku. I nie zanośli się na to, by która z dorastających panien mogła współzawodniczyć z nią o palmę tego pierwszeństwa, chyba jej młodsza siostra. Ale Frances nie miała jeszcze skończonych lat szesnastu, i myśl o jakiejś rywalizacji nie powstała nawet w główkach kochających się dziewcząt. Przeciwnie, poza rozmową z pułkownikiem Wellmere'm nic nie sprawiało takiej przyjemności Sarze jak patrzeć na rozkwitające z pączka powaby małej Hebe, która bawiła się u jej boku z całą niewinnością podlotka, z całym zapałem swej ognistej natury i sporą dozą wrodzonego dowcipu i sprytu. Czy to z powodu że Fanny nie była przedmiotem tych hołdów, jakie składano starszej siostrze, czy dla jakiej innej przyczyny, faktem było, że rozmowy, prowadzone często pomiędzy młodymi oficerami na temat toczącej się wojny, wywierały wręcz przeciwne wrażenie na obu panienkach. Angielscy wojskowi z zasady wyrażali się lekceważąco o swoich przeciwnikach, a Sara przyjmowała wszelkie czcze przechwałki swych wielbicieli za dobrą monetę.

Pierwsze polityczne przekonania, jakie obily się o uszy Fanny, połączone były z drwinami z jej rodaków. Zrazu wierzyła im, ale przypadkowo znalazł się tam jakiś generał, który musiał oddać sprawiedliwość wrogom, by też sprawiedliwość dla siebie pozyskać, i Fanny zaczęła zapatrywać się mniej sceptycznie na niedołość swych współziomków. Pułkownik Wellmere należał do tych, którzy najnielitościwiej dworowali sobie z nieszczęsnych Amerykanów, Frances zaś stopniowo słuchała jego conceptów z coraz większym niedowierzaniem, a poniekąd i z urazą.

Pewnego gorącego letniego dnia trójka ta znajdowała się w salonie pięknej miejskiej rezydencji pana Whartona. Pułkownik i Sara siedzieli na sofie zajęci wymianą spojrzeń przy towarzyszącej im pogadance,

zaś Frances w drugim końcu pokoju haftowała na tamborku, gdy pułkownik zawołał nagle.

— To dopiero będzie wesoło w mieście, gdy przybędzie armja generała Burgoyne, nieprawdaż, panno Wharton?

— O! tak! — odrzekła lekkomyślna Sara. — Słyszałam, że dużo uroczych kobiet towarzyszy mężom, ożywi się więc nasze towarzystwo.

Frances odrzuciła wtył złociste loki, okrywające jej kształtną główkę, i podnosząc oczy, błyszczące zapalem narodowych uczuć, roześmiała się z ukrytą ironją i zagadnęła:

— Czy to tylko rzecz pewna, że generałowi Burgoyne pozwolą wejść do miasta?

— Pozwolą! — powtórzył pułkownik — a któżby mu mógł przeszkodzić w tem, moja śliczna panno Fanny?

Frances była właśnie w wieku, w którym dorastające panienki są najdrażliwsze na punkcie swego światowego położenia. Owo „śliczna panno Fanny” zabrzmiało w jej uszkach zbyt poufale; pochyliła się znów nad robotą, zaczerwieniona jak wisienka.

— Generał Stark wziął Niemców do niewoli — rzekła sznurując usteczka — może i generał Gates nie ułęknie się zbytnio Anglików.

— O! to byli Niemcy, jak pani sama powiada — zawołał pułkownik mocno niezadowolony, że musi wdawać się w jakieś wyjaśnienia — proste, najemne wojsko; ale gdy prawdziwe angielskie pułki staną na placu, wtedy inaczej będzie.

— O! niewątpliwie! — zawołała Sara, nie podzielaając bynajmniej urazy pułkownika do siostry, ale ciesząc się już w duchu z triumfu Anglików.

— Proszę mi powiedzieć pułkownikowi Wellmere — rzekła Frances, odzyskawszy dobry humor i podnosząc znów swe śliczne roześmiane oczęta — czy lord Percy Lexington był krewnym tego, który walczył pod Chevy Chase?

— Ależ, panno Fanny, pani staje się buntowniczką! — rzekł pułkownik usiłując pokryć śmiechem podnoszący się w nim gniew — to o czym pani tak dowcipnie napomykasz, było tylko rozumnym odwrotem, rodzajem, jakby to powiedzieć, rodzajem...

— Uciezki — przerwała panienska figlarnie.

— Doprawdy — zaczął pułkownik, lecz nagły wybuch śmiechu, pochodzący od osoby trzeciej, dotąd niezauważonej, nie pozwolił mu dokończyć.

Przy salonie znajdował się mały gabinetek, do którego prowadziły drzwi nawpół uchylone. Silniejszy prąd powietrza roztworzył teraz te drzwi narozcież, ukazując oczom rozmawiającej w salonie trójki piękną postać siedzącego w pobliżu wejścia młodzieńca, którego uśmiechnięta twarz zdradzała, że powyższą rozmowę wysłuchać musiał. Wstał on niezwłocznie i wszedłszy do salonu z kapeluszem w rękę, smukły, rostry, z błyszczącymi czarnymi oczyma i smagłą cera, skłonił się obu paniom.

— Pan Dunwoodie! — zawołała Sara ze zdziwieniem — nie wiedziałam, że pan tu jest; siadaj proszę, tu znacznie chłodniej.

— Dziękuję pani — odpowiedział młodzieniec — muszę iść na poszukiwanie brata pani, który umieścił mnie tu, jak mówił, w zasadzce, obiecując wrócić za godzinę.

I nie tłumacząc się dalej, młody człowiek skłonił się znów grzecznie paniom, a zdaleka i wyniosłe pułkownikowi, i wyszedł. Frances wybiegła za nim do sieni i czerwieniąc się jak mak, spytała z pośpiechem:

— Ale dlaczego... dlaczego odchodzisz pan, panie Dunwoodie? — Henryk wróci niezadługo.

Młodzieniec pochwycił jej rączkę, i surowy wyraz jego twarzy znikł, ustępując miejsca pełnemu zachwytu spojrzeniu, z jakim odpowiedział:

— Doskonale obeszłaś się z nim, moja droga rodaczo. Nigdy, nigdy nie zapominaj o rodzinnym kraju.

Pamiętaj, że jeżeli jesteś wnuczką Anglika, jesteś także wnuczką Peytona!

— O! — odparło śmiejąc się dziewczę — trudno byłoby mi o tem zapomnieć, bo ciocia Joasia ciągle nam wszelkie genealogiczne zawilości wykłada. Ale dlaczego pan odchodzi?

— Jestem na wylocie do Wirginji i mam mnóstwo do roboty.

Mówiąc to uścisnął jej rączkę i już we drzwiach powtórzył:

— Bądź wierną twojej ojczyźnie, bądź Amerykanką!

Ognista dziewczyna przesłała mu ręką pocałunek, poczem obu dłońmi przyciskając płonące policzki, pobiegła do swego pokoju, by tam ukryć nagle pomieszanie, jakie ją ogarnęło.

Tymczasem pułkownik Wellmere, stropiony wyraźnemi drwinami Fanny i pogardliwem zachowaniem się młodzieńca, nie chcąc dać poznać wobec pani swych myśli, że go podobne drobnostki obejść mogły, nadrabiał miną i gdy Dunwoodie wyszedł z pokoju, zauważył od niechcienia:

— Dosyć zuchwale poczynął sobie ten młokos, zapewne jakiś chłopak ze sklepu ze sprawunkiem.

Sara tak daleka była od zestawienia wdzięcznej postaci Peytona Dunwoodie z chłopcem sklepowym, że rozejrzała się ze zdziwieniem po salonie, zaś pułkownik mówił dalej:

— Ten tam pan Dun — Dun —

— Dunwoodie! Ależ to krewny cioci — zawołała Sara — i serdeczny przyjaciel mego brata. Byli razem w szkołach i rozstali się dopiero w Anglji, gdy brat wstąpił do wojska, a tamten do wojskowej akademji francuskiej.

— Zdaje mi się, że się tam niewiele nauczył — zauważył pułkownik, nie mogąc ukryć nurtującego w nim rozdrażnienia.

— Miejmy nadzieję — rzekła Sara z uśmiechem — bo ma zamiar wstąpić do buntowniczej armji. Przybył tu na francuskim okręcie i możesz go pan niezadługo spotkać na placu boju.

— Wolna droga, życzę Washingtonowi więcej takich bohaterów — odparł pułkownik i skierował rozmowę na przyjemniejsze, bo osobiste tory.

W parę tygodni potem armja Burgoyne'a złożyła broń. Pan Wharton, zaczynając powątpiewać o pomyslnym dla Anglii wyniku wojny, postanowił zjednać sobie rodaków, a jednocześnie zadosyćuczynić własnym pragnieniom, i zawezwał córki do siebie. Panna Peyton zdecydowała się towarzyszyć im, i od owej chwili aż do czasu, kiedy rozpoczyna się nasze opowiadanie, cała rodzina mieszkała na wsi.

Kapitan Wharton oczywiście pozostał w armji, ale parokrotnie pod opieką silnych oddziałów, operujących w sąsiedztwie „Akacji” (tak się nazywała wiejska posiadłość pana Whartona) udało mu się wpaść do domu ojca i zabawić tam czas krótki. Teraz jednak rok już minął bez zobaczenia się z ukochanymi i zniecierpliwiony Henryk w przebraniu przybył właśnie tego samego wieczora, kiedy jakiś nieznany i dosyć podejrzany gość znajdował się w domu, w którym prócz zwykłych jego mieszkańców nikt prawie z obcych nie bywał.

— Ale, jak myślicie, czy on mnie podejrzewa? — zapytał kapitan z pewnym niepokojem, wysłuchawszy opinji Cezara o skinnerach.

— Skądżeby! — zawołała Sara — skoro własne siostry i ojciec nie mogli cię poznać w tem przebraniu.

— Jest coś tajemniczego w jego obejściu, i wzrok ma zbyt badawczy jak na obojętnego obserwatora — ciągnął dalej młody Wharton w zamyśleniu — a przytem twarz jego wydaje mi się jakby znajomą. Los, jaki niedawno spotkał majora André, wywołał wielkie, obustronne podrażnienie. Sir Henryk grozi odwetem za jego śmierć, a Washington jest tak pewny siebie,

jak gdyby połowę świata miał pod swemi rozkazami. Buntownicy mieliby we mnie doskonały materiał dla swoich planów, gdybym, nieszczęściem, wpadł w ich ręce.

— Ależ, mój synu — zawołał przestraszony ojciec — nie jesteś przecież szpiegiem i nie znajdujesz się w obrębie buntowniczych, to jest amerykańskich linii, tu niema czego szpiegować.

— To rzecz względna — odpowiedział młodzieniec w zamyśleniu — pikiety ich sięgają aż Białych Równin, przechodziłem koło nich w przebraniu. To prawda, że zamiary moje są niewinne, ale jak tego dowieść? Moja bytność tutaj mogłaby być pokrywką innych planów. Przypomnij sobie, ojcze, co cię spotkało przed rokiem jedynie za to, że posłałeś mi zapas owoców na zimę.

— To mam do zawdzięczenia czułym sąsiadom — rzekł pan Wharton. — Spodziewali się, że gdy mi skonfiskują dobra, będą mogli tanio nabyć dobre grunta. Peyton Dunwoodie wszelako postarał się o nasze uwolnienie, trzymano nas tylko miesiąc.

— Jakto „nas“! — zawołał młodzieniec ze zdumieniem — czyżby i siostry uwięzili? Nic mi o tem nie pisałaś, Fanny!

— Owszem — odpowiedziała Fanny, rumieniając się — donosiłam ci, że major Dunwoodie, twój dawny przyjaciel, bardzo uprzejmie obchodził się z nami, że wyjednał uwolnienie ojca.

— To prawda, więc i ty byłaś w obozie zbuntowanych?

— Tak — rzekł ojciec serdecznie — Fanny nie chciała mnie puścić samego — Joasia i Sara pozostały w Akacji, a to dziewczątko było towarzyszką mojej niewoli.

— I Fanny wróciła stamtąd jeszcze większą buntownicą niż przedtem — zawołała Sara z oburzeniem — a zdawałoby się, że to co ojciec wycierpiał, powinno ją było wyleczyć z jej zaślepienia.

— Cóż mówisz na to oskarżenie, siostrzyczko? — zawołał kapitan wesoło. — Czy Peytonowi udało się natchnąć cię jeszcze większą nienawiścią do twego króla niż on ją sam żywi?

— Peyton Dunwoodie nie nienawidzi nikogo — odrzekła Fanny żywo, poczem zarumieniwszy się gwałtownie, dodała: — On cię kocha, Henryku, wiem o tem, mówił mi to niejednokrotnie.

Młody Wharton poklepał siostrę po twarzy z uśmiechem, i zapytał udając szept:

— A czy powiedział ci także, iż kocha moją siostrzyczkę Fanny?

— Pleciesz, Henryku — odrzekła Fanny i wyszła prędko, pod pozorem że idzie schować resztki wieczerzy.

ROZDZIAŁ III.

„Było to, gdy na polach sprzątnięto już jesienne plony, i wiatr tylko igrał ze zwiedłemi liśćmi. Krótkotrwałe światło zasuwało się zwolna poza wzgórze Lowmonu i następowała noc, gdy z gwarne go miasta lichey kramarz o smutnem wejrzeniu puścił się w samotną drogę”.

Wilson.

Burza u podnóża Hudsonskich wzgórzy, gdy jej towarzyszy wiatr wschodni, rzadko kiedy trwa krócej niż dni parę. To też, gdy mieszkańcy Akacji zgromadzili się nazajutrz przy wczesnem śniadaniu, strugi deszczu, spływające bezustanku po szybach jadalni, wykluczały wszelką myśl o wychyleniu się z pod dachu.

Harper ukazał się ostatni i spojrzawszy na stan pogody, zwrócił się do pana Whartona z przeproszeniem, że konieczność zmusza go do nadużywania jego gościnności. Napozór odpowiedź była równie grzeczną jak słowa, które ją wywołały; ale zrezygnowany spokój Harpera tworzył rażące przeciwieństwo z widocznem pomieszaniem pana domu.

Henryk Wharton, ulegając życzeniu ojca, z wielką niechęcią, prawie ze wstrętem przywdział wczorajsze przebranie. Ukłon, jakim Harper powitał na dzieńdobry całą rodzinę dostał się i jemu, nie zamienili jednak pomiędzy sobą ani dwóch słów. Wprawdzie Fanny wydało się, że coś nakształt uśmiechu przemknęło po twarzy Harpera, gdy wszedłszy do jadalni

spojrzał na jej brata, znikł on jednak natychmiast, ustępując miejsca zwykłej dobrotliwej powadze, charakteryzującej całą jego powierzchowność.

Oczy kochającej siostry z niepokojem zwróciły się na chwilę na brata, lecz gdy spojrzała znów na nieznanego gościa, gdy z wyróżniającą grzecznością oddał jej jakąś drobną przysługę przy śniadaniu, było coś takiego w jego wzroku, co sprawiło, że serce dziewczyny, które już zaczęło bić gwałtownie, odzyskało swe zwykłe, równe tętno młodości i zdrowia.

Wszyscy jeszcze siedzieli przy stole, gdy wszedł Cezar i położywszy w milczeniu mały pakiecik obok talerza pana Whartona, cofnął się za jego krzesło i z ręką na poręczy stanął w postawie pełnej uszanowania i pewnej poufałości zarazem.

— Co to takiego, Cezarze? — zapytał pan Wharton, oglądając z pewną podejrzliwością pakiecik.

— Tytoń, panie, Harvey Birch wrócić do domu i przynieść panu trochę dobry tytoń z Yorku.

— Harvey Birch — powtórzył pan Wharton z wolna, rzuciwszy ukradkowe spojrzenie na gościa. — Nie przypominam sobie, żebym mu polecił kupować dla mnie tytoń, ale skoro go przyniósł, trzeba mu zapłacić za jego trud.

Na króciutką chwilę, kiedy murzyn mówił, Harper zaprzestał jeść, wzrok jego przeniósł się z wolna z pana na sługę, poczem wszystko wróciło do zwykłego, nieprzeniknionego, spokoju.

Wiadomość o przybyciu Harveya Bircha wielce ucieszyła Sarę; wstała szybko z krzesła i poleciła murzynowi, by wprowadził go do jadalni, lecz nagle, jakby sobie coś przypomniawszy, zwróciła się do gościa dodając:

— Jeżeli pan Harper nie będzie miał nic przeciwko obecności kramarza.

Nieznamomy skłonił się w milczeniu, lecz z tak wymowną dobrotliwością, że Sara powtórzyła rozkaz jeszcze skwapliwiej.

W zagłębieniach okien jadalni znajdowały się drewniane, rzeźbione ławeczki, a bogate, adamaszkowe firanki, które zdobiły salon na ulicy Królowej¹⁾, przeniesione obecnie do Akacji nadawały jadalni nieokreślony, zaciszny wygląd, tak wdzięcznie zapowiadający zbliżanie się zimy.

W jednym z tych zagłębień umieścił się teraz kapitan Wharton, jakby od niechcenia zapuszczając przed sobą firankę, podczas gdy jego młodsza siostra, tracąc swą zwykłą swobodę, w milczeniu usiadła w drugim.

Harvey Birch był od młodości kramarzem wędrownym, tak przynajmniej sam często zapewniał, a jego wielka umiejętność i zręczność w tym zawodzie potwierdzały prawdę tych słów. Pochodził on ze wschodnich kolonij, a wyższa inteligencja, jaką odznaczał się jego ojciec, dawała do myślenia, że rodzina ta znała kiedyś lepsze czasy w swych ojczystych stronach. Harvey jednakże nie różnił się niczem od ludzi swojej sfery, poza bystrością i pewną tajemniczością, otaczającą jego życie. Przed dziesięcioma laty przybyli tu i nabywszy ów nędzny dworek, do którego Harper tak niefortunnie zapukał, zamieszkali w nim, mało znani i uważani przez sąsiadów. Ojciec, dopóki wiek i kalectwo nie stanęły mu na przeszkodzie, zajmował się uprawą małego kawałka ziemi, należącego do kupna, kiedy syn gorliwie zajmował się swym skromnym procederem. Ich rządność i spokój zjednały im wkrótce tyle uznania w sąsiedztwie, że pewna trzydziestopięcioletnia dziewczica zdecydowała się, zapominając o drażliwości swej płci, objąć u nich obowiązki gospodyni. Róże młodości znikły zdawna z policzków Katy Haynes, wszyscy jej znajomi pożenili się już a znajome powychodziły zamaż, ona zaś wciąż była do wzięcia, gdy z pewnym, powziętym zgóry planem weszła do domu Birchów. W braku lepszej towa-

¹⁾ Podczas rewolucji Amerykanie pozmieniali nazwy miast i ulic.

rzyszki ojciec* i syn zmuszeni byli przyjąć jej usługi. Katy jednak posiadała pewne zalety, które czyniły z niej wcale znośną gospodynię. Była pracowitą, uczciwą, rządzoną i schludną, co nie przeszkadzało jej być gadatliwą, samolubną, przesadną i ciekawą. Ta ostatnia właściwość charakteru sprawiła, że po pięcioletnim pobycie pod dachem Birchów mogła z triumfem opowiadać, że słyszała, a raczej podsłuchiwała dość, by wiedzieć, jakimi były dawniejsze losy jej chlebobawców. Gdyby Katy mogła była odgadnąć jeszcze, jaką będzie ich przyszłość, zadanie jej byłoby spełnione. Otóż z rozmów pomiędzy ojcem a synem dowiedziała się, że pożar zniszczył całkowicie ich mienie, a jednocześnie zmniejszył liczbę członków ich rodziny do dwóch. Głos ojca drżał, gdy czasem zlekka potracił o tę strunę, tak że nawet serce Katy napełniało się wzruszeniem; pospolita ciekawość jednak nie zna granic dla swego natręctwa. Więc i Katy próbowała wciąż dowiedzieć się czegoś więcej, aż wreszcie Harvey zagroził jej wręcz, że przyjmie na jej miejsce niewiastę o pięć lat od niej młodszą, i to poskutkowało. Od tej pory gospodyni trzymała ciekawość swoją na wodzy, a choć nie pominęła nigdy sposobności podsłuchiwania, niewiele więcej ponad to co już spenetrowała, dowiedzieć się mogła. Udało jej się jednak wyspiegować rzecz niemałej dla niej wagi i od tej chwili wszystkie swe usiłowania, poparte podwójną podniętą chciwością i miłością, skierowała ku jednemu celowi.

Harvey miał zwyczaj zaglądać często w nocy do komina w izbie, która służyła im za kuchnię i bawialnię. Tu wysledziła go Katy, poczem skorzystawszy z jego nieobecności i zajęć ojca, wyjęła parę cegieł i odkryła żelazny garnek napełniony tym błyszczącym metalem, który ma własność zmiękczenia serc najtwardszych. Katy pokładła cegły na dawne miejsce i nie odważyła się już nigdy więcej ponowić swych oględzin, ale od tej chwili dziewicze jej serce straciło wszelką odporność, i nic już nie stało pomiędzy Har-

veyem a szczęściem, prócz jego własnej niedomyślności.

Wojna wędrownemu kramarzowi nie przeszkodziła handlować, owszem korzystał z każdej złotej sposobności, jakie przerwy w systematycznych dostawach towarów przedstawiały, i był jakby pochłonięty wyłącznie namiętnością zbierania pieniędzy. Trwało to przez dwa lata mniej więcej; zamożność jego wzrastała, lecz wreszcie ruchliwość jego wzbudziła podejrzenia, i władza cywilna uznała za konieczne rozpatrzyć się zbliska w trybie jego życia. Więziono go raz po raz, ale nie na długo, zawsze umiał jakoś wywinąć się z rąk sprawiedliwości, natomiast doznawał ciągłych prześladowań ze strony wojska. Mimo to żył i prowadził dalej swój handel, tylko z wielką ostrożnością, zwłaszcza gdy krążył w pobliżu północnych granic hrabstwa, czyli innemi słowy w sąsiedztwie amerykańskiego frontu. W Akacji bywał rzadko, a jeszcze rzadziej w domu, co spowodowało, że rozgoryczona Katy ulżyła zawiedzionemu sercu w owej przytoczonej poprzednio odpowiedzi, danej Harperowi. Nic jednak nie było w stanie powstrzymać niezmordowanego kramarza, i teraz ze względu na pewne towary, które mógł sprzedać tylko w najzamożniejszych domach, odważył się pomimo gwałtownej ulewy przebyć owe pół mili, dzielące jego domek od siedziby pana Whartona.

W parę minut po otrzymaniu zlecenia swej młodej pani Cezar ukazał się zpowrotem, wiodąc za sobą kramarza. Był to mężczyzna trochę więcej niż średniego wzrostu, chudy, ale kościsty i muskularny. Na pierwszy rzut oka zdawać się mogło, że nie potrafiłby udźwignąć ciężkiego toboła, jakim był obciążony, zdjął go jednak z pleców z łatwością i obracał nim tak swobodnie, jak gdyby same pióra stanowiły jego zawartość. Oczy kramarza były szare, zapadłe i niespokojne, a gdy w stosownej chwili spoczęły na twarzach tych, z którymi rozmawiał, zdawały się sięgać do głębi duszy. Wyraz ich posiadał wybitną dwoistość, cha-

rakteryzującą w znacznym stopniu całego człowieka. Gdy zajęty był handlem, twarz jego zdradzała niezwykle ożywienie, giętkość i przebiegłość, z chwilą jednak, gdy rozmowa schodziła na inne tory stawał się roztargnionym i niespokojnym, chyba, że przypadkowo ktoś poruszył sprawę rewolucji i kraju. Wówczas powierzchowność jego ulegała przemianie. Wszystkie jego władze zdawały się jakby naprężone, słuchał długo milcząc, poczem rzucał jakąś żartobliwą uwagę, tak dalece sprzeczną z jego poprzednim zachowaniem się, że sztuczność jej stawała się widoczną. O wojnie i o ojcu sam mówił rzadko i tylko w nieuniknionych wypadkach.

Dla powierzchownego badacza chciwość zdawała się być przewodnią jego namiętnością. Zważywszy wszystko, kramarz nie wyglądał na człowieka podatnego dla planów Katy Haynes. Wszedłszy do jadalni, zdjął z pleców toboł, który, gdy go na ziemi postawił, sięgał mu prawie do ramion, poczem pozdrowił rodzinę Whartonów grzecznie i skromnie. Harperowi skłonił się w milczeniu, co się zaś tyczy młodego kapitana, to firanka nie pozwoliła mu zauważyć jego obecności. Zresztą Sara zajęła się natychmiast przeglądaniem zawartości tobołu i przez jakiś czas oboje pochłonięci byli wydobywaniem przeróżnych towarów. Wnet jedwabie, krepy, muśliny, rękawiczki zasłały wszystkie stoły, krzesła i posadzkę. Cezar trzymał wieko tobołu i raz po raz zwracał uwagę swej młodej pani na jaki szczególniej elegancji, który jaskrawością barw wzbudzał jego zachwyty. Nareszcie Sara, wybrawszy kilka przedmiotów i ugodziwszy się o cenę, rzekła wesoło:

— Ale Harveyu, nie mówicie nam żadnych nowin? Czy lord Cornwallis pobił znów buntowników?

Kramarz mógł nie słyszeć zapytania, bo zgięty nad tobołem, wydobywał właśnie sporą ilość koronki najlepszego gatunku, i rozpostarłszy ją w rękach, zwracał na nią uwagę Sary.

Panna Peyton upuściła filiżankę, którą zmywała, a Fanny, dotychczas jednym tylko oczkiem przypatrująca się z poza firanki porozkładanym towarom, wysunęła całą twarzyczkę rozpromieniona nagłym zachwytem.

Ciotka porzuciła gospodarskie zajęcie, i Birch po krótkim targu sprzedał znaczną ilość kosztownej koronki. Wykrzykniki obu pań wywabiły młodszą siostrę z jej kryjówki, właśnie podnosiła się zwolna z ławeczki, gdy Sara, rozradowanym głosem, które to rozradowanie przypisać należało bardziej zadowoleniu z kupna niż politycznym uczuciom, powtórzyła swe pytanie. Fanny usiadła zpowrotem w oknie i zapatrzyła się na chmury, a kramarz, widząc że nie wywinie się od odpowiedzi, rzekł zwolna:

— Powiadają tam w dolinie, że Tarleton pobił generała Sumptera nad rzeką Tygrysią.

Kapitan mimowoli wsunął głowę pomiędzy firanki, a Fanny, odwróciwszy się szybko od okna z zapartym oddechem, zauważyła, że spokojne oczy Harpera spoglądały na kramarza z ponad książki, którą zdawał się czytać, z wyrazem zdradzającym niezwykle zajęcie.

— Doprawdy! — wykrzyknęła uradowana Sara — Sumpter — Sumpter — któż to jest? Nie kupię więcej ani szpilki, dopóki nie powiecie wszystkiego, Harveju — dodała śmiejąc się i rzucając sztukę muslinu, którą oglądała.

Kramarz zawahał się chwilę, zerknął na Harpera, który patrzył wciąż na niego spokojnie i znacząco, poczem całe obejście się Bircha uległo zmianie. Podszedłszy do kominka, wyjął z ust spory zwitek tytoniu ociekający śliną i rzuciwszy go w ogień, wrócił do swoich towarów.

— Mieszka tam gdzieś na południu pomiędzy murzynami — odpowiedział krótko.

— Taki sam murzyn jak pan, panie Birch — przerwał Cezar, mocno niezadowolony, upuszczając jednocześnie wieko tobołu.

— No, no, Cezarze, daj pokój — rzekła Sara łagodząco, pragnąc usłyszeć coś więcej.

— Czarny człowiek tak samo dobry jak biały, miss Sally — ciągnął dalej obrażony murzyn — póki się dobrze sprawiać.

— A często bywa lepszym — odparła jego pani. — Więc, Harveyu, któż to jest ten pan Sumpter?

Lekki błysk żartobliwości mignął na twarzy kramarza i znikł natychmiast, on zaś, jak gdyby drażliwość murzyna nie spowodowała żadnej przerwy w rozmowie, ciągnął dalej:

— Jak powiedziałem, mieszka pomiędzy kolorowymi na południu (Cezar znów podniósł wieko) i ostatnimi czasy potykał się z owym pułkownikiem Tarletonem...

— Który go oczywiście pobił — zawołała Sara.

— Tak mówią wojska w Morrisanji.

— Ale co ty mówisz, Harveyu? — odważył się zapytać zcicha pan Wharton.

— Ja powtarzam to tylko, co słyszałem — rzekł Birch, podając sztukę materiału Sarze, która odrzuciła ją w milczeniu, z widocznym postanowieniem poniechania zakupów, dopóki czegoś więcej nie usłyszy.

— Powiadają jednakże na Równiach — mówił dalej kramarz, obejrzawszy się wprzód dokoła, przy czem wzrok jego chwilowo spoczął na Harperze — że tylko Sumpter i paru innych odniosło rany, a regularni zostali pobici na głowę, bo milicja ukryła się bezpiecznie w stodole z berwion.

— To nieprawdopodobne — rzekła Sara pogardliwie — chociaż nie wątpię, że buntownicy pochowali się za kłody.

— Ja tam myślę — rzekł kramarz chłodno, podając znów sztukę jedwabiu — że mądrzej jest mieć kłodę pomiędzy sobą a strzelbą, niż znaleźć się pomiędzy strzelbą a kłodą.

Oczy Harpera opadły spokojnie na stronicę książki, którą trzymał w ręku, a Frances, wyszedłszy z kry-

jówki, zbliżyła się do kramarza uśmiechnięta i rzekła z uprzejmością, której tenże nigdy dotąd nie był doznawał od młodszej siostry.

— Masz pan więcej tej koronki, panie Birch?

Kramarz wnet podał jej żądany towar i Fanny zajęła się kupnem. Z jej rozkazu poczęstowano szklanką wina Bircha, który przyjął ją z podziękowaniem i wypił duszkiem za zdrowie pana domu.

— Więc powiadasz Harveyu, że pułkownik Tarleton zadał klęskę generałowi Sumpterowi? — rzekł pan Wharton, majstrując coś koło filiżanki, którą stłukła siostra jego żony.

— Tak mówią w Morrisanji — odparł Birch sucho.

— A masz jeszcze jakie inne nowiny, przyjacielu?

— zagadnął kapitan Wharton, wychylając się znów z poza firanek.

— Pan słyszał, że powieszono majora André?

Kapitan Wharton drgnął i podczas gdy znaczące jego spojrzenie skrzyżowało się ze wzrokiem kramarza, zauważył z udaną obojętnością:

— To już szaszło jakoby przed kilku tygodniami.

— Czy ta egzekucja narobiła wiele hałasu? — zapytał pan Wharton, wciąż zajęty spajaniem skorupki filiżanki.

— Ludzie zawsze mają coś do powiedzenia, proszę pana.

— Jak sądzisz, przyjacielu, czy podróż w tamtą stronę mogłaby być obecnie niebezpieczną? — zapytał Harper, patrząc bystro na kramarza w oczekiwaniu odpowiedzi.

Kilka sztuczek wstążki wypadło z rąk Bircha, wyraz jego twarzy zmienił się natychmiast, tracąc zwykłą przebiegłość, on zaś odpowiedział zwolna:

— Już dość dawno regularna jazda ruszyła w pole, widziałem ludzi de Lancey'a czyszczących broń, gdym koło ich koszar przechodził; nicby nie było dziwnego żeby coś przewąchali, bo kawalerja Wirgińczyków już się znajduje w obrębie hrabstwa.

— A w jakiej sile? — zapytał pan Wharton z widocznym niepokojem, zaprzestając rzekomej naprawy filiżanki.

Jedna Fanny zauważyła zmianę w zachowaniu się Bircha. Harper znowu pogрузił się w czytaniu. Fanny wzięła parę sztuczek wstążki do ręki, położyła je znowu i pochylając się nad towarami tak, że obfite loki przysłoniły jej twarzyczkę, zauważyła z tak silnym rumieńcem, iż zaróżowił się i jej biały karczek:

— Zdawało mi się, że południowa kawalerja pomaszzerowała w stronę Delaware'u.

— Być to może — rzekł Birch — widziałem wojska zdaleka.

Tymczasem Cezar wybrał sztukę perkaliku, na którego białem tle żółty kolor walczył z czerwonym o palmę zwycięstwa, i popatrzwszy nań z zachwytem przez parę minut, odłożył go z westchnieniem, mówiąc:

— Bardzo piękny perkalik.

— Tak — rzekła Sara — jak stworzony na suknię dla twojej żony, Cezarze.

— O! tak, miss Sally! — zawołał uradowany murzyn — to się stara Dina ucieszy... Taki piękny!

— Tak — dodał kramarz z filuternym uśmiechem — tego tylko brakuje Dinie, żeby wyglądała jak tęcza.

Cezar patrzył pilnie w twarz swojej młodej pani, czem zagnona Sara zapytała o cenę.

— Jak dla mojej przyjaciółki Diny odstąpię go po cztery szylingi — odrzekł kramarz.

— To za drogo — rzekła Sara, wybierając znów towary dla siebie.

— Straszna cena za ordynarny perkal, mister Birch — mruknął Cezar, upuszczając znów wieko toboła.

— Więc niech będzie po trzy — dorzucił kramarz — jeżeli to wolisz.

— Pewno, że wolisz — rzekł Cezar, uśmiechając się z zadowoleniem i podnosząc wieko toboła — miss

Sally woli trzy szylingi, gdy daje, a cztery, gdy bierze.

Dobito wnet targu, ale gdy przyszło do mierzenia, pokazało się, że brakuje trochę materiału do dziesięciu jardów, jakich wymagały obfite kształty Diny. Przy odpowiednim jednak dociągnięciu brak ten zniknął, a kramarz dołożył jeszcze kawałek odpowiednio jaszkrawej wstążki, poczem Cezar wyszedł szybko, by udzielić radosnej nowiny swej sędziwej połowicy.

W trakcie tego kapitan Wharton odsunął zupełnie przysłaniającą go dotąd firankę i zapytał kramarza, który zaczął zbierać porozrzucane towary, o jakiej porze wyszedł z miasta.

— O wczesnym zmierzchu — brzmiała odpowiedź.

— Tak późno! — wykrzyknął tamten zdziwiony, poczem miarkując się dodał:

— Że was to puściły straże o tak późnej godzinie?

— Puściły — odpowiedział lakonicznie kramarz.

— Oficerowie angielskiej armji muszą was już dobrze znać, Harveyu — rzekła Sara, uśmiechając się porozumiewawczo.

— Znam niektórych z widzenia — rzekł Birch i znowu potoczył wzrokiem dokoła, zatrzymując go przez chwilę na Harperze.

Pan Wharton słuchał z nateżoną uwagą tej rozmowy, i tak dalece zapomniał o przybranej obojętności, że zgniótł w dłoni szczątki filiżanki, którą tak pracowicie próbował skleić, poczem widząc, że kramarz zawiązuje ostatni supeł toboła, zapytał nagle:

— Czy znowu nieprzyjaciel będzie nas niepokoił?

— Kogo pan nazywa nieprzyjacielem, proszę pana? — rzekł kramarz, prostując się i patrząc na pana Whartona w taki sposób, że ten spuścił wzrok z pomieszczeniem.

— Każdy jest nieprzyjacielem, kto nam zamąca spokój — rzekła panna Peyton, widząc że szwagier nie może się zdobyć na odpowiedź — ale czy królewskie wojska już tu idą?

— Być może, iż niezadługo nadejdą — odparł Birch, podnosząc toboł z ziemi i gotując się do wyjścia.

— A ładowcy — ciągnęła dalej panna Peyton łagodnie — czy ładowcy znajdują się w obrębie hrabstwa?

Harvey chciał coś odpowiedzieć, gdy drzwi otworzyły się i wszedł Cezar wraz ze swoją rozpromienioną małżonką.

Ta rasa czarnych, której Cezar był dodatnim okazem, staje się bardzo rzadka. Stary wierny sługa, który urodzony i wychowany w domu pana zespałał się z nim niejako i dobro jego uważał za swoje własne, ustępuje w każdym kierunku miejsca tej włóczęgowskiej klasie, co pojawiła się w ciągu ostatnich lat trzydziestu i której członkowie wałęsają się po kraju pozabawieni zasad i uczuć. Bo jest to jedna z plag niewolnictwa, że ofiary jego zatracają cechy człowieka wolnego.

Wiek przyprószył siwizną krótkie, kędzierzawe włosy Cezara, uszlachetniając przez to całą jego powierzchowność. Długie niezmordowane użycie grzebienia wyprostowało mu czuprynę nad czołem, tak że stała sztywna jak szczotka, dodając mu ze dwa cale wzrostu. Czarność skóry straciła połysk młodości, przybierając odcień brunatny. Oczy rozstawione niesłychanie szeroko, były małe, dobroduszne, a w danej chwili błyszczały wewnętrznem rozradowaniem. Nos posiadał rozwinięte w wysokim stopniu przyrządy do wachania, nie wysuwając się naprzód, jak przystało na prawowity nos murzyński, a otchłanność grubych warg łagodziły dwa rzędy zawartych w nich pereł. Cezar był wzrostu niskiego, budowy, jeżeli tak można powiedzieć, kwadratowej, ręce miał długie, muskularne, o kościstych dłoniach i palcach, z wierzchu czarnawo szare, a ze spodu spłowiałą różowością zabarwione. Najkapryśniejszą jednak okazała się natura w budowie nóg jego. Była tu obfitość materiału zgoła niestosownie zużytego. Łydki umieszczone były ani z przodu ani

z tyłu, ale gdzieś po bokach, nazewnątrz, i tak blisko kolan, że zginanie ich przedstawiało pewne trudności. Na stopy, jako na podstawę na której spoczywa ciało, nie miał prawa Cezar narzekać, tylko kość łydkowa znajdowała się tak jakoś pośrodku, że nie można było wiedzieć, czy chodzi naprzód czy wtył. Ale cokolwiek bądź dałoby się zarzucić jego kształtom z punktu widzenia rzeźbiarskiego, to było tylko pewnikiem, że serce Cezara Thompsona znajdowało się na właściwym miejscu i posiadało należyte rozmiary.

Wiodąc swą sędziwą towarzyszkę, przystąpił teraz Cezar do Sary i złożył jej powinnoie dziękczynienia, ona zaś przyjęła je uprzejmie z dodatkiem paru pochlebnych słów o guście męża i przypuszczalnym wyglądzie żony. Fanny z wyrazem równego prawie rozradowania jakim jaśniały twarze murzyńskiej pary ofiarowała usługi swojej igielki gwoli przystosowania zachwycającego perkaliku do jego przyszłego użytku. Ofiara ta została przyjęta z pokorną wdzięcznością.

Gdy Cezar wychodził wraz z żoną i kramarzem z jadalni, ulżył sercu dziękczynnym monologiem, mówiąc głośno przy zamykaniu drzwi:

— Dobra panienka — miss Fanny — opiekować się starym ojcem — i lubić szyć suknię dla starej Diny także.

Co więcej jeszcze mówił w przypływie wdzięczności, niewiadomo, ale słyhać było głos jego jeszcze wtedy, gdy już odległość nie pozwalała słów rozróżnić.

Harper upuścił książkę i spoglądał w milczeniu na tę scenę, a Fanny ucieszyła się podwójnie, gdy dostrzegła pełen uznania uśmiech na tej twarzy, z której ślady głębokich myśli i trosk nie starły wyrazu dobrotliwości, znamionującej najpiękniejsze uczucia ludzkiego serca.

ROZDZIAŁ IV.

.... Kształty, oko, mowa, obejście tego obcego lorda, jego postawa śmiała i wyniosła, niby mury zbrojnego zamku a jednak tak w miarę utrafiona, że jego siła olbrzymia zdaje się być niedbałą swobodą. Powietrze i wojna wyżłobiły swoje ślady na tej majestatycznej twarzy. Lecz nic nie dorówna godności jego spojrzenia! Tam chroniłbym się w potrzebie pewny, że wśród niebezpieczeństw, krzywd i bólu doznam obrony, współczucia i ulgi. Ale gdybym był winny, lękałbym się tego wzroku bardziej niż wyroku śmierci. — Dosyć! Dosyć, zawołała księżniczka, to nadzieja Szkocji, jej radość i duma."

Walter Scott.

Po wyjściu kramarza towarzystwo siedziało czas jakiś w milczeniu. Pan Wharton usłyszał dosyć, by zatroskać się o siebie, nie dowiedziawszy się niczego, coby mogło zmniejszyć jego niepokój ze względu na syna. Kapitan niecierpliwie spoglądał na Harpera, nie mogąc się doczekać, żeby ten niepożądany gość poszedł sobie nareszcie, choćby do drugiego pokoju, zaś panna Peyton kończyła sprzątać od śniadania z właściwym sobie łagodnym spokojem, a także i wewnętrznym zadowoleniem z nabycia tak znacznej ilości pięknej koronki. Sara zajęła się porządkowaniem swoich sprawunków, w czem pocziwie dopomagała jej Fanny, zapominając o własnych zakupach, gdy pan Harper przerwał nagle milczenie mówiąc:

— Jeżeli kapitan Wharton pozostaje w przebraniu ze względu na mnie, niech się zbędzie wszelkiej obawy; gdybym miał nawet jakie powody do wydania go, w obecnych okolicznościach musiałbym ich poniechać.

Młodsza siostra usunęła się na krzesło bledziutka i zdumiona, panna Peyton upuściła tacę z herbacianą zastawą, a Sara siedziała bez ruchu pośród swoich sprawunków. Pan Wharton zdrętwiał, lecz kapitan wyskoczył na środek pokoju i zrzucając perukę i plaster zawołał:

— Wierzę panu z głębi duszy i rad jestem, że ta męcząca komedja może się skończyć. Chociaż doprawdy nie pojmuję, jakim sposobem mogłeś mnie pan poznać.

— Wyglądasz pan o tyle lepiej we własnej osobie, kapitanie Wharton — rzekł Harper z uśmiechem — że na przyszłość radzę panu jej nie ukrywać. Tu zresztą jest źródło mogące pana zdradzić w braku innych poszlak — i z temi słowy wskazał portret na kominiku przedstawiający młodego oficera w mundurze.

— Pochlebiałem sobie — zawołał Henryk Wharton, śmiejąc się — że wyglądam lepiej na płótnie niż w przebraniu. Pan musisz mieć wielki dar spostrzegawczości.

— Wyrobiła go we mnie konieczność — rzekł Harper wstając.

Fanny zbliżyła się do niego, i ujawszy jego rękę w obie dłonie, rzekła z przejęciem, płonąć najcudniejszym karminem.

— Pan nie może — pan nie wyda mego brata.

Przez chwilę Harper spoglądał z milczącym zachwytem na śliczną rzeczniczkę, poczem, przykładając sobie obie jej rączki do piersi, rzekł uroczyście:

— Nie mogę i nie wydám.

Puścił jej ręce i kładąc własną dłoń na główce dziewczęcia, ciągnął dalej:

— Jeżeli błogosławieństwo nieznajomego może ci się na coś przydać, przyjmij je.

Z temi słowy odwrócił się, złożył rodzinie głęboki ukłon i poszedł do swego pokoju z delikatnością, którą pozostali ocenili należycie.

Szlachetne i uroczyste zachowanie się nieznanego wywarło wielkie wrażenie na całym towarzystwie, i wszyscy prócz ojca odetchnęli z ulgą. Przyniesiono zabraną z miasta wraz z innymi rzeczami garderobę kapitana, i młody Wharton, wyzwolony nareszcie z nieznośnego przebrania, zaczął w całej pełni używać rozkoszy pobytu pod rodzicielskim dachem, rozkoszy, dla której na tak wielkie osobiste narażał się niebezpieczeństwo. Pan Wharton odszedł do swego pokoju, gdzie go odwołały codzienne zajęcia, a panie, pozostawszy z kapitanem, gawędziły wesoło o najmilszych im przedmiotach. Nawet panna Peyton ożywiła się, i cała czwórka spędziła parę godzin, nie pomyślawszy nawet, że jakieś niebezpieczeństwo mogłoby im grozić. Oczywiście nie pominięto w rozmowie miasta i dawnych znajomych, a panna Peyton pomna na miłe chwile, jakie tam spędziła, zapytała między innymi o pułkownika Wellmere'a.

— O! — zawołał kapitan wesoło — jest wciąż w New-Yorku piękny i nadskakujący damom jak zawsze.

Kobieta, choćby nie była zakochaną, rumieni się zawsze na wzmiankę o mężczyźnie, w którym mogłaby się zakochać i z którym ją ploteczki znajomych łączyły. Tak się stało i z Sarą; spuściła oczy na dywan, zapłoniona i uśmiechnięta, co dodało nowego uroku jej wdziękowi.

Kapitan Wharton, nie zważając na to, ciągnął dalej:

— Czasami napada go melancholja, mówimy mu wtedy, że jest zakochany.

Sara podniosła oczy na brata, i z pewnem pomieszaniem odwróciwszy je natychmiast, spotkała figlarne spojrzenie siostry, która zaczęła się śmiać wołając:

— Biedaczek! tak bardzo rozpacza?

— No, nie! I nie ma chyba powodów potemu, najstarszy syn bogatego ojca, taki piękny, i w dodatku pułkownik.

— Istotnie ważne powody, żeby był pewnym siebie — rzekła Sara, śmiejąc się z przymusem — zwłaszcza ostatni.

— Pozwól sobie powiedzieć — rzekł kapitan z powagą — że ranga pułkownika w Gwardji to rzecz piękna.

— A pułkownik Wellmere jest pięknym mężczyzną — dodała Frances.

— O! Fanny — odrzekła starsza siostra — pułkownik Wellmere nie był nigdy w twoich łaskach; jest zbyt wiernym sługą swego króla, żeby ci mógł przyspać do gustu.

— A czy Henryk nie jest wiernym sługą króla? — zarzuciła prędko Frances.

— No, no, tylko nie sprzecajcie się o pułkownika — rzekła panna Peyton — to mój ulubieniec.

— Fanny woli majorów — zawołał brat, sadzając ją sobie na kolanach.

— Henryku! nie pleć — rzekło zarumienione dziewczę, usiłując uwolnić się z objęć rozweselonego brata.

— Dziwi mnie jednak — ciągnął dalej kapitan — że Peyton, postarawszy się o uwolnienie ojca, nie próbował zatrzymać mojej siostrzyczki w buntowniczym obozie.

— To byłoby mogło stać się niebezpiecznem dla jego wolności — rzekła Fanny z uśmiechem, siadając znów na krześle — a przecież wiesz, że major Dunwoodie walczy za wolność.

— Wolność! — zawołała Sara — piękna wolność, która zmienia jednego władcę na pięćdziesięciu innych.

— Przywilej zmieniania władców wogóle jest właśnie wolnością.

— I z tego przywileju plec piękna radaby czasem korzystać — zawołał kapitan.

— My przedewszystkiem chcemy mieć wolność wyboru, kto ma być owym władcą — rzekła śmiejąc się Fanny. — Nieprawdaż, ciociu?

— Co? — zawołała panna Peyton — alboż ja się znam na tych rzeczach, moje dziecko! Zapytaj kogo innego, jeżeli się chcesz dowiedzieć czego w tym względzie.

— O! ciocia chciałaby w nas wmówić, że nigdy młodą nie była, ale ja słyszałam niejedno o pięknej pannie Joannie Peyton.

— Co za nedorzeczność! — rzekła ciotka, usiłując powściągnąć uśmiech. — Nie trzeba wierzyć wszystkiemu co się słyszy.

— Ciocia to nazywa nedorzecznością! — zawołał kapitan wesoło — a generał Montrose po dziś dzień spełnia kielichy na cześć panny Peyton; sam byłem tego świadkiem w ubiegłym tygodniu przy stole sir Henryka.

— Henryku! stajesz się tak niemożliwym jak twoja siostra, więc aby temu położyć koniec, zabieram cię, abyś obejrzał moje domowe tkaniny, które, śmiem sobie pochlebiać, wytrzymują porównanie z najpiękniejszymi towarami Bircha.

Młodzi powstałi i poszli za ciotką w jak najlepszych humorach, śmiejąc się i żartując. Panna Peyton skorzystała jednak ze sposobności, gdy wstępowali na schody, by zapytać siostrzeńca, czy generał Montrose, wciąż tak cierpiał na podagrę jak w owych czasach, kiedy go znała.

W miarę jak posuwamy się w życie, musimy z przykrością powiedzieć sobie, że nawet ci, których najbardziej kochamy, nie są wolni od jego ułomności. Gdy serce jest świeże, a przyszłość ukazuje się w barwach promiennych, których posępne doświadczenia przeszłości nie zdążyły jeszcze przyćmić, uczucia nasze są najszczytniejsze. Lubimy wówczas przyoblekać

najbliższe nam istoty w te wszystkie zalety, do których wdychamy sami, i we wszystkie cnoty, które nas czcąc nauczono. Ta ufność, z jaką się do nich odnosimy, jest jakby częścią naszej natury, a przywiązanie rodzinne otacza pewna aureola czystości, która w późniejszym życiu, rzadko kiedy nie ulega skażeniu.

Przez resztę dnia rodzina pana Whartona zażywała niczem niezamąconego szczęścia, jakie oddawna już nie było jej udziałem, szczęścia, którego źródłem jest wzajemne bezgraniczne zaufanie i wymiana najbezinteresowniejszych pieśczot.

Harper ukazał się dopiero przy obiedzie i odszedł, skoro tylko zdjęto obrus, pod pozorem jakiegoś zajęcia w swoim pokoju. Wszyscy byli temu radzi, bo aczkolwiek postępowanie jego budziło zupełną ufność i szacunek, jednakże obecność obcego człowieka była im nie na rękę, zwłaszcza że odwiedziny kapitana Whartona musiały się ograniczyć do paru dni zaledwie, zarówno ze względu na krótkość udzielonego mu urlopu, jak i niebezpieczeństwa odkrycia.

Starano się jednak nie myśleć o tem. Parę razy w ciągu dnia pan Wharton wyraził pewne wątpliwości o charakterze nieznanego gościa i obawę, że pomimo wręcz przeciwnych zapewnień mógł on jednak wydać jego syna, ale młodzi odrzucili z oburzeniem to posądzenie, nawet Sara przyłączyła się do zdania siostry i brata, obstając gorąco za szczerością i szlachetnością Harpera.

— Moje dzieci — odpowiedział zatroskany ojciec — pozory często mylą. Jeżeli taki człowiek jak major André nie wahał się używać podstępu, to cóż tu wnioskować o czyimś charakterze na podstawie powierzchniowych zalet.

— Podstępny! — zawołał kapitan z żywością — zapominasz, ojcze, że major André służył królowi, i że zwyczaje wojenne usprawiedliwiają podobne środki.

— A czy zwyczaje wojenne nie usprawiedliwiają jego śmierci? — zapytała Fanny cichym głosem, nie-

zdolna powstrzymać się od wystąpienia w obronie tego co uważała za sprawę swego kraju, pomimo współczucia, jakie budził w niej tragiczny los straconego człowieka.

— Nigdy! — wykrzyknął młodzieniec, zrywając się z krzesła i chodząc szybko po pokoju. — Zdumiewasz mnie, Fanny! Przypuśćmy, że mnieby coś podobnego spotkało, gdybym wpadł w ręce buntowników, możebyś także usprawiedliwiała śmierć moją i zachwycała się okrucieństwem Washingtona.

— Henryku! — rzekła Frances uroczyście, cała drżąca ze wzruszenia i blada jak śmierć — nie znasz mego serca!

— Przebacz mi, siostrzyczko! przebacz, Fanny najdroższa! — zawołał ze skrucną młodzieniec, tuląc ją do piersi i scałowując łzy, które pomimo wszelkich jej wysiłków napełniły modre oczęta.

— Bardzo to niemądrze z mojej strony, że sobie coś robię z twoich słów nierozważnych — rzekła Fanny, wysuwając się z objęć brata i podnosząc na niego z uśmiechem wilgotne jeszcze oczy — ale wy-mówka z ust kochanych osób musi boleć, zwłaszcza, Henryku, gdy... gdy... nam się zdaje... gdy wiemy...

Bladość jej policzków ustępowała stopniowo barwie różanej, gdy z utkwionemi w dywanie oczyma dokończyła cichym głosem:

— ...gdy na nią nie zasługujemy.

Panna Peyton przesiadła się ze swego krzesła obok Fanny, i ujmując jej rękę, zauważyła łagodnie:

— Nie bierz tak do serca gwałtowności brata; chłopcy, jak wiesz, są przysłowiowo nieokiełznani.

— I okrutni, może cioteczka dodać — rzekł kapitan, siadając po drugiej stronie siostry — ale na punkcie śmierci André'go jesteśmy wszyscy niesłychanie drażliwi. Nie znałaś go, Fanny, było to upostacowanie męstwa, szlachetności, rozumu...

Fanny uśmiechnęła się zlekka i wstrząsnęła głową, ale nic nie odrzekła. Brat, zauważywszy te oznaki niedowierzania, ciągnął dalej:

— Wątpisz o tem i usprawiedliwiasz śmierć jego?

— Nie wątpię o jego wartości — odrzekła pannenka miękko — ani o tem, że zasługiwał na los lepszy, ale nie mogę potępić postępku Washingtona. Bardzo mało znam się na zwyczajach wojennych i wolałabym znać się jeszcze mniej, lecz jakież nadzieje powodzenia mogliby mieć Amerykanie, gdyby wszystkie, zdawna ustalone zasady były wyłącznym przywilejem Anglików?

— Ale co im po powodzeniu! — rzekła niecierpliwie Sara — zresztą to są buntownicy i wszystkie ich postęпки są nielegalne.

— Kobiety to są zwierciadła, w których odbijają się obrazy, jakie mają przed sobą — rzekł kapitan wesoło. — W Fanny widzę obraz majora Dunwoodie a w Sarze...

— Pułkownika Wellmere'a — przerwała młodsza siostra, śmiejąc się i rumieniąc. — Tak, muszę wyznać, że moje rozumowania zawdzięczam poniekąd majorowi, nieprawdaż ciociu?

— Zdaje mi się, że tak jest, moje dziecko.

— A więc moja wina, a ty, Saro, czy nie zapomniałaś uczonych wywodów pułkownika Wellmere'a?

— Nie zapominam nigdy tego, co jest słuszne — odrzekła Sara, rumieniąc się niegorzej niż jej siostra i wstając pod pozorem, że jej za gorąco przy kominku.

Dzień minął spokojnie, ale wieczorem Cezar przyszedł z wiadomością, że słyszał cichą rozmowę w pokoju Harpera. Pokój ten znajdował się w skrzydle na końcu domu, naprzeciwko saloniku, w którym zgromadzała się rodzina, i Cezar musiał widocznie być wciąż na przeszpiegach, ze względu na bezpieczeństwo swego młodego pana. Wiadomość ta zaniepokoiła wszystkich, ale wejście Harpera i ten wyraz dobroci i szczerości, jakim tchnęła jego postać, rozwiął wnet posądzenia rodziny, wyjąwszy pana Whartona. Siostra jego i dzieci były pewne, że Cezar musiał się omylić, i wieczór minął spokojnie.

Nazajutrz po południu całe towarzystwo siedziało przy herbacie, gdy nastąpiła zmiana pogody. Całun mgły, spowijający szczyty wzgórz, począł posuwać się z zachodu na wschód ze zdumiewającą szybkością. Deszcz jednak nie przestawał siec gwałtownie wschodnich okien domu, i od tej strony niebo było ciemne i posepne. Fanny patrzyła na to z utęsknieniem młodości do wyrwania się z przymusowego zamknięcia w czterech ścianach, gdy jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki wszystko się zmieniło. Wiatr ustał, burza ucichła i wspaniały promień słońca oświecił przeciwległy las. Liście błyszcząły, grając najbogatszymi barwami amerykańskiej jesieni. W mgnieniu oka mieszkańcy domu wysypali się na wychodzący na południe taras. Powietrze było wonne i orzeźwiające; na wschodzie, chmury podobne do cofających się szeregów pobitej armii otaczały horyzont groźnym i posepnym półkolem. W pewnej wysokości ponad domem leciuchny welon mgły sunął ku wschodowi ze zdumiewającą chyżością, kiedy na zachodzie cały krajobraz stał w glorii zachodzącego słońca, przejrzystej atmosfery, i połyskującej wilgocią zieleni. Takie chwile są wyłączną właściwością amerykańskiego klimatu, i czar ich leży w nagłości przeciwieństwa i tej rozkoszy, jakiej doznajemy przechodząc z rozpętania żywiołów w słodką ciszę wieczoru tak ciepłego jak czerwcowy poranek.

— Cóż to za wspaniały widok! — rzekł Harper cichym głosem — jaki wzniosły! jak wielki! oby podobny spokój wprędce położył kres walkom, jakie szarpia moim krajem, i oby tak pogodny wieczór nastąpił dlań po dniu nawałnicy.

Jedynie Fanny, stojąca przy nim, słyszała te słowa. Odwróciwszy się zdumiona zobaczyła go stojącego z odkrytą głową, wyprostowanego i z oczyma utkwionymi w niebo. Oczy te nie były już jak zwykle spokojne, płonął w nich ogień zapału i lekki rumieniec zabarwił policzki.

— Nie — pomyślała Fanny — po takim człowieku niczego złego obawiać się nie można; tylko piękna dusza może doznawać uczuć podobnych!

Nagle ukazanie się kramarza wyrwało całe towarzystwo z zadumy. Skorzystał z pierwszych promieni słońca i pośpieszył do Akacji. Z głową nieco ku przodowi pochyloną i z rozmachaniem rękoma Harvey Birch zbliżył się do tarasu właściwym mu krokiem. Był to szybki wydłużony krok wędrownego kramarza.

— Piękny wieczór — rzekł Harvey, kłaniając się towarzystwu ze spuszczonemi oczyma — i ciepły jak na tę porę roku.

Pan Wharton przytaknął mu i zapytał uprzejmie o zdrowie ojca. Harvey usłyszał go, lecz stał czas jakiś w milczącym zamyśleniu, dopiero gdy pan Wharton ponowił pytanie, odrzekł z lekkim drżeniem w głosie:

— Podupada bardzo, wiek i trudy zrobiły swoje.

Mówiąc to, odwrócił zlekka twarz, ale Fanny spostrzegła, że usta mu drżą i oczy zwilgotniały, i po raz drugi Harvey urósł w jej mniemaniu.

Dolina, w której znajdowała się posiadłość pana Whartona, biegła w kierunku z północo-zachodu na południo-wschód, a dom stał na zboczu wzgórza wydłużającego się w tymże kierunku. Przez niewielki otwór, spowodowany znizaniem się przeciwległego wzgórza i spadek gruntu do poziomu morza, widać było Sound¹⁾ ponad wierzchołkami dalekich lasów na brzegu. Powierzchnia morza, które z taką wściekłością smagało przed niedawnym czasem brzegi, falowała równo i łagodnie, a lekki południowo-zachodni wietrzyk muskał ją kojąco. Raz po raz ukazywały się jakieś ciemne plamy i nikły poza wydłużoną linią wód. Nikt ich nie zauważył prócz kramarza, który usiadł

¹⁾ Wysepka mająca przeszło czterdzieści mil (francuskich) długości, przeciwległa brzegom Yorku i Connecticutu. Ramię morza, dzielące ją od lądu, nazywa się Sound, a w tej części kraju specjalnie The Sound. Ten szmat wody posiada różną szerokość, od pięciu do trzydziestu mil (morskich).

nieopodal tarasu i jakby zapomniał o celu swoich odwiedzin. Spostrzegłszy jednak owe rzekome punkty, zerwał się żywo i z natężeniem jął patrzeć w stronę wody. Poczem zerknął niespokojnie na Harpera i rzekł z naciskiem.

— Regularni musieli nadejść z dołu.

— Po czem to wnosisz? — zapytał kapitan z żywością. — Dałby Bóg, żeby było prawdą, bo mi ich eskorta potrzebna.

— Te tam dziesięć wielorybich statków nie płynęłyby tak szybko, gdyby nie miały lepszej obsługi niż zwyczajną.

— A może — zawołał pan Wharton przestraszony — może to... może to ładowcy wracają z wyspy.

— Wyglądają na regularnych¹⁾ — rzekł kramarz znacząco.

— Wyglądają! — powtórzył kapitan — przecież nic nie widać prócz jakichś ciemnych punktów.

Harvey nie podjął tej uwagi, lecz rzekł półgłosem, jakby sam do siebie:

— Przyszli przed burzą — siedzieli na wyspie przez te dwa dni — jazda jest na gościńcu — niezadługo będą się bili w pobliżu nas.

Mówiąc to Birch spojrział z niepokojem na Harpera, ten jednak jakby nie zwracał na to uwagi. Stał milcząc, zapatrzony w krajobraz, napawając się pięknym widokiem. Gdy jednak Birch skończył mówić, Harper zwrócił się do pana domu i rzekł, że ponieważ interesa jego nie pozwalają na dalszą zwłokę, skorzysta z pięknego wieczora, aby jeszcze kilka mil przed nocą ujechać. Pan Wharton wyraził żal z utraty tak miłego gościa, nie nalegał jednak i wnet wydał odpowiednie rozkazy.

Niepokój kramarza wzrastał widocznie, choć na pozór nic go nie usprawiedliwiało; patrzył ciągle ku

¹⁾ Regularnymi nazywano wtedy wojska angielskie. (Przyp. tłum.)

niższemu końcowi doliny, jak gdyby czegoś się stamtąd spodziewał. Nareszcie ukazał się Cezar, wiodąc szlachetnego rumaka, który miał ponieść ciężar podróznego. Kramarz skwapliwie jął pomagać w przyciąganiu popręg i przymocowaniu błękitnego płaszcza i walizki do siodła.

Tymczasem Harper zaczął się żegnać. Powiedział kilka uprzejmych słów ciotce i Sarze, ale gdy zbliżył się do Fanny, umilkł na chwilę, a twarz jego przybrała wyraz większej jeszcze niż zazwyczaj dobroćliwości. Oczyma powtórzył błogosławieństwo, które przedtem wypadło z ust jego, a Fanny uczuła, że policzki jej płoną, a serce bije szybciej pod wrażeniem tego pożegnania. Następnie Harper zamienił parę zdawkowych grzeczności z panem domu i wyciągając rękę do kapitana, rzekł z wielką powagą:

— Krok, na który się pan ważyłeś, jest bardzo niebezpieczny i może pociągnąć za sobą przykre dla pana skutki; w takim razie będzie może w mojej mocy wywdzięczyć się za gościnność, jakiej tu doznałem.

— Ach panie! — zawołał pan Wharton, tracąc poczucie delikatności w obawie o syna — utrzymaj pan w tajemnicy odkrycie, które zrobiłeś dzięki pobytowi w moim domu.

Harper zwrócił się żywo ku niemu ze ściągniętem surowo czołem, poczem rozpogodziwszy się znowu, odpowiedział łagodnie:

— Pobyt w pańskim domu nie odsłonił mi niczego, czegobym przedtem nie wiedział, lecz dla bezpieczeństwa pańskiego syna lepiej jest, iż wiem o jego bytności tutaj.

Skłonił się całemu towarzystwu, i nie zwracając uwagi na kramarza poza podzięką za jego usługę, dosiadł konia, i powodując nim z pełną wdzięku zręcznością, wyjechał za furtkę i wnet zniknął za wzgórzem, osłaniającem dolinę od północy.

Kramarz śledził go wzrokiem, dopóki go z oczu nie stracił, poczem odetchnął głęboko, jak gdyby mu

ciężar jakiś spadł z piersi. Whartonowie stali w milczeniu, dumając nad charakterem nieznanego gościa, wreszcie ojciec zbliżył się do Bircha i rzekł:

— Jestem dotąd twoim dłużnikiem, Harveyu, za tytoń, który mi tak uprzejmie przyniosłeś z miasta.

— Jeżeli nie okaże się tak dobrym jak poprzedni — odparł kramarz, posyłając ostatnie, przeciągłe spojrzanie w kierunku, w którym zniknął Harper — to wina w tem, że go teraz trudno dostać.

— Owszem, smakuje mi bardzo — ponowił tamten — ale zapomniałeś powiedzieć mi jego ceny.

Wyraz twarzy kramarza zmienił się nagle, głęboka troska ustąpiła miejsca zwykłej mu przebiegłości, z jaką odpowiedział:

— Trudno oznaczyć cenę, muszę pozostawić to pańskiemu uznaniu i hojności.

Pan Wharton wyjął z kieszeni rękę, napełnioną portretami Karola Trzeciego, i wyciągnął ją do Bircha, przymając trzy sztuki w palcach. Oczy Harveya zaświeciły pożądliwością i przeżuwszy w ustach sporą ilość tytoniu, nadstawił dłoń, na którą dolary spadły z melodyjnym dźwiękiem, on jednak nie poprzestając na tem, wypróbował każdą z kolei sztukę o stopień tarasu, aż wreszcie dobywszy dużą skórzaną sakiewkę, schował ją tak zręcznie, że nikt z obecnych nie byłby mógł powiedzieć, jaka część jego osoby posłużyła za kryjówkę tego skarbu.

Załatwiwszy tak pomysłnie najważniejszą sprawę swych handlowych obrotów, kramarz powstał z kamiennej posadzki tarasu i zbliżył się do kapitana, który trzymając obie siostry wpół, prowadził z nimi ożywioną rozmowę.

— Czy pan jedzie dzisiaj, kapitanie Wharton? — zapytał nagle.

— Nie — odrzekł kapitan lakonicznie, wciąż obejmując siostry — czy chciałbyś, panie Birch, bym porzucił tak prędko towarzystwo, którem nigdy już może cieszyć się nie będę?

— Bracie! — rzekła Fanny — to okrutnie żartować z takich rzeczy.

— Widzi mi się — rzekł kramarz chłodno — że teraz gdy burza minęła, skinnerzy mogliby się ruszyć, lepiej więc będzie skrócić odwiedzin, kapitanie Wharton.

— O! — zawołał oficer angielski — parę gwinei uwolni mnie od tych łotrów, gdybym ich spotkał. — Nie, nie, panie Birch, zostanę tu do jutra.

— Pieniądze nie zdołały uwolnić majora André — rzekł kramarz sucho.

Obie siostry popatrzyły na brata z przestraczem, a starsza zauważyła:

— Posłuchaj lepiej rady Harveya, bądź pewny, Henryku, że w takich sprawach z jego zdaniem trzeba się liczyć.

— Tak — dodała młodsza — jeżeli, jak podejrzewam, pan Birch dopomógł ci w przyjsciu tutaj, to twoje bezpieczeństwo, nasze szczęście, drogi Henryku, wymaga, abyś go teraz usłuchał.

— Sam tu przyszedłem i sam stąd odejdę — rzekł kapitan stanowczo. — Pomoc Harveya polegała na tem, że mi dostarczył przebrania i doniósł, kiedy brzeg będzie wolny, a w tym ostatnim względzie omyliłeś się, panie Birch.

— Tak — odrzekł kramarz z pewną troską — i to jeden powód więcej, abyś pan wracał niezwłocznie; pasport, który panu dałem, służy tylko na raz.

— A nie możesz mi pan sfabrykować drugiego?

Blade policzki kramarza powlokły się niezwykle rumieńcem, stał jednak milcząc z oczyma utkwionemi w ziemię; młodzieniec zaś dodał z wielką stanowczością:

— Niech się dzieje co chce, zostaję na noc.

— Kapitanie Wharton — rzekł kramarz z wolna i z naciskiem — strzeż się pan wysokiego Wirginijczyka z dużemi wąsami, o ile wiem, śledzi pana, a sam djabeł go nie oszuka. Mnie się to raz tylko udało.

— Niech się mnie strzeże — rzekł Wharton wyniośle — ale panie Birch, na wszelki wypadek zwalniam cię od dalszej odpowiedzialności.

— Dasz mi to pan na piśmie? — zapytał przeznorny Birch.

— O! z ochotą — zawołał kapitan, śmiejąc się. — Cezarze! pióra, papieru i atramentu, abym napisał świadectwo dla zaufanego powiernika Harveya Bircha, kramarza i t. d., i t. d.

Przyniesiono przybory do pisania i kapitan z wielką wesołością wystylizował po swojemu żądane zaświadczenie, które kramarz, schowawszy starannie obok portretów Jego Katolickiej Mości, skłonił się zamasyście całemu towarzystwu i oddalił się tym samym szybkim, wydłużonym krokiem, jakim przyszedł. Wkrótce ujrzano go zdaleka, jak wsuwał się do wnętrza swej lichej sadyby.

Ojciec i siostry kapitana byli tak uszczęśliwieni z przedłużenia jego odwiedzin, że najlżejsza obawa, mogąca tę radość zamącić, nie przyszła im nawet do głowy, on jednak zastanowiwszy się, zmienił zdanie, i zaraz po wieczery wyprawił Cezara po Harveya, nie chcąc bez jego pomocy puszczać się w drogę. Murzyn wrócił wprędce z niepożądaną wiadomością, że było już za późno. Katy powiedziała mu, że Harvey wyszedł z tobołem o zmierzchu i musi już być daleko od domu. Nie pozostawało więc nic innego kapitanowi jak czekać cierpliwie do rana i wtedy postanowić, co mu uczynić wypada.

— Ten Harvey Birch swemi ostrzeżeniami i tajemniczą miną napędził mi większego niepokoju, niż sam się do tego chcę przyznać — rzekł kapitan, ocknąwszy się z zadumy, w której niebezpieczeństwo jego położenia odgrywało niemałą rolę.

— Jak on może tak swobodnie krążyć po okolicy w tych niebezpiecznych czasach? — zagadnęła panna Peyton.

— Czemu buntownicy tak przez szpary patrzą na jego wędrówki, tego istotnie nie pojmuję — odpowiedział kapitan — ale to pewna, że sir Henryk nie pozwoliłby, aby mu jeden włos spadł z głowy.

— Doprawdy? — zawołała Fanny z zajęciem — więc sir Henryk Clinton zna go?

— Przynajmniej powinien go znać!

— Jak sądzisz, mój synu, — zapytał pan Whar-ton — czy jest niebezpieczeństwo, że mógłby cię zdradzić?

— No, nie, zastanawiałem się nad tem długo, nim mu zawierzyłem — odparł kapitan w zamyśleniu. — Zdaje się jest uczciwym w interesach — zresztą własne niebezpieczeństwo, jakie mu grozi, gdyby chciał wrócić do miasta, wstrzymałoby go od popełnienia takiej podłości.

— I mnie się zdaje — rzekła Fanny, zamyślając się również — że Harvey Birch nie jest pozbawiony szlachetniejszych uczuć, przynajmniej wygląda na to czasami.

— O! — zawołała Sara z zapalem — jest lojalny, a to według mnie stanowi kardynalną cnotę.

— Ja zaś myślę — rzekł brat śmiejąc się — że bardziej kocha on pieniądze niż króla.

— Jeżeli tak — zauważył ojciec — nie możesz mu ufać, bo żadna miłość nie oprze się pokusie pieniężnej, tam gdzie w grę wchodzi chciwość.

— Ależ, ojczu — zawołał młodzieniec, odzyskując wesołość — musi być przecież jakaś miłość, która potrafi oprzeć się wszystkiemu, nieprawdaz, Fanny?

— Masz tu świecę i idź spać; ojciec już zwykł być w łóżku o tej porze.

ROZDZIAŁ V.

„Przez piaski Solwayu, przez mchy Tarossu idąc naoslep, odnajdywał właściwe drożyny. Sprytnemi zakrętami, rozpaczniemi skoki zmylił czujność najlepszych gończych Percy'ego. Brodu nie było w rzekach Eske i Liddel, lecz przeprowił się pomimo to przez jedną i drugą. Niczem mu był czas ni prąd, grudniowy śnieg, czy czerwcowe słońce. Niczem mu był czas czy prąd, bezksiężycowa północ lub wczesny świt.”

Walter Scott

Pieśń ostatniego Minstrela.

Wszyscy członkowie rodziny Whartonów udali się tej nocy na spoczynek z uczuciem jakiegoś trwożnego oczekiwania. Niepokój nie pozwolił zmrużyć oka obu siostrom i wstały nazajutrz zmęczone bezsennością i obawą.

Ale gdy z okien sypialni wyrzały w dolinę, nic napozór nie mąciło jej pogodnego wyglądu. Stała ona cała w blaskach słodkiego czarownego dnia, który zdarza się tu tak często w okresie listopadowym, która to częstość stawia amerykańską jesień narówni z najpiękniejszymi porami roku innych krajów. Nie znamy wiosny, roślinność budzi się do życia jakby w pełni swego rozkwitu, zamiast rozwijać się stopniowo, jak pod temi samemi stopniami szerokości starego świata; natomiast z jakimż wdziękiem odchodzi! Wrzesień, październik, a nawet listopad i grudzień są porą roku sprzyjającą przebywaniu na świeżem powietrzu; zda-

rzają się wprawdzie burze i niepogody, ale są krótkotrwałe i zostawiają po sobie przedziwną przejrzystość atmosfery i bezchmurne niebo.

Ponieważ nic nie zapowiadało jakiejś niepożądaney przeszkody w rozkoszowaniu się tym cudnym dniem, siostry zeszły na dół, nabrawszy znów zaufania w bezpieczeństwo brata i własną szczęśliwość.

Rodzina zgromadziła się wcześniej przy śniadaniu, i panna Peyton z tą drobiazgową systematycznością, którą życie samotne wyradza, zdecydowała, że obecność siostrzeńca nie powinna wpłynąć na zmianę w przyjętych godzinach posiłku; towarzystwo więc siedziało już przy stole, gdy kapitan ukazał się nareszcie, aczkolwiek kawa stygnąca w filiżankach świadczyła, że mimowoli czekano na niego.

— Doszedłem do przekonania — rzekł, siadając na krześle pomiędzy siostrami i witając się z nimi serdecznie — że zrobiłem daleko lepiej, wypawszy się w wygodnym łóżku i zapewniwszy sobie doskonałe śniadanie, zamiast liczyć na gościnność tych świeżo zorganizowanych oddziałów cow-boyów.

— Jeżeli mogłeś spać — rzekła Sara — to byłeś szczęśliwszy niż Fanny i ja; każdy szmer nocny wydawał nam się zapowiedzią zbliżania się buntowniczej armji.

— No — rzekł kapitan ze śmiechem — wyznaję, że i ja byłem trochę zaniepokojony, ale jakże to było z tobą? — dodał zwracając się do młodszej siostry, która widocznie była jego ulubienicą, i klepiąc zlekka jej różowy policzek. — Czy widziałaś sztandary w chmurach, a dźwięki harfy ciotczynej wydawały ci się muzyką zbuntowanych?

— Nie, Henryku — odpowiedziało dziewczę, patrząc na niego z przywiązaniem — aczkolwiek kocham kraj, nadejście jego wojsk sprawiłoby mi teraz wielką boleść.

Brat nic nie odpowiedział, tylko tkliwie uściskał jej rękę, gdy Cezar, który brał znaczny udział w oba-

wach rodziny i od świtu był już na czatach, a teraz stał przy oknie, dając pilne baczenie na okolicę, wykrzyknął, z twarzą poszarzałą nagle z przerażenia:

— Uciekać — massa Harry — uciekać! — jeżeli kochać stary Cezar uciekać — widać jazda buntowniki.

— Uciekać — powtórzył angielski oficer, prostując się dumnie — nie, mój Cezarze, ucieczka nie jest mojem rzemiosłem.

I mówiąc to przystąpił do okna, gdzie już cała rodzina skupiła się w największem przerażeniu.

W więcej niż milowej odległości ukazało się około pięćdziesięciu dragonów, wysuwających się z jednej z bocznych drózek doliny. Na przedzie obok oficera postępował człowiek w wieśniaczej odzieży i wskazywał w stronę Akacji. Po chwili mała gromadka jeźdźców odłączyła się od reszty oddziału i zaczęła dążyć szybko we wskazywanym kierunku.

Wyjechawszy na środek doliny, zwrócili konie ku północy. Rodzina Whartonów jak przykuta do miejsca śledziła wszystkie ich poruszenia z zapartym oddechem, gdy jeźdźcy, dosięgnąwszy siedziby Bircha, otoczyli ją szybko, i w mgnieniu oka dwunastu dragonów stanęło na straży.

Pozostali zsiadli z koni i weszli do środka, lecz po paru minutach ukazali się znów na podwórku w towarzystwie Katy, z której gwałtownych ruchów wywnioskować było można, że chodziło o rzeczy niepośledniej wagi.

Tymczasem nadjechał pozostały w tyle oddział, tamci zaś, po krótkiej rozmowie z gadatliwą gospodynią, dosiedli znów koni i popędzili w stronę Akacji.

Dotychczas nikt z rodziny nie zdobył się na tyle przytomności umysłu, by przedsięwziąć jakieś środki zabezpieczenia kapitana; dalsza zwłoka jednak stała się niemożliwą. Jedni przez drugich jęli pośpiesznie wymieniać różne kryjówki, lecz młodzieniec odrzucił wszystkie wyniosłe, jako uwłaczające jego wojskowej godności. Na ucieczkę do lasku, znajdującego

się na tyłach domu, było za późno; dojrzanoby go bowiem niewątpliwie i ujęto niebawem.

Nareszcie siostry drżącemi rękoma nałożyły na niego przebranie, które Cezar przezornie miał pod ręką na wszelki wypadek.

Zaledwie uskuteczniło tę czynność pośpiesznie i niedokładnie, gdy dragoni, pędzący jak wichra, wpadli na dziedziniec i z kolei otoczyli dom.

Nie pozostawało nic innego jak przybrać możliwie najobojętniejszą postawę w oczekiwaniu nieuchronnego badania. Dowódca zsiadł z konia i w towarzystwie paru swoich ludzi przystąpił do drzwi wchodowych, które Cezar zwolna i niechętnie otworzył. Ciężkie kroki kawalerzysty coraz to bliższe i bliższe złowrogim echem obijały się o uszy kobiet, ścinając im krew w żyłach i pograżając je w stan, graniczący z odrętwieniem.

Mężczyzna olbrzymiego wzrostu i budowy, znamionującej niepoślednią siłę, wszedł do pokoju i zdjawszy czapkę skłonił się obecnym z uprzejmością, która, wnosząc z jego wyglądu, nie musiała mu być wrodzoną. Obfite, ciemne włosy, mocno spudrowane wedle ówczesnego zwyczaju, wicherzyły mu się nad czołem, a twarz tonęła prawie w szpecących ją niepomierne bujnych wąsach. Pomimo to wyraz jego przenikliwych oczu nie był zły, a głos głęboki i potężny miał przyjemne brzmienie.

Fanny, podniósłszy na niego trwożny wzrok, poznała odrazu człowieka, którego wedle ostrzeżeń Harveya tak bardzo należało się obawiać.

— Nie lękajcie się, panie — rzekł oficer, przystanawszy na chwilę i spoglądając na blade twarze obecnych — moja bytność ograniczy się do paru pytań, a jeżeli otrzymam na nie szczerą odpowiedź, uwolnię państwo natychmiast od naszej obecności.

— I jakież to są te zapytania? — wybełkotał pan Wharton, wstając i z niepokojem czekając na dalsze słowa oficera.

— Czy podczas burzy schronił się tu jaki obcy podróżny? — spytał dragon, mówiąc z pewnem przejęciem i do pewnego stopnia dzielając widoczny niepokój pana domu.

— Ten pan... zaszczycił nas swoją obecnością... w istocie... i... jeszcze nie odjechał.

— Ten pan — powtórzył oficer, zwracając się do kapitana i przyglądając mu się przez chwilę, poczem chytry uśmieszek zaigrał mu na ustach.

Z uśmiezkiem przystąpił do młodzieńca i kłaniając mu się nisko z żartobliwą powagą, rzekł:

— Jak widzę, musisz pan cierpieć na srogie zawianie w głowie.

— Ja? — wykrzyknął kapitan zdziwiony — ja na żadne zawianie nie cierpię.

— Tak mi się zdawało, wnosząc z tego, że przykryłeś pan tak piękne czarne kędziory tą brzydką, starą peruką; racz mi pan wybaczyć tę pomyłkę.

Pan Wharton jęknął głucho, lecz panie, nie wiedząc jak daleko sięgają informacje niepożądanego gościa, zachowały kamienne milczenie. Kapitan mimowoli podniósł rękę do głowy i przekonał się, że siostry w pośpiechu tak krzywo nałożyły mu perukę, że część jego własnych włosów była z pod niej widoczną. Dragon nie przestając uśmiechać się, śledził jego ruchy, poczem, jakby sobie coś przypomniawszy, zwrócił się do ojca i rzekł:

— Zatem, to ma znaczyć, że nie było tu niejakiego pana Harpera w tym tygodniu?

— Pana Harpera — powtórzył tamten, czując, że ciężar spada mu z piersi — a tak; zapomniałem, ale już odjechał, jeżeli było coś podejrzanego w jego osobie, nie wiedzieliśmy o tem... był nam całkowiec nieznanym.

— Nie potrzebujesz pan obawiać się niczego od jego osoby — odpowiedział dragon sucho. — Odjechał tedy — jak — kiedy — i gdzie?

— Odjechał, jak przyjechał — rzekł pan Wharton nabierając coraz większej otuchy — konno wczoraj przed wieczorem drogą na północ.

Oficer słuchał z nateżeniem, twarz jego rozpromieniała się stopniowo i gdy pan Wharton skończył mówić, zakręcił się na pięcie i wyszedł z pokoju. Wharntonowie, sądząc, z jego zachowania się, wywnioskowali, że uda się na dalsze poszukiwanie owego pana Harpera. Jakoż dragon, wyszedłszy na dziedziniec, zaczął rozmawiać z widocznym przejęciem i zadowoleniem z paru podwładnymi. W chwilę potem wydano rozkazy, i jeźdźcy pędem rozbiegli się po różnych drózkach doliny.

Niepewność pozostałych w pokoju, którzy z łatwo zrozumiała ciekawością przypatrywali się całej tej scenie, nie trwała długo, gdyż ciężkie kroki kawalerzysty rozległy się znowu i on sam wszedłszy do pokoju skłonił się powtórnie, poczem przystąpił do kapitana Whartona i rzekł z komiczną powagą:

— A teraz, gdy główne moje zadanie tutaj skończone, czy mogę przypatrzeć się bliżej tej peruce?

Angielski oficer, wpadając w ton tamtego, zdjął perukę i podał ją kawalerzyście ze słowami:

— Mam nadzieję, że przypadnie panu do gustu.

— Nie mogę tego powiedzieć bez rozminięcia się z prawdą — odparł dragon — i stokroć wolę pańskie hebanowe włosy, z których tak pracowicie wyczesales pan puder. Ale musiales pan odnieść jakieś srogie uszkodzenie pod tym olbrzymim, czarnym plastrem.

— Jesteś pan tak bystrym obserwatorem, że radbym zasięgnąć pańskiego zdania w tym względzie — rzekł Henryk, zdejmując jedwabny plaster i ukazując mu nietknięty policzek.

— Na honor, powierzchność pańska zyskuje z każdą chwilą — ciągnął dalej dragon wciąż z niewzruszoną powagą — gdybym jeszcze mógł nakłonić pana, byś zmienił tę starą kapotę na ten piękny szafirowy surdut, który tu leży, sądzą, iż nie byłbym świad-

kiem przyjemniejszej metamorfozy, od czasu gdy z pomocnika przedzierzgnąłem się w kapitana.

Młody Wharton z wielkim spokojem uczynił, jak mu wskazano, i oczom dragona ukazał się wnet wyjątkowo piękny i wytwornie ubrany młodzieniec. Kawalerzysta popatrzył na niego przez chwilę z charakteryzującą go dotychczas żartobliwością i rzekł:

— Otóż mamy i nowego przybysza na scenie; jak panu wiadomo, przyjętem jest, by nieznanomi przedstawiali się sobie nawzajem. Jestem kapitan Lawton z kawalerji wirgińskiej.

— A ja, panie, jestem kapitanem Whartonem z sześćdziesiątego pułku piechoty jego królewskiej mości — rzekł Henryk, kłaniając się sztywno i odzyskując swe zwykle obejście.

Twarz Lawtona zmieniła się nagle, przybrana żartobliwość znikła bez śladu. Przez chwilę patrzył na kapitana Whartona, który stał przed nim z podniesioną dumnie głową, gardząc dalszem udawaniem, i wykrzyknął ze szczerem przejęciem:

— Kapitanie Wharton! żałuję cię z całego serca!

— O! — zawołał zrozpaczony ojciec — jeżeli pan go żałujesz, to zostaw go w spokoju. On nie jest szpiegiem. Jedynie chęć zobaczenia rodziny skłoniła go do przybycia tutaj w przebraniu. Ach! zostaw go pan, a niema takiej nagrody, takiej sumy, którejbyś z ochotą nie zapłacił.

— Panie — rzekł Lawton wyniośle — trwoża o syna usprawiedliwia pańskie słowa. Ale zapominasz pan, że jestem Wirgińczykiem i człowiekiem honorowym.

Poczem, zwracając się do młodzieńca, mówił dalej:

— Czy nie wiedziałeś pan, że nasze przednie straże znajdują się w tych stronach już od dni kilku?

— Dowiedziałem się o tem, gdy było już za późno cofać się — odparł Wharton ponuro. — Przybyłem tu, jak wspomniał mój ojciec, by odwiedzić rodzinę, rozu-

miejąc, że wasze oddziały znajdują się w Peekskill w pobliżu Highlandu, inaczej nie byłbym się zapuścił tak daleko.

— Wszystko to być może, ale sprawa Andrégo wzbudziła naszą czujność. Gdy zdrada sięga nawet rangi wyższych oficerów, kapitanie Wharton, przyjaciele swobody muszą się mieć na baczności.

Henryk skłonił się w milczeniu, lecz Sara odważyła się powiedzieć coś w obronie brata. Dragon wysłuchał ją grzecznie i z pewnem współczuciem, lecz pragnąc uniknąć daremnych i kłopotliwych próśb rzekł łagodnie:

— Nie jestem komendantem oddziału; major Dunwoodie postanowi o losie brata pani; w każdym razie może on liczyć na jak najlepsze obchodzenie się z nim z naszej strony.

— Dunwoodie! — wykrzyknęła Fanny, a róże zakwitły nagle na jej bledziutkiej twarzyczce. — Dzięki Bogu! w takim razie Henryk jest ocalony!

Lawton popatrzył na nią z mieszaniną litości i zachwyty, poczem wstrząsnawszy powątpiewająco głową, ciągnął dalej:

— Miejmy nadzieję i pozwól pani, że zostawimy tę sprawę jego uznaniu.

Fanny zarumieniła się ponownie. Obawa jej o brata zmniejszyła się znacznie, mimo to panienska zaczęła drzeć na całym ciele; oddech stał się krótki i urywany, a cała powierzchowność zdradzała niezwykle wzburzenie. Podniosła oczy na dragona, i spuściła je znowu; widocznem było, że chce coś powiedzieć i nie może. Panna Peyton, zauważywszy pomieszanie siostrzenicy, zbliżyła się z godnością i zapytała:

— Zatem, panie, możemy mieć nadzieję ujrzenia wkrótce majora Dunwoodie?

— Niezwłocznie, panie — odpowiedział dragon, który do tej chwili z zachwytem wpatrywał się w Fanny — wysłańcy są już w drodze z wiadomością o naszym położeniu; przyjedzie tu natychmiast, chyba

że jakieś osobiste względy wpłynęłyby na uniemożliwienie jego odwiedzin.

— Będzie nam zawsze bardzo przyjemnie powitać majora Dunwoodie.

— Och! nie wątpię. Jest on ogólnym ulubieńcem. Ale czy mogę prosić o pozwolenie dla moich ludzi, którzy tworzą część jego szwadronu, by mogli zsiąść z koni i pokrzepić się trochę?

Było coś w obejściu kawalerzysty, co sprawiło, że pan Wharton byłby mu łatwo wybaczył pominięcie tej prośby, zresztą biednemu ojcu chodziło tak bardzo o pozyskanie sobie względów kapitana Lawtona, że skwapliwie wydał stosowne rozporządzenia, zapraszając oficerów, by zechcieli pożywić się śniadaniem, co przyjęto ochotnie.

Zresztą przezorni partyzanci nie pominęli żadnego środka ostrożności, tak koniecznej w ich położeniu. Na dalekich wzgórzach widać było gęsto porozstawiane patrole, podczas gdy ich koledzy zażywali wśród niebezpieczeństw swobody, jaką rodzi wyłącznie karność i obojętność przyzwyczajenia.

Do stołu zasiadło tylko trzech oficerów, wszystko ludzie, którzy pod pozorami szorstkości, wywołanej gorliwą i męczącą służbą, zdradzali wykwintne obejście. To też to wtargnięcie w domowe zacisze Whartonów nosiło cechy jak najściślejszej przyzwoitości. Panie pozostawiły stół do wyłącznego użytku kawalerzystów, ci zaś bez zbytnich ceremonij jęli korzystać z gościnności pana Whartona.

Wreszcie kapitan Lawton zawiesił chwilowo gwałtowny szturm, jaki przypuszczał do ciastek gryczanych, aby zapytać pana domu, czy zna wędrownego kramarza nazwiskiem Birch, zamieszkującego czasowo w dolinie.

— W istocie czasowo — odpowiedział pan Wharton ostrożnie — bywa tu bardzo rzadko; mogę powiedzieć, że go prawie nie widuję.

— To dziwne — rzekł kawalerzysta, patrząc bystro na pomieszanego gospodarza — zważywszy, że jest najbliższym sąsiadem pana; a i dla pań byłoby to pożądanem. Jestem pewny, że ten muślin naprzykład kosztuje dwa razy tyle, niż on byłby zażądał.

Pan Wharton obejrzał się, coraz bardziej zmieszany, i zobaczył porozrzucane po sprzętach sprawunki.

Obaj niżsi oficerowie z trudem powstrzymali się od uśmiechu. Kapitan zaś zabrał się do śniadania tak żarliwie, jak gdyby to miał być jego ostatni w życiu posiłek. Okazała się też wnet potrzeba nowego transportu z zapasów kucharki Diny, i Lawton skorzystał z tej przerwy.

— Zamierzałem oduczyć tego pana Bircha jego nietowarzystości — rzekł — i odwiedzałem go dzisiaj. Gdybym go był zastał w domu, umieściłbym go tam, gdzie mógłby używać życia w licznym otoczeniu, przynajmniej na czas krótki.

— A to byłoby gdzie? — zapytał pan Wharton, czując, że musi coś powiedzieć.

— Na odwachu — odparł dragon sucho.

— Cóż zawinił biedny Birch? — zapytała panna Peyton, podając Lawtonowi czwartą wazkę kawy.

— Biedny! — zawołał kapitan. — Jeżeli on biedny to król Jerzy jest lichym płatnikiem.

— W istocie — wtrącił jeden z oficerów — jego królewska mość winna mu bodaj księstwo.

— A zjednoczeni szubienicę — ciągnął dalej kapitan, rzucając się na nową porcję ciastek.

— Bardzo mi przykro — rzekł pan Wharton — że ktoś z moich sąsiadów ściągnął na siebie niezadowolanie władz naszych.

— Niech on się tylko dostanie w moje ręce — zawołał dragon, smarując masłem rogałek — nauczę go, jak się tańczy, nie dotykając ziemi.

— Przyozdobiłby niezgorzej własne drzwi, zawisłszy na której z tych akacyj — dodał porucznik.

— Mniejsza z tem — rzekł kapitan. — Już ja się z nim rozprawię, zanim zostanę majorem.

Ponieważ rozmowa oficerów tchnęła szczerością doznanego zawodu, pan Wharton uznał za właściwe nie poruszać więcej tego drażliwego przedmiotu. Było to zresztą zupełną nowiną dla całej rodziny usłyszeć, że amerykańskie wojska podejrzewają i poszukują Harveya Bircha. Łatwość, z jaką wymykał się z ich rąk po każdym uwięzieniu i to w wypadkach otoczonych pewną tajemniczością, bywała przedmiotem częstych rozmów w okolicy.

Istotnie zawziętość kapitana przeciw kramarzowi miała swe źródło w niepojętem zniknięciu tego ostatniego z pod straży dwóch najwierniejszych dragonów.

Przed niespełna rokiem zauważono, iż Birch kręcił się w pobliżu głównej kwatery naczelnego wodza i to w czasie, kiedy oczekiwano lada chwila ważnych wypadków. Skoro tylko doniesiono o tem oficerowi, którego obowiązkiem było czuwać nad bezpieczeństwem amerykańskiego obozu, wyprawił on niezwłocznie kapitana Lawtona na poszukiwanie kramarza.

Niezmordowany kawalerzysta doskonale przytem obznajmiony ze wszystkimi drózkami i ścieżkami okolicznych wzgórz, z wielkim trudem i mozołem dopiął zamierzonego celu. Oddział zatrzymał się dla wypoczynku na jakimś folwarku, więźnia zamknięto w oddzielnej izbie pod strażą dwóch wyżej wspomnianych dragonów, przytem jakaś kobieta kręciła się wciąż, gospodarskimi czynnościami zajęta w pobliżu straży, i z niezwykłą gorliwością obsługiwała kapitana, znosząc mu różne smaczne kąski na kolację.

Następnie kobieta i kramarz zniknęli. Znalezione tylko toból, otwarty i prawie pusty, a drzwiczki, prowadzące do sąsiedniej izby były narozcież otwarte.

Kapitan Lawton nie mógł nigdy zapomnieć o tej zniewadze, wyrządzonej jego przenikliwości, i gorycz-upokorzenia dodawała podniety jego i tak zgęśla nieumiarkowanej nienawiści ku wrogom. Teraz też stanął

mu w pamięci figiel, jakiego mu wypłatał więzień, i kapitan siedział zachmurzony, z tem większą zawziętością unieczestwiając zawartość różnych półmisków i salaterek, aż odgłos trąbki rozległ się w dolinie, napełniając ją przenikliwemi dźwiękami wojskowej melodji. Kawalerzysta zerwał się natychmiast od stołu wołając:

— Żywo na koń, panowie, jedzie Dünwoodie!

I wybiegł z pokoju, a za nim obaj oficerowie.

Wyjawszy porozstawianych straży, wszyscy dragoni dosiedli wierzchowców i podążyli na spotkanie towarzyszy.

Przezorny dowódca nie zaniedbał żadnej ostrożności koniecznej w wojnie, w której podobieństwo języka, wyglądu i zwyczajów mogło na każdym kroku dać pole do fatalnych pomyłek i wymagało zdwojonej czujności. Podjechawszy jednak tak blisko, że można już było rozróżnić twarze jeźdźców tworzących dwa razy większy oddział niż dragoni Lawtona, kawalerzysta dał ostrogę swemu rumakowi i w jednej chwili znalazł się przy boku dowódcy.

Dziedzinec napełnił się znów wojskiem, a nowo przybyli, z zachowaniem poprzednich ostrożności, pośpieszyli wziąć udział w zastawionej dla ich towarzyszy uczcie.

ROZDZIAŁ VI.

..... „i niech zdobywcy przechwalają się odniesionemi na polu chwały zwycięstw; ten, który powabom piękności potrafi przeciwstawić niezłomność swej młodej, gorącej duszy, który czuje jej urok, a jednak nie poddaje się mu w niewolę, ten jest najmężniejszym, największym zwycięzcą ze wszystkich.“

Moore.

Panny Wharton i ich ciotka, stojąc przy oknie, z głębokiem zajęciem śledziły rozgrywającą się przed ich oczyma scenę.

Sara spoglądała na zbliżających się rodaków z uśmiechem pogardliwej obojętności, lekceważyła bowiem nawet powierzchowność ludzi służących niegodnej, według niej, sprawie buntu. Panna Peyton natomiast patrzyła na nich z dumą, były to bowiem wyborowe wojska jej rodzinnej kolonji, zaś wszystkie władze Fanny pochłaniała wyłącznie jedna myśl i jeden cel.

Oba oddziały nie zetknęły się jeszcze, gdy bystre oczki dziewczęcia spostrzegły jednego jeźdźca i wydało jej się, że nawet koń pod nim rozumiał, iż niesie nieprzeciętny ciężar, tak lekko kopyta jego dotykały ziemi i tyle było wdzięku i dumy w poruszeniach szlachetnego rumaka.

Młody dragon siedział na siodle ze śmiałością i swobodą znamionującą, że czuje się panem siebie i swego rumaka; wyniosła, kształtna i muskularna jego postać łączyła w sobie harmonijne rozmiary siły i sprę-

zystości. Temu to oficerowi zdał raport Lawton, gdy jechali obok siebie w stronę domu.

Serce Fanny biło gwałtownie, gdy kawalerzysta wstrzymał konia i obrzucił budynek oczyma, których blask widocznym był zdaleka; a gdy zeskoczył z siodła, dziewczeczka zbladła i zaczęła drżeć tak silnie na całym ciele, że na chwilę musiała osunąć się na krzesło.

Dowódca wydał parę szybkich rozkazów swemu podkomendnemu i przeszedłszy żwawym krokiem dziedziniec, zbliżał się do domu. Wówczas Fanny powstała i zniknęła z pokoju. Dragon zdążył zaledwie wejść na stopnie tarasu, gdy drzwi wchodowe otwarły się na jego przyjęcie.

Fanny była jeszcze tak młodziutką, opuszczając miasto, że to ochroniło ją od poświęcenia jej wrodzonych powabów na ołtarzu mody. Jej złociste włosy, niewytorturowane pracowitą fryzurą, spadały w naturalnych lokach, ocieniając twarzyczkę jaśniejącą urokiem zdrowia i młodości, oczy patrzyły wymownie, lecz usta milczały, ręce trzymała splecione przed sobą, a w jej wiotkiej, nieco ku przodowi pochylonej postaci było tyle nieopisanego wdzięku, że rozkochany w niej wojak stanął przez chwilę jak wryty.

Fanny wprowadziła go do pustego gabinetu, na prost jadalni, w której cała rodzina była zgromadzona, poczem obu dłońmi ujmując jego rękę, wykrzyknęła:

— Och! Dunwoodie, jakże szczęśliwą jestem z wielu względów, że cię widzę; przyprowadziłam cię tu z umysłu, aby cię przygotować do nieoczekiwanego spotkania z drogim ci przyjacielem.

— Bez względu na to, czemu to zawdzięczam — zawołał młodzieniec przyciskając do ust jej ręce — ja również jestem szczęśliwy, że mogę ujrzeć się z tobą sam na sam, ukochana moja. O! Fanny, okrutną jest ta próba, na jaką mnie wystawiłaś; wojna i przestrzeń mogą wkrótce rozdzielić nas na zawsze.

— Musimy poddać się rządzącej nami konieczności. Ale nie wyznań miłosnych chcę służyć teraz; o ważniejszych rzeczach mam z tobą do pomówienia.

— Cóż może być ważniejszego ponad nierozwalny węzeł, któryby nas połączył na zawsze! Fanny chłodną jest dla mnie, dla mnie, który wśród dziennych trudów i nocnych popłochów ani na jedną chwilę nie straciłem z myśli twego lubego obrazu.

— Drogą Dunwoodie! — rzekła Fanny, wzruszona prawie do łez, wyciągając do niego rękę, podczas gdy twarzyczka jej odzyskiwała stopniowo zwykły różany koloryt — znasz moje uczucia; po skończeniu wojny ta ręka jest twoją na zawsze, ale nie mogę przystać na ściślejszy związek pomiędzy nami, dopóki walczysz przeciwko memu jedynemu bratu. W tej chwili nawet brat ten czeka twego postanowienia, abyś powrócił mu wolność lub poprowadził na niechybną śmierć.

— Twój brat! — wykrzyknął Dunwoodie, blednąc — twój brat! wytłumacz się; jakież straszliwe znaczenie kryją twoje słowa?

— Czyż kapitan Lawton nie powiedział ci, że zaarrestował dziś Henryka? — rzekła Fanny ledwo dosłyszalnym głosem, utkwivszy w ukochanym wzrok pełen najgłębszego bólu.

— Powiedział mi tylko o zaarrestowaniu przebranego kapitana 60-go pułku, nie mówiąc gdzie i kogo — odpowiedział major takimże samym tonem i zasłoniwszy twarz rękoma, starał się ukryć miotające nim uczucia przed wzrokiem ukochanej.

— Dunwoodie! Dunwoodie! — wykrzyknęła Fanny, czując że dotychczasowa ufność opuszcza ją, ustępująca miejsca najstraszliwszej obawie. — Co znaczy twoje wzruszenie?

A gdy major podniósł z wolna twarz, na której wypiętnowała się głęboka boleść, ciągnęła dalej:

— Przecież nie wydasz twego przyjaciela — mego brata — twego brata — na haniebną śmierć!

— O! Frances! — wykrzyknął młodzieniec z rozpaczą — cóż ja mam uczynić?!

— Uczynić! — powtórzyła, patrząc na niego błędnymi oczyma. — Czyżby major Dunwoodie wydał w ręce wrogów swego przyjaciela — brata swej przyszłej żony!

— Och! nie mów do mnie tak srogo, Fanny najdroższa! gotów jestem każdej chwili umrzeć za ciebie — za Henryka, ale nie mogę zapomnieć o mojej powinności, nie mogę splamić swego honoru. Ty pierwsza pogardziłaś mną!

— Peytonie Dunwoodie! — rzekła Frances uroczyście, z twarzą śmiertelnie bladą — wszak mówiłeś mi — przysięgałeś, że mnie kochasz...

— I kocham — przerwał młodzieniec z zapałem, lecz ona, ruchem ręki nakazawszy mu milczenie, ciągnęła dalej drżącym głosem:

— Czy sądzisz, że mogłabym rzucić się w objęcia człowieka, którego ręce splamiłaby krew mego brata?

— Frances, rozdierasz mi serce! — wykrzyknął major.

Pomilczał chwilę, sam ze sobą walcząc, poczem zmuszając się do uśmiechu, rzekł:

— Zresztą, kto wie, czy nie dręczymy się próżnymi obawami. Może po zbadaniu sprawy Henryk okaże się poprostu jeńcem wojennym, a wtedy mogę wypuścić go na słowo.

Niema nic bardziej łudzącego niż nadzieja, a karmienie się jej obietnicami jest szczęśliwym przywilejem młodości. Gdy sami zasługujemy na zaufanie, wówczas najmniej podejrzewamy drugich i wierzymy chętnie, że jest tak, jak nam się zdaje, że być powinno.

To też nieokreślone przypuszczenia majora udzieliły się błyskawicznie zrozpaczonej siostrze i z powracającym na lica rumieńcem wykrzyknęła:

— O! co do tego nie może być żadnych wątpliwości! Wiedziałam... wiedziałam, Dunwoodie, że nie opuścisz nas w potrzebie.

I wyczerpana doznanemi wzruszeniami biedna dziewczeczka wybuchnęła płaczem.

Pocieszanie ukochanych jest jednym z najśłod-
szych przywilejów miłości; więc też major Dunwoodie,
choć sam niezbyt wielką czerpiąc otuchę ze swego
przyopuszczenia, nie mógł odbierać jej temu uroczemu
dziewczęciu, które lkało, tuląc się do jego piersi, od-
zyskawszy wiarę w ocalenie brata i opiekę ukocha-
nego człowieka.

Uspokoiwszy się trochę Fanny pośpieszyła do ja-
dalni, by udzielić rodzinie tej pożądanej nowiny, którą
już uważała za pewnik.

Dunwoodie szedł za nią niechętnie, z sercem ści-
śniętem niedobremi przeczuciami i zbierając siły, by
mężnie stawić czoło czekającej go próbie.

Powitanie obu młodzieńców było bardzo serdeczne
i szczerze, a ze strony Henryka Whartona tak spokojne,
jak gdyby nic nie zaszło, coby mu ten spokój zamącić
mogło.

Natomiast cała ohyda tego mimowolnego współ-
udziału w uwięzieniu przyjaciela, grożące mu niebez-
pieczeństwo i poprzednia rozmowa z Fanny, wszystko
to wstrząsnęło majorem Dunwoodie do głębi i pomimo
wszelkich wysiłków, jakie czynił, przebijają się w jego
obejściu. Reszta rodziny powitała go również serdecz-
nie i szczerze, zarówno przez pamięć dawnych sto-
sunków i uprzednich zobowiązań, jak w przewidywa-
niu nowych powodów do wdzięczności, co łatwo im
przyszło wyczytać w wymownych oczach towarzyszą-
cej mu dziewczeczki.

Po skończonych powitaniach major kazał wyjść
z pokoju dragonowi, którego przezorny Lawton po-
stawił przy drzwiach na straży, i zwracając się do wię-
źnia, zapytał łagodnie.

— Opowiedz mi, Henryku, powody tego przebra-
nia, w jakim znalazł cię kapitan Lawton, i pamiętaj —
pamiętaj — kapitanie Wharton, że odpowiedzi twoje
są całkowicie dobrowolne.

— Użyłem przebrania, majorze Dunwoodie — odpowiedział oficer z powagą — by móc odwiedzić rodzinę bez narażenia się na niebezpieczeństwo zostania więźniem wojennym.

— Ale przebrałeś się dopiero wtedy, gdyś zobaczył zbliżający się oddział Lawtona?

— O! tak — przerwała Fanny z żywością, zapominając o wszystkim co zdarzyło się przedtem w swej wielkiej trwodze o brata — Sara i ja przebrałyśmy go same, za ukazaniem się dragonów i nasza niezręczność zdradziła go.

Twarz Dunwoodie'go rozpromieniła się, gdy spoglądając tkliwie na mówiącą, słuchał jej wyjaśnień.

— Zapewne we własne suknie? — zapytał — w coś co było narazie pod ręką.

— Nie — rzekł Wharton z godnością — miałem na sobie to przebranie, wyszedłszy z miasta; dostarczono mi go w tym celu, i dziś jeszcze miałem go znów użyć zpowrotem.

Przerażona Fanny, stojąca dotąd pomiędzy bratem a narzeczonym, cofnęła się, zrozumiałszy całą prawdę, i bezsilnie opadła na krzesło, patrząc błędnym wzrokiem na obu młodzieńców.

— A pikiety nasze... a oddziały w Równiach — rzekł Dunwoodie, blednąc.

— Przeszedłem koło nich w przebraniu. Pokazałem im ten pasport który kupiłem, a ponieważ nosi on podpis Washingtona, więc przypuszczam, że musi być podrobiony.

Dunwoodie chwycił żywo papier, jaki mu Wharton podawał, i czas jakiś spoglądał na podpis w milczeniu, wreszcie żołnierz wziął w nim górę nad człowiekiem, zwrócił się do więźnia i badawczo patrząc na niego, zapytał:

— Kapitanie Wharton, skąd dostałeś ten papier?

— Jest to pytanie, którego, jak mniemam, major Dunwoodie nie ma prawa mi zadawać.

— Przepraszam, w istocie uczucia moje uniosły mnie za daleko.

Pan Wharton, przysłuchujący się dotąd z nateżeniem rozmowie obu młodzieńców, zdobył się na odwagę i rzekł:

— Oczywiście, majorze Dunwoodie, papier ten nie może być prawdziwym; takie podrobienia praktykują się codziennie podczas wojny.

— Podpis nie jest podrobiony — rzekł dragon cichym głosem, wciąż pilno wpatrując się w trzymany w rękę dokument. — Czyżby zdrada kryła się bezpiecznie pośród nas? Ktoś nadużył zaufania Washingtona, gdyż zmyślone nazwisko wypisane jest odmiennym charakterem niż cały pasport. Kapitanie Wharton, mój obowiązek nie pozwala zwolnić cię na słowo, musisz towarzyszyć mi w góry.

— Byłem na to przygotowany, majorze Dunwoodie!

Dunwoodie zwrócił się zwolna ku siostrom i wzrok jego spoczął ponownie na postaci Fanny. Dzieweczka podniosła się z krzesła i stała przed nimi ze złożonymi błagalnie rękoma. Nieszczęsny młodzieniec, nie mogąc panować dłużej nad wstrząsającymi nim uczuciami, wyszedł śpiesznie z pokoju, lecz ona podążyła za nim i oczyma wskazała mu drzwi pokoju, w którym poprzednio rozmawiali. Nie pozostało mu nic innego jak wejść.

— Majorze Dunwoodie — rzekła Fanny zaledwie dostłyszalnym głosem, dając mu znak aby usiadł.

Przez chwilę nie mogła dodać nic więcej, lecz opanowawszy się ciągnęła* dalej:

— Znane ci są moje uczucia dla ciebie; nawet w tej chwili, gdy tak dotkliwie ranisz serce moje, nie chcę ich kryć przed tobą. Wierzaj mi, Henryk zgrzeszył jedynie nierozwagą. Naszemu krajowi nie stanie się stąd żadna szkoda.

Umilkła znowu i siedziała tak chwilę jakąś, blednąc i rumieniąc się naprzemiany, wreszcie fale kar-

minu załazy jej twarzyczkę, i rozchyłonymi ustami kilkakrotnie zacerpnęła oddechu i rzekła śpiesznie i cicho:

— Przynależę, Dunwoodie, zostać twoją żoną po skończeniu wojny; wróc memu bratu wolność na słowo, a dziś jeszcze pójdę z tobą do ołtarza i towarzyszyć ci będę do obozu, a zostawszy żoną żołnierza, nauczę się znosić trudy żołnierskiego życia.

Dunwoodie chwycił drobną rączkę, którą w zapale wyciągała ku niemu, przycisnął ją sobie do piersi, poczem wstawszy, zaczął chodzić po pokoju z oznakami najwyższego wzburzenia.

— Frances! zaklinam cię, przestań, bo serce mi pęknie!

— Więc odrzucasz moją rękę? — rzekła wstając z godnością, choć jej blade lica i drżące usta świadczyły wymownie o miotających nią sprzecznych uczuciach.

— Czy ja ją odrzucam? — Alboż nie błagałem o nią gorąco — ze łzami! Alboż nie była ona celem wszystkich moich ziemskich pragnień! Ale przyjąć ją pod takimi warunkami byłoby hańbą dla nas obojga. Nie traćmy nadziei, Fanny moja, Henryk musi być uniewinniony; może go nawet wcale sądzić nie będą. Bądź pewną, że nie omieszkam wstawić się za nim jak najzarliwiej, a wierzaj mi, droga, że szczycę się względami Washingtona.

— Ależ ten papier właśnie, to nadużycie zaufania Washingtona, o jakim wspominałeś, usposobi go wrogo względem mego brata. Czyż major André poniósłby śmierć, gdyby groźby lub błagańia zdolne były zmiekczyć żelazne poczucie sprawiedliwości tego człowieka?

I Frances powiedziałszy to wybiegła zrozpaczona z pokoju.

Dunwoodie stał chwilę jak oszołomiony, poczem wyszedł, chcąc iść za nią usprawiedliwić się, ukoić jej obawy. W sieni, dzielącej oba pokoje, przystąpił do niego jakiś chłopak w łachmanach, który popatrzwszy

na jego mundur, wcisnął mu do ręki kartkę i wybiegł natychmiast frontowymi drzwiami. Stało się to tak szybko, a major tak był przejęty rozmową z Fanny, że zaledwie zdążył zauważyć, że posłańcem był wiejski, lichy odziany chłopczyzna i że trzymał w ręku jakąś zabawkę, jedną z tych, jakie się sprzedaje na miejskich straganach, której przyglądał się z lubością, zapewne jako świeżo otrzymanej zapłaty za odniesienie kartki. Major spojrzął na trzymany w ręku świstek. Na kawałku brudnego, pomiętego papieru, skreślone były, a raczej nabazgrane ledwo czytelne następujące słowa:

„Regularni w pobliżu, jazda i piechota“).

Dunwoodie drgnął i zapominając o wszystkim innym poza służbą, szybko wybiegł z domu. Idąc śpiesz-

1) W kilka lat potem umarł w Bedford, West-Chester ziemianin nazwiskiem Elizeusz H. Człowiek ten był jednym z najzaufañszych szpiegów Washingtona. Na mocy zawartego pomiędzy nimi układu H — nie porozumiewał się nigdy z osobami trzecimi, ze względu na ogromne niebezpieczeństwo jego położenia. Pozwolono mu również wejść w służbę sir Henryka Clintona, a Washington pokładał takie zaufanie w jego miłości kraju i dyskrecji, że często powiadał go o mniej ważnych wojennych krokach, by donosząc o nich angielskiemu generałowi, zyskiwał sobie tem większe jego zaufanie. W taki sposób H. służył czas długi, gdy przypadkiem znalazł się w mieście (zajętym wówczas przez Anglików) w chwili, gdy szykowała się tam wycieczka przeciw małemu oddziałowi konsystującemu w Bedford, rodzinnej wiosce H —, gdzie Amerykanie mieli skład zapasów żywności. H. z łatwością dowiedział się o sile i przeznaczeniu owej wycieczki, ale nie miał pojęcia, w jaki sposób donieść o tem oficerowi dowodzącemu oddziałem, nie zdradzając swego istotnego charakteru osobie trzeciej. Nie było już czasu porozumieć się z Washingtonem; postanowił więc ostatecznie posłać kartkę amerykańskiemu dowódcy z doniesieniem o grożącym niebezpieczeństwie i z oznaczeniem czasu, w jakim można się było spodziewać napadu. Kartkę tę opatrzył nawet inicjałami E. H.; zmieniwszy charakter pisma, a to w tem mniemaniu, że ponieważ podejrzywano go w okolicy, o czem wiedział, podpis ten mógł nadać większego znaczenia przestrodze. Ponieważ rodzina jego mieszkała w Bedford,

nie ku żołnierzom, zauważył na dalekiem wzgórzu, pędzącą co koń wyskoczy widetę. Dało się słyszeć kilka wystrzałów, i w chwilę potem trąbki zagrały na dziarską nutę: „Do broni!” Zanim dobiegł biwakującego szwadronu, wszyscy byli już na nogach. Lawton siedział już na koniu, i patrząc na przeciwległy koniec doliny z niecierpliwem oczekiwaniem, wołał na muzykantów, usiłując ich przekrzyczyć:

— Głośniej, chłopcy! niech ci Anglicy wiedzą, że jazda Wirginji jest pomiędzy nimi a celem ich wyprawy.

Tymczasem nadbiegły pędem widety i patrole; każdy z jakimś pośpiesznym raportem do komendanta; ten zaś wydał odpowiednie rozkazy szybko i z zimną krwią, co jest najlepszą rękojmią posłuszeństwa pod-

kartka z łatwością i w porę doszła na miejsce, zaś H. sam pozostał w New-Yorku.

Amerykański komendant uczynił to, co w podobnym wypadku byłby uczynił każdy rozsądny oficer. Posłał Washingtonowi kartkę z prośbą o rozkazy; sam zaś przedsięwziął wszelkie środki obrony, jakie były w jego mocy. Główna kwatery amerykańskiej armji znajdowała się podówczas w górach.

Na szczęście posłaniec spotkał Washingtona w drodze i doręczył mu kartkę; on zaś przeczytał ją, siedząc na koniu i dopisał ołówkiem: „Wierzyć wszystkim doniesieniom” E. H. Jerzy Washington”. Późem kazał kurjerowi pędzić zpowrotem co koń wyskoczy.

Kurjer przybył do Bedford już po ataku Anglików. Komendant przeczytał kartkę i włożył ją do kieszeni. Amerykanie ponieśli porażkę, a dowódca ich został zabity. Kartkę H— z dopiskiem Washingtona znaleziono na zwłokach.

Następnego dnia sir Henryk Clinton zawezwał do siebie H—. Zadawszy mu kilka ogólnikowych pytań, pokazał mu nagle kartkę, pytając czy zna to pismo, i kto to jest taki ów E. H. „To Eljasz Hadden szpieg powieszony wczoraj w Powles Hook”. Ta bezzwłoczna odpowiedź w połączeniu z tą okolicznością, że istotnie poprzedniego dnia powieszono szpiega noszącego te same inicjały, a nadewszystko zimna krew H— ocaliły go

Sir Henryk pozwolił mu odejść spokojnie, i od tej pory nigdy go już więcej nie oglądał.

władnych. Raz tylko, skręcając konia, by wyjechać z dziedzińca, Dunwoodie pozwolił sobie rzucić okiem na dom, i serce zabiło mu gwałtownie, gdy ujrzał postać kobiecą z załamanemi rękoma, stojącą w oknie pokoju, w którym rozmawiał z Fanny. Odległość nie pozwalała mu rozróżnić jej rysów, ale major nie wątpił ani na chwilę, że to była ona. Pobladł, i oczy zasnuły mu się mgłą, ale trwało to chwilę.

Gdy jechał ku domniemanemu polu walki, smagłe jego lica powlókł rumieniec zapału, a jego dragoni, wpatrzeni w twarz swego dowódcy jako w najlepszą wskazówkę ich własnego losu, dostrzegli w jego ciemnych oczach ten sam blask męstwa i ożywienia, jaki zwykli byli tak często widywać w nich przed bitwą. Z dodatkiem pikiet i podjazdów, które połączyły się teraz, oddział cały wynosił około dwustu koni. Była tam również garść ludzi, pełniących zazwyczaj obowiązki przewodników, ale którzy w nagłych razach brali udział w walkach, ci byli spieszeni i z polecenia Dunwoodie'go rozbierali płoty mogące stawać na przeszkodzie zamierzonej akcji kawalerji. Ogólne zaniedbanie gospodarstwa, jakie spowodowała wojna, ułatwiało tę czynność. Owe długie szeregi grubych i trwałych parkanów, przerzynające obecnie kraj we wszystkich kierunkach, nie istniały przed czterdziestu laty. Cienkie i krzywe kamienne ogrodzenia bywały budowane naprędce i wymagały ciągłego starania gospodarza gwoli zabezpieczenia ich od burz i mrozów. Posiadłość pana Whartona wyróżniała się pod tym względem, ale inne parkany w dolinie poniżej były kupą gruzów, ponad któremi konie Wirgińczyków przelatywały jak wicher. Tu i owdzie widać było krótką linię ocalałego muru, ale ponieważ wyjątki te znajdowały się poza polem, na którym Dunwoodie zamierzał stawić czoło nieprzyjacielowi, pozostawało więc rozrzuścić kilka lżejszych płotów, co gdy pośpiesznie lecz skutecznie dokonano, przewodnicy cofnęli się na wyznaczone im podczas zbliżającej się bitwy stanowiska.

Wiadomości, jakie Dunwoodie otrzymał od swoich wywiadowców, dozwoliły mu poczynić stosowne przygotowania. Dno doliny, spadając z lekkim nachyleniem z obu stron wzgórzy, tworzyło pośrodku równinę porośniętą trawą i wijącą się wskroś okolicy po obu brzegach niewielkiego strumyka, który ją często zalewał i użyźniał. Potok ten naogół łatwym był do przebycia w bród w całym swym biegu, a jedyna zapora, jaką mógł stawić ruchom kawalerji, znajdowała się w miejscu, gdzie zmieniał łożysko, skręcając z zachodu na wschód doliny, i gdzie brzegi jego były bardziej spadziste i mniej dostępne. Tutaj też przerzucony był drewniany most z głównego gościńca, a drugi podobny znajdował się o pół mili dalej ponad Akacją.

Wschodnie wzgórze doliny były strome i miejscami wrzynały się w nią skalnymi zrębami, zwiężając znacznie jej szerokość. Jeden z takich zrębów osłaniał w pewnej odległości tyły szwadronu, i Dunwoodie polecił kapitanowi Lawtonowi stanąć tam w odwodzie z częścią wojska. Oficer spełnił rozkaz dość niechętnie, pocieszał się jednak myślą o wrażeniu, jakie jego nagłe ukazanie się sprawi na nieprzyjacielu. Dunwoodie znał swoich ludzi i wyznaczył to stanowisko kapitanowi dlatego, iż obawiał się jego zbytnej krewkości w początkowej akcji, a wiedział, że na pomoc jego w stosownej chwili zawsze może liczyć. Kapitan bowiem na widok nieprzyjaciela stawał się nieobliczalnym, w każdej innej chwili odznaczał się wyjątkową roztropnością i zimną krwią.

Z lewej strony pola, na którem Dunwoodie zamierzał spotkać przeciwnika, rósł gęsty las i ciągnął się na przestrzeni mili. Do tego lasu weszli przewodnicy i rozstawili się wzdłuż jego skraju w taki sposób, aby zrzadka lecz skutecznie razić ogniem nadciągające nieprzyjacielskie kolumny.

Nie można przypuścić, aby wszystkie te przygotowania uszły niepostrzeżenie dla oczu mieszkańców Akacji; przeciwnie, wszystkie uczucia, jakie mogą mio-

tać ludzką piersią, na podobny widok drgały w nich, podniecone do najwyższego stopnia. Jeden pan Wharton nie spodziewał się niczego po tem czy innym zakończeniu walki. Jeżeli Anglicy zwyciężą, syn jego odzyska wolność, ale jakimże wówczas będzie jego los własny? Dotychczas wśród całego tego zamętu pozostawał on neutralnym. Okoliczność, że syn jego służył w królewskim, czyli jak je inaczej nazywano, regularnem wojsku, omal nie stała się przyczyną skonfliktowania jego dóbr, uratowały go od tego jedynie wpływy krewnych i jego własna czujna roztropność. W duszy był on zagorzałym rojalistą i gdy na wiosnę po powrocie z amerykańskiego obozu Fanny uwiadomiła go o oświadczeniach majora Dunwoodie, zgodził się na ten związek z buntownikiem, zarówno przez wzgląd na wzrastającą konieczność republikańskiego poparcia, jak z uwagi na szczęście córki. Gdyby syn jego ocalał teraz, opinja ogółu pomawiałaby go o udział w spisku przeciw wolności Stanów, a gdyby pozostał więźniem i gdyby go stawiono przed sądem, skutki mogłyby być o wiele jeszcze straszniejsze.

Pan Wharton cenił swe mienie, ale bardzo kochał dzieci; siedział teraz, śledząc oczyma rozgrywającą się nazewnątrz scenę, z jakimś tępym wyrazem twarzy zdradzającym bezbarwność jego charakteru.

Zgoła odmienne były uczucia jego syna. Pozostawiono kapitana Whartona pod strażą dwóch dragonów, z których jeden przechadzał się odmierzonym krokiem po tarasie, a drugi stał przy drzwiach pokoju, w którym znajdował się więzień. Młodzieniec spoglądał na przygotowania Dunwoodie'go z zachwytem, połączonym z trwożnem przywidywaniem ich skutków dla swojej rodziny. Zwłaszcza nie podobała mu się zasadzka oddziału pod wodzą Lawtona, którego było widać doskonale z okien domu, jak nie mogąc z niecierpliwości usiedzieć na koniu, chodził tam i napowrót przed swymi ludźmi. Henryk Wharton rozejrzał się szybko i pytająco dokoła, przemyслиwając, czy nie

udałoby mu się uciec w jaki sposób, ale oczy wartownika szły za nim wszędzie z czujnością Argusa. Młody oficer z całym zapałem młodości pragnął wziąć udział w gotującej się rozprawie, a tymczasem musiał pozostać bezczynnym i rozgoryczonym widzem. Panna Peyton i Sara spoglądały na przygotowania, miotane różnemi uczuciami, w których główną rolę grała troska o los kapitana Whartona, lecz gdy chwila rozlewu krwi nadeszła, z właściwą ich płci trwożliwością schroniły się w głąb domu. Fanny, przeciwnie, wróciła do pokoju, w którym rozmawiała z Dunwoodie'm, i stojąc przy oknie z zapartym oddechem, rozgorączkowanemi oczyma śledziła będące w toku przygotowania. Właściwie patrzyła tylko w jeden punkt, tam gdzie znajdował się jej ukochany, a zachwyty i trwoga miotaly nią naprzemiany. W pewnej chwili wszystka krew zbiegła jej do serca, gdy ujrzała młodego wojaka przejeżdżającego wśród szeregów i dodającego zapału i męstwa żołnierzom; lecz wnet biedaczka ścierpła na myśl, że ta właśnie dzielność i odwaga, którą w nim tak bardzo ceniła, może otworzyć grób pomiędzy nią a tym umiłowanym człowiekiem. I zamknęła oczy, nie mogąc patrzeć dłużej.

Na lewo od domu, w niewielkiej odległości od tyłów oddziału krzątała się mała garstka ludzi, zajętych jakimis zgoła odmiennymi przygotowaniami. Było ich trzech, dwóch mężczyzn i mały mulacik. Jeden z tych mężczyzn był tak chudy, że wskutek tego wydawał się jeszcze wyższym, niż był w istocie. Był bez broni, spieszony, w okularach i uwagę swą dzielił pomiędzy cygarem, książką i rozgrywającemi się na polu wypadkami. Temu człowiekowi Fanny postanowiła posłać kartkę przeznaczoną dla Dunwoodie'go. Nie zwlekając napisała ołówkiem: „Przyjdź do mnie, Peytonie, choćby na chwilkę” i wyprawiła z nią Cezara, który wymknął się ostrożnie tylnem wyjściem przez kuchnię umieszczoną w suterrenach, bacząc, by go chodzący po tarasie dragon nie dostrzegł, ten bowiem zapowiedział

wręcz, by nikt nie ważył się wychodzić z domu. Murzyn doręczył kartkę chudemu mężczyźnie, którym był chirurg wojskowy, i zęby Cezara szczękały ze strachu, gdy prosił o przesłanie jej majorowi i patrzył na porozkładane na ziemi narzędzia, mające służyć do przewidywanych operacyj. Doktor natomiast spoglądał na nie z wielkiem zadowoleniem, a wskazawszy chłopcu, by doręczył kartkę dowódcy, krzątał się w dalszym ciągu około swych zajęć. Cezar powracał zwolna ku domowi, gdy tamten drugi, wyglądający na pomocnika chirurga, zapytał chłodno murzyna, „czy chce, aby mu nogę ucięto?” To pytanie przypomniało Cezarowi istnienie tych użytecznych członków, i wprawił je w ruch tak szybko, że dopadł tarasu w tej samej chwili, kiedy major Dunwoodie podjeżdżał kłusem przed dom. Szydłwach wyprostował się i sprezentował broń przechodzącemu dowódcy, lecz gdy tylko drzwi zamknęły się za nim, zwrócił się do Cezara i rzekł ostro:

— Słuchaj ty, murzyńska mordo, wyjdź mi tylko jeszcze raz z domu bez mojej wiedzy, a zgolę ci to czarne ucho tą tu brzytwą.

Biedny Cezar, zagrożony utratą drugiego członka, zemknął co tchu do kuchni, mrużąc coś pod nosem o „skinnerze i przeklętym buntowniku”.

— Majorze Dunwoodie — rzekła Frances do wchodzącego oficera — byłam może niesprawiedliwą, jeżeli wyrządziłam panu przykrość...

Tu wzruszenie wzięło nad nią górę i wybuchnęła płaczem.

— Fanny! — zawołał młody oficer z zapalem — nie jesteś nigdy niesprawiedliwą, nigdy przykrą, chyba wtedy, kiedy wątpisz o mojej miłości.

— Ach! Dunwoodie! — rzekła łkając — za chwilę narażać będziesz życie w bitwie; pamiętaj, że jest serce, którego szczęście polega na twem bezpieczeństwie; wiem, że jesteś odważny, bądź rozważnym...

— Dla ciebie? — zapytał uszczęśliwiony młodzieniec.

— Dla mnie — odpowiedziała ledwo dosłyszalnym głosem, osuwając się w jego objęcia.

Dunwoodie przytulił ją do serca i chciał coś powiedzieć, gdy odgłos trąbki dał się słyszeć na południowym końcu doliny. Wycisnąwszy pocałunek na niebroniących się ustach dziewczyny, wojak wydarł się z jej objęć i pośpieszył na pole walki.

Fanny rzuciła się na sofę, kryjąc głowę w jej poduszkach, i z twarzą wtuloną w fałdy szala, by stłumić dochodzące z zewnątrz odgłosy, pozostała tak, aż tętent koni i wystrzały umilkły.

ROZDZIAŁ VII.

— — — „masz cel przed sobą,
idź za głosem ducha.“

S z e k s p i r.

Zdziczała i nierówna powierzchnia kraju, w połączeniu z wielkim oddaleniem od własnej ojczyzny i łatwością szybkiego przenoszenia się w różne punkty wojny, jaką przedstawiał ocean, wszystko to sprawiło, iż Anglicy w początkowych działaniach przeciw zbuntowanym kolonjom nie posługiwali się ciężką kawalerją.

Podczas całej wojny wyprawiono jeden tylko pułk konnicy z Wielkiej Brytanji. Lecz legjony i niezależne oddziały tworzyły się w miejscowościach najlepiej odpowiadających planom królewskich dowódców, lub stosownie do wymagań. Często składały się one z ludzi zwerbowanych w samych kolonjach lub z linjowych pułków, i żołnierz odkładał muszkiet i bałnet, i uczył się władać pałaszem i karabinem. Metodę tę zastosowano do jednego z posiłkowych pułków i hescy jeźdźcy przekształcili się w oddział ciężkiej i beczynnej konnicy.

Mieli oni przeciwko sobie najdzielniejszych synów Ameryki. Obywatele z południa dowodzili i służyli jako oficerowie w kawalerji lądowej armji. Nieustraszona odwaga dowódców udzielała się ludziom cywilnym, których wybierano z wielką oględnością do tych usług.

Podczas gdy Anglicy zamknęli się w paru większych zdobytych przez siebie miastach, lub maszero-

wali przez okolice całkowicie ogołoczone z wszelkich zapasów żywności, lekkie oddziały ich wrogów rozporządzały całym wnętrzem kraju.

Trudy, jakie ponosiła amerykańska armja, były wprost bezprzykładne, mając wszelako władzę i czując ważność sprawy, usprawiedliwiającą wszelkie środki surowości, oficerowie kawalerji dbali o zaspokojenie potrzeb swych żołnierzy i ich koni; więc też sprawność tych oddziałów, dobrze żywionych i doskonale uzbrojonych, nie miała wprost równej sobie w całym świecie.

Ludzie Dunwoodie'go niejednokrotnie już składali dowody swego męstwa w utarczkach z nieprzyjacielem, i teraz też dyszeli chęcią nowego z nim spotkania. Życzenia ich spełniły się wprędce, gdyż zaledwie dowódca ich zdążył znów dosiąść konia, oddział nieprzyjacielski wynurzył się z poza wzgórza, zasłaniającego widok na południe. Jeden rzut oka wystarczył majorowi, by rozpoznać, jakie to było wojsko. W jednym oddziale zobaczył zielone mundury cow-boyów, w drugim skórzane hełmy i drewniane siodła jęgrów. Liczba ich dorównywała mniej więcej sile szwadrona, zostającego pod jego rozkazami.

Wydostawszy się na otwartą przestrzeń w pobliżu domku Harveya Bircha, nieprzyjaciel przystanął i sformował szeregi, widocznie gotując się do ataku. W tej samej chwili ukazał się w dolinie oddział piechoty i podążał ku brzegowi już wspomnianego strumienia.

Major Dunwoodie łączył zimną krew i roztropność z zuchwałą niemal odwagą. W obecnej chwili poznał natychmiast wyższość swego położenia i postanowił z niej skorzystać. Kolumna, którą dowodził, zaczęła zwolna wycofywać się z pola, podczas gdy młodzieńki niemiecki oficer, dowodzący nieprzyjacielską konnicą, w obawie utraty łatwego zwycięstwa dał znak do ataku. Rzadko które wojsko odznaczało się takim zuchwalstwem jak cow-boye; poskoczyli też żwawo naprzód, zachęceni cofaniem się nieprzyjaciela i ufni

w osłaniającą ich tyły kolumnę; jeźrzy postępowali wolniej, ale w lepszym szyku. Trąbki Wirgińczyków zagrały teraz przeciągle a rażno; odpowiedziały im dźwięki z ukrytego za skałą oddziału, co oczywiście stropiło niepoślednio następujących. Kolumna Dunwoodie'go, zawróciwszy w doskonałym ordynku, rozwarła się, i za danym znakiem oddział Lawtona wypadł z kryjówki z dowódcą na czele, który wymachując szablą nad głową, leciał jak szalony, a głos jego brzmiał donośnie pomimo ogłuszającego klangoru wojskowej muzyki.

Cow-boye nie wytrzymali ataku i rozbiegli się na wszystkie strony, a zmykali z szybkością, na jaką tylko stać było ich rumaki wybrane z pomiędzy najlepszych koni West-Chesteru. Kilku tylko odniosło rany, ale żaden z tych, których dosięgła mściwa dłoń rodaków, nie przeżył ciosu, by mógł powiedzieć, czyja ręka go zadała. Furja ataku spadła na biednych służalców niemieckiego tyrana. Wdrożeni do najściślejszej dyscypliny, nieszczęśni ci żołnierze mężnie przyjęli szarżę, ale gwałtowny napór koni i szable przeciwników zmiotły ich w mgnieniu oka, tak że Dunwoodie ujrzał wnet przed sobą puste pole. Bliskość piechoty wstrzymała jednakże pościg, a garstka ocalałych jeźrów szukała schronienia za jej kolumnami.

Przebieglejsi cow-boye rozbiegli się małemi partjami w różnych kierunkach, dążąc do swego dawnego obozowiska nawprost Harlemu. Cała okolica ucierpiała na tej ucieczce, bo cow-boye w rozsypce byli stokroć gorsj niż w szeregach, każdy bowiem rabował i mordował na własną rękę.

Mieszkańcy Akacji nie pozostali oczywiście obojętnymi widzami tej sceny. Wszystkie serca były przyspieszonym tętnem, od kuchni do saloniku. Kobiety, choć skryły się w głąb domu, myślą brały udział w potyczce; Fanny zwłaszcza, leżąc wciąż na sofie z twarzą wtuloną w poduszki, zanosila gorące modły do Boga za swymi rodakami, nawet nie zdając sobie

sprawy z tego, że naród cały ześrodkował się dla niej w osobie Peytona Dunwoodie. Ciotka jej i siostra mniej były wyłączone w zanoszonych do Stwórcy błaganiach, a Sara w tak bliskim zetknięciu z okropnościami wojny nie radowała się już tak bardzo na myśl o przewidywanych triumfach Anglików.

W kuchni pana Whartona znajdowały się cztery osoby, mianowicie Cezar i jego małżonka, ich wnuczka, czarna jak węgiel dwudziestoletnia osóбка, i już wspomniany chłopak. Ta murzyńska trójka była pozostałością całej czeredy negrów, odziedziczonych wraz z posiadłością jeszcze po macierzystych przodkach pana Whartona, którzy pochodzili od holenderskich kolonistów. Czas, zepsucie i śmierć doprowadziły ich do tej szczupłej liczby, zaś panna Peyton przydała jeszcze tej gromadce domowników owego chłopaka, który był białym i pełnił obowiązki lokajczyka.

Cezar, umieściwszy się przezornie w takim kącie, gdzie żadna zabłąkana kula nie mogła go osiągnąć, począł z zajęciem przypatrywać się utarczce. Kilka kroków zaledwie dzieliło go od sztyldwacha na tarasie. Ten zauważył przezorną pozycję murzyna i spoglądał na nią pogardliwie, sam wystawiając nieosłonioną pierś na grożące od strony nieprzyjaciela pociski.

— Jak widzę dbasz wielce o swoją piękną osobę, panie Czarnoskóry — rzekł po chwili.

— Kula ranić czarny człowiek tak samo jak biały — odpowiedział Cezar cierpko.

— A gdybym tak spróbował — rzekł dragon i z temi słowy wyciągnął pistolet z za pasa i zmierzył do murzyna.

Zjeżone włosy Cezara bardziej mu jeszcze dęba stanęły; począł kłapać zębami ze strachu, aczkolwiek nie brał na serjo krwiożerczych zamiarów sztyldwacha. W tejże chwili kolumna Dunwoodie'go poczęła się cofać, a królewska kawalerja poszła do ataku.

— Aha! panie lekki jeździec — rzekł Cezar, któremu wydało się, że Amerykanie cofają się naprawdę

— czemu to wasi buntownicy nie walczyć? Patrz, jak major Dunwoodie zmykać przed ludzie króla Jerzy. Major Dunwoodie dobry pan, ale nie lubi walczyć z regularni.

— Niech djabli porwą twoich regularnych — zawołał tamten gniewnie — poczekaj chwilę czarnuchū, a zobaczysz jak kapitan Jack Lawton wypadnie z poza tego tam wzgórza i przepłoszy cow-boyów jak dzikie gęsi, gdy stracą gąsiora.

Cezar przypuszczał, że oddział pod dowództwem Lawtona skrył się za skałą z tych samych powodów, z jakich on umieścił się za ścianą, ale rzeczywistość stwierdziła wprędce prorocstwo kawalerzysty, i murzyn spoglądał z osłupieniem na rozsypkę kawalerji królewskiej.

Uradowany szyldwach jął objawiać swój zachwyt nad powodzeniem towarzyszy głośnemi okrzykami, które wnet zwabiły do otwartego okna saloniku kawalerzystę pozostawionego bezpośrednio na straży Henryka Whartona.

— Patrz, panie, patrz — wołał rozentuzjasmowany dragon — jak te skórzane heskie czapki zmykają przed kapitanem Lawtonem. O! a teraz major Dunwoodie zabił konia pod oficerem; do licha, lepiej było zabić Holendra, a oszczędzić konia.

Sypnęły się strzały za uciekającymi cow-boyami, i zabłąkana kula strzaskała szybę o parę kroków od Cezara. Murzyn padł plackiem na ziemię, poczem na czworakach poczołgał się do wnętrza domu, zdążając wprost do saloniku.

Gęsta ściana krzaków osłaniała dziedziniec Akacji od strony gościńca, i konie obu dragonów przywiązane razem do słupka oczekiwały tam na swoich panów.

W tejże chwili dwaj cow-boye odcięci od swoich towarzyszy wpadli galopem przez furtkę z zamiarem dostania się do rosnącego w tyle domu lasu.

Zwycięscy Amerykanie ścigali uciekających Niemców, dopóki nie zapędzili ich pod osłonę ognia pie-

choty, a tymczasem dwaj cow-boye, znalazłszy się na dziedzińcu w chwilowem bezpieczeństwie, ulegli pokusie, jakiej rzadko który żołnierz oprzeć się zdoła, i z zuchwalstwem i przytomnością umysłu, jaką tylko długa praktyka wyrobić może, poskoczyli razem ku dragońskim koniom i zaczęli je błyskawicznie odwiązywać. Widząc to, kawalerzysta na tarasie strzelił do nich z pistoletów i ze szablą w ręku biegł na pomoc rumakom.

W tej samej chwili Cezar wszedł do saloniku, co zwróciło uwagę baczne go drażona na więźnia, lecz powstały na dziedzińcu tumult zwabił go znów do okna. Wychyliwszy się połową ciała, starał się krzykiem i groźbami odstraszyć maruderów od ich łupu. Chwila była kusząca. Trzystu jego kolegów znajdowało się o milę od domu, konie bez jeźdźców biegly w różnych kierunkach, to też Henryk Wharton, niewiele myśląc, chwycił drażona za nogi i wyrzucił go z rozmachem na dziedzińcu, co widząc Cezar pobiegł co prędzej zarygłować drzwi frontowe.

Żołnierz podniósł się natychmiast i z wściekłością zwrócił się w stronę więźnia; dostać się jednak przez okno do wewnątrz wobec takiego przeciwnika było niepodobieństwem, a drzwi były zatarasowane.

Tymczasem kolega głośno przyzywał go na pomoc i stropiony drażon, zapominając o wszystkim innem, pośpieszył ku niemu. Jeden koń był już przytroczony do siodła cow-boya i wszyscy czterej, bijąc się wściekle na pałasze i miotając straszliwe przekleństwa, zniknęli za węgiem domu. Cezar otworzył szybko drzwi i wskazując na pozostałego konia, który najspokojniej szczypał zwiędłą murawę dziedzińca, wykrzyknął:

— Uciekać — teraz — massa Harry — uciekać!

— Tak — zawołał młodzieniec, wskakując na siodło — teraz istotnie, mój pocziwczu, jest czas uciekać.

Ręką skinął na pożegnanie ojcu, który stał w oknie, wyciągając ku niemu ręce błogosławiącym ruchem, i dodał:

— Bóg z tobą, Cezarze. Pozdrów dziewczęta.

I z temi słowy wypadł błyskawicznie za furtkę.

Afrykanin spoglądał za nim z niepokojem, widział jak pędził gościńcem, poczem skręcił na prawo i wkrótce zniknął za występującymi z tej strony skałami.

Uszczęśliwiony Cezar zarygłował drzwi znowu i kręcił kluczem w zamku dopóki tylko mógł, monologując w trakcie tego półgłosem:

— Dzielny jeździec — ja go sam dużo uczyć, pozdrowić dziewczęta — miss Fanny nie pozwolić, żeby ją kolorowy człowiek pocałował!

Gdy po skończonej bitwie przyszło do grzebania trupów, znaleziono poza domem obu cow-boyów i jednego Wirgińczyka bez życia.

Na szczęście dla Henryka Whartona kapitan Lawton przypatrywał się w owej chwili przez lornetkę kolumnie piechoty, wciąż stojącej nad brzegiem strumienia i chroniącym się pod jej opiekę niedobitkom jeźdźców.

Koń, na którym uciekał oficer angielski, był to wyborny rumak z Wirginji i niósł go z szybkością strzały przez dolinę. Serce młodzieńca poczynało już bić rozkoszną pewnością ocalenia, gdy dobrze znany głos obił się o jego uszy:

— Brawo, kapitanie! nie szcędź szpicruty i skreć na lewo, nim przejedziesz strumień.

Wharton odwrócił głowę zdumiony i ujrzał siedzącego na szczycie wystającej skały, skąd całą dolinę widać było jak na dłoni, swego byłego przewodnika Harveya Bircha. Tobół, o znacznie zmniejszonej objętości, leżał u stóp kramarza, ten zaś zdjął kapelusz i powiewał nim z zapalem, gdy młody oficer przelatywał koło niego. Angielski kapitan usłuchał wskazówki tego tajemniczego doradcy i znalazłszy leśną dróżkę, wiodącą na główny trakt doliny, skręcił w nią i wkrótce znalazł się naprost swoich. W chwilę potem

minął most i osadził rumaka przed swym dawnym znajomym pułkownikiem Wellmere'm.

— Kapitan Wharton! — wykrzyknął zdumiony dowódca wojsk angielskich — po cywilnemu i na koniu zbuntowanych dragonów! Czy spadasz pan z nieba w takim stroju i w taki sposób?

— Dzięki Bogu, jestem ocalony! — zawołał zdyszczanym głosem młodzieniec. — Udało mi się szczęśliwie wyrwać z rąk wroga, ale przed pięciu minutami byłem jeńcem, i groziła mi szubienica.

— Szubienica! kapitanie Wharton? Chyba ci zdrajcy nie ośmieliliby się popełnić nowego morderstwa! Czy im nie dosyć, że powiesili André'go! Za cóż grozili ci podobnym losem?

— Pod pozorem podobnegoż przestępstwa — odparł kapitan i pokrótce opowiedział najbliższemu słuchaczom, w jaki sposób dostał się do niewoli, na czem gruntował swoje obawy i dzięki czemu potrafił uciec. Podczas jego opowiadania uciekający Niemcy skupili się na tyłach piechoty, a pułkownik Wellmere zawołał:

— Z całej duszy winszuję ci, mój dzielny przyjacielu; ci zdrajcy nie znają litości, jesteś podwójnie szczęśliwy, że cało wyszedłeś z ich rąk. Gotuj mi się z pomocą, a wnet pomszczę cię sowicie.

— Co się tyczy osobistych zniewag, to nie grożą one nikomu od tych, którymi dowodzi major Dunwoodie — odpowiedział Wharton z lekkim błyskiem w oczach — jest to człowiek niezdolny do czegoś podobnego; nie sądzę również, aby było rzeczą rozsądną przebyć teraz most i znaleźć się w otwartym polu naprzeciwko tej wirgińskiej jazdy, rozgrzanej świeżem powodzeniem.

— O! jest się czego chlubić z ucieczki tej zbie-raniny i tych niemrawych Niemców — rzekł tamten z pogardliwym uśmiechem. — Mówisz o tem, kapitanie, takim tonem, jak gdyby twój wychwalany pan Dunwoodie — bo nie jest on żadnym majorem — pobił gwardję królewską.

— Niech mi będzie wolno powiedzieć, pułkowniku Wellmere, że gdyby gwardja królewska była tam w polu, znalazłaby przeciwnika, którego niebezpiecznie byłoby lekceważyć. Mój wychwalany Dunwoodie jest chlubą armji Washingtona jako oficer kawalerji — zawołał Henryk z zapalem.

— Dunwoodie, Dunwoodie — powtórzył pułkownik zwolna — musiałem gdzieś spotkać tego jegomościa.

— Mówiono mi, że widziałeś go pan na chwilę u moich sióstr w mieście — odpowiedział Wharton z uśmiechem.

— A! Przypominam sobie tego młokosa. I takiemu to rycerzowi sławetny kongres zbuntowanych kolonij powierza dowództwo swoich żołnierzy!

— Spytaj pan komendanta jegrów, czy sądzi, że major Dunwoodie zasłużył na zaufanie.

Pułkownikowi Wellmere'owi nie zbywało na dumie, która każe stawić mężnie czoło wrogom. Służył on już oddawna w Ameryce i zawsze dotąd miał do czynienia albo ze świeżo zorganizowanymi partjami, lub z krajową milicją. Ci walczyli czasem odważnie, ale również często uciekali, nie ruszywszy cyngla. Sądził powierzchownie i wydawało mu się niepodobieństwem, aby żołnierze w tak czystych gietrach, maszerujący tak regularnie i manewrujący z taką akuratomnością, mogli być pobici. A w dodatku byli to Anglicy, więc któż mógł wątpić o ich powodzeniu! Gdyby pułkownik Wellmere częściej brał udział w bitwach, pojęcia te, które wyniósł z Anglii i którym garnizonowe przechwałki dodawały wagi, byłyby się wprędce rozwiały. Wysłuchał gorącej odpowiedzi Whartona z drwiącym uśmiechem, poczem zapytał:

— Więc według pana powinniśmy się cofnąć przed tą wychwalaną jazdą, nie uczyniwszy nic, co by ich mogło pozbawić części tej sławy, którą jakoby zyskali?

— Ostrzegłem pana jedynie, pułkowniku Wellmere, przed niebezpieczeństwem, na jakie się narażasz.

— Wyraz niebezpieczeństwo nie przystoi ustom żołnierza — mówił dalej szydersko angielski dowódca.

— A wyrazu tego sześćdziesiąty pułk tak samo się nie lęka, jak każdy inny, noszący królewski uniform — zawołał Henryk Wharton gniewnie. — Daj pan znak do ataku, pułkowniku, i czyni niech za nas mówią.

— Teraz poznaję mego młodego przyjaciela — rzekł pułkownik pojednawczo — ale jeżeli masz nam coś do powiedzenia, co mogłoby nam dopomóc w szarży, posłuchamy. Znasz pan siły zbuntowanych. Czy jest ich więcej gdzie w ukryciu?

— Tak — odpowiedział młodzieniec, wciąż jeszcze rozdrażniony drwinami tamtego — w tym lesie na prawo stoi u skraju mały oddział piechoty, jazda cała znajduje się przed nami.

— Ale niedługo tu pozostanie — zawołał Wellmere, zwracając się do kilku otaczających go oficerów. — Panowie, przejdziemy ten most kolumną i rozwiniemy się na równinie; inaczej nie skłonilibyśmy tych walecznych Jankesów, by nam podeszli na strzał. Kapitanie Wharton, żądam pańskiej pomocy w charakterze adjutanta.

Młodzieniec wstrząsnął głową z niezadowoleniem, uważając krok pułkownika za wysoce nierozważny, z gotowością jednak pośpieszył spełnić wskazane mu obowiązki.

Podczas tej rozmowy, która toczyła się nieco na przodzie angielskiej kolumny i w oczach Amerykanów, Dunwoodie zbierał rozproszone wojsko, oddając pod straż niewielu jeńców i cofając się na początkowe pozycje. Zadowolony z odniesionego zwycięstwa i w mniemaniu, że Anglicy nie odważą się na ponowny atak, chciał już odwołać piechotę z lasu i pozostawwszy silny oddział na miejscu, by miał oko na przeciwnika, cofnąć się o parę mil i poszukać odpowiedniego noclegu. Kapitan Lawton niechętnie słuchał wywodów swego komendanta, patrząc przez lornetkę, by doj-

rzec, czy nie nadarza się gdzie sposobność do pomyslnego ataku, gdy nagle wykrzyknął:

— Co to? błękitny surdut wśród tych czerwonych kurtek! Jak pragnę zobaczyć jeszcze starą Wirginję, to jest mój przebrany przyjaciel z sześćdziesiątego pułku, piękny kapitan Wharton, który uciekł moim dwom najlepszym ludziom.

Jeszcze nie skończył mówić, gdy jeden z tych bohaterów nadjechał, przyprowadzając oprócz własnego konia, wierzchowce obu cow-boyów i zdał raport o śmierci towarzysza i ucieczce więźnia. Ponieważ tamten właśnie miał bezpośrednią straż nad młodym Whartonem, drugi nie mógł ściągnąć na siebie nagany za to, że bronił koni, które pozostały pod jego pieczę, kapitan wysłuchał go z niezadowolaniem, ale bez gniewu.

Wiadomość ta spowodowała zmianę w zamiarach majora Dunwoodie. Ucieczka więźnia narażała jego wojskowy honor, i zrozumiał to natychmiast. Odwołał rozkaz, wycofujący przewodników z lasu, i z równą niecierpliwością jak zapalczywy Lawton upatrywał teraz sposobności ponowienia ataku na nieprzyjaciela.

Jeszcze przed paru godzinami Dunwoodie mniemał, iż los nigdy go tak nie skrzywdził, jak kiedy uczynił Henryka Whartona jego jeńcem. Teraz, z narażeniem własnego życia, byłby leciał na schwywanie zbiegłego przyjaciela. Wszystkie inne względy ustąpiły wobec zranionej ambicji żołnierskiej; byłby współzawodniczył z Lawtonem w bezwzględności, lecz w tejże chwili wojsko pułkownika Wellmere'a przeszło most i wstąpiło na równinę.

— Patrz pan — zawołał uradowany kapitan, wskazując palcem na postępujące szeregi — otóż i John Bull włązi w pułapkę z otwartymi oczyma.

— Ależ — rzekł żywo Dunwoodie — oni z pewnością nie rozwiną się na tej płaszczyźnie. Wharton musiał im powiedzieć o zasadzce. Ale jeżeli to zrobią...

— Podziurawimy im skóry jak rzeszoto — odparł tamten, wskakując na siodło.

Prawda objawiła się wkrótce; angielska kolumna bowiem, przemaszerowawszy niewielką przestrzeń, rozwinęła się ze sprawnością, która byłaby przyniosła jej zaszczyt na paradzie w Hyde Parku.

— Na koń! na koń! — zawołał Dunwoodie, a rozkaz ten powtórzył Lawton głosem, który zadźwięczał w uszach Cezara stojącego w otwartym oknie domu. Murzyn cofnął się przerażony, stracił już bowiem zaufanie w tchórzliwość kapitana Lawtona; dotąd widział go w duszy wypadającego z zasadzki z szablą nad głową.

Gdy Anglicy postępowali tak zwolna i w doskonałym ordynku, ukryci w lesie przewodnicy otworzyli morderczy ogień, rażąc dotkliwie tę część piechoty, która znajdowała się najbliżej lasu. Wellmere idąc za radą jednego z przybocznych weteranów rozkazał dwóm kompanjom, by wypłoszyły Amerykanów z ich kryjówek. Ruch ten spowodował lekki zamęt, z czego korzystając Dunwoodie przypuścił atak. Trudno wyobrazić sobie dla szarży kawalerji odpowiedniejszy grunt nad tę równinę; atak Amerykanów był straszny. Dunwoodie skierował go głównie ku brzegowi naprzeciw lasu, by osłonić jazdę od ognia ukrytej w zaroślach ich piechoty, i to mu się w zupełności powiodło. Gwałtowny impet przeciwników zrzucił z konia pułkownika Wellmere'a, znajdującego się po lewicy frontu. Dunwoodie nadbiegł w porę, by ocalić go od cięcia jednego ze swych ludzi, podniósł go z ziemi, kazał go wsadzić na siodło i powierzył opiece swego ordynansa. Oficer, który doradził atak na przewodników, miał sobie powierzone wykonanie go, lecz sama groźba wystarczyła. Ludzie ci zresztą spełnili swą powinność i cofnęli się w głąb lasu z zamiarem powrócenia do swoich koni, które pozostały, strzeżone pilnie w górnej części doliny.

Lewe skrzydło Anglików załamało się pod naporem amerykańskiej jazdy, która przedarła się na tyły i spowodowała zupełny popłoch. Ale podkomendant, spostrzegłszy na co się zanosi, szybko zmienił część frontu i otworzył silny ogień na przelatujących koło niego dragonów. W tym oddziale znajdował się Henryk Wharton, który na ochotnika pomagał w rozproszeniu przewodników. Kula jednego z nich raniła go w ramię, zmuszony był przerzucić cugle w drugą rękę. Gdy dragoni pędzili koło tego oddziału, napełniając powietrze okrzykami i odgłosem trąbek, grających pobudkę, rumak na którym siedział Wharton zaczął się niepokoić, wspinać, a ponieważ jeździec nie mógł nim powodować należycie, mając przestreloną rękę, skutek był taki, że Henryk Wharton znalazł się w mgnieniu oka przy boku kapitana Lawtona. Ten pojął natchmiasł śmieszne położenie swego towarzysza, lecz zdążył zaledwie krzyknąć:

— Ten koń lepiej się rozumie na słusznej sprawie niż jego jeździec, kapitanie Wharton! witam pana w szeregach wolności...

I wpadł pomiędzy angielskich piechurów.

Nie tracił jednak czasu i niezwłocznie po ataku zagarnął znów swego jeńca, a widząc, że jest ranny, kazał go odesłać na tyły.

Wojska wirgińskie używały teraz w pełni na tej części piechoty królewskiej, która w znacznej mierze była na ich łasce. Dunwoodie spostrzegłszy, że niedobitki Niemców ukazały się znów na równinie, puścił się za nimi w pogoń, a doścignawszy z łatwością ich słabe i źle odżywione konie, rozbił i te resztki doszczętnie.

Tymczasem znaczna liczba Anglików, korzystając z dymu i zamieszania, schroniła się na tyły swych rodaków, którzy wciąż stali w linii wzdłuż lasu, lecz musieli zawiesić ogień z obawy, iż równie dobrze mogliby ranić swoich jak wrogów. Polecono zbiegom sformować drugą linię w samym lesie pod osłoną drzew. Jesz-

cze się to nie stało, gdy kapitan Lawton wezwał do siebie młodziutkiego oficera, który pozostał z częścią oddziału na równinie, i zaproponował przypuścić atak do nieprzełamanej dotąd linii Anglików. Oficerek zgodził się z ochotą; uszykowano szeregi, lecz porywczosć dowódcy przekroczyła niektóre niezbędne przygotowania i jazda, przyjęta morderczym ogniem piechoty, poszła w rozsypkę. Lawton i jego młodszy towarzysz spadli z koni. Szczęściem dla Wirgińczyków major Dunwoodie pojawił się znów na równinie w tej krytycznej chwili. Zobaczył bezład w szeregach, u jego stóp leżał brocząc krwią Jerzy Singleton, drogi sercu jego i ceniony dla swych niezwykłych zalet przyjaciel, a Lawton rozciągnięty na ziemi był nieprzytomny. Iskry posypały się z oczu młodego rycerza. Przejechawszy cwałem pomiędzy tym szwadronem a nieprzyjacielem, głosem, który ozwał się w sercach dragonów, przywołał ich do porządku. Jego słowa i obecność odniosły magiczny skutek. Zmieszane głosy umilkły, szeregi sformowały się błyskawicznie i poprowadzeni przez swego dowódcę Wirgińczycy ruszyli niepowstrzymanym pędem i wpadli jak burza na nieprzyjaciela, siejąc śmierć i zniszczenie. Ci, co nie polegli, ratowali się ucieczką w las. Dunwoodie wycofał się z wolna z pod ognia schowanych za drzewami Anglików i rozpoczął bolesną powinność zbierania poległych i rannych.

Sierżant, któremu polecono odprowadzić Henryka Whartona na miejsce, gdzie pomoc lekarska miała mu być udzieloną, spełnił rozkaz skwapliwie, pragnąc powrócić jak najprędzej na pole walki. Gdy znaleźli się w połowie równiny, kapitan spostrzegł człowieka, którego powierzchowność i zajęcie z konieczności musiały zwrócić jego uwagę. Jegomość ten miał głowę odkrytą i łysą, ale dobrze spudrowana peruka sterczała mu z kieszeni spodni. Był bez surduta z zawiniętymi po łokcie rękawami od koszuli; zakrwawiona odzież i ręce, a nawet twarz świadczyły o jego powołaniu; w ustach trzymał cygaro, w prawej ręce narzę-

dzia dziwaczno kształtu, a w lewej ogryzek jabłka, które raz po raz luzowało w jego ustach wyżej wspomniane cygaro. Teraz stał, przypatrując się jegrowi, który leżał przed nim bez ducha. W pewnej odległości kilku przewodników wspartych o muszkiety wyteżęło wzrok w stronę walczących, a tuż przy nim stał człowiek również obryzżany krwią i wyglądający na jego pomocnika.

— To jest doktor — rzekł spokojnie sierżant do Henryka — opatrz panu rękę w mgnieniu oka.

Poczem dawszy znak przewodnikom, by się zbliżyli, szepnął im kilka słów, wskazując na jeńca, i po-pędził galopem w stronę towarzyszy. Wharton przystąpił do dziwaczno jegomości i widząc, że ten nie zwraca na niego uwagi, chciał już zażądać jego pomocy, gdy tamten przerwał milczenie, mówiąc sam do siebie:

— Poznają teraz, że to kapitan Lawton zabił tego człowieka, jak gdybym to widział na własne oczy. A tak często pouczałem go, jak ma ubezwładnić przeciwnika, nie odbierając mu życia. To okrucieństwo, tak niepotrzebnie trzebić ludzki rodzaj, a przytem podobne cięcia czynią pomoc lekarską zbyteczną; jest to do pewnego stopnia brak poszanowania dla nauki.

— Jeżeli mogę zabrać panu chwilę czasu — rzekł Henryk Wharton — prosiłbym o opatrzenie lekkiej rany, jaką odniosłem.

— A! — zawołał tamten drgnawszy, i oglądając młodzieńca od stóp do głowy — pan przybywasz z pola walki? Jakże tam idzie robota?

— W istocie — odrzekł Henryk, któremu chirurg pomagał zdejmować surdut — ruszają się niezgorzej, mogę pana zapewnić.

— Ruszają się! — powtórzył chirurg, krzątając się koło opatrunku. — Słyszę to z przyjemnością, bo póki ruchu, póty życia, a póki życia, póty nadziei; tu oto moja wiedza jest bezsilna; wpakowałem zpowrotem mózg do czaszki jednego z moich pacjentów, ale po-

dejrzwam mocno, że musiał już nie żyć, gdy się do niego zabrałem. Bardzo ciekawy wypadek. Zaprowadzę pana, żebyś go zobaczył; to tam zaraz za płotami, gdzie tyle ciał leży. A! kula ześlizgnęła się z kości, nie uszkodziwszy jej; pańskie szczęście, iż popadłeś w ręce starego praktykanta, inaczej byłbyś mógł stracić rękę.

— Doprawdy! — rzekł Henryk z lekkim niepokojem — nie przypuszczałem, żeby rana była tak poważna.

— O! rana jest dosyć lekka, ale pan masz tak podatne członki do operacji, że taka przyjemność mogłaby skusić nowicjusza.

— Do djabła! — krzyknął kapitan — jakąż to może być przyjemność w okaleczaniu swoich bliźnich!

— Panie — rzekł chirurg z powagą — umiejętna amputacja jest bardzo piękną operacją i niewątpliwie młodszy chirurg mógłby w pośpiechu przeoczyć szczególności takiego właśnie jak ten przypadku.

Dalszą rozmowę przerwało ukazanie się dragonów, zwolna wracających na poprzednie stanowiska, i nowe zgłaszania się łżej rannych żołnierzy, którzy nadjeżdżali, wzywając śpiesznie pomocy doktora.

Przewodnicy wzięli pomiędzy siebie Whartona, który z ciężkiem sercem skierował się znów w stronę rodzicielskiego domu.

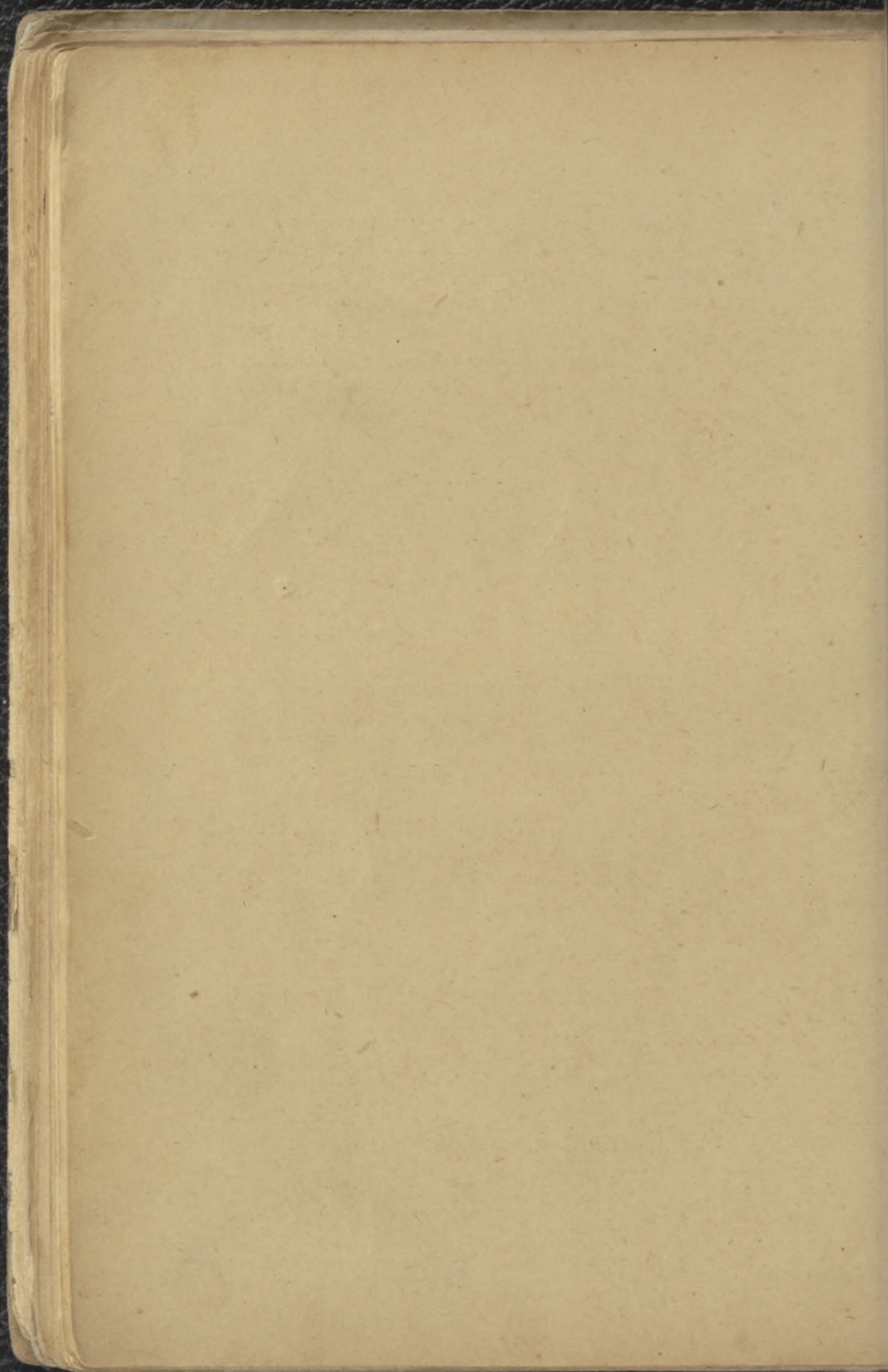
Anglicy stracili blisko trzecią część swojej piechoty, lecz reszta cofnęła się do lasu, i Dunwoodie, widząc, że zajęli pozycję zbyt silną, by ich było można zaatakować, zostawił znaczną część oddziału pod kapitanem Lawtonem, który już otrząsnął się z chwilowego oszołomienia, spowodowanego upadkiem z konia, i polecił mu dawać na nich baczenie i skorzystać z pierwszej sposobności zaatakowania ich, nimby się cofnęli ku statkom.

Major otrzymał wiadomość, że nadciąga inny oddział drogą Hudsonu, musiał więc mieć się w pogotowiu, by unicestwić zamiary i tego także przeciwnika.



— A! . . . pan przybywasz z pola walki? Jakże tam idzie robota? Str. 103.

Szpieg.



Kapitan Lawton otrzymał rozkazy z zastrzeżeniem, aby się nie kwapił na wroga, póki się jakaś bardzo pomyslna sposobność nie nadarzy, poczem obaj dowódcy rozjechali się, każdy w swoją stronę.

Zwycięzeni Anglicy był to lekki oddział bez bagażu, wysłany w celu zniszczenia pewnych magazynów zawierających jakoby zapasy dla amerykańskiej armji. Teraz rozpoczęli odwrót przez las, trzymając się górskich drózek, niedostępnych dla kawalerji, i dążąc do swoich statków.

ROZDZIAŁ VIII.

„Ogniem i mieczem zniszczony był kraj jak długi i szeroki; i niejedna matka rodząca i niejedno nowonarodzone dziecko zmarły wtedy, ale takie rzeczy, jak wam wiadomo, muszą się zdarzać przy każdym walnem zwycięstwie.“

Ostatnie odgłosy walki umilkły w uszach zaniepokojonych słuchaczy w Akacji. Fanny wciąż leżała na sofie, napróżno usiłując rozróżnić coś w dolatującej ją wrzawie i zbrojąc się w męstwo na wypadek możliwej kłęski rodaków. Pole bitwy znajdowało się w odległości niespełna mili od Akacji, w przerwach salw okrzyki żołnierzy obijały się o uszy mieszkańców.

Pan Wharton po ucieczce syna poszedł do panny Peyton i Sary, i wszyscy troje oczekiwali z biciem serca na nowiny z pola. Fanny nie mogąc dłużej znieść dręczącej ją niepewności, przyłączyła się do nich, Cezara zaś wyprawiono, by śledził z ukrycia przebieg bitwy i donosił, na którą stronę przechylało się zwycięstwo. Pan Wharton opowiedział teraz zdumionym kobietom, w jaki sposób udało się Henrykowi umknąć szczęśliwie. Te nie ochłonęły jeszcze ze zdziwienia, gdy drzwi otwarły się i kapitan Wharton pod strażą dwóch przewodników, za którymi postępował murzyn, stanął przed nimi:

— Henryk!... mój syn... mój syn! — wykrzyknął przerażony ojciec, wyciągając ręce, lecz nie mogąc powstać z krzesła. — Co widzę! Znów w niewoli: znów w niebezpieczeństwie życia!

— Szczęście posłużyło buntownikom — rzekł młodzieniec z przymuszonym uśmiechem, biorąc każdą z siostr za rękę. — Walczyłem mężnie za moją wolność, ale przewrotny duch buntu udzielił się nawet ich koniom. Ten, na którym siedziałem, poniósł mnie, zgoła wbrew mojej woli, wyznając, w sam środek ludzi Dunwoodie'go.

— I schwymano cię znowu! — jęknął ojciec, rzucając trwożne spojrzenie na uzbrojonych ludzi, którzy wraz z jego synem weszli do pokoju.

— Nieinaczej, ojcze, ten pan Lawton, który widzi tak daleko, zagarnął mnie natychmiast.

— Było się nie dać, massa Harry! — zawołał Cezar gniewnie.

— Łatwiej to powiedzieć niż zrobić, mój Cezarze — rzekł Wharton z uśmiechem — zwłaszcza że ci panowie (tu rzucił okiem na przewodników) uznali za stosowne pozbawić mnie władzy w prawej ręce.

— Tyś ranny! — wykrzyknęły obie siostry z przestraszeniem.

— O! lekkie zadrażnienie, ale obezwładniło mnie w najkrytyczniejszej chwili — odpowiedział brat, pokazując obandażowaną rękę na potwierdzenie prawdy tych słów. Cezar rzucił nienawistne spojrzenie na domniemanych sprawców i wyszedł z pokoju. Tymczasem kapitan Wharton opowiedział w kilku słowach to co mu było wiadomem o przebiegu bitwy, wynik wydawał mu się jeszcze wątpliwym, gdyż w chwili gdy opuszczał równinę, Wirgińczycy cofali się z pola walki.

— Wytropili wiewiórkę i poszli za nią — ozwał się nagle jeden z przewodników — ale zostawili dobrego wyźła na czatach, nie bój się!

— Oho! — dodał jego towarzysz — kapitan Lawton policzy nosy tych co zostali, nim zobaczą swe wiewiórybie statki.

Podczas tej rozmowy Fanny stała oparta o krzesło, chłonąc w siebie każdy wyraz, a nogi drżały pod

nią; bladła i rumieniła się naprzemiennie, wreszcie z rozpacziwem postanowieniem zapytała:

— A czy jest jaki oficer ranny po... po... obu stronach?

— Tak — odpowiedział tamten niedbale — ci młodzi z południa są tacy zadzierzyści, że prawie w każdej bitwie oberwać muszą. Jeden z rannych, którego opatrywał doktor, powiedział, że kapitan Singleton zabity, a major Dunwoodie...

Fanny nie słyszała nic więcej, padła bez zmysłów na krzesło. Starania ciotki i siostry wprędce przywróciły jej przytomność, a kapitan, zwracając się do przewodnika, zapytał trwożnie:

— Czyby major Dunwoodie był ranny?

— Niech pana o niego głowa nie boli — odparł przewodnik. — Powiadają, że co ma wisieć, nie utonie. Gdyby kula mogła zabić majora, dawnoby już było po nim. Chciałem powiedzieć, że major okrutnie się zmarł śmiercią kapitana, ale gdybym był wiedział, że ta panienska sobie to tak weźmie do serca, nie byłbym mówił tak otwarcie.

Fanny powstała szybko z krzesła z rumieńcem zawstydyzenia na licach i z pomocą ciotki miała opuścić pokój, gdy Dunwoodie we własnej osobie stanął we drzwiach. Pierwszem wrażeniem wstrząśniętej do głębi duszy dziewczeczki było bezgraniczne szczęście; wnet jednak cofnęła się zmrożona niezwykłym wyrazem twarzy ukochanego. Srogość bitwy mroczyła mu jeszcze czoło; wzrok miał skupiony i surowy. Tkliwy uśmiech, który tak zawsze rozpromieniał jego rysy na widok Fanny, ustąpił miejsca posępnemu zatroskaniu; jedna jakaś myśl zdawała się go pochłaniać wyłącznie, i odrazu też przystąpił do rzeczy.

— Panie Wharton — zaczął z powagą — w takich czasach jak obecne, nie należy się bawić w czcze ceremonje; jeden z moich oficerów jest śmiertelnie ranny, więc licząc na pańską gościnność, kazałem go tu przynieść.

— Jestem szczęśliwy, żeś pan to uczynił — odpowiedział skwapliwie pan Wharton, pragnąc zjednać sobie przychylność wojsk amerykańskich. — Dom mój stoi zawsze otworem dla potrzebujących, a zwłaszcza gdy potrzebującym jest przyjaciel majora Dunwoodie.

— Dziękuję panu w imieniu mojem i tego, który nie jest w stanie podziękować panu — odrzekł tamten prędko. — Jeżeli pan pozwoli, zaniesiemy go tam, gdzie chirurg mógłby go opatrzyć niezwłocznie.

I z temi słowy wyszedł, nie spojrzawszy nawet na Fanny.

Miłość kobiety nie znosi żadnego współzawodnictwa. Cała tkliwość jej serca, wszystkie władze jej wyobraźni skupiają się w tej jednej pochłaniającej namiętności; więc też, dając wszystko, wiele nawzajem wymaga. Fanny przeżyła nieopisane męczarnie twogi z powodu Dunwoodie'go, a on teraz nawet nie spojrział na nią, nie pozdrowił. Potęga jej uczuć nie ucierpiała na tem, ale nadzieje jej osłabły. Gdy niosący ciało przyjaciela Dunwoodie'go przeszli koło niej, Fanny rzuciła okiem na tego wrzekomego rywala.

Trupia bladeść, zapadłe oczy i utrudniony oddech napiętnowały stygmatem śmierci młodzieczne oblicze rannego. Dunwoodie szedł przy nim, trzymając go za rękę, upominając ludzi, aby go nieśli ostrożnie, i wogóle okazując troskliwość, na jaką tylko najczulsza przyjaźń w podobnych okolicznościach może się zdobyć. Fanny w milczeniu poszła przodem i z odwróconą twarzą otworzyła drzwi, by im ułatwić dostęp do łóżka. Dopiero gdy wchodząc do pokoju major prawie otarł się o jej suknie, odważyła się podnieść na niego swe słodkie, błękitne oczy. Lecz on nie odwzajemnił spojrzenia, i Fanny, westchnąwszy cichutko, wymknęła się do swego pokoju.

Kapitan Wharton dobrowolnie zobowiązał się, że już nie będzie próbował uciekać, i zajął się w zastępstwie ojca pełnieniem obowiązków gospodarza. Wyszedłszy w tym celu na korytarz, spotkał chirurga,

który tak zręcznie opatrzył mu rękę, idącego do pokoju, gdzie leżał ranny oficer.

— A! — zawołał ten uczeń Eskulapa — jak widzę, dobrze się pan miewasz; ale poczekaj, masz pan szpilkę? Nie! no, ale ja mam. Tylko unikaj pan zaziębnienia rany, bo możesz pan jeszcze dostać się pod nóż jakiego młokosa.

— Boże uchwaj! — szepnął kapitan, poprawiając bandażę, a wtem Dunwoodie ukazał się we drzwiach, wołając niecierpliwie:

— Śpiesz się, Sitgreaves, śpiesz, bo Jerzy Singleton umrze z upływu krwi.

— Co! Singleton. Wielki Boże! Więc to Jerzy? Biedny Jerzyk — wykrzyknął chirurg i z widocznym przejęciem pośpieszył do łóżka. — No, chwała Bogu, żyje jeszcze, a póki życia, póty nadziei. To pierwsza poważniejsza rana, z jaką mam dziś do czynienia, od której pacjent jeszcze nie umarł. Kapitan Lawton uczy swoich ludzi rąbać tak nieostrożnie; ale to widzę kula.

Młody oficer spojrział na chirurga i z nikłym uśmiechem usiłował podać mu rękę. W tym ruchu i towarzyszącem mu spojrzeniu było błaganie o pomoc, które wzruszyło serce operatora. Zdjął okulary, by otrzeć oczy, które mu nagle zwilgotniały, i ostrożnie przystąpił do zbadania rany. Nie przeszkodziło mu to jednak mrużyć do siebie:

— Już jak tylko kula, to dobrze, można mieć nadzieję, że nie uszkodziła żadnego żywotnego organu; ale, Boże zmiłuj się, ci ludzie kapitana Lawtona rąbią tak nierozważnie i zawsze przetną jakąś arterję, albo dżgną w krtań, albo rozłupią czaszkę, i ranny najczęściej skona, nim mu się przyjdzie z pomocą. Raz tylko udało mi się włożyć zpowrotem mózg do głowy, a dziś trzy razy próbowałem, nie mówiąc o innych wypadkach. Łatwo powiedzieć, gdzie Lawton w bitwie szarżował, jego ludzie są tak nieoględni.

Skupieni dokoła łóżka towarzysze kapitana Singletona zbyt byli oswojeni z dziwactwami swego chi-

rurga, by zważać na jego gadanie, i spokojnie czekali, aż przystąpi do zbadania chorego. Dunwoodie stał wpatrzony w twarz operatora, jak gdyby chciał zajrzeć mu do głębi duszy. Ranny jęknął boleśnie podczas zapuszczania sondy, a chirurg rozjaśnił oblicze i mruknął:

— No, nic tu niema...

Poczem zdjął okulary, zrzucił perukę i gorliwie zabrał się do dzieła. Dunwoodie stał wciąż jak na rozżarzonych węglach, trzymając w obu dłoniach rękę przyjaciela i wpatrując się w twarz chirurga. Wreszcie Singleton jęknął jeszcze boleśniej, a chirurg podniósł się żywo i rzekł:

— Al! to jest prawdziwa przyjemność śledzić kulę, można rzec, że wędruje sobie po ciele ludzkim, omijając wszystkie żywotne organy; ale zato ludzie kapitana Lawtona...

— Mów pan — przerwał Dunwoodie — czy jest nadzieja? Znajdziesz pan kulę?

— Nietrudno znaleźć to, co się trzyma w ręku, majorze Dunwoodie — odparł chłodno chirurg, przygotowując opatrunek. — Poszła, że się tak wyrażę, okólną drogą, to jest tą, jakiej nigdy nie mają się szable ludzi kapitana Lawtona, pomimo że się tyle natrudził, pokazując im, jak ciąć umiejętnie. Ale widziałem dziś konia z nawpół odrąbaną głową.

— To — rzekł major Dunwoodie, a czarne jego oczy poczęły znów świecić blaskiem nadziei — to była moja robota. Ja zabiłem tego konia.

— Pan! — wykrzyknął chirurg zdumiony, upuszczając opatrunek — pan! Aleś pan wiedział, że to koń?

— Miałem niejaki w tym kierunku podejrzenia — odpowiedział major z uśmiechem, podając przyjacielowi rzeźwiący napój.

— Takie ciosy spadające na człowieka są zgubne — ciągnął dalej doktor, wciąż krzając się koło opatrunku — unicestwiają dobroczynne działania nauki i są zgola zbędne w bitwie, bo przecież chodzi o to

tylko, aby obezwładnić wroga. Przesiedziałem ja bezczynnie parę godzin, majorze Dunwoodie, podczas gdy kapitan Lawton był przy robocie, i wszystkie moje oczekiwania spełżyły na niczem: bo albo lekkie zadraśnięcia, albo śmiertelne rany. Ach! szabla straszną jest bronią w nieumiejętnych rękach! Tak, majorze Dunwoodie! Dużo ja czasu straciłem napróżno, by wpoić tę prawdę w kapitana Johna Lawtona.

Major wskazał milcząco na przyjaciela i chirurg zabrał się gorliwiej do roboty.

— A! biedny Jerzy, nie wylize się tak łatwo, ale...

Tu wszedł wysłaniec z wezwaniem dowódcy na pole. Dunwoodie uściśnął ostrożnie dłoń przyjaciela i pośpieszył ku drzwiom, dając znak doktorowi, by szedł za nim.

— Jak pan myślisz? — szepnął, gdy znaleźli się w korytarzu. — Będzie żył?

— Będzie!

— Chwała Bogu! — wykrzyknął młodzieniec, i zbiegł ze schodów na chwilę, do saloniku, gdzie była zgromadzona rodzina Whartonów. Pięknemu jego obliczu nie zbywało teraz na uśmiechach, gdy pośpiesznie, lecz serdecznie witał się z wszystkimi. O ucieczce i o ponownem wzięciu do niewoli Henryka Whartona nie wspominał ani słowem, jak gdyby to wcale nie zaszło. W polu się nie spotkali. Angielski oficer w wyniosłem milczeniu cofnął się do okna, pozostawiając majorowi swobodę opowiadania zaszłych wypadków.

Obie siostry, wyczerpane doznaniem wrażeniami, milczały również, i Dunwoodie rozmawiał przeważnie z panną Peyton.

— Czy jest nadzieja, kuzynie, że twój przyjaciel wyleczy się z rany? — zapytała ta ostatnia, zwracając się do młodego krewniaka z życzliwym uśmiechem.

— Zupełnie, droga pani, zupełnie — odpowiedział oficer wesoło. — Sitgreaves powiada, że będzie żył, a jeszcze dotąd nie zawiodłem się nigdy na jego zaręczeniach.

— Słyszę to z prawdziwą przyjemnością. Ktoś tak drogi majorowi Dunwoodie nie może być obojętny jego krewnym.

— Powiedz pani, ktoś tak zasłużenie drogi — odpowiedział major z zapałem. — To ulubieniec całego wojska, wszyscy go kochamy; taki szlachetny, dobry, sprawiedliwy, łagodny jak baranek i tkliwy jak gołąbka — a na polu walki istny lew!

— Mówisz o nim, majorze, z takim zachwytem, jak gdyby był panią twego serca — zauważyła z uśmiechem stara panna, spoglądając na siostrzenicę, która błada i milcząca siedziała w kąci.

— Bo kocham go nie mniej — zawołał młodzieniec z uniesieniem — ale teraz potrzeba mu będzie wielkich starań i troskliwej opieki; wszystko od tego zależy.

— Wierź mi, kuzynie, że nie będzie mu zbywać na niczem pod tym dachem.

— Wierzę, droga pani, jesteście wszyscy uosobieniem dobroci; lecz Singleton potrzebuje starań, które wielu mężczyznom wydałyby się może nużącemi nawet. W takich to chwilach i w takich cierpieniach żołnierz przeważnie odczuwa brak kobiecej tliwości.

Powiedziawszy to, spojrział na Fanny z wyrazem, pod którym zabiło znów silniej serce jego narzeczonej; powstała z miejsca z płonącemi policzkami i rzekła:

— Przyjaciel pański może być pewnym wszelkich starań, jakich tylko obcy człowiek doznać może.

— Ach! — zawołał major wstrząsając głową — ten wyraz obcy zabije go; jemu potrzeba tliwości, pociechy, ukojenia.

— To dać może tylko siostra lub żona.

— Siostra — powtórzył młody oficer i krew buchnęła mu do twarzy — ależ on ma siostrę; i ta może tu być jutro o świcie.

Umilkł, pomyślał chwilę, spojrział z pewnem pomieszaniem na Fanny i szepnął:

— Singleton potrzebuje tego i mieć to musi.

Panny spoglądały na mieniącą się dziwnie twarz majora z pewnem zdziwieniem, a panna Peyton za-uważała:

— Jeżeli obecność siostry kapitana jest potrzebna, ja i moja siostrzenica powitamy ją tu chętnie.

— Tak, pani, jest potrzebna, nie może być inaczej — odparł Dunwoodie z wahaniem, które stanowiło sprzeczność z jego słowami. — Dziś jeszcze poślę po nią.

I jak gdyby pragnąc zmienić przedmiot rozmowy, zbliżył się do kapitana Whartona i rzekł miękko:

— Henryku Whartonie, honor jest mi droższy niż życie, lecz wiem, że mogę bezpiecznie złożyć go w twoje ręce. Pozostań tu na wolnej stopie, dopóki nie wyruszymy stąd, co dopiero za kilka dni może nastąpić.

Sztynność angielskiego oficera zniknęła, ujął podaną sobie rękę i odrzekł gorąco:

— Nie nadużyję twego szlachetnego zaufania, Peytonie, choćby nawet szubienica, na której twój Washington powiesił Andrégó, czekała już tam na mnie.

— Henryku! Henryku Whartonie! — rzekł Dunwoodie z wyrzutem — nie znasz człowieka, który dowodzi naszym wojskiem, bo inaczej oszczędziłbyś mu tych niesprawiedliwych słów. Ale muszę już odejść, powołuje mnie obowiązek. Pozostawiam cię tu, gdzie sam chciałbym zostać i gdzie nie możesz czuć się całkowicie nieszczęśliwym.

Wychodząc przesłał Fanny tchnące miłością spojrzenie, które jej tak było drogiem i które na jakiś czas pozwoliło jej zapomnieć o wrazeniu, jakie pierwsze jego ukazanie się po bitwie na niej wywarło.

Wśród weteranów, którzy w owych czasach porzucili dobrze zasłużony wypoczynek dla wojennych trudów, znajdował się pułkownik Singleton. Pochodził on z Georgji i od wczesnej młodości służył wojskowo. Gdy wybuchła wojna o niepodległość, pośpieszył ofiarować krajowi swe usługi, które przez szacunek dla

jego charakteru przyjęto. Zdrowie jednak i wiek nie pozwalały mu brać czynnego udziału w walkach; powierzono mu tedy różne stanowiska zaufania, na których jego czujność i nieposzlakowana prawość mogły się bardzo przydać, bez szkody dla jego osoby. W ostatnim roku pułkownik Singleton wydawał przepustki w Góry i miał swoją kwaterę, w której wraz z córką przebywał, o niespełna dzień drogi ponad doliną, gdzie Dunwoodie spotkał się z nieprzyjacielem. Jedynym synem pułkownika był właśnie ów ranny oficer. Major tedy pośpieszył wyprawić posłańca z wiadomością o ciężkim stanie kapitana i z zaproszeniem od pań dla siostry w taki sposób sformułowanem, by nie mogła się zawałać z niezwłocznem przybyciem do wezwłowa brata.

Spełniwszy ten obowiązek z wyraźną niechęcią, Dunwoodie udał się na pole, gdzie stały jego wojska. Ponad wierzchołkami drzew widać już było resztki angielskiej piechoty, zdążające po górskich szlakach w doskonałym ordyнку i czujnie, ku swoim statkom. Oddział dragonów pod Lawtonem poruszał się w niewielkiej odległości na ich flankach, czyhając na chwilę sposobną do natarcia. W ten sposób postępując, oba wojska zniknęły wkrótce z przed oczu pozostałych.

Nieco poniżej Akacji znajdowała się wioseczka, gdzie krzyżowały się różne drogi, i skąd wskutek tego łatwy był dostęp na całą okolicę. Było to ulubione miejsce popasu dla jazdy, i amerykańskie lekkie pułki obozowały tam często podczas swoich wycieczek w niziny. Dunwoodie pierwszy ocenił dogodności tego punktu, a ponieważ musiał pozostać w tych stronach aż do otrzymania dalszych rozkazów z góry, nie zapomniał więc o nich teraz. Tam też skierował swoje wojska wraz z rannymi, podczas gdy część oddziału spełniała smutną powinność grzebania trupów. W trakcie tych rozporządzeń nowa trudność przedstawiła się młodemu dowódcy. Jadąc polem, zobaczył pułkownika Wellmere'a, siedzącego samotnie i dumającego

nad swemi niepowodzeniami. Dunwoodie, cały pochłonięty trwogą o Singletona, zapomniał całkowicie o tym jeńcu, zbliżył się więc teraz, przepraszając za brak pamięci. Anglik chłodno przyjął te uprzejmości i zaczął się skarżyć na potłuczenie, jakiego doznał, spadłszy przypadkowo z konia, jak się wyraził. Dunwoodie, który był świadkiem jak jeden z jego ludzi przejechał się bez ceremonji po pułkowniku, uśmiechnął się zlekka i ofiarował mu pomoc chirurga, poczem obaj poszli ku domowi.

— Pułkownik Wellmere! — zawołał młody Wharton ze zdumieniem ujrzawszy ich wchodzących — więc i z panem ślepy los wojny obszedł się okrutnie! Witam pana jednakże pod dachem mego ojca, choć wolałbym, aby się to odbywało w pomyślniejszych okolicznościach.

Pan Wharton przyjął tego nowego gościa z ostrożną wstrzeźliwością właściwą jego obejściu, a Dunwoodie udał się do łoża przyjaciela. Tu wszystko zapowiadało się pomyślnie, powiedział więc doktorowi, że nowy pacjent oczekuje jego pomocy na dole. Poślyszawszy to doktor chwycił narzędzia i wybiegł śpiesznie, uradowany, że nadarza mu się znów sposobność zastosowania swej umiejętności. U drzwi saloniku spotkał się z wychodzącymi paniami. Panna Peyton zatrzymała go chwilę, pytając o kapitana Singletona. Fanny, spojrzawszy na dziwaczną postać łysego doktora, uśmiechnęła się mimowoli; co się tyczy Sary, była ona nadto pod wrażeniem niespodziewanego spotkania z pułkownikiem Wellmere'm, by myśleć o czem innem. Jak już wspominaliśmy, był on dawnym znajomym tych pań, ale nie widzieli się od tak dawna, że wspomnienie Sary zatarło się trochę w jego pamięci. Z Sarą było inaczej. Jest pewna epoka w życiu każdej kobiety, usposabiająca ją niejako do miłości. Jest to ten szczęśliwy wiek, kiedy dojrzałość wykwita z pączka dzieciństwa, kiedy niewinne serce bije oczekiwaniem tych wszystkich uroków życia, których rze-

czywistość nigdy dać nie może, i kiedy wyobraźnia tworzy ideały według własnej nieskażonej modły. W tym to szczęśliwym wieku Sara opuściła New-York i uniosła ze sobą obraz przyszłości, zlekka tylko naskicowany co prawda, ale którego kontury utrwaliła samotność i w którym postać Wellmere'a znajdowała się na pierwszym planie. To też jego niespodziewane zjawienie się wstrząsnęło ją do głębi i zaraz po przywitaniu wstała na znak czujnej ciotki i wyszła.

— A zatem — rzekła panna Peyton, wysłuchawszy sprawozdania doktora o stanie młodego pacjenta — możemy się spodziewać, że wyzdrowieje?

— Z wszelką pewnością, łaskawa pani — odpowiedział doktor, usiłując przez szacunek dla dam nałożyć perukę — z wszelką pewnością, przy odpowiednich staraniach i dobrem odżywianiu.

— Na tem mu zbywać nie będzie — rzekła stara panna uprzejmie. — Wszystko co mamy, jest do jego rozporządzenia, a major Dunwoodie wyprawił już posłańca po jego siostrę.

— Po jego siostrę! — wykrzyknął chirurg z jakimś szczególnym naciskiem. — No, jeżeli major posłał po nią, to przybędzie.

— Zapewnie skłoni ją do tego względ na niebezpieczny stan brata.

— Niewątpliwie, pani — odrzekł doktor lakonicznie, i skłoniwszy się nisko, czekał aż przejdą damy.

Słowa jego, a bardziej jeszcze towarzyszący im wyraz twarzy zastanowił Fanny, wobec której żadna wzmianka o majorze Dunwoodie nie mogła ująć nieopstrzeżenie.

— Panie! — zawołał doktor, wchodząc i zwracając się do jedynej czerwonej kurtki w pokoju — powiedziano mi, że pan potrzebujesz mojej pomocy. Daj Boże, żebyś pan nie miał być do czynienia z kapitanem Lawtonem, gdyż w takim razie mógłbym przyjść za późno.

— Zaszła widocznie pomyłka — rzekł Wellmere wyniosłe — major Dunwoodie miał mi przysłać chirurga, a nie jakąś starą babę.

— To doktor Sitgreaves — rzekł prędko Henryk Wharton, z trudem wstrzymując się od śmiechu. — Nadmiar zajęć dzisiaj nie pozwolił mi pomyśleć o starszym ubiorze.

— Przepraszam pana — rzekł Wellmere bardzo niechętnie, zdejmując mundur i ukazując to, co nazywał raną.

— Jeżeli — rzekł doktor sucho — dyplom edynburski, praktyka po londyńskich szpitalach, setki poamputowanych członków, czyste sumienie i nominacja kongresu lądowego mogą z człowieka uczynić chirurga, to ja nim jestem.

— Przepraszam pana — powtórzył pułkownik sucho. — Kapitan Wharton już wytłumaczył moją pomyłkę.

— Za co dziękuję kapitanowi Whartonowi — rzekł chirurg chłodno, rozkładając swoje narzędzia ze ścisłością, od której ciarki przeszły po pułkowniku. — Gdzie pan jesteś ranny? Co? To zadrażnienie na ramieniu? Skąd pochodzi ta rana?

— Od cięcia pałaszem zbuntowanego dragona — rzekł pułkownik z przesadą.

— Niepodobna. Nawet łagodny Jerzy Singleton nie byłby drasnął pana tak niewinnie.

Przy tych słowach doktor wyjął z kieszeni kawałek plasterka i przykleił go na uszkodzonym miejscu.

— Tak — dodał — to w zupełności wystarczy dla pańskich celów i zapewne jest wszystkim, czem mogę panu służyć.

— Jakież to mają być te moje cele, jeżeli łaska?

— Podać się za rannego w raporcie — odpowiedział doktor spokojnie. — I możesz pan dodać, że stara baba opatrzyła pańskie rany, bo w istocie dała by sobie z nimi radę doskonale.

— Osobliwszy sposób mówienia — mruknął Anglik.

Tu kapitan Wharton wmieszał się do rozmowy i tłumacząc doktorowi, że pomyłkę pułkownika trzeba położyć na karb fizycznego i moralnego rozdrażnienia, w jakim się znajduje, udobruchał nieco obrażonego eskulapa i skłonił go do dalszych oględzin. Były to wszystko sińce pochodzące z potłuczenia, i Sitgreaves, opatrzywszy je o ile było potrzeba, wyszedł śpiesznie.

Jazda, posiliwszy się i odpocząwszy, była gotowa do wymarszu na upatrzoną pozycję, i major Dunwoodie musiał wreszcie zdecydować, co ma uczynić z więźniami. Sitgreaves miał zostać w domu pana Whartona, by czuwać przy kapitanie Singletonie. Henryk przyszedł prosić majora, by pułkownik Wellmer mógł także pozostać na słowo, dopóki wojska nie będą odwołane na dalsze pozycje. Dunwoodie chętnie się na to zgodził, a ponieważ reszta więźniów były to zwyczajne piechury, odesłano ich pod silną strażą w głąb. Dragoni wymaszerowali wprędce potem, a przewodnicy, podzieleni na małe partje z dodatkiem konnych patroli, rozproszyli się po okolicy w taki sposób, by utworzyć łańcuch wart od Soundu do Hudsonu¹⁾.

Dunwoodie pożegnawszy się pozostał jeszcze chwilę przed domem i dziwnie mu było ciężko odjeżdżać, co przypisywał troskliwości o samego przyjaciela. Potrzeba bardzo zatwardziałego serca, aby mu wystarczyła sława, nabyta kosztem ludzkiego życia. Peyton Dunwoodie pozostawiony samemu sobie, i ochłonałszy już nieco z podniecenia, w jakim wojenny zapal trzymał go przez cały ten dzień, zaczął odczuwać, że poza surowymi prawami honoru są jeszcze inne związki, z którymi serce żołnierza musi się liczyć. Nie zachwiał się w poczuciu powinności, lecz zrozumiał, jak silną może być pokusa. Surowy wyraz jego oczu

¹⁾ Akcja niniejszej powieści toczy się pomiędzy temi dwoma rzekami, które tylko o parę mil oddalone są jedna od drugiej.

ustępował stopniowo miejsca pewnemu rozmarzeniu, a myśl o zwycięstwie nie sprawiała mu takiego zadowolenia, które mogłoby mu wynagrodzić ofiary, jakimi je okupił. Spoglądając po raz ostatni w stronę Akacji, przypomniał sobie, że zostawia tam wszystko co mu było najdroższem na świecie. Przyjaciel jego młodości był jeńcem i to w okolicznościach zagrażających zarówno jego życiu jak honorowi. Umiłowany towarzysz wojennych trudów, który takim wdziękiem pełnym słodczy umiał otoczyć twardą żołnierską dolę, leżał zbroczony krwią, wylaną na polu zwycięskiej walki. Wreszcie obraz tej pięknej dziewczyny, tylokrotnie w ciągu dnia usuwający się na drugi plan wobec innych podniet, stanął mu znów przed oczyma w takim blasku uroków, że przesłonił całkowicie rywalkę jej — sławę.

Ostatni kawalerzysta zniknął już za północnem wzgórzem, gdy major zwrócił wreszcie konia w tym samym kierunku. Fanny miotana dziwnym niepokojem, nie mogąc znaleźć sobie miejsca, odważyła się wyjść na taras. Dzień był ciepły i pogodny, słońce świeciło jasno na bezchmurnem niebie. Po wrzawie, która do niedawna napełniała dolinę, nastąpiła głęboka cisza, i piękny krajobraz wyglądał tak, jak gdyby nigdy nieskażony zamętem ludzkich namiętności. Samotna chmura dymu wisiała nad polem walki, a i ta rozproszyła się wnet, nie pozostawiając śladu krwawych rozpraw ponad cichemi grobami ich ofiar. Wszystkie sprzeczne wrażenia, wszystkie burzliwe wypadki tego pamiętnego dnia zdawały się jakby marą chorej wyobraźni. Fanny odwróciła się, dostrzegła niknącą w oddali postać tego, który tak wybitną rolę odegrał na tej scenie, i złudzenie pierzchno. Poznała ukochanego, widok ten przywiódł jej na pamięć inne wspomnienia i wróciła do swego pokoju z sercem tak smutnem, jak smutną była w tej chwili dusza Dunwoodie'go.

ROZDZIAŁ IX.

„Przez chwilę zapatrzył się w dal, przez chwilę wdychał wiatr, przez chwilę słuchał wrzasku rosnącego w m'arę jak zbliżał się pościg; poczem gdy pierwszy wróg się ukazał, jednym potężnym susem przesadził chróst i pędząc wolny i niepowstrzymany dobiegł do wrzosowisk Uam-Varu.“

Walter Scott.

Oddział kapitana Lawtona śledził cofającego się ku statkom nieprzyjaciela z niesłabnącą ani na chwilę czujnością, nie mogąc jednak pochwycić najmniejszej, sprzyjającej atakowi sposobności. Doświadczony zastępca pułkownika Wellmere'a znał dobrze siłę przeciwnika i trzymał się wciąż nierównej powierzchni wzgórz, dopóki tylko było można. Trzeba jednak było wreszcie zejść w dół do rzeki. Zanim odważył się na ten krok niebezpieczny, sformował swych ludzi w zbity kwadrat, najeżony po zewnętrznych rogach bagnietami. Niecierpliwy kawalerzysta rozumiał dobrze, iż w takich warunkach i mając do czynienia z dzielnym żołnierzem, nie może liczyć na pomyślny skutek szarży, krążył więc tylko w pobliżu, patrząc z żalem, jak zwolna, lecz stale równym marszem posuwali się ku brzegowi. Niewielki dwumasztowiec, który ich tu przywiózł z miasta, czekał na nich ze zwróconemi w stronę łądu armatami. Lawton miał dosyć rozsądku by pojąć, że byłoby szaleństwem porywać się przeciwko takiemu połączeniu siły z przecznością, to też Anglicy wsiedli na statek bez przeszkody. Dragoni po-

zostali na brzegu do ostatniej chwili, poczem chcąc nie chcąc rozpoczęli odwrót do własnego obozowiska.

Wieczorne mgły zbierały się już w dolinie, gdy oddział Lawtona ukazał się ponownie u jej południowego wylotu. Jazda postępowała zwolna, rozciągnięta długą linią. Na czele jechał kapitan, a obok niego porucznik, zajęci żywą rozmową, a pochód zamykał młody kornet, nucący jakąś piosenkę i marzący o rozkoszach posłania ze słomy po ciężkich całodziennych trudach.

— Więc i ciebie to uderzyło? — mówił kapitan. — Od pierwszego rzutu oka przypomniałem ją sobie; takie twarze niełatwo się zapominają. Na honor, Tomie, dziewczyna przynosi zaszczyt dobremu gustowi majora.

— Przyniosłaby zaszczyt całemu wojsku — odrzekł porucznik z zapałem. — Te błękitne oczy mogłyby skusić człowieka do porzucenia naszego twardego zawodu. Prawdę rzekłszy, ja sam, gdyby tak na mnie życzliwie spojrzeła, byłbym gotów zamienić szablę i kulbakę na igłę do cerowania i damskie siodełko.

— Ależ to czysty bunt! — zawołał tamten ze śmiechem. — Jakto! ty, Tomie Mason, odważyłbyś się współzawodniczyć w miłości ze świetnym, podziwianym i w dodatku bogatym majorem Dunwoodie! Ty, porucznik kawalerji, mający za cały majątek konia i to nie najlepszego, ty, którego kapitan jest twardy jak szczapa i pada zawsze na przednie łapy jak kot?

— To prawda — rzekł tamten, śmiejąc się także — ale szczapę da się porąbać, a kocisko może tak paść, że się nie podniesie więcej, jeżeli często będziesz szarżował tak wściekle jak dzisiaj. Toć rozciągnąłeś się jak długi na ziemi. Istny cud, że konie nie wymłóciły z ciebie życia kopytami.

— Ach, nie wspominaj mi o tem, mój kochany, głowa mnie boli na samo to wspomnienie — odrzekł tamten wzruszając ramionami. — To się nazywa zobaczyć noc przy słońcu.

— Noc śmierci?

— Nie, luby Tomie, noc, która następuje po dniu. Zobaczyłem mirjady gwiazd, które przecież chowają się przed słońcem. Na honor, gdyby nie ta twarda czapka, myślę, że byłoby po mnie. Ale jak widzisz, ocalałem, na twoją pocięchę.

— Bardzo jestem obowiązany czapce — odpowiedział Mason sucho — choć nie wiem, czy i twardość czaszki nie odegrała tu pewnej roli.

— No, no, Tomie, ty sobie ze wszystkiego żartować musisz, a masz w sobie coś takiego, że się na ciebie gniewać nie można — odpowiedział kapitan dobrodusznie — ale, lękam się mocno, że porucznikowi Singletonowi lepiej się opłaci dzisiejsza robota niż tobie.

— Mam nadzieję, że nam obu los oszczędzi awansu kupionego kosztem śmierci towarzysza i przyjaciela — rzekł Mason serdecznie. — Sitgreaves zaręcza podobno, że Singleton żyć będzie.

— Dałby Bóg! — wykrzyknął Lawton. — Jak na takiego młokosa, ten chłopak nie ma sobie równego w dzielności. Dziwię się jednak, że skoro obaj spadliśmy jednocześnie, nasi ludzie spisali się tak gracko.

— Mógłbym ci podziękować za ten komplement — zawołał śmiejąc się porucznik — ale skromność mi na to nie pozwala; robiłem wszystko co mogłem, by ich powstrzymać, lecz bezskutecznie.

— Powstrzymać! — wrzasnął kapitan — chciałbyś powstrzymać jazdę w pełnym ataku!

— Zdawało mi się, że szarżują w złym kierunku — odpowiedział porucznik.

— A! nasz upadek pociągnął ich na prawo.

— Nie wiem, czy to był wasz upadek, czy ich własne obawy, lecz byliśmy w ładnym rozgardjaszu, dopóki nas major nie zebrał w kupę.

— Dunwoodie! przecież major jechał na karkach Niemców.

— Tak! ale udało mu się przejechać się po nich; wrócił właśnie z dwoma oddziałami i jak się rzuci po-

między nas i nieprzyjaciela, sformował nas w mgnieniu oka. Wtedy to — dodał porucznik z ożywieniem — zagnaliśmy John Bulla w lasy. O! to była szarża; lecieliśmy jak w powietrzu, dopóki nie wpadliśmy na nich jak burza.

— Do licha! jakież ja widok straciłem.

— Przespałeś go.

— Tak — odparł tamten z westchnieniem — straciliśmy go obaj, ja i biedny Jerzy Singleton. Ale, Tomie, co powie siostra Jerzego na tę jasnowłosą panią z tego białego dworu?

— Powiesi się na własnych podwiązkach — rzekł porucznik. — Jestem z całym szacunkiem dla moich zwierzchników, ale dwie takie piękności, to doprawdy za wiele na jednego człowieka, o ile nie jest Turkiem lub Hindusem.

— Tak, tak — podchwycił żywo kapitan — major prawi zawsze kazania moralności młodszemu, ale sam to zicha pęk! Uważałeś, jak lubi tę wioszczynę nad doliną. Gdybym ja tak dwa razy wrócił na ten sam postój, wszyscy byście zaraz weszli jakąś spódnice w powietrzu.

— Bo cię wszyscy znamy.

— No, no, Tomie, skłonność do oszczerstw jest nieuleczalną. Ale — tu podał się cały ku przodowi, jak gdyby to mu miało pomóc do rozróżnienia czegoś w ciemności — cóż to za zwierzę tam się rusza w polu na prawo?

— To człowiek — rzekł Mason, wpatrując się z natężeniem w podejrzany kształt.

— Z garbu wziąłbym go za dromadera — dodał kapitan, wciąż bystro śledząc go swym żbiczym wzrokiem.

Nagle skręcił z gościńca i wykrzyknął:

— To Harvey Birch! Bracę go żywym lub umarłym!

Tylko Mason i paru jadących przodem dragonów zrozumiało ten nagły wykrzyknik, usłyszano go jednak na całej linii. Dwunastu jeźdźców z porucznikiem na

czele pognało za porywczym Lawtonem, a błyskawiczny ich pęd groził ściganemu prędkiem zakończeniem gonitwy.

Birch przezornie siedział na skale, na której Henryk ujrzał go przelotem, dopóki ciemności wieczoru nie ogarnęły okolicy. Ze swego wyniosłego stanowiska widział wszystko, co się działo podczas dnia, jak na dłoni. Z bijącym sercem spoglądał na odjazd kawalerji pod Dunwoodie'm i z trudem hamował niecierpliwość, póki noc nie pozwoli mu bezpiecznie odzyskać swobody ruchów. Nie uszedł jednak czwartej części drogi, wiodącej do jego domu, gdy wprawne jego oko rozróżniło tętent nadciągającej jazdy. Ufny jednak w coraz gęstsze ciemności, postanowił iść dalej. Zgiął się tylko we dwoje i nawpół pełznąć, posuwał się jak mógł najprędzej. Kapitan Lawton był tak pochłonięty rozmową, że wbrew zwyczajowi nie rozglądał się na wszystkie strony, a kramarz, zmiarkowawszy po głosach, że wróg, którego się najbardziej obawiał, już go wyminął, nie mógł pohamować niecierpliwości i wyprostował się, by iść prędzej. W tej samej chwili dostrzeżono go, i rozpoczął się pościg. Na jedno mgnienie oka Birch stanął bezradny, krew ścięła mu się w żyłach na myśl o tak bliskiem niebezpieczeństwie, nogi odmówiły posłuszeństwa. Ale trwało to tylko chwilę. Rzuciwszy tobół na ziemię i instynktownie zacieśnwszy pasek, kramarz zaczął uciekać! Wiedział, że byle tylko dopadł skraju lasu, zginie goniącym go z oczu. Jakoż udało mu się to w części; wyęczał wszystkie siły, by dostać się w głąb lasu, gdy kilku kawalerzystów przejechało koło niego w niewielkiej odległości na lewo i odcięło go od tego miejsca schronienia. Kramarz padł plackiem na ziemię, i dragoni minęli go nie dojrzawszy. Ale zwłoka mogła się stać niebezpieczną. Powstał więc znowu i wciąż trzymając się w cieniu drzew, wzdłuż których słyszał nawołujące się do bacności głosy dragonów, pobiegł z niesłychaną szybkością, ale w przeciwnym kierunku.

Reszta ludzi Lawtona słyszała rozkaz pościgu, ale niewyraźnie, przystanęli więc nie wiedząc, co im czynić wypada. Właśnie wspomniany już kornet rozpytywał w tym względzie najbliższego jadącego dragona, gdy jakiś człowiek w pewnej odległości za nimi jednym susem przesadził drogę, a w tejże chwili stentorowy głos Lawtona rozległ się potężnym echem w dolinie.

— Harvey Birch! brać go żywym lub umarłym.

Pięćdziesiąt pistoletów błysnęło w ciemnościach, i kule ze świstem jęły przelatywać nad głową wiernego kramarza. Rozpacz ścisnęła mu serce i wykrzyknął z goryczą:

— Ścigany jak dzikie zwierzę!

Na chwilę życie wydało mu się ciężarem nie do zniesienia i już prawie był gotów zaniechać dalszej ucieczki. Natura jednakże zwyciężyła. Schwytany nie dostąpiłby zapewne zaszczytu badania i sądu, lecz najprawdopodobniej poranne słońce byłoby świadkiem jego haniebnej egzekucji, był już bowiem dawniej skazany na śmierć i tylko fortem uniknął tego losu. Względy te i zbliżający się pościg zbudziły w nim energję, i rzucił się znów do ucieczki. Na szczęście odłam parkanu, który dziwnym trafem uniknął spustoszenia wojny, zagroził mu drogę. Zaledwie zdążył przerzucić wyczerpane członki na drugą stronę, gdy około dwudziestu dragonów nadjechało pędem. Konie odmówiły skoku w ciemnościach, i kramarz, korzystając z zamętu, spowodowanego cofaniem się i wspinaaniem znarowionych nagle rumaków, i wrzasku kląjących na czem świat stoi dragonów, ubiegł jeszcze pewną przestrzeń i dojrzał skaliste wzgórze, którego wierzchołek mógł mu zapewnić bezpieczne schronienie. Serce Bircha zabiło znowu nadzieją, gdy nagle obił się mu o uszy głos Lawtona, krzyczący na żołnierzy, by się rozstąpili. Rozkaz spełniono, i nieustraszonego kawalerzysty, pędem dopadłszy parkanu, spiał konia ostrogami i przesadził zaporę jak wicher. Tymczasem okrzyki dragonów i tętent konia lodem ścięły

krw w żyłach kramarza. Był już zupełnie wyczerpany i los jego zdawał się nie ulegać dłużej wątpliwości.

— Stój lub zginiesz! — rozległo się tuż nad jego głową.

Harvey spojrział przez ramię i w blasku gwiazd ujrzał twarz człowieka, którego najbardziej się lękał, i podniesioną w górę szablę. Trwoga, rozpacz, wyczerpanie zwały go z nóg i padł u stóp kawalerzysty jak długi. Koń Lawtona potknął się o niego i runął na ziemię pociągając jeźdźca za sobą.

Z błyskawiczną szybkością Birch zerwał się na równe nogi z szablą oszołomionego upadkiem dragona w rękę. Zemsta jest jedną z najpotężniejszych namiętności ludzkich. Mało kto nie zaznał słodkiej pokusy odbicia swoich krzywd na ich sprawcach; są jednak tacy, którzy wiedzą, że o wiele słodsza rozkoszą jest dobrem za złe odpłacić.

Wszystko zło, jakiego Birch doświadczył od tego leżącego na ziemi człowieka, stanęło mu żywo w pamięci. Przez chwilę szatan wziął górę, szabla błysnęła nad głową bezbronnego kawalerzysty, lecz wnet opadła z brzękiem przy jego boku, a kramarz zniknął w cieniu zbawczej skały.

— Na pomoc kapitanowi Lawtonowi! — wołał nadjeżdżający z kilkunastu ludźmi Mason — a kilku z was niech zsiądzie z koni i obszukać mi te skały. Łotr musiał się tu gdzieś ukryć.

— Stój! — wrzasnął kapitan, dźwigając się z trudem na nogi — jeżeli który z was zsiądzie z konia, zginął. Tomie, mój drogi, pomóż mi wdrapać się znowu na kulbakę.

Zdumiony porucznik spełnił w milczeniu żądanie kapitana, a niemniej zdumieni dragoni siedzieli jak przyrośnięci do siodeł.

— Musiałeś się bardzo potłuc — rzekł Mason z czemś w rodzaju ubolewania w głosie, gdy wjechali znów na gościniec, i rzekłszy to, odgryzł czubek cygara w braku lepszego gatunku tytoniu.

— Coś w tym rodzaju — odparł kapitan z trudem chwyając oddech. — Szkoda, że niema tu gdzie pod ręką naszego zestawiacza kości; rozejrzałby się w stanie moich żeber.

— Sitgreaves został przy kapitanie Singletonie w domu pana Whartona.

— W takim razie jadę tam na nocleg, Tomie. W dzisiejszych twardych czasach nie można się bawić w ceremonie; zresztą może pamiętasz, że stary Wharton oświadczał się z wielką czułością dla wojska. Nie mogę pominąć tak dobrego przyjaciela, nie zatrzymawszy się u niego.

— A ja poprowadzę oddział na Cztery Kąty. Jeżeli pozostaniemy tam dłużej, ogłodzimy całą okolicę.

— Nie chciałbym się znaleźć w położeniu okolicy. Myśl o doskonałych ciasteczkach tej zacnej, starej panny osłodzi mi szpitalne godziny pod ich dachem.

— O! nie umrzesz, skoro możesz myśleć o jedzeniu — zawołał śmiejąc się Mason.

— Umarłbym z pewnością, gdybym o tem nie mógł myśleć — odpowiedział kapitan z powagą.

— Kapitanie Lawton — rzekł jego ordynans podjeżdżając — mijamy teraz dom tego szpiega kramarza; czy pan rozkaże go spalić?

— Nie! — wrzasnął kapitan takim głosem, że wystraszony sierżant aż się zatrząsł na siodle. — Czyś ty podpalacz, żeby tak puszczać domy z dymem? Niech tu jedna iskra padnie, a ręka, która ją rzuci, z pewnością żadnej już więcej nie zapali.

— No, no, — mruknął zaspany kornet, kiwając się na koniu — w kapitanie dosyć jeszcze życia pozostało, pomimo że, gdyby się inny tak grzmotnął, toby już nie było co zbierać.

Lawton i Mason jechali dalej w milczeniu, a ten ostatni dumał nad dziwną zmianą, jaka nastąpiła w kapitanie po jego upadku. Przybyli w ten sposób przed bramę wiodącą do rezydencji pana Whartona.

Dragoni pojechali dalej, a kapitan i porucznik zsiędli z koni i zwolna poszli ku domowi, a za nimi ordynans kapitana.

Pułkownik Wellmere znajdował się już w przeznaczonym dla niego pokoju; pan Wharton i jego syn zamknęli się u siebie, a panie częstowały herbatą chirurga, który, ułożywszy do snu obu swoich pacjentów, zażywał słusznie mu się należącego wytchnienia i posiłku.

Parę zapytań panny Peyton otworzyło duszę doktora; pokazało się, że znał całą jej liczną rodzinę w Wirginji, a nawet wyobrażał sobie, że ją samą kiedyś musiał spotkać, na co zacna stara panna uśmiechnęła się tylko, czując, że gdyby choć raz przedtem zobaczyła doktora, nie byłaby już nigdy mogła zapomnieć jego dziwacznej powierzchowności i niemniej dziwacznej obejścia. Jednakże zawiązana na ten temat rozmowa potoczyła się łatwiej, a raczej przeczył ją prawie sam doktor, panienki bowiem milczały, a i ciotka niewiele miała do powiedzenia.

— Otóż, jak mówiłem, szkodliwe wyziewy niskich gruntów czyniły plantację brata pani niezamieszkalną, ale co się tyczy czworonogów...

— Na Boga! co to? — zawołała panna Peyton bledniejąc, gdy odgłosy strzelaniny do Bircha obliły jej się o uszy.

— Brzmi to jak wstrząśnienie atmosfery, spowodowane eksplozją broni palnej — rzekł chirurg obojętnie, popijając herbatę. — Sądziłbym, że to oddział kapitana Lawtona powraca, gdybym nie wiedział, że kapitan nigdy nie używa broni palnej, a zato straszliwie nadużywa białej.

— Miłosierne nieba! — wykrzyknęła przestraszona stara panna — przecież nikomu teraz krzywdy nie wyrządzi.

— Krzywdy! — powtórzył doktor. — Gdzie się tylko kapitan Lawton wmiecha, tam nie może być mo-

wy o krzywdzie, lecz o pewnej śmierci. Rąbie naoslep, i żadne moje perswazje skutku nie odnoszą.

— Ależ kapitan Lawton jest oficerem, który tu był zrana, i zapewne przyjacielem pańskim — rzekła Fanny, spostrzegłszy przestrasz ciotki.

— Co się tyczy przyjaźni, nie mam mu nic do zarzucenia, i wogóle chłop niczego, gdyby się tylko nauczył ciąc umiejętnie. Wszystkim rzemiosłom trzeba dać żyć, proszę pań, a na cóż się przyda chirurg, jeżeli wszyscy jego pacjenci pomrą, nim ich opatrzy.

Doktor rozwodził się w dalszym ciągu nad prawdopodobieństwem i nieprawdopodobieństwem pochodzenia wystrzałów od powracającego oddziału kapitana Lawtona, gdy silne stukanie do drzwi frontowych przestraszyło na nowo pannę Peyton i jej siostrzenicę. Instynktownie kładąc rękę na małej piłce, którą cały dzień nosił przy sobie w daremnem oczekiwaniu amputacji, doktor upewnił panie, że stanie pomiędzy nimi i niebezpieczeństwem, i sam poszedł drzwi otworzyć.

— Kapitan Lawton! — wykrzyknął, ujrawszy kawalerzystę, który wsparty na poruczniku z trudem próg przestępował.

— Ach! kochany zestawiaczu kości, to pan? Bardzo szczęśliwie, że pana widzę, opatrzysz mój korpus; tylko proszę, połóż tę przeklętą piłę.

Mason w kilku słowach opowiedział przygodę kapitana, a panna Peyton ohotnie zajęła się pomieszczeniem nowego gościa. Podczas gdy przygotowywano dla niego pokój, a doktor wydawał rozkazy, zaproszono kapitana i porucznika, by sobie odpoczęli w jadalni.

Stojący na obrusie półmisek z jakąś mile woniącą potrawą zwrócił wnet uwagę obu dragonów. Panna Peyton pomyślawszy, że prawdopodobnie poza rannym posiłkiem przy tym samym stole rycerze ci nic więcej w ustach przez cały dzień nie mieli, zaprosiła ich uprzejmie do powtórnej uczty. Oficerowie nie dali sobie powtarzać tego dwa razy i zasiadłszy wygodnie,

pałaszowali aż miło; kapitan tylko krzywił się raz po raz, gdy za jakimś poruszeniem ból dawał mu się dotkliwiej we znaki. Nie przeszkodziło mu to wszelako współzawodniczyć z porucznikiem w objawach wilczego apetytu, gdy doktor powrócił, oznajmując, że wszystko już gotowe na przyjęcie go w pokoju na górze.

— Pan jesz! — zawołał zdumiony eskulap — kapitanie Lawton, czy pan koniecznie chcesz umrzeć?!

— Nie mam szczególnego pragnienia w tym kierunku — odparł kawalerzysta, wstając od stołu i kłaniając się paniom na dobranoc — i dlatego starałem się właśnie o podtrzymanie życia w ten oto sposób.

Chirurg mruknął coś gderliwie, i wszyscy trzej wyszli z jadalni.

Każdy dom w Ameryce owemi czasy posiadał tak zwany pompatycznie najlepszy pokój, i ten pod niewidzialnym wpływem Sary oddano pułkownikowi Wellmere'owi. Puchowy becik, tak pożądany w chłodną, jesienną noc posiniaczonym członkom, okrywał łóżko angielskiego oficera; srebrny kufel, bogato herbami Whartonów przyozdobiony, zawierał napój, jakim się miał rzeźwić w nocy, podczas gdy porcelanowe kubki pełniły tą samą powinność dla obu amerykańskich kapitanów.

Sara zapewne nie zdawała sobie sprawy z tego milczącego wyróżnienia angielskiego oficera, ale co się tyczy kapitana Lawtona, to wszystkie te dodatki, poza napojem były mu zupełnie obojętne, jako nawykłemu sypiać w ubraniu, a nierzadko na siodle.

Rozgościł się więc z zadowoleniem w małym, ale bardzo wygodnym pokoju, poczem doktor Sitgreaves przystąpił do zbadania stanu jego uszkodzeń. Ale za ledwie rozpoczął obmacywać członki pacjenta, ten wykrzyknął niecierpliwie:

— Sitgreaves, zrób mi tę łaskę i połóż tę przekłątą piłę, bo chwycę za szablę w samoobronie; sam jej widok ścina mi krew w żyłach.

— Kapitanie Lawton, jak na człowieka, który tak często narażał na szwank swoje członki i życie, strach pański przed tem tak bardzo użytecznem narzędziem jest wprost niepojęty.

— Niech mnie Bóg od jego użyteczności zachowa! — rzekł wzdrygnąwszy się kawalerzysta.

— Nie odrzuciłbyś pan jednak lekarskiej pomocy i nie wzgardził dobrodziejstwami nauki, dlatego że ta piłka mogłaby się okazać potrzebna.

— Owszem, odrzuciłbym i wzgardził.

— Doprawdy?

— Nieinaczej, nie dopuszczę nigdy, by mnie ówiartowano jak wołu, dopóki tylko potrafię się bronić — zawołał kapitan. — Ale już jestem śpiący; czy mam jakie żebro złamane?

— Nie.

— A kości?

— Także nie.

— Tomie, podaj mi proszę ten dzbanek.

Wychylił duszkiem napój i odwróciwszy się plecami do towarzyszy, rzekł dobrodusznie:

— Dobranoc Mason, dobranoc, doktorze!

Kapitan Lawton żywił głęboki szacunek dla chirurgicznej umiejętności doktora Sitgreaves'a, lecz odnosił się bardzo niedowierzająco do wszelkich wewnętrznych leków. Według niego człowiek z pełnym żołądkiem, zdrowem sercem i czystem sumieniem śmiało może stawić czoło światu i jego przeciwnościom. Natura obdarzyła go drugą z tychże zalet, i trzeba mu oddać sprawiedliwość, że gorliwie starał się o podtrzymanie pozostałych dwóch warunków. Lubił też powtarzać, że ostatnią rzeczą, jakiej się ima śmierć, są oczy, a przedostatnią szczęki, i tłumaczył to w ten sposób, iż natura wyraźnie sobie życzy, aby człowiek mógł sprawdzić wzrokiem wszystko co bierze do ust; jeżeli więc weźmie coś nieapetycznego, to już jest jego własna wina. Chirurg, dobrze świadomy tych poglądów swego pacjenta, spokojnie patrzył, jak ten od-

wrócił się tyłem do niego i Masona, ze wzdorliwym politowaniem schował do skórzanej szkatułki różne przyniesione ze sobą flaszeczki, triumfalnie wywinął piłką młynka w powietrzu i wyszedł, nie racząc odwzajemnić się Lawtonowi życzeniem dobrej nocy. Mason, usłyszawszy, że kapitan już chrapać zaczyna, pośpieszył pożegnać panie, poczem dosiadł konia i galopem popędził za oddziałem.

ROZDZIAŁ X.

„Na kochającej piersi pragnie spocząć odlatująca dusza; gasnące oczy proszą o parę łez żalu. Bo nawet z grobu odzywa się głos natury, i nawet w popiołach naszych tleją dawne ognie.”

Gray.

Posiadłość pana Whartona rozciągała się na dość znacznej przestrzeni po obu stronach mieszkalnego domu, a większość gruntów leżała odłogiem. Tu i owdzie jakiś nawpół rozwalony budynek chylił się szybko do upadku, niepodtrzymany troskliwą ręką gospodarza ani niewydzierzawiony. Bliskość wojennych zapasów kładła tamę wszelkim prawie gospodarskim zabiegom w okolicy. Pocóż było trudzić się uprawą roli i zwozić zboże do spichrza, kiedy pierwszy furazujący oddział opróżniał go doszczętnie. Siano więc i zbierano tyle tylko, ile było potrzeba na własny użytek, wyjąwszy te gospodarstwa, które leżały w zbyt bliskim sąsiedztwie nieprzyjacielskich obozów, by się mogły obawiać najścia lekkich oddziałów przeciwnej strony. Tym wojna zapewniała złote żniwo, zwłaszcza gdy właściciele ich mieli dostęp do królewskiej armji. Pan Wharton nie potrzebował trudzić się uprawą roli dla zysków, chętnie więc przyjął ostrożną taktykę bieżącej chwili i ograniczał swe gospodarskie zabiegi tylko do artykułów, potrzebnych do szybkiego, domowego użytku, lub dających się łatwo ukryć przed zaborczym okiem furazystów. Wskutek tego na gruncie, na którym toczyła się bitwa, nie było ani jednego zamieszka-

nego budynku prócz sadyby Harveya Bircha. Domek ten stał mniej więcej pośrodku między miejscem spotkania kawalerji a tem, gdzie nastąpił atak na oddział Wellmere'a.

Dla Katy Haynes był to dzień, obfitujący w wypadki. Roztropna gospodyni zachowywała bezwzględna neutralność na punkcie politycznych przekonań. Rodzina jej trzymała ze stronnictwem narodowem, lecz ona sama nigdy nie traciła z uwagi tej ważnej chwili, kiedy, jak wiele innych kobiet żywiących ambitniejsze nadzieje, może być wezwaną do poświęcenia miłości ojczyzny na ołtarzu domowego szczęścia. Jednakże pomimo całej jej przezorności bywały chwile, w których doletnia ta dziewica miewała poważne wątpliwości, na jaką szalę rzucić ciężar swej wymowy, aby być pewną, że podtrzymuje tę sprawę, której służy wędrowny kramarz Harvey Birch. Jego obejście i postępowanie było tak dwuznaczne, że często, gdy w ciszy ich domowego życia chciała wystąpić z filipiką przeciw Washingtonowi i jego stronnikom, ostrożność zamykała jej usta i podejrzenia opanowywały umysł. Krótko mówiąc, całe zachowanie się tego tajemniczego człowieka było tego rodzaju, że mogło wprowadzić w błąd wiele bystrzejszego i szersze poglądy na ludzi i życie mającego obserwatora, niż gospodyni Birch'ów.

Bitwa na Równiach wykazała bystremu Washingtonowi całą wyższość, jaką nieprzyjaciel posiadał nad nim pod względem organizacji, broni i karności wojskowej. Były to trudności, które tylko jego własna czujność i zabieglivość-mogła zwalczyć. Ściągnawszy wojska z gór do północnej części kraju, stawiał czoło atakom armji królewskiej, i sir William Howe musiał się cofnąć i poprzestać na wątpliwych korzyściach swych zdobyczy, jakie przedstawiało opustoszałe miasto. Nigdy już potem obie armje nie zmierzyły się ze sobą na gruncie West-Chesteru, ale rzadko kiedy miął dzień bez partyzanckich wycieczek i rzadko kiedy

wstało słońce, by oczom mieszkańców nie przedstawił się obraz spustoszeń dokonanych pod osłoną nocy.

Kramarz odbywał wędrówki swe przeważnie w godzinach, w których inni spoczywali. Zachód słońca często zostawiał go w jednym końcu hrabstwa, a wschód zastawał w drugim. Tobół z towarami towarzyszył mu wszędzie, i ci którzy bacznie obserwowali go w chwilach handlu, byli głęboko przekonani, że jedynym jego celem jest zbieranie złota. Często widywano go w pobliżu gór zgiętego pod ciężarem olbrzymiej paki, to znów koło rzeki Harlem, postępującego lżejszym krokiem, z twarzą zwróconą ku zachodzącemu słońcu. Ale to zdarzało się rzadko i przelotnie. Co robił w międzyczasie, tego żadne oko wysledzić nie mogło. Przepadał przez całe miesiące bez śladu.

Wyżyn Harlemu strzegły silne oddziały, a północny kraj wyspy Manhattan jeżył się bagnietami angielskich straży, mimo to kramarz prześlizgiwał się pomiędzy niemi szczęśliwie, nie zwracając na siebie uwagi. Przybliżał się też często do amerykańskich linii, ale zazwyczaj tak ostrożnie, iż nie narażał się na pościg. Niejeden wartownik, stojący u wylotu górskich rozpadlin, mówił o jakiejś tajemniczej, obcej postaci prześlizgującej się koło niego w nocnych cieniach. Opowieści te dochodziły do uszu oficerów, i jak już wspomnieliśmy, kramarz dwukrotnie wpadł w ręce Amerykanów. Pierwszy raz wymknął się Lawtonowi, wrędcę po zaaresztowaniu; ale za drugim razem skazano go na śmierć. Jednak tego poranku, kiedy miała się odbyć egzekucja, znaleziono klatkę otwartą, a płaszek z niej wyfrunął. Ta nadzwyczajna ucieczka odbyła się w nadzwyczaj dziwnych warunkach, gdyż pieczę nad więźniem miał jeden z ulubionych oficerów Washingtona i postawił strażę złożoną z najzaufańszych ludzi, których uważano za godnych strzec osoby samego naczelnego wodza. Przekupstwo i zdrada były w tym wypadku niedopuszczalne, i pomiędzy żołnierstwem

ustaliło się mniemanie, że kramarz ma stosunki z nieczystymi siłami. Katy z oburzeniem zwalczała zawsze tę opinię, głównie dlatego, iż zastanawiając się nad wszystkim, doszła do przekonania, że zły duch złotem nie płaci. W jej pojęciu nie można też było posądzać o to Washingtona, gdyż papier i obietnice było to wszystko, czem wódz wojsk amerykańskich mógł rozporządzać.

Po przymierzu z Francją, gdy srebro napłynęło obficie, Katy nie natrafiła nigdy na oblicze króla Ludwika zamieszane pomiędzy dobrze znajome rysy Jerzego III-go w owej skórzanej sakiewce kramarza, której, jeżeli się tylko nadarzyła sposobność, ciekawa gospodyni nie omieszkała nigdy zrewidować. Krótko mówiąc, ukryte skarby Harveya świadczyły dostatecznie o angielskim pochodzeniu.

Amerykanie nachodzili różnemi czasy domek Bircha z zamiarem aresztowania go, ale zawsze bezowocnie; wrzekomy szpieg miewał zawsze jakieś tajne wskazówki, obracające wniwecz ich plany. Raz gdy silny oddział lądowej armji obozował przez całe lato w Czterech Kątach, sam Washington wydał rozkaz, by ani na chwilę nie spuszczano z oka drzwi domu Harveya Bircha. Zastosowano się ściśle do tego rozkazu, lecz przez cały ten długi przeciąg czasu kramarz nie pokazał się ani razu; natomiast skoro tylko oddział został odwołany, Birch wrócił następnej nocy. Ojciec Harveya miał wiele przykrości z powodu podejrzanej opinii syna. Ale pomimo najdrobiazgowszego śledztwa nie dało się wykryć nic w postępowaniu starca, coby mogło świadczyć na jego niekorzyść, a mienie jego przedstawiało zbyt małą wartość, by trzymać w naprężeniu gorliwość zawodowych patriotów. Konfiskata i kupno nie byłyby im opłaciły trudów. Wiek i troski miały mu wkrótce oszczędzić dalszych nagabywań, lampa życia dogasała szybko. Ostatnia rozłąka ojca z synem była bardzo bolesną, obaj jednak ulegli temu, co uważali za swój obowiązek. Starzec tań się ze

swym beznadziejnym stanem przed sąsiadami, sądząc, iż dzięki temu danem mu będzie spędzić ostatnie chwile umilone obecnością syna. Zamęt i wrzawa bitwy, objające się o ubogie ściany domku, i obawa że Harvey może przybyć za późno, przyspieszyły koniec, który tak pragnął odwlec jeszcze trochę. Z nadejściem nocy stan starca tak się pogorszył, że wystraszona gospodyni posłała chłopca, który schronił się do nich przed bitwą, do Akacji, prosząc, by ktośkolwiek przyszedł dotrzymać jej towarzystwa. Nikt inny prócz Cezara nie mógł się ruszyć z domu, i litościwa panna Peyton wyprawiła go, obładowawszy żywnością i różnymi lekami. Ale umierający już nic nie przyjmował, i tylko nadzieja zobaczenia syna utrzymywała go jeszcze przy życiu.

Wrzawa pościgu obita się także o uszy mieszkańców domku, ci jednak nie zrozumieli jej przyczyny, a ponieważ murzyn i Katy wiedzieli, że oddział amerykańskiej jazdy znajduje się jeszcze w pobliżu, sądzili przeto, że to wracający dragoni sprawiają taki hałas. Jakoż usłyszeli ich wkrótce przeciągających zwolna koło domu; Katy byłaby chętnie wyrzała, lecz ostrożny Cezar odradził jej to skutecznie. Stary Birch zamknął oczy, i czuwający przy nim myśleli, że usnął. Domek składał się z dwóch dużych izb i tyłuż małych. Jedna z tych pierwszych służyła za kuchnię i bawialnię, w drugiej leżał ojciec Bircha, zaś z mniejszych jedna była sanktuarjum westalki, a w drugiej mieściły się zapasy. Wielki, kamienny komin stał pośrodku, dzieląc obie izby, a paleniska odpowiednich rozmiarów znajdowały się po obu stronach. W izbie gościnnej płonął obfity ogień, i tuż przy nim siedzieli razem Cezar i Katy. Murzyn pouczał gospodynię ostrożności, rozwodząc się nad niebezpieczeństwami, jakie za sobą pociąga próżna ciekawość.

— Lepiej nie kusić szatana — mówił Cezar przewracając oczami, których białka połyskiwały przy blasku ognia. — Ja sam mało nie stracić ucho, że za-

nieść mały liścik. Dużo niedobrze sprowadzać ciekawość. Gdyby nie było człowiek ciekawy zobaczyć Afryka, kolorowi ludzie siedzieliby dotąd we własny kraj. Ale byłoby dobrze, żeby Harvey wrócić.

— Bardzo to nierozważnie z jego strony być poza domem w takiej chwili — rzekła Katy. — Przypuśćmy, że ojciec jego chciałby teraz zrobić testament. Któżby się podjął spisać tę ostatnią wolę umierającego? O! tak, Harvey jest bardzo nierozważny.

— Może go zrobić wprzód?

— Nicby w tem nie było dziwnego — odrzekła gospodyni. — Po całych dniach tylko patrzy w Biblię.

— To czytać bardzo dobra książka — rzekł murzyn uroczyście. — Miss Fanny czytać ją czasem dla Dina.

— Masz słuszność, Cezarze. Biblia jest najlepszą książką, a kto ją czyta tak często jak ojciec Harveya, musi mieć dobre potemu powody. To prosty rozum wskazuje.

Wstała i otworzywszy pocichu szufladę komody stojącej w pokoju chorego, wyjęła z niej dużą Biblię w ciężkiej oprawie z mocnymi mosiężnymi klamrami i powróciła z nią do drugiej izby, poczem oboje z murzynem zabrali się żywo do przeglądania stronic księgi. Katy nie była biegłą w sztuce czytania, a Cezar nie znał ani jednej litery. Czas jakiś gospodyni sylabizowała pracowicie wyraz „Mateusz”, a dokonawszy tego z triumfem, zwiastowała wynik swych usiłowań murzynowi.

— Bardzo dobrze — rzekł Cezar, zaglądając przez ramię gospodyni i trzymając długą, łojową świecę w taki sposób, by rzucała swe wątle światło na księgę — a teraz czytać.

— Tak, ale muszę zacząć od samego początku książki — odrzekła Katy i poczęła ostrożnie przewracać kartki, aż natrafiła na stronicę całkowicie zapisaną. — Mam — zawołała, dygocąc z niecierpliwości —

mam, a doprawdy chciałabym wiedzieć, komu też zapisał te duże, srebrne sprzączki do trzewików.

— Czytać — rzekł lakonicznie Cezar.

— I komodę z czarnego orzecha, bo Harveyowi nic po takim sprzęcie, dopóki się nie ożeni.

— Czemu nie, jeżeli jego ojciec to potrzebował!

— I pół tuzina srebrnych łyżek stołowych; Harvey zawsze je żelazną.

— Lepiej tyle nie mówić, a czytać — rzekł sentencjonalnie murzyn, wskazując pokrzywionym, czarnym palcem na otwartą księgę.

Ulegając tej rozsądnej radzie i powodowana własną ciekawością, Katy zaczęła czytać. Pragnąc czem prędzej dotrzeć do najbardziej interesującej ją części, wpadła odrazu w sam środek treści.

— „Chester Birch, urodzony 1-szego września 1755” — przesyłabizowała z powolnością nie przynoszącą zaszczytu jej wiedzy.

— No, co jeszcze zapisać?

— „Abigail Birch, urodzony 12-go lipca 1757” — czytała dalej gospodyni w ten sam sposób.

— Pewno jej zapisać te łyżki.

— „Pierwszy czerwca 1760. W ten dzień straszliwy Ręka obrażonego Boga dotknęła mój dom....”

Tu dał się słyszeć ciężki jęk z przyległego pokoju. Katy mimowoli zamknęła księgę, a Cezar zatrzęsł się z trwogi. Żadne z nich jednak nie odważyło się zajrzeć do chorego, lecz utrudniony jego oddech, dochodzący do ich uszu, świadczył, że jeszcze żyje. Katy mimo to nie śmiała już otworzyć Biblii, lecz zamknawszy starannie klamry, położyła ją w milczeniu na stole. Cezar usiadł znów na krześle i rozejrzawszy się nieśmiało po izbie, zauważył:

— Myślałem, że już czas jego nadchodzić.

— Nie — rzekła Katy uroczyście — żyć będzie, dopóki nie nastąpi odpływ, lub dopóki pierwsze kury nie zapieją.

— Biedny człowiek — rzekł murzyn, przysuwając się bliżej do komina. — Byle tylko leżeć spokojnie, gdy już umrzeć.

— Nie dziwiłabym się, gdyby i w grobie nie zaznał spokoju, bo powiadają, jakie życie taka śmierć.

— Johnny Birch bardzo dobry człowiek. Wszyscy ludzie nie móc być ksiądz, bo gdyby tak, to ktoby słu-chać nabożeństwo?

— Ach, Cezarze! ten tylko jest dobry, kto czyni dobrze; a czy możesz mi powiedzieć, czemu uczciwie zdobyte złoto mogłoby być schowane we wnętrzu ziemi?

— Ha! może dlatego, by go skinner nie znaleźć; jeżeli wiedzieć, gdzie jest, to czemu je nie wykopać!

— Mogą być potem niezrozumiałe dla ciebie powody — rzekła Katy, posuwając się z krzesłem, tak aby suknia jej przykryła kamień, pod którym leżały skarby kramarza, i nie mogąc się powstrzymać od mówienia o tem, z czem jednak nie chciała się wydać, dorzuciła:

— Bywa tak, że co szorstkie na wierzchu, to gładkie pod spodem.

Cezar rozejrzał się znów po izbie, nie mogąc pojąć ukrytego znaczenia tych słów, gdy znów zatrzęsł się ze strachu. Katy zauważyła zmianę jaka zaszła w jego twarzy, i odwróciwszy się, zobaczyła kramarza stojącego we drzwiach.

— Żyje? — zapytał Birch drżącym głosem, i widocznie lękając się usłyszeć odpowiedź.

— A jakże — odpowiedziała Katy wstając szybko i usłużnie podając mu krzesło — musi żyć do świtania, lub dopóki odpływ nie nastąpi.

Ale kramarz nic nie rzekł i wszedł pocichu do izby umierającego ojca. Niezwykle silny węzeł łączył tych dwóch ludzi. Wzajemnie byli sobie wszystkim na świecie. Gdyby Katy była przeczytała kilka wierszy więcej, smutne dzieje ich nieszczęść byłyby jej się

stały wiadome. Jeden straszny cios pozbawił ich mię-
nia i rodziny, i od owej chwili aż po dziś dzień prze-
śladowania i kłęski towarzyszyły ich tułaczym krokom.

Przystąpiwszy do łóżka, Harvey pochylił się nad
umierającym, i ledwo dosłyszalnym głosem wyszeptał:

— Ojcie! poznajesz mnie?

Chory z trudem otworzył oczy i uśmiech zadowo-
lenia przemknął po jego wybladłym obliczu, pozosta-
wiając po sobie tem okropniejsze piętno śmierci. Har-
vey przytknął do wyschłych ust ojca trzeźwiący śro-
dek, jaki przyniósł ze sobą, i nowe siły zdawały się
wstępować w zastygające już ciało starego Bircha. Za-
czął mówić zwolna i z trudnością. Zaciekawiona Katy
milczała; toż samo przerażony Cezar, a Harvey wstrzy-
mywał oddech, słuchając ostatnich słów konającego.

— Mój synu — mówił on bezdźwięcznym gło-
sem — Bóg jest równie miłosierny jak sprawiedliwy;
jeżeli odtrąciłem czarę zbawienia od moich ust w mło-
dości, On litościwie podaje mi ją teraz. Doświadcział
mnie, by oczyścić, i oto teraz idę połączyć się z du-
chami naszej utraconej rodziny. Wkrótce, dziecko
moje, sam pozostaniesz na świecie. Znam cię zbyt do-
brze, by nie przewidzieć, że do końca życia będziesz
pielgrzymem. Zdeptana trzcina może trwać, ale się nie
podniesie. Masz w sobie to, Harveju, co cię prowa-
dzić będzie prawą drogą. Postępuj tak dalej, jakieś za-
czął, bo nie trzeba nigdy zaniedbywać obowiązków
życia i...

Tu hałas jakiś w sąsiedniej izbie przerwał umie-
rającemu, a zniecierpliwiony kramarz pośpieszył zba-
dać jego przyczynę, mając za sobą Katy i murzyna.
Pierwszy rzut oka na stojącą we drzwiach postać po-
wiedział Harveyowi, czego chce ów przybysz i jaki los
czeka prawdopodobnie jego samego. Niepożądany
gość był to człowiek młody jeszcze latami, lecz złe na-
miętności poorały w przedwczesne brzozy jego oblicze.
Odzież jego była z najlichszych materiałów i tak po-

łachmaniona i brudna, by nadać mu pozór sztucznego ubóstwa. Włosy zbieleły mu przedwcześnie, a zapadłe oczy patrzyły z podelbą, unikając śmiałego spojrzenia uczciwości. Było coś dziwnie niespokojnego w jego ruchach, coś co zdradzało nurtujące w nim nikczemne żądze, sprawiając nieopisanie odpychające wrażenie.

Człowiek ten był dobrze znanym hersztem jednej z owych band rozbójniczych, grasujących po hrabstwie West-Chester pod osłoną wrzekomego patriotyzmu i dopuszczających się wszelkich zbrodni poczynając od prostej kradzieży, a kończąc na morderstwach. Za bandytą stało kilku innych opryszków tak samo obszarpanych, twarze ich wszelako wyrażały jedynie obojętność brutalnej nieczułości. Wszyscy byli uzbrojeni w muszkiety, bagnety i inne przybory piechotnych żołnierzy. Harvey zrozumiał, że wszelki opór na nic się nie przyda, i spokojnie poddał się ich rozkazom. W mgnieniu oka zdjęto jemu i Cezarowi ich przyzwoitą odzież i przebrano w łachmany dwóch najwstrętniejszych obszarpańców z całej bandy. Herszt kazał im następnie stanąć w dwóch przeciwległych kątach izby i podczas gdy jego towarzysze trzymali wycelowane w nich muszkiety, rozpoczął badanie.

— Gdzie jest twój toból? — zapytał przede wszystkim kramarza.

— Posłuchaj — rzekł Harvey, drżąc ze wzruszenia — tam w drugiej izbie kona mój ojciec, pozwól mi iść do niego, otrzymać jego ostatnie błogosławieństwo, zamknąć mu oczy, a oddam ci wszystko — wszystko!

— Odpowiadaj na pytania — albo ten muszkiet pośle cię dotrzymywać towarzystwa staremu niedołdze. Gdzie jest twój toból?

— Nie powiem ci nic, dopóki mi nie pozwolisz iść do ojca — odrzekł kramarz stanowczo.

Bandyta z szatańskim uśmiechem podniósł broń, by spełnić groźbę, gdy wstrzymał go jeden z towarzyszy.

— Co chcesz uczynić? — rzekł. — Zapomniałeś o nagrodzie. Powiedz nam ty, psi synu, gdzie chowasz towary, a będziesz mógł iść do ojca.

Birch natychmiast spełnił żądanie. Wysłany po tobół opryszek wrócił wkrótce, i rzucił go na ziemię, klęcząc, że lekki jest jak piórko.

— Oho! zawołał herszt — a gdzie są pieniądze za towary? Daj nam twoje złoto, panie Birch; wiemy, że je masz, nie wywiedziesz w pole ładowców.

— Nie dotrzymujesz przyrzeczenia — rzekł Harvey.

— Daj nam złoto — krzyknął tamten, kłując go bagnetem, aż krew trysnęła obficie. W tej chwili lekki szmer dał się słyszeć w sąsiedniej izbie, a Harvey zawołał błagalnie:

— Puść mnie! puść mnie do ojca, a oddam ci wszystko.

— Przysięgam, że pójdziesz wtedy do ojca — rzekł bandyta.

— Więc masz — zawołał Birch, rzucając mu sakiewkę, którą pomimo zamiany odzieży zdołał ukryć.

Rabuś podniósł ją z ziemi, zaśmiaawszy się szatańsko.

— Pójdziesz do ojca, ale na tamtym świecie.

— Potworze! nie masz ty żadnej wiary, żadnych ludzkich uczuć?

— Słuchając go, myślałby kto, że gagatek nie miał już powroza na szyi — rzekł tamten, śmiejąc się. — Nie martw się, panie Birch, jeżeli twój stary wyprzedzi cię o parę godzin, dopędzisz go jutro przed południem, bądź pewny.

Słowa te nie sprawiły żadnego wrażenia na kramarzu, który cały w słuch zamieniony, chwycił każdy szelest dolatujący z pokoju ojca. Wtem własne jego imię wymówione głuchym, grobowym głosem, obilo mu się o uszy. Birch nie mógł dłużej wytrzymać i krzyknawszy:

— Ojcze, cicho, ojcze! idę — idę! — poskoczył z kąta, lecz bagnet pilnującego go opryszka, przyszpilił go do ściany. Na szczęście szybkim ruchem uchylił się od godzącego w jego życie pchnięcia, i ostrze przebiło tylko odzież.

— Nie, panie Birch — rzekł bandyta — wiemy aż nadto dobrze, jaki z ciebie szczwany lis, by cię stracić z oczu. Złoto, mówię, dawaj złoto.

— Masz je już — rzekł kramarz, łamiąc rozpaczliwie ręce.

— E! mamy sakiewkę, ale ty masz więcej sakiewek. Król Jerzy jest dobrym płatnikiem, a tyś mu niejedną oddał usługę. Gdzie są twoje ukryte skarby? Jeżeli nie powiesz, nie zobaczysz już ojca.

— Podnieście kamień, z pod tej kobiety — zawołał kramarz bez wahania — podnieście kamień!

— On bredzi — zawołała Katy, instynktownie zmieniawszy miejsce.

Błyskawicznie wyrwano kamień i znaleziono pod nim tylko ziemię.

— On bredzi! strach pomieszał mu rozum — krzyczała gospodyni, drżąc na całym ciele. — Słyszał kto, żeby człowiek przy zdrowych zmysłach chował złoto pod kamień?

— Milcz, głupia paplo! — zawołał Harvey. — Podnieście kamień w rogu, a co znajdziecie, wystarczy, żeby zrobić z was bogaczy, a ze mnie nędzarza.

— A wtedy co ty będziesz wart! — rzekła gospodyni z goryczą. — Co wart kramarz bez towarów i pieniędzy!

— Zostanie mu jeszcze dosyć, by sobie zafundował stryżek — rzekł bandyta, który idąc za wskazówkami Harveya wprędce znalazł garnek z angielskimi gwinejami.

Przesypano złoto z garnka do woreczka, pomimo zaręczeń gospodyni, że nie ma zapłaconych zasług i że z prawa dziesięć gwinei jest jej własnością.

Uszczęśliwieni łupem, przewyższającym wszelkie ich oczekiwania, rabusie zbierali się do odejścia, zamierzając wziąć ze sobą kramarza, by go wydać amerykańskiemu wojsku i otrzymać wyznaczoną za schwytanie go nagrodę.

Wszystko już było gotowe, i mieli właśnie siłą zabrać Bircha, ten bowiem dobrowolnie krokiem ruszyć się nie chciał, gdy w izbie stanęła postać, której widok lodem ściał krew w żyłach najodważniejszego z pomiędzy nich. Ojciec, usłyszawszy krzyki syna, zwałókl się z łóżka i chwiejnym krokiem stanął pośrodku izby. Owinięty w białe prześcieradło z osłupiałemi oczyma i trupio bladą twarzą, wyglądał jak widmo z tamtego świata. Nawet Katy i Cezar byli pewni, że to duch starego Bircha, i uciekli z domu, a za nimi pierzchli wystraszeni bandyci.

Harvey wziął na ręce starca, który osłabł znowu, tracąc resztki sił sztucznie wywołanych, i zaniósł go zpowrotem na łóżko. Ale wysiłek ten przyspieszył koniec.

Szklisty wzrok starca tonął w twarzy syna, usta poruszały się bezdźwięcznie. Harvey pochylił się nad nim i z ostatniem tchnieniem ojca otrzymał jego błogosławieństwo. Niedostatek i krzywdy zaprawiły goryczą całą niemal przyszłość kramarza. Ale wśród cierpień i klęsk przeróżnych wspomnienie tego błogosławieństwa nie opuszczało go nigdy. Świeciło ono wciąż wskroś obrazów przeszłości i rzucało święty blask na najczarniejsze godziny jego życia, krzepiąc go myślą, że duch ojca modli się za niego u stóp Stwórcy, i niosąc słodkie przeświadczenie, że wiernie i gorliwie wypełnił do ostatka synowskie obowiązki.

Cezar i Katy byli tak wystraszeni, że uciekali, gdzie ich oczy niosły, instynktownie jednak odbili się od rozbójniczej bandy. Po pewnym czasie wszelako przystanęli, a doletnia dziewica przemówiła uroczystym głosem:

— O! Cezarze! jakie to straszne, że wstał po śmierci, nim go do grobu złożono. To pewno pieniądze to sprawiły. Powiadają, że kapitan Kidd wciąż chodzi wedle miejsca, gdzie zakopał złoto podczas dawnej wojny.

— Ja nigdy nie myśleć, że Johnny Birch mieć takie wielkie oko — rzekł murzyn, ze strachu szczękając zębami.

— Jest z czego skonać, gdy się straci tyle pieniędzy. Co się teraz stanie z Harveyem? W żebraka się obróci i tyle. Kto mu teraz będzie chciał gospodarować!

— Może widmo też zabrać i Harvey — zauważył murzyn przysuwając się bliżej do Katy. Ale tej nowa myśl przyszła do głowy. Wydało jej się rzeczą dość prawdopodobną, że bandyci zostawili swój łup w zamęcie ucieczki, i po niejakiach certacjach z Cezarem, oboje postanowili wrócić, by się upewnić co do tej ważnej sprawy i zobaczyć, co się stało z kramarzem. Zwolna i z niesłychanymi ostrożnościami zaczęli się skradać ku domowi, a ponieważ przezorna gospodyni obrała tę samą drogę, którą uciekali bandyci, oglądała więc każdy kamień, każdy krzaczek, czy gdzie przypadkiem nie znajdzie porzuconego złota. Ale pomimo pośpiechu i strachu rabusie unieśli zdobycz w całości. Śmierć tylko mogła im ją była wydrzeć. Ośmielona trochę panującą dokoła ciszą i spokojem, Katy weszła wreszcie do domu i zastała kramarza oddającego z ciężkiem sercem, ostatnie posługi zmarłemu. Parę słów Harveya wyjaśniło gospodyni jej pomyłkę, ale Cezar do końca życia miał czem zdumiewać wieczorami swe kuchenne audytorjum, opowiadając o widmach i strasznie ukazaniu się starego Bircha po śmierci.

Niebezpieczeństwo, grożące kramarzowi, zmusiło go do skrócenia i tak krótkiego czasu, w jakim według amerykańskich zwyczajów ciała muszą być pochowane. Wprędce więc przy pomocy Katy i Cezara wszystko

było gotowe do pogrzebu. Cezar poszedł zamówić trumnę u mieszkającego o parę mil stolarza, a zwłoki przybrane w zwykłą odzież i okryte starannie przścieradłem leżały tymczasem na łóżku.

Bandyci schronili się do pobliskiego lasu i tam dopiero pod bezpiecznym cieniem jego drzew odetchnęli i nabrali otuchy.

— Co u diabła podkusiło wasze zajęcze serca! — krzyknął rozzłoszczony herszt, oddychając ciężko.

— To samo pytanie możnaby tobie zadać — odparł mrukliwie jeden z bandy.

— Po waszym przestרחu zmiarkowałem, że ludzie De Lancey'a naszli nas. O! dzielni z was rycerze! niema co mówić!

— Idziemy za przykładem naszego kapitana.

— W takim razie wracajcie za mną, schwytajmy tego łotra i odbierzmy nagrodę.

— Właśnie, a zanim dojdziemy, tamten czarny djabł naprowadzi na nas tych wściekłych Wirgińczyków, a na mą duszę wolałbym się spotkać z pięćdziesięciu cow-boyami niż z jednym z nich.

— Głupcze! — krzyknął rozwścieczony herszt — nie wiesz to, że jazda Dunwoodie'go jest w Czterech Kątach, stąd o dwie mile?

— Nie dbam o to, gdzie są dragoni, ale przysięgnę, że widziałem kapitana Lawtona, wchodzącego do domu starego Whartona, kiedy tam myszkowałem, czatując na sposobność wyprowadzenia konia angielskiego pułkownika ze stajni.

— A choćby tak, czy to kula nie trafia tak samo dragona z południa jak ze starej Angliji?

— Dziękuję uniżenie, ale ja nie chcę wsadzać nosa w gniazdo szerszeni; tknij tylko jednego z tych Wirgińczyków, a już przepadły spokojne noce furazowania.

— Ano — mruknął herszt, gdy szli dalej w głąb lasu — ten dureń kramarz zostanie, póki starego nie

pochowa, a choć nie możemy zakrzywić na niego palcem podczas pogrzebu (bobyśmy obruszyli na siebie wszystkich księży i wszystkie stare baby w całej Ameryce), to on musi przecież zająć się potem swemi ruchomościami, więc przyłapiemy go jutro niewątpliwie.

I z tą pogroźką udali się na zwykłe swe legowiska, by przeczekać dzień, aż zapadające ciemności pozwolą im znów grasować bezpiecznie po okolicy.

ROZDZIAŁ XI.

„O! biada! O nieszczęsny, nieszczęsny, nieszczęsny dniu! O najopłakańszy, najnieszczęśliwszy dniu, jaki kiedykolwiek widziałem. O dniu! o dniu! o dniu! O nienawistny dniu! Dniu najczarniejszy ze wszystkich dni. O! dniu nieszczęsny! O! nieszczęsny dniu!”

S z e k s p i r.

Mieszkańcy Akacji spędzili noc, śpiąc lub czuwając, w zupełnej nieświadomości zaszłych w domku Bircha wypadków. Napady skinnerów odbywały się zawsze tak znienacka i pokryjomu, że napadnięci nie mogli liczyć nietylko na pomoc sąsiadów, ale często i na ich późniejsze współczucie, którego okazaniu obawa o własne bezpieczeństwo stawała na przeszkodzie.

Dodatkowe zajęcia skłoniły pannę Peyton i jej siostrzenicę do wcześniejszego opuszczenia łóżek, a kapitan Lawton, pomimo że potłuczony i obolały na całym ciele, wstał także, wierny zasadzie sypiania nie dłużej nad sześć godzin naraz; był to jeden z niewielu punktów pielęgnowania zdrowia, na który obaj z doktorem zgadzali się ze sobą. Doktor spędził noc przy łóżku kapitana Singletona, nie zmrúżywszy oka. Od czasu do czasu zaglądał do angielskiego pułkownika, który będąc bardziej skołatany duchowo niż fizycznie, bardzo niechętnie przyjmował te odwiedziny, a raz nawet doktor, skradając się jak najciszej, podszedł do łóżka upartego kawalerzysty i już go brał za puls, gdy straszliwe przekleństwo przez sen wymamrotane

ostrzegło chirurga, iż prawdę mówiono w pułku: „kapitan Lawton śpi zawsze z jednym okiem otwartem”. Panie zeszyły się w saloniku z kapitanem w chwili gdy ukazujące się ponad wschodnimi wzgórzami słońce jęło rozpraszać nagromadzone w nizinach mgły.

Panna Peyton spoglądała właśnie przez okno w kierunku sadyby kramarza, wyrażając troskę o zdrowie jego ojca, gdy osoba Katy wynurzyła się z pod całunu mgły, pierzchającej przed jasnemi promieniami słońca, i poczęła dążyć szybko w stronę Akacji. W postawie jej i ruchach było coś, co zdradzało niezwykle zatroskanie, więc litościwa panna Peyton pośpieszyła ku drzwiom z dobrotliwym zamiarem ukojenia tak wyraźnie objawiającego się bólu. Jeden rzut oka na skrzywioną jak do płaczu twarz gospodyni utwierdził ją w tem mniemaniu, i cichym głosem, jakim zwykło się mówić o świeżo nastąpionej śmierci, choćby naj-obojętniejszego z bliźnich, zapytała:

— Katy! Już go niema?

— Nie, proszę pani — odpowiedziała zgryziona dziewczica z wielką goryczą — jest jeszcze, ale może już teraz iść sobie, gdzie mu się podoba, bo najgorsze stało się. Jestem mocno przekonana, że te łotry nie zostawili mu nawet tyle pieniędzy, by mógł sobie kupić jaką odzież, bo to co ma teraz na sobie, to z prze-proszeniem funta kłaków niewarte.

— Jakto! — wykrzyknęła tamta zdziwiona. — Czy podobna, aby kto miał serce obdzierać człowieka w takim nieszczęściu.

— Serce! — powtórzyła Katy, chwytając oddech — albo oni mają serce! Niech pani tylko pomyśli, panno Joanno! Pięćdziesiąt cztery gwineje w żelaznym garnku, a co ich jeszcze leżało pod spodem, co zliczyć nie mogłam, ale mówili, że na oko było tego więcej niż dwieście gwinei, prócz tego co mogło być w sakiewce. A teraz Harvey poprostu jest żebrakiem, a żebrak, proszę pani, to najobrzydliwsza istota pod słońcem.

— Bieda powinna budzić litość, a nie obrzydzenie — rzekła panna Peyton, wciąż nie mogąc się połapać w rozmiarach nieszczęścia, jakie w ciągu nocy spotkało jej sąsiadkę. — A jakże się miewa stary ojciec Bircha, czy ta strata bardzo go dotknęła?

Twarz Katy przybrała sztucznie melancholijny wyraz. Westchnąwszy głęboko, odrzekła:

— Na szczęście troski tego świata już go dosięgnąć nie mogą. Brzęk pieniędzy wywabił go z łóżka i to go dobiło. Umarł na dwie godziny i dziesięć minut przed pierwszemi kurami, o ile można obliczyć w przybliżeniu.

Tu przerwał jej chirurg, który przystąpiwszy do niej, spytał z wielkiem zajęciem, jakiego to rodzaju była chōroba. Katy, spojrzawszy na nowego znajomego, mimowoli obciągnęła suknię i rzekła:

— To te ciężkie niespokojne czasy i utrata majątku tak go zmarnowały; niknął w oczach, na nic się nie przydały moje starania i trudy; a teraz gdy Harvey wyszedł na żebraka, to kto mi za to wszystko zapłaci?

— Bóg wynagrodzi cię za wszystko dobre, jakie robiłaś — rzekła panna Peyton łagodnie.

— Tak — przerwała doletnia dziewczica z pobożnem przejęciem, które wnet ustąpiło miejsca bardziej ziemskiej trosce — ale ja zostawiłam przeszło trzyletnie zasługi w rękach Harveya i jakże je teraz wydobanę? Bracia mówili mi zawsze, żebym się upominała o pieniądze, ale ja sobie myślałam, że rachunki pomiędzy krewnymi nietrudne są do załatwienia.

— To jesteś krewną Bircha? — zapytała panna Peyton.

— Ano — odpowiedziała gospodyni, zawahawszy się nieco — byliśmy tak jak krewni. Ciekawam, czy mam prawo do domu i ogrodu, chociaż powiadają, że skoro teraz przeszły na Harveya, to pewno będą skonfiskowane. Może ten pan — tu zwróciła się do Lawtona, który siedząc nieruchomo, przypatrywał jej się pilnie swemi przenikliwemi oczyma — może ten pan

będzie wiedział, bo zdaje się, że słucha z zajęciem mego opowiadania.

— Pani — rzekł kawalerzysta, kłaniając się bardzo nisko — opowiadanie jej i osoba są niezmiernie interesujące — Katy uśmiechnęła się mimowoli — ale niestety skromna moja wiedza ogranicza się do sformowania szwadronu w polu i użycia go, gdy potrzeba. Ale pozwolę sobie skierować panią do doktora Archibalda Sitgreaves'a, męża uniwersalnej wiedzy i bezgranicznej filantropji, śmietanki ludzkich uczuć i śmiertelnego wroga nieuważnego obchodzenia się z ostrymi narzędziami.

Chirurg wyprostował się i zaczął gwizdać z zicha — wpatrując się w stojące na stole ampułki, ale gospodyni dygnęła mu grzecznie i rzekła:

— Proszę pana, czy kobieta ma prawo do majątku męża, jeżeli się przedtem nie pobrali?

Zasadą doktora Sitgreaves'a było, iż żaden rodzaj wiedzy nie jest do pogardzenia, wskutek tego był empirykiem we wszystkim poza swoim fachem. Zrazu, dotknięty do żywego ironicznemi słowy kapitana, milczał, lecz nagle zmieniwszy zamiar, uśmiechnął się do brodusznie i rzekł:

— Nie sędzę. Jeżeli śmierć wyprzedziła zaślubiny pani, tedy sędzę, że niema żadnego lekarstwa na jej srogie wyroki.

Zdanie to zabrzmiało dobrze w uszach Katy, aczkolwiek poza „śmiercią“ i „zaślubinami“ nie zrozumiała nic z jego znaczenia. Ku tym więc dwom wyrazom skierowała swą odpowiedź.

— Zdaje mi się, że czekał tylko na śmierć starego, żeby się ożenić — rzekła, patrząc w dywan — ale teraz czemu on jest? Kramarzem bez domu, bez towarów i bez pieniędzy. Gdzież tam człowiekowi myśleć o żeniactwie w takim położeniu — nieprawdaż, panno Joanno?

— Nie zastanawiałam się nigdy nad tem — odrzekła panna Peyton poważnie.

Podczas tej rozmowy kapitan Lawton nie spuszczał oka z gospodyni, i w obawie, aby się ta zabawna scena nie skończyła, zapytał z udanem zajęciem:

— Więc sądzisz pani, że starość i choroba spowodowały ostatecznie śmierć tego staruszka?

— I niespokojne czasy, proszę pana. Niepokój strasznie człowieka marnuje, ale tak myślę, że już czas jego przyszedł, a gdy to się zdarzy, to już tam żaden doktor nie pomoże.

— Pozwól pani, że sprostuję pojęcia twoje w tym względzie — przerwał chirurg. — Wszyscy musimy umierać, to prawda, ale dozwolono nam korzystać z dobrodziejstw wiedzy w przeciwdziałaniu niebezpieczeństwom dopóki...

— Nie pomrzemy secundum artem — wpadł mu w mowę kawalerzysta.

Doktor nie raczył odpowiedzieć na tę uwagę, ale uważając za konieczne dla swej zawodowej godności prowadzić rozmowę w dalszym ciągu, dodał:

— Może w danym wypadku umiejętne leczenie byłoby przedłużyło życie chorego. Kto się tem zajmował?

— Nikt dotąd — odpowiedziała gospodyni prędko. — Ale myślę, że musiał zrobić testament.

Panie uśmiechnęły się, ale chirurg i na to nie zważając, ciągnął dalej:

— Bardzo to jest roztropną rzeczą być przygotowanym na śmierć. Ale pod czyją opieką znajdował się zmarły podczas swojej choroby?

— Pod moją — odpowiedziała Katy nieco pompatycznie — ale na psa się zdały moje trudy, bo Harvey nie wynagrodzi mi ich teraz z pewnością, ani tak ani owak.

Wzajemne niezrozumienie swych myśli nie przeszkadzało w rozmowie tym obojgu; każde z nich bowiem brało wszystko za dobrą monetę, i doktor Sitgreaves ciągnął dalej:

— A jakże pani traktowałaś chorego?

— Bardzo dobrze — możesz pan być pewien — odparła Katy szorstko.

— Doktor mówi to w znaczeniu leczniczem — rzekł kapitan Lawton, z twarzą, która przyniosłaby zaszczyt przedsiębiorcy pogrzebowemu.

— Leczyłam go przeważnie ziołami — odpowiedziała gospodyni uśmiechając się, jak gdyby poznawszy omyłkę.

— Zioła — rzekł chirurg — bezpieczniejszą są bronią w rękach niepowołanych, niż inne silniej działające lekarstwa, ale czemu nie zawezwałaś pani kompetentnej pomocy?

— E, proszę pana! ci kompetentni dosyć już napytali biedy Harveyowi. Stracił wszystko; włóczył się po okolicy jak obieżyświat, a ja przeklinam dzień, w którym nogą za próg jego domu stąpiłam.

— Doktor Sitgreaves nie ma na myśli kompetentnego żołnierza, lecz kompetentnego lekarza — rzekł kawalerzysta.

— O! — zawołała dziewczica miarkując się znowu — dla tej najlepszej przyczyny, że żadnego pod ręką nie było, więc ja go sama leczyłam. Gdyby się jaki doktor nadarzył, bylibyśmy go chętnie wzięli, bo ja tam jestem za doktorami, chociaż Harvey powiada, że zabijam się lekarstwami, ale teraz mało go to zapewne obchodzi, czy ja umrę, czy żyć będę.

— To pani mądrze powiedziałaś — rzekł chirurg, przystępując do gospodyni, która, siedząc przed kominkiem, nadstawiała dłonie i podeszwy dobroczynnemu ciepłu ognia. — Wyglądasz pani na rozsądną kobietę, i niejeden z tych, co zdawaćby się mogło więcej miał sposobności nabycia trafniejszych poglądów, mógłby pozazdrościć pani poszanowania dla wiedzy i nauki.

Gospodyni i tym razem niewiele zrozumiała z tych słów, prócz że zawierały jakiś komplement dla niej, więc uśmiechając się błogo, rzekła:

— O! już to zawsze o mnie mówili, że trzeba mi tylko sposobności, bym się wykierowała na lekarza

jak się patrzy; jeszcze nim poszłam do Harveyowego ojca, nazywano mnie doktorem w spódnicy.

— Było to orzeczenie nietylę grzeczne ile trafne, jak sądzę — odparł chirurg, coraz bardziej zachwycony poszanowaniem Katy dla sztuki leczenia. — W braku światlejszych doradców doświadczenie rozsądnej matrony wpływa częstokroć zbawiennie na przebieg choroby; w takich warunkach, kochana pani, ciężka to rzecz mieć do czynienia z nieświadomością i uporem.

— O! wiem to dobrze z doświadczenia! — zawołała Katy z triumfem. — Harvey jest uparty jak kozioł, a przecież starania, jakimi otaczałam jego chorego ojca powinny go były nauczyć, jak się szanuje dobrą pielęgniarkę. Ale może kiedyś pozna, co to znaczy dbała kobieta w domu, chociaż teraz jaki on tam dom mieć może!

— Rozumiem doskonale, ile pani przejść musiałaś, mając do czynienia z kimś tak opornym — rzekł doktor spoglądając z wyrzutem na kapitana — ale powinnaś pani być wyższą nad takie poglądy i mieć litość dla nieświadomości, która je zrodziła.

Gospodyni znowu nic nie zrozumiała i zawahała się chwilę, co ma odpowiedzieć, zgadując jednak, że i te słowa zawierały komplement dla niej, rzekła wymijająco:

— O! ja często powtarzam Harveyowi, że się źle prowadzi, i wczoraj przekonał się, czyja prawda na wierzchu, ale czy to co pomoże? Taki niedowiarek zawsze przy swoim obstawać będzie. Naprzykład wtedy, kiedy cisnął igłę...

— Jakto! więc gardzi pożytecznem zastosowaniem igły? — przerwał doktor. — Ale ja codziennie mam z takimi do czynienia, co lekceważą rady wypływające ze światła wiedzy.

Tu spojrzął znowu na Lawtona, a Katy, wysłuchawszy tych słów uważnie, rzekła:

— Harvey i w przypiływy morskie nie wierzy.

— Nie wierzy w przyływy! — powtórzył doktor zdumiony, — więc nie wierzy własnym zmysłem? Może powątpiewa raczej o wpływie księżycy?

— I jak jeszcze — zawołała Katy, uszczęśliwiona, że spotyka uczonego męża, który podziela jej zapatrywania. — Jakby go kto słyszał, toby pomyślał, że ten człowiek nie wierzy, że jest taka rzecz jak księżyc.

— To jest właśnie nieszczęście ciemnoty i niewiary, że się wzajem podniecają. Umysł, raz odrzucający pożyteczne wiadomości, mimowoli skłania się ku przesądom i wnioskom na temat natury, które zarówno wyrządzają krzywdę prawdzie, jak są w niezgodzie z podstawowemi zasadami wiedzy.

Podziła dziewczyna była tak oszołomiona tą przemową, że nie mogła zdobyć się na odpowiedź, a chirurg, pomilczawszy chwilę dla okazania swej filozoficznej pogardy, ciągnął dalej:

— Że może się znaleźć człowiek przy zdrowych zmysłach, mogący wątpić we fluktuację fal morskich, to przechodzi moje wyobrażenie, ale, niestety, upór jest niebezpiecznym sprzymierzeńcem ciemności i może doprowadzić do najfatalniejszych pomyłek.

— Pan doktor myśli, że to może mieć wpływ na fluksję? — zapytała gospodyni żywo.

Panna Peyton wstała, dając znak siostrzenicom, by szły za nią do spiżarni; smagła twarz Lawtona przybrała na chwilę tak komiczny wyraz, że panie zaledwie mogły wstrzymać się od śmiechu.

Chirurg zastanowił się chwilę, gdyż poczęły go ogarniać wątpliwości, azali rozumieją się wzajemnie, poczem uważając, że żądza wiedzy dostatecznie wynagradza pewne braki wykształcenia, odpowiedział:

— Pani ma na myśli księżyc? czy tak? Uczeni nie mogą jeszcze ściśle określić, jak dalece oddziałują on na fale morskie, ale według mnie nie wierzyć, że on właśnie jest przyczyną fluksu i refluksu, znaczy to samo co lekkomyślnie odrzucać światła wiedzy.

Ponieważ Katy cierpiała tylko na fluksję, a „reklus” był nieznaną jej chorobą, uznała za stosowne milczeć, lecz pałając ciekawością dowiedzenia się, co by to były za potężne światła, o których chirurg tak często napomykał, odważyła się zapytać:

— Z przeproszeniem pana doktora, czy to są te światła, co my nazywamy północnemi?

Litując się nad jej nieświadomością, chirurg chciał już rozpocząć obszerny wykład na ten temat, ale przerwał mu wybuch śmiechu Lawtona. Kawalerzysta słuchał do tej chwili z niewzruszoną powagą, lecz nie mógł już dłużej wytrzymać i zaczął się tak śmiać, że omal nie spadł z krzesła, i łyzy, których nigdy żadne inne tkliwsze uczucia wycisnąć z jego oczu nie mogły, popłynęły mu ciurkiem po twarzy. Minęła dłuższa chwila, nim obrażony chirurg zdołał skorzystać z przerwy w tem chichotaniu, by rzec:

— Może to być źródłem triumfu dla ciebie, kapitanie Lawton, że niewykształcona kobieta popełnia omyłkę w kwestji, co do której ludzie nauki nie są dotąd w zgodzie, w każdym razie nie możesz zaprzeczyć, że ta sama matrona nie odrzuca światła — to jest nie odrzuca narzędzi, służących do naprawy uszkodzeń wyrządzonych ludzkiemu ciału. Może raczysz przypomnieć sobie, co mówiła o użyteczności igły...

— Aha! — zawołał rozweselony kawalerzysta — ale takiej, którą naprawiała spodnie kramarza.

Katy wyprostowała się urażona i chcąc dać świadectwo swym wyższym uzdolnieniom, rzekła:

— Nie do zwykłego użytku schowałam ja tę igłę, ale dla ważniejszych rzeczy.

— Wytłumacz się, pani, jaśniej — rzekł chirurg niecierpliwie. — Niechby ten pan przekonał się, jak niewczesną była jego wesołość.

W ten sposób zawezwana Katy namyślała się chwilę, by zebrać cały zapas swej wymowy dla olśnienia słuchaczy. Ostatecznie pokazało się, że jakieś bie-

dne dziecko, które dobroczynność publiczna oddała pod opiekę Harveya, wbiło sobie dużą igłę w nogę podczas jego nieobecności. Igłę tę po wyjęciu posmarowano obficie tłuszczem, owinięto w watę i schowano w pewien kął komina, nogę zaś pozostawiono bez opatrunku, a to z obawy osłabienia siły czarów. Nadejście kramarza położyło kres tej nadzwyczajnej leczniczej metodzie, a Katy zakończyła opowiadanie mówiąc:

— Cóż dziwnego, że chłopak umarł potem na zapalenie płuc.

Doktor Sitgreaves zaczął wyglądać przez okno, pochłonięty podziwianiem pięknego poranku i starając się uniknąć bazyliżkowego wzroku kapitana. Ale jakaś nieprzewyciężona pokusa zmusiła go spojrzeć mu prosto w twarz. Oblicze Lawtona wyrażało najgłębsze współczucie nad losem dziecka, ale figlarny błysk w oczach dotknął uczonego męża do żywego, mruknął więc tylko coś o konieczności zajrzenia do pacjentów i wyszedł szybko.

Panna Peyton zaczęła teraz z całym współczuciem swej zacnej duszy rozpytywać o stan rzeczy w domu kramarza i wysłuchiwała cierpliwie opowiadań Katy. Ta rozwodziła się w szczególności nad ogromem pieniężnej straty, jaką poniósł Harvey, i nie mogła mu darować, że zdradził tajemnicę, którą tak łatwo mógł zachować.

— Bo, proszę pani — mówiła dalej, zamilkłszy przedtem na chwilę dla nabrania oddechu — jabym się była dała porąbać w kawałki, nimbym parę z ust puściła. Bo cóż! byliby go najwyżej zabili, a teraz można powiedzieć, że zgubili go na ciele i duszy, lub co na jedno wychodzi, uczyniwszy go bezdomnym włóczęgą. Ciekawam, jaka kobieta teraz zechciałaby zostać jego żoną lub prowadzić mu gospodarstwo? Ja zaś zanadto dbam o swoje dobre imię, abym mieszkała dłużej pod jednym dachem z samotnym mężczyzną, choć prawdę rzekłszy, jego tak dobrze jak nigdy w domu niema. Dziś jeszcze powiem mu, że nie zostanie ani godziny

po pogrzebie, i nie poszłabym też za niego, chyba żeby się ustatkował i więcej siedział w domu.

Panna Peyton pozwoliła wygadać się gospodyni, poczem zadawszy parę trafnych pytań, świadczących, że posiada więcej znajomości ludzkiego serca w sprawach miłosnych, niżby się tego można było spodziewać po starej pannie, wywnioskowała z odpowiedzi Katy, że wszelkie jej matrymonjalne widoki na Harveya, zwłaszcza w obecnych warunkach, były nie do urzeczywistnienia.

Zaproponowała tedy Katarzynie Haynes, by się przeniosła do Akacji dla pomocy w zajęciach gospodarskich, w razie, gdyby kramarz nie potrzebował już jej usług. Po omówieniu niektórych szczegółów umowę zawarła, Katy nabiadawszy jeszcze nad własnymi stratami i głupotą Harveya, co jej nie przeszkadzało interesować się jeszcze jego przyszłym losem, odeszła zająć się przygotowaniami do pogrzebu, mającego się odbyć jeszcze tego samego dnia.

Podczas gospodarskiej rozmowy pomiędzy obu kobietami Lawton przez delikatność wyszedł z saloniku, i powodowany niepokojem o kapitana Singletona udał się do jego pokoju. Młodzieniec ten, jak już wspomnieliśmy, był ulubieńcem wszystkich oficerów. Wyjątkowa słodycz jego charakteru tak dalece nie miała nic wspólnego z brakiem stanowczości i odwagi, że nawet ci partyzanccy wojacy umieli się na niej poznać, i zamiast lekceważyć, ocenić ją należycie.

Major Dunwoodie kochał go jak brata, a uległość jaką młodzieńki kapitan okazywał doktorowi Sitgreaves'owi, spełniając bez szemrania i oporu wszystkie jego wskazówki, uczyniła go wyjątkowo drogim sercu chirurga.

Prawie każdy z oficerów przyplacił wcześniej lub później swą zuchwalstwem graniczącą odwagę, jakim lżejszem lub cięższem obrażeniem ciała, i wszystkie kolejno przechodzili, jeżeli się tak wyrazić można, przez ręce doktora. Lecz palmę pierwszeństwa pod

względem uległości odnosił stale Singleton, podczas gdy kapitan Lawton otrzymywał zawsze czarną gałkę. Doktor często mawiał w niezrównanej prostocie swego ducha, że największą przyjemność sprawiało mu opatrywanie pierwszego, a o tym drugim byłby wolał nic zgoła nie wiedzieć, który to obosieczny komplement i nagane Singleton przyjmował z dobrotliwym uśmiechem, a Lawton z niskim, dziękczynnym ukłonem.

Obecnie, upokorzony w swej naukowej próżności chirurg i uszczęśliwiony kawalerzysta spotkali się w pokoju kapitana Singletona jak na wspólnym gruncie i czas jakiś obaj krzatali się zgodnie koło rannego oficera, poczem doktor odszedł do przeznaczzonego na swój wyłączny użytek pokoju, a w jakieś dziesięć minut potem ujrzał ze zdziwieniem wchodzącego Lawtona. Triumf kawalerzysty był tak zupełny, iż uznał, że może okazać się wspaniałomyślnym. Zrzucił więc dobrowolnie mundur i zawołał niedbale:

— Sitgreaves, bądź tak dobry i użyż nieco światła wiedzy memu ciału.

Doktor już się chciał obrazić, ale spojrzawszy z podobną na towarzysza, zobaczył ze zdziwieniem przygotowania, jakie tenże poczynił, i zgoła niezwykły wyraz szczerości towarzyszący tym słowom, które eskułap wziął początkowo za dalsze drwiny. Powściągnawszy więc już mającą wybuchnąć urazę, zapytał grzecznie:

— Jakiejże to pomocy kapitan Lawton może żądać ode mnie?

— Zobacz sam, kochany doktoru — odpowiedział kawalerzysta potulnie — ja tu widzę wszystkie kolory tęczy na tem ramieniu.

— Masz zupełną słusność, mówiąc w ten sposób — odrzekł doktor, z wielką troskliwością i znawstwem oglądając uszkodzone miejsce. — Ale na szczęście nic złamanego. To rzecz nadzwyczajna, jak ci się to udało.

— Byłem już takim szczęśliwcem od urodzenia, i byłoby źle, gdyby prosty upadek z konia miał mnie po-

grażyć. Ale, Sitgreaves — dodał serdecznie — wskazując dość dużą bliznę — przypominasz ty sobie tę robótkę?

— Doskonale, Jacku, kula dzielnie otrzymana i porządnie wyjęta. Ale, jak myślisz, możebym ci przyłożył trochę maści na te sińce?

— I owszem — rzekł Lawton z niespodzianą ustępliwością.

— Ależ, drogi chłopcze — zawołał uradowany doktor, krzątając się koło tak cudownie nawróconego pacjenta — czy to nie lepiej było dać się opatrzyć wczoraj na noc?

— Prawdopodobnie.

— Tak, Jacku, ale gdybyś sobie był dał puścić krew, gdy ci to wczoraj radził, byłoby ci to oddało nieocenione usługi.

— Żadnego puszczenia krwi — rzekł tamten stanowczo.

— Teraz już za późno, ale dawka oleju rycynowego doskonale też odprowadzi humory.

Kapitan nic na to nie odpowiedział, lecz zgrzytnął zębami w sposób, świadczący, że forteca jego ust gotowa jest zawsze do stawienia należytego oporu, i doświadczony chirurg zmienił przedmiot rozmowy, mówiąc:

— Szkoda jednak, Jacku, żeś nie schwytał tego łotra, naraziwszy się dlatego na tyle trudów i niebezpieczeństw.

Kapitan znowu nic nie odrzekł, a doktor, bandażując ramię, ciągnął dalej:

— Pomimo całego wstępu, jaki żywię do niszczenia ludzkiego życia, z przyjemnością zobaczyłbym tego zdrajcę na szubienicy.

— Sądziłem, że twoją rzeczą jest leczyć, a nie zabijać — rzekł kawalerzysta sucho.

— Tak, ale on nam wyrządził tyle złego swemi donosami, że doprawdy niema takiej kary, jakaby mi się wydała za lekką dla tego szpiega.

— Nie powinienes żywić takich mściwych uczuć względem twoich bliźnich — rzekł Lawton takim tonem, iż doktor upuścił szpilkę, którą umocowywał bandaże.

Chwilę popatrzył badawczo na pacjenta, aby się upewnić, że to istotnie jego dawny towarzysz, kapitan John Lawton mówi w ten sposób, i widząc, że nie może być żadnej w tym względzie wątpliwości, zebrał rozproszone władze i rzekł:

— Zasada twa jest słuszną i naogół zgadzam się z nią całkowicie. Ale, kochany Johnnie, powiedz mi, nie uwiera cię przypadkiem bandaż?

— Bynajmniej.

— Tak, naogół zgadzam się z tobą, ale niema zasady bez wyjątku. Jakże się czujesz, Lawtonie?

— Bardzo dobrze!

— Jest to nietylko rzeczą okrutną, ale częstokroć niesprawiedliwą odbierać życie człowiekowi, tam gdzie lżejsza kara może osiągnąć cel zamierzony. I tak, gdybyś ty tylko — porusz trochę ramieniem — gdybyś tylko — lżej ci teraz, mój drogi?

— Znacznie.

— Gdybyś, drogi Johnnie, nauczył twoich ludzi rąbać umiejętniej, wyszłoby ci to na jedno — a mnie, takąbyś tem sprawił przyjemność!

Doktor odetchnął głęboko, zrzuciwszy wreszcie ciężar, który mu tak leżał na sercu, a kawalerzysta włożył z zimną krwią mundur i rzekł zwolna, wychodząc:

— Nie znam żołnierzy, którzyby rąbali umiejętniej, zazwyczaj gołą od czaszki do szczęk.

Rozczarowany operator pozbierał narzędzia i z ponownie ciężkiem sercem udał się do pokoju pułkownika Wellmere'a.

ROZDZIAŁ XII.

„Ta wążła postać mieści w sobie duszę tak potężną, jak ta, która mieszka w ciele olbrzyma. Te wążłe członki, drżące jak osika pod tchnieniem letniego powiewu, podtrzymują ducha, co raz zbudzony, wyżyn niebiosów sięgnąć może i blaski niebios zapalić w tych błyszczących oknach oblicza.”

Duo.

Ilość i różnorodność gości przyczyniła wiele gospodarskich trudów panie Joannie Peyton. Pokrzepieniem nocnym spoczynkiem wszyscy prawie wrócili do normalnego stanu zdrowia, wyjąwszy młodzieńczego kapitana dragonów, o którego tak bardzo troszczył się Dunwoodie. Rana tego oficera była ciężka, chociaż, jak doktor wciąż upewniał, nie przedstawiała groźnego niebezpieczeństwa. Jego kolega, jakżeśmy to już widzieli, wstał był z łóżka, a Henryk Wharton przespał noc wybornie; dręczyły go tylko sny, że jakiś chirurg-nowicjusz amputuje mu rękę. Ale ponieważ okazało się to tylko snem, więc młodzieniec zbudził się znacznie pokrzepiony, i doktor Sitgreaves uspokoił go do reszty zapewniając, że za dwa tygodnie będzie już zdrów zupełnie.

Przez cały ten czas pułkownik Wellmere nie pokazywał się wcale. Zjadł śniadanie w swoim pokoju, i pomimo znaczących uśmiechów doktora oświadczył, że czuje się bardzo chorym i nie może wstać z łóżka. Zostawiwszy go więc przetrawiającego doznane upokorzenie w samotności, chirurg wrócił znów do łóżka

Jerzego Singletona. Lekki rumieniec zabarwił policzki rannego, co dostrzegłszy doktor, dał mu znak, aby nic nie mówił, i ujął go za puls, mrużąc pod nosem:

— Gorączka się wzmacnia... nie, nie, mój drogi Jerzy, musisz leżeć spokojnie, pomimo że oczy masz weselsze; a nawet spocifeś się trochę.

— Nie, kochany Sitgreaves — odrzekł młodzieniec — ja wcale nie mam gorączki — ale zobacz, proszę cię, co to takiego mam na języku?

— Nic zupełnie — odparł doktor, wsuwając łyżeczkę w usta rannego i zaglądając mu w gardło — język jest dobry, a i puls staje się wolniejszy. A! upływ krwi zrobił ci dobrze. Niema jak puszczenie krwi dla południowych organizmów. Ale ten warjat Lawton uparł się i nie dał sobie puścić krwi po wczorajszym upadku z konia. Hm!... Jerzy, coś mi się to zaczyna nie podobać — mówił dalej doktor, instynktownie zdejmując perukę — puls równy, skóra wilgotna, a oczy błyszczą nienaturalnie i takie dziwne masz rumieńce. Oho! musimy bliżej zbadać te symptomy.

— Daj pokój, drogi przyjacielu, daj pokój — rzekł młodzieńczyk, opadając na poduszki i poblądłszy trochę — wyjąłeś mi kulę, i to wszystko, czego mi było potrzeba. Upewniam cię, że nic mnie nie boli, jestem tylko osłabiony.

— Kapitanie Singleton — odpowiedział doktor żywo — jest to zarozumiałością z twojej strony mówić lekarzowi, czy cię co boli, czy nie; gdybyśmy nie mogli sami orjentować się w tych rzeczach, to do czegożby nam służyły światła wiedzy? Wstydz się, Jerzy, wstydz, nawet ten duch przekory John Lawton nie mógłby się okazać większym uparciuchem.

Ranny uśmiechnął się, odepchnął zlekka doktora, chcącego mu rozwiązać bandażę, i z powracającym na lica rumieńcem zapytał:

— Mój złoty Archibaldzie (pieszczotliwa ta nazwa trafiała zwykle do serca operatora) powiedz mi, jaki

to niebiański duch błdził tu po pokoju podczas kiedy udawałem, że śpię?

— Jeżeli ktokolwiek wtrąca się do moich pacjentów — zawołał doktor — duch czy nie duch, to ja go nauczę mieszać się w nieswoje rzeczy.

— Ależ uspokój się, mój drogi, żadnego wtrącania się, ani nawet zamiaru w tym względzie nie było. Patrz, bandaże nietknięte, ta istota nieziemska przesuwała się koło mnie z wdziękiem czarodziejki i słodczą anioła.

Doktor upewniwszy się, że istotnie wszystko było w porządku, usiadł na krześle, nałożył zpowrotem perukę i zapytał zwieszle:

— Miała spódnice na sobie?

— Nie wiem. Widziałem tylko jej niebiańskie oczy, jej świeżość, jej majestatyczny chód, jej wdzięk — odpowiedział młodzieniec z takim zapałem, że doktor położył mu rękę na ustach, poczem zastanowiwszy się rzekł:

— Musiała to być panna Joanna Peyton, osoba bardzo dystygowana i mająca taki właśnie chód... no i... bardzo pocziwe oczy; co się tyczy świeżości... hm!... nie można powiedzieć, żeby miała zupełnie zwiedłą cerę, chociaż w porównaniu z siostrzenicami....

— Z siostrzenicami? ona ma siostrzenice? Anioł, którego widziałem może być córką, siostrą, siostrzenicą, ale nigdy ciotką.

— Cicho, Jerzy, cicho... masz znów podniesiony puls, a musisz zachować spokój, by przygotować się na powitanie siostry, która tu będzie za godzinę.

— Co? Izabela? A kto posłał po nią?

— Major.

— Kochany Dunwoodie! jak on o wszystkim pamięta — szepnął młodzieńczyk i wyczerpany osunął się na poduszki.

Gdy kapitan Lawton pojawił się przy śniadaniu, wszyscy członkowie rodziny bardzo uprzejmie wypy-

tywali go o zdrowie, ale jakiś niewidzialny duch czuwał nad wygodami angielskiego pułkownika. Sara nie weszła ani razu do jego pokoju, a jednak wiedziała, gdzie jaka szklanka stoi, i własnoręcznie przyrządzała jej zawartość.

W owych czasach każdy Amerykanin czuł się przez pół Anglikiem, i Sara uważała za swój obowiązek szanować instytucje tego kraju, który był ojczyzną jej przodków; istniały jednak prócz tego inne bardziej osobiste przyczyny milczącego pierwszeństwa, jakie oddawała Anglikowi. Obraz jego pierwszy wypełnił próżnię jej młodocianej wyobraźni, a był to obraz posiadający wiele z tych powabów, które mogą ujarzmić panięskie serduszek. Sara cały ranek krążyła po domu, rzucając częste i przeciągłe spojrzenia na drzwi pokoju pułkownika Wellmere'a, pragnąc dowiedzieć się o stanie jego zdrowia, a jednak wstydząc się zapytać o to; dopiero młodsza siostra wyręczyła ją w tym względzie, zwracając się z całą swobodą niewinności do doktora Sitgreaves'a.

— Pułkownik Wellmere — odpowiedział operator z powagą — znajduje się w stanie, że tak rzeknę, dowolnym. Jest chory lub zdrow, jak mu się podoba. Stan jego przechodzi granice mojej kompetencji lekarskiej, i sądzę, że sir Henryk Clinton byłby w danym razie najlepszym doradcą, aczkolwiek major Dunwoodie utrudnił mu trochę stosunki z tym konowalem.

Fanny uśmiechnęła się, a Sara wyszła z pokoju z wdziękiem obrażonej Junony. Idąc długim korytarzem, na który wychodziły wszystkie sypialnie domu, spostrzegła, że drzwi pokoju Singletona były otwarte. Ranny młodzieniec zdawał się spać i był sam. Weszła więc pocichu i przez parę minut zajęła się porządkowaniem stołów i przygotowanego dla chorego posiłku, nie zastanawiając się nad tem co robi i wyobrażając sobie może, że spełnia te drobne kobiece posługi dla innego. Naturalną świeżość jej cery podniosło rozdraż-

nienie na chirurga i dodało blasku jej oczom. Usłyszawszy zbliżające się kroki Sitgreaves'a wymknęła się szybko drugimi drzwiami do pokoju Fanny. Obie siostry poszły na taras zaczerpnąć świeżego powietrza i przechadzając się pod ręce prowadziły następującą rozmowę:

— Jaki on nieprzyjemny ten chirurg Dunwoodie'go — rzekła Sara — cierpieć go nie mogę!

Fanny utkwiała roześmiane oczy w siostrze, lecz nic nie rzekła, ta zaś zrozumiałwszy ich niemą wymowę, dodała śpiesznie:

— Ach, zapomniałam, że przecież on należy do twego wychwalanego wirgińskiego wojska i że trzeba się o ~~nią~~ wyrażać z uszanowaniem.

— Z takim uszanowaniem jak ci się podoba, siostrzyczko, niema obawy, żebyś wpadła w przesadę.

— Tak sądzisz — odparła Sara z przekąsem — ale doprawdy pan Dunwoodie trochę zanadto korzysta z praw pokrewieństwa; zamienił dom ojca w istny szpital.

— Powinniśmy dziękować Bogu, że żaden z tych pacjentów nie jest bliskim naszymu sercu.

— Zapominasz o bracie?

— Prawda, prawda — przerwała Fanny, rumieniąc się po same białka — ale Henryk nie leży i powiada, że sownie mu się opłaciła rana, przedłużając mu pobyt w domu. Ach! — dodała drżącym głosem — gdyby nie to straszliwe podejrzenie, jakie na nim ciąży, ja sama niewielebym sobie robiła z jego rany.

— Możesz teraz zbierać owoce buntu: brat ranny, w niewoli i zagrożony utratą życia, ojciec zrozpaczony i prawdopodobnie wyzuty z majątku, za wierność swemu królowi.

Fanny nic nie odrzekła i obie siostry chodziły czas jakiś w milczeniu po tarasie. Gdy zwracały się twarzą ku północnemu wylotowi doliny, Fanny nieodmiennie patrzyła w ten punkt, gdzie droga kryła się nagle za

wzgórze, a przy każdym obrocie przystawała mimowoli, dopóki siostra nie pociągnęła jej niecierpliwie za sobą. Nareszcie jednokonny wózek ukazał się na drodze i ostrożnie wymijając gęsto rozrzucone po niej kamienie, zbliżał się ku Akacji. Fanny zbladła, a gdy powóz był już tak blisko, że mogła rozróżnić kobiecą postać siedzącą obok murzyna w liberji, nogi tak się pod nią zatrzęsły, że musiała oprzeć się o Sarę, aby nie upaść. W parę minut potem podróżni dojechali do bramy. Otworzył ją narozcież dragon, który jechał za powozem i był posłańcem wyprawionym przez majora Dunwoodie'go do pułkownika Singletona. Panna Peyton wyszła na spotkanie gościa, siostrzenice pośpieszyły za nią, lecz Fanny pomimo całej uprzejmości, na jaką się siliła, nie mogła oderwać oczu od twarzy nowoprzybyłej. Była to osoba młoda, wątła, lecz nadzwyczaj kształtna. Jej wielkie czarne oczy miały wyraz przenikliwy, a chwilami jakby nieco błędny. Obfite kruczne włosy, wbrew modzie nieupudrowane, czarnością swoją podnosiły śmiertelną prawie błądź jej lic. Doktor Sitgreaves pomógł jej wysiąść z powozu, ona zaś stanawszy na tarasie, utkwiała w chirurgu wymowne spojrzenie swych czarnych oczu.

— Bratu pani nie grozi żadne niebezpieczeństwo, i pragnie panią widzieć — rzekł doktor.

Młoda osoba wybuchnęła płaczem. Fanny, przypatrująca się jej dotąd z rodzajem niechętnego zachwyty, poskoczyła teraz i objawszy wespół z siostrzaną tkliwością powiodła do osobnego pokoju. Ruch ten był tak serdeczny i tak delikatny, że nawet panna Peyton wstrzymała się od okazania nowoprzybyłej swojego współczucia i tylko powiodła oczyma za oddalającą się parą, uśmiechając się dobrotliwie. Uczucie to udzieliło się innym obecnym, i wszyscy rozeszli się do zwykłych zajęć! Izabela uległa bez oporu łagodnemu wpływowi Fanny i znalazłszy się w pokoju, do którego ją ta zaprowadziła, czas jakiś płakała w milczeniu, wsparta na ramieniu pocieszającej ją dziewczeczki. Z początku

łkała tak gwałtownie, że zważywszy na pomyślną wiadomość, jakiej jej udzielił doktor, lzy te wydały się bacznej na wszystko Fanny nieusprawiedliwione do pewnego stopnia. Wreszcie panna Singleton uspokoiła się, otarła oczy i podniósłszy je na swą towarzyszkę, z przeslicznym uśmiechem przeprosiła ją za ten nadmiar wzruszenia i wyraziła życzenie udania się do pokoju rannego.

Powitanie brata z siostrą było bardzo serdeczne, lecz zapewne dzięki zapanowaniu nad sobą Izabeli spokojniejsze, niż się tego po jej poprzednich wybuchach można było spodziewać. Izabela znalazła brata lepiej, niż to sobie we wrażliwości swej wyobrażała. Rozweseliła się więc, piękne jej oczy zajaśniały nowym blaskiem, i tak czarujące uśmiechy opromieniły drobną twarzyczkę, że Fanny, która na jej prośbę towarzyszyła jej do pokoju brata, siedziała przyglądając się tym tak uroczym i zmiennym rysom z nieprzepartym zachwytem. Młodzieńczyk spojrział bacznie na Fanny, pierwsze wrażenie powitania z siostrą minęło, i coś nakształt rozczarowania odmalowało się w jego oczach. Był to zapewne pierwszy wypadek, w którym czyjeś oczy spoczęły w ten sposób na naszej bohaterce. Singleton potarł czoło jak człowiek zbudzony ze snu, pomyślał chwilę i zapytał:

— Gdzie jest Dunwoodie, Izabelo? Jaki to niezmordowany w swej troskliwości przyjaciel! Po dniu takich trudów spędził noc na wyszukaniu mi pielęgniarki, której sam widok może mnie dźwignąć z łoża.

Wyraz twarzy Izabeli zmienił się; obejrzała się dokoła tem jakimś błędnem spojrzeniem, które zdumiało i przeraziło Fanny, bączną na każdy jej ruch.

— Dunwoodie! Alboż go tu niema? Sądziłam, że zastanę go u wezglłowia mego brata.

— Obowiązki wymagają jego obecności gdzie indziej; Anglicy jak mówią idą na nas Hudsonem, i nie dają chwili wytchnienia naszym lekkim oddziałom.

Gdyby nie to, z pewnością nie pozostałby tak długo zdala od ранnego przyjaciela. Ale, Izabelo, ty drzysz, nie podejmuj się tak nadmiernie, siostrzyczko, ja przecież nie umieram.

Izabela nic nie odrzekła, wyciągnęła tylko rękę w stronę stolika, na którym przygotowano posiłek dla kapitana, a baczna Fanny zrozumiała natychmiast jej życzenie. Szklanka wody orzeźwiła trochę słaniającą się dziewczynę.

— Zapewne, że to jest jego obowiązkiem — rzekła wreszcie. — Mówią, że oddział wojsk królewskich posuwa się wzdłuż brzegów rzeki, chociaż minęłam nasze wojska nie dalej niż o dwie mile stąd.

Ostatnie to zdanie wymówiła ledwo dosłyszalnym głosem i raczej do siebie samej.

— W marszu, Izabelo? — zapytał brat żywo.

— Nie, spieszono i widocznie odpoczywające — brzmiała odpowiedź.

Zdumiony dragon spojrział na siostrę, siedzącą z oczami utkwionymi w dywan i pogrążoną w myślach. Nie mogąc doczekać się bliższych wyjaśnień z jej strony, ranny przeniósł wzrok na Fanny, która zaniepokojona wyrazem jego twarzy wstała pośpiesznie, pytając, czy czego nie potrzebuje.

— Przepraszam panią — rzekł młodzieńczyk, usiłując dźwignąć się na łokciu, ale prosiłbym, żeby kapitan Lawton przyszedł do mnie na chwilę.

Fanny poszła niezwłocznie sprowadzić kapitana i powodowana jakimś szczególnem uczuciem ciekawości i niepokoju, z którego nie mogła sobie zdać sprawy, wróciła do pokoju chorego i usiadła przy pannie Singleton.

— Lawtonie — rzekł niecierpliwie młodzieńczyk, ujrawszy wchodzącego — są jakie wieści od majora?

Oczy siostry utkwily teraz w twarzy kawalerzysty, który ukłonił jej się z żołnierską zamaszystością.

— Ordynans jego był tu dwukrotnie — rzekł — dowiedzieć się, co słyhać w naszym lazarecie.

— A czemu nie on sam?

— Na to pytanie major mógłby najlepiej odpowiedzieć, ale jak ci wiadomo, czerwone kurtki wylądowały, a Dunwoodie ma dowództwo w hrabstwie. Trzeba mieć tych Anglików na oku.

— Prawda — rzekł Singleton zwolna, jak gdyby uderzony myślą — ale czym się to dzieje, że ty próżnujesz, kiedy jest robota?

— Mam trochę nadwyreżoną prawą rękę i mój Roanoke kuleje, zresztą jest jeszcze jedna przyczyna, którą wymieniłbym, gdyby nie obawa, że panna Whar-ton nigdy mi tego nie przebaczy.

— Mów pan, proszę, śmiało i odważnie — rzekła Fanny, odwzajemniając żartobliwy uśmiech kawalerzysty z figlarnością, właściwą jej słodkiej twarzyczce.

— A więc — zawołał Lawton — zapachy dolatujące z kuchni są tak ponętne, że nie ruszę się stąd, dopóki nie sprawdzę, jak dalece rzeczywistość odpowiada obietnicom.

— O! ciocia Joasia postara się, by pan nabrał dobrego wyobrażenia o gościnności mego ojca — rzekło rozweselone dziewczę — ale to mi przypomina, że powinnam pomóc jej w pracy, jeżeli chcę mieć udział w pochwałach.

I Fanny poszła do ciotki, zastanawiając się po drodze nad szczególną wrażliwością i charakterem swej nowej znajomej.

Ranny oficer wiódł za nią oczyma, gdy z dziecięcym prawie wdziękiem szła przez pokój, a po jej wyjściu zauważył:

— Taką ciotkę i siostrzenicę rzadko się spotyka, Jacku, ta jest uroczem zjawiskiem; ale ciotka to anioł.

— Jak widzę, niezłe się miewasz. Uwielbienie dla płci pięknej nic w tobie nie osłabło.

— Byłbym niewdzięcznym i nieczułym, gdybym nie złożył powinno go holdu zachwycającej urodzie panny Peyton.

— Zaczna dama, ani słowa, ale co się tyczy urody, to kwestja gustu. Ja bo uważam, że tuzin latek mniej nicby jej nie zaszkodził.

— Ależ ona nie może mieć jeszcze lat dwudziestu — rzekł tamten żywo.

— To zależy od jakiego końca się liczy. Jeżeli zaczniesz wstecz to zapewne, ale rachując zwykłym sposobem, musi mieć koło czterdziestki.

— Wzięłaś starszą siostrę za ciotkę — rzekła Izabela, kładąc rękę na ustach rannego. — Ale proszę cię, leż spokojnie. Nie powinienes mówić tak wiele.

Wejście doktora Sitgreaves'a, który z pewnym przestraczem zauważył gorączkowe objawy w swym pacjencie, poparło to zalecenie, a kapitan Lawton wyszedł odwiedzić swego wierzchowca poszwankowanego również we wczorajszej karkołomnej gonitwie. Ku wielkiemu zadowoleniu znalazł go na drodze do zupełnej rekonwalescencji i zawyrokował, że po parogodzinne nacieraniu nadwichniętej nogi będzie zupełnie w porządku. Wydał więc stosowne rozkazy do odjazdu natychmiast po spodziewanej uctcie.

W międzyczasie Henryk Wharton wszedł do sypialni Wellmere'a, i współczucie jego poprawiło znakomicie humor pułkownika. Wstał więc z łóżka i zaczął przygotowywać się do spotkania z przeciwnikiem, którego tak lekceważył, jak się pokazało, bezpodstawnie. Wharton wiedział, że niepowodzenie ich, jak nazywali swoją porażkę, spowodowała nadzwyczajna dzielność natarcia, ale powstrzymał się z wyrażeniem tego zdania, ubolewając wyłącznie nad nieszczęśliwym wypadkiem, który pozbawił wojsko angielskie dowódcy, czemu dobrotliwie przypisywał niepomyślny wynik bitwy.

— Krótko mówiąc, Whartonie — rzekł pułkownik, wysuwając jedną nogę z łóżka — można to nazwać zbiegiem fatalnych okoliczności; twój krnąbrny koń nie pozwolił ci zawieźć moich rozkazów majorowi, i w porę uderzyć z boku na nieprzyjaciela.

— To prawda — rzekł kapitan, nogą podrzucając pantofel w stronę łóżka — gdyby się nam było udało przypuścić do nich z boku dobry ogień, ci dzielni Wirgińscy byliby poszli w rozsypkę.

— O! ażby się za nimi kurzyło — zawołał pułkownik, wysuwając z pod kołdry drugą nogę — a przytem, uważasz, musieliśmy przetrzepać tych tam w lesie, i ta zmiana frontu nastęrczyła im doskonałą sposobność do natarcia.

— Tak — odrzekł tamten, posyłając drugi pantofel za pierwszym — a major Dunwoodie nie pominie nigdy żadnej sposobności.

— Myślę, że gdyby to się mogło powtórzyć — ciągnął dalej pułkownik, wylazłszy już zupełnie z łóżka — to wszystkoby poszło inaczej; chociaż właściwie głównym ich triumfem, z którego się mogą chełpić, jest wzięcie mnie do niewoli. Widziałeś, jak się ich odparło, gdy nas chcieli wyprzeć z lasu.

— To jest, byłoby się ich odparło, gdyby nas byli atakowali — rzekł kapitan, rzucając resztę ubrania w stronę pułkownika.

— To na jedno wychodzi — odpowiedział, ubierając się pułkownik. Przybrać taką postawę, żeby onieśmielić wroga jest najwyższą sztuką wojenną.

— Niewątpliwie, przytem jeżeli pamiętasz, jeden ich atak zupełnie im się nie powiódł.

— Prawda! prawda! — zawołał pułkownik z ożywieniem — nieodżałowana szkoda, że mnie tam wtedy nie było; bylibyśmy pokazali Jankesom, jak się to odwracają karty.

I powiedziawszy to, pośpiesznie dokończył toalety, tak że wkrótce gotów był do pokazania się w to-

warzystwie, zupełnie już pokrzepiony na duchu, i głęboko przekonany, że niewolę swoją i porażkę winien był zbiegowi okoliczności silniejszych nad ludzką władzę.

Wiadomość, że pułkownik Wellmere zasiądzie do stołu, dodała nowego bodźca biesiadnym przygotowaniom, a Sara po przywitaniu i troskliwym wywiedzeniu się o stan zdrowia pośpieszyła osobiście udzielić rady i gustu, by uczta wypadła jak najświetniej. Uczty takie bywały częstym zjawiskiem w ówczesnym wiejskim życiu, a i po dziś dzień gospodarcza oszczędność nie wyrugowała ich jeszcze całkowicie.

ROZDZIAŁ XIII.

„Będę ucztował wesoło, choć
wiem, że to ostatnia biesiada.“

Szekspir. *Burza.*

Zapachy, które z samego rana podrażniły powonienie kapitana Lawtona, stawały się coraz wyraźniejsze, utwierdzając kawalerzystę w miłym przeświadczeniu, że węch jego, równie czujny jak wzrok, nie zawiódł go i tym razem; i aby wciągać w siebie te rozkoszne wonie, dragon usiadł w otwartym oknie, tak żeby żaden korzenny zapach, podnoszący się z podziemnego królestwa Diny i Cezara, nie ominął jego nozdrzy. Wpierw jednak pomyślał o przyozdobieniu swojej osoby, o ile na to jego szczupła garderoba mogła pozwolić. Mundur jego pułku był zawsze najlepszą rekomendacją u najwykwintniejszych stołów; oczyścił go więc jak najstaranniej, i zauważył z przyjemnością, że, acz sfatygowany trochę wierną służbą, prezentuje się jeszcze wcale nieźle. Głowa jego, obdarzona od natury kruczą czarnością, bieliła się jak śnieg, a dłoń koścista, tak nawykła do dzierżenia szabli, wysuwała się z dziewiczą nieśmiałością z pomiędzy nastroszonych fałd koronek. Na tem skończyły się przygotowania dragona, nie mówiąc o tem, że buty jego lśniły niecodziennym blaskiem, a ostrogi błyszcząły w słońcu, jak przystało na prawowite żelazo, z którego były zrobione.

Cezar uwijał się po pokojach z namaszczeniem, większem jeszcze niż to, które mu towarzyszyło w pełnieniu smutnych, rannych obrządków. Wróciwszy od stolarza, spełniał szybko i umiejętnie rozkazy swojej

pani i tak był zajęty, że dorywczo tylko mógł dzielić się ze swym czarnym rodakiem, który przybył wraz z panną Singleton do Akacji, wrażeniami, jakich mu tak obfitująca w nadzwyczajne wypadki minioną noc nie poskapiła. Zręcznie manewrując, zdążył jednak tyle naopowiadać, że tamtemu oczy wyłaziły na wierzch ze zdumienia. Czarni przepadają za nadzwyczajnościami, i panna Peyton uznała za potrzebne wdać się w tę sprawę i rozkazać Cezarowi, by odłożył koniec opowiadania do sposobniejszej pory.

— Ach! Miss Jinnett! — rzekł Cezar, wstrząsając głową z niesłychanym przejęciem — to taka straszna rzecz była patrzeć jak Johnnie Birch chodzić po śmierci.

Na tem narazie skończyła się rozmowa, lecz murzyn przyrzekł sobie w duchu, że nie omieszka powrócić do niej z nawiązką, i święcie obietnicy dotrzymał. Po usunięciu duchów na drugi plan, wszystko już szło jak z płatka, i w chwili gdy popołudniowe słońce kończyło dwugodzinną wędrówkę od swego zenitu, rozpoczęła się uroczysta procesja z kuchni do jadalni, pod przewodnictwem Cezara, który wiodł pochód, niosąc półmisek z indykiem na pomarszczonych dłoniach ze zręcznością kuglarza.

Za nim szedł ordynans kapitana Lawtona, stąpając sztywno i stawiając szeroko nogi, jak gdyby czuł pod sobą wierzchowca. Ten dźwigał cudnie woniejącą wirgińską szynkę, przyslaną pannie Peyton w podarunku przez brata. Piastun tej smakowitej misy dzierżył ją z wojskową dokładnością, ale słinka szła mu do ust tak obficie, że ją wciąż połykać musiał.

Trzecim w szeregu był służący pułkownika Wellmere'a, niosący w jednym ręku potrawkę z kurcząt, a w drugim paszteciki z ostryg.

Tuż za nim postępował pomocnik doktora Sitgreaves'a. Ten instynktownie chwycił olbrzymią wazę, jako najpodobniejszą do naczyń, z którymi miewał do czynienia, a buchająca z niej para tak mu zmato-

wał okulary, że przybywszy na plac boju, musiał postawić wazę na ziemi, by móc, zdjąwszy szkła, które nawiasem mówiąc nosił dla dodania sobie powagi, bo wzrok miał doskonały — zobaczyć, gdzie ma umieścić tę szacowną amforę wśród stosów zapasowej porcelany i ogrzewaczy półmisek.

W dalszym ciągu szedł kawalerzysta przeznaczony do usług kapitana Singletona. Ten, jak gdyby przystosowując apetyt do wątłego stanu zdrowia swego pana, poprzestał na przydźwiganiu dwóch pieczonych kaczek, tak smakowicie woniejących, że biedak zaczął żałować, iż tak niedawno spałaszował nie tylko własne śniadanie, lecz i to, które przygotowano dla siostry jego pana.

Biały chłopak, należący do składu domowników, zamykał pochód, jęcząc pod ciężarem kopiastych salatek z jarzynami, jakimi go kucharka obładowała.

Ale to był dopiero początek przygotowań do tej sardanapalowej uczy.

Zaledwie Cezar ustawił na honorowem miejscu zapalczywego ptaka, który jeszcze przed tygodniem napełniał gniewnem gulgotaniem gospodarskie obejście Akacji, i ani marzył o wątpliwym zaszczycie, jaki go miał tak niezadługo spotkać — aliści zakręcił się na pięcie i rozpoczął odwrót do kuchni. Towarzysze poszli za jego przykładem i wnet pojawiła się druga procesja, postępująca w takim samym porządku, dzięki czemu całe stada przepiórek, gołąbków, stosy ryb i dzikiego ptactwa znalazły się na stole.

Trzeci pochód dostarczył odpowiednich ilości kartofli, cebul, buraków, ryżu i innych przystawek, niezbędnie w skład wystawnego obiadu wchodzących¹⁾.

Stół ugiął się poprostu pod ofiomością amerykańskiej zastawy i Cezar, raz jeszcze obejrzawszy wszystko

¹⁾ Według angielskiego zwyczaju, który przedostał się do Ameryki, wszystkie obiadowe dania, wyjąwszy legumin i deseru, stawiają się odrazu na stole. (Przyp. tłum.)

dokładnie i poprawiwszy symetrię półmisków, podał uwiadomić panią domu, że zadanie jego pomysłnie jest spełnione.

Na więcej niż pół godziny przed rozpoczęciem wyżej opisanego, kulinarnego pochodu wszystkie panie zniknęły w ten sam niepojęty sposób, jak nikną muchy za nadejściem zimy. Ale wiosna ich powrotu nadeszła i całe towarzystwo zebrało się w sąsiadującym z jadalnią pokojem, pełniącym, ze względu na kryte cycem meble, obowiązki buduaru.

Zacna stara panna nietylko wyjątkowemi przygotowaniami w gastronomicznym zakresie uczciła ten dzień pamiętny, lecz uznała za stosowne przybrać własną osobę w strój godny gości, których miała szczęście podejmować.

Głowę panny Peyton zdobił czepek z najdelikatniejszego muślinu, przygarniowany z przodu szeroką koronką z pękiem sztucznych kwiatów nad czołem. Barwa jej włosów niknęła pod obfitością pudru, a lekko skarbowane nioby nadawały wyraz kobiecej słodczy jej rysom.

Suknia z ciężkiego fiołkowego jedwabiu głęboko wycięta z obcisłym stanikiem uwydatniała jej kształty od ramion do pasa, rozprzestrzeniając się poniżej w obfite fałdy, świadczące dostatecznie, że oszczędność materiału nie była hasłem ówczesnej mody.

Trzewiki były z tego samego jedwabiu co suknia, a obcasy podwyższały o parę cali wzrost, którego i bez tego dodatku natura nie poskąpiła pannie Peyton.

Rękawy były krótkie, obcisłe do łokcia, a stamtąd spadające w bogatych namarszczeniach, oszytych drezdeńską koronką dokoła białej jeszcze i kształtnej ręki. Potrójny rząd dużych pereł otaczał szyję, a koronkowa chusteczka przysłaniała tę część kształtów, które wycięcie sukni obnażyło, a której panna Peyton z taktem czterdziestoletniego doświadczenia uznała za stosowne nie wystawiać już na widok publiczny.

Tak wystrojona i wyprostowana z tym dumnym wdziękiem, jaki charakteryzował „manieri” owych czasów, doletnia panna mogła być rywalizować jeszcze z niejedną młodszą pięknoscią.

Sara była ubrana mniej więcej tak samo jak ciotka, a różnicę stanowiła jedynie barwa i materiał sukni z bladokarminowego atłasu. Ale jej dwadzieścia lat wieku nie wymagały koniecznej w czterdziestce osłony, i tylko zazdrosny rąbek przedziwnej koronki krył nieco atłasowe wycięcie. Wyższa część biustu i śliczny spadek ramion jaśniały olśniewającą białością; szyję, podobnie jak u ciotki, ozdobił potrójny rząd pereł, któremu odpowiadały także same kolczyki w uszach. Na głowie oczywiście nie było czepeczka, a szesane ku tyłowi włosy odsłaniały gładkie jak marmur i białe jak śnieg czoło. Parę krnąbrnych loków spadało wdzięcznie na kark, a bukiet sztucznych kwiatów wieńczył półkręgiem skronie.

Panna Singleton zostawiła brata pod opieką doktora, któremu powiodło się doprowadzić pacjenta do pokrzepiającego snu, po uśmierzeniu gorączkowych objawów, wywołanych poprzednią rozmową. Panna Peyton namówiła Izabelę do wzięcia udziału w obiedzie, i siostra Jerzego siedziała teraz obok Sary, niewiele różniąc się od niej powierzchownością, tylko krucze jej loki były jak zawsze nieupudrowane, a bardzo wysokie czoło, i wielkie błyszczące oczy nadawały jej twarzyczce wyraz zadumy, spotęgowany jeszcze matową bladością lic.

Ostatnią z kolei, ale nie pod względem urody, była w tej wystawie kobiecych wdzięków młodsza córka pana Whartona. Fanny, jakeśmy to już wspomnieli, opuściła New-York jeszcze podlotkiem. Niektóre samodzielniejsze umysły zaczęły się już wyłamywać z pod tych męczących przepisów mody, które tak długo krępowały swobodę płci nadobnej, i Fanny odważyła się zostawić swą pięknosc naturalnemu rozwojowi. Dnia tego jednakże postanowiła dołożyć więk-

szych starań, by przyozdobić te przyrodzone powaby, które tak mało potrzebowały przyozdobienia. Za każdym razem, gdy się do tego zabierała, patrzyła czas jakiś ku północy i za każdym razem zmieniała postanowienie.

O oznaczonej godzinie bohaterka nasza ukazała się w salonie przybrana w blado-niebieską jedwabną suknię, krojem i ozdobami zbliżoną do sukni jej siostry. Włosy jej wiły się w naturalnych puklach, których nadmierną obfitość przytrzymywał na czubku głowy długi, niski grzebień z jasnego szyldkretu, ledwo widoczny w złocistej gęstwinie jej loków. Obcisła, gładka suknia, tak dokładnie uwydatniała jej kształty, iż zdawać się mogło, że sprytne dziewczę dobrze jest świadome ukrytych pod nią powabów. Chusteczka z pięknej drezdeńskiej koronki osłaniała zlekka jej kibić. Jedynym klejnotem, jaki miała na sobie, był złoty naszyjnik spięty bogatą klamrą.

Raz tylko, gdy przechodzili do jadalni, Lawton dojrzał nóżkę obutą w błękitny jedwabny pantofelek, wysuwającą się z pomiędzy fałd sukni, i z westchnieniem pomyślał, że, chociaż nie przydałaby się na nic w strzemienu, zato w menuecie byłaby najpiękniejszą ozdobą tego tańca.

Gdy murzyn ukazał się na progu pokoju i z niskim ukłonem oznajmił, że „obiad czeka“, pan Wharton przybrany w cynamonowy frak z olbrzymimi guzikami zbliżył się ceremonjalnie do panny Singleton i pochyliwszy niziutko swą upudrowaną głowę, podał jej ramię.

Doktor Sitgreaves złożył tę samą czołobitność pannie Peyton, która podała mu dłoń, włożywszy wprzód rękawiczki.

Pułkownik Wellmere skłonił się przed Sarą i otrzymał wzamian czarowny uśmiech, a Fanny złożyła końce paluszków na ramieniu kapitana Lawtona z dziewczęcą nieśmiałością.

Wiele czasu minęło, nim całe towarzystwo usadowało się wreszcie dokoła stołu ku wielkiej radości Cezara, z zachowaniem wszystkich przepisów etykiety. Murzyn wiedział, że dzięki tym ceremonjom obiad stygnie, i zrozumieć nie mógł, czy to nie wszystko jedno, gdzie kto usiądzie, byle mu się najlepsze kąski dostały.

Przez pierwsze dziesięć minut wszyscy byli zupełnie zadowoleni prócz Lawtona, a i on byłby się czuł całkowicie szczęśliwym, gdyby nie nadmiar gościnności gospodarza i panny Peyton, którzy wciąż podsuwali mu półmiski z potrawami, których nie lubił, co przeszkadzało mu nakładać sobie porcje z tych, za jakimi przepadał. Nareszcie uczta zaczęła się na dobre, i ogólne milczenie było wymowniejszą pochwałą kulinarnej sztuki Diny, niż najszumniejsze dytyramby.

Następnie zaczęto wznosić toasty na cześć obecnych dam, ale ponieważ wino było doskonałe, a kieliszki okazałych rozmiarów, kapitan zniósł tę przerwę dość filozoficznie. Owszem, tak dalece chodziło mu o to, by żadnej z pań nie obrazić, że zaczawszy pić zdrowie tej, która przy nim siedziała, spełniał kielichy jeden za drugim tak gorliwie, że żadna z pań nie mogła mu zarzucić, by którą z nich pomiął.

Na usprawiedliwienie kapitana Lawtona powiedzieć można, że oddawna jedynie fałszowane wino było dostępnym mu nektarem i że gdy mu się nadarzyła sposobność pokosztowania jak smakuje prawdziwe, nie mógł się oprzeć pokusie i kosztował nad miarę. Pan Wharton swego czasu należał do grona tych polityków w New-Yorku, których głównem zajęciem przed wojną było zbierać się i rozprawiać o sprawach Europy i Ameryki pod wpływem pewnego napoju, wyciśniętego z winogrodu, rosnącego na południowej stronie wyspy Madery, który dostawał się do kolonii Północnej Ameryki drogą na Indje Zachodnie, przebywając czas jakiś na Zachodnim Archipelagu dla wypróbowania klimatu. Spory zapas tego szacownego kordjału spro-

wadził on ze stolicy do Akacji, i teraz część jego błyszcząca w butelce przed kapitanem Lawtonem jak burzstyn, pławiąc się w promieniach słońca.

Aczkolwiek mięsiwa i jarzyny pojawiły się na stole w doskonałym porządku i symetrii, szturm jaki przypuścili do nich biesiadnicy, złamał te sprawne szyki i wprowadził wśród nich nieopisany chaos, przypominający odwrót pobitej milicji. Wślad za tem rozpoczęły się nowe procesje, dzięki którym wszelakiego rodzaju ciasta, kremy i inne słodyczne pojawiły się na stole.

Pan Wharton nalał szklanekę wina siedzącej przy nim damie i puszczając w kurs butelkę, rzekł z niskim ukłonem:

— A teraz panna Singleton raczy zaszczyścić nas toastem.

Aczkolwiek tego rodzaju wezwanie było rzeczą zwykłą w podobnych okolicznościach, Izabela zadrżała, zarumieniła się i zbladła znowu, poczem, gdy całe towarzystwo zaczęło patrzeć na nią z zaciekawieniem, opamiętała się trochę i z wysiłkiem, jakby napróżno starała się myśleć o kim innym, rzekła cichutko:

— Major Dunwoodie.

Wszyscy spełnili ten toast ochotnie prócz pułkownika Wellmere'a, który zaledwie zwilżył usta i zaczął kreślić zygzaki po obrusie palcem umaczanym w rozlanem winie, poczem rzekł, zwracając się do kapitana Lawtona:

— Przypuszczam, iż ten pan Dunwoodie otrzyma awans w buntowniczej armji za to, że dzięki memu nieszczęśliwemu wypadkowi udało mu się wziąć górę nad moim pułkiem.

Kawalerzysta uspokoił był już swe gastronomiczne pożądanja ku zupełnemu zadowoleniu i może, wyjąwszy Washingtona i swego bezpośredniego kometandanta, nie znał śmiertelnika, o którego gniew trószczyłby się w tej chwili. Naprzód więc nalał sobie wina

ze stojącej przed nim butelki, a potem odrzekł z niezrównaną zimną krwią:

— Z przeproszeniem pańskim, pułkowniku Wellmere, major Dunwoodie winien posłuszeństwo Zjednoczonym Stanom Ameryki Północnej, a komu je winien, temu je składa. Taki człowiek nie jest buntownikiem. Co się tyczy awansu, to mam nadzieję, że go otrzyma: naprzód dlatego, że na niego zasługuje, a powtórnie dlatego, że jestem najbliższym mu rangą w pułku. Nie wiem też, co pan nazywa nieszczęśliwym wypadkiem, o ile nie jest nim w pańskim mniemaniu spotkanie z jazdą wirgińską.

— Nie będziemy się sprzeczać o wyrażenia — rzekł pułkownik wyniośle. — Mówiłem, jak mi nakazywał obowiązek względem mego władcy. Ale czy nie uważasz pan straty dowódcy za nieszczęście dla oddziału?

— Mogłoby to być, nie przeczę — w pewnych rzeczach — odparł kawalerzysta z naciskiem.

— Panno Peyton, a pani nie zaszczytysz nas toastem? — zawołał pan domu, pragnąc przerwać tę rozmowę.

Panna Peyton skinęła głową z godnością, gdy wymieniła nazwisko „generała Montrose” i dawno niewidziany rumieniec zabarwił zlekka jej policzki.

— Niema elastyczniejszego określenia nad wyraz „nieszczęście” — rzekł chirurg, nie bacząc na strategiczne wybiegi pana Whartona. — Dla jednych nieszczęściem jest to, co drudzy poczytują za szczęście; nieszczęście płodzi nieszczęście; życie jest nieszczęściem, bo może być środkiem do znoszenia nieszczęść, i śmierć jest nieszczęściem, gdyż skraca uciechy życia.

— I nieszczęściem jest to, że na naszym stole nie pojawia się takie wino — przerwał kawalerzysta.

— Zechciej więc pan spełnić niem jaki toast, skoro panu smakuje — rzekł pan Wharton.

Lawton napełnił szklanę po brzegi i wypił „Na cześć szybkiego pokoju lub wartkiej wojny”.

— Spełniam pański toast, kapitanie Lawton, choć mocno niedowierzam pańskiemu udziałowi w tej sprawie — rzekł chirurg. — Według mego skromnego zdania, kawalerja powinna być trzymana w odwodzie, by pomagać zwycięstwu, a nie wysyłana na front, by je odnosić. Takie powinno być jej przyrodzone zajęcie, jeżeli określenie to może być zastosowane w danym razie; gdyż cała historia wykazuje, że jazda wtedy tylko dokazała czegoś, gdy ją umiejętnie trzymano w rezerwie.

Przemowa ta, wypowiedziana dostatecznie dydaktycznym tonem, dała panie Peyton asumpt do opuszczenia stołu. Wstała więc, a młodsze panie poszły za jej przykładem.

Prawie równocześnie pan Wharton i jego syn przeprosili towarzystwo, że muszą odejść z powodu pogrzebu bliskiego sąsiada.

Odejście pań było sygnałem dla pojawienia się cygara chirurga, które umieszczał w kącie ust tak umiejętnie, że mu to nie przeszkadzało mówić.

— Jeżeli cokolwiek może osłodzić niewolę i rany, to myśl, że ponosi się te cierpienia w towarzystwie pań, które nas opuściły przed chwilą — zauważył z galanterją pułkownik.

— Współczucie i dobroć oddziałują zbawiennie na ludzki organizm — rzekł chirurg, straszając popiół z cygara małym palcem ze zręcznością specjalisty.

— Istnieje ścisły związek pomiędzy fizycznymi i moralnymi uczuciami, wszelako, aby przeprowadzić kurację i przywrócić naturze zdrowie, które utraciła bądźto skutkiem choroby, bądź wypadku, potrzeba czegoś więcej. W takich wypadkach światła... — tu chirurg przypadkowo spojrział na kawalerzystę, i umilkł. Zaciągnawszy się parę razy z pośpiechem, usiłował dokończyć zdanie: — w takim razie świadomość wpływająca ze światła....

— Mówiłeś pan — rzekł pułkownik Wellmere, popijając wino.

— Chciałem tylko powiedzieć — ciągnął dalej Sitgreaves, obracając się plecami do Lawtona — że kaptałm z chleba nie zestawi złamanej ręki.

— Wielka szkoda — zawołał kawalerzysta — bo poza jedzeniem, niema chyba niewinniejszego zastosowania dla pożywienia.

— Do pana, pułkownika Wellmere — ciągnął dalej chirurg — jako do człowieka wykształconego mogę się bezpiecznie odwołać. (Pułkownik skłonił się). Musiałeś pan zauważyć straszliwe spustoszenia, jakie w pańskich szeregach sprawiali ludzie pod dowództwem tego pana (pułkownik zeszywniał znowu) jak, gdy ciosy spadły na nich, życie bywało zawsze beznadziejnie zagrożone; jak pewne, zadawane przez nich rany były tego rodzaju, że najbiegły operator nie okazywał się wobec nich pomocnym; do pana tedy odwołuję się z triumfem, abyś mi raczył powiedzieć, czy pański oddział nie byłby równie skutecznie pobity, gdyby pańscy ludzie byli naprzykład stracili prawą rękę, zamiast potracić głowy.

— Pański triumf w odwoływaniu się do mnie jest poniekąd niewczesnym — rzekł pułkownik Wellmere.

— Czy sprawa wolności zyskuje cośkolwiek na takiej niczem nieusprawiedliwionej zaciekłości... — ciągnął dalej chirurg, dosiadłszy ulubionego konika.

— Nie wiem dotychczas, czy sprawa wolności zyskuje w jakikolwiek sposób na czymkolwiek udziale w buntowniczej armji — odparł pułkownik.

— Co pan mówisz? Wielki Boże! więc o cóż my walczymy?

— O niewolę, tak, łaskawy panie, o niewolę; stawiacie tyranę tłumowi na tronie dobrego i wyrozumiałego władcy. Cóż więc jest warta ta wasza wychwalana wolność?

— Co warta? — powtórzył chirurg, rozglądając się dokoła błędnym wzrokiem, w takie osłupienie wprawiały go zarzuty stawiane sprawie, którą dotychczas poczytywał za świętą.

— Tak, panie, co warta? Kongres waszych mędr-
ców wydał manifest, proklamujący równość praw poli-
tycznych.

— To prawda, i to bardzo szlachetne postano-
wienie.

— Zapewne, tylko skoro tak, to czemu nie wy-
zwolicie waszych niewolników?

Argument ten, który większość rodaków pułko-
wnika uważa za rozstrzygającą odpowiedź na tysiąc
wymownych faktów, posłużył i w danym razie za broń,
której pułkownik Wellmere użył dla ostatecznego
zmiążdżenia przeciwnika. W istocie, każdy Amery-
kanin czuje się upokorzonym, że musi tłumaczyć swą
ojczyznę z pozornej niekonsekwencji i niesprawiedli-
wości wspomnianego prawa. Uczucia jego wtedy są
mniej więcej podobne do uczuć ucziwego człowieka,
który musi usprawiedliwiać się z hańbiącego zarzutu,
choćby wiedział, że zarzut ten jest niesłuszny.
W gruncie rzeczy Sitgreaves obdarzony był sporą dozą
zdrowego rozumu, i wezwał go teraz na pomoc dla
obrony swojej sprawy.

— Nazywamy wolnością prawo decydującego głosu
w rządzących nami ciałach prawodawczych. Krzywdą
nam się wydaje podlegać władzy króla, który rządzi
narodem, mieszkającym o trzy tysiące mil od nas, i nie
mogącym mieć, ani nie mającym nic wspólnego z na-
szemi politycznymi sprawami. Nie wspominam tu
o ucisku, dziecko doszło do pełnoletności i otrzymało
przynależne temu wiekowi przywileje. W takich wy-
padkach jeden jest tylko trybunał, do którego naród
może się odwołać o swoje prawa: to jest siła, i my się
teraz do niej odwołujemy.

— Takie zasady mogą dogadzać obecnym waszym
celom — rzekł szydersko pułkownik — ale sprzeci-
wiają się poglądom i postępowaniu wszystkich cywili-
zowanych narodów.

— Owszem, zgadzają się z postępowaniem wszyst-
kich narodów — rzekł chirurg, odwzajemniając uśmiech

i potakujące znaki Lawtona, który cenił zdrowy rozum kolegi w równej mierze jak lekcewał „medycznymi bredniami”; — któż chciałby być rządzonym, skoro sam potrafi rządzić? Więc jedynym racjonalnym gruntem, na którym stanąć można, jest ten, że każde społeczeństwo ma prawo stanowić o sobie, o ile nie pogwałca przez to praw Boskich.

— A czy trzymanie bliźnich w niewolnictwie zgadza się z temi prawami? — zapytał pułkownik z naskissem.

Chirurg nalał sobie szklanke wina, popił, i podjął rzuconą rękawicę.

— Niewolnictwo — rzekł — praktykowało się od najdawniejszych czasów, i o ile mi wiadomo, nie wykluczała go żadna religja ani żadna forma rządu. Wszystkie narody cywilizowanej Europy stosują lub stosowały ten rodzaj rygoru względem swoich bliźnich.

— Wyjawszy Wielką Brytanię! — zawołał pułkownik dumnie.

— Nie, panie — rzekł chirurg z wielką pewnością siebie, czując, że przenosi teraz wojnę na grunt nieprzyjacielski — nie mogę uczynić wyjątku dla Wielkiej Brytanji. Jej to dzieci, jej okręty, jej prawa pierwsze wprowadziły ten obyczaj do naszych Stanów, i odpowiedzialność za to musi spaść na jej instytucje. Niema ani jednej piędzi ziemi należącej do Anglji, gdzie tylko murzyn może być użytecznym, która nie miałaby swych niewolników. Anglja sama ich nie ma, ale Anglja posiada nadmiar sił fizycznych, które musi utrzymać w karchach pauperyzmu. To samo da się powiedzieć o Francji i większości europejskich narodów.

Co zaś się nas tyczy, dopóki chcieliśmy pozostać kolonjami, nie mówiło się nic o naszym systemie domowego niewolnictwa, ale teraz, gdy postanowiliśmy pozyskać choć tyle wolności, ile nam jej wadliwy system stołecznych rządów pozostawił, wyrzucają nam to, co jest darem Anglji. Czy wasz władca wyzwoli

niewolników swoich poddanych, jeżeli mu się uda zwyciężyć nowe Stany — czy też skaże białych na taką samą służalczość, na jaką tak długo patrzył przez szpary, odnośnie do czarnych? Prawda, utrzymujemy ten opłakany zwyczaj, stopniowo musi się znaleźć na to lekarstwo, i niewątpliwie w miarę rozwoju naszych swobód rozluźniać się będą więzy niewolnictwa, aż, da Bóg, nadejdzie czas, kiedy na tych pięknych obszarach nie znajdzie się ani jedna istota ludzka w położeniu, nie pozwalającem jej sądzić o dobroci Stwórcy.

Należy pamiętać, że doktor Sitgreaves mówił to przed czterdziestoma laty¹⁾ i że pułkownik Wellmere nie był w możności zaprzeczyć jego proroczym twierdzeniom.

Uważając przedmiot ten za zbyt zawyły, pułkownik przeszedł do pokoju pań i usiadłszy obok Sary znalazł przyjemniejsze tematy w opowiadaniu o wypadkach towarzyskiego życia w New-Yorku i wspomnianiu dawnych wspólnych znajomych. Panna Peyton słuchała z zajęciem, krzątając się koło herbacianych przyborów, a Sara często chyliła zapłonioną twarzyczkę nad robótką, by ukryć rumieńce, jakie wywoływały na nią pochlebne uwagi towarzysza.

Poprzednia rozmowa przywróciła jak najlepsze stosunki pomiędzy chirurgiem a kapitanem Lawtonem, poczem pożegnawszy się z paniami obaj dosiedli koni, pierwszy aby odwiedzić rannych w obozie a drugi aby się połączyć ze swym oddziałem. Ale zamiarowi temu zaraz na wstępie sprzeciwił się wypadek, który opowiemy w następującym rozdziale.

¹⁾ Oczywiście owe czterdzieści lat odnoszą się do daty, w której Cooper pisał swoją powieść. (Przyp. tłum.)

ROZDZIAŁ XIV.

„Nie widzę już tych białych pukli
zrzadka wieńczących tę czcigodną
głowę; ani tego miękkiego rozmo-
dlonego spojrzenia, ani tej czystej
wiary, która mu dodawała siły. Lecz
on szczęśliwy, a ja się nie skarżę;
bo mądrym ten jest, co umie na
swojem poprzestać.”

C r a b b e.

Powiedzieliśmy już, że zwyczajem amerykańskim nakazują szybkie chowanie zmarłych, a konieczność pomyslenia o własnem bezpieczeństwie zmusiła kramarza do skrócenia tego i tak skąpego czasu, w którym dozwolone mu było patrzeć jeszcze na martwe oblicze ukochanego ojca. W zamieszaniu, spowodowanem wyżej opisanymi wypadkami, śmierć starego Bircha przeszła niepostrzeżenie; zebrała się jednak gromadka najbliższych sąsiadów, by oddać nieboszczykowi ostatnią posługę. Ten to zbliżający się orszak powstrzymał u bramy domu pana Whartona, kawalerzystę i chirurga. Czterech ludzi niosło ubogą trumnę, a czterech szło przodem, w pogotowiu by luzować towarzyszy. Tuż za trumną szedł kramarz, a obok niego postępowała Katy Haynes, w postawie zbolalej, za nimi szli obaj Whartonowie. Kilkoro starszków pści obojej zamykało pochód. Kapitan Lawton siedział na siodle wyprostowany, aż żałobny kondukt zrównał się z nim. Wówczas po raz pierwszy Harvey podniósł utkwione w ziemi oczy i ujrzał wroga, którego się tak bardzo lękał, tuż przed sobą.

W pierwszej chwili chciał uciekać, ale opamiętał się wnet, utkwił wzrok w trumnie rodzica i pewnym krokiem, acz z bijącym sercem wyminał dragona. Kawalerzysta zwolna zdjął czapkę i pozostał z obnażoną głową, póki pan Wharton i jego syn nie przeszli, wówczas w towarzystwie chirurga zwrócił konia i jechał zwolna za orszakiem w niezachwianem milczeniu.

Z suteryn Akacji wyszedł Cezar i z uroczystą twarzą przyłączył się do żałobników, trzymając się jednak w pełnej poszanowania odległości od obu jeźdźców. Stary murzyn opasał sobie rękaw powyżej łokcia serwetką niepokalanej białości, po raz pierwszy bowiem od wyjazdu z New-Yorku nadarzała mu się sposobność wystąpienia w niewolniczej żałobie. Był on wielkim miłośnikiem tak zwanego decorum, a dodawała mu też bodźca obecność czarnego przyjaciela z Georgji, któremu pragnął pokazać cały ceremonjał nowojorskiego pogrzebu. Gorliwość ta jednak, trochę za daleko posunięta, ściągnęła na niego łagodne napomnienie panny Peyton. Nie tyczyło się ono bynajmniej jego udziału w pogrzebie, lecz owej białej serwetki jako zgoła niestosownej oznaki żałobnej czci względem człowieka, który za życia sam sobie był panem i sługą.

Cmentarz znajdował się na gruntach pana Whartona, i on sam przed kilku laty otoczył go murywanym parkanem. Nie było to jednak miejsce wiecznego spoczynku dla członków jego rodziny. Wspaniałe mauzoleum znajdowało się w Nowym-Yorku, i tam mieli oni leżeć wszyscy w arystokratycznym odosobnieniu.

Gdy pochód skręcił z gościńca na polną dróżkę, wiodącą do bramy cmentarnej, kapitan Lawton uczynił taki ruch, jak gdyby chciał towarzyszyć mu dalej, lecz chirurg w porę przywołał go do porządku.

— Ze wszystkich sposobów, jakimi posługuje się człowiek w ostatecznym urządzeniu swych ziemskich szczytków, któremu oddajesz pierwszeństwo, kapitanie Lawton? — rzekł chirurg, gdy rozdzielili się

z żalobnym orszakiem. — W niektórych krajach porzucają ciało na pożarcie dzikim zwierzętom, w innych zawieszają je w powietrzu, by się obróciło wniwecz drogą rozkładu; w innych palą je na stosach, w innych jeszcze grzebią we wnętrzościach ziemi. Każdy naród ma swój własny system w tym względzie. Jakież zatem przypada ci najbardziej do gustu?

— Wszystkie są rozkoszne — odpowiedział kawalerzysta przeprowadzając wzrokiem trumnę starego Bircha — ale według mnie im prędzej załatwiają się te sprawy, tem lepiej. A ty, doktorze, jakiego jesteś zwolennikiem?

— Ostatniego, stosowanego u nas, tamte bowiem nie dają pola do dysekcji, tymczasem w ostatnim wypadku trumna może spoczywać w przyzwoitym spokoju, podczas gdy zwłoki poddane są pożytecznym celom wiedzy. Ach! kapitanie Lawton! rzadko kiedy nadarza mi się sposobność tego rodzaju, niezmiernie rzadko w porównaniu z tem, czego się spodziewałem, wstępując do armji.

— I jakąż jest mniej więcej roczna suma tych przyjemności? — zapytał kapitan, odwracając wzrok od cmentarza.

— Około tuzina, nie więcej. Najlepsze moje żniwo bywa przy oddzielnych szwadronach; bo gdy jesteśmy z główną armją, tylu tam się znajdzie amatorów, iż rzadko kiedy mogę zdobyć dobry okaz. Ci młodzi to wszystko marnotrawne jak biblijni synowie, a żarłoczne jak sępy.

— Około tuzina! — powtórzył kawalerzysta ze zdumieniem — ale ja sam dostarczę ci tę porcję własnoręcznie.

— Ach! Jacku — odparł doktor, poruszając ten przedmiot z wielką ostrożnością — twoi pacjenci, jeżeli ich tak nazwać mogę, nie na wiele mi się przydają; straszliwie ich oszpecasz. Wierzaj mi, Johnie, mówię ci to po przyjacielsku; twój system jest nawskroś wadliwy, niepotrzebnie niszczy życie, a przy-

tem tak uszkadzasz ciało, że staje się całkiem niepodobne do jedyne go użytku, do jakiego trup służyć może.

Kawalerzysta nic na to nie odrzekł, uważając milczenie za najlepszy sposób zachowania zgody pomiędzy nimi, a doktor, obejrzawszy się za cmentarzem, który nikł im z oczu na skrócie drogi, mówił dalej ze stłumionem westchnieniem:

— Moznaby dostać naturalnie zwłoki dzisiejszej nocy z tego oto cmentarza, gdyby czas był i sposobność potemu. Zmarły musiał być ojcem tej kobiety, którą widzieliśmy dziś rano.

— Doktora w spódnicy! — rzekł kawalerzysta z uśmiechem, który niebardzo się podobał chirurgowi — ależ ona nie była córką zmarłego, tylko jego pielęgniarką i lekarką, a ten Harvey, którego imię miała ciągle na ustach, to jest właśnie ów osławiony kramarz-szpieg.

— Co? ten, który zrzucił cię z konia?

— Nikt jeszcze nie zrzucił mnie z konia, doktorze Sitgreaves — rzekł dragon z powagą. — Upadłem z winy Roanoke'go. Jeździec i koń ucałowali razem matkę ziemię.

— Słodki to był uścisk, sądząc po śladach, jakie ci pozostawił. Ale jaka szkoda, że nie możesz odnaleźć kryjówki tego łotra!

— Szedł za ciałem ojca.

— I tyś mu pozwolił przejść! — krzyknął chirurg, wstrzymując konia. — Na Boga, wracajmy i bierzmy go; jutro każesz go powiesić, Jacku, a ja go pokraję!

— Zwolna, zwolna, kochany Archibaldzie; chciałbyś zaaresztować człowieka, w chwili gdy oddaje ostatnią posługę zmarłemu ojcu? Zostaw go mnie; a przyrzekam ci, że sprawiedliwości stanie się zadość.

Doktor mruknął coś z niezadowoleniem, lecz musiał zgodzić się na zwłokę z uwagi na przyzwoitość, i jechali dalej, rozmawiając o różnych kwestjach tyjących się dobrobytu ludzkiego ciała.

Tymczasem spuszczano trumnę starego Bircha do grobu. Harvey zachowywał się z powagą i spokojem, jakie przystoją męskiemu żałobnikowi w podobnej chwili. Katy przypadła rola wykazania tkliwych uczuć płci słabszej. Bywają natury, które zdolne są do płaczu tylko w odpowiedniem towarzystwie, i podzięła dziewczica należała do nich. Rozejrzawszy się po gromadce obecnych, gospodyni zauważyła, że oczy znajdujących się wśród nich paru kobiet zwrócone są na nią w uroczystem oczekiwaniu, i to podziałało niezwołownie. Rozpłakała się rzewnie, co zjednało jej ogromne współczucie widzów i opinię tkliwego serca raz na zawsze. Muskuły twarzy kramarza drgnęły, a gdy pierwsze grudki ziemi padły na trumnę z tym głuchym łoskotem, który tak wymownie świadczy o doczesności człowieka, cała jego postać zatrzęsała się konwulsyjnie. Pochylił się, jak gdyby przytłoczony nadmiarem bólu, palce zwieszonych bezwładnie wzdłuż ciała rąk poruszały się nerwowo, twarz przybrała wyraz zdradzający straszliwą mękę duszy, lecz trwało to chwilę tylko. Zmógł się i stanął wyprostowany, z podniesioną głową, a na ustach jego zaigrał cień uśmiechu, jak gdyby wywołany świadomością odniesionego nad samym sobą zwycięstwa. Prędko zasypano grób; dwa duże kamienie, ułożone po obu końcach, oznaczały jego miejsce, a trochę zwiędłej darni, nędznej jak dola zmarłego, okryło ubożuchną mogiłę. Po skończonym obrządku sąsiedzi, którzy usłużnie kwapili się w jego spełnieniu, zdjęli kapelusze i stali patrząc na Harveya, który teraz istotnie rozumiał, że jest sam na świecie. Odkrył także głowę, zawahał się chwilę dla nabrania potrzebnych sił i przemówił:

— Przyjaciele i sąsiedzi, dziękuję wam za waszą obecność i pomoc przy pogrzebaniu zwłok mego ojca.

Nastąpiła tradycyjna cisza po tem tradycyjnem przemówieniu, i gromadka rozeszła się milcząco. Parę osób odprowadziło Harveya i Katy do ich domu, lecz z szacunkiem cofnęło się od progu. Jeden tylko czło-

wiek wszedł za nimi do wnętrza, znany w okolicy pod wiele mówiącym mianem „spekulanta”. Katy spoglądała na niego z sercem bijącym straszniemi przeczuciami, ale Harvey podał mu grzecznie krzesło i był widocznie przygotowany na te odwiedziny.

Następnie poszedł ku drzwiom, rozejrzał się bacznie po dolinie i, prędko wróciwszy, rozpoczął następującą rozmowę:

— Słońce zachodzi już za wzgórze, nie mam czasu do stracenia. Oto jest akt sprzedaży domu i gruntu, wszystko sporządzone podług prawa.

Tamten wziął dokument i zaczął przeglądać go z namysłem, pochodzącym w części z ostrożności, a w części stąd, że wykształcenie jego za lat młodzieńczych było mocno zaniedbane. Przez ten czas Harvey zbierał rzeczy, które zamierzał zabrać ze sobą, opuszczając dom na zawsze. Katy spytała go już uprzednio, czy zmarły zostawił testament, i patrzyła, jak kładł biblię na dno nowego toboła, który mu pomogła spakować z pozorną obojętnością, ale gdy spostrzegła, że Harvey złożył obok owe sześć srebrnych łyżek, nie mogła znieść takiego marnotrawstwa własności i rzekła:

— Będzie ci brak tych łyżek, Harvey, gdy się ożenisz.

— Nie ożenię się nigdy.

— Ano, nie trzeba się nigdy zarzekać. Człowiek nie wie, co go spotkać może. Chciałabym wiedzieć, na co się przyda tyle łyżek pojedynczemu człowiekowi; mojem zdaniem, każdy mężczyzna, mający się dobrze, powinien się ożenić i stworzyć rodzinę.

W czasach gdy Katy wyrażała ten pogląd, majątek kobiety jej sfery składał się z krowy, łóżka, sutej pościeli, a w razach gdy fortuna okazała się dla niej wyjątkowo szczerą, z pół tuzina srebrnych łyżek.

Podżyła dziewczica własną pracą i oszczędnością uciulała sobie wszystkie powyższe skarby, bez tego jednego tylko; łatwo więc wyobrazić sobie, co się

w niej działo, gdy zobaczyła przedmioty, które tak długo uważała za swoje, znikające w głębi olbrzymiego toboła, zwłaszcza iż oznajmienie kramarza, dotyczące się postanowienia pozostania w bezżeństwie, nie pocieszyło jej bynajmniej. Harvey wszelako, nie troszcząc się o jej uczucia i poglądy, napełniał w dalszym ciągu toboł, który wkrótce urósł do rozmiarów zwykłego jego pakunku.

— Nie wiem tylko, czy ten akt sprzedaży jest ważny wogóle — rzekł nowonabywca, przesyłabizowawszy wreszcie treść dokumentu.

— A to dlaczego?

— Bo słyszałem, że dwóch sąsiadów wybiera się jutro rano do urzędu, żeby przeprowadzić konfiskatę tej nieruchomości. Ładniebym wyglądał, gdybym zapłacił czterdzieści funtów i stracił wszystko.

— Mogą skonfiskować tylko to, co jest moje — rzekł kramarz — zapłać mi dwieście dolarów, a dom jest wasz. Znają was jako whiga i was niepokoić nie będą.

Harvey wypowiedział te słowa ze szczególną goryczą, połączoną z przebiegłą troską o sprzedaż swego mienia.

— Powiedzmy sto, a dobijemy targu — odparł tamten z grymasem, który miał być dobrodusznym uśmiechem.

— Targu! — powtórzył Harvey ze zdziwieniem — przecież to już rzecz załatwiona.

— Nic nie jest załatwione — rzekł nabywca, parsknąwszy śmiechem — dopóki papiery nie są oddane, a pieniądze zapłacone na rękę.

— Wszak papier już macie.

— Ano i zachowam go, jeżeli się zgodzimy. No, dalej, powiedzmy sto pięćdziesiąt dolarów. Niech będzie moja strata. Płacę gotówką.

Kramarz spojrział w okno i zobaczył z przestraszeniem, że wieczór szybko się zbliża. Wiedział, że naraża życie, zostając na miejscu po zapadnięciu zmroku,

nie mógł jednak pogodzić się z myślą takiego zdzierstwa po zawartej już umowie i zawahał się.

— Ha! — rzekł nabywca wstając — może przez noc znajdziesz lepszego kupca, ale coś mi się widzi, że za dnia prawa twoje szeląga nie będą warte.

— Bierz pieniądze Harveyu — rzekła Katy, niezdolna oprzeć się takiej przynęcie, bo należność, którą nabywca położył na stole, była w nowiutkich angielskich gwinejach. Głos jej zbudził kramarza z zadumy, jakaś nowa myśl przyszła mu do głowy.

— Zgadzam się na cenę — rzekł i zwróciwszy się do Katy, podał jej część pieniędzy, mówiąc: — Gdybym miał inne pieniądze na zapłacenie ci, wolałbym stracić wszystko, niżbym się dał tak bezczelnie ograbić.

— Możesz jeszcze stracić wszystko — mruknął nabywca, z szyderskim uśmiechem, gotując się do wyjścia.

— Tak — rzekła Katy, przeprowadzając go oczyma — on wie, czego ci niedostaje; myśli tak jak ja, że po śmierci ojca potrzeba ci będzie kogoś, co by miał staranie o tobie i twoim dobytku.

Kramarz kończył przygotowania do odejścia i nie zwracał uwagi na tę przymówkę, ale Katy nie dała za wygraną. Żyła lat tyle w oczekiwaniu spełnienia się jej nadziei tak odmiennych od tego, co teraz stać się miało, że myśl o rozłące zaczęła przejmować ją większym żalem, niż sama nawet przypuścić mogła, skoro chodziło o człowieka tak wyzutego z mienia i osamotnionego.

— Maszże przynajmniej jaki inny dom, gdziebyś mógł złożyć głowę? — zapytała.

— Opatrzność pomyśli o tem za mnie.

— Tak — rzekła gospodyni — ale może to, o czem Opatrzność pomyśli dla ciebie, nie będzie ci się podobać.

— Ubodzy nie mogą być wybredni.

— Jaka jestem, to jestem — zawołała Katy prędko — ale lubię, żeby wszystko odbywało się przyzwo-

icie i jak należy; mimo to zgodziłabym się sama stąd odejść. Nie powiem też, żeby tutejsi ludzie byli po mojej myśli.

— Dolina jest piękna — rzekł kramarz z przejęciem — a ludzie są wszędzie jednacy. Ale mnie to już nic nie obchodzi; wszystkie miejsca są dla mnie jednakie, wszystkie twarze jednakowo obce.

Powiedziawszy to, upuścił trzymany w rękę przedmiot i siadł na krześle z wyrazem beznadziejnego zgnębienia.

— Nie mów tak, Harveyu — rzekła Katy, przysuwając się z krzesłem do niego. — Nie mów tak. Mnie chyba powinieneś znać; moja twarz nie może ci być obcą.

Birch z wolna zwrócił oczy na jej twarz, w której po raz pierwszy, odkąd ją znał, odmalowało się jakieś szczere, nieegoistyczne uczucie, ujął łagodnie jej rękę i rzekł z pewną serdecznością:

— Tak, dobra kobieto, ty jedna nie jesteś mi obcą, ty możesz oddać mi do pewnego stopnia sprawiedliwość, i gdy inni potępiać mnie będą, znajdziesz może coś na moją obronę.

— Ani chybi, że znajdę — rzekła Katy żywo — bronić cię będę Harveyu do upadłego, niechno spróbują jeden z drugim powiedzieć co na ciebie. Masz słuszość, Harveyu, jestem sprawiedliwą względem ciebie. Mniejsza z tem, że służysz królowi, podobno to w gruncie dobry człowiek, tylko w kraju tam niema religji, a ministrowie to skończone łotry, ot co!

Harvey wstał i zaczął się przechadzać po izbie, w ruchach jego malowała się godność, która silne wrażenie wywarła na gospodyni.

— Dopóki żył mój ojciec — wyszeptał Harvey, niezdolny powściągnąć wzruszenia — on czytał w mojem sercu i — o! jakaż to była pociecha wrócić do domu z tajemnych wędrówek, po przebytych niebezpieczeństwach i doznanych zniewagach i otrzymać jego błogosławieństwo i pochwałę! Ale jego już niema

— dodał zatrzymując się i patrząc błędnym wzrokiem w ten kąt, w którym zwykle siadywał jego ojciec — i kto mi teraz odda sprawiedliwość?

— Ależ Harveyu! Harveyu!

— Tak, jest ktoś co mi ją odda, co musi mnie poznać, nim umrę. Och! jaka to straszna rzecz umrzeć i takie imię po sobie zostawić.

— Nie mów o śmierci, Harveyu — rzekła Katy rozglądając się bojaźliwie po izbie i dorzucając drew na ogień.

Uniesienie kramarza minęło. Wywołały je wypadki dnia ubiegłego i bolesna świadomość oczekującej go doli. Ale ten szczególny człowiek nie pozwalał długo uczuciom brać górę nad rozsądkiem; spostrzegłszy więc, że noc zapadła już na dworze, spieszenie zarzucił tobół na plecy i ujmując życzliwie rękę Katy:

— Ciężko mi rozstać się nawet z tobą, dobra kobieto — rzekł — ale godzina nadeszła, i muszę iść. To, co zostało ze sprzętów, jest twoje, mnie niepotrzebne, a tobie przydać się może. Żegnaj więc, spotkamy się kiedyś.

— W krainie ciemności! — zawołał głos, na którego dźwięk kramarz osunął się z rozpaczą na stołek.

— Co, już nowy tobół, panie Birch? I tak dobrze wyładowany, tak prędko?

— Nie dosyć mi już złego wyrządziłeś? — zawołał kramarz, odzyskując zwykłą sprężystość i zrywając się na równe nogi. — Jeszcze ci mało, żeś zatruł ostatnie chwile umierającego, żeś mnie zubożył? Czego więcej chcesz ode mnie?

— Twojej krwi — rzekł skinner z chłodną zawziętością.

— Za pieniądze! — zawołał kramarz. — Jak Judasz zubożysz się ceną mojej krwi.

— Ho! piękna to cena, mój paniczku, pięćdziesiąt gwinei, prawie tyle, co zaważy twój kadłub w złocie.

— Patrz — rzekła Katy szybko — to jest pięćnaście gwinei, a to łóżko i ta komoda są moje, pozwól

Harveyowi odejść stąd bezpiecznie o godzinę drogi, a będą twoje.

— O godzinę? — rzekł skinner, wyszczerzając zęby i patrząc pożądliwie na pieniądze.

— Tylko o jedną godzinę. Masz, bierz.

— Stój! — zawołał Harvey — nie pokładaj wiary w tym niegodziwcu.

— Wolno jej robić z jej wiarą, co jej się podoba — rzekł skinner zjadliwie — ale ja mam pieniądze i nie oddam, a co się tyczy ciebie, panie Birch, ścierpimy twoje zuchwalstwo dla miłości pięćdziesięciu gwinei, jakie nam zapłacą za twoją szubienicę.

— Prowadź mnie zatem — rzekł kramarz dumnie — prowadź mnie do majora Dunwoodie, ten przynajmniej może być sprawiedliwym, a nie znęcać się nad bezbronnym.

— A poco mnie iść tak daleko w tak hańbiącym towarzystwie? Gdzie jabym szukał teraz tego pana Dunwoodie, co się za torysami ugania? Ale oddział kapitana Lawtona kwateruje w pobliżu, a za jego kwitem otrzymam tak samo nagrodę. Jak ci się uśmiecha myśl zjedzenia dziś kolacji w towarzystwie kapitana Lawtona, panie Birch?

— Oddaj mi pieniądze, albo puść Harveya wolno — zawołała Katy wystraszona.

— To za mało, coś mi dała, zacna niewiasto; chyba że znajdzie się więcej w tem łóżku.

I z temi słowy skinner zaczął dźgać bańnetem w siennik, poczem z szatańską złośliwością porozwłóczył pościel po całej izbie.

— Jeżeli — zawołała gospodyni, tracąc poczucie osobistego niebezpieczeństwa w trwodze o świeżo nabytą własność — jeżeli są jakie prawa w tym kraju, to ci to na sucho nie ujdzie.

— Prawo neutralnego gruntu jest prawem silniejszego, a mój bańnet dłuższy jest niż twój język, więc radzę ci, babo, trzymaj go za zębami, bo mogłabyś pożałować, jeżeli go rozpuścisz.

W cieniu drzewi stała jeszcze jakaś postać, jak gdyby obawiając się, że ją ktoś wśród skinnerów zobaczyć może, lecz jeden z nich rzucił jakiś sprzęt w ogień, i w blasku tym kramarz ujrzał nabywcę swego domku. Zobaczył też, iż najbliżej stojący skinner coś z nim szeptał, Harvey zrozumiał, że padł ofiarą zмовy pomiędzy tymi łotrami. Ale już było za późno, wyszedł więc za swymi prześladowcami pewnym i spokojnym krokiem, jak gdyby szedł na ucztę, a nie na szubienicę. Idąc przez podwórze, herszt bandy potknął się o kłodę drzewa i padł na ziemię jak długi. Rozwścieczony zerwał się, klnąc na czem świat stoi.

— Do kroćset stu tysięcy djabłów z kłodą! — wykrzyknął — ciemno choć oko wykol, podpał tam który te szczapy, to nam będzie widniej.

— Stójcie! — wrzasnął spekulant — spalicie dom!

— Wielka rzecz! — odpowiedział tamten. — Będzie nam zato widniej.

I rzucił płonąca głównię na dach. W jednej chwili budynek stanął w płomieniach.

— Pójdźcie, chłopcy, dostanemy się na wzgórze, póki nam będzie świeciło.

— Łotrze! — wrzasnął rozwścieczony nabywca — taka to twoja przyjaźń? Taka nagroda, zem ci dopomógł schwycić kramarza!

— Trzymaj się zdala od światła, jeżeli nam chcesz wymyślać, bo będziemy widzieli za dobrze, żeby spuścić — zawołał herszt. W chwilę potem spełnił pogróżkę, lecz na szczęście chybił, a wystraszony spekulant rzucił się do ucieczki. Katy również poszła za jego przykładem, a nazajutrz rano jedyną pozostałością z domku kramarza, był ów wielki komin, o którym wspomnieliśmy na początku.

ROZDZIAŁ XV.

„Drobnostki, lekkie jak wiatr, są dla zazdrośnika tak niezbitemi dowodami jak słowa Pisma świętego.”

Otello.

Powietrze, łagodne i czyste od czasu burzy, zmieniło się teraz z nagłością amerykańskiego klimatu. Ku wieczorowi zaczął dąć zimny wiatr od gór, a wirujące w nim płatki śniegu świadczyły, że nadszedł listopad, miesiąc, w którym temperatura przemienia się z letnich upałów w chłody zimy.

Fanny stała w oknie swego pokoju, poglądając na zwolna postępujący żałobny orszak z tak głębokim smutkiem, że sam ten widok nie mógł go obudzić. Istotnie, było w jej duszy coś, co odpowiadało temu bolesnemu obrządkowi. Rozglądając się wokoło, widziała drzewa uginające się pod naporem wiatru, pędzącego doliną z gwałtownością, od której trzęsły się nawet ściany, a las do tak niedawna grający w słońcu wspaniałemi barwami, tracił w oczach te uroki, gdy ostre podmuchy ogołacały gałęzie z liści i gnały je przed sobą zmięte i poszarpane. Na wzgórzach tu i owdzie widać było południowych dragonów, patrolujących drożyny wiodące do obozowiska, jak otulali się szczelnie fałdami płaszców i odwracali twarze smagane wichrem, niosącym od jezior jędrność wielkich świeżych wód.

Fanny patrzała na niknącą zwolna w głębi ziemi drewnianą trumnę ojca kramarza, i posępny ten widok przyczynił się jeszcze do gnębiącej atmosfery oto-

czenia. Kapitan Singleton spał pod opieką swego służącego, siostra jego zaś, ulegając namowom Fanny, poszła do jej pokoju, by tam odpocząć w ciszy i snem pokrzepić siły, wyczerpane nocną podróżą. Wewnętrzne drzwi łączyły ten pokój z pokojem zajmowanym obecnie przez obie siostry; drzwi te były napół uchylone, i Fanny podeszła ku nim w zamiarze zajrzenia do panny Singleton, sądząc, iż zastanie ją śpiącą; tymczasem zgoła nieoczekiwany widok przedstawił się jej oczom. Czarne warkocze, tak gładko przylegające do głowy Izabeli podczas obiadu, były teraz rozpuszczone i hebanową falą spływały na jej ramiona i piersi; przepaściście czarne oczy, tak rażąco odbijające od matowo bladej twarzy, tkwiły nieruchomo w portrecie, który panna Singleton trzymała w ręku. Fanny, spojrzawszy mimowoli, uczuła, że oddech zamiera jej w piersiach, i instynktownie położyła dłoń na sercu, dostrzegła bowiem, że był to portret mężczyzny w dobrze znanym mundurze południowych dragonów i że były to te same rysy, które tak głęboko wyźłobiły się w jej wyobraźni. Fanny uczuła całą niewłaściwość takiego wglądania w cudze tajemnice, lecz zbyt silne wzruszenie nie dozwoliło jej wymówić słowa; osunęła się tylko na krzesło, nie mogąc oderwać oczu od wpatrzonej w portret dziewczyny. Izabela tak była zatopiona we własnych myślach i uczuciach, że nie spostrzegła obecności Fanny. Cała drżąc z pałającymi oczyma przycisnęła portret do ust z namiętnością, która miała w sobie coś niemal dzikiego. Wyraz jej twarzy był tak zmienny, a zmiany te następowały po sobie tak szybko, że Fanny nie mogła zdać sobie sprawy z natury wrażeń, miotających duszą tej dziewczyny. To tylko dostrzec mogła, że przeważały w nich zachwyt i ból, a dowodem tego ostatniego były wielkie łzy, spadające po bledziuchnych policzkach na portret.

Nagle Izabela wstała i podeszła do okna. Fanny straciła ją z oczu i zamierzała powstać także i zbliżyć

się do niej, gdy dźwięki nieopisanie przejmującej melodji przykuły ją do miejsca. Głos Izabeli był niewielki, a tony tej melodji nieco dzikie, lecz wykonanie przewyższało wszystko, co Fanny dotychczas słyszała, tak że oczarowana stanęła jak wryta, tłumiąc oddech, by nie stracić jednej nutki z tej nadzwyczajnej pieśni:

Dmie mroźny wicher ze szczytów gór
I nagi stoi na skłonach dąb.
Nie widać słońca z za szarych chmur
I tylko lodu polyska zrab.
Cała natura w dorocznym śnie spoczywa,
Lecz w mojej piersi straszna się burza zrywa.

Długo nas wróg nie zdołał zmóc,
Długo mu mężnie kraj opór dał;
Aż zatknął wreszcie nasz dzielny wódz
Wolności sztandar na szczytach skał.
I już swobodniej oddycha kraj nasz cały;
Lecz usta moje uśmiechów zapomniały.

W dali, jak szereg cmentarnych mar
Bezlistne drzewa stanęły wkrag,
Lecz w mojej piersi wre uczuć żar
I pali ogniem piekielnych mąk.
Nazewnątrż wszystko w pościeli śniegów tonie,
A szal namiętny budzi się w mojem łonie.

Fanny duszą całą tonęła w stłumionych dźwiękach tej melodji, aczkolwiek słowa pieśni wyrażały myśl, która w połączeniu z wypadkami obu minionych dni budziła nieznanę dotąd uczucia w piersi dziewczęcia. Izabela skończywszy śpiewać odstaąpiła od okna, i po raz pierwszy wzrok jej spoczął na pobludłej twarzyczce słuchaczki. Obie jednocześnie splenęły rumieńcem, błękitne oczy Fanny spotkały się na chwilę z czarnemi źrenicami Izabeli, i obie natychmiast przysłoniły je powiekami; postąpiły jednak ku sobie i ręce ich splotły się milczącym uściskiem.

— Ta nagła zmiana pogody, a może i stan mego brata usposobiły mnie dziwnie melancholijnie — rzekła Izabela cichym, drżącym głosem.

— Och! o brata może być pani spokojna — wymówiła Fanny w ten sam sposób — stan jego poprawia się z każdą chwilą. Gdyby go pani była widziała, gdy go tu przynieśli z rozkazu majora Dunwoodie...

Fanny umilkła, ogarnięta nagle jakimś niepojętym wstydem, i podniósłszy oczy spostrzegła, że Izabela wpatruje się w nią tak badawczo, że znowu zarumieniła się gwałtownie.

— Mówiłaś pani o majorze Dunwoodie — podjęła Izabela słabym głosem.

— Tak, był z kapitanem Singletonem.

— Pani znasz Dunwoodie'go? Widujesz go często?

I znowu Fanny, odważywszy się spojrzeć na Izabelę, ujrzała te czarne oczy utkwione w nią tak badawczo, jak gdyby ją chciały przeniknąć do głębi duszy.

— Mów pani, czy znasz majora Dunwoodie?

— To mój krewny — odrzekła Fanny, wylękniona dziwnym zachowaniem się tamtej.

— Krewny! — powtórzyła panna Singleton. — W jakim stopniu? Mów pani! zaklinam cię, mów.

— Nasi rodzice byli spokrewnieni — wyszeptala Fanny.

— A on ma być mężem pani? — zawołała tamta gwałtownie.

Fanny uczuła się dotkniętą w swej dumie przez to tak natarczywe wdzieranie się w tajniki jej serca, podniosła więc główkę z pewną urazą, lecz widok drżących ust Izabeli i jej śmiertelnie bladych policzków uśmierzyły jej gniew natychmiast.

— Więc to prawda, moje przypuszczenia są trafne; powiedz mi, pani, zaklinam przez litość dla moich uczuć, powiedz, czy kochasz Dunwoodie'go?

W głosie panny Singleton dzwięczała tak żałosna skarga, że Fanny rozbrojona zupełnie osunęła się na krzesło, kryjąc płonąca twarz w dłoniach.

Izabela przeszła się parę razy po pokoju, walcząc z gwałtownością miotających nią uczuć, poczem przy-

stąpiła do siedzącej panienki i ująwszy jej rękę, przemówiła, siłąc się na spokój:

— Wybacz mi, pani, jeżeli niezdolna opanować się postąpiłam niedelikatnie, ale gdybyś wiedziała jak potężny wzgląd — jaka okrutna przyczyna —....

Zawahała się, Fanny podniosła twarz, oczy ich spotkały się znówu, i obie padły sobie w objęcia. Długi to był i szczery uścisk, żadna z nich jednak nie przemówiła ani słowa; i po pewnej chwili Fanny wyszła z pokoju w milczeniu.

Gdy ta nadzwyczajna scena rozgrywała się w pokoju panny Singleton, rzeczy wielkiej doniosłości działy się w salonie. Usunięcie i schowanie resztek takiego obiadu, jak ów, któryśmy powyżej opisali, było zadaniem nielada. Pomimo że kilka sztuk drobnej zwierzyny zniknęło w kieszeniach służącego kapitana Lawtona, i że nawet pomocnik doktora Sitgreaves'a uznał za rzecz roztropną skorzystać z tak niecodziennej sposobności zaprowjantowania się na czarną godzinę, zostało jeszcze tyle nietkniętego jedzenia, że panna Peyton nie wiedziała co z tem robić. Naradzali się więc oboje z Cezarem dosyć długo; skutkiem czego pułkownik Wellmere i Sara Wharton pozostali sami w salonie. Po wyczerpaniu wszystkich zwykłych tematów rozmowy pułkownik z pewnem zakłopotaniem napomknął o wypadkach dnia poprzedniego.

— Nie przypuszczaliśmy oboje, panno Saro, gdym po raz pierwszy zobaczył tego pana Dunwoodie w domu państwa przy ulicy Królowej, że wyrośnie z niego taki znakomity rycerz — rzekł Wellmere z przymuszonym uśmiechem.

— Tak, znakomity, zważywszy na przeciwnika, jakiego pokonał — rzekła Sara, rozumiejąc uczucia towarzysza. — Ze wszelkich względów było to istotnem nieszczęściem, że pana spotkał ten wypadek; w przeciwnym razie wojska królewskie niewątpliwie byłyby odniosły triumf jak zwykle.

— A jednak przyjemność takiego towarzystwa, jakie temu wypadkowi zawdzięczam, sownie wynagradza mi cierpienia upokorzonego ducha i ran fizycznych — rzekł pułkownik dziwnie miękkim głosem.

— Mam nadzieję, że te ostatnie są mało znaczące — rzekła Sara, pochylając się pod pozorem zdjęcia jakiejś niteczki z kolan, by ukryć gwałtowny rumieniec.

— Tak, nic nieznaczące w porównaniu z tamtymi — odpowiedział pułkownik w ten sam co poprzednio sposób. — Ach! panno Saro, w takich chwilach dopiero rozumie się w całej pełni wartość przyjaźni i współczucia.

Ci, którzy tego nie doznali, łatwo jednak wyobrazić sobie mogą szybkie postępy, jakie w ciągu półgodziny uczynić może miłość we wrażliwym panińskim serduszku, zwłaszcza, gdy grunt potemu jest już przygotowany. To naprowadzenie rozmowy na tory przyjaźni i współczucia tak przejęło Sarę, że nie mogła zdobyć się na odpowiedź. Podniosła tylko oczy na pułkownika i spostrzegła, że ten wpatruje się w jej śliczną twarzyczkę z wymowniejszym nad wszelkie słowa uwielbieniem.

Sam na sam to trwało z godzinę, a choć oficer angielski nie powiedział nic takiego, co doświadczona w tych sprawach matrona mogłaby uznać za decydujące, przecież w tem wszystkim co mówił było tyle słodkich i znaczących niedomówień, że Sara udała się na spoczynek z sercem po raz pierwszy lżejszem od chwili wzięcia brata do niewoli.

ROZDZIAŁ XVI.

„Zadzwonimy w puhary, klink klank!
Zadzwonimy w puhary, klank!
Bo żołnierz to zuch,
A życie to puch,
Więc złożmy mu winny dank!”

J a g o (*w Otellu*).

Obozowisko oddziału dragonów było, jakeśmy to już powiedzieli, ulubionem miejscem postoju ich komendanta. Pół tuzina małych, nędznych domostw tworzyło to, co ze względu na jej położenie na skrzyżowaniu dwóch dróg nazywano wioską Czterech Kątów. Jak zwykle, jeden z najpokaźniejszych tych budynków nosił nazwę „Gościnnego domu dla ludzi i zwierząt” w języku owych czasów. Jednakże na prostej tablicy, wiszącej nad drzwiami, jaśniał napis czerwoną kredą: „Elżbieta Flanagan. Jej hotel” — koncept któregoś z żartownisiów obozowych. Niewiasta, której nazwisko wyniesiono do tak niespodziewanej godności, w zwykłym trybie rzeczy pełniła obowiązki markietanki, praczki, i — mówiąc stylem Katy Haynes — doktora wojskowego w spódnicy. Była wdową po zabitym na wojnie żołnierzu, który jak ona pochodził z dalekich stron i od wczesnej młodości próbował szczęścia w kolonjach Ameryki Północnej. Wędrowała wciąż za wojskiem, i gdzie tylko rozłożono się na parę dni obozem, wnet zjawiał się wózek krzykliwej niewiasty, wyładowany przedmiotami obliczonemi na to, by obecność jej uczynić jak najpożądańszą. Z nadzwyczajną zreżnością i szybkością, Betty rozgospodarowywała się na miejscu i zaczynała handel. Czasem wózek pełnił obo-

wiązki sklepu, czasem żołnierze klecili jej naprędce jakąś budę; obecnie zaś przywłaszczyła sobie ową opuszczoną rudere i pozatykawszy brakujące w oknach szyby brudnymi gałganami, porobiła w niej, jak to sama określała: „bardzo aliganckie pokoje”. Żołnierze mieścili się w przyległych stodołach, a oficerowie zajęli „Hotel Flanagan”, jak żartobliwie nazywali tę przygodną główną kwaterę. Betty znała dobrze każdego kawalerzystę, nazywając go po imieniu lub z przydomku, jak jej się podobało, i choć wprost nieznośna dla niezających ją bliżej, była ogólną ulubienicą tych partyzanckich wojaków. Wadami Betty były: skłonność do trunków, bezgraniczne niechłujstwo i brak wszelkich względów na przyzwoitość wysłowienia; cnotami: ogromna miłość przybranej ojczyzny, wielka uczciwość w handlu z żołnierstwem opartym na pewnych znanych zasadach, i wrodzona dobroć serca. Dodać należy, iż Betty była wynalazczynią dobrze znanej po dziś dzień pod nazwą „cock-tail'u”) mieszanki; wychowanie i okoliczności specjalnie uzdolniły Elżbietę Flanagan do wszelkich trunkowych udoskonaleń, a gorliwa osobista praktyka była najlepszą rękocięmią dokładności jej studjów w tym kierunku. Taką tedy była właścicielka zajazdu, która teraz, nie zważając na ostre podmuchy północnego wiatru, ukazała na progu swe kwitnące oblicze, by powitać swego ulubieńca, kapitana Lawtona, i jego towarzysza, a jej mistrza w chirurgicznych zabiegach.

— Jak pragnę awansu, luba Elżbieto, tak miłym mi jest twój widok — zawołał kawalerzysta, zeskakując z siodła. — Ten wstrętny wicher z Kanady przedmuchał mnie nawskroś, ale jedno spojrzenie na twe ogniste policzki już mnie rozgrzało.

— Pan jest zawsze komplementalista, kapitanie Jacku — odrzekła markietanka, ujmując uzdę jego ko-

1) Napój, sporządzony z ubitego na pianę żółtka, whisky lub rumu, xeresu i odrobiny wody, dosłownie znaczy: „K o g u c i o g o n”. (P r z y p. t ł u m.)

nia — ale wchodź żywo do izby, mój klejnocie, a znajdziesz tam coś, co ci wnet ciało i duszę pokrzepi.

— Bardzo wątpię — rzekł kapitan — miałem świeżo do czynienia z butelką ze rzniętego szkła na srebrnej podstawce, to mi na długi apetyt na twoje whisky popsulo.

— Jeżeli chodzi o srebro i złoto, to tego u mnie nie znajdziesz, a przynajmniej w takim sensie, żeby z tego pić można — rzekła Betty dobrodusznie, przy czem mrugnęła okiem — ale jest tam coś, co warto opawić w diamenty.

— Co ona przez to rozumie, Archibaldzie? — zapytał Lawton. — Baba wygląda tak, jakby istotnie miała coś na myśli.

— Jest to zapewne bredzenie władz umysłowych, nadużyciem trunków spowodowane — zauważył chirurg, z rozmysłem przekładając lewą nogę przez kulę siodła i zsuwając się na ziemię z prawej strony konia.

— Oj! złocisty doktorku! pan zawsze tak opacznie zsiada z konia — rzekła Betty z ponownem mrugnięciem na kawalerzystę — ale niech pan będzie spokojny; leczyłam tu rannych w pańskiej nieobecności, karmiąc ich, czem się dało.

— O! barbarzyńska głupoto, — zawołał przerażony doktor — opasać gorączkujących ludzi ciężkostrawnem pożywieniem; kobieto, kobieto, sam Hipokrates okazałby się wobec ciebie bezsilnym.

— Ba! — rzekła Betty z niezmaconym spokojem. — Jest też o co robić tyle hałasu. Mamy galonik whisky na całą gromadę; dałam każdemu potroszczek, żeby im się lepiej spało, i teraz chrapią aż się rozlega.

Lawton i jego towarzysz weszli do wnętrza, i pierwszy rzut oka wyjaśnił im znaczenie zapewnień Betty. Długi stół, uczyniony z desek powyrywanych z jakiejś przybudówki, stał pośrodku największej izby zwanej pompatycznie „salą”, a na nim widać było trochę glinianych naczyń. Zapachy potraw dolatywały

z sąsiedniej kuchni, ale główną przynętę stanowił okazałych rozmiarów gąsior zajmujący honorowe miejsce pośrodku stołu. Lawton, nie mieszkając, sprawdził, że zawiera prawdziwy bursztynowy sok winnej jagody, i że przysłano go z Akacji w upominku dla majora Dunwoodie, w upominku od jego przyjaciela kapitana Whartona z królewskiej armji.

— Prawdziwie królewski to podarunek — rzekł uśmiechnięty podoficer, który udzielił nowoprzybyłym tego objaśnienia. — Major wydaje dla nas ucztę z powodu zwycięstwa, i jak panowie widzicie, główną jej podstawę dostarczył nam nieprzyjaciel. Na honor, myślę, że gdy łyknjemy tego napitku, będziemy mogli przypuścić atak do głównej kwatery sir Henryka i wprowadzić jego samego.

Kapitan dragonów wcale się nie zmartwił perspektywą zakończenia tak przyjemnie dnia, który się tak miło zaczął. Wnet otoczyli go koledzy, rozpytując o jego przygody, doktor zaś poszedł z bijącym trochę sercem obejrzeć rannych. Olbrzymi ogień, rozpalony na kominie „sali“, zastępował świece, rzucając jasne blaski na zgromadzonych przy nim oficerów. Byli to wszystko ludzie młodzi i wytrawni żołnierze, a obejście ich i rozmowa tworzyły dziwną mieszaninę partyzanckiej szorstkości z wykwinną układnością świątówców. Ubrani byli czysto i starannie choć prosto, a niewyczerpanym tematem rozmów były zalety i wady ich wierchowców. Niektórzy próbowali drzeć po ławach podpierających ściany, inni chodzili po izbie, a inni wreszcie siedzieli zajęci poważną rozmową o głównych zadaniach ich życia. Raz po raz gdy drzwi kuchni otwarto, smakowite wonie jadła i syczenie patelni przerywały wszelkie inne zajęcia; drzemający nawet podnosili głowy i otwierali oczy, starając się węchem sprawdzić stan ponętnych przygotowań. Przez cały ten czas Dunwoodie siedział na uboczu patrząc w ogień, pogrążony w zadumie, której żaden oficer przerwać nie śmiał. Wypytał on szczegółowo doktora

Sitgreaves'a o stan Singletona, w trakcie czego głębokie i pełne poszanowania milczenie panowało w „sali”; ale gdy Dunwoodie, skończywszy rozmowę z chirurgiem, usiadł na dawnym miejscu, rozległy się znów zwykle śmiechy i wesoła wrzawa.

Pani Flanagan nie troszczyła się wielce o zastawę stołu, i Cezar byłby zgorszony, widząc nieład, w jakim tłoczyły się półmiski i salaterki napełnione rozlicznymi potrawami, które mniej więcej były do siebie podobne. Natomiast siadając do stołu, zajmowano miejsca ściśle podług starszeństwa rangi, gdyż pomimo całej swobody towarzyskich stosunków, panujących w tych partyzanckich oddziałach, przestrzegano w nich wojskowej etykiety z czemś do religijnej czci zbliżonem.

Większość biesiadników była zbyt wygłodzona, by zważać na różne szczegóły, mogące ostudzić ich gastronomiczny zapal, inaczej się jednak miały rzeczy z kapitanem Lawtonem. Patrzył on z odrazą na kulinarne produkcje Betty i nie mógł się powstrzymać od przelotnych uwag nad stanem noży i mętnym wyglądem talerzy. Wrodzona dobroć i osobista słabostka Betty dla winowajcy sprawiały, że czas jakiś puszczała mu płazem te przytyki, dopiero gdy Lawton, odważywszy się ponieść do ust kawał czarnego mięsiwa, zapytał z miną rozpieszczonego dzieciaka:

— Jakiego to gatunku było zwierzę za swego żywota, pani Flanagan?

— Przecie to stara krowa, kapitanie — odpowiedziała markietanka z żalem, wywołanym w części narzekaniami jej ulubieńca, a w części zgryzotą po stracie owej mieszkanki obory.

— Co! — wrzasnął kawalerzysta, wstrzymawszy się w przełknięciu już żutego kęsa — stara Jenny!

— Do licha! — zawołał inny — ta która odbyła z nami całą kampanję?

— Ona sama — odpowiedziała właścicielka hotelu żałośnie — pocziwe bydlatko, potrafiło żyć powie-

trzem w razie czego. Ach! panowie, straszna to rzecz jeść takiego starego przyjaciela.

— Więc na to przyszło, tej krowinie — rzekł Lawton, wskazując nożem na opróżnione w połowie półmiski.

— Ano kapitanie — odrzekła Betty — sprzedałam dwie ćwierci twoim ludziom, ale pary z ust nie puściłam, jakiego starego przyjaciela kupili, bo się bałam, żeby im to nie popsło apetytu.

— Do diabła — zawołał kawalerzysta z udanym gniewem — taki traktament na zdrowie im nie pójdzie; jeszcze mi się gotowi pochorować na polu bitwy.

— Nie — rzekł porucznik Mason, melancholijnie upuszczając nóż i widelec, — moje szczęki są wrażliwsze niż niektóre serca. Nie chcę w żaden sposób znęcać się nad szczątkami tak dawnej znajomej.

— Spróbujcie, panowie, kropelkę tego — rzekła Betty na pocięchę, nalewając potężną szklanicę wina i wychylając ją duszkiem niby dla pokosztowania. — Phyl! nie osoblisz, istna popłuczka po trunku jak się patrzy.

Lody jednak były przełamane. Podano kielich wina Dunwoodie'mu, który, skłoniwszy się kolegom, spełnił go wśród głębokiego milczenia.

Wzniesiono jeszcze kilka patryjotycznych toastów z należnym przejęciem, ale wino zrobiło swoje, i nim złuzowano warty u drzwi, niedobory obiadu poszły w zapomnienie i zapanowała ogólna wesołość. Doktor Sitgreaves spóźnił się we wzięciu udziału w pośmierthnej spuściznie Jenny, ale przyszedł w sam czas, by rozkoszować się podarunkiem kapitana Whartona.

— A teraz niech nam kapitan Lawton zaśpiewa — zawołało kilku oficerów, zauważywszy, że kapitan niezupełnie dzieli ich ochotę — cisza, koledzy, kapitan Lawton będzie śpiewał.

— Panowie! — rzekł kapitan, z oczyma trochę rozmarzonymi ilością spełnionych kieliszków, lecz z głową mocną jak zawsze — nie jestem wcale słowi-

kiem, ale skoro zaszczycacie mnie wezwaniem, więc służę.

— Słuchaj, Jacku — rzekł chirurg — przypomnij sobie tę piosenkę, której cię nauczyłem, ale poczekaj! mam tu tekst w kieszeni.

— Nie, nie, kochany doktorze — rzekł kawalerzysta, nalewając sobie szklanicę z wielkim rozmysłem — to za trudne dla mnie rymy. Panowie pozwolicie, że zaśpiewam wam piosenkę własnego układu.

— Cisza, panowie! kapitan Lawton śpiewa — wrzasnęło kilku naraz, sprawiając jeszcze większą wrzawę, kapitan zaś zanucił pełnym, pięknym głosem na dobrze znaną pijacką nutę następujące zwrotki, przyczem koledzy dopomagali mu chórem, aż się trzęsły wątle ściany rudery:

Hej! chłopcy wesoło; podnieśmy wkrąg czasze,
Niech nikt z ich spełnieniem nie zwleka;
Weselmy się społem; bo jutro nie nasze
I krótkie jest życie człowieka.
A każdy kto mężnie potyka się z wrogiem,
Ten nie wie, co czeka za progiem.

Hej! mamó Flanagan
Napełnij nam dzban,
Bo twoja rzecz dać.
A nasza rzecz brać,
Dobra Betty Flanagan!

Jeżeli wam miłe domowe pierzyny
I spokój własnego podwórza,
Porzućcie honoru skaliste ścieżyny
I mianem pocieszcie się tchórza
Lecz komu wśród walki nie straszna śmierć błąda,
Ten na koń ochotnie niech siada.

Hej! mamó i t. d.

Gdy obcy wrogowie pustoszą nam sioła,
A żony, kochanki iść każą od siebie;
Za sprawę wolności nadstawmy im czoła
I mężnie padnijmy w potrzebie.
Bo chcemy w tym kraju, co losy nam dały,
Żyć wolni, lub w polu lec chwały.

Hej! mamó i t. d.

Po każdym takim chóralnem wezwaniu Betty podchodziła do stołu i literalnie spełniała zawarte w zwrotce żądanie ku niewymownej ucieście śpiewaków i ze współdziałaniem na własny rachunek. Raczyła się bowiem napojem, sporządzonym przez siebie i znacznie podatniejszym dla jej nawykłego do mocnych trunków podniebienia niż łagodny upominek kapitana Whartona, i dzięki temu mogła z łatwością dotrzymać kroku rozweseleniu swoich gości. Piosenkę kapitana Lawtona przyjęto z ogólnym zapałem, nie uczestniczył w nim tylko chirurg, który zaraz po pierwszej zwrotce wstał z ławy i przechadzał się po izbie w przystępie klasycznego oburzenia. Gdy brawa i oklaski ucichły, doktor zwrócił się do śpiewaka i zawołał:

— Kapitanie Lawton, zdumiewam się, że człowiek pańskiego urodzenia i wychowania, i dzielny oficer nie może znaleźć w dzisiejszych czasach próby innego tematu dla swojej muzy niż te niemądre inwokacje obozowej wiwandjerki, osławionego brudasa, Elżbiety Flanagan. Zdaje mi się, że Bogini Wolności mogłaby dostarczyć panu szczytniejszego natchnienia, a niedoli twej ojczyzny stosowniejszych tematów.

— Ejże! — zawołała właścicielka hotelu, groźnie przystępując do niego — i któż to mnie nazywa brudasem? Pan lewatywnik, pan bankarz — —

— Cicho — rzekł Dunwoodie głosem trochę tylko podniesionym, ale który wywołał ogólne milczenie — wyjdź stąd, kobieto! Doktorze Sitgreaves, siadaj pan na swoim miejscu i nie psuj porządku biesiady.

— Siadam, siadam — rzekł chirurg, przybierając postawę pełną godności. — Tuszę sobie, majorze Dunwoodie, że nie są mi obce zasady przyzwoitości ani też towarzyskie obyczaje.

Betty wykonała śpieszną choć nieco chwiejną rejteradę, wdrożona do posłuszeństwa rozkazom komendującego oficera.

— Major Dunwoodie zechce udarować nas jaką rzewną piosenką — rzekł Lawton, kłaniając się swemu

dowódcy z dworskością, którą gdy chciał, tak dobrze potrafił przybrać.

Major zawahał się na chwilę, poczem z uczuciem i wielką umiejętnością zaśpiewał następujące strofki:

Są, którzy wielbia pałace blaski słońca
I pławić się chcieliby w nich bez końca,
Że żarem tym ich własne p'oną lica;
Ale są inni, których nic tak nie wzruszy
I żaden czar tak nie rozmarzy duszy
Jak w letnią noc srebrzysty blask księżyca.

Kwiat tulipanu w królewskie strojny szaty
Drogi jest tym, co wielbią barw szkarłatą
A wzroku ich, jaskrawość ta nie nuży.
Ale szczęśliwy, dla kogo wieniec spleta
Kochanki dłoń, droższa nad skarby świata,
I niesie mu z ałachy bia'ej róży.

Głos Dunwoodie'go męski a rzewny poruszył serca słuchaczy, to też gdy skończył, spotkały go oklaski nie tak hałasliwe jak te, któremi przyjęto popis kapitana Lawtona, lecz mimo to o wiele pochlebniejsze.

— Gdybyś pan — rzekł doktor dołączywszy swój objaw uznania do pochwał kolegów — gdybyś pan nauczył się kojarzyć klasyczne aluzje z twą subtelną wyobraźnią, stałbyś się niepoślednim poetą amatorem.

— Kto krytykuje, powinien sam umieć tworzyć — rzekł Dunwoodie z uśmiechem. — Proszę doktora Sitgreaves'a o próbkę stylu, którego jest zwolennikiem.

— Doktor Sitgreaves zaśpiewał! Doktor Sitgreaves zaśpiewał! — powtórzył cały stół z uciechą. — Pano wie! cisza dla klasycznej ody doktora Sitgreaves'a.

Chirurg skłonił się na znak zgody, wychylił resztę wina ze szklanki, odchrząknął kilkakrotnie, co wielce uradowało siedzących na szarym końcu młodzieńskich kornetów, i ogromnie fałszywym głosem zanucił:

Jeśli cię kiedy zranił grot Amora,
Jeśli wiesz, co to czuć łzę pod powieką,
Wspominać z rana i tęsknić z wieczora
I szukać blisko tego, co daleko,
Jeżeli, luba, znasz te wszystkie rzeczy,
Znasz ból, którego Galen nie uleczy.

— Hurra! — krzyknął Lawton — Archibald zapędził muzy w kozi róg. — Rymy jego płyną jak leśny strumyk przy świetle księżycy, a melodia jego jest połączeniem słowika z sową.

— Kapitanie Lawton — zawołał rozgniewany chirurg — inną rzeczą jest lekceważyć światła klasycznej nauki, a inną być samemu lekceważonym za własne nieuctwo.

Wtem dało się słyszeć głośne stukanie do drzwi, nastąpiła raptowna cisza, a dragoni instynktownie chwycili za broń, aby być w pogotowiu na wszelki wypadek. Tymczasem drzwi się otwały i weszli skinnerzy, wlokąc za sobą kramarza, pochylonego pod ciężarem swego toboła.

— Który z panów jest kapitanem Lawtonem? — rzekł herszt bandy, rozglądając się wkoło z pewnem zdziwieniem.

— Do usług — rzekł kawalerzysta sucho.

— Oddaję w pańskie ręce skazanego zdrajcę; to jest Harvey Birch, kramarz-szpieg.

Lawton drgnął, spojrzawszy na znaną mu twarz, i zwracając pogardliwy wzrok na skinnera, zapytał:

— A waćpan kto jesteś, że tak lekko mówisz o swoich bliźnich? Ale — tu skłonił się Dunwoodie'emu — przepraszam pana, majorze, tu jest komendant, do niego proszę się zwrócić.

— Nie — odrzekł posępnie herszt. — Panu wydaję kramarza i od pana żądam nagrody.

— Czy jesteś Harveym Birchem? — zapytał Dunwoodie postępując naprzód w tak nakazującej postawie, że skinner cofnął się natychmiast w najdalszy kąt izby.

— Jestem nim — rzekł Birch dumnie.

— I zdrajcą ojczyzny — ciągnął dalej major surowo. — Czy wiesz, że byłbym usprawiedliwiony, gdybym dziś jeszcze posłał cię na szubienicę?

— Nie jest wolą Bożą odwoływać tak prędko duszę ludzką przed Jego obecność — rzekł kramarz z namaszczaniem.

— Prawdę mówisz — odparł Dunwoodie — i dlatego życie będzie ci przedłużone o kilka godzin. Ale ponieważ zbrodnia twa jest tą, którą żołnierz najbardziej pogardza, więc spotka cię zemsta żołnierza. Umrzesz jutro.

— Będzie, jak Bóg zechce.

— Schwytanie tego łotra dużo mnie trudu i czasu kosztowało — rzekł skinner, wysuwając się trochę z kąta — więc spodziewam się, że pan wyda mi świadectwo, upoważniające nas do odebrania nagrody; miała być wypłacona w złocie.

— Majorze Dunwoodie — rzekł wchodząc dyżurny oficer — patrole raportują, że spalono dom w pobliżu wczorajszego pola walki.

— To chata kramarza — mruknął herszt bandy — byłbym ją już dawno puścił z dymem, ale potrzebną mi była, by tego chytrego lisa w jego własnej jamie przycapić.

— Wielce gorliwy i pomysłowy patrjota z waćpana — rzekł Lawton. — Majorze Dunwoodie, popieram żądanie tego zacnego jegomości, i upraszam o pozwolenie wypłacenia nagrody jemu i jego towarzyszom.

— Dobrze. A ty, nędzniku, przygotuj się na los, który spotka cię niewątpliwie, nim zajdzie jutrzejsze słońce.

— Życie nie ma dla mnie żadnych ponęt — rzekł Harvey, zwolna podnosząc oczy i patrząc błędnie na otaczające go obce twarze.

— Pójdźcie, godne dzieci Ameryki — rzekł Lawton — pójdźcie i otrzymajcie zasłużoną nagrodę.

Zbóje nie dali sobie powtarzać dwa razy tego zaproszenia i wyszli śpiesznie za kapitanem. Dunwoodie pomilczał chwilę, jakby czując pewien wstręt do triumfowania nad pokonanym wrogiem, i ciągnął dalej:

— Byłeś już sądzonym, Harveyu Birch, i prawda wykazała, że jesteś zbyt niebezpiecznym wrogiem swobód Ameryki, by ci pozwolono żyć nadal.

— Prawda! — powtórzył kramarz zadrżawszy, i wyprostował się, jakby nie czuł na plecach ciężaru toboła.

— Tak, prawda. Dowiedziono ci, żeś krążył w pobliżu armji lądowej, by wyszpiegowawszy jej ruchy i doniósłszy o nich nieprzyjacielowi, umożliwić mu pokrzyżowanie planów Washingtona.

— Czy Washington to powie, jak pan sądzisz?

— Niewątpliwie, nawet sprawiedliwość Washingtona potępia cię.

— Nie, nie, nie! — zawołał kramarz takim głosem i w taki sposób, że to zastanowiło Dunwoodie'go. — Washington umie patrzeć głębiej, niż sięgają poglądy wrzekomych patryjotów. Alboż on sam nie rzucił wszystkiego na szalę? A jeżeli szubienica stoi gotowa dla mnie; albo nie stała i dla niego? Nie, nie, nie, nie, — Washington nie powie nigdy: „Prowadźcie go na szubienicę“.

— Co cię upoważnia, nieszczęsny człowieku, mówić w ten sposób? Cóż jest takiego, co mogłoby cię ocalić od śmierci w oczach Naczelnego Wodza? — zapytał Dunwoodie, ochłonawszy ze zdumienia, w jakie go wprawiło zachowanie się kramarza.

Birch zadrżał. Straszna walka toczyła się w jego piersi. Twarz pobladła mu trupio, ręka wydobyła małeńkie blaszane pudełeczko, schowane za koszulą. Otworzył je, zawierało kawałek papieru. Na tym dokumencie spoczęły na chwilę jego oczy, już go podawał Dunwoodie'mu, lecz nagle cofnął dłoń i wykrzyknął:

— Nie, to umrze wraz ze mną. Znam warunki mojej służby i nie kupię życia za sprzeniewierzenie się im. To umrze ze mną.

— Oddaj mi ten papier, a może znajdziesz łaskę — zawołał Dunwoodie, sądząc, że dowie się jakiej ważnej tajemnicy, obchodzącej sprawę wolności.

— To umrze ze mną! — powtórzył Birch; przelotny rumieniec zabarwił jego pobladłą twarz i oczy błysnęły nadzwyczajnym blaskiem.

— Bierzcie zdrajcę — zawołał major — i wydrzyjcie mu z rąk tajemnicę.

Rozkaz spełniono niezwłocznie, lecz kramarz szybciej jeszcze połknął papier. Oficerowie zdumieli, a chirurg krzyknął:

— Trzymajcie go, dam mu emetyku.

— Zabraniam — rzekł Dunwoodie dając mu nakazujący znak ręką. — Jeżeli zbrodnia jego jest wielka, ciężką też będzie i kara.

— Prowadźcie mnie — zawołał kramarz, zrzucając toboł z pleców i postępując ku drzwiom krokiem niepojętej godności.

— Gdzie? — zapytał Dunwoodie zdumiony.

— Na szubienicę.

— Nie — rzekł major, wzdrygnawszy się mimowoli. — Obowiązek nakazuje mi skazać cię na śmierć, lecz nie tak nagle. Masz czas do dziewiątej jutro rano, by się przygotować na tę straszną chwilę.

Dunwoodie szepnął słów kilka jednemu z młodszych oficerów i dał znak kramarzowi do odejścia. Ale przerwana zabawa już się nie ponowiła, i oficerowie rozeszli się na nocny spoczynek. Niebawem zaległa cisza i słychać było tylko ciężkie stapania szyldwacha, przechadzającego się po zmarzłej ziemi przed Hotelem Flanagan.

ROZDZIAŁ XVII.

— — — — „Sa, których zmienne
rwy wyrażają każde niewinne uczu-
cie, piersią poruszające; gdzie Mi-
łość, Nadzieja i Litość tkliwa od-
bija ją się jak w zwierciadle. Ale
trzeźwe doświadczenie umie pokryć
te wrażenia maską obojętności,
przywdzianą z umysłu, by zniwe-
czyć chytre zamiary podłej zdrady.“

Duo.

Oficer, któremu Dunwoodie polecił pilnować kra-
marza, zdał ten obowiązek na sierżanta gwardji. Upo-
minek kapitana Whartona pozostawił swoje ślady na
młodziutkim poruczniku, i pewien taneczny ruch, jaki
wszystkie otaczające go przedmioty wykonywały
w jego oczach, ostrzegł go o konieczności doprowadze-
nia natury do porządku za pośrednictwem snu. Zapo-
wiedziawszy więc sierżantowi, by dawał pilne bacze-
nie na więźnia, młodzieńczyk otulił się płaszczem
i wyciągnawszy na ławce przed ogniskiem, wprędce
znalazł tyle pożądany spoczynek. Na tyłach budynku
mieściła się długa, nędzna szopa, a w jednym z jej koń-
ców sklecone naprędce przepierzenie tworzyło rodzaj
komórki, przeznaczonej na skład rupieci gospodar-
skich. W tych bezprawnych czasach wszelako kto
chciał, to zabrał stamtąd wszystko, co mogło mieć jesz-
cze jakąś wartość, i Betty Flanagan zaraz po przyby-
ciu uznała z właściwym jej sprytem kąt ten za najod-
powiedniejszy na pomieszczenie jej ruchomości i jej
własnej osoby. Złożono tam również zapasową broń
i bagaże oddziału, i połączone te skarby znajdowały

się pod pieczę sztyldwacha, pilnującego tyłów głównej kwatery. Drugi żołnierz, stojący w pobliżu domu na straży oficerskich koni, mógł jednocześnie mieć na oku zewnętrzną część owej komórki, pozbawionej okna i jakiegokolwiek wyjścia prócz jednych drzwi wchodowych, co sprawiło, że rozważny sierżant uznał to miejsce za najodpowiedniejsze do zamknięcia w niem więźnia, aż do chwili wykonania wyroku. Skłoniła też do tego sierżanta Hollistera i nieobecność Betty, która leżała przed ogniskiem w kuchni i chrapała w najlepszym śniąc, że nieprzyjaciel napadł na oddział, i biorąc odgłosy, dobywające się z jej własnego nosa, za dźwięki trąbki wirgińskiej jazdy, idącej do ataku.

Sierżant Hollister miał swoje własne zapatrywania na życie i śmierć, wyróżniające go z pomiędzy kolegów jako wzór świątobliwości i nieskazitelnego postępowania. Miał on już przeszło pięćdziesiąt lat i większą część tego czasu przesłużył wojskowo. Ciągłe obcowanie z nagłą śmiercią odniosło na nim wręcz przeciwny skutek, niż to bywało zazwyczaj i uczyniło go nietylko najpoważniejszym, lecz i najgodniejszym zaufania żołnierzem w jego oddziale. Kapitan Lawton wynagrodził jego wierność, czyniąc go swoim ordynansem.

Zaprowadził tedy sierżant Bircha w milczeniu do zaimprovizowanego więzienia i otworzywszy drzwi jedną ręką, drugą podniósł latarnię, by poświecić kramarzowi. Następnie siadł na baryłce, zawierającej tak ulubiony napój Betty, i dał znak Birchowi, by zajął w ten sam sposób drugą, latarnię zaś postawił na ziemi. Co gdy się stało, popatrzył czas jakiś uważnie na kramarza i rzekł:

— Wyglądasz mi na takiego, co spotka śmierć jak na mężczyznę przystoi, przyprowadziłem cię więc tutaj, byś w spokoju i ciszy mógł zebrać myśli i pojednać się z Bogiem.

— Straszne to miejsce, aby w niem spędzić ostatnie chwile — rzekł Harvey, rozglądając się wokoło tęym wzrokiem.

— E, to najmniejsza, gdzie się człowiek sposobi na ostatnią rewję, byle się przysposobił jak należy — odpowiedział weteran. — Mam tu książeczkę, z której zawsze coś sobie odczytuję przed bitwą, i bardzo mnie to krzepi w potrzebie.

To powiedziawszy, wyjął z kieszeni biblię i podał ją kramarzowi. Ten przyjął ją ze zwykłemi oznakami poszanowania, ale patrzył wciąż dokoła błędnym wzrokiem, co nasunęło sierżantowi przypuszczenie, że strach bierze nad nim górę, postanowił więc pocieszyć go, o ile to było w jego mocy.

— Jeżeli ci coś ciąży na duszy — rzekł — to najlepsza chwila, żeby się tego pozbyć; jeżeliś kogo skrzywdził, przyrzekam ci słowem uczciwego dragona, że pomogę ci naprawić zło wyrządzone.

— Mało jest takich, którzy sobie nic do wyrzucenia nie mają — rzekł kramarz, spoglądając znów tępym wzrokiem na towarzysza.

— To prawda — ludzką rzeczą jest grzeszyć, ale zdarza się czasem, że człowiek uczyni coś, czego potem żałuje. I nie chciałby umierać z ciężkim grzechem na sumieniu.

Harvey przez ten czas obejrzał dokładnie całe wnętrze, gdzie miał spędzić noc, i przekonał się, że o ucieczce stąd nie mogło być mowy. Ale nadzieja, to uczucie, które na ostatku opuszcza ludzkie serce, i kramarz zaczął z kolei przypatrywać się sierżantowi tak bystro, że ten mimowoli spuścił oczy przed tym dziwnym wzrokiem.

— Nauczono mnie składać ciężar moich grzechów u stóp Stwórcy — wymówił kramarz.

— Tak, wszystko to jest bardzo piękne — odparł tamten — ale sprawiedliwości powinno się stać załość, gdy jest potemu sposobność. W tych niespokojnych czasach wielu jest takich, których pozbawiono tego, co było ich prawną własnością. Ja sam często nie mogę pogodzić należytnej mi wojennej zdobyczy z mojem sumieniem.

— Te ręce — rzekł kramarz, wyciągając przed siebie chude kościste palce — pracowały ciężko lata całe, lecz ani razu nie splamiły się grabieżą.

— To bardzo dobrze, skoro tak jest — odparł zacyjny sierżant — i z pewnością jest to teraz wielką dla ciebie pociechą. Są trzy wielkie zbrodnie, od których, jeśli człowiek potrafił się uchronić, to z pomocą Boską może się spodziewać, że mu w niebie lustracja dobrze pójdzie: a to są — kradzież, morderstwo i dezercja.

— Dzięki Bogu — rzekł Birch z zapalem — nie odebrałem nikomu życia.

— Oczywiście, jeżeli zabija się człowieka w bitwie, to spełnia się tylko swoją powinność. Jeżeli sprawa jest złą, to wina za to spada na cały naród, i żołnierz narówni z innymi otrzymuje karę, ale morderstwo, popełnione z zimną krwią, równa się w oczach Boga zbrodni dezercji.

— Nie byłem nigdy żołnierzem, więc nie mogłem być dezertorem — rzekł Birch, opierając twarz na dłoni w melancholijnej postawie.

— Widzisz, dezercja nietylko w wojsku się trafia, chociaż to już jest jej najgorszy rodzaj, ale człowiek może odstąpić swój kraj w potrzebie i wtedy także będzie dezertorem, choćby nigdy broni w ręku nie miał.

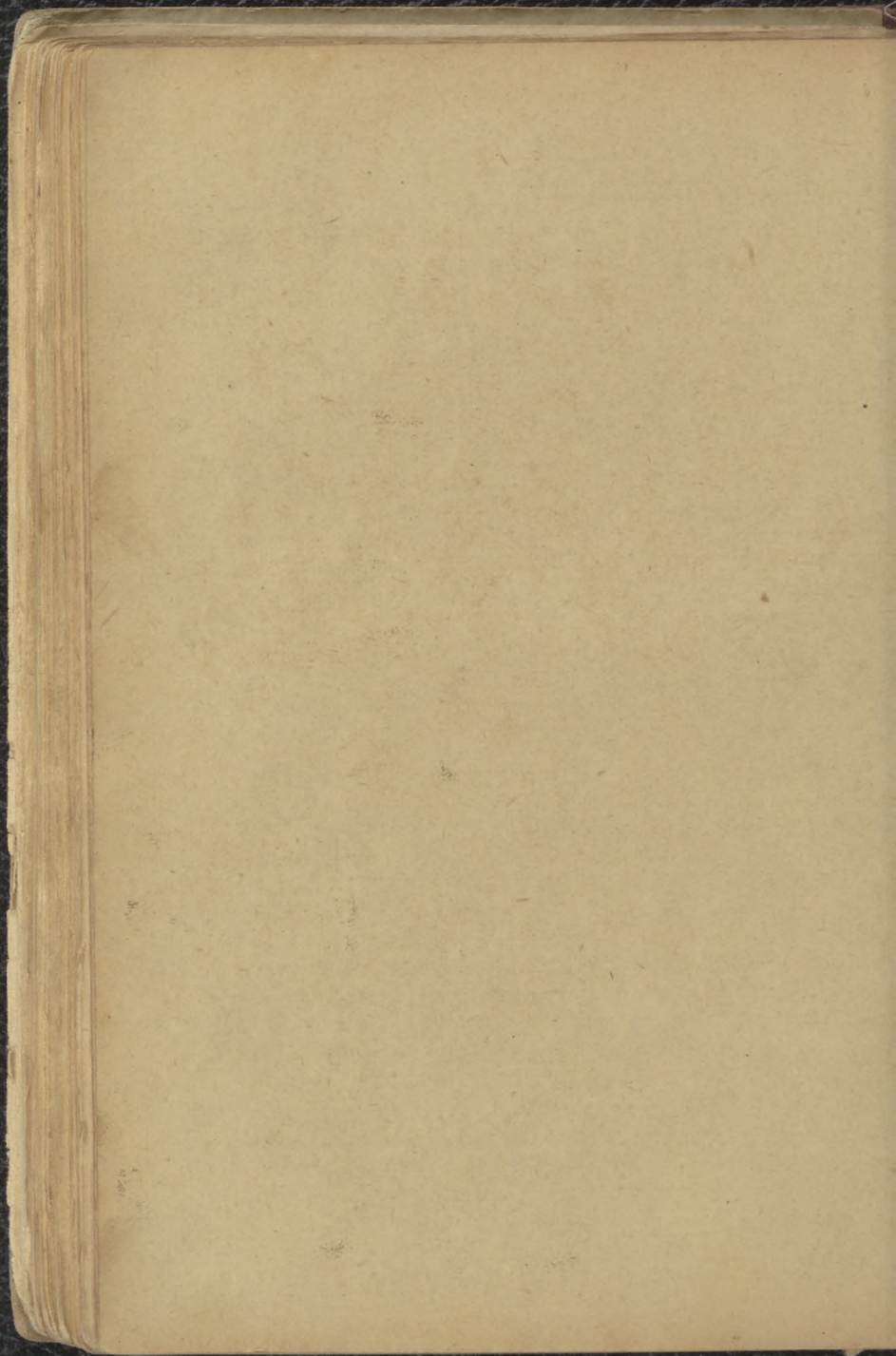
Birch ukrył twarz w dłoniach i cała jego postać zatrzęsała się jakby tłumionem łkaniem. Sierżant popatrzył na niego pilnie, ale dobre uczucia wzięły w nim górę nad odrazą, jaką przejmował go ten człowiek, i mówił łagodniej:

— Ale i ten występek może dostąpić odpuszczenia, jeżeli szczerze żałuje się za niego, i mniejsza z tem gdzie i jak człowiek umrze, byle umarł jak chrześcijanin i mężczyzna. Radzę ci więc, pomódl się, a potem zaśnij, abyś mógł sił nabrać. Niema nadziei, aby cię ulaskawili, bo pułkownik Singleton rozesał wszędzie najwyraźniejsze rozkazy, by cię powiesili, gdziekolwiek cię złapią. Nie — nie — nic cię nie może ocalić.



. . . wyjął z kieszeni biblię i podał ją kramarzowi. Str 223.

Szpieg.



— Masz słusność — zawołał Birch — za późno już. Zniszczyłem moją deskę ocalenia. Lecz ufam, że On odda sprawiedliwość bodaj pamięci mojej.

— Jaka deska zbawienia? — zapytał sierżant ciekawie.

— To nic — odpowiedział kramarz, odzyskując zwykły spokój i unikając badawczego wzroku swego towarzysza.

— A kto jest On?

— Nikt.

— Nie i nikt, to ci się nie na wiele przyda — rzekł sierżant wstając. — Połóż się na łóżku pani Flanagan i postaraj się zasnąć, jutro obudzę cię na czas i doprawdy, chciałbym z duszy serca dopomóc ci w czemkolwiek, bo przykro mi, gdy człowieka jak psa wieszają mają.

— Więc możesz mnie ocalić od tej haniebnej śmierci! — zawołał Birch, zrywając się z miejsca i chwytając dragona za ramię. — Och! czego jabym ci nie dał w nagrodę!

— A to w jaki sposób? — zapytał sierżant zdziwiony.

— Patrz! — rzekł kramarz, wydobywając kilka gwinei z zanadru — to jest nic w porównaniu z tem co ci dam, jeżeli mi dopomożesz uciec.

— Gdybyś był tym, którego portret jest na tych złotych monetach, jeszczebym cię nie usłuchał — rzekł kawalerzysta, rzucając z pogardą pieniądze na ziemię. — Idź, nędzny człowieku, pojednaj się z Bogiem, bo On tylko może ci być dziś pomocą.

Powiedziawszy to, sierżant wziął latarnię i nie spojrzawszy już na kramarza, wyszedł zdjęty oburzeniem. Birch zrozpaczony padł na posłanie Betty, a sierżant tymczasem dawał ostatnie polecenia strażom, przykazując im strzec więźnia jak oka w głowie.

— Życie twoje w tem, żeby nie uciekł. Niech nikt tu nie wejdzie ani nie wyjdzie stąd do rana.

— Kiedy bo — rzekł kawalerzysta — mam rozkaz, żebym nie bronił praczce wchodzić i wychodzić, kiedy jej się będzie podobało.

— No to jej nie broń, ale pilnuj, aby ten szczwany lis nie zaplątał się w jej spódnice — rzekł sierżant i poszedł dalej, wydając te same zlecenia innym strażom.

Czas jakiś po wyjściu sierżanta głęboka cisza panowała w izdebce więźnia. Wreszcie stojący pod drzwiami dragon usłyszał jego regularny oddech, świadczący, że skazaniec śpi w najlepsze. Żołnierz aż zdumiał nad taką obojętnością dla życia, która nawet na progu śmierci nie przeszkodziła naturze zażywać zwykłego spoczynku. Imię Harveya Bircha było jednak tak znieawidzone w całym wojsku, że w zdumieniu tem nie było ani cienia politowania dla nieszczęsnego więźnia. Jakoż w całym oddziale nie byłby się z pewnością znalazł drugi taki jak sierżant Hollister, który byłby okazał Birchowi tyle współczucia, natomiast każdy byłby tak samo odrzucił jego pieniądze, choć może dla mniej szlachetnych powodów. Co się tyczy szyldwacha, przechadzającego się pod drzwiami komórki, to prócz pogardy była w nim jeszcze jakaś mściwa niechęć względem człowieka, zażywającego tak smacznie snu, którego on sam był pozbawiony, i okazującego tak jawne lekceważenie najsroźszej kary, jaką wojskowy rygor mógł mu wymierzyć za zdradę sprawy Wolności i Ameryki.

Parę brała go chętka zakłócić w jakiś sposób ten spoczynek, którego tak kramarzowi zazdrościł, ale dyscyplina, której podlegał, i jakieś tajemne poczucie wstydu przed podobnem brutalstwem nie dozwoliły mu tego.

Wkrótce jednak wyrwało go z zadumy pojawienie się Betty Flanagan, która zataczając się wyszła drzwiami prowadzącymi z kuchni na dwór, rozwścieczona na oficerskich służących, którzy swojemi figlami zbudzili ją ze snu przed ogniem. Strażnik, zobaczywszy ją,

chciał się wdać z nią w rozmowę, ale Betty klnąc i mrużąc nie dała mu dojść do słowa, dał jej więc wejść do izdebki, nie uprzedziwszy, że znajdzie w niej drugiego lokatora.

Usłyszał następnie, jak padła ciężko na łóżko, aż pod nią zatrzeszczało, poczem zaległa cisza, którą wkrótce znowu przerwało głośnie sapanie Harveya, jak gdyby wejście Betty nic na ciągłość jego snu nie wpłynęło. Zaraz też zmieniono strażę. Szydldwach, wciąż mający z kramarzem na pieńku za to jego lekceważenie śmierci, rzekł na odchodnym do swego następcy:

— Będziesz mógł sobie potańczyć przy muzyce, Johnie; szpieg już gwizdże w najlepsze, a tylko czekać aż mu Betty zawtóruje.

Zartowi temu towarzyszył ogólny śmiech zmieniających się straży, a w tejże chwili Betty ukazała się we drzwiach i zataczając się dążyła na poprzednie leże.

— Stój! — zawołał kawalerzysta, chwytając ją za spódnicę. — A może ty tam masz szpiega w kieszeni.

— Czy to nie słyszysz, jak ten łotr chrapie w moim pokoju, ty łajdaku z pod ciemnej gwiazdy — wybełkotała Betty, trzęsąc się ze złości. — Tak to obchodźcie się z uczciwymi kobietami, gałgany, żeby jej jakiegoś mężczyznę pakować do pokoju.

— E! taki tam mężczyzna, co go rano powieszają. Sama mówisz, że już śpi, jutro czeka go dłuższa drzemka.

— Puszczaj, nicponiu! — zawołała Betty, pozwalając odebrać sobie buteleczkę, którą trzymała w ręku. — Czekać, pójdę ja do kapitana Jacka i dowiem się, czy to on kazał zamknąć szpiega, co go jutro wieszają mają, w moim pokoju i nawet na mojem wdowiem łóżku, ty złodzieju!

— Cicho, staro czarownico! — rzekł zaśmiawszy się kawalerzysta i pociągnął spory łyk z butelki —

cicho, bo zbudzisz jegomościa, a ładnie to przerywać człowiekowi jego sen ostatni.

— Pójdę obudzić kapitana Jacka, ty hultaju, i przyprowadzę go tu, żeby mi się stała sprawiedliwość, on wam dopiero pokaże, co to jest postponować uczciwą wdowę. Będzie wam ciepło, gałgany!

I z temi słowy, na które odpowiedział nowy wybuch śmiechu szyldwacha, Betty zataczając się poszła w stronę kwatery swego ulubieńca, kapitana Jacka Lawtona. Ale ani oficer, ani praczka nie pojawili się więcej tej nocy, i nic już nie przerwało snu kramarzowi, który ku zdumieniu różnych straży chrapał w dalszym ciągu, zdając się nie dbać o oczekiwającą na niego szubienicę.

ROZDZIAŁ XVIII.

„Daniel to przyszedł na sąd,
istny Daniel! O! mądry młody sędzio,
jakże ja czczę ciebie!”

Kupiec Wenecki.

Skinnerzy podążyli ochoczo za kapitanem Lawtonem do jego kwatery. Kapitan dragonów okazywał zawsze tyle gorliwości dla sprawy, której służył, tak nie dbał o własne bezpieczeństwo, gdy miał do czynienia z wrogiem, a jego wzrost i postawa tak bardzo czyniły go groźnym, że wszystko to razem wzięte zjednało mu w jego pułku zgoła wyjątkową, a pod pewnymi względami niesprawiedliwą opinię. Zuchwałą jego odwagę poczytywano za krwiożerczość, a popędliwą gorliwość za wrodzone okrucieństwo. Natomiast parę wypadków, w których Dunwoodie okazał się wyrozumiałym, a raczej ściśle mówiąc bezstronnie sprawiedliwym, wystarczyło, by ci i owi pod niebiosa wynosili jego pobłażliwość i dobroć serca. Bo rzadko-kiedy ujemna lub dodatnia opinja odpowiada w równej mierze tym wadom lub zaletom które głosi.

Dopóki herszt bandy znajdował się w obecności majora, czuł to szczególne skrępowanie, jakiego występki doznaje zwykle w obliczu uznanej cnoty; lecz wyszedłszy z domu, nabrał wnet przekonania, iż dostał się pod opiekę pokrewnego ducha. W zachowaniu się Lawtona była powaga, wprowadzająca często w błąd tych, którzy go bliżej nie znali, tak dalece, iż w pułku utarło się twierdzenie, że „kiedy kapitan się śmieje, to wtedy się źle dzieje”. Przysunawszy się za-

tem do swego przewodnika, herszt zawiązał poufną rozmowę:

— Zawsze to dobrze, gdy człowiek wie, czy ma do czynienia z przyjacielem czy z wrogiem — rzekł w rodzaju wstępu.

Kapitan odpowiedział mruknięciem, które tamten wytłumaczył sobie po swojej myśli.

— Major Dunwoodie cieszy się, jak sędzę, względami Washingtona — ciągnął dalej skinner tonem wyrażającym raczej wątpliwość niż pytanie.

— Są tacy, którym się tak zdaje.

— Wielu przyjaciół Kongresu w tem hrabstwie — mówił dalej tamten — życzyłoby sobie widzieć innego oficera na czele jazdy, ja zaś, gdybym tylko wiedział, że od czasu do czasu znajdzie się w wojsku ktoś, co mnie w razie potrzeby osłoni, mógłbym oddać sprawie usługi, wobec których schwytanie kramarza jest drobnostką.

• — Doprawdy? I jakież to naprzykład?

— Takie, z których i ów oficer mógłby w równym stopniu skorzystać — rzekł skinner ze znaczącym spojrzeniem.

— Ale w jaki sposób? — zapytał niecierpliwie Lawton, przyspieszając kroku, tak, żeby go reszta bandy słyszeć nie mogła.

— Ano, w pobliżu królewskich oddziałów nawet prawie na samej linii dałoby się niejedno uskubnąć, gdybyśmy mieli siłę, która broniłaby nas od ludzi de Lancey'a¹⁾ i osłaniała nasz odwrót, by nas przypadkiem nie odcięto.

¹⁾ Partyzanckie oddziały, zwane c o w - b o y a m i w miejscowej gwarze, znajdowały się pod dowództwem pułkownika de Lancey'a. Człowiek ten wysokiego rodu i wykształcenia, będący w szczególnej nienawiści u Amerykanów, uchodził za okrutnika, aczkolwiek nie dowiedziono mu żadnego czynu, któryby przekraczał zwykłą miarę praktykowaną w tego rodzaju wojowaniu.

Pułkownik de Lancey należał do jednej z najwybitniejszych rodzin w kolonjach amerykańskich; stryj jego umarł

— Myślałem, że „zbiegowie” sami sobie w tych rzeczach radzą.

— Potrosze. Ale muszą szukać pomocy pomiędzy swoimi. Ja urządziłem dwukrotnie takie wycieczki w zmwowie z nimi; raz postąpili rzetelnie, ale za drugim razem napadli na nas, rozpędzili i przywłaszczyli sobie całą zdobycz.

— To było istotnie bardzo nieuczciwie z ich strony. Nie pojmuję, jak porządny człowiek może się wdawać z takimi hultajami.

— Ano cóż, musimy wchodzić z nimi w porozumienie, bo inaczej mogłoby być jeszcze gorzej. Jak pan sądzi, czy majorowi Dunwoodie możnaby zaufać?

— Niby na uczciwych warunkach?

— Oczywiście, przecież pan wie, jaką opinią cieszył się Arnold, dopóki nie schwytano angielskiego majora.

— Hm, nie sądzę, żeby Dunwoodie sprzedał swoje dowództwo, jak to chciał uczynić Arnold, i nie zdaje mi się również, żeby mu było można zawierzyć w tak drażliwej sprawie jak ta, którą poruszyliście przed chwilą.

— Otóż to — rzekł skinner tonem, świadczącym, jak bardzo był zadowolony z własnej przenikliwości.

Tymczasem przyszli do porządniejszego folwarcznego domu, którego bardzo rozległe zabudowania znajdowały się, jak na owe czasy, w dosyć przyzwoitym stanie.

Żołnierze pozajmowali stodoły, zaś konie ich mieściły się w długich szopach, zabezpieczających podwórze od zimnych północnych wiatrów. Teraz konie te

jako rządowy gubernator hrabstwa New-Yorku. Nie należy mieszać go z innymi członkami jego rodziny tegoż imienia, z których wielu służyło w armji królewskiej. Krewny jego pułkownik Oliver de Lancey był w czasie, kiedy się toczy nasza powieść, generał-adjutantem angielskich wojsk w Ameryce, mianowanym na miejsce nieszczęsnego André'go. Co w b o y ó w nazywano też często z b i e g a m i, a to z przyczyny, że chronili się pod opiekę korony.

posiódłane, z uzdami na szyjach, aby w każdej chwili można ich było dosiąść, jadły sobie spokojnie. Lawton zostawił skinnera przed domem i wszedł sam do kwatery, wrócił jednak niebawem ze stajenną latarnią w rękę i poprowadził bandę ku obszernemu sadowi, z trzech stron otaczającemu budynki. Skinnerzy poszli za nim w milczeniu, sądząc, że zamiarem jego jest ułatwić dalszą rozmowę na ten interesujący temat, bez obawy że niepowołane ucho może ją podsłuchać.

Herszt przysunął się znów do Lawtona, a chcąc mu dać lepsze wyobrażenie o swojej inteligencji, rzekł:

— Jak pan sądzi, czy kolonie wezmą ostatecznie górę nad królem?

— Czy wezmą? — wykrzyknął kapitan zapalczewie, lecz opamiętawszy się wnet, dodał spokojnie:

— Oczywiście, że wezmą. Jeżeli Francja użyczy nam broni i pieniędzy, przepędzimy królewskie wojska w ciągu pół roku.

— I ja tak sądzę, a wówczas będziemy mieli rząd wolny, a ci, którzy teraz walczą za niego, otrzymają nagrodę.

— O! — zawołał Lawton — wasze prawa będą niezaprzeczone. Natomiast ci podli torysi, którzy sobie żyją w domu jak u Pana Boga za piecem, pilnując swego gospodarstwa, słusznie pójdą w poniewierkę. Wy zapewne nie macie gospodarstwa?

— Jeszcze nie, ale byłoby źle, żebym go się nie dochrapał przed zawarciem pokoju.

— Otóż kto pilnuje własnych interesów, pilnuje interesów kraju; trzeba tylko nie dać się zjeść w kaszy, a daleko się zajędzie.

— Otóż to — rzekł znowu herszt, coraz bardziej zachwycony rozmową, z której jak najpomysłniejse wysnuwał dla siebie wnioski. — I, proszę pana, czy to nie byli wierutni głupcy, ci ludzie Pauldinga¹⁾, że nie dali uciec królewskiemu generał-adjutantowi?

¹⁾ Autor czyni tu aluzję zbyt lokalną dla przeciętnego czytelnika. André'go jak powszechnie wiadomo, schwytało

— Głupcy! — zawołał Lawton, zaśmiawszy się gorzko — to prawda, że głupcy, król Jerzy byłby im lepiej zapłacił, bo jest bogatszy. Byliby panami do końca życia. Ale, dzięki Bogu, istnieje jeszcze jakiś cudowny duch w narodzie. Ludzie, którzy nic nie mają, postępują tak, jak gdyby bogactwa Indyj miały opłacić ich wierność, nie wszyscy są takimi nikczemnikami jak ty, bo w takim razie dawnobyśmy już jęczeli w angielskiej niewoli.

— Co! — wykrzyknął herszt, cofając się i spuszczając muszkiet do wysokości piersi kapitana — więc omyliłem się, pan jesteś moim wrogiem?

— Łotrze! — zagrział Lawton, wytrącając mu szabłą muszkiet z ręki — raz jeszcze wyceluj do mnie, a przetnę cię przez pół.

— Więc pan nam nie zapłaci, kapitanie Lawton? — zapytał skinner, dygocąc ze strachu, bo w tej samej chwili ujrzał konny oddział dragonów, w milczeniu otaczający całą bandę.

— O! zapłacę ci, zapłacę, otrzymasz nagrodę w całej pełni. Masz, to są pieniądze, przysłane przez pułkownika Singletona dla tych, co schwytają szpiega. — I pogardliwie rzucił hersztowi worek z gwinejami pod nogi. — Broń na ziemię, łotry, i przeliczyć mi pieniądze, żebyście się przekonali, że są w porządku.

Wystraszona banda spełniła rozkaz, a podczas gdy oddawali się temu miłemu zajęciu, kilku ludzi Lawtona cichaczem powymmowało ładunki z ich muszkietów.

— Tak, panie kapitanie — odpowiedział herszt — i z pozwoleniem pańskim pójdziemy teraz sobie.

— Stój! nie tak prędko. Skończyliśmy z nagrodą, a teraz kolej na sprawiedliwość. Płacimy wam za schwytanie szpiega, ale karzemy was za grabież, pod-

trzech Amerykanów, wysłanych na poszukiwanie nieprzyjacielskich band rozbójniczych. Nazwisko dowódcy tej partji było Paulding. Bezinteresowność, z jaką ludzie ci odrzucili pieniężne propozycje schwytanego, jest kwestją historii.

palenie i mord. Bierzcie ich, chłopcy, i wsypcie każdemu Mojżeszowe prawo: czterdzieści bez jednego.

Rozkaz spełniono ochoczo, w mgnieniu oka schwymano skinnerów i przywiązano każdego z osobna do rosnących w sadzie jabłoni. Błysnęły szable; jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej pospadały z drzew gałęzie, wybrano z pomiędzy nich najbardziej giętkie, i tylu dragonów, ilu było opryszków, chętnie chwyciło za tę broń. Kapitan Lawton dał znak, zalecając wykonawcom Mojżeszowego prawa, by nie przekroczyli przepisanej liczby razów, i w chwilę potem istny wrzask wieży Babel zatrząsł sadem. Najgłośniej dał się herszt, zapewne dlatego, iż kapitan Lawton uprzedził jego operatora, że ma do czynienia z dowódcą i że powinien mu oddać należne honory. Wszystko odbyło się sprawnie, szybko i podług przepisu; wyjąwszy tę okoliczność, że ćwiczący zaczęli liczyć razy dopiero wtedy, gdy wypróbowali różgi jakimś tuzinem wstępnych uderzeń, by, jak sami potem mówili, znaleźć odpowiednie miejsce do bicia. Po skończonej operacji Lawton rozkazał swoim ludziom zostawić skinnerów ich losowi i dosiąść zpowrotem koni, podczas gdy zbici opryszkowie przywdziewali zdjętą im odzież.

— Widzisz, mój przyjacielu — rzekł kapitan do herszta, gdy już mieli odchodzić — że w razie potrzeby, mogę cię nie tylko osłonić, ale i odślonić. Jeżeli się częściej spotkamy, to cały twój korpus okryje się bliźniami, które o ile niezbyt zaszczytne, o tyle zasłużone będą.

Herszt nic nie odpowiedział. Majstrował coś koło swego muszkietu, nagłąc towarzyszy do pośpiechu, poczem cała banda skierowała się ku pobliskim skałom, nad którymi jeżył się las gęsty. Księżyc wszedł właśnie i oświecił oddziałek dragonów, na miejscu pozostały. Wtem banda odwróciła się raptem i zniżywszy muszkiety, ruszyła cynglów. Żołnierze spostrzegli ten manewr, który oczywiście spełził na niczem, i odpowiedzieli nań szyderskim śmiechem, a kapitan krzyknął grzmiącym głosem:

— Ha! lotry, znam ja was i kazałem powyjmować wam ładunki.

— Trzeba było kazać wyjąć i ten z ładownicy! — zawołał herszt i z temi słowy wystrzelił.

Kula drasnęła ucho Lawtona, który zaśmiał się, wstrząsnął głową i rzekł:

— Hultaj spudłował, jak gdyby strzelał o milę.

Jeden z dragonów dostrzegł przygotowania herszta — który został sam, podczas gdy banda po nieudanym zamachu zemsty szybko czmychnęła na skały — i spał konia ostrogami, w chwili gdy tamten strzelił. Odległość była niewielka, i skinner w obawie, że dragon go dopędzi, porzucił worek i muszkiet i wziął nogi za pas. Żołnierz wrócił z łupem i ofiarował go kapitanowi, ale Lawton nie przyjął, mówiąc dragonowi, by zatrzymał wszystko u siebie, dopóki skinner nie zgłosi się po swoją własność. Z trudnością jednak byłoby przyszło jakiemukolwiek z istniejących podówczas w nowych Stanach trybunałów zarządzić zwrot pieniędzy, tegoż samego bowiem wieczora sierżant Hollister rozdzielił je w równych częściach pomiędzy żołnierzy. Odprawiwszy patrol, kapitan zwolna wracał do kwatery z zamiarem udania się na spoczynek. Jakaś postać, przemykająca się szybko pomiędzy owocowymi drzewami w kierunku lasu, zwróciła jego uwagę; baczny dragon zbliżył się do niej natychmiast i ku wielkiemu zdziwieniu ujrzał praczkę, o tej porze i w tem miejscu.

— Cóż to, Betty, chodzisz przez sen — zawołał kawalerzysta — a nie lękasz się spotkać z widmem starej Jenny w tem miejscu jej ulubionego pastwiska?

— E! kapitanie Jacku — odpowiedziała markietanka, z właściwym jej akcentem i kiwając się tak na wszystkie strony, że kapitan nie mógł dostrzec jej twarzy — co mi tam Jenny; ja tu przyszedłam po ziółka dla rannych, co wtedy tylko dobre, kiedy się je zbiera po księżycu. Rosną tam pod skałami, i muszę śpieszyć się, bo stracą uroki.

— Głupia warjatko, lepiejbyś poszła spać zamiast włóczyć się po skałach, skoro ledwo się trzymasz na nogach. Spadniesz jeszcze i połamiesz kości; zresztą skinnerzy tam się schronili, a gdybyś im wpadła w ręce, zemściliby się na tobie za porządną chłostę, jaką im właśnie sprawiłem. Wracaj oto i kładnij się: ruszamy rano.

Ale Betty, nie zważając na dobrą radę, dążyła dalej, potaczając się ku skałom. Na jedną krótką chwilę, gdy Lawton wspomniał o skinnerach, przystanęła, lecz wnet potem poszła dalej i znikła pomiędzy drzewami.

Gdy kapitan wszedł do kwatery, stojący u drzwi szyldwach zapytał, czy spotkał panią Flanagan, i dodał, że przeszła tędy, wymyślając na czem świat stoi, odgrażając się na swoich prześladowców i rozpytując o kapitana, by mu się poskarżyć. Lawton wysłuchał tego ze zdumieniem, jakaś nagła myśl uderzyła go, postąpił kilkanaście kroków w stronę sadu, zawrócił znowu; czas jakiś chodził prędko tam i napowrót przed domem, poczem szybko wszedł do wnętrza, rzucił się na łóżko w ubraniu i usnął snem głębokim.

Przez ten czas banda dotarła pomyślnie do skał i rozproszyła się po lesie. Przekonawszy się jednak, że nie są ścigani, co zresztą byłoby niemożliwością dla jazdy, herszt odważył się zwołać towarzyszy gwiżdaniem. Jakoż w krótkim czasie zgromadzili się wszyscy w miejscu, gdzie najmniej mogli obawiać się nieprzyjaciela.

— Ha! — rzekł jeden z opryszków po roznieceniu ognia, bo zimno zaczęło im dokuczać — to i koniec naszego żniwa w West-Chester. Za ciasno nam tu będzie wkrótce od tej przeklętej jazdy wirgińskiej.

— Już ja się na nim zemszczę — mruknął herszt — choćbym miał głową nałożyć.

— O! bardzoś odważny tu w lesie — zawołał tamten, zaśmiawszy się dziko. — A czemużeś to ty, co się tak przechwalasz celnością twego oka — nie trafił go o trzydzieści kroków?

— Bo mi ten przeklęty dragon przeszkodził; gdyby nie on, byłby się kapitan Lawton — bodaj z piekła nie wyrzał — nakrył nogami. A przytem tak zziębłem, że mi się ręka trzęsła.

— Trzęsła ci się, ale ze strachu — odrzekł towarzysz szydersko — ja zaś, to mi aż za ciepło; plecy mnie palą, jak gdyby mnie kto żywym piekł ogniem.

— A ty zniosłeś z pokorą taki poczęstunek. Może jeszcze ucałowałaś różgę, którą cię bito.

— Ha! co się tyczy całowania, to byłaby trudna sprawa, bo mi ją na drobne kawałki połamano na grzbiecie; zresztą, wolę stracić kawałek skóry niż całą i uszy w dodatku. A taki będzie nasz los, jeżeli się znów nawiniemy na oczy tym z piekła rodem dragonom. Dałbym Panu Bogu połowę mego łupu na ofiarę, abym stąd mógł się tylko z resztą bezpiecznie wy dostać. Gdybyś miał olej w głowie, byłbyś się trzymał majora Dunwoodie, który nie wie połowy tego, cośmy przeskrobali.

— Milcz, osłe — wrzasnął rozjuszony herszt — twoja głupia paplanina może człowieka do wściekłości doprowadzić. Nie dość, że nas zbili i obrabowali, jeszcze będziesz nam zawracał głowę swemi bredniami. Dobądź z saku żywność, jeżeli tam co jeszcze zostało, i zatkaj sobie gębę jedzeniem.

Rozkaz spełniono, i banda, postępując i krzywiąc się za każdym poruszeniem swych zbolałych grzbiatów, zasiadła do skąpego posiłku. Tęgi ogień z suchych drzew palił się w zagłębieniu skały, a zacna szajka, ochłonawszy trochę z przestachu i zaspokoiwszy głód, pozdejnowała częściowo odzież dla opatrzenia ran i zaczęła obmyślać plan zemsty. Godzinę lub więcej tak spędzono i wiele nasuwało im się sposobów, ale ponieważ wszystkie były połączone z wielkiem niebezpieczeństwem, a powodzenie ich zależało od osobistego męstwa i sprawności wykonawców, odrzucono je jednomyślnie. O napadnięciu na wojsko zniecka nie było co myśleć; zbyt dobrze znana była ich

czujność; nie mogło być również nadziei spotkania kapitana Lawtona gdzieś poza oddziałem, był on bowiem ciągle czynny i tak szybko przerzucał się z miejsca na miejsce, że tylko jakiś wyjątkowy traf mógł im posłużyć w tym względzie. Zresztą opryszkowie nie mieli żadnej pewności, że spotkanie tego rodzaju zakończyłoby się pomyślnie dla nich samych. Przewrotność i spryt kawalerzysty były dobrze znane, a pomimo niesprzyjających warunków terenu, jakie przedstawiało hrabstwo West-Chester, wiadano, że zuchwały kawalerzysta nie baczy na żadne przeszkody, gdy idzie do ataku, i drwi sobie nawet ze ścian murowanych. Stopniowo rozmowa zesła na inne tory, i wreszcie ułożono plan, mający jednocześnie pomścić ich i sowicie trudy opłacić. Gdy już wszystkie szczegóły były dostatecznie omówione, czas oznaczony i sposób wykonania zgodnie przyjęty, dał się słyszeć głos, wołający donośnie:

— Tędy, kapitanie Jacku! tu hultaje żerują przy ogniu, tędy; pozabijaj tych złodziei co do nogi, póki tu siedzą. Dalej, żywo! huzia na nich!

Banda zdrętwiała z przerażenia. Wnet jednak zerwali się na równe nogi i rozproszyli po lesie. Czas jakiś słyhać było jeszcze ich wzajemne nawoływania się, poczem wszystko ucichło.

Wtedy z ciemności wynurzyła się postać Betty Flanagan i z zimną krwią wzięła w posiadanie to, co skinnerzy, uciekając w pośpiechu, zostawili na miejscu: mianowicie jedzenie i trochę różnej odzieży. Po czym usiadła przy ogniu i zaczęła posiłać się z widocznym apetytem. Przez godzinę siedziała, zaspokoivszy głód, z głową opartą na rękę, pogrążona w głębokiej zadumie, wreszcie zabrała z garderoby, co się jej podobało, i poszła w las pozostawiając dogasający już ogień, by stlił się doreszty, a ciemność i cisza zaległa to miejsce, na którem do tak niedawna biwakowała hałaśliwie banda opryszków.

ROZDZIAŁ XIX.

„I poco rozważać i dręczyć się dłużej?
Myśl pierwsza najlepsza jest zawsze;
Szaleństwem jest odejść, a śmiercią pozostać;
Więc dalej na Orra, a prędko!”

Miłosna piosenka Laplanda.

Podczas gdy koledzy Dunwoodie'go spali głęboko, zapomniawszy o przebytych niebezpieczeństwach i doznanych trudach, sen nie kleił powiek majora. Wstawszy wcześniej z twardego łoża, na które rzucił się był w ubraniu, wyszedł z izby zaczerpnąć trochę świeżego powietrza w uciśnioną pierś i orzeźwić myśl, zmęczoną bezsennością. Ostatnie blaski księżycza gasły już w świetle budzącego się dnia; wiatr ustał, a podnoszące się w górę mgły zapowiadały znów jeden z tych cudnych dni jesiennych, które w tym zmiennym klimacie następują po burzy z szybkością, mającą w sobie coś czarnoksięskiego.

Nie nadeszła jeszcze godzina wymarszu; chcąc więc dać żołnierzom możliwie najwięcej czasu na wypoczynek, major nie budził nikogo i z wolna skierował się w stronę sadu, rozmyślając o swem kłopotliwym położeniu i sam nie wiedząc, jak pogodzić poczucie obowiązku z głosem serca. Aczkolwiek Dunwoodie pokładał jak najgłębsze zaufanie w czystości zamiarów kapitana Whartona, nie był wcale pewnym, czy sąd wojenny podzieli jego zapatrywania; z drugiej strony wiedział doskonale, że stracenie Henryka równało się rozwianiu wszelkich nadziei małżeństwa z jego siostrą.

Poprzedniego wieczora Dunwoodie wyprawił oficera do pułkownika Singletona, dowodzącego przed-

niemi strażami, z raportem o pojmaniu angielskiego kapitana i — po przedłożeniu własnego przekonania o jego niewinności — z zapytaniem o rozkazy dalszego postąpienia z jeńcem. Rozkazy te mogły nadejść lada moment, i niepokój Dunwoodie'go rósł, w miarę jak zbliżała się chwila, kiedy jego przyjaciel mógł dostać się w inne ręce i być pozbawiony jego opieki. W tym stanie ducha major minął sad i sam nie wiedząc kiedy, znalazł się u stóp skał, które ułatwiły ucieczkę opryszkom. Miał już zawrócić, gdy tuż nad nim rozległ się nakazujący głos:

— Stój, lub zginiesz!

Dunwoodie spojrział w górę ze zdumieniem i zobaczył jakiegoś człowieka, stojącego na odłamie skały z wymierzonym w niego muszkietem. Ciemnawo tu jeszcze było, i Dunwoodie musiał dobrze wyteńczyć wzrok, by ku jeszcze większemu zdumieniu rozpoznać rysy kramarza. Oцениwszy w mgnieniu oka całe niebezpieczeństwo położenia i gardząc prośbą o zmiłowanie lub ucieczką, gdyby ta była możliwą, młodzieniec zawołał dumnie:

— Jeżeli mam być zamordowanym, strzelaj, bo nigdy nie stanę się twoim jeńcem.

— Nie, majorze Dunwoodie — odpowiedział kramarz, opuszczając muszkiet — nie jest moim zamiarem ani mordować ani brać w niewolę.

— Więc o cóż ci chodzi, tajemniczy człowieku? — rzekł Dunwoodie, zaledwie wierząc własnym oczom, że to co widzi, nie jest igraszką jego wyobraźni.

— O twoją dobrą opinię — odrzekł kramarz ze wzruszeniem. — Chciałbym, aby wszyscy dobrzy ludzie sądzili mnie pobleźliwie.

— Sad ludzi musi ci być obojętnym w tej chwili, bo ich wyroki nie mogą cię dosięgnąć.

— Bóg oszczędza życie sług swoich aż do czasu — rzekł Birch uroczyście. — Przed kilku godzinami byłem pańskim jeńcem, zagrożonym szubienicą; teraz pan jesteś moim, ale, majorze Dunwoodie, jesteś wolnym.

Są tu niedaleko może ludzie, którzy nie obeszliby się z tobą tak życzliwie. Bo nacóż przydałaby ci się szabla wobec mojej broni i pewnej ręki? Posłuchaj rady tego, który cię nigdy nie skrzywdził i nigdy nie skrzywdzi. Nie zapuszczaj się w lasy sam i piechotą, wierzaj mi.

— Czy masz towarzyszy, którzy ci dopomogli do ucieczki i są mniej szlachetni niż ty?

— Nie — nie, jestem sam zupełnie. Nikt mnie nie zna tylko Bóg i On.

— I kto? — zapytał major z mimowolnem zaciekawieniem.

— Nikt — odrzekł kramarz, odzyskując zwykły spokój. — Ale inaczej mają się rzeczy z tobą, majorze Dunwoodie. Jesteś młody i szczęśliwy i masz takich, którzy są tobie drodzy, i ci znajdują się stąd niedaleko. Niebezpieczeństwo grozi tym, których najbardziej kochasz — niebezpieczeństwo wewnątrz i zewnątrz. Podwój czujność, wzmocnij patrole i milcz. Gdybym ci powiedział więcej, to wobec opinji, jaką masz o mnie, mógłbyś mnie podejrzewać o zasadzkę. Ale pamiętaj, strzeż tych, którzy ci są najdrożsi!

Z temi słowy kramarz wystrzelił w powietrze i rzucił muszkiet do stóp osłupiałego słuchacza. Gdy ochłonawszy ze zdumienia, Dunwoodie spojrział znów w górę, skała była pusta i resztki dymu unosiły się nad nią.

Tętent koni i odgłosy trąbki wyrwały majora z odrętwienia. Wystrzał zaalarmował cały oddział, i patrol nadjeżdżał galopem w to miejsce. Nie wdając się w żadne wyjaśnienia, major prędko powrócił do kwatery, gdzie zastał już cały szwadron pod bronią, niecierpliwie oczekujący ukazania się dowódcy. Oficer, mający nadzór nad tego rodzaju sprawami, odkomenderował część żołnierzy do zdjęcia ze słupa przed domem tablicy, noszącej napis „Hotel Flanagan“, i szubienica dla szpiega była już przygotowana. Dowiedziawszy się od majora, że to on sam wystrzelił z mu-

szkietu, porzuconego prawdopodobnie przez któregoś z uciekających bandytów (Dunwoodie wiedział już o karze, jaka ich od Lawtona spotkała, lecz uznał za stosowne przemilczeć o spotkaniu z Birchem), oficerowie poddali myśl, by stracenie więźnia odbyło się przed wymarszem.

Wciąż jeszcze sam sobie nie dowierzając, że to wszystko co się stało pod skałami, nie było snem, Dunwoodie w otoczeniu oficerów, poprzedzony przez sierżanta Hollistera, udał się na miejsce wrzekomego zamknięcia kramarza.

— Cóż, zuchu — rzekł major do stojącego przed drzwiami sztyldwacha — spodziewam się, że pilnowałeś więźnia jak należy.

— Śpi jeszcze — odpowiedział żołnierz — a tak chrapie, że ledwo słyszałem alarmową trąbkę.

— Otworzyć drzwi i wyprowadzić go.

Rozkaz spełniono, lecz ku najwyższemu zdumieniu uczciwego weterana, który pierwszy wszedł do komórki, znaleziono wszystko w nieładzie, zwierzchnią odzież kramarza na ziemi, garderobę Betty porozrzucaną na podłodze, a ją samą śpiącą na tapczanie w ubraniu, lecz bez pewnego czarnego czepeczka, który dniem i nocą nie opuszczał jej głowy. Hałas i wykrzykniki wchodzących zbudziły kobietę.

— Co to! Śniadania chcecie? — zapytała Betty przecierając oczy. — O! wyglądacie tak, jak gdybyście mnie samą zjeść chcieli; ale cierpliwości, chłopczyki, usmażę wam taki kasek, że palce lizać.

— Usmażysz! — wykrzyknął sierżant, tracąc swą religijną filozofję i zapominając o obecności oficerów — my cię sami usmażymy i to na wolnym ogniu, czarownico! Tyś pomogła uciec temu przekłętemu kramarzowi.

— Wymyślasz mi od czarownic i przeklętych kramarzy, panie sierżancie! — zawołała zaindycona zkołei Betty — a co ja mam do roboty z kramarzami a ucieczkami? Mogłam być zostac żoną kramarza

i chodzić w jedwabiach, zamiast włóczyć się za waszą dragońską hołotą, co nie wie, jak się należy obchodzić z uczciwą kobietą.

— Nicpoń zostawił moją biblię — rzekł weteran, podnosząc książkę z ziemi. — Zamiast, żeby ją czytać i gotować się na śmierć jak dobry chrześcijanin, to ten wisielec ucieczkę sobie szykował.

— Właśnie! miał czekać, żebyście go powiesili jak psa — zawołała Betty, zaczynając rozumieć co się stało. — Nie każdy rodzi się na taką śmierć jak wy, panie sierżant.

— Cicho — rzekł Dunwoodie. — To należy zbadać dokładnie. Niema tu innego wyjścia prócz tych drzwi, a tędy wyjść musiał, chyba mu sztyldwach ułatwił ucieczkę, lub zasnął na posterunku. Zawezwać strażę.

Pokazało się, że wyjąwszy jednego, o którym już była mowa, żaden nikogo nie widział. Ów wprawdzie nie zapierał się, że Betty przechodziła koło niego, ale usprawiedliwiał się wydanemi mu w tym względzie rozkazami.

— Łiesz, ty złodzieju, łiesz — wrzasnęła Betty, która z niecierpliwością słuchała tych wyjaśnień. — Będziesz ty mi obgadywał uczciwą kobietę, żeś ją widział włóczącą się po obozie o północy. A przecie ja tu spałam całutką noc jak to nowonarodzone dziecko.

— Proszę pana majora — rzekł sierżant, zwracając się z uszanowaniem do Dunwoodie'go — tu jest coś napisanego w mojej biblji, czego przedtem nie było, bo jabym nigdy nie dopuścił żadnej bazgraniny w tej świętej książce.

Jeden z oficerów przeczytał głośno:

„Zaświadczam, że jeżeli uda mi się odzyskać wolność, to „stanie się to jedynie z pomocą Boga, którego przynajświętszej „Łasce z pokorą się polecam. Jestem zmuszony wziąć ubranie „tej kobiety, ale wynagrodzenie za to jest w jej kieszeni... „Własną ręką. Harvey Birch.“

— Co! — wrzasnęła Betty — to ten złodziej okradł mnie ze wszystkiego, powiesić go!... schwytać

i powiesić, panie majorze, jeżeli jest jaka sprawiedliwość w tym kraju!

— Zajrzyjcie do kieszeni — rzekł jeden z młodszych oficerów, którego cała ta scena ogromnie bawiła.

— A! prawda! — zawołała praczka, pokazując gwineję. — Ale to złoto nie kramarz! Niechże sobie żyje jak najdłużej i niech mu się szczęści; a jeżeli go kiedy powieszają, to wielu takich będzie chodziło po tej świętej ziemi, co wody za nim nosić nie warci.

Dunwoodie odwrócił się, by wyjść, i zobaczył kapitana Lawtona, stojącego ze skrzyżowanymi na pierśsiach rękoma i przypatrującego się całej tej scenie w głębokim milczeniu. To zachowanie się, tak różne od jego zwykłej zapalczywości, uderzyło majora. — Oczy ich spotkały się, wyszli razem i kilka chwil rozmawiali na uboczu, poczem Dunwoodie wrócił i rozkazał wszystkim rozejść się niezwłocznie. Sierżant Hollister jednak pozostał z Betty, która sprawdzwszy, że nic z jej garderoby nie brakowało prócz tego, co pozostawiona gwineja sownie opłaciła, była w doskonałym humorze. Zdawna miała ona widoki na weterana, wybrawszy go sobie w myśli na następcę nieboszczyka męża. Kawalerzysta również zdawał się nie być od tego, i Betty zmiarkowawszy, że się trochę zagalopowała, postanowiła ułagodzić obrażonego wielbiciela. Pomimo całej swej gburowatości posiadała ona dość kobiecego sprytu, by wiedzieć, że chwile pojednania są chwilami władzy. Napełniła przeto szklanke swego rannego napitku i podała ją towarzyszowi jako różdżkę oliwną.

— Co tam, sierżancie! — rzekła — pomiędzy przyjaciółmi nie zważa się na takie głupstwa; ja bo najbardziej wymyślałam nieboszczykowi Michałowi, kiedy go najwięcej kochałam.

— Michał był dobrym żołnierzem i poczciwym człowiekiem — rzekł kawalerzysta, wychyliwszy szklanice. — Nasz oddział osłaniał boki jego regimantu,

kiedy padł; sam po nim przejechałem tego dnia. Biedaczysko leżał nawznak tak spokojnie, jak gdyby zmarł naturalną śmiercią, po całorocznej chorobie.

— O! Michał to sobie lubił kropnąć; co się tyczy tego, tośmy się szukali w korcu maku. Ale wy sierżancie jesteście człowiek wstrzemięźliwy i roztropny, jak raz na męża stworzony.

— Ano, pani Flanagan, chciałbym z wami pogadać o czemś, co mi leży na sercu, tylko nie wiem, czy mnie zechcecie wysłuchać.

— Wysłuchać? — powtórzyła niecierpliwa niewiasta — czemubym nie miała wysłuchać. Niech sobie tam oficerowie palce gryzą z głodu. Ale łyknijcie sobie jeszcze kropelkę; to wam rozwiąże język.

— Bóg zapłać, już mi więcej nie trzeba — odrzekł weteran, odsuwając szklanke. — Słuchaj, Betty, jak ci się zdaje? czy to był naprawdę kramarz-szpieg, którego tu zamknąłem tej nocy?

— A któżby inny, kochasiu?

— Zły.

— Co! Djabeł?

— Sam Belzebub, przebrany za kramarza, a ci tam niby skinnerzy to były jego djabełta.

— Być to może, sierżancie kochany, bo że skinnerzy to wcielone djabełta, to każdy wie o tem.

— Otóż to. Zły wiedział, że na nikogo nie mamy takiej chrapki jak na kramarza, więc przybrał jego postać, żeby się dostać do twego pokoju, pani Flanagan.

— A czego by djabeł chciał ode mnie? — zawołała Betty gniewnie. — Czy to nie dosyć djabełtów w wojsku, żeby jeszcze taki przychodził z piekielnych otchłani, by straszyć uczciwą samotną kobietę?

— Wielkie to szczęście dla ciebie, Betty, że mu przyjść dozwolono. Widzisz, wymknął się drzwiami w twojej postaci, co jest oznaką twego przeznaczenia, o ile się nie poprawisz. O! dobrze uważałem, jak drżał, gdy mu podawał biblię. Powiedz tylko sama, ko-

chana Betty, czy jaki chrześcijanin pisałby coś podobnego w świętej książce? Tam można tylko zapisywać daty urodzenia i śmierci i inne tego rodzaju zdarzenia.

Praczką była zachwycona łagodnością obejścia swego wielbiciela, ale jego przypuszczenie oburzyło ją do żywego. Pomiarkowała się jednak i z właściwym swojej narodowości sprytem rzekła:

— A czy to djabeł zapłaciłby za ubranie, i to tak dobrze zapłacił? Jak wam się zdaje, sierżancie?

— I te pieniądze są niewiele warte — odparł sierżant, trochę zachwiany w swych domniemaniach takim dowodem uczciwości w kimś, kogo wogóle uważał za niegodziwca w każdym calu. — I mnie kusił błyszcząca moneta, ale Bóg Najwyższy dodał mi siły, że bym mu się oparł.

— Złoto wygląda na prawdziwe, ale taki wolę je zmienić dziś jeszcze u kapitana Jacka. Ten się żadnego djabła nie boi.

— Betty, Betty! — rzekł jej towarzysz — nie mów z takim brakiem uszanowania o złym; on jest zawsze gdzieś pod ręką i może się na ciebie obrazić za takie gadanie.

— Et! coby się miał obrażać na biedną, samotną kobietę, jeżeli ma choć odrobinę serca.

— Zły nie ma serca, bo czyżby pożerał chrześcijańskie dzieci? — odrzekł sierżant, oglądając się dookoła ze zgrozą. — Dlatego lepiej żyć z nim w zgodzie, bo niewiadomo, jak to mówią, co w trawie piszczy. Ale, Betty, mówię ci, że człowiek nie byłby mógł przejść koło wszystkich straży i nie być poznanym, dlatego weź to sobie za przestrożę i....

Dalszą rozmowę przerwał wezwanie markietanki, by się zajęła śniadaniem, musieli się więc rozejść; Betty Flanagan z tajemną nadzieją, że troskliwość, jaką jej okazał sierżant, miała bardziej ziemskie podstawy; on zaś rad, że ocalił chrześcijańską duszę od szponów złego ducha, włóczącego się po obozie i czyhającego na ofiarę.

Podczas śniadania przybyło kilku wysłańców; jeden z nich przywiózł wiadomość o siłach i zamiarach wojsk nieprzyjacielskich, znajdujących się obecnie na Hudsonie, a drugi z rozkazem wysłania kapitana Whartona do pierwszego posterunku w górach pod eskortą oddziału dragonów. Ten ostatni rozkaz przepełnił czarę zgryzot Dunwoodie'go. Rozpacz Fanny stała mu wciąż przed oczyma i z pięćdziesiąt razy chciał wskoczyć na koń i popędzić galopem do Akacji, ale zawsze wstrzymało go jakieś nieokreślone uczucie.

Spełniając rozkaz zwierzchnika, wyprawił jednego z oficerów z małym oddziałem dragonów, by odstawili Henryka Whartona na miejsce przeznaczenia; zaś oficerowi temu polecił, by wręczył kapitanowi list, w którym zaklinał go, aby był dobrej myśli, i zapewniał o swej najgłębszej przyjaźni i usiłowaniach zrobienia wszystkiego, co będzie w jego mocy, aby go ocalić. Lawton pozostał z częścią swego oddziału na straży rannych, i wnet po posiłku zwinęto obóz, a główne siły pomaszerowały w stronę Hudsonu. Dunwoodie wielokrotnie powtórzył kapitanowi Lawtonowi swe polecenia, mając na myśli każde słowo kramarza i łamiąc sobie głowę, by odgadnąć znaczenie tych tajemniczych ostrzeżeń. Wreszcie ruszono. Dunwoodie jechał czas jakiś na tyłach kolumny, gdy nagle przypomniał sobie, że nie wydał żadnego rozporządzenia o pułkowniku Wellmere. Wówczas nie opierał się już tajemnym pragnieniom serca, zawrócił konia i popędził w stronę Akacji. Rumak Dunwoodie'go szybki był jak wiatr, i wkrótce major dostrzegł z wyniosłości, z której miał się spuścić w dolinę, eskortę Henryka Whartona, defilującą wraz z nim jednym z górskich przesmyków, wiodącym do wymienionego w rozkazie posterunku. Widok ten jeszcze bardziej podniecił miotanego burzą sprzecznych uczuć młodzieńca, spał konia i okrażywszy zbocze wzgórze, zstępującego w dolinę, znalazł się nagle wobec celu swych dążeń. Fanny postępowała w pewnej odległości za oddziałem, upro-

wadzającym jej brata, a gdy znikł z jej oczu, uczuła, że opuściło ją wszystko, co jej było najdroższem na świecie. Niepojęta nieobecność Dunwoodie'go, rozpaczliwe pożegnanie z Henrykiem w tak strasznych okolicznościach zmiażdżyło ją zupełnie. Osunęła się więc na przydrożny kamień z wybuchem niepohamowanego łkania. Dunwoodie zeskoczył z konia, rzucił cugle na jego szyję i w mgnieniu oka znalazł się u boku płaczącej dziewczeczki.

— Fanny! najdroższa Fanny! — wykrzyknął — nie poddawaj się tak rozpaczy, zaklinam cię. Nic jeszcze straconego niema; skoro tylko spełnię, co mi obecnie służba nakazuje, pośpieszę do stóp Washingtona i będę go błagał o uwolnienie Henryka. Ojciec tego kraju nie odmówi tej łaski jednemu ze swych ulubieńców.

— Majorze Dunwoodie, za życzliwość względem mego brata dziękuję panu — rzekła Fanny cała drżąca, ocierając oczy i powstając z godnością — ale nie masz pan prawa przemawiać do mnie w ten sposób.

— Nie mam prawa! Alboż nie jesteś moją, za zgodą twego ojca, ciotki, brata, a nadewszystko twoją własną, słodka moja Fanny.

— Nie chcę wdierać się we wcześniejsze prawa, jakie inna kobieta ma do pańskich uczuć — rzekła Fanny, siląc się na spokój i stanowczość.

— Żadna inna, przysięgam na Boga, żadna inna praw do mnie rościć sobie nie może — wykrzyknął Dunwoodie z zapalem. — Ty jesteś jedyną panią mego serca, mej duszy.

— Masz pan tyle doświadczenia na tem polu i z takim spotykałeś się na niem powodzeniem, iż nie dziw, że celujesz we wprowadzaniu w błąd łatwowierności płci mojej — odrzekła Fanny, napróżno starając się uśmiechnąć, gdyż drżące usteczka odmówiły jej posłuszeństwa.

— Czyż jestem nikczemnikiem, że mówisz do mnie w ten sposób? Kiedyż to oszukałem cię, Fanny? Kto w ten sposób zatruł twe niewinne serce?

— Dlaczegoż to major Dunwoodie nie zaszczycił w tych dniach obecnością swoją domu przyszłego teścia? Czyż zapomniał, że znajduje się tam jeden chory przyjaciel, a drugi w najokropniejszym położeniu? Czyż i to wyszło mu z pamięci, że w tym domu przebywa również jego narzeczona? A może lękał się spotkać z jedną jeszcze, mogącą rościć sobie prawo do tej nazwy? Och! Peytonie — Peytonie! jakże się na tobie zawiodłam! z jakimż młodzieńczem zaślepieniem wierzyłam, że jesteś najszlachetniejszym i najuczciwszym człowiekiem na ziemi!

— Fanny, rozumiem teraz, co cię w błąd wprowadziło — zawołał Dunwoodie, a twarz jego spłonęła szkarłatem. — Ale krzywdzisz mnie! Przysięgam na wszystko, co mi jest najdroższe na świecie, że mnie krzywdzisz.

— Nie przysięgaj, majorze Dunwoodie — rzekła Fanny z blaskiem kobiecej dumy w pięknych oczach. — Minał czas, kiedy wierzyłam przysięgom.

— Panno Wharton, maszże mnie za fanfarona? Chcesz, abym sam sobą pogardził, straciwszy nadzieję, że potrafię odzyskać twoje dobre o mnie mniemanie?

— Nie pochlebiaj pan sobie, żeby to było łatwą rzeczą — rzekła Fanny, zaczynając iść w stronę domu. — Rozmawiamy ze sobą sam na sam po raz ostatni, ale — zapewne — ojciec mój chętnie powita krewnego mojej matki.

— Nie, panno Wharton, nie mogę przestąpić teraz progu tego domu, ubliżyłbym tem samemu sobie. Odrzucasz mnie od siebie, Fanny, zrozpaczonego. Wzywa mnie powinność tam, skąd mogę nie wrócić. Gdyby los okazał się srogim, oddaj przynajmniej sprawiedliwość moim uczuciom; pamiętaj, że ostatnie westchnienie mej duszy będzie o twoje szczęście.

Z temi słowy kładł już nogę w strzemień, lecz Fanny spojrzała na niego takim wzrokiem, że zatrzymał się.

— Peytonie, majorze Dunwoodie — rzekła — możesz li zapomnieć, jak świętej służysz sprawie? Obo-

wiązek względem Boga i Ojczyzny zabrania ci popełnić jakiś czyn rozpaczliwy. Ojczyzna potrzebuje twoich usług. Zresztą — — — —

Tu głos jej się załamał i nie mogła mówić dalej.

— Zresztą co? — wykrzyknął młodzieniec, przystępując szybko do niej i chcąc ująć jej rękę.

Fanny jednakże, opanowawszy się, usunęła go chłodno i szła dalej ku domowi.

— Takież to jest nasze rozstanie? — zawołał Dunwoodie z rozpaczą. — Jestem nikczemnikiem, że tak okrutnie obchodzisz się ze mną? Nie kochałaś mnie nigdy, i własną zmienność osłaniasz oskarżeniami, których wzbraniasz się udowodnić.

Fanny przystanąła nagle i spojrzała na niego tak niewinnym i pełnym uczucia wzrokiem, że skruszony Dunwoodie chciał klęknąć przed nią, błagając o przebaczenie; lecz ona, powstrzymawszy go ruchem ręki, rzekła:

— Wysłuchaj mnie po raz ostatni, majorze Dunwoodie. Bolesna to rzecz, gdy poznajemy własną niższość, a na tę właśnie otworzyły mi się oczy w tych czasach. Nie oskarżam cię, nie czynię ci żadnych wyrzutów. Ale choćby nawet było tak, jak powiadasz, choćbym nawet miała prawa do twego serca, nie czuję się godną ciebie. Nie taka słaba, bojaźliwa dziewczyna jak ja może cię uszczęśliwić. Nie, Peytonie, stworzony jesteś do wielkich czynów i sławy, i powinieneś połączyć się z istotą wyższą ponad zwykłą poziomość. Ja byłabym dla ciebie tylko ciężarem, któryby cię wiązał z ziemią, ale z godną ciebie towarzyszką możesz się wznieść na szczyty ziemskiej chwały. Takiej więc ustępuję cię dobrowolnie, choć nie z lekkim sercem, i modlić się będę, o! jak gorąco, żebyś z nią był szczęśliwy.

— Uroczą entuzjastko! — zawołał Dunwoodie — nie znasz siebie i mnie. Mnie właśnie takiej jak ty kobiety potrzeba, słodkiej, cichej i lekliwej jak ty. Nie

daj się unieść porywom źle zrozumianej szlachetności, które tylko unieszczęśliwić mnie mogą.

— Żegnaj, majorze Dunwoodie — wymówiło wzruszone dziewczę, przystając dla nabrania oddechu — zapomnij, żeś mnie znał kiedykolwiek; pamiętaj, coś winien twej nurzającej się we krwi ojczyźnie, i bądź szczęśliwy.

— Szczęśliwy! — powtórzył młodzieniec z goryczą, patrząc za nią, jak otworzywszy furtkę dziedzińca, znikła za otaczającymi go krzewami. — Tak, jestem teraz szczęśliwy, w istocie!

Wskoczył na siodło i wspiąwszy konia ostrogami, połączył się niezadługo ze swym szwadronem, który z wolna posuwał się po stromych górskich ścieżkach ku brzegom Hudsonu.

Ale boleść Dunwoodie'go, wywołana tak niespodziewanem zakończeniem rozmowy z narzeczoną, była niczem w porównaniu z tem, co ona sama czuła w głębi duszy. Przenikliwym okiem zazdrosnej miłości dostrzegła ona wprędce uczucie, jakie Izabela Singleton żywiła względem Dunwoodie'go. Sama nieśmiała i wstydliva nie mogła przypuścić, aby taka miłość mogła się zrodzić sama przez się, niczem niewywołana. Ileż to trzeba było zabiegów Dunwoodie'go, by pozyskać jej serce, które przecież tak chętnie chyliło się ku niemu, lecz gdy mu je oddała, było to niepodzielnie i raz na zawsze. Jednakże niezwykle wydarzenia dni ubiegłych, dziwne postępowanie Dunwoodie'go w tych właśnie chwilach, jego niepojęta obojętność względem niej, a głównie romantyczna namiętność Izabeli zbudziły nowe uczucia w piersi dziewczęcia. Wraz z obawą o wierność ukochanego zbudziła się w niej nieodłączna od prawdziwej czystej miłości niewiara we własne zalety. W chwili uniesienia wyrzeczenie się go na rzecz innej, godniejszej wydawało jej się rzeczą łatwą, ale napróżno wyobraźnia usiłuje oszukać serce. Zaledwie Dunwoodie zniknął jej z oczu, nasza bohaterka odczuła całą beznadziejność swego położenia.

Major znajdował pewną ulgę w trudach i ciężących na nim obowiązkach, Fanny natomiast nie mogła jej doznać, pomimo że troska o ojca pochłonęła całkowicie jej czas. Uwięzienie syna złamało dostatecznie pana Whartona, który nigdy nie posiadał zbyt wiele energii, i trzeba było całej tkliwości córek, by go przekonać, że ma jeszcze poco żyć na świecie i powinien do zwykłych zajęć powrócić.

ROZDZIAŁ XX.

„Pochlebiaj i chwal, unoś się nad ich wdziękami. Mów, że mają twarze anielskie, choć byłyby czarne jak szatan. Mężczyzna mający obrotny język, nie jest mężczyzną, jeżeli tym językiem nie potrafi zjednać kobiety.”

Szekspir.

Dwaj Panowie z Werony.

Pozostawiając kapitana Lawtona wraz z sierżantem Hollisterem i oddziałkiem dwunastu żołnierzy na straży rannych, Dunwoodie nietylko miał na względzie polecenia, zawarte w liście pułkownika Singletona, ale i sińce, jakimi upadek z konia tak hojnie obdarzył jego kolegę. Napróżno Lawton upewniał, iż czuje się zdolnym do najcięższej bodaj służby; napróżno dowodził, że jego ludzie nie pójda do ataku za Tomem Masonem z tą samą sprawnością i zaufaniem, jak kiedy on ich prowadzi; Dunwoodie był nieugiętym, i kapitan musiał pogodzić się z losem. Przed odjazdem major raz jeszcze polecił mu, by dawał pilne baczenie na Akację, a zwłaszcza, jeżeli jakiejś podejrzaney natury zbiegowiska dadzą się zauważyć w okolicy, by natychmiast opuścił obecną kwaterę i wraz ze swoim oddziałem zajął posiadłość pana Whartona. Słowa kramarza zbudziły w piersi Dunwoodie'go niejasne przeczucie niebezpieczeństwa, grożące tej rodzinie, aczkolwiek nie mógł zdać sobie sprawy, na czymby właściwie to niebezpieczeństwo mogło polegać, i dlaczego należało się go obawiać.

Po odejściu wojsk kapitan czas jakiś przechadzał się przed drzwiami „Hotelu” klnąc w duszy los, skazujący go na bezczynność w chwili, gdy można się było spodziewać spotkania z nieprzyjacielem, i półgębkiem odpowiadając na pytania Betty, która z głębi domu krzykliwie rozpytywała go o różne szczegóły niezrozumiałej dla niej jeszcze ucieczki kramarza.

Wnet potem nadszedł chirurg. Ten, będąc dotychczas zajęty rannymi w oddalonym budynku, nie zgoła nie wiedział ani o tem co się stało, ani nawet o odejściu wojsk.

— Gdzie są strażę, Jacku? — zapytał rozglądając się ciekawie dokoła — i dlaczego jesteś tu sam?

— Poszli, wszyscy poszli z Dunwoodie'm na rzekę. Ty i ja zostaliśmy, aby pilnować kilku chorych i paru kobiet.

— W każdym razie chwali się to Dunwoodie'mu, że pozostawił rannych w spokoju — rzekł chirurg. — Nuże, pani Elżbieto Flanagan, nie marudź ze śniadaniem, bo jestem głodny. Mam trupa do pokrajania i śpieszy mi się.

— Nuże, panie doktorze Archibaldzie Sitgreaves — odkrzyknęła Betty, ukazując swe kwitnące oblicze w stłuczonym oknie kuchni — pan zawsze się spóźnia, niema nic do jedzenia prócz skóry z Jenny i tego tam pańskiego trupa.

— Kobieto! — rzekł chirurg gniewnie — jestem ludożercą, że mówisz do mnie w ten sposób? Powtarzam, pośpiesz się i daj mi coś do zjedzenia, coś odpowiedniego dla zgłodniałego żołądka.

— Zgłodniały żołądek nie powinien być wybredny — rzekła Betty. — Ja też powtarzam panu, że nie mam nic, chyba że usmażę panu befszytk ze skóry Jenny. Chłopcy objedli mnie z krętesem.

Lawton wmieszał się w rozmowę, zapewniając chirurga, że wysłał już ludzi po zapasy dla oddziału. Doktor Sitgreaves, trochę udobruchany, zapomniał o głodzie i oświadczył, że zaraz weźmie się do roboty.

— A gdzie ten trup? — zapytał Lawton.

— Ano, kramarz — odrzekł doktor, spoglądając na słup. — Zapowiedziałem Hollisterowi, by zrobił rusztowanie z umysłu tak wysoko, by się kark przy spadaniu nie uszkodził. Spreparuję z niego śliczny szkielet. Uważałem, że łotr był dobrze zbudowany. Zrobię z niego arcydzieło. Dawno pragnąłem czegoś podobnego, by postać w prezencie starej mej ciotce w Wirginji. Pocziwa starowinka, opiekowała się mną, gdy byłem malcem.

— Bój się Boga, człowieku! — zawołał Lawton. — Chcesz posyłać starej kobiecie ludzkie kości?

— A czemuby nie? — odpowiedział chirurg. — Jakież przedmiot może być szlachetniejszy nad ludzką postać, a szkielet jest jej elementarną częścią. Ale co się stało z ciałem?

— Niema.

— Niema! któż się ośmielił wtrącać w moje atrybucje i przeszkadzać moim studjom?

— Djabeł — zawołała Betty. — Porwie on i pana, tylko patrzeć, i o pozwolenie pytać nie będzie.

— Cicho, jędzo — rzekł Lawton, z trudem powstrzymując się od śmiechu. — Jak się ośmielasz przemawiać w ten sposób do oficera?

— A to czemu mnie nazwał brudasem? — zawołała Betty. — Ale ja mam miękkie serce i pamiętam przyjaciela przez rok, a nieprzyjaciela przez miesiąc.

Ale chirurg, nie troszcząc się zgoła o przyjaźń lub nieprzyjaźń pani Flanagan, myślał tylko o swojej stracie, i Lawton musiał mu opowiedzieć, jak się to stało.

— Szczęście to dla pana, panie doktorze — zawołała Betty, gdy kapitan skończył. — Sierżant Hollister, który go widział zbliska, powiada, że to nie żaden kramarz, ale sam Belzebub. Ładnieby pan wyglądał, gdyby pan tak pokrajał Belzebuba, jeżeliby go major powiesił. Nie byłoby mu tam wesoło pod pańskim nożem, ale i panu także.

Tak podwójnie zawiedziony Sitgreaves oświadczył nagle chęć pojechania do Akacji dla dowiedzenia się, jak się miewa kapitan Singleton. Lawton postanowił towarzyszyć mu, i obaj, dosiadłszy koni, znaleźli się wkrótce na drodze, przeprowadzeni drwinami Betty z osowiej miny doktora. Czas jakiś jechali w milczeniu, wreszcie Lawton, chcąc jakoś pocieszyć towarzysza, rzekł:

— Śliczna to była piosenka, którą zacząłeś wczoraj wieczorem, Archibaldzie, gdy nam ta banda, co przyprowadziła kramarza, przerwała. Zwłaszcza ta aluzja do Galenusu była bardzo zręczna.

— Wiedziałem, że ci się będzie podobała, Jacku, gdy wino wyszumi ci z głowy. Poezja jest bardzo szacowną sztuką, aczkolwiek brak jej dokładności nauk ścisłych i praktycznego zastosowania fizycznych. Z punktu widzenia potrzeb życiowych uważałbym poezję za środek raczej uśmierający niż odżywczy.

— A jednak oda twoja miała mięsistość dowcipu.

— Oda nie jest właściwą nazwą dla tego utworu, ja zaś określiłbym go jako klasyczną balladę.

— Być może — odrzekł kawalerzysta — z jednej strofki trudno osądzić rodzaj, do jakiego należy całość.

Chirurg mimowoli odchrząknął, co zauważywszy kapitan rzekł:

— Powietrze ciche, droga pusta, mógłbyś ją teraz dokończyć! Nigdy za późno na wynagrodzenie straty.

— Mój drogi Jacku, gdybym wiedział, że to poprawi cię ze złych nawyknień, w jakie popadłeś, nic nie sprawiłoby mi większej przyjemności.

— Zbliżamy się do skał; echo podwoi moją satysfakcję.

W ten sposób zachęcony chirurg, który miał wysokie wyobrażenie o swoim śpiewie i poetyckim darze, odchrząknął znowu, spróbował parokrotnie głosu i zaczął:

„Czyś kiedykolwiek...”

— Posłuchaj — rzekł Lawton, wstrzymując konia. Jeszcze nie skończył mówić, gdy niewielki kamień padł u jego stóp i potoczył się na drogę.

— No, to jakiś znak przyjacielski — zawołał kawalerzysta — ani broń, ani jej siła nie świadczą o złej woli.

— Uderzenie kamienia rzadko kiedy sprowadza coś więcej ponad kontuzję — rzekł chirurg, rozglądając się dokoła w daremnem poszukiwaniu ręki, z której padł ów pocisk. — Musi to być meteoryczne, prócz nas nie widać tu żywej duszy.

— Cały pułk mógłby się ukryć za temi skałami — rzekł kapitan, zsiadając i biorąc kamień do ręki. — O! otóż i wyjaśnienie tajemnicy.

To powiedziawszy, oderwał kawałek papieru, zręcznie przywiązany do odłamka skały, który w tak dziwny sposób padł u stóp jego, i rozwiniawszy go, przeczytał dość nieczytelnie skreślone, następujące słowa:

*„Kula muszkietu niesie dalej niż kamień, i niebezpiecz-
„niejsze rzeczy niż ziola dla rannych kryją się w skałach West-
„Chesteru. Koń może być dobry; ale czy potrafi przelecieć nad
„przepaścią?“*

— Prawdę mówisz, obcy człowiecze — rzekł Lawton — odwaga i szybkość nie na wiele się przydadzą przeciw zasadzkom w tych skalnych zaułkach.

I dosiadłszy zpowrotem konia, zawołał głośno:

— Dzięki, nieznany przyjacielu; będę pamiętał o twojej przestrodze!

Jakaś chuda ręka ukazała się na chwilę z poza zrębu skały, i znowu cisza i pustka otoczyły obu jeźdźców.

— Nadzwyczajne zdarzenie! — rzekł zdumiony Sitgreaves — i ten tajemniczy list w dodatku!

— O! to pewnie concept jakiegoś figlarza, któremu się zdaje, że nastraszy w ten sposób dwóch Wirgińczyków — rzekł Lawton, chowając bilecik do kieszeni. — Ale pozwól sobie powiedzieć, panie Archibaldzie

Sitgreaves, że miałeś ochotę pokrajać dziś niezwykle uczciwego człowieka.

— Przecież to miał być kramarz, jeden z najgorszych szpiegów na usługach nieprzyjaciela, i muszę dodać, że byłoby to zaszczytem dla takiego człowieka, być obróconym na pożytek nauki.

— Może on jest szpiegiem, jest nim zapewne — rzekł Lawton, zamysłony — ale ma serce, które umie czuć, i duszę, mogącą przynieść zaszczyt żołnierzowi.

Chirurg spojrzał z osłupieniem na towarzysza, lecz ten dostrzegł znów nową grupę skał, które wysuwając się naprzód zagradzały niemal wijący się u ich stóp gościniec.

— Czego koń nie przeleci, to noga ludzka przebyć może — rzekł ostrożny partyzant. I zeskoczywszy znów z siodła, zaczął szybko piąć się po zboczu wzgórza, skąd mógł dokładnie zbadać owe skały i wszystkie w nich zagłębienia.

Zaledwie to uczynił, spostrzegł jakąś ludzką postać, chyłkiem uciekającą przed nimi i znikającą po drugiej stronie przepaści.

— Ostrogę koniowi, Sitgreaves, ostrogę! — krzyknął kawalerzysta, sam puszczając się w pogoń — i pał do tego łotra, co ucieka.

Chirurg usłuchał przynajmniej pierwszej części polecenia i w chwilę potem ujrzał człowieka uzbrojonego w muszkiet, który przebiegał w poprzek gościnca z widocznym zamiarem ukrycia się w gęstym przeciwległym lesie.

— Stój, stój, mój przyjacielu, stój! poczekaj na kapitana Lawtona — zaczął wołać chirurg, widząc, że nie dopędzi uciekającego. — Ale tamten, usłyszawszy tę zachętę, wyteżył wszystkie siły i dopadł zbawczych zarośli; poczem, już czując się bezpiecznym, odwrócił się, wypalił z muszkietu do chirurga i zniknął w gęstwinie. Zanim Lawton zdążył wybiec na gościniec i dosiąść zpowrotem konia, już go nie było.

— Gdzie uciekł? — zawołał.

— Johnie — rzekł chirurg — przecież ja żołnierzem nie jestem.

— Gdzie uciekł ten infamis? — powtórzył niecierpliwie Lawton.

— Tam, gdzie go dogonić nie możesz — do lasu. Ale, powtarzam, Johnie, ja nie jestem żołnierzem.

Zawiedziony kawalerzysta, przekonawszy się, że wróg umknął mu nieodwołalnie, zwrócił zaiskrzone gniewem oczy na kolegę, lecz stopniowo srogi wyraz jego rysów mięknął, a na ustach pojawił się ten figlarny uśmiech, który tam tak często gościł. Chirurg siedział uroczyście na koniu, wyprostowany, z podniesioną sztywnie głową, jak ktoś, komu stała się krzywda niesłusznego zarzutu.

— Cemu pozwoliłeś mu uciec? — zapytał kapitan. — Gdybym go tylko mógł sięgnąć szablą, miałbyś, czego sobie życzyłeś przed chwilą.

— Nie mogłem temu zapobiec — odrzekł chirurg, pokazując płuć, przed którym zatrzymał konia. — Łotr przeskoczył na drugą stronę i ani chciał słuchać, kiedy wolał na niego, żeby zaczekał, bo ty pragniesz się z nim rozmówić.

— Istotnie bardzo niegrzeczny jegomość. Ale czemu nie przeskoczyłeś płuć i nie zmusiłeś go, by przystanął mimo chęci. Przecież to nawpół rozwalona płocina, Betty Flanagan przesadziłaby go na swojej krowie.

Chirurg po raz pierwszy odwrócił oczy, utkwione w miejscu, gdzie znikł zbieg, i przeniósł je na towarzysza, a prostując się jeszcze sztywniej, odpowiedział:

— Śmiem sądzić, kapitanie Lawtonie, że ani pani Elżbieta Flanagan, ani jej krowa nie są przykładami do naśladowania dla doktora Archibalda Sitgreaves'a; i byłby to bardzo wątpliwy komplement dla nauki, gdyby powiedziano, że doktor medycyny połamał obie nogi, skacząc przez płuć.

Mówiąc to, chirurg podniósł wzmiankowane kończyny do horyzontalnej niemal postawy, co oczywiście

czyniło go niezdolnym do wszelkich skoków, ale kawalerzysta, nie zważając na ten niezbity dowód, zawołał:

— Co to za przeszkoda, człowieku?! — Cały pluton przeskoczyłby tędy, nie zawadziwszy nawet ostrogą o te dyle. Phy! Nie takie przeszkody brało się w ataku na bagnety piechoty.

— Zechciej pamiętać, kapitanie Johnie Lawton, że nie jestem ani berajterem pułkowym, ani dobozsem, ani zbzikowanym kapitanem; nie, mój panie — mówię to z całym uszanowaniem dla rozporządzeń lądowego Kongresu — ani zbzikowanym kapitanem, który równie mało dba o własne życie jak swoich nieprzyjaciół. Ja, łaskawy panie, jestem tylko skromnym literatem, prostym doktorem medycyny, dyplomowanym przez uniwersytet edynburski, i chirurgiem dragonów, niczem więcej, upewniam cię, kapitanie Johnie Lawton.

Z temi słowy zawrócił konia w stronę Akacji i jechał dalej.

— Masz słuszość! — mruknął kapitan. — Gdybym miał ze sobą najgorszego bodaj jeźdźca z całego mego oddziału, byłbym schwytał hultaja, i przynajmniej o jednego łajdaka byłoby mniej na świecie. Ale, Archibaldzie, nikt nie może jeździć dobrze, kto siedzi na siodle jak kolos rodyjski! Nie pokładaj całej wiary w strzemionach, trzymaj się bardziej kolanami.

— Nie ubliżając twojemu doświadczeniu, kapitanie Lawtonie — odparł chirurg — uważam siebie za dość wykwalifikowanego do wyrokowania o muskularnej sprawności czy to w kolanach, czy w innych częściach ludzkiego kształtu. A, aczkolwiek liche jest moje wykształcenie, to nie będę się uczył teraz, że im szersza jest podstawa, tem mocniejszy wierzchołek.

— Ale w ten sposób zajmiesz jedną parą nóg cały gościniec, którym pół tuzina jeźdźców może wygodnie jechać obok siebie. Rozstawiasz je tak jak Scytowie na kołach starożytnych kwadryg.

Ta aluzja do zwyczajów starożytnych ludów udo-
bruchała nieco chirurga, odpowiedział więc z mniejszą
wyniosłością:

— Należy mówić z szacunkiem o tych, którzy nas
poprzedzili, i którzy, aczkolwiek nie biegli w naukach,
zwłaszcza w chirurgji, zostawili nam wiele cennych
przykładów do naśladowania. Nadmienić muszę, że
Galenus niewątpliwie operował rany, zadane przez
owych właśnie Scytów, aczkolwiek nie znajdziemy po-
twierdzenia tego faktu u współczesnych pisarzy. Ach!
musiały to być straszliwe rany, i lekarze owych czasów
mieli z niemi zapewne wiele kłopotu.

— Tak, zdarzały się prawdopodobnie wypadki
przecięcia ciała na dwoje, nad czem pomimo całej ich
uczoności nabiedzić się musieli, żeby je znów w całość
zestawić.

— Co?! zestawić dwie połowy ludzkiego ciała,
przecięte ostrem narzędziem, by mogły nadal pełnić
funkcje życia?

— Właśnie, a nawet służbę wojskową — odparł
Lawton.

— Ależ to niemożliwe, wręcz niemożliwe! — za-
wołał chirurg. — Napróżno, kapitanie Lawton, umysł
ludzki stara się przeciwdziałać wysiłkom natury. Po-
myśl tylko, w danym wypadku przecinasz wszystkie
arterje, uszkadzasz wnętrzności, niszczysz nerwy i ży-
ły, i...

— Powiedziałeś już dosyć, doktorze Sitgreaves,
żeby przekonać członka współzawodniczącej szkoły.
Nic już nie skusi mnie, bym dobrowolnie poddał się
takiemu niepoważanemu poćwiartowaniu.

— A jednak, co to za wspaniała rzecz taka rana,
która z natury swojej jest nieuleczalna!

— Wyobrażam sobie — rzekł Lawton sucho.

— Jak myślisz? Co jest największą przyjemno-
ścią w życiu? — zapytał nagle operator.

— To zależy od gustu.

— Bynajmniej! — wykrzyknął chirurg. — Jest nią śledzenie, a bardziej jeszcze wyczuwanie stopniowej naprawy spustoszeń, dokonanych przez chorobę, naprawy mówię, jaką światła nauki dokonywają ze współudziałem natury! Wyobraź sobie, raz z umysłu zламаłem sobie mały palec, aby móc go zestawić i śledzić proces zrastania się owego członka. Było to oczywiście próbą na małą skalę, a jednak, powiem ci, drogi Johnie, że rozkosz, z jaką obserwowałem postępy tej kuracji i podziwiałem umiejętność ludzką, działającą zgodnie z naturą, przeszła wszystkie inne przyjemne wrażenia, jakich w życiu doświadczyłem. A teraz, przypuśćmy, że byłby to jakiś większy członek, na przykład ręka lub noga, o ileż potężniejsza jeszcze byłaby ta rozkosz!

— Albo kark — rzekł kawalerzysta.

Dalszą rozmowę przerwało im przybycie do posiadłości pana Whartona. Ponieważ nikt nie wyszedł na ich spotkanie, kapitan sam skierował się w stronę saloniku, gdzie, jak wiedział, przyjmowano zazwyczaj gości. Otworzywszy drzwi, przystanął, podziwiając obraz, jaki się oczom jego przedstawił. Pułkownik Wellmere pochylał się nad zapłonioną Sarą, i oboje byli tak sobą wzajem zajęci, że nie usłyszeli hałasu, jaki Lawton sprawił swem wejściem. Po pewnych oznakach, jakie wnet jego badawczy wzrok ogarnął, kapitan odgadł tajemnicę ich serc, i miał się już cofnąć w milczeniu, lecz w tej samej chwili chirurg, który z pewnem opóźnieniem za nim podążał, wpadł do pokoju jak bomba, niezwłocznie przyskoczywszy do Wellmere'a chwycił go za rękę i zawołał:

— Masz tobie! puls szybki i nierówny, policzki zaognione, oczy błyszczące, silne symptomy gorączki, z któremi niema żartów.

Z temi słowy, doktor, mający skłonność do pośpiesznego działania, słabostka wielu lekarzy w służbie wojskowej, wy dobył lancet i niedwuznacznie zabierał się do natychmiastowego zastosowania tego

ostrego narzędzia. Ale pułkownik Wellmere, ochłoniawszy ze zdziwienia, powstał wyniosłe i rzekł:

— Panie, w pokoju jest istotnie trochę za gorąco, i temu przypisać należy moje rumieńce. Zresztą, zbyt wiele już zawdzięczam pańskiej umiejętności, bym go miał trudzić więcej. Panna Wharton wie, że czuję się zupełnie dobrze, — i upewniam pana, że nigdy zdrowszym i szczęśliwszym nie byłem.

Ostatnią część tego przemówienia wypowiedział pułkownik Wellmere z naciskiem, który okrył znów policzki Sary szkarłatem, a doktor Sitgreaves, idąc za kierunkiem wzroku swego pacjenta, zauważył to natychmiast.

— Proszę mi podać rękę — rzekł, zbliżając się do niej z ukłonem. — Niepokój i bezsenność podziały na pani wąły organizm, i widzę tu symptomy, których nie należy zaniedbywać.

— Przepraszam pana — rzekła Sara, opanowawszy się z kobiecą dumą — duszno tu istotnie, pójdę więc uprzedzić pannę Peyton o pańskiej obecności.

Abstrakcyjna naiwność chirurga była tak wielką, że każdy łatwo mógł go wyprowadzić w pole, lecz Sara musiała podnieść oczy, by odpowiedzieć na powitalny ukłon Lawtona, który, otwierając jej drzwi, skłonił się tak nisko, że głową prawie dotknął klamki. Jedno spojrzenie wystarczyło. Sara zapanowała nad sobą, by wyjść z pokoju z godnością, lecz znalazłszy się sama, padła na krzesło, miotana uczuciami zawstyżenia i rozkoszy.

Nieco stropiony zachowaniem się pułkownika angielskiego, Sitgreaves raz jeszcze ofiarował mu swoje usługi, i ponownej doznawszy odmowy, udał się do pokoju młodego Singletona, gdzie go już Lawton wyprzedził.

ROZDZIAŁ XXI.

„O! Henryku, gdy o mnie zabiegasz, możesz oprzeć się twoim zaletom? Gdyś, o! luby, zdobył moje serce, możesz odmówić ci ręki?”

Pustelnik z Warkworth.

Doktor zastał swego pacjenta na drodze do szybkiego wyzdrowienia; gorączka opuściła go zupełnie. Siostra jego bledsza jeszcze, jeżeli to wogóle było możliwem, niż w chwili przyjazdu, pielęgnowała go czule, a domowe panie pomimo wszystkich swoich trosk i różnorodnych wzruszeń nie zapominały o obowiązkach gościnności. Fanny przytem czuła jakiś nieprzeparty pociąg do tej smutnej, bladej dziewczyny. Raz złączywszy w wyobraźni losy Dunwoodie'go z losami Izabeli, sądziła w romantycznym zapale, że przysłuży się najlepiej dawnemu narzeczonemu, otaczając serdecznością jego wybrankę. Izabela wdzięcznie przyjmowała te starania, lecz żadna z nich nie napomknęła o tajemniczem źródle ich udręczeń. Spostrzegawczy zmysł panny Peyton nie sięgał poza rzeczy widome, przypisywała więc bladeść lic i załzawione oczy siostrzenicy okropnemu położeniu, w jakim znajdował się Henryk Wharton. Natomiast, pomimo że osobiście niedoświadczona w tym względzie, odgadła łatwo przyczynę, dla której Sara mniej okazywała zmartwienia niż jej siostra. Miłość dla każdej cnotliwej kobiety jest uczuciem świętem i otacza aureolą wszystko, co podlega jej wpływowi. Panna Peyton bolała szczerze nad grożącym siostrzeńcowi niebezpieczeństwem, rozumiała jednak,

że czasy wojny nie sprzyjają miłości i że nie można marnować tych rzadkich chwil, jakich jej użył przy-padek.

Kilka dni minęło, nie przynosząc żadnej zmiany w zwykłym trybie życia mieszkańców Akacji i oddziału w Czterech Kątach. Pierwsi krzepili się wiarą w niewinność Henryka i ufnością w zabiegi Dunwoodie'go na rzecz jego, drudzy z niecierpliwością oczekiwali spodziewanej lada chwila wiadomości o starciu z nieprzyjacielem i rozkazów wymarszu.

Napróżno jednak kapitan Lawton wyglądał jednej i drugiej. Listy od majora Dunwoodie'go donosiły, że nieprzyjaciół, przekonawszy się, że oddział, z którym miał wspólnie działać, został zniesiony i odwołany, cofnął się również poza okopy fortu Washingtona, gdzie trwał w nieczynności, grożąc wciąż odwetem za doznana porażkę. Dunwoodie raz jeszcze zalecał kapitanowi czujność i kończył wyrazami pochlebnego zafufania w jego honor, gorliwość i znane męstwo.

— Wszystko to bardzo pięknie, majorze Dunwoodie — mruknął dragon, rzucając list na stół i zaczynając chodzić po izbie dla uspokojenia ogarniającej go niecierpliwości. — Ślicznie mnie ubrałeś, niema co mówić. Mam zatem pilnować bezpieczeństwa tego idjoty, który sam nie wie, czy trzyma naszą stronę czy nieprzyjaciela, i czterech kobiet, z których trzy są wcale niczego, ale nie dbają o moje towarzystwo, a czwarta — zacna niewiasta — przekroczyła czterdziestkę; dwoje czy troje czarnych, gadatliwą gospodynię, która nic innego nie robi, tylko plecie wciąż o złocie, żebrakach i różnych omenach, i tego biednego Jerzego Singletona. Ano, chory kolega ma prawo do opieki, więc zrobię, co będzie w mojej mocy.

Kończąc ten monolog, kawalerzysta usiadł i zaczął gwizdać, żeby wmówić w siebie, że wszystko to nic go nie obchodzi, lecz wyciągnawszy zbyt daleko nogę przewrócił baryłkę, zawierającą cały jego zapas wódki. Podnosząc drewniane naczynie, zauważył le-

żący na ławce, na której postawił barylkę, bilecik. Otworzył go i przeczytał:

„Księżyc wszędzie dopiero po północy; dogodny czas dla czynów ciemności.“

Poznał pismo, było to samo, które go ostrzegło o zasadzce, i Lawton długo dumał nad obu temi kartkami, nie mogąc pojąć, co skłaniało kramarza, by w podobny sposób sprzyjał nieprzejednanemu wrogowi. Że był on szpiegiem nieprzyjacielskim, o tem Lawton wiedział, w swoim czasie bowiem, gdy skazano na śmierć kramarza, dowiedziono mu niezbitcie, iż udzielił naczelnemu dowodowi wojsk angielskich pewnych szczegółów o położeniu amerykańskiego oddziału, wysłanego na rekonesans. Wprawdzie uniknięto szczęśliwie skutków tej zdrady, Washington bowiem odwołał ów regiment, zanim Anglicy zdążyli go otoczyć; zbrodnia jednak pozostała tą samą.

— Może — myślał kapitan — chce on mnie sobie zjednać na wypadek ponownego schwywania; bądź co bądź, raz oszczędził mi życie, a drugi raz uratował mi je. Postaram się być równie wspaniałomyślnym względem niego, i proszę Boga, aby mi w tem powinność nie przeszkodziła.

Czy niebezpieczeństwo, wzmiankowane w obecnej kartce, groziło Akacji, czy też samemu oddziałowi w Czterech Kątach, tego kapitan nie mógł wymiarować, przechylał się jednak ku ostatniemu przypuszczeniu, i postanowił podwoić czujność jadąc pociemku. Dla człowieka, żyjącego w czasach spokojnych, obojętność, z jaką Lawton odnosił się do grożącego niebezpieczeństwa, byłaby wprost niepojętą, jakoż przemysłował on bardziej nad sposobami przyłapania nieprzyjaciół niż uniknięcia ich machinacyj. Przybycie chirurga, wracającego z Akacji, dokąd codziennie jeździł, przerwało te rozmyślenia. Sitgreaves przywiózł zaproszenie od pani domu, by kapitan Lawton raczył zaszczyścić Akację swoją obecnością wczesnym wieczorem.

— Oho! — zawołał kawalerzysta — więc i oni musieli otrzymać list jakiś.

— Uważam to za bardzo prawdopodobne — rzekł chirurg. — Jest tam kapelan z królewskiej armji, który przybył dla wymiany rannych, i ma rozkaz od pułkownika Singletona, upoważniający do ich wydania. Także dziki pomysł, ruszać tych ludzi w takim stanie.

— Kapelan, powiadasz? Jakże on się przedstawia? Pijaczyna i żarłok, który się próżniaczy w obozie i objada go, czy też jakiś porządny sługa Boży?

— Wygląda bardzo przyzwoicie, i sądząc z zewnętrznych objawów, zdaje się być człowiekiem wstrzemięźliwym — odrzekł chirurg. — Wcale przystojnie i jak się należy odmawia dziękczynienie.

— Czy zostanie na noc?

— Zapewne, ale pośpiesz się, Johnie; nie mamy czasu do stracenia. Wpadnę tylko do rannych, puścić krew paru Anglikom, których mają zabrać jutro, żeby zapobiec zapaleniu, i zaraz będę gotów.

Galowy strój kapitana nie przyczynił mu wiele kłopotu ni mitręgi; wkrótce obaj z chirurgiem puścili się znów w drogę do Akacji. Roanokemu kilkudniowy odpoczynek posłużył równie dobrze jak jego panu, i Lawton, pędząc koło dobrze pamiętnych skał na swym dziarskim rumaku, pragnął gorąco, by ów zdradziecki wróg stanął mu teraz na drodze konno i, jak on, uzbrojony. Ale ani wróg, ani żadna inna przeszkoda nie wstrzymała jadących, i przybyli do Akacji w momencie, gdy zachodzące słońce rzucało ostatnie promienie na dolinę i złociło bezlistne drzew wierzchołki.

Lawton posiadał dar spostrzegawczy, rozwinięty w wysokim stopniu, to też zaledwie przestąpił próg domu, jeden rzut oka powiedział mu więcej niż doktorowi Sitgreaves'owi całodzienne w nim przebywanie. Panna Peyton powitała kapitana z większą niż zazwyczaj uprzejmością. Fanny snuła się po domu zapłakana i wzruszona, a pan Wharton stał, gotów na przyjęcie

gości, w aksamitnym fraku, który byłby sprawił wrażenie w najwykwintniejszym salonie. Pułkownik Wellmere był w mundurze oficera gwardji królewskiej, a Izabela Singleton siedziała przybrana w szaty godowe, z twarzą, kłam im zadająca, podczas gdy brat jej, niezwykle ożywiony, nie wyglądał wcale na rekonwalescenta. Był to już trzeci dzień, jak mu wstać pozwolono, a doktor Sitgreaves, rozglądający się dookoła z osłupieniem, zapomniał zburzyć go za nierozwagę. Co się tyczy kapitana Lawtona, ten patrzył na wszystko z powagą i spokojem człowieka, którego niełatwo wytrącić z równowagi. Przywitawszy się ze wszystkimi, zbliżył się do chirurga, widząc, że ten stoi w kącie jak oszołomiony.

— Johnie — szepnął doktor z zaciekawieniem — co znaczy ta uroczystość?

— Znaczy, że twojej peruce i moim czarnym włosom byłoby się przydało trochę mąki Betty Flanagan, ale już teraz za późno i musimy stoczyć bój tak uzbrojeni jak jesteśmy.

— Patrzno, wchodzi kapelan wojskowy w pełnym stroju jak Doctor Divinitatis; co to być może?

— Zamiana — odpowiedział kawalerzysta. — Ranieni strzałami Kupidyna mają się spotkać i załatwić rachunki z tym bogiem, składając przysięgę, że więcej już od jego grotów cierpieć nie będą.

Chirurg położył palec na nosie, zaczynając się domyślać.

— Czy to nie hańba, żeby taki fircyk i wróg miał zerwać jeden z najpiękniejszych kwiatów, co wyrósł na naszej ziemi — mruknął Lawton — kwiat godny ozdobić pierś najdzielniejszego męża!

— Jeżeli będzie równie trudnym mężem jak pacjentem, Johnie, to obawiam się, że biedna panienska będzie miała z nim ciężkie życie.

— Dobrze jej tak — rzekł oburzony kawalerzysta — wybrała z pomiędzy wrogów ojczyzny; niech się przekonają, jak smakują cudzoziemskie cnoty.

Dalszą rozmowę przerwała panna Peyton, która przystąpiwszy do obu przyjaciół, uwiadomiła ich, że zostali zaproszeni na ślub jej starszej siostrzenicy z pułkownikiem Wellmere'm. Panowie skłonili się, a poczciwa ciotka z wrodzonym poczuciem taktu dodała, że państwo młodzi znali się oddawna i że wzajemna ich miłość nie była bynajmniej czemś nagłym. Na to kapitan skłonił się jeszcze ceremonjalniej, ale chirurg, który nie pomijał nigdy sposobności wdania się w rozmowę ze starą panną, odpowiedział:

— Umysł ludzki różnie się w różnych jednostkach przejawia. U jednych wrażenia są żywe i przelotne, u drugich głębokie i trwałe. Są nawet filozofowie, którzy usiłują przeprowadzić paralełę pomiędzy fizycznymi a umysłowymi władzami człowieka; ja zaś sądzę, że przyzwyczajenie i otoczenie mają wpływ na jedno, drugie zaś się podlegają właściwym prawom natury.

Panna Peyton z kolei skłoniła się milcząco i z godnością, poczem wyszła, aby wprowadzić pannę młodą. Ujrawszy ją wchodzącą, Wellmere poskoczył, aby ująć dłoń, którą z odwróconą twarzą wyciągała ku niemu i niezawodnie dopiero w tej chwili pułkownik angielski zdał sobie dokładnie sprawę z ważnej roli, jaką miał w zbliżającej się uroczystości odegrać. Dotychczas wydawał się roztargnionym i jakby zakłopotanym, lecz na widok uroczego zjawiska wszystkie inne względy pierzchły mu z przed oczu i pozostała jedynie pewność bliskiego szczęścia. Wszyscy powstali z miejsc, i kapelan otworzył już świętą księgę, gdy zauważono nieobecność Fanny. Panna Peyton udała się na poszukiwanie młodszej siostrzenicy i znalazła ją w jej własnym pokoju, tonącą we łzach.

— Pójdź, kochanie — rzekła ciotka, obejmując kibić dziewczęcia. — Staraj się uspokoić i w odpowiedni sposób uczcić wybór siostry.

— Och! czyż on jest jej godny?

— Jakżeby mogło być inaczej? — odparła panna Peyton — albowi nie jest szlachcicem? dzielnym, choć

nieszczęśliwym żołnierzem? i wogóle człowiekiem posiadającym wszelkie warunki, mogące zapewnić szczęście każdej kobiecie.

Fanny otarła oczy i opanowawszy się całą siłą woli, poszła za ciotką. Przez ten czas duchowny, aby zapełnić czemś nieco kłopotliwą zwłokę, zadawał różne pytania panu młodemu; na jedno wszelako nie otrzymał zadowalającej odpowiedzi. Wellmere zmuszony był przyznać, że nie zaopatrzył się w obrączkę, a bez obrączki ceremonja ślubny nie mógł się odbyć. Tak przynajmniej zaopinjował duchowny, opierając się na przepisach kanonicznych. Zwrócono się wszelako do pana Whartona z zapytaniem, jakie jest jego zdanie w tym względzie, on jednak od czasu uwięzienia syna był w stanie takiej apatji, że jak łatwo zgodził się na tak szybkie małżeństwo Sary z Wellmere'm, tak również łatwo oświadczył się teraz przeciw dopełnieniu ślubnego aktu bez obrączki. Panna Peyton i Fanny weszły na tę chwilę. Chirurg dragonów zbliżył się do pierwszej i podając jej krzesło zauważył:

— Pokazuje się, łaskawa pani, że zewnętrzne okoliczności nie pozwoliły pułkownikowi Wellmere'owi zaopatrzyć się we wszystkie przybory, jakie obyczaje, tradycja i prawa kościelne uznały za nieodzowne do wejścia w święte związki małżeństwa.

Panna Peyton spojrzała spokojnie na zakłopotanego oblubieńca, a przekonawszy się, że był przybrany z całą, możliwą w tak wyjątkowych okolicznościach świetnością, przeniosła wzrok na mówiącego, jakby pytając o wyjaśnienie.

Chirurg zrozumiał, o co jej chodzi, i pośpieszył za dosycuczynić niememu wezwaniu.

— Istnieje przeważające mniemanie — rzekł — iż ponieważ serce leży po lewej stronie ciała, związek pomiędzy owem, że się tak wyrażę, siedliskiem życia a członkami owej strony ściślejszy jest niż ze stroną przeciwległą. Ale jest to mniemanie błędne, wpływające z nieświadomości wewnętrznego układu

ludzkiego organizmu. Zgodnie wszelako z niem czwarty palec u lewej ręki uważany bywa za szczególnie uprzywilejowany, i zazwyczaj opasuje się go podczas obrządku ślubnego obrączką, jak gdyby dla tem ściślejszego utrwalenia związku pomiędzy serdecznymi uczuciami a stanem małżeńskim, czego zresztą o wiele skuteczniej mogą dokazać wdzięki i przymioty płci pięknej właściwe.

Z temi słowy operator położył wymownie rękę na sercu i skłonił się prawie do ziemi.

— Niezupełnie dobrze rozumiem znaczenie słów pańskich — rzekła panna Peyton, któremu to brakowi pojętności z jej strony nie można się było dziwić.

— Brak obrączki, łaskawa pani...

Zacna ciotka natychmiast oceniła całą kłopotliwość położenia. Spojrzała na siostrzenice i w oczach młodszej dostrzegła błysk radości, który jej się nie podobał, zaś twarzyczka Sary płonęła zrozumiałym wstydem. Wszystkim tym trzem paniom przypomniało się, że ślubna obrączka zmarłej ich matki i siostry spoczywała wraz z innemi kosztownościami, dawniej jeszcze schowanemi nocą w tajemnej kryjówce, dla zabezpieczenia ich przeciw chciwości band rozbójniczych, włóczących się po okolicy. Ale było to od niepamiętnych czasów przyjętym zwyczajem, że pan młody dostarczał tego niezbędnego przy ślubie szczęgołu, a panna Peyton za nic na świecie nie byłaby uczyniła nic takiego, coby w jej pojęciu sprzeciwiało się kobiecej godności; a w każdym razie nie wcześniej, niż przewina spotkałaby się z dostateczną karą, w postaci kłopotu i niepokoju. Żadna więc z pań nie wspomniała o owej obrączce: ciotka ze względu na przyzwoitość, panna młoda ze wstydu, a Fanny z tajemnego zadowolenia, że jakaś przeszkoda, mniejsza jaka, odwlecze zaślubiny jej siostry. Kłopotliwe milczenie przerwał doktor Sitgreaves:

— Jeżeli, szanowna pani, prosta obrączka, należąca niegdyś do mojej siostry — tu zamilkł i odchrząk-

nał, — jeżeli, jednym słowem, tego rodzaju pierścień może dostąpić zaszczytu o który chodzi, znajduje się on na mojej kwaterze w Czterech Kątach i jak sądzę, nada się doskonale na palec obecnej oblubienicy. Istnieje wielkie podobieństwo pomiędzy — hm! — moją nieboszczką siostrą, a panną Wharton w postawie i anatomicznym kształcie, a zazwyczaj u normalnych jednostek proporcje bywają ściśle zachowane w całym stroju fizycznym.

Wzrok panny Peyton przypomniał pułkownikowi Wellmere'owi, co mu należy uczynić, zerwał się więc oblubieniec z krzesła i zapewnił chirurga, że ten niczem bardziej nie zobowiąże go, jak posyłając po ów pierścionek. Doktor Sitgreaves skłonił się z pewną wyniosłością i wyszedł oświadczając, że idzie wyprawić posłańca w tym celu. Zaledwie jednak drzwi się za nim zamknęły, panna Peyton pomyślała, iż nie należy wtajemniczać jakiegoś obcego człowieka w tego rodzaju domowe sprawy, wysłała więc śpiesznie za doktorem prosić go, by zamiast swego służącego wyprawił Cezara. Doktor oczywiście nie miał nic przeciwko temu, i Katy Haynes z polecenia panny Peyton udała się, aby sprowadzić murzyna do pustego pokoju, gdzie go tamci dwoje oczekiwali.

Pan Wharton udzielił zezwolenia na to nagłe małżeństwo Sary z Wellmere'm w warunkach, tak zeszechmiar niesprzyjających weselnej uroczystości — że wspomnimy tylko o grożącym niebezpieczeństwie życia jednemu z członków rodziny — biorąc pod uwagę niespokojne czasy, mogące uniemożliwić zakochanej parze ponowne spotkanie, a także i pod wpływem tajemnej obawy, że śmierć syna przyspieszyć może jego własny zgon, i że wtedy córki jego pozostaną bez męskiej opieki.

Jednakże, chociaż panna Peyton, ulegając życzeniu szwagra, zgodziła się skorzystać z przypadkowej obecności duchownego, nie uważała za właściwe rozgłaszać w sąsiedztwie, choćby i czas nawet był potem,

o zaślubinach siostrzenicy, zdawało jej się zatem, że obwieszcza głęboką tajemnicę gospodyni i murzynowi.

— Cezarze — zaczęła z uśmiechem — masz wiedzieć, że twoja młoda pani, panna Sara, zaślubia dziś wieczorem pułkownika Wellmere'a.

— Ja to dawno wiedzieć — rzekł Cezar z łobuzerskim grymasem — stary kolorowy człowiek wie-dzieć, kiedy młoda pani mieć się do kogoś.

— Doprawdy, Cezarze, nie podejrzewałam cię o tyle domyślności, ale skoro już wiesz, o co chodzi, słuchaj, co ci ten pan powie i zastosuj się ściśle do jego wskazówek.

Murzyn zwrócił się posłusznie do chirurga, który zaczął jak następuje:

— Cezarze, pani twoja uwiadomiła cię już, jak ważny obrządek ma się odbyć w obrębie tego domu, brak jednak pierścienia czyli obrączki, mającej opasać palec panny młodej; zwyczaj to starożytny, przechowywany przy zawieraniu ślubów małżeńskich w wielu odłamach kościoła chrześcijańskiego, a który nawet jako symbol duchownych zaślubin stosuje się przy instalacji prałatów, jak ci to zapewne wiadomo.

— Może massa powtórzyć mi to jeszcze — przerwał stary murzyn, którego pamięć zaczęła zawodzić, właśnie w chwili, gdy chirurg z taką ufnością powołał się na jego władze umysłowe. — To ja wtedy nauczyć się napamięć.

— Niepodobieństwem jest wycisnąć miód ze skały, Cezarze, dlatego będę się streszczał. Jedź do Człerech Kątów i oddaj ten list sierżantowi Hollisterowi lub pani Elżbiecie Flanagan, a jedno z nich wręczy ci ów symbol małżeńskiej miłości, i wracaj co prędzej.

List, który chirurg powierzył w ręce Cezara, brzmiał jak następuje:

„Jeżeli gorączka opuściła Kindera, daj mu poży-wienie. Puścić jeszcze trzy uncje krwi Watsonowi.
„Uważaj, aby niewiasta nazwiskiem Flanagan nie zo-
„stawiła jakiego naczynia z alkoholem w szpitalu.

„Zmień opatrunek Johnsonowi i odkomenderować „Smitha na służbę. Prześlać obrączkę, wiszącą przy „łańcuszku od zegarka, który zostawiłem, dla pilnowania się godzin lekarstw“.

Archibald Sitgreaves, D. M.
Chirurg Dragonów.

— Cezarze — rzekła Katy, zostawszy sama z murzynem — gdy ci oddadzą obrączkę, włóż ją do lewej kieszeni, bo ta jest najbliższą serca, i nie waż się przymierzać ją na palec; to przynosi nieszczęście.

— Przymierzać na palec? — powtórzył murzyn, wyciągając swe kościste knykcie. — Czy to pierścionek miss Sally wejść na palec Cezara?

— Nie chodzi o to, czy wejdzie czy nie — rzekła gospodyni — ale to zły znak przymierzać czyjaś obrączkę po ślubie, więc może być niebezpieczne i przedtem.

— Ani mi się to śnić!

— Jedź więc, Cezarze, i nie zapomnij o lewej kieszeni, a gdy będziesz przejeżdżał koło cmentarza, zdejm kapelusz. A śpiesz się, bo chyba niema nic przykrzejszego dla panny młodej jak czekać na ślub, kiedy jej pilno.

Zaopatrzony w te przestrogi Cezar opuścił dom i wkrótce potem siedział na siodle. Od młodości był on, jak wszyscy murzyni, dzielnym jeźdźcem, ale sześćdziesiątka ostudziła nieco upały jego krwi afrykańskiej. Noc była ciemna i listopadowy wiatr świślał w dolinie. Przejeżdżając koło cmentarza, Cezar odkrył osiwiałą głowę z przesadną trwogą i zaczął rozglądać się dokoła, azali nie ujrzy jakiego nadludzkiego zjawiska. Jakoż ujrzął, ale ludzką postać, wychodzącą z pomiędzy grobów i kierującą się w stronę gościńca. Napróżno rozum i filozofja chciałyby walczyć z wrażeniami, a biedny Cezar pozbawiony był nawet i tych wątplych sojuszników. Siedział jednak na dobrym, zapręgowym koniu pana Whartona, więc tylko przyłgął instynktownie do grzbietu swego wierzchowca

i zdał się na jego łaskę i niełaskę. Wzgórza, lasy, skały, parkany i domy migały mu przed oczyma z błyskawiczną szybkością, i właśnie zaczął przypominać sobie, w jakim właściwie celu pędzi w ten sposób, gdy dopadł rozstaju dróg i „Hotel Flanagan” stanął przed nim w całej swej rozpadającej się prostocie. Widok wesoło płonącego ognia powiadomił murzyna, że znajduje się wobec zamieszkałego przez ludzi domostwa, a wraz z tą świadomością zbudził się w nim lęk przed krwiożerczymi Wirgińczykami, nie było jednak rady. Zsiadł więc z siodła i uwiązawszy spienionego konia u płotu, zbliżył się ostrożnie do okna na rekonansans.

Sierżant Hollister i Betty Flanagan siedzieli przed sutyem ogniem, racząc się sownie napitkiem.

— Mówię wam, kochany sierżancie — rzekła Betty, odejmując kubek od ust — czy to ma choć trochę sensu myśleć, że to nie był kramarz we własnej osobie. Bo gdzież się podział zapach siarki, gdzie skrzydła, gdzie racice? Zresztą, sierżancie, to nie wypada wmawiać w uczciwą kobietę, że spała na jednym łóżku z Belzebubem.

— Mniejsza z tem, pani Flanagan, byleś na tym świecie uniknęła jego szponów — odparł weteran, zakropiwszy tę uwagę potężnym łykiem.

Cezar usłyszał dosyć, by upewnić się, że żadne niebezpieczeństwo nie grozi mu od tych dwojga. Przytem zaczął już dzwonić zębami z zimna i widok ciepłej, zacisznej izby dodał mu jeszcze bodźca. Poszedł więc do drzwi i zapukał z nadzwyczajną pokorą. Ukazanie się Hollistera z dobytą szablą, ostro pytającego: kto idzie? nie przysporzyło Cezarowi otuchy, ale sam strach rozwiązał mu język.

— Zbliż się — rzekł sierżant, bacznie oglądając murzyna — zbliż się i oddaj depeszę; czy znasz hasło?

— Ja nie wiedzieć, co to jest — odrzekł murzyn, pod którym dygotały nogi — masz dać mi różne rzeczy, ale ja nie wiedzieć.

— Kto, powiadasz, przysłał cię tutaj?

— Ano doktor, więc ja tu lecieć galopem, jak zawsze, kiedy doktor posłać.

— Tak, to doktor; on sam nigdy hasła nie wie. Kapitan Lawton nie byłby przysłał cię tu bez hasła tak blisko straży, bo łatwo mogłeś dostać kulka w łeb, a to byłoby bardzo nieprzyjemnie dla ciebie, bo chociaż jesteś czarny, ja nie należę do tych, co mówią, że murzyni nie mają duszy.

— Co jej nie mają mieć! — rzekła Betty. — Przyśtań bliżej, stary, i ogrzej się przy ogniu, bo trzęsiesz się jak osika. Murzyn z Gwinei musi lubić ciepło, jak żołnierz lubi kieliszek.

Cezar usłuchał w milczeniu, a sierżant wysłał śpiącego na ławce w izbie małego mulacika z listem chirurga do budynku, gdzie leżeli ranni.

— Masz — rzekła praczka, podając Cezarowi kubek z ulubionym swym trunkiem — łyknij sobie kropelkę, niebożę, to ci rozgrzeje twoją czarną duszę i pokrzepi na drogę zpowrotem.

— Mówię ci, Elżbieto — rzekł sierżant, że dusze czarnych są takie same jak nasze; często słyszałem, jak dobry pan Whitfield powtarzał, że w niebie niema różnicy kolorów. Stąd słusznie wnioskować należy, że dusza tego tu murzyna jest tak samo biała jak moja, albo nawet majora Dunwoodie.

— Z pewnością że jest — zawołał Cezar, któremu „łyk“ pani Flanagan przywrócił odwagę.

— Dobra to dusza ten major — rzekła praczka — poczciwa dusza i dzielna dusza też, sam to musisz przyznać, sierżancie.

— Co się tyczy tego — odparł weteran — to jest ktoś wyższy nawet nad samego Washingtona i ten dusze ludzkie sądzić będzie. Ja tylko powiem, że major Dunwoodie to taki pan, który nigdy nie powie: „Idźcie chłopcy“, ale zawsze powiada „Pójdźcie, chłopcy“, a jeżeli biedny człowiek zgubi ostrogę, albo

fasulec mu się przetrze, zawsze znajdą się pieniądze na pokrycie straty i to z kieszeni majora.

— Więc dlaczego siedzicie tu beczynni, gdy ci, co mu najdrożsi, są w niebezpieczeństwie — krzyknął nagle jakiś głos. — Na koń! na koń! i do kapitana; do broni i na koń, i to natychmiast, bo może być za późno.

Ta niespodziewana przerwa wywołała niesłychane zamieszanie wśród pijących. Cezar skoczył na komin i pozostał tam pomimo gorąca, przy którym biały byłby się upiekł z pewnością; sierżant Hollister błysnął dobytą szablą, lecz spostrzegłszy, że przybysz był to we własnej osobie kramarz, stojący przy otwartych tylnych drzwiach, zaczął cofać się w stronę zajętego przez murzyna stanowiska z wojskową intuicją, nakażując mu koncentrację sił. Betty sama została na miejscu obok stołu. Z oczyma rozmarzonymi trunkiem z czułością naląła pełny kubek i podając go kramarzowi zawołała dobrodusznie:

— Jak się masz, panie kramarz, czy panie Birch, czy panie Belzebub, czy jak się tam zwiesz! Tak czy owak uczciwy z ciebie djabeł i spodziewam się, że ci moje spódnice posłużyły. Zbliź się do ognia, sierżant Hollister nic ci złego nie robi z obawy, abys mu jakiego figla na tamtym świecie nie spletał.

— Uchodź, bezbożniku! — wykrzyknął sierżant, wciąż przysuwając się bliżej Cezara, ale przestępując z nogi na nogę, bo mu już podeszwy skwierczyć zaczęły od ognia — uchodź w pokoju. Niema tu nic dla ciebie, i naprózno požadasz tej kobiety. Jest miłosierdzie, które ocali ją od twych szponów.

Tu sierżant przestał mówić głośno, ale usta jego poruszały się, i słyhać było szept modlitewny.

W umyśle Betty panował taki chaos, że nie rozumiała jasno znaczenia słów swego wielbiciela, lecz jakby olśniona nową myślą zawołała:

— Jeżeli mu o mnie chodzi, to co komu do tego? Jestem wdową i rozporządzam sobą. Mówisz o opiece, sierżancie, ale ja jej dotąd nie widzę, i pan Belzebub

może wypowiedzieć swoje zamiary, jeżeli mu się podoba. Ja go rada wysłuchać.

— Kobieto — rzekł kramarz — bądź cicho; a ty, głupi człowiecze, chwyć za broń i leć na pomoc swemu oficerowi, jeżeli godny jesteś sprawy, której słyszysz, i nie chcesz zhańbić munduru, który nosisz.

Z temi słowy kramarz znikł z przed oczu oszołomionej trójki tak szybko, że żadne z nich nie mogło sobie zdać sprawy, jak się to stało.

Usłyszawszy głos dawnego znajomego, Cezar wyłaził z kąta i śmiało zbliżył się do miejsca, gdzie Betty stała wciąż jak przygwożdżona.

— Niechby Harvey zostać — rzekł murzyn — ja woleć z nim jechać, Johnny Birch nie zrobić nic złego własny syn.

— Głupcze! — wykrzyknął sierżant, odzyskując głos — i ty myślisz, że to był człowiek z ciała i krwi?

— Harvey nie mieć dużo ciała — odpowiedział murzyn — ale to bardzo mądry człowiek.

— Ech! kochany sierżancie! — zawołała Betty — przyjdźże raz do rozumu, i zważ na to, co ci ten mądry powiedział; zwołaj chłopców i pojedź do kapitana Jačka, pamiętaj, kochanie, że on ci dziś jeszcze mówił, żeby być w pogotowiu na każde zawezwanie.

— Tak, ale nie na takie. Niech kapitan Lawton, albo porucznik Mason, albo kornet Skipwit powie słowo, a kto prędzej skoczy na siodło niż ja?

— A widzisz, sierżancie, a jakieś to się przechwalał, że wojska samego djabła się nie boją.

— Tak, ale w bojowym szyku i przy dziennem świetle, lecz w taką noc jak dzisiejsza nie trzeba kusić szatana. Słyszysz, jak wiatr świszczę w drzewach; o! to złe duchy tak wyją.

— Ja go widzieć — rzekł Cezar, wytrzeszczając oczy, że omal nie wyskoczyły mu z orbit.

— Gdzie? — przerwał sierżant, instynktownie kładąc dłoń na rękojeści szabli.

— Nie, nie — rzekł murzyn — ja widzieć Johnny Birch jak wychodzić z grobu, Johnny chodzić po śmierci.

— No, to musiał źle życie pędzić — rzekł Hollister — błogosławieni w duchu leżą spokojnie, czekając na ostatni apel, ale grzeszna dusza przeszkadza sobie i drugim zarówno w tem życiu jak w przyszłym.

— A co się stanie z kapitanem Jackiem? — zawołała Betty gniewnie. — Czy tak słuchasz przestrogi, którą ci dano? Skoro tak, to ja zaprzęgam do wózka i jadę tam i powiem mu, że sierżant Hollister boi się umarłego i Belzebuba, i że żadnej pomocy od niego spodziewać się nie można, a wtedy zobaczymy, co na to rzeknie kapitan.

— Nie, Betty, nie — rzekł sierżant, poufale kładąc jej dłoń na ramieniu — jeśli się ma jechać dzisiejszej nocy, to niech jedzie ten, czym obowiązkiem jest zwołać ludzi i dać im przykład. Ale zmiłuj się, Panie Boże, i zeslij nam wrogów z ciała i krwi.

Jeszcze jedna szklanica umocniła sierżanta w powziętem postanowieniu i wyszedł zwołać dwunastu żołnierzy, zostających pod jego rozkazami. Tymczasem nadbiegł chłopak z obrączką. Cezar schował ją starannie do kieszonki od kamizelki tuż przy sercu, i dosiadłszy konia, zamknął oczy, chwycił rumaka za grzywę i jechał tak w stanie względnego odrętwienia, dopóki wierzchowiec nie stanął przed drzwiami ciepłej stajni, z której wyruszył.

Dragoni podążali znacznie wolniej, Hollister bowiem zalecił im jechać stępa i dawać pilne baczenie, by zły duch we własnej osobie nie zastąpił im drogi.

ROZDZIAŁ XXII.

„Niech język twój nie będzie
głosicielem twojej własnej hańby.
Wyglądaj słodko, mów pięknie,
przystrój nieuczciwość. Niechaj
występek przybierze postać gońca
cnoty.“

Szekspir. *Komedja Omyłek.*

Dosyć kłopotliwe było położenie zebranego w domu pana Whartona towarzystwa podczas godziny, jaką trwała nieobecność Cezara, taką bowiem zdumiewającą szybkość biegu rozwinął jego wierzchowiec, że nietylko przebył cztery mile drogi w trakcie tego czasu, ale zostawił go jeszcze dostatecznie na powyżej opisane wydarzenia. Oczywiście panowie starali się uprzyjemnić paniom chwile męczącego oczekiwania, ale naprzód obmyślane szczęście nie należy do najweselejszych. Państwo młodzi od niepamiętnych czasów mają przywilej milczenia, a w danym wypadku wszyscy prawie obecni byli skłonni do pójścia w ich ślady. Angielski pułkownik siedział z twarzą odpowiednio rozpromienioną obok Sary, która zdawała się korzystać ze zwłoki, by uzbroić się w potrzebną moc ducha do czekającej ją uroczystej chwili. Wśród tej kłopotliwej ciszy, doktor Sitgreaves, usiadłszy obok panny Peyton, przemówił do niej w te słowa:

— Małżeństwo, łaskawa pani, jest stanem szanownym w oczach Boga i ludzi, i można powiedzieć, że w czasach obecnych przystosowało się do praw natury i rozsądku. Starożytni, sankcjonując wielożeństwo, nie brali pod uwagę usprawiedliwionych wyma-

gań natury i skazywali tysiące istot ludzkich na niedolę; lecz z rozwojem nauki rozwinęły się i mądre zarządzenia społeczne, nakazujące mężczyźnie, aby miał jedną tylko żonę.

Wellmere spojrzął z niesmakiem na chirurga, i widoczne było, że gadanina doktora nudzi go i niecierpliwi w wysokim stopniu, zaś panna Peyton z lekkim wahaniem, jakby lękając się potrącać o zabronione tematy, odrzekła:

— Sądziłam, panie doktorze, iż moralne nasze pojęcia w tym względzie zawdzięczamy religji chrześcijańskiej.

— Prawda, łaskawa pani, przepisy apostołskie ustanowiły równość obu płci w instytucji małżeństwa. Ale w jakim stopniu wielożeństwo mogło oddziaływać ujemnie na świętobliwość życia? Prawdopodobnie rozumne to zarządzenie było dziełem Pawła, który był uczonym człowiekiem i prawdopodobnie porozumiewał się w tej ważnej sprawie z Łukaszem; ten zaś, jak wszyscy wiemy, poświęcał się medycynie.

Trudno przewidzieć, jak daleko upodobanie w rozprawach byłoby zawiodło doktora Sitgreaves'a, gdyby Lawton, który w milczeniu lecz bacznie obserwował wszystko co się działo, nie przerwał mu nagle:

— Przepraszam, pułkowniku Wellmere, ale jaka jest kara w Anglii na dwużeństwo?

Pan młody drgnął i usta mu pobladły. Ale opanowawszy się natychmiast, odpowiedział słodko, jak przystało na tak szczęśliwego człowieka:

— Śmierć, jak na to podobny występek zasługuje.

— Śmierć i dysekcja — dodał operator. — Prawo rzadko kiedy pomija sposobność spożytkowania, że się tak wyrażę, przestępcy. A dwużeństwo jest wstrętną zbrodnią.

— Wstrętniejszą niż celibat? — zapytał Lawton.

— O wiele wstrętniejszą — odpowiedział chirurg z niezmaconą naiwnością. — Kto pozostaje bezżennym, może poświęcić się nauce i rozszerzyć zakres

wiedzy, ale nikczemnik, korzystający z wrodzonej uczuciowości i łatwowierności płci niewieściej, popełnia czyn występny sam przez się, spotęgowany jeszcze podłością oszustwa.

— Panie muszą być nieskończenie obowiązane panu za ten sąd pochlebny o ich umysłowych władzach — zauważył Lawton. — Łatwowierność bowiem jest rodzoną siostrą głupoty.

— Kapitanie Lawton, fizyczny ustrój mężczyzny szlachetniej jest ukonstituowany niżeli kobiety. Nerwy są mniej wrażliwe, cały organizm mniej giętki i ustępliwy; cóż więc dziwnego, że skłonność do polegania na dobrej wierze współmałżonka bardziej jest rozwinięta w kobiecie niż w mężczyźnie?

Wellmere, jakby niezdolny słuchać dłużej cierpliwie tych niewczesnych wywodów, zerwał się z miejsca i zaczął chodzić gorączkowo po salonie. Duchowny, widząc jego wzburzenie, ulitował się nad nim i zmienił przedmiot rozmowy, a wkrótce też zjawił się i Cezar. Wręczył on doktorowi Sitgreaves'owi kartkę z odpowiedzią, panna Peyton bowiem zaleciła mu wyraźnie, aby pod żadnym pozorem nie mieszał jej w sprawę, dla której był wysłany. Kartka zawierała treściwą odpowiedź na różne wskazówki chirurga i donosiła, że obrączkę wręczono murzynowi. Podał on ją natomiast doktorowi, ten zaś popatrzył na nią w milczeniu z melancholijnym wyrazem twarzy, a zapominając, gdzie się znajduje i poco tę pamiątkę przyniesiono tutaj, przemówił głośno sam do siebie:

— Biedna Anno! Wesołą byłaś, jak tylko młodość i niewinność wesołą być może, kiedy opaska ta miała stać się widomym symbolem twych zaślubin; ale nim godzina ta nadeszła, Bóg zabrał cię do siebie. Łata minęły, siostró moja, ale pamięć towarzyszkę mego dzieciństwa pozostała na zawsze.

Rzekłszy to, zbliżył się do Sary, i na nic nie zważając, ciągnął dalej:

— Ta, dla której pierścień ten był przeznaczony, zdawna spoczywa w grobie, a młodzian, który go jej ofiarował, wkrótce za jej świetlanym duchem podążył; weź to, pani, i oby Bóg dał ci szczęście, na jakie zasługujesz.

Dziwny chłód zmroził serce Sary przy tych słowach chirurga, ale Wellmere podał jej rękę, i ceremonia rozpoczęła się. Głębokie milczenie zaległo pokój, gdy duchowny, zwróciwszy się z uroczystą przemową do państwa młodych, wezwał ich do złożenia przysięgi. Przez nieuwagę obrączka pozostała na palcu Sary tak, jak ją włożył chirurg; okoliczność ta spowodowała krótką przerwę, poczem duchowny miał przystąpić w dalszym ciągu do ceremonji ślubu, gdy pojawienie się nowej osoby w salonie wstrzymało cały obrządek. Osobą tą był kramarz. Ironja i gorycz malowały się na jego twarzy, a podniesiony w górę palec miał w tym ruchu coś nakazującego.

— Jak może pułkownik Wellmere tracić te cenne chwile, gdy żona jego przebyła ocean, aby się z nim połączyć! Noc jest długa, a księżyc jasno świeci, za kilka godzin można już być w mieście.

Przerażony nagłością tej dziwnej odezwy pułkownik Wellmere stracił na chwilę władzę i stał jak osłupiały. Sara nie przestraszyła się pojawieniem Bircha, lecz ochłonawszy z pierwszego zdziwienia, spojrzała z pewnym niepokojem na człowieka, któremu przed chwilą przysięgła wiarę. Wyraz jego twarzy zdradzał niewątpliwe potwierdzenie tego, co powiedział był kramarz. Pokój zakreślił się wraz z Sarą, i padła bez zmysłów w objęcia ciotki. Kobiety mają w sobie pewną wrodzoną delikatność, biorącą górę nad wszystkimi innymi wrażeniami; przeniesiono też natychmiast zemdloną pannę młodą do innego pokoju, a w salonie pozostali sami mężczyźni.

Kramarz skorzystał z ogólnego zamieszania i ulotnił się szybko, a Wellmere, czując utkwione w sobie

oczy wszystkich obecnych, stał jak przygwożdżony do miejsca.

— To fałsz! — wykrzyknął wreszcie, uderzając się w czoło — nikczemny fałsz! Nigdy nie uznawałem jej za żonę, i prawa mego kraju nie zmuszą mnie do tego.

— A pańskie sumienie i prawa Boskie co na to powiedzą? — zapytał Lawton.

— Dość tego, mój panie — rzekł Wellmere wyniośle, zmierzając ku drzwiom — położenie moje jest panu tarczą, ale przyjdzie może czas...

Miał już wyjść, gdy uczuł, że ktoś lekko dotknął jego ramienia. Odwrócił głowę. Kapitan Lawton stał za nim ze znaczącym uśmiechem i dał mu znak, by mu towarzyszył. Pułkownik Wellmere znajdował się w takim stanie ducha, że byłby chętnie poszedł wszędzie, byle zejść z oczu tym, którzy patrzyli na niego z takim wstrętem i nienawiścią. W milczeniu doszli do stajen, wówczas kawalerzysta zawołał:

— Przyrowadź Roanoke'go.

Stajenny zjawił się z osiodłanym koniem. Lawton z zimną krwią zarzucił cugle na szyję rumaka, wyjął z olster parę pistoletów i rzekł:

— Oto jest broń, która służyła dobrej sprawie i w dzielnych rękach. To są pistolety mego ojca, pułkownika Wellmere; używał ich chwalebnie w wojnach z Francją i dał mi je, abym walczył niemi w obronie praw mego kraju. Jakże lepiej mogę się mu przysłużyć, jak zgładzając ze świata nikczemnika, który był gotów pohańbić jedną z najpiękniejszych jego córek.

— To ubliżające postępowanie spotka się z zasłużoną zapłatą — zawołał tamten, chwytając podaną broń. — Krew niech spadnie na głowę tego, kto jej szukał.

— Amen. Ale jeszcze jedno. Jesteś pan teraz wolny, masz w kieszeni pasporty Washingtona, daję panu pierwszeństwo strzału; jeżeli padnę, oto koń, który cię uchroni przed pościgiem; a radzę ci nie zwl-

kać z uciezką, bo nawet Archibald Sitgreaves wystąpił do walki, by mnie pomścić, ani też strażę w górach nie przepuściłyby cię tak łatwo.

— Jesteś pan gotów? — zapytał Wellmere, zgrzytając zębami.

— Poświęć nam, Tomie. Tak, a teraz — ognia!

Wellmere wystrzelił, i kula zerwała „buljon“ z epoletów kawalerzysty.

— A teraz kolej na mnie — rzekł Lawton zwołna, zniżając pistolet.

— I na mnie! — krzyknął jakiś głos, i wytrącona z ręki kapitana broń upadła na ziemię. — Do wszystkich djabłów, to ten wściekły Wirgińczyk. Bierzcie go chłopcy, nie spodziewaliśmy się takiej gratki.

Pomimo że rozbrojony i zdumiony, Lawton nie stracił przytomności umysłu. Zrozumiał, że wpadł w ręce tych, od których nie może spodziewać się miłosierdzia, i gdy czterech skinnerów rzuciło się na niego, zebrał wszystkie swe olbrzymie siły, postanawiając bronić się do upadłego. Trzech z bandy schwyciło go za kark i ręce, by go obezwładnić i skrępować powrozami. Pierwszego odrzucił z taką gwałtownością, że tamten zatoczył się na ścianę stajni i padł ogłuszony. Ale tymczasem czwarty poderwał mu nogi, i kawalerzysta, niezdolny stawić oporu, zwałił się na ziemię, pociągając za sobą wszystkich napastników. Walka była krótka, lecz straszna. Skinnerzy klęli okropnie, wrzeszcząc na towarzyszy, by im śpieszyli z pomocą, lecz ci stali zgrozą zdjęci, przypatrując się beczynnemu tym nadwyczajnym zapasom. Wreszcie dało się słyszeć rżenie któregoś z walczących, i wśląd za tem jeden dźwignął się z ziemi, strząsając z siebie dwóch pozostałych. Zarówno Wellmere jak służący Lawtona uciekli, pierwszy do stajni, a drugi by wszcząć alarm, pozostawiając wszystko w ciemności. Ten, który powstał z ziemi, wskoczył błyskawicznie na siodło, skry posypały się z pod kopyt rumaka, i w świetle ich ukazał się kapitan, pędzący jak wichur w stronę gościńca.

— Na wszystkie moce piekielne! Uciekł — wykrzyknął herszt, ochryplym z wściekłości i wyczerpania głosem. — Ognia! Ognia do niego! Bo będzie za późno.

— Spełniono rozkaz i nastąpiła chwila oczekiwania, w daremnej nadziei, że olbrzymia postać Lawtona zwali się na ziemię.

— Nie spadłby, choćbyś go i zabił — mruknął jeden z opryszków. — Ci Wirgińscy to djabły wcielone. Widziałem takich, co siedzieli na koniu, mając po parę kul w ciele, nawet kiedy już było po nich.

— Konie ich są tak wyuczone, że zawsze stają, kiedy jeździec spadnie — zauważył inny.

— A więc ocalał! — wykrzyknął herszt, uderzając z wściekłością muszkietem o ziemię. — Do roboty, żywo! Za pół godziny sierżant i reszta tamtych wpadną tu na nas. Prędko, każdy niech się swego ima. Podpalic dom ze środka; płonące ruiny są dobre do pokrycia złych czynów.

— A co zrobić z tym? — zawołał inny, potracając nogą bezwładne ciało towarzysza. — Gdyby go się trochę potarło, toby wrócił do życia.

— Niech leży — odpowiedział herszt ze złością. — Gdyby nie był mazgajem, ten przeklęty dragon znajdowałby się w mojej mocy. Dalej do domu, mówię, i podpalać pokoje. Tu się porządnie obłowimy, a i zemście stanie się zadość. Srebra i pieniędzy jest tu w bród.

Takiej pokusie żaden opryszek oprzec się nie mógł. Pozostawiwszy więc towarzysza, który zaczął dawać słabe oznaki życia, rzucili się tłumnie ku domowi. Wellmere skorzystał z tego i wymknąwszy się ze stajni na własnym koniu, popędził na gościniec. Przez chwilę zawahał się, czy jechać tam, gdzie stały straże, i po ratunek dla zagrożonej rodziny Whartonów, czy też korzystając z zamiany, jaką uskutecznił duchowny, wrócić do królewskiej armji. Poczucie wstydu i winy przechyliło szalę na tę ostatnią stronę.

zawrócił więc ku New-Yorkowi, lękając się jedynie spotkania się z rozwścieczoną kobietą, którą poślubił był podczas ostatniej bytności w Anglii, ale do której zniechęcił się prędko i opuścił.

Tymczasem w domu, wśród ogólnego zamieszania nie zauważono zniknięcia Lawtona i Wellmere'a. Pan Wharton znajdował się w takim stanie, że pomoc chirurga i pociecha duchownego były mu zarówno potrzebne. Huk wystrzałów ostrzegł rodzinę o nowem niebezpieczeństwie, i w chwilę potem herszt bandy wraz z drugim bandytą wpadli do pokoju.

— Poddajcie się, słudzy króla Jerzego! — wykrzyknął herszt, przykładając muszkiet do piersi Sitgreaves'a — bo inaczej upuszczę wam trochę waszej torysowskiej krwi.

— Zwolna, zwolna, mój przyjacielu — rzekł chirurg — bieglejszym mi się wydajesz w zadawaniu ran, niż w ich leczeniu; broń, którą tak nieostrożnie trzymasz, jest nadzwyczaj niebezpieczną dla ludzkiego życia.

— Poddaj się, lub przyjmij jej zawartość.

— Poco i dlaczego miałbym się poddawać? Nie jestem żołnierzem. Warunki kapitulacji muszą być omówione z kapitanem Johnem Lawtonem, aczkolwiek, co się tyczy poddania się, nie sądzę, aby wam z nim poszło łatwo.

Herszt tymczasem rozejrzał się po obecnych, i widząc, że nie grozi mu od nich niebezpieczeństwo oporu, rzucił na ziemię muszkiet i z pomocą swoich ludzi jął pakować, co mu kosztowniejszego w ręce wpadło, do worków. Wnętrze domu przedstawiało teraz szczerzólny widok: w jednym z pokojów, do którego nie wpadli jeszcze rabusie, wszystkie panie krzątały się koło Sary, wciąż dotąd nieprzytomnej. Pan Wharton siedział w stanie zupełnego oglupienia, słuchając bez zdawania sobie sprawy, czego słucha, słów zdawkowej pociechy, płynących z ust duchownego. Singleton leżał na sofie, drżący z wycieńczenia, a chirurg udzielał

środków uspokajających i oglądał opatrunki z najdoskonalszą zimną krwią, jak gdyby nic wogóle nie zaszło. Cezar i pomocnik doktora uciekli do lasu za domem, a Katy biegała po domu, wiążąc co cenniejsze manatki, i ze skrupulatną uczciwością odrzucając wszystko co nie było jej własnością.

Wróćmy teraz do oddziału w Czterech Kątach. Gdy weteran zebrał już swoich ludzi w bojowym ordyńku, markietankę ogarnęła chęć wzięcia udziału w chwale i niebezpieczeństwach tej wyprawy. Czy skłaniała ją do tego obawa pozostania samą, czy chęć pośpieszenia osobiście na pomoc ulubieńcowi, nie śmiemy przesądzać, ale gdy Hollister dawał już rozkaz wymarszu, rozległ się krzykliwy głos Betty:

— Poczekaj krzyń, sierzancie kochany, tylko dwóch chłopców wytoczy mi wózek, a ja pojedę z wami. Nie obejdzie się bez tego, żeby nie było rannych, to ich się do domu przywiezie.

Aczkolwiek zadowolony w duszy z każdej zwłoki w tej wyprawie, tak bardzo mu nie na rękę, Hollister zaczął sarkać dla zachowania decorum.

— Chyba kula armatnia ruszy którego z moich chłopców z siodła — rzekł — a nie widzi mi się, żeby nas czekała jaka strzelanina tam, gdzie zły bierze udział w potyczce. To też, Elżbieto, możesz jechać, jeżeli ci się podoba, ale wózek nie będzie potrzebny.

— A widzisz, że łiesz, sierzancie kochany — rzekła Betty, mająca porządnie w czubku — a czy to kapitan Singleton nie był ranny nie dalej niż przed dziesięcioma dniami, a sam kapitan Jack czy nie zleciał z konia i nie leżał na ziemi nawznak jak martwy, a chłopcy myśleli, że zabity i czmychnęli przed regularnymi, aż się kurzyło?

— Ty sama łiesz — zawołał sierżant gniewnie — i łże każdy, kto powie, żeśmy nie odnieśli zwycięstwa tego dnia!

— To też ja nie powiadam, żeście nie zwyciężyli — odrzekła praczka — ale taki zmykaliście, tylko was

major Dunwoodie zawrócił, i wtedy poliznęliście regularnych. Ale kapitan też spadł z konia, a przecie nie ma lepszego jeźdźca nad niego, więc, sierzancie, wózek się przyda. Hej, wy tam, jeden z drugim, zaprzęćcie mi kobyłę, a nie zabraknie wam whisky jutro. Włóżcie też kawałek zadu Jenny pod siedzenie, nie zawadzi pomyśleć o wszystkim, pośpiech na nic się nie zdał w tych ciężkich czasach.

Sierzant Hollister udzielił zezwolenia, i wózek Betty wnet był gotów do drogi.

— Ponieważ nie wiemy, czy będziemy zaatakowani z przodu czy z tyłu — rzekł Hollister — pięciu z was pojedzie naprzód, a reszta osłaniać będzie cofanie się nasze ku kwaterom, gdyby nas nadto przycisnęli. Ciężka to rzecz dla człowieka małego wykształcenia dowodzić w takim zdarzeniu, Elźbieto, i wolałbym, żeby który z oficerów był tutaj; ale ufam w miłosierdzie Boże.

— Et, nie pleć, sierzancie, i dalej w drogę — rzekła praczka, sadowiąc się wygodnie. — Djabeł czy nie djabeł, a niema co marudzić, bo niewielką pociechę kapitan Jack będzie miał z twojej pomocy.

— Aczkolwiek nie jestem uczony i nie wiem, jak się trzeba obchodzić z duchami lub umarłymi, pani Flanagan — rzekł weteran — nie napróżno służyłem przez całą starą wojnę i pięć lat teraz, żeby nie wiedzieć, jak osłaniać tabor. Czy Washington nie osłania zawsze taboru? Obozowy ciura nie będzie mnie uczył moich obowiązków. Zrobić, jak kazałem, i marsz.

— O! to! to! — zawołała Betty niecierpliwie. — Murzyn już tam jest na miejscu, a tu się marudzi i marudzi.

— Czy to tylko był murzyn naprawdę? — rzekł sierżant, wjeżdżając w środek plutonu, gdzie mógł rozmawiać z Betty i w razie potrzeby poprowadzić atak lub rejteradę.

— Alboż ja wiem, sierzancie kochany? Ale czemu to chłopcy nie pośpieszą trochę? Kobyła się niecier-

pliwi, i psie zimno w tej przeklętej dolinie, a my się wlecjemy jak za pogrzebem.

— Powoli, i ostrożnie, pani Flanagan. Dobry oficer nigdy się nie śpieszy. Jeżeli mamy się spotkać z duchami, to pewnością zaskoczą nas znienacka; jazda pociemku niewiele zdziałać potrafi, a ja tu mogę stracić reputację, dobra kobieto.

— Riputacie? A czy kapitan Jack nie ma także życia i riputacji do stracenia?

— Stój! — krzyknął sierżant — co się tam czai pod skałą na lewo?

— Pewno nic, albo dusza kapitana Jacka, która przychodzi nastraszyć cię, żeś prędzej z pomocą nie nadszedł.

— Betty, takie kpiny są nie na miejscu w podobnej wyprawie. Dalej, jeden z was niech mi zreknoskuje miejsce; dobyć szable, ścieścić szeregi!

— E! — zawołała Betty — albo z ciebie wielki głupiec, albo wielki tchórz! Ustąp cieno z drogi, chłopcy, a ja w mig dotrę tam z moją kobyłą. Nie mnie brać na duchy.

Tymczasem żołnierz wrócił z oznajmieniem, że nic nie stoi na przeszkodzie dalszej drodze; oddział ruszył znów stępa z wielką ostrożnością.

— Odwaga i rozważa są to dwa klejnoty żołnierza, pani Flanagan — rzekł sierżant — ale jedna bez drugiej niewiele są warte.

— Niby rozważa bez odwagi? I ja tak samo myślę, sierzancie. Ale ta bestja kobyła tak się znarowiła, że rady sobie dać z nią nie mogę.

— Cierpliwości, dobra kobieto. Cyt! Co to takiego? — zawołał Hollister, nadstawiając uszu na odgłos strzału Wellmere'a. — Przysiągłbym, że to ludzki pistolet i z naszego pułku w dodatku. — Formuj się! Naprzód! Pani Flanagan, muszę cię tu zostawić.

I z temi słowy, odzyskawszy całą przytomność umysłu, z chwilą kiedy usłyszał jakiś zrozumiały od-

głos, sierżant Hollister wyjechał na czoło oddziału z wojskową dumą, której Betty naskutek ciemności dostrzec nie mogła. Strzały muszkietów rozdarły powietrze, a weteran zawołał:

— Naprzód! Marsz!

W chwilę potem zatętniało gwałtownie na gościńcu. Hollister znów wstrzymał oddział a sam wysunął się przed front na spotkanie jeźdźca.

— Stój! Kto idzie? — krzyknął.

— Ha! Hollister, to ty! — zawołał Lawton. — Zawsze w pogotowiu i na stanowisku, ale gdzie straż?

— Tu za mną, panie kapitanie, gotowe skoczyć za panem kapitanem, bodaj w ogień — odrzekł weteran, rad że został jednocześnie zwolniony z odpowiedzialności i że się zanosi na starcie z nieprzyjacielem.

— To dobrze — rzekł kawalerzysta, poczem, zbliżywszy się do żołnierzy, przemówił do nich kilku słowami zachęty i pędem powiódł ich za sobą doliną. Licha szkapina markietanki wkrótce została w tyle, a Betty, zjehawszy z gościńca, zauważyła:

— Otóż to; zaraz można poznać, że kapitan Jack jest z nimi; lecą jak ten wiatr co świszcze; ano uwiążę ja kobyłkę u tego płotka, a sama pójde piechotą i popatrzę, co się święci. Poco mam wystawiać bydlatko na szwank?

A tymczasem ludzie Lawtona pędzili za nim bez bojaźni i bez zastanowienia. Czy mieli się spotkać z partją zbiegów, czy z oddziałem królewskiej armji, to im było obojętne, wiedzieli tylko, że prowadzący ich oficer słynie z męstwa i osobistej dzielności, a cnoty te mają zawsze nieprzeparty urok dla żołnierstwa.

Podjehawszy niedaleko furtki Akacji, Lawton zatrzymał oddział i poczynił przygotowania do ataku. Zsiadł z konia, rozkazał ośmiu ludziom, by poszli za jego przykładem, i zwracając się do Hollistera, rzekł:

— Ty zostań tu i pilnuj koni. Gdyby ktokolwiek chciał przejść tędy, zatrzymaj lub odetnij drogę i...

W tej chwili przez okna i cedrowy dach domu buchnęły płomienie i jaskrawe światło rozdarło nocne ciemności.

— Za mną! — zawołał kawalerzysta — za mną! nie dawać pardonu, póki sprawiedliwości nie stanie się zadość.

Głos kapitana brzmiał tak potężnie, że usłyszano go w głębi domu pomimo panującej tam wrzawy. Herszt skinnerów upuścił łup i przez chwilę stał jak skamieniały ze strachu, poczem skoczył do okna i otworzył je w chwili, gdy Lawton z szablą w rękę wpadł do pokoju.

— Giń, złoczyńco! — krzyknął kawalerzysta, wymierzając straszliwy cios jednemu z opryszków, ale herszt wyskoczył przez okno i uniknął zemsty. Okrzyki kobiet przywróciły Lawtonowi jego zwykłą przytomność umysłu, i prośby duchownego skłoniły go do zajęcia się bezpieczeństwem rodziny. Jeden jeszcze z bandy padł trupem, reszta ratowała się ucieczką. Całkowicie oddane trzeźwieniu Sary, ani domowe panie, ani Izabela Singleton nie zauważyły wejścia skinnerów, pomimo że płomienie ogarnęły już cały budynek. Krzyki Katy i Cezara w połączeniu z panującą w sąsiednim pokoju wrzawą ostrzegły wreszcie pannę Peyton i Izabelę o grożącym im niebezpieczeństwie.

— Miłosierne nieba! — zawołała wystraszona ciotka — co to za hałas w domu! Przyjdzie jeszcze do rozlewu krwi z powodu tej nieszczęsnej historii.

— Któżby się bił? — odrzekła Izabela z twarzą bladą jak płótno. — Doktor Sitgreaves jest bardzo spokojnego usposobienia, a kapitan Lawton nie posunie się chyba tak daleko.

— Południowcy są bardzo zapalczywi i gwałtowni — mówiła dalej panna Peyton — i brat pani pomimo osłabienia, tak zdawał się być rozdrażnionym.

— Ach! Boże! — zawołała Izabela, ledwo trzymając się na nogach — on z natury łagodny jest jak baranek, ale gdy go coś podnieci, lew mu nie dorówna.

— Musimy wdać się w tę sprawę, nasza obecność uśmierzy hałas, a może uratuje życie ludzkie.

I panna Peyton, ożywiona poczuciem obowiązku godnego jej płci i charakteru, skierowała się ku drzwiom z godnością obrażonej kobiecości. Za nią szła Izabela. Pokój, do którego przeniesiono Sarę, znajdował się w skrzydle budynku, a długi ciemny korytarz łączył go z frontowym przedsionkiem. Widno tu teraz było i w głębi poruszały się jakieś ludzkie postacie tak szybko, że nie można było rozróżnić, czym są zajęte.

— Pójdźmy — rzekła panna Peyton ze stanowczością, której kłam zadawała jej twarz pobladła — muszą przecież uszanować płęć naszą.

— I uszanują — zawołała Izabela, wysuwając się naprzód.

Fanny została sama z siostrą. Kilka chwil minęło w milczeniu, gdy w pokojach na górze rozległ się trzask, a przez otwarte drzwi zajaśniało światło tak żywe, że w pokoju uczyniło się widno jak w dzień. Sara uniosła się na łóżku, potoczyła błędnym wzrokiem dokoła i przyciskając obie dłonie do czoła, usiłowała zebrać myśli.

— Więc to jest — niebo — a ty... ty jesteś jednym z jego świetlanych duchów! O! jak wspaniała jest jego jasność... Tak... wiedziałam, że szczęście moje było zbyt wielkiem dla mnie. Ale spotkamy się jeszcze — tak — tak — spotkamy się jeszcze.

— Saro! Saro! — wykrzyknęła przerażona Fanny — siostrzo najdroższa — jedyna. Och! nie uśmiechaj się tak strasznie. Spójrz na mnie; poznaj, że to ja, bo mi serce pęknie.

— Cyt! — rzekła Sara, podnosząc rękę ostrzegawczym ruchem — nie mać mu spokoju. On przecież pójdzie za mną do grobu! Jak myślisz, czy mogą być w grobie dwie żony? Nie — nie — nie — jedna — jedna — jedna — tylko jedna!

Fanny pochylała głowę na łono siostry i rozplakała się boleśnie.

— Ronisz łzy, słodki aniele — ciągnęła dalej Sara kojąco — zatem i niebo nie jest wolne od cierpień. Ale gdzie jest Henryk? Stracono go, więc musi być tu także, może przyjdą razem. O! jakież to radosne będzie spotkanie!

Fanny zerwała się i zaczęła chodzić po pokoju. Oczy Sary śledziły za nią z dziecięcym zachwytem.

— Wyglądasz jak moja siostra. Ale wszystkie dobre i piękne duchy są do siebie podobne. Powiedz mi, czy byłaś kiedy zamężna? Czy dopuściłaś, aby obcy człowiek zabrał ci przywiązanie do ojca, brata, siostry? Jeżeli nie, żałuję cię, biedaczko, pomimo że jesteś w niebie.

— Saro, cicho, przestań, zaklinam cię, przestań, — wykrzyknęła Fanny, podbiegając do łóżka — bo padnę trupem u twych stóp.

Ponowny, straszliwy trzask wstrząsnął budynkiem. Dach zapadł się i płomienie buchnęły ze wszystkich stron, oświetlając całą przestrzeń przed domem. Fanny skoczyła do okna i ujrzała gromadę ludzi na dziedzińcu. Pomiędzy temi szybko poruszającemi się postaciami rozróżniła ciotkę i Izabelę, rozpaczliwie wyciągające ręce ku płonącemu budynkowi i widocznie błagające dragonów o ratunek. Po raz pierwszy Fanny zrozumiała grożące jej i siostrze niebezpieczeństwo. Z przeraźliwym krzykiem, nie zdając sobie sprawy co czyni, wybiegła na korytarz.

Gęste kłęby dymu zatamowały jej drogę. Przystanąła, aby odetchnąć, a w tejże chwili ktoś chwycił ją i nawpół zemdloną wyniósł poprzez padające dokoła głównie na świeże powietrze. To ocuciło ją momentalnie. Otworzyła oczy i poznała, że życie zawdzięcza Lawtonowi. Rzucając się przed nim na kolana, krzyknęła:

— Sara! Sara! Sara! Ocal pan moją siostrę i niech ci to Bóg nagrodzi.

Poczem padła na murawę bez przytomności. Kawalerzysta, przywoławszy Katy, w milczeniu wskazał na zemdloną postać i raz jeszcze rzucił się ku płonącemu budynkowi. Ogień objął już drewniane filary tarasu i futryny okien, a dym kłębił się dokoła. Było to jednakże jedyne możliwe wejście do środka, i nawet odważny do szaleństwa Lawton zawahał się chwilę. Ale tylko chwilę. Jednym skokiem wpadł w gorącą otchłań dymów, nie mógł znaleźć wejścia, szukał go parę minut i wydobył się znów na otwartą przestrzeń. Zacerpnąwszy świeżego powietrza w piersi poskoczył znowu i znowu napróżno. Za trzecim razem natknął się na człowieka zgiętego pod ciężarem ludzkiego ciała. Nie było to miejsce ani czas na pytania, porwał więc obu w swe potężne ramiona i wyniósł z pożaru. Ale jakież było zdumienie jego, gdy spostrzegł, że ocalił chirurga i trupa jednego z opryszków.

— Archibaldzie — wykrzyknął — czemu na miłość Boską chciałeś ocalić tego łotra? Czyny jego wołają o pomstę do nieba.

Chirurg, który cudem prawie uniknął śmierci, był tak oszołomiony, że zrazu nie mógł się zdobyć na odpowiedź. Otarł tylko pot z czoła i oczyściwszy płuca potężnym chrząknięciem, rzekł żałośnie:

— Już po nim! Gdybym był zdążył zatamować krew, płynącą z gardła, możnaby go było uratować; ale gorąco spowodowało krwotok i śmierć. Ano, cóż począć! Są tam jeszcze ranni?

Na pytanie to nie było komu odpowiedzieć, zemdloną Fanny przeniesiono bowiem w drugi koniec dziedzińca, gdzie znajdowała się reszta jej rodziny, a Lawton raz jeszcze zniknął w kłębach dymu.

Przez ten czas jednak płomień rozproszyły dławiające opary, i kawalerzysta dostrzegł wreszcie drzwi wchodowe, a w nich postać męską, niosącą bezwładną Sarę. Lawton skoczył mu na pomoc i zaledwie wydostali się na dziedziniec, cały budynek stanął w płomieniach.

— Bogu niech będą dzięki! — zawołał wybawca Sary. — Strasznie byłoby umierać taką śmiercią!

Lawton, który zapatrzył się na rozlane szeroko morze płomieni, spojrział teraz na mówiącego i ku najwyższemu zdumieniu, zamiast jednego ze swoich ludzi zobaczył kramarza.

— Ha! szpieg! — wykrzyknął. — Na Boga! zachodzisz mi drogę jak upiór.

— Kapitanie Lawtonie — rzekł Birch, opierając się o parkan, pod który schronili się tymczasem — jestem znów w pańskiej mocy, bo nie mogę ani uciekać, ani się bronić.

— Sprawa Ameryki drogą mi jest jak życie — rzekł kawalerzysta — ale i Ameryka nie może żądać od swych dzieci, by zapominały o wdzięczności i honorze. Uciekaj, nieszczęsny człowiecze, póki cię nie zobaczą, bo nie będzie w mojej mocy ocalić cię wtedy.

— Oby ci to Bóg nagroził i dał ci zwycięstwo nad nieprzyjaciółmi — rzekł Birch, ściskając dłoń dragona z żelazną siłą, której powierzchowność jego nie znamionowała.

— Stój! — zawołał Lawton — jedno słowo! — Jesteś tem, czem się być wydajesz? Czy podobna, żebyś był..

— Królewskim szpiegiem — przerwał Birch, odwracając twarz i usiłując wyrwać rękę.

— Idź więc, nieszczęsny — rzekł kawalerzysta, odtrącając go — chciwość czy obłęd zawiodyły szlachetne serce na manowce.

Blask płomieni zataczał wielki krąg dokoła zgłiszczy, ale zaledwie Lawton wypowiedział te słowa, chuda postać kramarza przemknęła jak cień po oświetlonej przestrzeni i znikła w ciemnościach.

Lawton patrzył chwilę w to miejsce, gdzie widział tego niepojętego człowieka, poczem, schyliwszy się nad bezprzytomną wciąż Sarą, wziął ją na ręce i zaniosł jak uśpione dziecko, by oddać zrozpaczonej rodzinie.

ROZDZIAŁ XXIII.

„A teraz wdzięki jej wiedną szybko; wesołość opuściła ją. Niestety! taka piękność długo trwać nie może. Najwonnejszy kwiat najprędzej przechodzi. Jakże smutno płyną lata! Jak zmieniło się wszystko, co ją otaczało! Gdzież są jej tkliwi wielbiciele? Niestety! nie znajdziez się nikt, na kim dusza jej oprzećby się mogła?”

Grób Cyntji.

Z pięknego wiejskiego pałacyku pana Whartona pozostały tylko poczerniałe od dymu mury, a ogołoczone z tarasów i ozdób sterczały ponuro niby jedyne wspomnienie bezpieczeństwa, dostatku i zadowolenia, jakie do tak niedawna panowały w ich wnętrzu. Dach z resztą drewnianych wiązań zapadł się w piwnice, a blade migotliwe światło, podnoszące się ze zgliszczy, połyskiwało przez okna. Wczesna ucieczka opryszków pozwoliła dragonom ocalić sporo sprzętów, które leżały stosami na dziedzińcu, potęgując wrażenie ogólnego zniszczenia. Gdy silniejszy snop światła buchnął w górę, widać było w głębi spokojne postacie sierżanta Hollistera i jego towarzyszy, wyprostowanych po wojskowemu na siodłach, a tuż przy nich wózek i szkapinę pani Flanagan, szczypiącą przydrożną trawę. Betty zaś przysunęła się do sierżanta i z niezmaconym spokojem przyglądała się wszystkiemu. Kilkakrotnie napomknęła towarzyszowi, że skoro już bitwa się skończyła, to nadszedł czas na rabunek, ale sierżant pozostał niewzruszony, powołując się na otrzy-

mane rozkazy, aż wreszcie zniecierpliwiona praczka, spostrzegłszy kapitana wychodzącego z za węgła domu z Sarą na rękach, wmieszała się pomiędzy żołnierzy.

Kapitan złożywszy Sarę na sofie, którą dwóch jego ludzi wyniosło z budynku, oddał ją w opiekę pannie Peyton i Fanny, a sam odszedł. Obie kobiety, uszczęśliwione widokiem ocalonej, zapomniały o wszystkim i rzuciły się ku niej, obsypując pocałunkami i najtkliwszemi słowy.

— Saro! dziecko moje najdroższe! — mówiła ciotka, tuląc ją w objęciach — ty żyjesz! O! niech Bóg zesła wszystkie swe błogosławieństwa na tego, który cię uratował.

— Patrz — rzekła Sara, zlekka usuwając ją i wskazując na płonące zgliszcza — iluminowano okna na moje przyjęcie. U nich tak zawsze przyjmują pannę młodą, sam mi powiedział; posłuchaj, a usłyszysz dzwony.

— Tu niema panny młodej, niema wesela, jest tylko niedola! — zawołała Fanny z równym prawie jak u siostry obłędem. — O! oby nieba powróciły cię nam! biedna! ukochano Saro!

— Cicho, niemądre stworzenie! — rzekła Sara z uśmiechem politowania. — Wszyscy nie mogą być jednocześnie szczęśliwi; może nie masz brata ani męża, któryby cię pocieszył, ale jesteś piękną, więc go znajdziesz, tylko — tu głos zniżyła do szeptu — bacz, aby nie miał innej żony; straszna rzecz pomyśleć, coby się stało, gdyby się dwa razy ożenił.

— Ten cios pomieszał jej zmysły — zawołała panna Peyton. — Moja dziecina, moja ukochana Sara zwarjowała.

— Nie! Nie! — zawołała Fanny — to gorączka; ona majączy. Ale to przejdzie, to przejść musi.

Ciotka uchwyciła się tej myśli i wyprawiła Katy po doktora Sitgreaves'a. Chirurg znajdował się pomiędzy żołnierzami, oglądając różne sińce i zadrapania, z których oni niewiele sobie robili, i przyznawali się

do nich głównie, aby mu zrobić przyjemność. Usłyszawszy, że pomoc jego jest potrzebną, chirurg niezwłocznie pośpieszył zadosyćczynić wezwaniu panny Peyton.

— Melancholijny to koniec tak wesoło zaczętego wieczora, łaskawa pani — rzekł pocieszająco — ale wojna pociąga za sobą nieodzowne klęski, aczkolwiek z drugiej strony często popiera sprawę wolności i rozwija chirurgiczną wiedzę.

Panna Peyton nic nie odrzekła, tylko z rozpaczą wskazała na siostrzenicę.

— Ma gorączkę — wyjaśniła Fanny — patrz pan, jak jej oczy błyszczą i jaką ma twarz rozpaloną.

Chirurg stał przez chwilę, uważnie badając zewnętrzne symptomy pacjentki, poczem w milczeniu ujął jej rękę. Rzadko kiedy twarde i roztargnione oblicze Sitgreaves'a zdradzało jakieś silniejsze wrażenia; wszystkie jego uczucia były niejako podporządkowane jednej przewodniej myśli, pomimo że w gruncie miał znaczne i miękkie serce. W danym wypadku jednak utkwione w nim oczy ciotki i siostrzenicy prędko odgadły, co się w jego duszy działo. Potrzymawszy chwilę palce na pulsie Sary, doktor puścił piękną, obnażoną do łokcia i połyskującą klejnotami rękę, i szybko dłoń po oczach przesunawszy, odstąpił ze smutkiem.

— Droga pani — rzekł — tu niema gorączki, tu tylko czas i tkliwa opieka mogą z pomocą Bożą przynieść wyzdrowienie.

— A gdzież jest nędznik, który to sprawił? — zawołał Singleton, usiłując podnieść się z krzesła, na którym go posadzono. — I pocóż zwyciężać nieprzyjaciół, jeżeli zwyciężeni mogą jeszcze takie rany zadawać!

— A cóż ty myślisz, niemądry chłopcze — rzekł Lawton z gorzkim uśmiechem — że w kolonjach ludzie mają serce? Czemże jest Ameryka, jak tylko satelitą Anglii; jej obowiązkiem iść w ślad za nią, tańczyć jak ona zagra i błyszczeć, by Wielka Brytania tem

większej od niej nabrała świetności. Zapomniałeś chyba, że dość zaszczytu dla kolonisty, jeżeli go spotka nieszczęście z ręki dziecka Anglii.

— Nie zapominam, że mam szablę — odpowiedział Singleton, osuwając się na krzesło wyczerpany. — Ale czy podobna, aby nie znalazło się ramię gotowe pomścić krzywdę tej pięknej dziewicy, zniewagę tego osiwiałego ojca?

— I ramię i serceby się znalazło — rzekł Lawton — ale los często sprzyja niegodziwcom. Przebóg! oddałbym mego Roanoke'go, by się spotkać w czystym polu z tym nikczemnikiem.

— No, kapitanie kochany, nie oddawaj konia za żadne pieniądze — wtrąciła się do rozmowy Betty — drugiego takiego nie znajdziesz; pewny w nogach i skacze jak wiewiórka.

— Kobieto! pięćdziesiąt koni i to najlepszych, jakie się pasły kiedykolwiek na brzegach Potomaku, byłby nędzną zapłatą za zgładzenie tego łotra.

— Jacku — rzekł chirurg — nocne powietrze zaszkodzić może Jerzemu i tym paniom; musimy więc koniecznie pomyśleć o jakimś schronieniu dla nich, gdzieby mogli znaleźć pomoc lekarską i posiłek.

Nie można było nic zarzucić tej rozsądnej propozycji, i Lawton wydał odpowiednie rozkazy celem przewiezienia tego towarzystwa do Czterech Kątów.

W czasach, kiedy to piszemy, Ameryka prawie że nie posiadała fabryk powozów, i wszystkie wykwintniejsze ekwipaże były wyrobem londyńskich mechaników. Gdy pan Wharton opuszczał New-York, był jednym z niewielu właścicieli powozu, a panna Peyton i jego córki pojechały do Akacji w ciężkiej karecie, która niegdyś tak wspaniale toczyła się po ulicy Królowej.

Ekwipaż ten stał nieporuszony tam, gdzie go umieszczono po przyjeździe, i tylko sędziwy wiek cugantów ochronił tych faworytów Cezara od sekwestracji wojsk walczących w okolicy. Z ciężkiem też ser-

cem zabrał się teraz murzyn przy pomocy dwóch dragonów do przygotowania go na przyjęcie pań. Był to już dobrze podniszczony wehikuł, a splewiałe obicie i wytarte skórzane fartuchy świadczyły jedynie o minionej świetności. „Le lion couchant” herbu Whartonów spoczywał na dawniejszych oznakach rodowych jakiegoś księcia Kościoła, a mitra, zaczynająca przeświecać już poprzez amerykańską maskę, była symbolem stanowiska pierwotnego właściciela. Faetonik, którym przyjechała panna Singleton, ocalał również, bo stajnie i inne zabudowania pozostały nietknięte. Oczywiście rabusie mieli zamiar obłowić się całym, znajdującym się w nich dobytkiem gospodarskim, lecz nagłość ataku Lawtona pokrzyżowała im nietylko te plany, ale i wiele innych. Pozostawiono na miejscu strażę pod dowództwem Hollistera, który przekonał się, że ma do czynienia z wrogiem ziemskim, wziął się do rzeczy z całą zimną krwią i umiejętnością, aby się zabezpieczyć przeciw możliwej napaści. Ustawił więc swój oddziałek w takiej odległości od zgliszczy, że skrył go zupełnie w ciemnościach a jednocześnie sam mógł mieć oko na każdego, kto by się chciał zbliżyć do ruin w celu rabunku.

Zadowolony z tych roztropnych zarządzeń kapitan Lawton zajął się przygotowaniami do odjazdu. Pannę Peyton, jej dwie siostrzenice i Izabelę usadowiono w powozie, zaś wózek pani Flanagan, obficie wymoszczony pościelą, dostąpił zaszczytu zabrania kapitana Singletona. Doktor Sitgreaves wsiał do faetonu wraz z panem Whartonem. Co się stało z resztą domowników podczas tej pamiętnej nocy, niewiadomo, narazie bowiem znalazł się jeden tylko Cezar.

W ten sposób umieściwszy wszystkich, Lawton dał znak do odjazdu. Sam pozostał jeszcze czas jakiś na dziedzińcu, zbierając co dostrzegł ze sreber i innych kosztowności, które mogłyby skusić pożądlivość jego własnych ludzi, poczem wskoczył na siodło, by dogonić orszak i dać mu arjergardę z własnej osoby.

— Stój! Stój! — krzyknął głos kobiety — to ja mam zostać tu sama, żeby mnie zamordowali? Łyżka musiała się stopić, bo jej nigdzie znaleźć nie mogę, ale ja tego nie daruję; muszę dostać odszkodowanie, jeżeli jest sprawiedliwość w tym kraju.

Lawton spojrział w stronę, skąd głos pochodził, i zobaczył postać kobietę, wychodzącą z pomiędzy zgłiszczy z pakunkiem, który kształtem i rozmiarami przypominał toboł kramarza.

— Kogóż tu mamy, powstającego jak feniks z popiołów? — rzekł kawalerzysta. — O! na duszę Hipokratesa, wszak to doktor w spódnicy we własnej osobie, sławny historją o igle. — No, dobra kobieto, co znaczą te wrzaski?

— Wrzaski?! — powtórzyła Katy zadyszana. — Czy to nie dość stracić srebrną łyżkę? jeszcze mam zostać sama w tem przekłętym miejscu, żeby mnie ograbili a może i zamordowali! Harvey takby ze mną nie postąpił; gdy mieszkałam z Harveyem, obchodzono się zawsze ze mną przyzwoicie, nie mogę powiedzieć, Harvey był zawsze kryjak i marnotrawca, ale to rzecz inna.

— Zatem, pani należałaś do domowników pana Harveya Bircha?

— Nie miałam do czego należeć, bo nikogo prócz mnie i ich dwóch nie było — odrzekła Katy. — Może pan znałeś starego Bircha?

— Nie miałem tego szczęścia. A jak długo mieszkałaś pani u nich?

— Dobrze nie pamiętam, ale musi być coś około lat dziewięciu, i co mi się z tego zawiązało?

— Zapewne niewiele — o ile mogę wywnioskować. Ale powiedz mi, pani, czy nie zauważyłaś czego niezwykłego w postępowaniu Bircha.

— Co to niezwykłego — odrzekła Katy, zniżając głos i rozglądając się wkoło. — To był poprostu niesamowity człowiek; dbał tyle o gwineję, co ja o ziarn-

ko zboża. Pomóż mi pan wy dostać się stąd, a opowiem panu cuda o Harveyu i jego sprawkach.

— Czy tak? — wykrzyknął kawalerzysta. — W takim razie pójdź w moje objęcia.

I rzekłszy to, zakręcił gospodynią tak nagle, że ta chwilowo straciła przytomność, a gdy ją odzyskała, siedziała już bezpiecznie, jeżeli nie zbyt wygodnie na siodle ztyłu za Lawtonem.

— No, kochana pani, masz teraz pociechę, że siedzisz na takim koniu, że sam Washington lepszego nie ma. Podjezdek pewny w nogach, a skacze jak pantera.

— Puść mnie pan! — zawołała Katy, usiłując wydrzeć się z żelaznego ujęcia kawalerzysty. — Kto słyszał, żeby kobieta siedziała w ten sposób na koniu! Ja nie umiem jeździć inaczej tylko na damskim siodle.

— Zwolna, kochana pani, zwolna — rzekł Lawton — bo chociaż Roanoke nie pada nigdy na przednie nogi, ale zato potrafi zadrzeć tylne. Nie jest przyzwyczajony, żeby mu tak walono piętami po bokach, jak dobosz w bęben na paradę; jedno dotknięcie ostroga wystarczy mu na tydzień, ostrzegam cię więc, nadobna niewiasto, że nieroztropnie czynisz, wierzgając stopkami w ten sposób, bo jemu to się może nie podobać.

— Puść mnie pan! — wrzeszczała Katy. — Spadnę i zabiję się. Czemże się będę trzymała, kiedy mam ręce pełne tobołków.

— To prawda — odrzekł kawalerzysta, teraz dopiero spostrzegłszy, że porwał ją z ziemi wraz ze wszystkimi manatkami. — Widzę, że należysz do taboru. Ale mój pas od szabli obejmie zarówno twoją wiotką kibić jak moją własną.

Katy, udobruchana komplementem, nie stawiała oporu, i Lawton przytwierdził ją rzemieniem do swych herkulesowych kształtów; poczem spał rumaka ostroga, i popędził gościncem jak wicher. Wprędce też dogнали wózek Betty, ostrożnie i zwolna ze względu na rany kapitana Singletona toczący się po kamienistej drodze. Po silnem podnieceniu, wywołanem wypad-

kami ubiegłego wieczora, młodzieniec zapadł w stan odurzenia i leżał starannie otulony kołdrami, niezdolny do rozmowy, lecz głęboko rozmyślający o przeszłości. Lawton i jego towarzyszka nie zamienili ze sobą ani dwóch słów podczas szalonej jazdy, teraz jednak gdy zwolnili biegu, kawalerzysta nawiązał gawędę:

— Tedy mieszkałaś pani pod jednym dachem z Harveyem Birchem?

— Więcej niż przez dziewięć lat — odrzekła Katy, łapiąc z trudnością oddech, lecz uradowana, że jada stępa.

Basowy głos Lawtona obił się o uszy praczki, która siedziała na przedzie wózka, powodując kobyłą. Odwróciła więc głowę i wmieszała się do rozmowy:

— W takim razie, moja pani, musicie wiedzieć, czy jest spokrewniony z Belzebubem, czy nie — rzekła żywo. — Sierżant Hollister powiada, że jest, a sierżant to niegłupi człowiek.

— Co to za niegodziwe oszczerstwo! — zawołała Katy z zapalem. — Niema uczciwszej duszy na świecie, a gdy chodziło o jaką spódnicę lub fartuch dla mnie, to i szeląga nigdy nie wziął. Belzebub! akurat! A pocóżby czytywał Biblię, gdyby miał do czynienia ze złym?

— W każdym razie uczciwy z niego djabeł, mówiłam to już; gwineja była prawdziwa! Ale sierżant powiada, że on jest czegoś nierychtyg, a na uczciwości panu Hollisterowi nie zbywa.

— Głupi jest — odpowiedziała Katy szorstko. — Harvey mógłby być zamożnym człowiekiem, gdyby nie jego marnotrawstwo i nieogłędność. Ile to razy mówiłam mu, że gdyby się tylko zajmował kramarstwem i to co zarobi obracał na jakiś użytek, a zwłaszcza żeby się ożenił i miał kogoś w domu, coby mu dobytku pilnował, i żeby przestał zadawać się z regularnymi, to wkrótce byłby z niego pan całą gębą. Sierżant Hollister nie byłby wart wody za nim nosić! Ot, col

— Eeee! — rzekła Betty, z właściwą jej filozofją — zapominasz, moja pani, że pan Hollister jest oficerem i w wojsku idzie tuż za kornetem. Ale co prawda, to prawda, i gdyby ten kramarz nie był nas ostrzegł w porę, to kapitan Jack nie byłby sobie może poradził bez posiłków.

— Co mówisz, Betty? — zawołał kawalerzystą, pochylając się na siodle — to Birch dał znać o grożącym niebezpieczeństwie?

— Jakbyś słyszał, kochasiu; a ja jeszcze piliłam chłopców, żeby nie marudzili, chociaż wiedziałam, że kapitan Jack sam sobie da radę z cow-boyami. Tem bardziej skoro djabeł był po waszej stronie. Tylko myślę, że jak na sprawę z pomocą Belzebuba, to żadnego łupu nie było.

— Wdzięczny ci jestem za pomoc, chociaż teraz wiem, co cię do tego skłoniło.

— Niby łup? Ej! nie. Wcale o tem nie myślałam. Dopiero jak zobaczyłam to wszystko leżące na ziemi, połamane, popalone, a pomiędzy tem niektóre rzeczy jak nowe, co by się akurat przydały, nie przymierzając piernaty puchowe!

— Na Boga! w porę nadeszła ta pomoc. Gdyby Roanoke nie był szybszy niż ich kule, byłbym padł. Koń wart tyle złota co zaważy.

— Ano, ładowa szkapa, kochasiu. Ale co się tyczy złota, to go tam wiele w Stanach nie uświadczy. Gdyby murzyn nie był nastraszył sierżanta swoją gadaniną o duchach, to byłibyśmy zdążyli na czas, żeby wszystkich pozabijać, a resztę wziąć do niewoli.

— I tak jest dobrze, jak jest, Betty — rzekł Lawton — przyjdzie dzień, kiedy tym łotrom dostanie się zasłużona nagroda, jeżeli nie w karze doraźnej, to w opinji rodaków. Musi nadejść czas, kiedy Ameryka nauczy się rozróżniać rabusia od patrioty.

— Mów pan ciszej — rzekła Katy. — Są tacy, co dużo o sobie trzymają, a zaś ze skinnerami wchodzą w korszachty.

— W takim razie więcej o sobie trzymają, niż inni o nich — zawołała Betty. — Złodziej jest zawsze złodziejem, czy okrada króla Jerzego, czy Kongres.

— Wiedziałam, że coś złego się stanie — rzekła Katy — słońce zaszło dziś za czarną chmurę, a pies domowy wył, chociaż mu dałam jeść własnymi rękoma, a przytem niema jeszcze tygodnia, jak mi się śniło tysiąc jarzących świec i spalone w piecu ciastka.

— Mnie się tam rzadko kiedy co śni — zawołała Betty. — Cała rzecz w tem, żeby mieć czyste sumienie i pełny żołądek, a wtedy śpi się jak nowonarodzone dziecko. Ostatni raz śniło mi się coś, kiedy mi chłopcy bodjaków pod kołdrę nakładli. Myślałam precz, że to mnie człowiek kapitana Jacka ściąga z łóżka, a to mnie tak kłuł ten oset.

— Także coś — rzekła Katy, prostując się z taką dumą, że aż pociągnęła Lawtona wtył na siodle — mnieby tam żaden mężczyzna nie ośmielił się niepokoić w łóżku; to jest nieprzyzwoite i lekceważące.

— Eee — rzekła Betty — gdy się żyje w obozie, to się tam na żarty nie zważa; a cóżby się stało ze Stanami i Wolnością, gdyby nie było kogo, coby chłopcom uprać koszule i pomyślał, żeby się mieli czem pokrzepić. Zapytaj kapitana Jacka, pani Belzebubowo, czyby chcieli się bić, gdyby nie mieli czystej koszuli na grzbiecie.

— Jestem niezamężną i nazywam się Haynes — i proszę w rozmowie ze mną nie używać nieprzyzwoitych wyrażań.

— Trzeba wybaczyć pani Flanagan pewną swobodę języka — rzekł kawalerzysta. — Nabrała jej, obcując z żołnierzami.

— Et! kapitanie — zawołała Betty — co jej tam będziesz tłumaczył. Oto właśnie dojeżdżamy do miejsca, gdzie sierżant Hollister zatrzymał oddział, bo mu się zdawało, że nam djabli zachodzą drogę. To ciemności dopiero! Chmury są takie czarne jak serce Arnolda i ani jednej gwiazdeczki na niebie nie uświadczy.

Ale to nic, kobyła zwyczajna nocnych marszów, węszy drogę jak wyżeł.

— Niedługo księżyc wszędzie — rzekł Lawton. Przywołał jednego przodem dragona, wydał mu rozkazy dotyczące się wygody i bezpieczeństwa kapitana Singletona, powiedział parę pocieszających słów przyjacielowi i spiąwszy konia ostrogą, przeleciał koło wózka z szybkością, która znów przepędziła na cztery wiatry wszelką filozofję Katarzyny Haynes.

— Szczęśliwej drogi! — krzyknęła za nim praczka. — Jeżeli pan spotka pana Belzebuba, to zawróć konia i pokaż mu jego małżonkę, co ci siedzi ztyłu, a myślę, że da nura, aż się będzie za nim kurzyło. Ano, uratowaliśmy mu życie; sam to powiedział, tylko że niewiele się nam z tego zawiązało.

Kapitan Lawton był tak przyzwyczajony do wykrzykników Betty Flanagan, że nie zważając na nie, gnał dalej. Pomimo że Roanoke niósł niezwykły ciężar, nic to nie wpłynęło na jego lotność i przebył przetrzeń, dzieląc wózek od karety, w sposób, który aczkolwiek odpowiadał zamiarom kawalerzysty, nie umilił podróży jego towarzysze. Spotkanie z paniami nastąpiło już w pobliżu kwatery Lawtona, a w tejsze chwili księżyc wyłonił się z poza ciężkich chmur i oblał światłem otaczającą przedmioty.

W porównaniu z wykwintną elegancją Akacji „Hotel Flanagan” przedstawiał się opłakanie. Zamiast dywanów na posadzkach i firanek u okien widać było tylko nagie, spróchniałe deski niedbale skleconego budynku, a więcej niż połowę brakujących szyb z zielonego szkła zastępował z powodzeniem papier. Zrobiono tu jednak wszystko, co się dało zrobić w podobnych warunkach, dzięki troskliwości Lawtona; suty ogień płonął we wszystkich izbach. Dragoni, którzy go rozpalili, przywieźli także trochę najniezbędniejszych sprzętów, i panna Peyton oraz jej towarzyszki znalazły jako tako urządzone na ich przyjęcie mieszkanie. Sara wciąż majaczyła, z właściwą obłąkanym

uporczywością przystosowując każdą okoliczność do tej jednej myśli, która pochłoneła wszystkie jej władze.

— Trudno się dziwić, że podobny cios tak ją złamał — rzekł Lawton do Izabeli Singleton. — Tylko czas i miłosierdzie Boże mogą ją uleczyć; ale trzeba pomyśleć, żeby tu wszystkim jako tako wygodnie być mogło. Jesteś córką żołnierza, i życie zahartowało cię na podobne widoki, pomóż mi więc opatrzyć te okna.

Panna Singleton chętnie zadośćuczyniła temu wezwaniu, i podczas gdy Lawton podpierał z zewnątrz odstające futryny, Izabela urządziła wewnątrz coś w rodzaju firanek.

— Słyszę już wózek — rzekł kawalerzysta w odpowiedzi na jakieś jej pytanie. — Betty to w gruncie złote serce, wierzaj mi, Jerzy znajdzie tu nie tylko bezpieczeństwo, ale i wygodę.

— Niech jej Bóg wynagrodzi troskliwość i wam wszystkim — rzekła Izabela ze wzruszeniem. — Doktor Sitgreaves poszedł już na jego spotkanie — ale co to tam błyszczy w świetle księżycy?

Naprost okna, przy którym stali, mieściły się gospodarskie zabudowania, i bystre oko Lawtona w jednej chwili rozpoznało przedmiot, o jakim mówiła Izabela.

— To błyszczy broń palna — rzekł kawalerzysta i skoczył od okna ku rumakowi, który nierozsiodłany jeszcze stał przed domem. Ale nim zdążył postąpić jeden krok, huknął strzał, i kula świsnęła mu koło uszu. Głośny krzyk rozległ się w głębi budynku, ale kapitan siedział już na siodle; wszystko to było dziełem jednej chwili.

— Na koń! Na koń! Za mną! — wołał kawalerzysta i zanim zdumieni jego ludzie zdołali zrozumieć powód alarmu, Roanoke jednym susem przesadził płot, leżący pomiędzy kapitanem a jego przeciwnikiem. Był to pościg na śmierć i życie, ale skały stanęły znów na przeszkodzie i zawiedziony Lawton ujrzał swą domnie-

maną ofiarę znikającą wśród rozpadlin, gdzie on sam zapuścić się nie mógł.

— Na życie Washingtona — mruknął Lawton, chwytając do pochwy szablę — byłbym go przeciął na dwoje, gdyby łotr nie był tak chybki w nogach; ale czas jeszcze przyjdzie.

I rzekłszy to, powrócił do kwatery z obojętnością człowieka, który wie, że życie jego należy do ojczyzny i że każdej chwili może mu przyjść złożyć je w ofierze. Już zdaleka usłyszał jakąś nadzwyczajną wrzawę w domu; ruszył więc z kopyta, a gdy stanął przed drzwiami, wystraszona Katy powiedziała mu, że kula, przeznaczona dla niego, ugodziła pannę Singleton...

ROZDZIAŁ XXIV.

„Umilkły na zawsze usta jego Gertrudy! lecz wciąż ich piękny, słodki wyraz mówił o miłości, która umrzeć nie mogła; i wciąż obie jej dłonie przyciskały rękę jego do serca, które już nie czuło.“

Gertruda z Wyoming.

Dragoni przygotowali naprędce dwie izby na przyjęcie pań, łączące się ze sobą, a jedną z nich przeznaczono na sypialnię. Przeniesiono więc do niej natychmiast Izabelę i złożono na łóżku obok nieprzytomnej Sary. Gdy Fanny i panna Peyton nadbiegły z pomocą, zastały ją z uśmiechem na pobladłych ustach i twarzą tak spokojną, iż w pierwszej chwili sądziły, że jej się nic nie stało.

— Chwała Bogu! — wykrzyknęła drżąca ciotka. — Tak się przelękałam, usłyszawszy strzał i twój upadek. Przynajmniej tego nieszczęścia los nam oszczędził.

Izabela przycisnęła rękę do łona, uśmiechając się wciąż, ale w sposób, który ściał krew w żyłach Fanny.

— Czy Jerzy jeszcze daleko? — zapytała. — Niech mu znać dadzą i niech się śpieszy... chciałam jeszcze raz zobaczyć brata.

— O Boże! — zawołała panna Peyton — czyżbym się omyliła? Ale ty się uśmiechasz. To niepodobna, abyś była ranna. Co ci jest?

— Nic... jestem zupełnie szczęśliwa — szepnęła Izabela — to jest lekarstwo na wszelkie cierpienia.

Sara dzwignęła się z leżącej postawy i popatrzyła błędnie na towarzyszkę. Wyciągnawszy rękę, pod-

niosła dłoń Izabeli, spoczywającą na jej łonie. Dłoń ta była zbroczona krwią.

— Patrz! — rzekła Sara — ale czy ta krew nie zmyje miłości? Idź zamaż, młoda kobieto, a wtedy nikt nie wyrwie go z twego serca, chyba — dodała szeptem, pochylając się nad tamtą — chyba, że znajdziesz drugą przed tobą, a wtedy umrzyj i idź do nieba; w niebie żon niema.

Powiedziawszy to, ukryła twarz w poduszki i pozostała tak przez resztę nocy. W tej samej chwili wszedł Lawton. Aczkolwiek oswojony z wszelkiego rodzaju okropnościami partyzanckiej wojny, kawalerzysta nie mógł obojętnie patrzeć na ten rozdzierający widok. Pochylił się nad wątłą postacią Izabeli, a posępny wzrok jego zdradzał wewnętrzne zmaganie się tej zahartowanej w ciągłych niebezpieczeństwach duszy.

— Izabelo — przemówił wreszcie — wiem, że posiadasz wyjątkową u kobiety odwagę.

— Mów — rzekła poważnie — jeżeli masz co do powiedzenia, mów śmiało.

Kawalerzysta odwrócił twarz i rzekł:

— Nikt jeszcze nie przeżył kuli otrzymanej tutaj.

— Nie lękam się śmierci, Lawtonie — odparła Izabela. — Dziękuję ci, żeś nie zwątpił o mnie. Uczułam to od pierwszej chwili.

— Nie dla takich istot jak ty są podobne przejścia — dodał kawalerzysta. — Dość chyba, że Anglja młodzież naszą wytępia w polu, ale gdy taka piękność staje się ofiarą wojny, przeklinam moje rzemiosło.

— Posłuchaj mnie, kapitanie Lawtonie — rzekła Izabela, podnosząc się z trudem, lecz odrzucając pomoc — od wczesnej młodości aż po dziś dzień żyłam w obozach i garnizonach. Żyłam, by umilać wolne chwile mego starego ojca i czy sądzisz, że zamieniłabym te dni niebezpieczeństw i trudów na największe wygodę i przyjemności? Nie. W chwilach konania pociechą mi jest myśl, że uczyniłam wszystko, co tylko dla takiej sprawy kobieta może uczynić.

— Któżby mógł pozostać odszczepieńcem wobec takiego jak twój umysłu? Widziałem setki wojowników broczących we krwi, ale mężniejszej duszy wśród nich nie widziałem.

— Niestety, tylko duszy — odparła Izabela. — Płeć moja i brak fizycznych sił odmówiły mi najdroższego przywileju walczenia za mój kraj. Ale dla ciebie, kapitanie Lawtonie, losy były łaskawsze, ty masz ramię i serce, które możesz poświęcić dla świętej sprawy, i wiem, że ramię to i serce pozostaną jej wierne do ostatka. I Jerzy także, i...

Umilkła, usta jej zadrżały, i spuściła oczy.

— I Dunwoodie — dokończył kawalerzysta. — Czy miałas na myśli Dunwoodie'go?

— Nie wspominaj o nim — rzekła Izabela, osuwając się na poduszki i kryjąc twarz w fałdach swych szat. — Zostaw mnie, Lawtonie; przygotuj biednego Jerzego na ten cios niespodziany.

Kawalerzysta stał jeszcze chwilę, spoglądając melancholijnie na konwulsyjne drgania tej wątłej postaci, widoczne z pod lekkiej odzieży, poczem wyszedł na spotkanie kolegi. Izabela wybuchnęła płaczem, ujrawszy brata, który zmiażdżony tą nową klęską, ledwo mógł utrzymać się na nogach; ale jakby czując, że chwile jej były policzone, pierwsza opanowała wzruszenie. Na jej wyraźne żądanie pozostawiono ją samą z kapitanem i Fanny. Napróżno chirurg ofiarowywał jej się z pomocą lekarską; odrzuciła ją stanowczo, i acz niechętnie, musiał opuścić pokój.

— Podnieś mnie, droga — rzekła umierająca — niech popatrzę jeszcze na umiłowane oblicze.

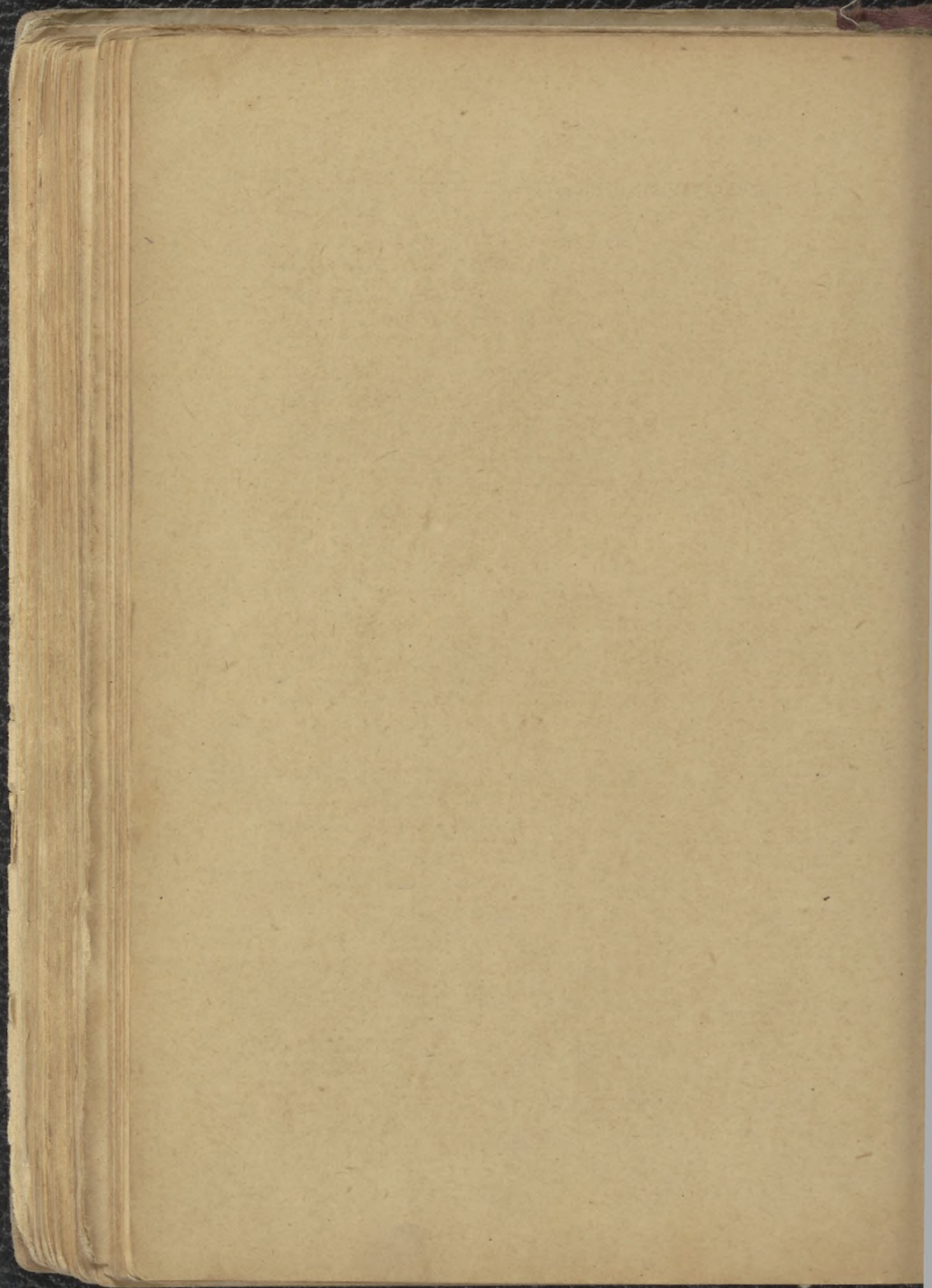
Fanny w milczeniu spełniła to życzenie, i oczy Izabeli z siostrzanem przywiązaniem spoczęły na twarzy Jerzego.

— Nie martw się, mój bracie — rzekła tkliwie — za parę godzin wszystko się skończy... Widocznie tak być musiało.



— Nie — przerwała Izabela — pozostał ci jeden urok w życiu. . . Str. 313.

Szpiog.



— Izabelo! siostró moja jedyna, żyj! — zawołał młodzienc z wybuchem bólu, którego nie mógł pohamować. — Och! ojciec! nasz biedny ojciec!...

— Tak, w tem tkwi żądło śmierci; ale on jest żołnierzem i chrześcijaninem. Panno Wharton, chcę mówić o tem, co panią obchodzi, dopóki jeszcze mam siłę potemu.

— Nie — rzekła Fanny tklíwie — uspokój się, myśl tylko o tem, aby nie pogorszyć niczem swego stanu. Życie twoje jest tak cenne dla... dla... tyłu.

Słowa uwięzły jej w gardle, bo Izabela dotknęła bolesnej struny w jej sercu.

— Biedne, wrażliwe dziewczę — rzekła Izabela, spoglądając na nią czule — ale cały świat jeszcze leży przed tobą, czemuż więc miałabym zamacać ci tę odrobinę szczęścia, jakie on dać może! Śnij dalej, uroczą istoto, i oby Bóg oddalił od ciebie zły dzień świadomości.

— Och! niewiele mi już zostało, czembym się radować mogła — rzekła Fanny, kryjąc twarz w dłoniach. — Los dotknął mnie we wszystkim, co mi było najdroższem.

— Nie — przerwała Izabela — pozostał ci jeden urok w życiu, najsilniejszy, jaki może owładnąć sercem kobiety. To słodka ułuda, którą śmierć tylko rozwiąć jest zdolna.

Umilkła wyczerpana, a tamtych dwoje czekało, wstrzymując oddech, aż odzyskawszy nieco siły, położyła dłoń na rękę Fanny i mówiła dalej łagodnie:

— Panno Wharton, jeżeli istnieje na świecie pokrewna Dunwoodie'mu dusza i godna jego miłości, to jest nią twoja.

Ognisty rumieniec wytrysnął na twarzyczkę Fanny; podniosła błyszczące niepohamowanem uszcześliwieniem oczy na Izabelę, ale widok umierającej stłumił jej samolubne uczucia i znowu opuściła głowę na posłanie.

Izabela spoglądała na nią z mieszaniną litości i zachwytu.

— Tak — ponowiła — wierzaj mi, panno Wharton, Dunwoodie twoim jest wyłącznie.

— Bądź sprawiedliwą dla siebie, siostró — wykrzyknął Jerzy. — Nie daj się unosić romantycznej wspaniałości i nie zapominaj o sobie.

Popatrzyła na niego z czułością, lecz z wolna wstrząsnawszy głową, odrzekła:

— Nie romantyczność mówi przeze mnie, ale prawda. Och! ileż ja przeżyłam w ciągu jednej godziny! Panno Wharton — wiedz, że urodziłam się pod pałacem słońcem, i uczucia moje wchłonęły żar jego. Żyłam jedynie namietnością.

— Nie mów tego! nie mów, błagam cię — zawołał brat z uniesieniem. — Pomyśl, jak tkliwym przywiązaniem otaczałaś naszego sędziwego ojca, jak dobrą i kochającą byłaś dla mnie siostrą.

— Tak — rzekła Izabela, i uśmiech słodkiego zadowolenia opromienił jej lica — to wspomnienie mogę przynajmniej zabrać do grobu.

Zamyśliła się znowu; i znowu brat jej i Fanny nie śmieli przerwać milczenia, które trwało czas jakiś, aż wreszcie Izabela, ocknawszy się nagle, ciągnęła dalej:

— Nawet w ostatniej chwili jestem egoistką i myślę tylko o sobie. Tak, panno Wharton, Ameryka i jej wolność była najwcześniejszym ideałem mego serca i...

Tu urwała znowu, i Fanny sądziła przez chwilę, że to śmierć już upomina się o swoje prawa; lecz Izabela opanowała się wnet i mówiła dalej:

— Czemuż miałabym się wahać na krawędzi grobu? Dunwoodie był drugim i ostatnim, ale — tu ukryła twarz w dłoniach — była to nieodwzajemniona miłość.

— Izabelo! — wykrzyknął jej brat, i zerwawszy się z łóżka zaczął chodzić po pokoju silnie wzburzony.

— Patrz — rzekła Izabela do Fanny — jak bardzo podlegamy ziemskiej próżności. Oto Jerzy nie może

znieść myśli, że ta, którą kocha, nie potrafiła wznieść się do uczuć wyższych ponad jej naturę i wychowanie.

— Przestań — szepnęła Fanny — nie mów już nic więcej, zaklinam cię, zadajesz ból nam obojgu.

— Muszę mówić, gdyż to się Dunwoodie'mu słuszenie należy, i dla tej samej przyczyny musisz mnie wysłuchać, mój bracie. Nigdy, ani jednym słowem ani jednym czynem Dunwoodie nie dał mi do poznania, że widzi we mnie więcej niż przyjaciółkę; przeciwnie, w ostatnich czasach, zdawało mi się — ze wstydem wyznać to muszę — że unikał mojej obecności.

— Niechby śmiał! — wykrzyknął Singleton dziko.

— Cicho, mój bracie, i słuchaj — mówiła dalej Izabela, dźwignąwszy się z ostatecznym wysiłkiem — oto jest niewinna i usprawiedliwiająca go przyczyna. Obie nie mamy matek, ale tu ciotka, ta uważająca, taktowna, łagodna ciotka, tobie Fanny, zapewniła zwycięstwo. O! jak wiele traci ta, która traci przewodniczkę swej niedoświadczonej młodości. Ja okazałam jawnie uczucia, które ciebie nauczono ukrywać. Czyż po tem mogę jeszcze pragnąć żyć?

— Izabelo, moja biedna Izabelo, umysł ci się obłąkał.

— Jeszcze słowo tylko, bo czuję, że krew, która zawsze zbyt szybko krążyła w mych żyłach, uchodzi mnie. Kobieta, aby była cenioną, musi być poszukiwaną: jej życie jest pasmem tajonych uczuć; szczęśliwe te, które z dzieciństwa nauczyły się czynić to bez obłudy, bo tylko takie mogą być szczęśliwe z takimi mężczyznami jak... jak Dunwoodie.

Głos jej się załamał, opadła na poduszki w milczeniu. Na krzyk Singletona zbiegli się wszyscy u jej wezgłowia, ale już śmierć wzięła ją w posiadanie; ostatkiem sił przycisnęła rękę brata do piersi, poczem palce jej rozwiódły się, lekki dreszcz wstrząsnął jej postacią, i skonała.

Fanny Wharton była głęboko przekonaną do tej chwili, że największą jej zgrzyotą było niebezpieczeństwo, grożące bratu, i obłąd siostry, ale ulga jakiej doznała, usłyszawszy wyznanie konającej Izabeli, dowiedła jej, że inna jeszcze troska kamieniem leżała jej na sercu. W mgnieniu oka ogarnęła całą prawdę, rozumiała męską delikatność postępowania Dunwoodie'go; wszystko składało się nato, by go wywyższyć w jej oczach i zwiększyć żal, że powodowana poczuciem obowiązku i dumą, sama odtrąciła go od siebie zbolełego, jeżeli nie zrozpaczonego. Ale rozpaczą nie leży w naturze młodości, i pomimo całego zgnębienia Fanny odczuła skrytą radość, która nowego uroku dodała jej życiu.

Nazajutrz po tej nocy niedoli słońce zajaśniało nieskażonym blaskiem, zdającym się drwić z marnych udreczeń tych, na których spływały jego promienie. Lawton rozkazał, aby mu osiodłano konia równo z świtem, i wydawszy niektóre rozporządzenia, w milczeniu dosiadł ulubionego wierzchowca i z wolna skierował się w stronę doliny, rzuciwszy rozżalone spojrzenie na owe skały, które ułatwiły ucieczkę skinnerowi.

Milczenie śmierci panowało na gościńcu; najlżejszy ślad wczorajszych krwawych wydarzeń nie kaził promiennej pogody uroczego poranku. Uderzony przeciwnictwem pomiędzy człowiekiem a naturą, nieustraszony kawalerzysta miał najniebezpieczniejsze miejsca, nie dbając o to, co się może przytrafić, i zbudził się ze smutnej zadumy wtedy dopiero, gdy szlachetny rumak, węsząc ranne powietrze, powitał rzeniem konie straży, pozostawionej pod dowództwem sierżanta Hollistera.

Tu smutne ślady nocnej walki spotkać się dawały na każdym kroku, ale kawalerzysta popatrzył na nie z obojętnością człowieka oswojonego z podobnemi widokami. Nie tracąc czasu na próżne żale, przystąpił odrazu do rzeczy.

— Widzieliście co? — zapytał Hollistera.

— Nie, panie kapitanie — odpowiedział sierżant — raz tylko zaalarmował nas odgłos dalekiego wystrzału.

— To dobrze — rzekł Lawton pośepnie. — Ach! Hollisterze, dałbym tego konia, żebym choć ciebie jednego miał pomiędzy tym łotrem, który wtedy pociągnął za cyngiel, a temi bezużytecznymi skałami, które zastępują drogę na każdym kroku, jak gdyby jej zaźdrościły kopytom.

— Przy świetle dziennem i mając przed sobą człowieka z krwi i kości, może się tam i na co przydam, ale nie mogę powiedzieć, żebym szedł ochotnie na tych, których się ani stal, ani ołów nie ima.

— Czem ty sobie nabiłeś głowę, Hollisterze?

— Panie kapitanie, nie podoba mi się ten czarny kształt, który od świtu krąży na skraju lasu i dwukrotnie podczas nocy ukazywał się tu w pobliżu pogorzelska, niewątpliwie ze złemi zamiarami.

— Czy mówisz o tym czarnym punkcie tam u stóp skały? To prawda, porusza się.

— Ale nie w sposób ludzki — rzekł sierżant, spoglądając w tamtą stronę z zabobonną czcią. — Sunie jak upiór, ale nóg mu nie widać.

— Nie ujdzie mi, choćby miał skrzydła — zawołał Lawton: — Miej się w pogotowiu i czekaj, aż go dogonię.

Z temi słowy gnał już równiną jak wichur.

— Przeklęte skały! — wykrzyknął kawalerzysta, widząc że przedmiot pościgu zbliża się do ich podnóża; ale czy ze strachu, czy z braku orientacji postać owa minęła to tak widoczne schronienie i zaczęła uciekać otwartem polem.

— Mam cię, człowieku, czy szatanie! — wykrzyknął Lawton, dobywając szabli z pochwy. — Stój i podaj się!

Na dźwięk jego potężnego głosu postać padła na ziemię i leżała czarna, nieruchomą bryłą.

— Cóż to takiego? — zawołał Lawton podjeżdżając — jakaś godowa szata tej zacnej dziewczycy Joanny

Peyton, wędrująca dokoła miejsca swego urodzenia w daremnem poszukiwaniu swojej pani?

Z temi słowy pochylił się w strzemionach i końcem szabli uniósłszy jedwabne draperje, odsłonił część osoby wielbego męża, który poprzedniego wieczoru uciekł z Akacji w obrzędowych szatach.

— W istocie, Hollister miał pewne powody obawiać się, i kapelan wojskowy jest w każdym razie przedmiotem postrachu dla oddziału kawalerji.

Tymczasem duchowny ochłonął trochę z przerażenia, widząc nad sobą znajomą twarz, i zawstydzony poniekąd trwożą, jaką okazał, i śmiesznem położeniem, w jakim go znaleziono, powstał z ziemi i próbował się tłumaczyć. Lawton przyjął te usprawiedliwienia dość wesoło, i po zamianie kilku słów o stanie doliny zsiadł grzecznie z konia, poczem obaj skierowali się w stronę straży.

— Tak mało jestem obznajmiony z buntowniczym umundurowaniem — rzekł niedość zręcznie duchowny — iż istotnie nie mogłem rozróżnić, czy ci ludzie, o których pan powiadasz, że są pańscy, nie należą do bandy maruderów.

— Zbyteczne są usprawiedliwienia pańskie — rzekł kawalerzysta, przygryzając wargi — jako sługa Boży, nie jesteś pan obowiązany znać się na umundurowaniu. Zresztą my wszyscy przyjęliśmy tę formę, której pan służysz.

— Ja służę pod sztandarem Jego Królewskiej Mości Jerzego III-go — odrzekł ksiądz, ocierając pot z czoła — ale myśl, że się może być oskalpowanym, wystarczy dla takiego jak ja nowicjusza, żeby mu rozum odebrać.

— Oskalpowany! — zawołał Lawton, zatrzymując się nagle; poczem ochłonawszy, dodał spokojnie: — Jeżeli pan masz na myśli oddział lekkiej kawalerji wirgińskiej pod wodzą Dunwoodie'go, to muszę pana objaśnić, że mają oni zwyczaj odłupywać kawałek czaszki przy zdzieraniu skóry.

— O! tu przecież nie może być mowy o panu i pańskich kolegach — rzekł duchowny z uśmiechem. — Miałem na myśli krajowców.

— Krajowców! Mam zaszczyt należeć do nich, upewniam pana.

— Ależ zechciej mnie pan zrozumieć, tu chodzi o Indjan, a ci nie robią nic innego, tylko mordują, grabią, palą.

— I skalpują!

— Tak, panie, i skalpują także — ciągnął dalej duchowny, patrząc na Lawtona z pewną podejrzliwością — dzicy, miedzianoskórzy Indianie.

— A pan spodziewałeś się spotkać z tymi obywatelami o przekłutych nosach na neutralnym gruncie?

— Oczywiście, w Anglii utrzymuje się mniemanie, że całe wnętrze Ameryki roi się od nich.

— I pan to nazywasz wnętrzem Ameryki? — zawołał Lawton, zatrzymując się znowu i patrząc na towarzysza z tak szczerem zdziwieniem, że nie mogło być udane.

— Nieinaczej. Sądzę, że znajduję się we wnętrzu.

— Posłuchaj pan — rzekł Lawton, wskazując ku wschodowi — widzisz pan tę olbrzymią przestrzeń wodną, której oko ogarnąć nie zdoła. Tam poza nią znajduje się ta Anglja, którą uważacie za godną, aby była władczynią połowy świata. Czy widzisz pan swój kraj ojczysty?

— Niepodobieństwem jest widzieć coś w odległości trzech tysięcy mil — wykrzyknął zdumiony kapłan, powziawszy pewne wątpliwości o równowadze władz umysłowych swego towarzysza.

— Nie? Jaka szkoda, że fizyczne władze człowieka nie mogą dorównać jego ambicji. A teraz zwróć pan oczy na zachód i patrz na tę olbrzymią przestrzeń wód, toczących się pomiędzy brzegami Ameryki i Chin.

— Widzę tylko ziemię — rzekł kapłan, cały drżący — niema tu żadnej wody.

— Niepodobieństwem jest widzieć coś w odległości trzech tysięcy mil — powtórzył Lawton, idąc

znów dalej. — Jeżeli pan lękaś się dzikich Indjan, szukaj ich w szeregach swego władcy. Rum i złoto zachowały mu ich lojalność.

— Najprawdopodobniej wprowadzono mnie w błąd — rzekł duchowny, zerkając ukradkiem na kolosalną postawę i wąsate oblicze towarzysza — ale zasłyszane w kraju wieści i obawa spotkania się z takim jak pan wrogiem skłoniły mnie do ucieczki.

— I postąpiłeś pan bardzo nieroztropnie — rzekł kawalerzysta — bo, pomijając że Roanoke byłby cię dopędził w mgnieniu oka, ale uciekając przed Scyllą, mogłeś bardzo łatwo wpaść w Charybdę. Te lasy i skały kryją tych właśnie wrogów, których się obawiasz.

— Dzikich! — wykrzyknął duchowny, instynktownie chowając się za kawalerzystę.

— Gorzej niż dzikich, — ludzi, którzy pod pokrywką patriotyzmu grasują po okolicy, a których żądza grabieży jest nienasyconą a okrucieństwo przewyższa krwiożerczość Indjan. Osobniki, których usta pełne są wolności i równości, a serca przesycone chciwością i jadem; krótko mówiąc, panowie znani pod nazwą skinnerów.

— Słyszałem o nich w naszej armji — rzekł przeżony kapłan — ale sądziłem, że to są właśnie tacy.

— Skrzywdziłeś pan dzikich tem przypuszczeniem.

Zbliżyli się teraz do placówki Hollistera, który ze zdziwieniem stwierdził wręcz przeciwnie szatańskim mocom powołanie jeńca swego kapitana. Lawton wydał rozkazy; dragoni zaczęli natychmiast gromadzić i zabierać cenniejsze sprzęty, a kapitan i jego wielbny towarzysz wrócili obaj już konno do dragońskiej kwatery.

Singleton wyraził życzenie, aby zwłoki jego siostry przewieziono na posterunek, którym dowodził ojciec jego, i zaczęto czynić odpowiednie potemu przy-

gotowania. Rannych Anglików powierzono pieczy kapita-
na, i około południa Lawton, patrząc na będące
w toku zabiegi, mógł się spodziewać, że za parę go-
dzin on i rodzina Whartonów zostaną niepodzielnymi
posiadaczami Czterech Kątów.

Stał właśnie oparty o futrynę drzwi, spoglądając
w zamyśleniu na otaczający go krajobraz, gdy ucho
jego pochwyciło tętent kopyt, i w chwilę potem uka-
zał się na drodze dragon z jego pułku, pędzący co koń
wyskoczy. Rumak okryty był pianą, a jeździec wy-
glądał, jak gdyby przez dzień cały nie zaznał odpo-
czynku. W milczeniu wręczył Lawtonowi list i od-
prowadził konia do stajni. Kawalerzysta poznał pismo
majora i przeczytał co następuje:

„Donoszę, że z rozkazu Washingtona, rodzina
Whartonów ma być przewieziona w Góry, w charakte-
rze świadków w sprawie kapitana Whartona, który też
niezwłocznie po ich przybyciu będzie sądzony. Zako-
munikuj im ten rozkaz możliwie najogólniej. Anglicy
postępują w górę rzeki. Skoro tylko odstawisz Whar-
tonów, wyruszaj, aby się połączyć z wojskiem. Zanosz
się na porządną robotę, gdyż podobno sir Henryk wy-
znaczył jakiegoś wytrawnego wodza na miejsce puł-
kownika Wellmere'a. Raporty należy składać kome-
dantowi w Peekskill, gdyż pułkownik Singleton odwo-
łany został do głównej kwatery dla przewodniczenia
sądowi nad biednym Whartonem. Wydano nowe roz-
kazy, aby powiesić kramarza, o ile da go się schwycić,
nie pochodzą one jednak od Naczelnego Wodza. Wy-
praw część oddziału z paniami, a sam dosiadaj konia
jak będziesz mógł najprędzej.

Szczerze oddany
Peyton Dunwoodie”.

List ten zmienił całkowicie dotychczasowe posta-
nowienia. Nie było powodu przewozić ciała Izabeli,
skoro ojciec jej już nie znajdował się na czele poste-
runku, i Singleton, acz niechętnie, zgodził się na nie-

zwłoczny pogrzeb. Wybrano piękne zaciszne miejsce u stóp skał sąsiednich i poczyniono naprędce stosowne przygotowania. Ciekawość zgromadziła garść mieszkańców z sąsiedztwa, a panna Peyton i Fanny zapłakały szczerze na grobie biednej Izabeli. Smutnego obrządku dopełnił ten sam duchowny, który tak niedawno zgoła odmienną odprawiać miał uroczystość, a Lawton pochylił głowę i przesunął ręką po czole, gdy usłyszał słowa, towarzyszące wbijaniu pierwszego gwoździa.

Wiadomość, zawarta w liście Dunwoodie'go, dodała nowego bodźca całej rodzinie Whartonów, i Cezar zakrzętała się znów około swoich koni i karety. Pieczę nad spaloną posiadłością i ocalonemi resztkami dobytku powierzono jednemu z zaufanych sąsiadów; wsadzono nieprzytomną wciąż Sarę do powozu, czterech dragonów otoczyło go, zabrano też wszystkich amerykańskich rannych, i cała ta kawalkada ruszyła w drogę. Wkrótce potem odjechał angielski kapelan, uwożąc swych rodaków, konwojowany aż na brzeg rzeki, gdzie już oczekiwał na nich okręt. Lawton z radością spoglądał na tę całą krzątalinę, i gdy już wszystkich wyprawił, kazał zatrąbić na wymarsz. W mgnieniu oka wszystko było gotowe. Zaprzężono znów kobyłkę pani Flanagan, doktor Sitgreaves wwinął swe chude kształty na siodło, a uszczęśliwiony kawalerzysta dosiadł wiernego rumaka.

Raz jeszcze spojrzął z posępną zawziętością na miejsce kryjówki skinnera; melancholijnym wzrokiem obrzucił grób Izabeli i ruszył przodem, mając obok siebie chirurga, podczas gdy sierżant Hollister zamykał pochód, i w kilka minut potem już tylko świeży, południowy wiatr świstał przez otwarte drzwi i powyślukiwane szyby „Hotelu Flanagan”, w którym do tak niedawna rozlegały się śmiechy i żarty zawadjackich partyzantów, i łzy i westchnienia strapiionych mieszkańców Akacji.

ROZDZIAŁ XXV.

„Wiosenne kwiaty nie stroją skał
drętwych; majowe łono chłodzi ociągająca się z odejściem zima; lekkie zefiry nie pieszczą czoła gór, a tylko błyskawice rozdzierają czarną pierś chmur posepnych.”

Goldsmith.

Drogi West-Chesteru są po dziś dzień poniżej wszelkiej krytyki. Wspomnieliśmy już, w jakim znajdowały się stanie za czasów niniejszej powieści, łatwo więc wyobrazić sobie może czytelnik, jak ciężkie do spełnienia zadanie miał Cezar, aby krętymi szlakami przewieźć karocę ongi angielskiego prałata, na jeden z najmniej uczęszczanych punktów Hudsonskich wzgórzy.

Podczas gdy wierny murzyn borykał się z przewyciężeniem tych trudności, podróżni nasi byli zbyt przejęci własnymi troskami, aby na to zwracać uwagę. Sara przestała bredzić, ale w miarę jak umysł jej odzyskiwał świadomość, ogarniała ją bezbrzeżna melancholja. Bywały chwile, że tym przeblyskom przytomności towarzyszył taki wyraz bólu i rozpacz, iż otaczający ją pragnęli niemal, aby raczej na zawsze już przestała prawidłowo myśleć i czuć. Podróż odbywała się przeważnie w milczeniu; nocleg znalezione w jakimś przydrożnym folwarku.

Nazajutrz wczesnym rankiem rozpierzchła się cała kawalkada. Rannych skierowano w stronę rzeki, by przewieźć ich w Peekskill do szpitali amerykańskiej armji po drugiej stronie Hudsonu. Lektyka z Single-

tonem udała się w góry, gdzie znajdowała się kwatery jego ojca, i gdzie młodzieniec miał pozostać do zupełnego wyleczenia się; wreszcie karetą pana Whartona i towarzyszący jej wóz, w którym jechała gospodyni na stosie ocalonych podręcznych ruchomości, podążyła w dalszą drogę ku miejscu, gdzie Henryk Wharton oczekiwał przybycia rodziny, aby być stawionym przed sąd.

Okolica, leżąca pomiędzy wodami Hudsonu a Long-Island-Sound, składa się na przestrzeni pierwszych czterdziestu mil z samych wzgórz i dolin. Potem stopniowo powierzchnia gruntu wygładza się i ostatecznie przechodzi w cudne równiny i łąki Connecticutu. Ale w miarę zbliżania się do Hudsonu wzrasta dzikość położenia, aż wreszcie potężne pasmo gór całkowicie zagradza dalszą drogę. Tu też kończył się grunt neutralny. Dwa południowe punkty, prowadzące od rzeki w góry, znajdowały się w posiadaniu armji królewskiej, lecz wszystkie inne przesmyki strzeżone były przez Amerykanów.

Wspominaliśmy już, że pikiety armji lądowej zapuszczały się nieraz daleko w głąb okolicy, i że wioski Białych Równi od czasu do czasu bywały zajęte przez oddziały tychże wojsk. Zdarzało się jednak, że odwoływano je ku północnym krańcom hrabstwa, i wówczas cała ta przestrzeń stawała się pastwą rozbójniczych band, grasujących pomiędzy obu armjami i żadnej z nich nie służących.

Droga, którą jechali nasi podróżni, nie była traktem łączącym oba główne miasta stanu, lecz bocznym nieuczęszczanym i po dziś dzień mało znanym szlakiem, który zagłębiając się w góry tuż koło wschodnich granic, wiedzie aż na wyższe równiny o wiele, wiele mil od Hudsonu.

Zmęczone cuganty pana Whartona nie byłyby nigdy wydzwigały ciężkiej karocy na leżące przed niemi strome zbocza; przydano im więc parę miejscowych koni, których z niewielką ochotą właściciele ich mu-

sieli użyzyć dwom towarzyszącym wciąż powozowi dragonom, i z ich pomocą Cezar pomału i uciążliwie posuwał się w głąb górskiego pasma. Zaraz na wstępie Fanny wysiadła, poczęści by ulżyć koniom ciężaru, a poczęści by odetchnąć świeżem powietrzem i przynieść tym sposobem ulgę uciśnionej piersi. Katy czyniła to samo. Słońce chyliło się już ku zachodowi, a dragoni powiedzieli im, że z wierzchołka góry będzie już można dojrzeć kres podróży. Fanny szła szybko, elastycznym krokiem młodości, za nią podążała gospodyni, i wprędce obie straciły z oczu karetę, wlokącą się zwolna pod górę i zatrzymującą się często dla dania wytchnienia zmordowanym koniom.

— Ach! panno Fanny, cóż to za straszne czasy — rzekła Katy, gdy i one przystały trochę, aby odpocząć. — Wiedziałam, że stanie się nieszczęście, skoro tylko zobaczyłam smugę krwi w chmurach.

— Dostyc jest krwi na ziemi, Katy, ale w chmurach jej niema.

— Niema krwi w chmurach! — powtórzyła gospodyni. — O! jej, i jeszcze ile! A komety z ognistemi ogonami także nic nie znaczą? Czy to ludzie nie widywali wojska na niebie tego roku, co się zaczęła wojna? A w wilgę bitwy na Równiach czy nie grzmiało, jakby sto armat waliło? Ach! panno Fanny, nic dobrego nie wyniknie z buntu przeciw pomazańcowi Bożemu.

— Straszne to są wszystko rzeczy, niewątpliwie — odparła Fanny — i najtwardsze serce musi im się uzalić. Ale cóż na to począć, Katy? Dzielni i niezależni ludzie nie chcą się poddać uciskowi, a wojna nie może się obejść bez ofiar.

— Gdybym tylko mogła wiedzieć, o co się tu bija — rzekła Katy, gdy obie puściły się w dalszą drogę — byłoby przynajmniej pół biedy. Raz mówiono, że król chce zabrać wszystką herbatę dla swojej rodziny, to znów, że chce, aby kolonje płaciły mu wszystkie swoje zarobki. To już jest powód dostateczny, żeby się bić,

bo nikt na świecie, choćby był lordem lub królem, nie ma prawa do czyichś w pocie czoła zapracowanych pieniędzy. A potem znowu mówiono, że to wszystko nieprawda, a inni znowu powiadali, że Washington sam chce zostać królem, i koniec końcem niewiadomo, czego się trzymać.

— Ani jednego, ani drugiego, bo ani jedno, ani drugie nie jest prawdą. Nie rozumiem się dobrze sama na wszystkich przyczynach tej wojny, ale wydaje mi się czemś potwornem, aby takim krajem jak ten rządził kraj inny i tak odległy jak Anglja.

— To samo akurat mawiał Harvey swemu nieboszczykowi ojcu, co w grobie spoczywa — rzekła Katy, przysuwając się do swojej młodej pani i zniżając głos. — Nie raz i nie dwa słuchałam, jak rozmawiali, kiedy całe sąsiedztwo spało; a jakie to były rozmowy, to paniąka pojęcia o tem mieć nie może. Ano, prawdę rzekłszy, dziwny to był człowiek, Harvey, jak ten wiatr, co to nikt nie wie, skąd się wziął i dokąd leci.

Fanny spojrzała na towarzyszkę pytającym wzrokiem.

— Krążą różne pogłoski o charakterze Harveya — rzekła — i to takie, którym wolałabym nie wierzyć.

— To są potwarze — zawołała zaperzona Katy. — Harvey tyle akurat ma do czynienia z Belzebubem, co paniąka albo ja. Przecie gdyby Harvey zaprzedał djabłu duszę, to przynajmniej zrobiłby to za dobre pieniądze, chociaż prawdę rzekłszy, był to zawsze lekkoduch i marnotrawca.

— Nie, nie — odrzekła Fanny z uśmiechem — nie mam takich ubliżających mu podejrzeń, ale czyż nie zaprzedał się ziemskiemu władcy, który zbyt wiele ma przywiązania do wyspy ojczystej, aby móc być zawsze sprawiedliwym dla tego kraju?

— Paniąka myśli o Najjaśniejszym Panu? — rzekła Katy. — Ale, proszę paniąki, albo to brat paniąki nie służy także królowi Jerzemu?

— To prawda — rzekła Fanny — ale nie pokryjomu, służy jawnie, mężnie i uczciwie.

— Powiadają, że jest szpiegiem, a szpieg szpiegowi równy.

— To nieprawda, brat mój nie byłby zdolny do zdrady, ani do żadnego czynu dla tak niskich powodów jak awans lub zysk.

— E! proszę panienki — rzekła Katy przestraszona nieco uniesieniem swej młodej pani — jeżeli kto pracuje, to słuszna, aby za to otrzymał zapłatę. A Harvey wcale o to nie dba, i jestem pewna, że gdyby przyszło do rachunków, toby się pokazało, że król Jerzy winien mu jeszcze sporo pieniędzy.

— Więc przyznajesz, że utrzymywał stosunki z armją angielską? — rzekła Fanny. — Wyznaję, że bywały chwile, kiedy myślałam inaczej.

— Panie Święty! Albo to można co pewnego o takim człowieku jak Harvey powiedzieć? Ja oto żyłam z nim pod jednym dachem, a żeby mnie kto zastrzelił, tak nie wiem, czy należy do górnych, czy do dolnych¹⁾. Kiedy to wzięli Burgoyne'a, przyszedł do domu i ciągle o czemś obaj z ojcem gadali i naradzali się; ale czy to z radości, czy ze zmartwienia, to też tego nie powiem. A potem znów kiedy ten jenerał angielski... jakże on się nazywa... bo w tych wszystkich nieszczęściach straciłam pamięć...

— André — rzekła Fanny.

— Właśnie, Andry; otóż kiedy jego powiesili, to stary mało nie skisł z udręki i po nocach nie sypiał, dopóki Harvey nie wrócił. No, i to także prawda, że co miał pieniędzy, to były przeważnie złote gwineje; cóż kiedy skinnerzy wszystko zabrali, i teraz jest żebrakiem, lub co na jedno wychodzi, w poniewierce u ludzi dla swego ubóstwa.

¹⁾ Stronnictwo amerykańskie nazywano „górnem“, zaś angielskie „dolnem“. Nazwy te odnosiły się do biegu rzeki Hudsonu.

Fanny nic na to nie odpowiedziała i szła dalej pod górę zatopiona w myślach. Wzmianka o André'm przypomniała jej położenie jej własnego brata.

Wkrótce wydostały się na szczyt wzgórza i Fanny usiadła na skale, aby odpocząć i nasycić oczy roztańczającym się przed nią widokiem. Tuż u jej stóp leżała głęboka, dzika dolina, nurzająca się już w cieniach listopadowego zachodu słońca. Po drugiej stronie, w niewielkiej odległości wznosiło się takie samo wzgórze jak to, na którym siedziała Fanny, a jego chropowate, skaliste zbocza porastały gdzie niedługo karłowate dęby, świadczące o jałowości gruntu.

Aby ocenić całe piękno Hudsonskich gór trzeba je widzieć późną jesienią, kiedy już liście opadną. Wówczas ani skąpa roślinność, jakiej im lato użycza, ani śniegi zimy nie kryją przeslicznych zarysów tej nagej, pustej, a w swej nagości i pustce pełnej niewysłowionego czaru scenerji.

Dzień był posępny i chłodny; rude chmurzyska bałwaniły się na horyzoncie, przesłaniając ostatnie blaski zachodzącego słońca. Nagle jakiś samotny promień padł u stóp wzgórza, na które spoglądała Fanny, wdzięcznie wspiał się po jego zboczu i dosięgłszy wierzchołka, zatrzymał się tam na chwilę, tworząc świetlaną aureolę nad tym posępnym szczytem. Jasność ta była tak silna, że wszystkie, niewyraźne dotąd szczegóły krajobrazu zarysowały się na jej tle jak najdokładniej. Z rodzajem wewnętrzznego skupienia patrzyła Fanny na te odsłaniające się przed nią tajemnice tego pustkowia, aż po pewnej chwili dostrzegła wśród fantastycznych skał i porozrzucanych tu i owdzie drzew coś w rodzaju szałas. Był niski i szary, i gdyby nie dach i odbicie światła w okienku, trudno byłoby go dojrzeć! Jeszcze Fanny nie ochłonęła ze zdziwienia, na widok ludzkiej sadyby w takim miejscu, gdy oczy jej dostrzegły coś, co jeszcze powiększyło jej zdumienie. Była to widocznie postać ludzka, ale jakiegoś osobliwego kształtu. Stała ona na zrębie skały,

niewco ponad szafasem i patrzyła na wspinającą się mierzwi pod górę karocę i wóz jej towarzyszący. Odległość była jednak zbyt wielka, aby można to było dojrzeć wyraźnie. Już Fanny, wyteżająca wzrok ze wszystkich sił, dochodziła do przekonania, że padła ofiarą optycznego złudzenia, i że to na co patrzyła było tylko odłamkiem skały, gdy postać owa poruszyła się i zstąpiwszy prędko ze zrębu znikła w szafasie, kładąc odrazu kres wszelkim wątpliwościom co do natury obu przedmiotów. Nie dość na tem, czy to wskutek świeżej rozmowy z Katy, czy dzięki jakiemś nieujętemu podobieństwu Fanny wyobraziła sobie, że ową postacią jest Birch, zgięty pod ciężarem swego toboła. Jak urzeczona patrzyła wciąż na ową tajemniczą chatkę, gdy nagle promień światła zgasł, a jednocześnie rozległy się dźwięki trąbki, obijając się nieskończonem echem o ściany i rozpadliny skał. Przestraszona dziewczyna zerwała się z miejsca; uszu jej doleciał tętent kopyt i wślad za tem oddział jeźdźców w dobrze jej znanych mundurach Wirgińczyków okrążył podnóże pobliskiej skały i popędził dalej doliną. Znowu rozległy się różne dźwięki trąbki, i nim oszołomiona Fanny zdążyła zebrać myśli, Dunwoodie wyminął oddział dragonów, zeskokczył z konia i zbliżył się do niej.

Zachowanie się jego było poważne i przyjazne, ale jakby zlekka zakłopotane. W kilku słowach objaśnił, że odkomenderowano go z częścią oddziału Lawtona, aby w nieobecności kapitana stawił się na sąd nad Henrykiem, mający się odbyć nazajutrz i że zaniepokojony o podróży w tych niebezpiecznych górskich szlakach, wyjechał parę mil na ich spotkanie. Fanny nawzajem wytłumaczyła mu drżącym głosem przyczynę swojej obecności na skale, dodając, że za chwilę i tamci nadjadą. Ale zakłopotanie Dunwoodie'go udzieliło się mimowoli i jej samej, tak że ukazanie się karocy sprawiło ulgę obojgu. Major pomógł jej wsiąść, powiedział kilka pocieszających słów panu Whartonowi i pannie

Peyton, i wskoczywszy znów na siodło, pojechał przodem ku równinie Fishkill, która na zakręcie skały ukazała się nagle oczom podróżnych, niby dotknięciem różdżki czarnoksiężskiej wywołana. W niespełna półgodziny potem karoca stanęła przed wiejskim domkiem, gdzie już z polecenia Dunwoodie'go wszystko było gotowe na przyjęcie gości, i gdzie kapitan Whar-ton niecierpliwie oczekiwał ich przybycia.

ROZDZIAŁ XXVI.

„Trudy żołnierskie zahartowały te członki, a bledź trwogi nie okryła nigdy tych policzków. Ale powieść twoja porusza we mnie wszystkie człowiecze uczucia. Dreszcz wstrząsa moją postacią, a łzy dziecięcego bólu płyną po wyżłobionych przez rany bródzadach.”

Duo.

Rodzina Henryka Whartona była tak mocno przekonana o jego niewinności, że to poniekąd zamykało jej oczy na groźące mu niebezpieczeństwo. W miarę jednak jak zbliżała się chwila stanowcza, wzrastał niepokój samego obwinionego. Spędziwszy znaczną część nocy ze stroskaną rodziną, zbudził się rankiem z krótkiego przerywanego snu z jaśniejszem poczuciem położenia i warunków, składających się obciążająco przeciwko niemu. Wysokie stanowisko André'go, doniosłość spisku, jaki knował w połączeniu z potężnymi wpływami, jakie poruszono na rzecz jego, wszystko to wyodrębniło jego sprawę i stracenie z koła zwykłych wydarzeń wojennych. Ale poza tem aresztowania szpiegów zdarzały się niemal codziennie, a sąd doraźny nad nimi był również rzeczą codzienną. Zarówno Dunwoodie jak więzień wiedzieli o tem dobrze, to też obecnie przygotowania wydały się zastraszającemi ich doświadczonym oczom. Pomimo jednak nurtujących w nich obaw umieli je tak dobrze ukryć, że ani panna Peyton, ani Fanny nie domyślały się, jak bardzo były one poważne. Przed domem, w którym umieszczono

więźnia, stały silne strażę i wszystkie przejścia wiodące do niego silnie były strzeżone. U drzwi pokoju oficera angielskiego postawiono również wartę. Wyznaczony dla zbadania sprawy sąd już się ukonstytuował, i los Henryka zawisł od jego wyroku.

Nadeszła wreszcie stanowcza chwila, i wszyscy biorący udział w posiedzeniu zgromadzili się w wyznaczonej na ten cel izbie. Fanny doznała dziwnie dławiącego uczucia, gdy usiadłszy pomiędzy ojcem a panną Peyton powiodła wzrokiem po obecnych. Sędziowie w liczbie trzech, przyodziani w szaty urzędowe, siedzieli osobno z powagą, przynależną ich stanowisku i chwili. Środkowe miejsce zajmował mężczyzna lat podeszłych, z postawą noszącą piętno długoletnich wojskowych trudów i przyzwyczajęń. Był to przewodniczący sądu, i Fanny, pobieżnie i z przykrem wrażeniem spojrzawszy na jego towarzyszy, utkwiała wzrok w dobrotliwej twarzy weterana, której łagodny i pociągający wyraz stanowił przeciwieństwo ze sztywną surowością tamtych. Ubrany był ściśle podług obowiązujących przepisów, tylko palce jego bezwiednym, konwulsyjnym ruchem szarpały kawałek krepy, obwiązującej rękęjeść szabli, na której się opierał, i który, tak jak cała jego postać, zdawał się być zabytkiem przeszłości. Było w nim coś, co zdradzało wewnętrzną mękę udręczonej duszy, a czemu kłam zadawała postawa wojskowa i marsowe oblicze. Towarzysze jego byli oficerami wybranymi z pomiędzy pułków wschodnich, któremi obsadzone były fortece West-Point'u i przyległe do nich przesmyki. Byli to ludzie lat średnich, i oko napróżno szukałoby w ich skupionych, nieruchomych rysach śladów jakiegoś wrażenia lub przyrodzonych naturze ludzkiej ułomności. Postawa ich była poważna i wstrzemięźliwa. Nie było w niej ani okrucieństwa ani srogości, ale nie było również współczucia i żywszego zainteresowania. Byli to ludzie, którzy zdawna podporządkowali wszystkie swoje uczucia rozsądkowi i trzeźwemu sądowi.

Przed takich to arbitrów wprowadzono Henryka Whartona pod zbrojną strażą. Głębokie, uroczyste milczenie zapanowało przy jego wejściu, i Fanny uczuła krew ścinającą się lodem w żyłach. Nie było żadnej pompy w tych przygotowaniach, która mogłaby podziałać na jej wyobraźnię; ale ta właśnie prostota i wstrzemięźliwość, cechująca całe zachowanie się sądu, świadczyły wymownie, że dzieć się tu będą rzeczy rozstrzygające o życiu i śmierci. Dwaj sędziowie spoglądali badawczo na więźnia, ale przewodniczący wodził dokoła niespokojnym wzrokiem, a drżenie muskułów jego twarzy zdradzało niepokój nie licujący z jego wiekiem i powołaniem. Był to pułkownik Singleton, który dopiero poprzedniego dnia dowiedział się o losie Izabeli, ale który pomimo żałoby nie uchylił się od spełnienia powierzonego obowiązku. Milczenie i wyraz oczekiwania, malujący się w utkwionych w nim spojrzeniach, przywołały go wreszcie do rzeczywistości; opanował się i przemówił nawykłym do rozkazywania głosem:

— Przeprowadzić bliżej więźnia.

Pochyliły się bagnetę w stronę sędziów, i Henryk Wharton pewnym krokiem wystąpił na środek izby. Niepokój i ciekawość odmalowały się w twarzach obecnych. Fanny spojrzała przelotem z wdzięcznością w stronę Dunwoodie'go, usłyszawszy jego przyspieszony, ciężki oddech; lecz wnet myśl o bracie pochłonęła wszystkie jej władze. W głębi zgromadzili się członkowie rodziny właściciela folwarku; a za nimi widać było szereg hebanowych, ciekawością połyskujących twarzy, wśród których wyróżniało się zwiędłe, strapione oblicze Cezara Thompsona.

— Podaśny — ozwał się znów przewodniczący — głos opinii twierdzi, że jesteś Henrykiem Whartonom, kapitanem sześćdziesiątego pułku piechoty armji angielskiej.

— Jestem nim.

— Podobna mi się pańska szczerłość; przystoi ona żołnierzowi i niechybnie życzliwie usposobi dla ciebie sędziów.

— Należałoby — rzekł jeden z towarzyszy przewodniczącego — objaśnić więźnia, że obowiązany jest odpowiadać tylko na to, co uzna za potrzebne; aczkolwiek jesteśmy sądem wojennym, szanujemy w tym względzie zasady wszelkich wolnych rządów.

Drugi sędzia milczącym skinieniem głowy wyraził zgodę na tę uwagę, a przewodniczący ciągnął dalej badanie z wielką ostrożnością, spoglądając na trzymane w ręku notatki.

— Jesteś pan oskarżony, że będąc oficerem wojsk nieprzyjacielskich, przeszedłeś pikietę armji amerykańskiej na Białych Równiach, w przebraniu, co ściąga na ciebie podejrzenie o wrogię względem Ameryki zamiary i poddaje cię karze stosowanej do szpiegów.

Łagodny ale pewny głos przewodniczącego, gdy zwolna wygłaszał to oskarżenie, pełen był nakazującej powagi. Oskarżenie było tak wyraźne, fakty tak ograniczone, dowody tak niezbite, a kara tak ściśle określona, że wszelkie usprawiedliwienie się zdawało się jakby wykluczone. Henryk jednak odpowiedział z godnością:

— Prawda, że przeszedłem pikietę w przebraniu, ale...

— Dosyć — przerwał przewodniczący. — Prawa wojenne są same w sobie surowe; nie potrzebujesz pan pomagać im własnym potępiającym zeznaniem.

— Obwiniony może cofnąć to zeznanie, jeżeli chce — zauważył jeden z sędziów — wciągnięcie go bowiem do protokołu jest samo przez się potwierdzeniem oskarżenia.

— Nie cofam niczego, co jest prawdą — odparł dumnie Henryk.

Obaj sędziowie wysłuchali tych słów z milczącym spokojem, przewodniczący jednak popatrzył na niego z rozbudzoną na nowo życzliwością.

— Uczucia pańskie są szlachetne — rzekł — i wypada mi żałować, że tak młody oficer dał się tak unieść błędnem zrozumieniem lojalności, by się aż uciekać do oszukaństwa.

— Oszukaństwa! — powtórzył Wharton — uważałem za rzecz rozsądną zabezpieczyć się przeciwko pojmaniu przez nieprzyjaciół.

— Żołnierz, kapitanie Whartonie, nie powinien nigdy inaczej iść na spotkanie nieprzyjaciela jak jawnie i z bronią w rękę. Służyłem dwom królom Anglii, jak teraz służę memu krajowi, ale nigdy nie zbliżałem się do wroga inaczej, jak przy świetle dziennem i w dobrej wierze żołnierskiej.

— Służy panu prawo wyjaśnienia celów, dla których wszedłeś w obręb zajętych przez nasze wojska placówek w przebraniu — rzekł drugi sędzia, a kącik ust jego zdrząły lekko.

— Jestem synem tego starca, który tu siedzi przed wami, panowie sędziowie — rzekł Henryk — i dla odwiedzenia go naraziłem się na niebezpieczeństwo. Zresztą wojska wasze rzadko kiedy zajmują tę miejscowość, a sama jej nazwa daje prawo obu stronom swobodnego w niej przebywania.

— Prawo nie uznaje nazwy neutralnego gruntu; jest to nazwa dowolna, z położenia danej miejscowości wpływająca. Ale gdziekolwiek znajduje się armja, przenosi wraz z sobą swoje prawa, a pierwszym z nich jest czuwanie nad własnem bezpieczeństwem.

— Nie jestem kazuistą, panie przewodniczący — odparł młodzieniec — ale czuję, że mój ojciec ma prawo do mego przywiązania, i naraziłbym się na większe jeszcze niebezpieczeństwo, aby mu go dowieść.

— Bardzo chwalebne uczucie — zawołał weteran — panowie, sprawa zaczyna się wyjaśniać. Wyznaję, że z początku przedstawiała się bardzo niekorzystnie, ale nikt nie ma prawa potępiać tego młodzieńca za chęć odwiedzenia rodziny.

— A czy może udowodnić, że takie tylko, a nie inne były jego zamiary?

— Tak, mogę — rzekł Henryk, chwytając się promyka nadziei, tu jest mój ojciec, moja siostra, major Dunwoodie; wszyscy mogą potwierdzić prawdę słów moich.

— W takim razie — rzekł niewzruszony sędzia, może się da uratować pana. Należałoby, panie przewodniczący, rozpatrzyć się bliżej w tej sprawie.

— Bez wątpienia — rzekł przewodniczący skwapliwie. — Niech starszy pan Wharton zbliży się i złoży przysięgę.

Ojciec Henryka zebrał wszystkie siły i postąpiwszy chwiejnym krokiem, dopełnił wymaganej formalności.

— Jesteś pan ojcem obwinionego? — zapytał pułkownik Singleton, poczekawszy chwilę, aby mu dać czas do uspokojenia się.

— To jest mój jedyny syn.

— A co pan wiesz o jego bytności w pańskim domu 29 października bieżącego roku?

— Przybył, jak to już powiedział, aby odwiedzić mnie i swoje siostry.

— Czy był w przebraniu? — zapytał drugi sędzia.

— Nie, był w mundurze swego pułku.

— I siostry — powtórzył przewodniczący z wielkiem wzruszeniem. — Pan masz córki?

— Mam dwie; obie są tutaj.

— Czy był w peruce? — zapytał znów drugi sędzia.

— Miał coś w tym rodzaju na głowie.

— A jak dawno nie widziałeś go pan? — zapytał przewodniczący.

— Rok i dwa miesiące.

— Czy miał na sobie luźny płaszcz z grubego materiału? — zapytał oficer, zaglądając do aktu oskarżenia.

— Tak był w płaszczu.

— I sądzisz pan, że jedynym powodem jego przybycia była chęć odwiedzenia pana?

— Mnie i moich córek.

— Uczciwy chłopak — szepnął przewodniczący milczącemu towarzyszowi. — Nie widzę nic zdrożnego w takim postępku; był nierozważny, ale poczciwy.

— A nie wiesz pan, czy syn pański nie miał żadnego polecenia od sir Henryka Clintona i czy odwiedziny jego nie były tylko płaszczykiem innych celów?

— Skądże ja to wiedzieć mogę? — odpowiedział pan Wharton przestraszony. — Czyż sir Henryk w tajemniczałyby mnie w takie sprawy?

— A wiesz pan co o tym papierze? — zapytał sędzia, pokazując pasport, który Dunwoodie odebrał Henrykowi.

— Nic nie wiem, na honor nic nie wiem — zawołał pan Wharton, cofając się jak przed ukąszeniem żmii.

— Pod przysięgą?

— Nic nie wiem. Przysięgam.

— Masz pan innych świadków? Zeznanie ojca pańskiego nie na wiele ci się przyda, kapitanie Whar-tonie. Ujęto cię w okolicznościach zagrażających twe-mu życiu. W twoich rękach spoczywa los twój, a ra-czej udowodnienie twojej niewinności, co na jedno wy-chodzi. Nie śpiesz się, zbierz myśli.

Było coś przerażającego w spokoju tego sędziego i coś co dreszczem przejęło więźnia. Współczucie pułkownika Singletona napełniało go otuchą, ale chłód i zaciętość tamtych źle wróżyły o jego losie. Milczał więc, spoglądając tylko błagalnie na przyjaciela. Dun-woodie zrozumiał niemą wymowę tych spojrzeń i ofia-rował się na świadka. Zaprzysiężono go, i zażądano, by opowiedział, co mu było wiadomo. Zeznania jego nie miały właściwie znaczenia dla sprawy, i on sam czuł to dobrze. Osobiście wiedział niewiele, a to nie-wiele świadczyło raczej przeciw Henrykowi niż za nim. Wysłuchano go w milczeniu, tylko znaczące wstrzą-

śnienie głową sędziego, który się wcale nie odzywał, świadczyło aż nadto wyraźnie o wrażeniu, jakie sprawił.

— Jednak pan sądzisz, że więzień nie miał innego celu nad ten, do którego się przyznał? — zapytał przewodniczący, gdy tamten skończył.

— Żadnego innego, życie dałbym za to — zawołał major z zapalem.

— Przysięgniesz pan na to? — zapytał niewzruszony sędzia.

— Jakże mogę przysiąc? Bóg jedynie czyta w sercach. Ale znam więźnia od dzieciństwa; zdrada i oszustwo nie leżą w jego naturze; wyższym jest nad te podłości.

— Mówisz pan, że uciekł i że ujęto go ponownie z bronią w rękę — rzekł przewodniczący.

— Tak, otrzymał ranę w bitwie. Teraz jeszcze z trudem porusza ręką. Czy pan sądzi, panie przewodniczący, że narażałby się na ponowne schwytywanie, gdyby nie był pewny swojej niewinności?

— A czy André byłby uciekł z pola walki, majorze Dunwoodie, gdyby go coś podobnego spotkało w pobliżu Tarry-town? — zapytał sędzia. — Nie jestże to rzeczą naturalną, że młodzieniec szuka chwały?

— Pan to nazywa chwałą? — wykrzyknął major. — Haniebna śmierć i splamione imię?

— Majorze Dunwoodie — odpowiedział tamten z nieubłaganą powagą — postąpiłeś pan szlachetnie; miałeś twarde i ciężki obowiązek do spełnienia, ale spełniłeś go wiernie i uczciwie, my również musimy to samo o sobie powiedzieć.

Podczas tego badania słuchacze znajdowali się w stanie najwyższego napięcia nerwów. Z nieokreślonych powodów zdawało im się, że jeżeli Dunwoodie nie zdoła przemówić do serc sędziów, nikt inny tego uczynić nie potrafi. Cezar cały podał się ku przodowi, a na twarzy jego malowała się taka wyrazista gra

uczuc, że milczący sędzia zwrócił na to uwagę i po raz pierwszy przemówił.

— Przyprowadzić murzyna.

Za późno już było na ucieczkę, i Cezar, zanim zdążył opamiętać się, już stał przed obliczem buntowniczych oficerów. Przewodniczący i drugi sędzia ustąpili głosu temu, który zażądał wezwania Cezara, i rozpoczęło się badanie.

— Znasz więźnia?

— Jeszczeby go nie znać — odpowiedział murzyn z powagą przystosowaną do powagi badającego.

— Czy oddał ci perukę, gdy ją zdjął?

— Co mnie po peruka? — mruknął Cezar — ja mieć własne, dobre włosy.

— Czy nosiłeś jakie listy lub zlecenia, kiedy kapitan Wharton znajdował się w domu twego pana?

— Ja robić, co mnie massa kazać — odpowiedział murzyn.

— Ale co ci kazał robić?

— Czasem to, czasem drugie.

— Dosyć — rzekł pułkownik Singleton z powagą. — Mamy zeznanie samego obwinionego; czegoż więcej możemy spodziewać się od niewolnika? Kapitanie Whartonie, widzisz pan niekorzystne wrażenie przeciwno sobie? Czy masz jeszcze co do przytoczenia na swoją obronę?

Henryk utracił już prawie wszelką nadzieję, i ufność, jaką pokładał w czystości własnej sprawy, opuszczała go szybko, jednakże z jakimś nieokreślonym oczekiwaniem pomocy od siostry utkwiał wymowny wzrok w jej pobladłej ślicznej twarzyczce. Fanny powstała i chwiejnym krokiem postąpiła ku sędziom, lecz nagle ognisty rumieniec wytrysnął na jej policzki, chód odzyskał elastyczność, i stanęła przed nimi, odrzucając z gładkiego czoła bujne loki, w całym blasku swej niewinnej, twardsze nawet serca mogącej poruszyć piękności. Przewodniczący przesłonił ręką oczy, jak gdy-

by te wyraziste dziewczęce rysy przywidły mu na pamięć obraz tamtej; opanował się jednak natychmiast i z przejęciem, zdradzającym tajemne jego życzenia, zapytał:

— Więc brat doniósł pani poprzednio o zamiarze odwiedzenia rodziny pokryjomu?

— Nie — nie — odpowiedziała Fanny, przyciskając ręką czoło, jak gdyby dla zebrania myśli — nic mi nie doniósł, nie wiedzieliśmy o niczem, ale czyż potrzebuję tłumaczyć panom, że syn mógł narazić się na niebezpieczeństwo, by odwiedzić ukochanego ojca i to w takich czasach jak obecnie i w takim jak nasze położeniu?

— Ale czy to się zdarzyło po raz pierwszy? Czy nigdy przedtem nie było o tem mowy? — zapytał pułkownik, pochylając się ku niej z ojcowską dobrotliwością.

— O! tak! tak! — zawołała Fanny, chwytając się jak deski zbawienia tego pocziwego wyrazu jego twarzy. — Odwiedził nas teraz po raz czwarty.

— Byłem tego pewny — wykrzyknął weteran, zacierając ręce z zadowoleniem. — Kochający syn, zacny chłopiec, a w polu zapewne odważny i zapalczywy żołnierz. A w jakimże przebraniu przychodził?

— W żadnym, bo żadnego nie było potrzeba. Wojska królewskie zajmowały wtedy okolice i dawały mu wolne przejście.

— Więc po raz pierwszy przybył w ten sposób, po cywilnemu? — zapytał pułkownik znużonym głosem, unikając przenikliwych spojrzeń towarzyszy.

— O! tak! — wykrzyknęła Fanny z żywością — pierwszy raz popełnił to przestępstwo, jeżeli to wogóle przestępstwem być może.

— Ale pani zapewne pisywała do niego, żeby przybył; przecież musiałaś pragnąć zobaczyć brata? — dodał niecierpliwie pułkownik.

— Och! pragnęliśmy tego, modliliśmy się o to wszyscy gorąco, ale znoszenie się z królewską armją mogło narazić naszego ojca — więc nie śmieliśmy pisać.

— Czy wychodził z domu, dopóki go nie zaarrestowano, czy widywał się z kim poza domownikami?

— Z nikim — z nikim, wyjąwszy naszego sąsiada, kramarza Bircha.

— Kogo? — wykrzyknął pułkownik, poblądwszy i wzdrygnąwszy się jakby za dotknięciem gadziny.

Dunwoodie jęknął głucho, uderzył się dłonią w czoło, krzyknął rozdzierającym głosem: „Zgubiony!” i wybiegł z izby.

— Harveya Bircha — powtórzyła Fanny, patrząc błędnie na drzwi, za któremi zniknął jej ukochany.

— Harveya Bircha — powtórzyli wszyscy sędziowie; dwaj towarzysze przewodniczącego zamienili pomiędzy sobą znaczące spojrzenia, poczem zwrócili je bystró na więźnia.

— Panowie — rzekł Henryk, występując znów na środek — nie może być wam tajemem, że Harvey Birch podejrzany jest o sprzyjanie królewskiej sprawie, wasze sądy bowiem wydały już na niego wyrok, który mnie oczekuje teraz. Muszę przeto wyjaśnić, że on to dostarczył mi przebrania i ułatwił przejście pikiet, ale do ostatniego tchnienia zapewniać nie przestanę, że zamiary moje były jak najczystsze.

— Kapitanie Wharton — rzekł przewodniczący uroczyście — wrogowie swobód Ameryki chwyтали się wszelkich możliwych sposobów, by nas zgębić. A nie mamy niebezpieczniejszego wroga, względnie do jego środków i stanowiska, nad tego kramarza z West-Chesteru. Jest to szpieg, zręczny, obrotny, przenikliwy, przewyższający temi zdolnościami wszystkich innych. Sir Henryk nie mógł postąpić trafniej, jak przydając go do pomocy oficerowi w swoich machinacjach. On byłby ocalił André'go. Istotnie, młodzieńcze, ta znajomość może się stać dla ciebie fatalną.

Twarz sędziwego wojownika płonęła szczerem oburzeniem, które w zupełności podzielał jego towarzysze.

— Zgubiłam go! — wykrzyknęła Fanny, rozpaczliwie łamiąc ręce — i pan nas opuszczał!... Ach! to już niema dla niego ratunku.

— Przestań, niewinne dziewczę, przestań — rzekł pułkownik, silnie wzruszony — nie gubisz nikogo, ale udręczasz nas wszystkich.

— Takąż to zbrodnia żywić uczucia rodzinne! — zawołała Fanny z uniesieniem. — Czyż Washington, szlachetny, prawy, bezstronny Washington, osądziłby go tak srogo? Poczekajcie, panowie, aż go wysłucha Washington.

— To niemożliwe — rzekł przewodniczący, przestaniając ręką oczy, jakby niezdolny patrzeć dłużej na tę cudną dziewczęcą postać.

— Niemożliwe! Och! panowie, wstrzymajcie się z wyrokiem, chociaż na tydzień. Na kolanach błagam was o to; jeżeli sami pragniecie miłosierdzia Boskiego nad sobą, tam gdzie ludzka potęga pomóc wam nie zdoła, dajcie mu choć jeden dzień zwłoki.

— To niemożliwe — powtórzył pułkownik zdławionym głosem — mamy stanowcze rozkazy; już i tak przeciąga się to za długo.

Odwrócił się od klęczącej, ale nie mógł, czy nie chciał uwolnić ręki, którą rozpaczliwie trzymała w obu dłoniach.

— Odprowadzić więźnia — rzekł jeden z sędziów do oficera, mającego straż nad Henrykiem. — Pułkownikowi Singleton, czy mamy się cofnąć na naradę?

— Singleton! Singleton! — powtórzyła Fanny. — Więc pan jesteś ojcem; więc wiesz, co to jest ból ojcowskiego serca. O! pan nie możesz, pan nie zranisz śmiertelnie serca, które już i tak krwią opływa. Wysłuchaj mnie, pułkowniku Singletonie, jak pragniesz,

by Bóg wysłuchał cię w ostatniej godzinie; wysłuchaj mnie i oszczędź mego brata!

— Zabierzcie ją! — rzekł pułkownik, łagodnie usiłując uwolnić rękę z rozpaczliwego uścisku jej dłoni. Ale Fanny jej nie puszczała, a nikt się nie ruszył, by spełnić rozkaz pułkownika.

— Pułkowniku Singleton! jakże niedawno syn twój był w niebezpieczeństwie życia i cierpiał. Pod dachem mego ojca znalazł opiekę i ratunek. O! pomyśl o tym synu ukochanym, o tej chlubie twojej starości, postaw go na miejscu mego brata, i wydaj na niego wyrok, jeżeli potrafisz.

— Jakiem prawem Heath robi ze mnie kata! — zawołał weteran z uniesieniem, powstając z napęczniałymi na czole żyłami i twarzą całą w ogniu. — Ale zapominam się. Pójdźmy, panowie, musimy dopełnić bolesnego obowiązku.

— Nie, nie — krzyknęła Fanny. — Jak możecie z taką zimną krwią wydzierać syna ojcu, brata siostrze? Toż jest sprawa, którą tak gorąco ukochałam? Toż są ludzie, których mnie czcić nauczono? — Ale pan jesteś wzruszony... pan się ulitujesz i przebaczysz!

— Pójdźmy, panowie! — rzekł pułkownik, prostując się z wojskową dumą, w daremnej chęci uśmierzenia miotających nim uczuć — pójdźmy! — i skierował się ku drzwiom.

— Jeszcze chwilę! — zawołała Fanny, konwulsyjnie ściskając jego dłoń. — Wysłuchaj mnie pan, zaklinam. Pułkowniku Singletonie, jesteś pan ojcem... Liłości, miłosierdzia — miłosierdzia dla syna! miłosierdzia dla córki! Tak, pan miałeś córkę. Na tej piersi wydała ostatnie tchnienie, te ręce zamknęły jej oczy! te same ręce, które teraz błagalnie wyciągają się do ciebie. Czyż za to wydasz wyrok śmierci na mego brata, mego biednego, niewinnego brata?

Głuchy jęk wydarł się z piersi weterana i wstrząsnął jego postacią. Próbował jednak walczyć jeszcze

z przemożnem wzruszeniem; potoczył nawet oczyma dokoła, jakby już pewny zwycięstwa, lecz w tej samej chwili nowy przyływ bólu złamał hart tej żołnierskiej duszy. Głowa jego, ubielona śniegiem siedmdziesięciu zim opadła na ramię klęczącej dziewczyny, szabla towarzysza tyłu krwawych bitw wysunęła się z bezwładnej ręki.

— Niechaj Bóg ci to wynagrodzi! — zawołał i rozplakał się w głos.

Raz puściwszy wodze żalowi, długo nie mógł się uspokoić biedny ojciec. Wreszcie pohamował ból, oddał zemdloną Fanny ciotce, a sam zwracając się do towarzyszy, rzekł z mocą:

— Panowie, musimy spełnić swój obowiązek jako żołnierze; uczuciom naszym jako ludzie możemy potem dać folgę. Co postanowiliście z więźniem?

Jeden z sędziów podał mu papier, na którym w porozumieniu z kolegą napisał wyrok, kiedy pułkownik zajęty był nieszczęsną Fanny.

Wyrok ten opiewał krótko, że Henryk Wharton ujęty był po przejściu bojowej linii armji amerykańskiej w przebraniu jako szpieg. Że, stosownie do praw wojennych, podlegał za to przestępstwo karze śmierci, i że sąd skazał go na nią, rozkazując, aby powieszono go nazajutrz przed godziną dziewiątą zrana.

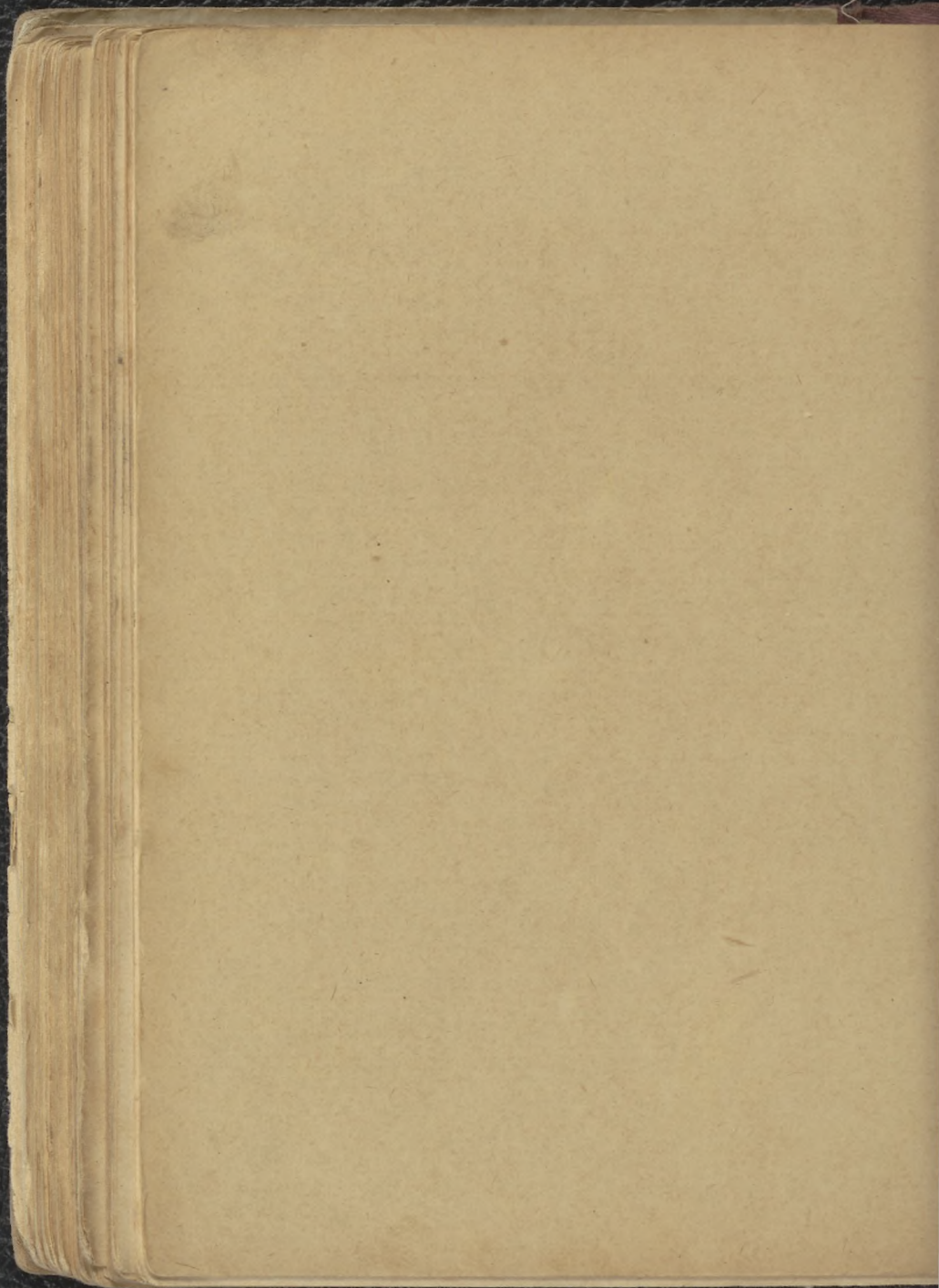
Zwyczajem było, że przy wymierzaniu kary śmierci nawet na wrogów odnoszono się o zatwierdzenie wyroku do Naczelnego Wodza, a w razie jego nieobecności do oficera, pełniącego zastępczo te obowiązki. Ale ponieważ główna kwatera Washingtona znajdowała się w New-Windsor na zachodnim brzegu Hudsonu, czasu jeszcze było dosyć na otrzymanie odpowiedzi.

— Za krótki to termin — rzekł weteran, trzymając pióro w rękę, w jakimś bezwiednem zawieszeniu — niecały dzień dla tak młodego życia na przygotowanie się do wieczności.



. . . Pulkowniku Singletonie, jesteś pan ojcem . . . Litości, miłosierdzia! Str. 343.

Szpieg



— Królewscy oficerowie dali Hale'mu¹⁾ tylko godzinę — odpowiedział jeden z sędziów — my oznaczyliśmy czas przyjęty w takich razach. Ale Washingtonowi służy prawo przedłużyć go, albo ułaskawić przestępcę.

— A więc udam się do Washingtona — zawołał pułkownik, kładąc swój podpis — a jeżeli tyloletnia służba takiego starca jak ja, lub zanego dzielnego chłopca znajdzie posłuch u wodza, to uratuję tego młodzieńca.

Z temi słowy odjechał pełen najlepszych chęci dla Henryka Whartona.

O wyroku powiadomiono więźnia z należytą oględnością, poczem, wydawszy jeszcze niektóre rozporządzenia dyżurnemu oficerowi i wyprawivszy kurjera z raportem do głównej kwatery, dwaj pozostali sędziowie dosiedli koni z tą samą niewzruszoną powagą nazewnątrz i wewnątrznem poczuciem sumiennie i bezstronnie spełnionego obowiązku.

¹⁾ Oficer amerykański tego nazwiska schwytany został w obrębie angielskiej linii bojowej w przebraniu, w którym przekradł się dla zasięgnięcia wojskowych informacji. Stawiono go przed sądem i stracono niezwłocznie. Gdy przyprowadzono go pod szubienicę, jeden z oficerów angielskich rzekł: „Zhańbiłeś pan swoją rangę. Oficer nie powinien umierać taką śmiercią“. Na co Hale miał odpowiedzieć: „Panowie, każda śmierć jest zaszczytna, gdy się umiera za taką sprawę, jak wolność Ameryki“.

André był stracony wśród łez swoich wrogów, Hale'mu w ostatniej chwili towarzyszyły słowa potępienia, a jednak pierwszy padł ofiarą własnej ambicji, drugi — poświęcenia dla ojczyzny. Potomność odda im sprawiedliwość.

ROZDZIAŁ XXVII.

„Czy niema jeszcze odwołania wyroku dla Klaudia? Więc musi umrzeć jutro?”

Szekspir. *Miarka za miarkę.*

Po wysłuchaniu wyroku więzień spędził kilka godzin na łonie rodziny. Pan Wharton płakał jak dziecko nad nieszczęsnym losem syna, a Fanny, odzyskawszy przytomność, wpadła w tak straszną rozpacz, że w porównaniu z nią śmierć sama mogła się wydawać znośną. Jedna panna Peyton zachowała jeszcze odrobinę przytomności, by myśleć o tem, co należało czynić w danych okolicznościach. Względny spokój zacnej ciotki nie wypływał bynajmniej z braku przejęcia się losem siostrzeńca, lecz gruntował się na pewnem instynktownem zaufaniu w szlachetność charakteru Washingtona. Pochodził on z tej samej co ona kolonji, a chociaż tak się złożyło, że się nigdy nie spotkali, panna Peyton nasłuchiwała się dosyć o jego domowych cnotach i wiedziała, że surowa nieugiętość, cechująca jego publiczne czyny, nie licowała bynajmniej z przypisywaną mu w prywatnem życiu dobrocią. Słynął w Wirginji jako sprawiedliwy i wyrozumiały pan dla swoich domowników, i panna Peyton z pewną dumą myślała o tem, że ten właśnie jej rodak stał na czele wojsk i w znacznej mierze kierował losami Ameryki. Wiedziała też, że Henryk nie był winien zbrodni, za jaką miał śmierć ponieść, i poprostu pojąć nie mogła, aby prawo karało za niepopelnione winy. Ale i tej śkierce nadziei, tlejącej w jej sercu, sądzone było zga-

nać niezadługo. Około południa pułk milicji, konsystującej na brzegach rzeki, ukazał się naprost domu, w którym przebywała nasza bohaterka i jej rodzina, i rozbił spokojnie namioty z widocznym zamiarem pozostania tu aż do następnego rana, aby obecnością swoją dodać niejako znaczenia i powagi stracenia angielskiego szpiega.

Dunwoodie spełnił wszystko, co miał sobie poleczone, i mógł połączyć się ze swoim szwadronem, oczekującym niecierpliwie jego przybycia, aby wyruszyć na wroga, o którym wiadomo było, że zwolna posuwa się wzdłuż brzegów rzeki, by osłonić tył furazującego oddziału. Z Dunwoodie'm przybył tu także mały oddziałek Lawtonowych dragonów z porucznikiem Masonem jako komendantem, a to dla świadczenia w sprawie kapitana Whartona. Okazało się to jednak zbyt późne, ponieważ Wharton nie zapierał się popełnionego czynu. Major, nie mając odwagi patrzeć na rozpacz rodziny Henryka i lękając się ulec sam wpływowi tego bólu, spędził parę godzin na samotnej przechadzce w pobliżu domu. Jak panna Peyton pokładał on niejaką wiarę w miłosierdzie Washingtona, co nie przeszkadzało, że raz po raz oddawał się najczarniejszym myślom i zwątpieniu. Zresztą nawykł on widzieć w swoim generale raczej najwyższego wodza niż prywatnego człowieka i miał w pamięci świeży przykład nieugiętości Washingtona, tam gdzie w grę wchodziła sprawa wolności Ameryki. Gdy tak chodził po sadzie, miotany naprzemian nadzieją i zwątpieniem, zbliżył się do niego Mason całkowicie przybrany jak do drogi.

— Myśląc, że pan major zapomniał o otrzymanych dziś zrana nowinach, pozwoliłem sobie sprawić oddział do wymarszu — rzekł porucznik, ścinając pochwałę szabli przydrożne korzonki.

— O jakich nowinach? — zapytał major, jakby budząc się ze snu.

— Tylko o tych, że John Bull grasuje po West-Chesterze z całą czeredą furgonów, a jeżeli mu się

uda naładować, my będziemy zmuszeni cofnąć się przez te przekłete wzgórza w poszukiwaniu obroku. Ci głodni Anglicy tak się wyposzczą na York Island, że skoro raz odważą się wytknąć nos poza wyspę, to jednego kłaczka słomy nie zostawią po sobie.

— A gdzie ich nasi wywiadowcy zostawili? Zupełnie o tem zapomniałem.

— Na wzgórzach ponad Sing Sing — odpowiedział porucznik z niemałym zdziwieniem. — Droga tam wygląda, jakby kto stóg siana rozrzucił, a wszystkie świny kwiczą żałośnie, gdy przewożą koło nich zboże do Kingsbridge. Ordynans Jerzego Singletona, który przywiózł tę wiadomość, powiada, że nasze konie miały wielką ochotę pozbyć się jeźdźców i popaść się gruntownie, bo wielkie pytanie, czy im się znowu zdarzy potemu sposobność. Jeżeli pozwolimy tym łupieżcom wywieźć to wszystko, to na Boże Narodzenie nie znajdziemy ani jednego wieprza, bo wszystkie pozdychają z głodu.

— Nic mnie to nie obchodzi, co mówi ordynans Singletona, panie Mason — zawołał niecierpliwie Dunwoodie — powiedz mu pan, aby się nauczył czekać na rozkazy starszych.

— Przepraszam w jego imieniu, majorze Dunwoodie — rzekł porucznik — ale, jak ja, był w błędzie. Obaj myśleliśmy, że z rozkazu generała Heath'a mamy niepokoić i ścigać nieprzyjaciela, skoro tylko wychyli się z gniazda.

— Opamiętaj się, poruczniku Masonie — rzekł major — albo będę zmuszony pouczyć pana, że masz pan słuchać tylko tych rozkazów, które przechodzą przeze mnie.

— Wiem o tem, majorze Dunwoodie, wiem o tem, i przykro mi, że pan nie raczysz pamiętać, iż nie zawahałem się nigdy w ich spełnieniu.

— Przebacz mi Masonie — zawołał Dunwoodie, ujmując obie ręce młodzieńca. — Wiem, że jesteś dziel-

nym i posłusznym żołnierzem. Nie zważaj na moje zdenerwowanie. Ale ta sprawa... Miałeś kiedy przyjaciela?

— Nie! nie! — przerwał porucznik — to pan przebac mi moją gorliwość. Wiedziałem o rozkazach i lękałem się, by mój zwierzchnik nie spotkał się z przyganą. Ale zostań pan, i niech kto piśnie jedno słowo przeciwko tobie, a wszystkie szable same wyskoczą z pochew. Zresztą oni tam jeszcze tkwią, a z Croton do Kingsbridge droga długa. Cokolwiek bądź się stanie, nie wątpię, że im jeszcze nastąpimy na pięty, zanim zemkną do nory.

— Och! gdyby ten kurjer z głównej kwatery powrócił! — wykrzyknął Dunwoodie. — Ten stan niepewności jest nie do zniesienia.

— Spełniło się pańskie życzenie — zawołał Ma-son — bo otóż i on; jedzie, jak gdyby z dobrą nowiną. Daj Boże, aby tak było, bo i ja nie chciałbym patrzeć na takiego dzielnego młodzieńca, tańczącego w powietrzu.

Dunwoodie nie słyszał już tych słów, bo przeskoczył parkan i stanął przed posłańcem.

— Jakie nowiny? — zawołał, skoro tylko żołnierz osadził konia.

— Dobre! — odpowiedział tamten, i bez wahania wręczył papier Dunwoodie'mu, dodając: — Pan major wręszcie sam się o tem może przekonać!

Dunwoodie nie czytał, ale z szybkością strzały po-pędził do izby więźnia. Straże znały go i przepuściły bez pytania.

— Och! Peytonie! — zawołała Fanny, ujrawszy go wchodzącego — wyglądasz jak poseł z nieba! Czy przynosisz ułaskawienie?

— Patrz, Fanny! patrz, Henryku! patrz, droga kuzynko Joasiu! — zawołał młodzieniec, drżącemi rękoma łamiąc pieczęć! — Tu jest list, zaadresowany do dyżurnego kapitana. Ale posłuchajcie...

Wszyscy wlepili w niego oczy z najwyższym niepokojem, i ból niewysłowiony przeszył ich serca, gdy zobaczyli blask uszczęśliwienia, jakim jaśniała twarz majora, ustępujący wyrazowi zgrozy i rozpacz. Koperata zawierała wyrok sądu z tym krótkim dopiskiem:

„Zatwierdzono. Jerzy Washington”.

— Zgubiony! Zgubiony! — krzyknęła Fanny, padając w objęcia ciotki.

— Mój syn! Mój syn! — jęknął ojciec. — Jeżeli na ziemi niema miłosierdzia, to w niebie jest ono z pewnością. Oby Washington nigdy nie potrzebował tego miłosierdzia, którego odmawia memu niewinnemu dziecku.

— Washington! — powtórzył Dunwoodie, błędnie patrząc dokoła — tak, to podpis Washingtona, jego nazwisko widnieje tu, by uprawomocnić ten czyn straszliwy.

— Okrutny, okrutny Washington! — zawołała panna Peyton. — Takie ciągłe obcowanie z krwią zmieniło jego naturę.

— Nie potępiaj go, kuzynko — rzekł Dunwoodie — to generał tak postąpił, a nie człowiek. Życie dałbym za to, że głęboko odczuł cios, który zmuszony był wymierzyć.

— O! jakżem się na nim zawiodła! — wykrzyknęła Fanny. — To nie zbawca ojczyzny ale zimny, bezlitośny tyran. O! Peytonie! Peytonie! Jakżeś mnie omaił co do jego charakteru.

— Przestań! droga Fanny, przestań na miłość Boską; nie mów w ten sposób. On jest tylko stróżem prawa.

— Prawdę mówisz, majorze Dunwoodie — rzekł Henryk, ochłonawszy z wrażenia, jakie na nim zgaśnięcie tej ostatniej iskry nadziei wywarło, i zbliżając się do ojca: — Ja, który mam paść ofiarą jego postanowienia, nie potępiam go. Postąpiono ze mną z całą

ogłędnością, jakiej miałem prawo żądać. Na krawędzi grobu nie mogę być niesprawiedliwym. W takiej chwili, z tak jaskrawym, niedawnym przykładem niebezpieczeństwa, na jakie zdrada mogła narazić waszą sprawę, nie dziwię się nieugiętej sprawiedliwości Washingtona. Pozostaje mi więc tylko przygotować się na los, który mnie niezadługo oczekuje. Do ciebie, majorze Dunwoodie, zwracam się z pierwszą prośbą.

— Wymień ją — rzekł major zdławionym głosem.

Henryk odwrócił się i wskazując na płaczącą gromadkę, ciągnął dalej:

— Bądź synem temu starcowi, wspieraj jego bezsilność, osłaniaj go od prześladowań, jakie rzucona na mnie hańba ściągnęłyby na niego mogła. Nie ma on wielu przyjaciół wśród kierowników tego kraju, niech twoje potężne imię znajdzie się pomiędzy nimi.

— Tak będzie.

— A ta biedaczka — mówił dalej Henryk, wskazując na Sarę, która siedziała w zupełnej nieświadomości tego, co się dokoła niej działo. — Sądziłem, że znajdę może sposobność pomszczenia jej krzywd — tu przelotny rumieniec zabarwił mu lica — ale to są zdrożne myśli, czuję to. Pod twoją opieką, Dunwoodie, niech znajdzie współczucie i schronienie.

— Znajdzie je — szepnął Dunwoodie.

— Ta dobra ciotka nasza ma już prawa do twojej życzliwości, więc ci jej nie polecam, ale ta — tu ujął rękę Fanny, patrząc na nią z braterskiem przywiązaniem — to jest najcenniejszy dar ze wszystkich. Przygarnij ją do twojej piersi, i kochaj, jakbyś kochał niewinność i cnotę.

Major nie mógł powściągnąć skwapliwości, z jaką wyciągnął rękę po ten dar upragniony; ale Fanny, unikając jego dotknięcia, ukryła twarz na łonie ciotki.

— Nie, nie, nie — szepnęła — nie może stać się dla mnie czemś ktoś, co się przyczynił do zguby mego brata.

Henryk spoglądał na nią tkliwie chwil kilka, poczem ponowił:

— Omyliłem się tedy. Sądziłem Peytonie, że twoja wartość, twoje szlachetne oddanie się sprawie, którą cię czcić nauczono, że dobroć, jaką okazywałeś naszemu ojcu, gdy był więziony, twoja przyjaźń dla mnie, twój charakter, że to wszystko znajdzie uznanie w oczach mojej siostry.

— I znalazło — szepnęła Fanny, głębiej jeszcze kryjąc twarz na piersiach ciotki.

— Drogi Henryku — rzekł Dunwoodie — jest to sprawa, której lepiej nie poruszać teraz.

— Zapominasz — rzekł więzień z bladym uśmiechem — jak dużo mam do zrobienia i jak mało czasu mi zostaje.

— Obawiam się — rzekł major z twarzą w ogniu — iż panna Wharton powzięła o mnie pewne przekonanie, które spełnienie twego życzenia uczyniłoby jej zbyt trudnem — przekonanie, które zmienić jest już teraz za późno.

— Nie, nie, nie — zawołała Fanny z żywością — mylisz się, Peytonie, umierając rozwiała moje wątpliwości.

— Szlachetna Izabela — szepnęła Dunwoodie. — Jednakże, Henryku, nie nalegaj teraz na siostrę; powiem więcej, nie nalegaj nawet na mnie.

— Mówię przez wzgląd na samego siebie — rzekł Henryk, łagodnie odciągając Fanny z objęć ciotki. — Czyż mogę zostawić w dzisiejszych czasach takie dwie urocze istoty bez męskiej opieki? Dom ich spalony, a nieszczęście wkrótce pozbawi ich jedynego przyjaciela; — tu spojrzął na ojca — możesz umrzeć spokojnie z myślą o niebezpieczeństwach, na jakie mogą być narażone?

— Zapominasz o mnie — rzekła panna Peyton, wzdrygając się w duszy na myśl o zaślubinach w takiej chwili.

— Nie, droga ciotko, nie zapominam o tobie, i nie zapomnę, dopóki tylko nie przestanę pamiętać, ale ty sama zapominasz o czasach i niebezpieczeństwach. Ta zacna kobieta, w której domu mieszkamy, wyprawiła już posłańca po sługę Bożego, by mi na tamten świat ułatwił przejście. Fanny, jeżeli chcesz, abym umarł spokojnie, żebym mógł wszystkie swoje myśli zwrócić ku niebu, zgodzisz się na to, aby ten duchowny połączył cię z Dunwoodie'm.

Fanny wstrząsnęła głową, ale milczała.

— Nie żądam żadnych objawów szczęścia, którego nie będziesz mogła przez całe długie jeszcze miesiące odczuwać, ale chcę, abyś miała prawo do jego nazwiska, aby miał niezaprzeczony tytuł do opiekania się tobą.

Fanny znowu przecząco wstrząsnęła głową.

— Przez wzgląd na tę nieświadomą biedaczkę — tu wskazał na Sarę — przez wzgląd na ciebie samą — na mnie — zaklinam cię, siostró moja.

— Przestań, Henryku, bo mi serce pęknie — zawołało wzruszone dziewczę — za nic na świecie nie wzięłabym ślubu w takiej chwili: unieszczęśliwiłoby mnie to na całe życie.

— Nie kochasz go! — rzekł Henryk z wyrzutem. — Przestaję więc męczyć cię naleganiami, przeciwni twoim skłonnościom.

Fanny jedną ręką przysłoniła twarz, a drugą wyciągając ku Dunwoodie'mu, rzekła poważnie:

— Teraz jesteś niesprawiedliwy dla mnie; przedtem byłeś niesprawiedliwy dla siebie.

— Przyrzeknij mi zatem — rzekł Henryk, pomyślawszy chwilę w milczeniu, — że skoro tylko czas złagodzi wspomnienie mojej doli, oddasz rękę memu przyjacielowi, a poprzestanę na tem.

— Przyrzekam — rzekła Fanny, cofając rękę, którą Dunwoodie delikatnie puścił, nie podniósłszy jej do ust nawet.

— A teraz, droga ciociu, — ciągnął dalej Henryk — zostawcie mnie na jakiś czas samego z Dunwoodie'm. Mam mu parę smutnych zleceń do zakomunikowania i chcę oszczędzić tobie i siostrze mojej bólu ich słyszenia.

— Jest jeszcze czas odwołać się do Washingtona — rzekła panna Peyton idąc ku drzwiom, poczem z nadzwyczajną godnością mówiła dalej:

— Udam się do niego sama; wysłucha chyba rodadzki z jego strony; jesteśmy nawet do pewnego stopnia spowinowaceni z jego rodziną.

— A gdyby zwrócić się do pana Harpera? — rzekła Fanny, po raz pierwszy przypominając sobie jego słowa, wypowiedziane na odjeździe.

— Do Harpera! — powtórzył Dunwoodie, błyskawicznie zwracając się ku niej. — Skąd ta myśl? Czy go znasz?

— To napróżno — rzekł Henryk, odciągając go na bok. — Fanny jako przywiązana siostra czepia się każdej nadziei. Odejdź, kochanie, zostaw mnie z nim sam na sam.

Ale Fanny dostrzegła w oczach Dunwoodie'go wyraz, który ją przykuł do miejsca. Przewyciężwszy wzruszenie, rzekła:

— Był u nas dwa dni; był u nas, kiedy zaaresztowano Henryka.

— I... i... znaliście go?

— Nie — mówiła dalej Fanny, widząc nagłe ożywienie narzeczonego — nie znaliśmy go; przybył do nas wieczorem jako nieznajomy i pozostał przez dwa dni podczas burzy, ale okazywał wiele życzliwości Henrykowi, przyrzekł mu swoją przyjaźń.

— Jakto! — wykrzyknął młodzieniec ze zdumieniem — więc znał twego brata?

— Ależ tak. Na jego życzenie Henryk odrzucił przebranie.

— Ale — rzekł Dunwoodie, poblądwszy z silnego wzruszenia — czy wiedział, że Henryk jest oficerem armji angielskiej?

— Wiedział! — zawołała panna Peyton i nawet ostrzegał nas o tem niebezpieczeństwie.

Dunwoodie porwał fatalny papier leżący wciąż, tak jak wypadł z rąk jego, i z natężeniem wpatrywał się w podpis. Widoczne było, że dzieje się z nim coś niepojętego. Przeciągnął ręką po czole, a oni spoglądali na niego w straszliwym oczekiwaniu, lękając się dać znów dostępu nadziejom, które doznały tak bolesnego rozczarowania.

— Więc co mówił? Co obiecał? — zapytał wreszcie Dunwoodie z gorączkową niecierpliwością.

— Poleciał Henrykowi, aby odwołał się do niego w niebezpieczeństwie; obiecał wywzajemnić się synowi za gościnność ojca.

— I powiedział to, wiedząc że Henryk jest oficerem angielskim?

— Niewątpliwie, i właśnie z myślą o tem niebezpieczeństwie.

— W takim razie — wykrzyknął młodzieniec, puszczając wodze radosnemu uniesieniu — jesteście ocaleni; w takim razie uratuję go, bo Harper nigdy nie zapomina danego słowa.

— Ale czyż to będzie w jego mocy? — rzekła Fanny. — Czy on może zmienić niezłomne postanowienie Washingtona?

— Czy on może? Jeżeli on nie może — wykrzyknął Dunwoodie — to któż będzie mógł? Greene, Heath i młody Hamilton są niczem w porównaniu z tym Harperem! Ale — tu porwał ręce Fanny i ścisnął je konwulsyjnie — ale powtórz mi... powiadasz, że macie jego obietnicę?

— Ależ tak, Peytonie, uroczystą, daną ze świadomością wszystkich okoliczności obietnicę.

— Więc bądź spokojna — zawołał Dunwoodie, przyciskając ją na chwilę do piersi — bądź spokojna, bo Henryk jest ocalony.

I nic więcej nie rzekłszy, wybiegł z pokoju, pozostawiając całą rodzinę w osłupieniu. Dopiero tętent jego konia, z szybkością strzały wypadającego na drogę, wyrwał ich z tego stanu.

Zaczęli teraz rozważać i zastanawiać się nad przyczynami tego nagłego odjazdu i nad prawdopodobieństwem powodzenia jego usiłowań. Jego otucha udzieliła się i im poczęści. Każde z nich czuło, że położenie Henryka poprawiło się; on sam najmniej pokładał w to wiary, i to tylko wiedział, że ten stan zawieszenia gorszym był od samej pewności nieszczęścia. Fanny natomiast była jak odrodzona. Nie zaprzętała sobie głowy wątpliwościami, jakich nie mogła rozwiązać, a ufając, iż narzeczony jej potrafi dokonać wszystkiego, co tylko leży w ludzkiej mocy, i pomnąc na dobrotliwość Harpera, oddała się niepodzielnie szczęściu zbudzonej na nowo nadziei.

Panna Peyton wstrzemięzliwszą była w okazywaniu swej radości i kilkakrotnie strofowała siostrzenicę za ten nadmiar pustoty, skoro nie było jeszcze pewności, że oczekiwania ich zostaną urzeczywistnione. Ale uśmiech, błąkający się na ustach starej panny, zadawał kłam temu rozsądnemu umiarkowaniu.

— Ależ, cioteczko najdroższa — rzekła Fanny żartobliwie — dlaczego chcesz powściągać moją radość z uwolnienia Henryka, skoro ty sama tylokrotnie twierdziłaś, iż niepodobieństwem jest, aby tacy ludzie, jacy stoją na czele naszego kraju, mogli skazać niewinnego człowieka.

— I twierdę to i teraz, moje dziecko, ale trzeba umieć panować zarówno nad swoim szczęściem jak i nad żalością.

Fanny przypomniała sobie słowa umierającej Izabeli i spoglądając ze łzami wdzięczności na zacną ciotkę, rzekła:

— Prawda, ciociu, ale są uczucia, których opanować niepodobna. Ach! to są te potwory, które przybyły tu patrzeć na śmierć bliźniego. Kręcą się po tem polu, jak gdyby życie było dla nich jakimś wojskowym widowiskiem.

— Bo też i jest czemś niewiele więcej dla najemnego żołnierza — rzekł Henryk, usiłując zapomnieć o dręczącej go niepewności.

— Patrzysz tak, kochanie, jakby cię istotnie ten widok zajmował — zauważyła panna Peyton, spostrzegłszy, że siostrzenica jej wygląda przez okno z namiętnością. Ale Fanny nic nie odrzekła.

Z okna, przy którym stała, widać było ów górski przesmyk, którym przejechali, a góra, mająca na szczycie ów tajemniczy szalas, znajdowała się naprzeciw. Jej chropowate, skaliste ściany przeświecały poprzez rozrzucone tu i owdzie i ogołoczone z liści dęby. Góra ta wznosiła się w odległości mniej więcej półmili od domu, a przedmiotem, który zwrócił uwagę Fanny, była postać ludzka, wychylająca się z poza szczególnego kształtu skały i zaraz potem znikająca. Powtórzyło się to kilkakrotnie, jak gdyby ów zbieg (bo na takiego wyglądał) chciał zdać sobie sprawę z tego, co się działo na równinie. Pomimo znacznej odległości Fanny natychmiast powzięła przekonanie, że to był Birch. Może wrażenie to wywołane było w części jakimś nieujętem podobieństwem sylwety, ale przeważnie zrodziło je przypuszczenie, powzięte już poprzednio, skoro tylko Fanny spostrzegła ową postać na szczycie góry. Był to ten sam człowiek, tego była pewną, aczkolwiek obecnie nie miał na plecach toboła. W wyobraźni Fanny, Harvey tak zespolił się z tajemniczą osobą Harpera, że w każdym razie, nawet w mniej wstrząsających warunkach niż te, jakie nią miały od chwili przyjazdu, byłaby zachowała te spostrzeżenia dla siebie. Siedziała więc w milczeniu rozmyślając nad tem ponownem ukazaniem się domniemanego Harveya i usiłując odgadnąć, jaki możliwy

związek ten osobliwszy człowiek mógł mieć z losami jej rodziny. Wszakże do pewnego stopnia uratował Sarę od grożącego jej ciosu i w żadnym wypadku nie zdradzał wrogiemu im wszystkim usposobienia.

Popatrzywszy jeszcze czas jakiś w to miejsce, gdzie pojawiała się owa postać, i widząc, że nie ukazuje się już, odwróciła się do siedzących w izbie członków rodziny. Panna Peyton siedziała obok Sary, dającej pewne znaki zainteresowania się tem, co ją otaczało, ale wciąż w jakiś mętny, oderwany sposób.

— Myślę, kochanie, że już napatrzyłaś się dowoli na manewry pułkowe — rzekła panna Peyton. — W każdym razie przydać ci się to może, jako żonie żołnierza.

— Nie jestem jeszcze żoną — odparła Fanny, czerwieniąc się po białka oczu — i doprawdy nie mamy tak bardzo powodu życzyć sobie drugiego ślubu w rodzinie.

— Fanny! — wykrzyknął brat jej, zrywając się z miejsca i chodząc po izbie w nagłym wzburzeniu — proszę cię, nie dotykaj tej struny. Dopóki jestem w takiej niepewności, chciałbym być w zgodzie ze wszystkimi ludźmi.

— Więc niech się skończy ta niepewność — zawołała Fanny, zrywając się z miejsca — bo oto wraca Peyton z radosną wieścią o twem uwolnieniu.

Zaledwie słów tych dokończyła, drzwi otwarły się i wszedł major. Oblicze jego nie mówiło ani o powodzeniu, ani o porażce, malowało się w niem tylko wielkie rozdrażnienie. Wziął rękę, którą Fanny w porywie serca wyciągnęła ku niemu, lecz puścił ją wnet i padł na krzesło z widocznym zmęczeniem.

— Nie udało ci się! — rzekł Henryk z pozornym spokojem, choć serce rzucało mu się w piersiach.

— Widziałeś Harpera? — spytała Fanny, blednąc.

— Nie, nie widziałem. Przejechałem łódką na drugą stronę rzeki, on zaś musiał przepłynąć się inną na ten brzeg. Wróciłem niezwłocznie i pojechałem za

nim kilka mil w góry na zachód, lecz tu w niepojęty sposób straciłem ślad jego. Wróciłem więc, aby was uspokoić, lecz zobaczę go jeszcze tej nocy i przywiozę ułaskawienie Henryka.

— A widziałeś Washingtona? — zapytała panna Peyton.

Dunwoodie popatrzył na nią przez chwilę, jakby zaskoczony tem pytaniem, poczem odrzekł z pewną powściągliwością:

— Naczelny wódz opuścił swoją kwaterę.

— Ależ, Peytonie — zawołała Fanny z ogarniającą ją znów trwożą — jeżeli się nie zobaczą, to może być za późno. Sam Harper nie wystarczy.

Dunwoodie obrócił z wolna na nią oczy, wciąż pochłonięty jakąś myślą ukrytą, i rzekł:

— Powiadasz, że obiecał pomóc Henrykowi?

— Z wszelką pewnością; z własnej woli, jako wywzajemnienie się za gościnność.

Dunwoodie wstrząsnął głową i spoważniał.

— Nie podoba mi się ten wyraz „gościnność”. To dźwięk pusty. Harper nie byłby się powodował takim jedynie błahym względem. Obawiam się jakiejś pomyłki. Powtórz mi dokładnie, jak się to wszystko odbyło.

Pośpiesznie a z przejęciem spełniła Fanny jego żądanie. Opowiedziała szczegółowo przyjazd jego do Akacji, przyjęcie jakiego doznał i wszystkie wypadki, jakie zaszły podczas jego pobytu. Gdy wspomniała o rozmowie pomiędzy nim a ojcem, major uśmiechnął się, ale milczał. Następnie zdała dokładne sprawozdanie o przybyciu Henryka, o tem co nastąpiło nazajutrz. Ze szczególnym naciskiem powtórzyła, co powiedział Harper, gdy zażądał, aby Henryk zrzucił przebranie, i jakie uwagi czynił o niebezpieczeństwie kroku, na jaki się brat jej ważył. Przypomniała sobie nawet jego szczególne wyrażenie się, że „Henryk bezpieczniejszy jest na skutek tego, że on wie o nim, niż bez tego”. Nadmieniała również z młodzieńczym zachwytem o do-

brotliwym zachowaniu się Harpera względem niej i drobiazgowo opowiedziała pożegnanie się jego z całą rodziną.

Dunwoodie słuchał z początku z poważnym skupieniem, a w miarę jak mówiła, twarz jego rozjaśniała się coraz bardziej. Gdy wspomniała o swoim zachowaniu się względem gościa, uśmiechnął się z zadowoleniem, a gdy skończyła, wykrzyknął radośnie:

— Jesteśmy ocaleni! Jesteśmy ocaleni!

Ale w tej chwili przerwano mu, jak się to w następującym rozdziale okaże.

ROZDZIAŁ XXVIII.

„Sowa lubi ciemności nocne, skowronek wita dzień, trwożna gołąbka grucha pod ręką, lecz sępy wlatują w przestworza.“

Duo.

W kraju tak urządzonym jak Stany amerykańskie, których mieszkańcy porzucili ojczyznę i ukochane domowe ogniska, jako ofiary przekonani i religijnego zapędu, wszystkie obrządki towarzyszące śmierci chrześcijanina bywają przestrzegane, o ile tylko okoliczności pozwalają na to. Właścicielka domu, w którym przebywał więzień i jego rodzina, była gorliwą zwolenniczką wszystkich form kościoła, do którego należała, a wysłuchując w należytem skupieniu i ze skrucą kazań duchownego sąsiedniej parafji, święcie wierzyła, że tylko jego nauki i modły dopomogą Henrykowi Whartonowi do zbawienia. Skoro więc tylko dowiedziała się o wydanym na niego wyroku śmierci, wyprawiła Cezara na najlepszym koniu swego męża, aby sprowadził tego nieodzownego przewodnika na drogę wieczności. Uczyniła to nie porozumiewszy się ani z Henrykiem, ani z jego rodziną, i dopiero gdy wezwano Cezara do jakiejś domowej posługi, wyjaśniła przyczynę jego nieobecności. Młodzieniec przyjął zrazu tę wiadomość z pewną niechęcią; byłby sobie bowiem życzył innego duchownego doradcę, ale w miarę jak życie zaczyna tracić znaczenie, błędną i nasze uprzedzenia i przyzwyczajenia; skończyło się więc na grzecznej podzięce poczciwej kobiecie za jej dobre chęci.

Murzyn powrócił wcześniej i o ile można było wy-
miarkować z jego dość chaotycznego opowiadania, słu-
ga Boży miał przybyć w ciągu dnia. Przerwę, o której
wspomnieliśmy na końcu poprzedniego rozdziału, spo-
wodowało wejście gospodyni. Za wstawiennictwem
Dunwoodie'go rozkazano straży, pilnującej drzwi po-
koju Henryka, by rodzina więźnia każdej chwili miała
do niego wolny przystęp, nie wyłączając Cezara, jako
mogącego być potrzebnym do jakiegoś zlecenia; skoro
jednak chodziło o inne osoby, podlegały one ścisłemu
badaniu i rewizji. Major Dunwoodie podał się również
za członka rodziny i w imieniu wszystkich zaręczył,
że żadne próby ucieczki nie będą przedsięwzięte. Te-
raz tedy dała się słyszeć krótka rozmowa pomiędzy
gospodynią a dyżurnym kapralem przed drzwiami,
które stojący na straży żołnierz otworzył już w ocze-
kiwaniu postanowienia swego komendanta.

— Jakto? odmawiałbyś pan pociechy religijnej
bliźniemu w przeddzień śmierci? — mówiła gospodyni
żarliwie. — Chciałbyś pograć żyć chrześcijańską duszę
w ogień piekielny, kiedy tu właśnie stoi sługa Boży,
mogący ją przeprowadzić wąską a prostą ścieżką?

— Posłuchajno, dobra kobieto — rzekł kapral, od-
suwając ją łagodnie. — Ja tam wcale nie mam ochoty,
żeby mój grzbiet stał się gościńcem, prowadzącym do
nieba. Ładniebym wyglądał stojąc na pikiecie, gdy-
bym nie służył rozkazów. Udajcie się do porucznika
Masona, a jeżeli on pozwoli, to niech sobie cała kon-
gregacja tu wchodzi. Zluzowaliśmy dopiero przed go-
dziną piechotę, i nie życzę sobie, żeby mówiono, że
my znamy się mniej na obowiązkach niż milicja.

— Wpuścić tę kobietę — rzekł Dunwoodie suro-
wo, teraz dopiero spostrzegłszy, że jeden z jego ludzi
był na posterunku.

Kapral podniósł rękę do czapki i cofnął się w mil-
czeniu; żołnierz stanął w pozycji i gospodyni weszła.

— Proszę państwa, przybył walebny sługa Boży,
aby pocieszyć żegnającą się ze światem duszę, w za-

stępstwie naszego duchownego, który ma inne bardzo ważne zajęcie; właśnie wypadł mu pogrzeb starego pana...

— Niech wejdzie — przerwał Henryk z gorączkową niecierpliwością.

— Ale czy go straż przepuści? Nie chciałabym, żeby przyjaciel naszego duchownego, przez niego tu przysłany, doznał jakiej przykrości. W dodatku człowiek obcy...

Wszystkie oczy zwróciły się teraz na Dunwoodie'go, który spojrzawszy na zegarek, zamienił kilka słów pocichu z Henrykiem i wyszedł z pokoju, a za nim Fanny. Przedmiotem cichej rozmowy obu młodych ludzi była prośba Henryka o duchownego jego własnego wyznania i obietnica majora, że mu przyśle takowego z miasteczka Fishkill, przez które miał przejeżdżać, udając się do przewozu, aby tam czekać spodziewanego powrotu Harpera. Wkrótce potem zjawił się Mason, a na skutek udzielonego przez niego pozwolenia wprowadzono duchownego, którego poprzedzał Cezar, a za którym postępowała gospodyni.

Duchowny ów był człowiekiem już niemłodym, więcej niż lat średnich i dosyć wysokiego wzrostu, a niezmierna chudość czyniła go jeszcze wyższym. Rysy miał ostre i surowe, brwi ciemne, obwisłe i ściągnięte jakby nienawiścią występków ludzkości. Olbrzymie zielone okulary zasłaniały mu oczy, patrzące przez szkła ze złością, zapowiadającą bliski dzień strasznego sądu. Cała jego postać tchnęła fanatyzmem i bezwzględnością. Długie szpakowate włosy opadały mu po obu bokach twarzy, przesłaniając ją poniekąd; na głowie miał duży trójgraniasty kapelusz, głęboko na czoło wciśnięty. Odzież miał czarną, podniszczoną, obuwie zakurzone z dużymi posrebrzanymi klamrami.

Wszedł dumnym krokiem do pokoju, sztywno skłonił się obecnym, usiadł na podanem mu krześle w uroczystym milczeniu. Przez kilka minut nikt tego mil-

czenia nie przerwał. Henryk powziął nieprzeparty wstręt do tego gościa, a przybysz wydawał głuche jęki i westchnienia, jak gdyby jego eteryczna dusza miała lada chwila rozstać się ze swą niepowabną powłoką. Podczas tych złowrogich przygotowań pan Wharton wyprowadził Sarę z uczuciem zbliznem do tego, jakiego doznawał syn jego. Duchowny zauważył to z rodzajem pogardliwego lekceważenia i zaczął nucić popularny psalm, nadając mu owo nosowe brzmienie, charakteryzujące wschodnie¹⁾ kościelne pienia.

— Cezarze — rzekła panna Peyton — podaj panu coś pokrzepiającego. Musi być zmęczony po drodze.

— Moja siła nie leży w rzeczach tego świata — rzekł duchowny głuchym, grobowym głosem. — Trzykrotnie wzywano mnie dziś na służbę Pana mego i nie zemdlałem; jednakże rozsądną jest rzeczą dopomóc tej kruchej ziemskiej powłoce, gdyż powiedzianem jest, że „robotnik wart jest zapłaty”.

Powiedziawszy to, otworzył szerokie jak wrota usta i połknął sporą ilość podanego mu konjaku z tą łatwością, z jaką człowiek skłonny jest do grzechu.

— Lękam się zatem — rzekła panna Peyton — że zmęczenie nie pozwoli panu spełnić obowiązków, których się uprzejmie podjąłeś.

— Niewiasto! — wykrzyknął nieznamy z energją — kiedyż słyszano, abym cofnął się przed spełnieniem powinności mojej! Ale „nie sądzicie, abyście nie byli sądzeni”, a ty niewiasto, nie wyobrażaj sobie, że śmiertelne oczy przeniknąć mogą zamiary Bóstwa.

— Nie — odrzekła łagodnie panna Peyton, aczkolwiek całe zachowanie się nowoprzybyłego odpychające wywarło na niej wrażenie. — Nie sądzę nigdy czynów i zamiarów moich bliźnich, a tem mniej Wszzechmogącego Stwórcy.

¹⁾ Wschodniemi nazywają się Stany Nowej Anglii, które będąc pierwotnie założone przez purytanów, zachowują jeszcze wiele wybitnych cech tej sekty.

— To dobrze, niewiasto, to dobrze — zawołał duchowny, pogardliwie kiwając głową. — Pokora przystoi pći twojej i potępionemu stanowi, słabość bowiem zawiodła cię na bezdroża jak gdyby, „w samo jądro zatracenia“.

Zdumiona tą szczególną mową, lecz ulegając przyzwyczajeniu, które skłania nas do mówienia ze czcią o rzeczach uświęconych, wtedy nawet kiedy może byłoby lepiej, żebyśmy milczeli, panna Peyton odpowiedziała łagodnie:

— Jest Potęga nad nami, która nam dopomoże wszystkim i utrzyma na dobrej drodze, jeżeli szczerze i z pokorą odwołamy się do Niej.

Nieznamy popatrzył na mówiącą chmurnie, poczem przybrawszy skruszoną postawę, mówił dalej tym samym, odstręczającym tonem:

— Nie każdy, kto wzywa miłosierdzia, wysłuchanym będzie. Drogi Opatrzności zakryte są dla oczu ludzkich. „Wielu jest powołanych, ale mało wybranych“. Łatwiej mówić o pokorze niż ją czuć! Jesteś tak pokornym, nędzny robaku, żeby chcieć uczyć Boga własnem potępieniem? Jeżeli nie, precz z tobą, celniku i faryzeuszu!

Taki ślepy i zacięty fanatyzm był czemś niezwykłym w Ameryce; panna Peyton zaczęła podejrzewać, że gość jej ma niedobrze w głowie, lecz przypomniawszy sobie, że przysłał go dobrze znany i ceniony duchowny, odrzuciła tę myśl i rzekła pobłaźliwie:

— Może się mylę mniemając, że miłosierdzie dostępne jest dla wszystkich, ale jest to myśl tak pocieszająca, że niechętniebym się z nią rozstała.

— Miłosierdzie jest tylko dla wybranych — wykrzyknął duchowny z niepojętą zapalczywością — a ty znajdujesz się na „dolinie cieniów śmierci“! Alboż nie jesteś wyznawczynią czczych obrządków, przynależnych temu próżnością tchnącemu kościołowi, który tyrani nasi pragnęliby tu zaprowadzić wraz ze stemplowemi aktami i prawem o herbacie? Odpowiedz mi

na to, niewiasto, i pamiętaj, że Niebo słyszy twoją odpowiedź: Czy nie należysz do tego bałwochwalczego zgromadzenia?

— Modłę się u ołtarzy moich ojców — rzekła panna Peyton, dając znak Henrykowi, aby milczał — ale...

— Tak, tak, mam cię, zarozumiała papistko, hołdowniczko form i słuchaczko kazań książkowych; czy ty sobie wyobrażasz, niewiasto, że święty Paweł trzyma w rękę zapiski, aby głosić słowo Boże wierzącym?

— Obecność moja wyprowadza pana z równowagi — rzekła panna Peyton wstając — zostawię więc pana z moim siostrzeńcem i osobno wzniosę te modły do Pana, które chciałam połączyć z waszemi.

To powiedziawszy wyszła, a za nią gospodyni, zdziwiona, poniekąd zgorszona niepohamowaną gorliwością przybysza; bo aczkolwiek poczciwa kobiecina wierzyła święcie, że panna Peyton i cały jej kościół znajdują się na drodze do zagłady, nie była jednak przyzwyczajoną słyszeć tak bezwzględnych i potępiających przepowiedni ich losów.

Henryk z trudem hamował oburzenie na tę niczem nie wywołaną napaść na jego łagodną i pojednawczą ciotkę, ale skoro drzwi zamknęły się za nią puścił mu wodze.

— Wyznać muszę, panie! — zawołał z gniewem — że przyjmując sługę Bożego, sądziłem, że przyjmuję chrześcijanina i to takiego, który czując własne słabości, umie litować się nad ułomnościami drugich. Zraniłeś pan tkliwą duszę najzacniejszej w świecie kobiety, a ja nie mam bynajmniej ochoty modlić się po społu z takim niewyrozumiałym człowiekiem.

Duchowny stał wyprostowany z powagą, śledząc oczyma z rodzajem pogardliwej litości za odchodzącymi kobietami, i pozwolił Henrykowi dać ujście rozgoryczeniu, jak gdyby wybuch ten niegodny był jego uwagi. Tymczasem dał się słyszeć jakiś trzeci głos mówiący:

— Dawka była dosyć silna, ale odpowiedziała celowi.

— Kto to mówi? — zawołał więzień, zdumiony rozglądając się dokoła.

— To ja, kapitanie Whartonie — rzekł Harvey Birch, zdejmując okulary i odsłaniając swe przenikliwe oczy, błyszczące pod fałszywymi brwiami.

— Wielkie nieba — Harvey!

— Milcz pan — rzekł kramarz uroczyście. — Imienia tego wymawiać nie należy, a zwłaszcza tu, w samym sercu armji amerykańskiej.

Birch umilkł i rozejrzał się dokoła ze wzruszeniem, dalekiem od niskiej trwogi, i ciągnął dalej ponuro:

— Tysiąc stryczków mieści w sobie to imię, i nie pozostałaby mi już nadzieja ucieczki, gdyby mnie znowu ujęto. Ważę się na krok straszliwie niebezpieczny; ale nie mógłbym spać spokojnie wiedząc, że niewinny człowiek zginie jak pies, skoro go mogę uratować.

— Nie — rzekł Henryk z ogniem szlachetnego zapachu — jeżeli tak bardzo się narażasz, odejdz jak przyszedłeś i zostaw mnie memu losowi. Dunwoodie przedsięwziął teraz ważne kroki na moją korzyść i jeżeli uda mu się zobaczyć z panem Harperem w ciągu nocy, moje uwolnienie jest rzeczą pewną.

— Z Harperem! — powtórzył kramarz, a ręce, któremi nakładał ponownie okulary, zawisły mu w powietrzu. — Co pan wiesz o Harperze, i skąd ta pewność, że wyświadczy ci przysługę?

— Mam jego obietnicę. Pamiętasz to nasze spotkanie się w domu mego ojca? Dobrowolnie przyrzekł mi wtedy swoją pomoc.

— Tak, ale co pan wiesz o nim? To jest, dlaczego sądzisz, że będzie to w jego mocy, i skąd przypuszczenie, że będzie o tej obietnicy pamiętał?

— Stąd, że nie spotkałem człowieka, na którego twarzy malowałoby się tyle dobroci i szlachetności — rzekł Henryk. — Zresztą Dunwoodie ma potężnych

przyjaciół w buntowniczej armji; lepiej będzie, jeżeli zaufam jemu i Harperowi, niż żebym miał cię narażać na pewną śmierć w razie schwytania.

— Kapitanie Whartonie — rzekł Birch, rozglądając się ostrożnie dokoła i mówiąc z przejmującą powagą — jeżeli ja cię zawiodę, wszystko cię zawiedzie. Ani Harper, ani Dunwoodie nie mogą ocalić ci życia, jeżeli nie wyjdiesz stąd ze mną i to natychmiast. Skonasz jutro na szubienicy jak złoczyńca. Tak, takie są prawa. Ten który walczy, zabija, grabi, jest czczony, ale ten, który służy krajowi jako szpieg, choćby jak najwierniej, choćby najuczciwiej, żyje w pogardzie i umiera jak najnikczemniejszy zbrodnień.

— Zapominasz, panie Birch — rzekł młodzieniec z niejakiem oburzeniem — że ja nie jestem podłym, chytrym szpiegiem, który oszukuje, aby zdradzić, lecz zgoła niewinnym zbrodni, jaką mi zarzucają.

Krew buchnęła do bladej twarzy kramarza, aż twarz ta stanęła cała w ogniu, ale trwało to jedną chwilę, on zaś rzekł:

— Powiedziałem panu prawdę. Cezar spotkał mnie, jadąc dziś rano po księdza; z nim ułożyłem plan, który — wykonany po mojej myśli — uratuje cię, inaczej, powtarzam, jesteś zgubiony, i żadna moc ludzka, nawet sam Washington ocalić cię nie zdoła.

— Ustępuję — rzekł więzień, w którym na nowo zaczęła się budzić obawa. Kramarz dał mu znak, żeby milczał i podszedłszy do drzwi otworzył je z tą samą szytwną, urzędową postawą z jaką wszedł do izby.

— Przyjacielu — rzekł do stojącego na straży żołnierza — niech tu nikt nie wchodzi. Będziemy się modlili i chcemy być sami.

— A ktoby wam tam chciał przeszkadzać! — odparł żołnierz, z łobuzowskiem mrugnięciem oka. — Ale gdyby komu z rodziny przyszła ta chęć, to ja ich zatrzymać nie mogę; takie mam rozkazy i muszę ich pilnować, czy Anglik pójdzie przez to do nieba, czy nie.

— Zuchwały grzeszniku — rzekł wrzekomy duchowny — czyż tak dalece nie lękasz się Boga? Mówię ci, jeżeli nie chcesz ściągnąć na siebie kary w dniu sądu ostatecznego, abys nie wpuszczał tu nikogo z tych bałwochwalców, gdyby chcieli przeszkodzić modłom sprawiedliwych.

— Fiu! fiu! fiu! jaki z jegomości kaznodzieja! Zapędziłbyś sierżanta Hollistera w kozi róg. Ale radzę ci, nie krzycz tak, bo który z naszych chłopców gotów się zakrzusić grogiem, myśląc, że to trąby grają larum. Jeżeli chcecie być sami, to nie masz to noża, żeby wetknąć go w klamkę zamiast zatyczki? Zaraz ci cały oddział dragonów trzeba sprowadzić, żeby ci drzwi pilnował!

Kramarz skorzystał ze wskazówki i natychmiast zamknął drzwi tak, jak mu radził dragon.

— Przesadzasz swą rolę — rzekł młody Wharton, dręczony obawą odkrycia — twoja gorliwość jest zbyt niepohamowana.

— Mogłoby to być dla piechura i tych ze wschodniej milicji — rzekł Harvey wytrząsając worek, który mu podał Cezar — ale dragoni to ludzie, z którymi tylko w ten sposób postępować trzeba. Bojaźliwością nicby się tu nie wskórało. Ale oto czarna osłona na pańską twarz piękną — mówił dalej, biorąc pergaminową maskę i wkładając ją Henrykowi. Pan i sługa muszą czasowo pomieniać się na role.

— Ja wcale tak nie wyglądać — rzekł Cezar, spoglądając z niesmakiem na metamorfozę swego młodego pana.

— Poczekaj chwilę, Cezarze — rzekł kramarz, z cechującą go czasem utajoną filuternością — niech tylko włożymy perukę.

— Teraz jeszcze gorzej — zawołał niezadowolony murzyn. — Kolorowy człowiek nie być owca. I ja nigdy nie mieć takie usta, Harveyu, to cała kiełbasa.

Przygotowanie poszczególnych części przebrania kapitańa Whartona kosztowało wiele zachodu, teraz

zaś umiejętnie zastosowane zręcznymi rękoma kramarza, złożyło się ono na całość, mogącą omylić każde przeciętne oko.

Maska była doskonałym naśladownictwem afrykańskiego oblicza, a peruka z kędzierzawej czarnobiałej wełny w niczem prawie nie różniła się od uwłoszenia głowy Cezara, co nawet on sam zmuszony był przyznać.

— Jest tylko jeden człowiek w armji amerykańskiej, któregooby to nie wyprowadziło w pole — rzekł kramarz, przyglądając się z zadowoleniem swojemu dziełu — ale na szczęście niema go teraz tutaj.

— Któż to taki?

— Ten, kto pana pojmał. Onby dojrzał pańską białą skórę poprzez grubość muru. Ale teraz trzeba jeszcze prędko przebrać się wam obu od stóp do głów.

Cezar, któremu kramarz wszystko jak najdokładniej zrana odpowiedział, natychmiast zaczął zdejmować z siebie swą grubą odzież, którą młody Wharton wdział na siebie nie bez pewnej odrazy.

Kramarz zachowywał się w tem wszystkiem z osobliwą mieszaniną troski i dobrego humoru; pierwsza wpływała z doskonałej świadomości niebezpieczeństwa, w jakim się znajdowali, i sposobów, jakich należało się chwycić, aby go uniknąć, a w dobry humor wprawiała go niezaprzeczone śmieszność położenia, którą oswojenie się z podobnemi scenami pozwalało mu w pełni ocenić.

— No, kapitanie — mówił, biorąc trochę waty i zaczynając wypychać nią pończochy Cezara, które więzień miał już na nogach — trzeba nam się trochę zająć twemi kończynami. Będziesz zmuszony pokazać je na koniu, a południowi dragoni są tak przyzwyczajeni do pokracznych łydek, że gdyby tylko zauważyli twoje kształtne nogi poznałiby zaraz, że nie mogą należeć do murzyna.

— Ojej! — rzekł Cezar, otwierając usta od ucha do ucha z wielką uciechą — portki massy Harry leżeć na mnie jak potrzeba.

— Tylko ty się w nich sprawiaj jak potrzeba — rzekł kramarz, wciąż krzątając się koło przebrania Henryka. — A teraz włóż pan na to wszystko ten surdut. Słowo daję, że wyglądałbyś pan doskonale na pierwszorzędnej maskaradzie. A teraz ty, Cezarze, włóż tę upudrowaną perukę na swoją czuprynę; a pamiętaj skoro się drzwi otworzą, wyglądaj przez okno i nie odzywaj się pod żadnym pozorem, bobyś wszystko zdradził.

— Harvey to myśleć, że kolorowy człowiek nie mieć język jak inni ludzie — zamruczał murzyn, siadając jak mu wskazano.

Wszystko już było gotowe i Harvey z wszelką przytomnością umysłu udzielił ostatecznych wskazówek obu aktorom w tym tak bardzo niebezpiecznym dramacie życiowym, nie zapominając o najdrobniejszych szczegółach. Kapitanowi zalecił, żeby swe sprężyste wojskowe ruchy zmienił na pokorny chód murzyna, a Cezarowi przykazał, by możliwie najdłużej milczał i wytrwał w przybranej roli. Następnie otworzył drzwi i zawołał głośno na strażnika, który odszedł w najdalszy kąt korytarza, by uniknąć duchowych napomnień żarliwego kapłana, które w jego mniemaniu należały się wyłącznie więźniowi.

— Niech tu przyjdzie gospodyni — rzekł Harvey uroczystym głosem — i niech przyjdzie sama. Więzień jest w błogim stanie pobożnego rozmyślenia i nie trzeba mu przeszkadzać.

Cezar ukrył twarz w dłoniach, a gdy żołnierz zajął do pokoju, zobaczył tylko jego plecy i pochyloną na splecione ręce głowę. Spojrzał więc tylko pogardliwie na duchownego i przywołał gospodynię. Ta pośpieszyła skwapliwie z tajemną nadzieją, że uda jej się być obecną przedśmiertelnemu kajaniu się więźnia.

— Siostró! — rzekł duchowny nakazującym tonem — czy masz w domu „Ostatnie Chwile Chrześcijańskiego Skazańca” czyli „Myśli o Wieczności dla tych, którzy mają umrzeć śmiercią gwałtowną”?

— Nigdy nie słyszałam o takiej książce — odpowiedziała zdumiona niewiasta.

— Bardzo możliwe, jest wiele książek, o których nie słyszałaś. Ale więzień nie zazna potrzebnego spokoju ducha bez tego szacownego dzieła. Jedna godzina tego czytania więcej warta niż wszystkie kazania na świecie.

— Dobry Boże! Cóż to za skarb taka książka! ale gdzie ją wydrukowali?

— Wydrukowali ją naprzód w Genewie po grecku, a potem przetłumaczono ją w Bostonie. Książka ta, niewiasto, powinna się znajdować w rękach wszystkich chrześcijan, zwłaszcza tych, którzy umierają na szubienicy. Każ natychmiast osiodłać konia dla tego murzyna. Pojedzie ze mną i jeszcze na czas przywiezie książkę. Bracie! uspokój się, znajdujesz się teraz na wąskiej ścieżynie, ku wiekuistej chwale wiodącej.

Cezar poruszył się zlekka na krześle, ale miał dość przytomności umysłu, by kryć wciąż twarz w rękach, które z kolei były okryte rękawiczkami. Gospodyni odeszła, by spełnić to bardzo rozsądne zlecenie, a trzej spiskowcy zostali znowu sami.

— Dotąd idzie dobrze — rzekł kramarz. — Najtrudniejsza rzecz zmylić czujność służbowego oficera — to porucznik Lawtona, i nabrał pewnej bystrości w tych rzeczach od swego kapitana. Pamiętaj, kapitanie Whartonie — dodał z pewną dumą — że teraz wszystko zawisło od naszej zimnej krwi.

— Los mój mało co gorszym już być może, niż obecnie — rzekł Henryk — ale przez wzgląd na ciebie, pocziwy człowieku, zrobię wszystko, co będzie w mojej mocy.

— A gdzież, kiedyż mogę być bardziej opuszczonym i prześladowanym niż teraz? — rzekł kramarz,

z tą pewną niesamowitością, która czasem objawiała się w jego zachowaniu. — Ale przyrzekłem komuś, że pana ocale, a jeszcze nigdy nie złamałem słowa.

— Któż to jest? — zapytał Henryk z zajęciem.

— Nikt.

Wtem nadeszła gospodyni oznajmiając, że konie już gotowe. Harvey raz jeszcze spojrział znacząco na kapitana i poszedł przodem, zapowiedziawszy wprzód gospodyni, żeby zostawiła więźnia samego, aby mógł spokojnie przetrwać duchowy obrok, jakim go nakarmiono.

Wśród żołnierzy rozeszła się pogłoska o dziwacz-
nem postępowaniu wrzekomego kapłana, tak że gdy Harvey i Wharton wyszli przed dom, zastali tam około tuzina dragonów, którzy zebrali się tu, aby się trochę poprzekomarzać z fanatykiem, a teraz stanęli przy koniach w udanych nad niemi zachwytach.

— Piękny wierzchowiec! — rzekł przywódca gromadki żartownisiów — trochę przychudy, ale zapewne spracował się w pańskiej służbie.

— Moja służba może być ciężką dla mnie i dla tego wiernego bydłęcia, ale dzień rozrachunku już bliski, a wtedy spotka mnie nagroda za wszystkie moje trudy — rzekł Birch, wkładając nogę w strzemień.

— To wielebna osoba pracuje dla zapłaty, jak my się dla niej bijemy — zawołał drugi.

— Właśnie: „alboż najemnik nie jest wart swojej zapłaty?”

— No, skoro tak, to niech nam wielebna osoba palnie kazanko na poczekaniu; mamy chwilkę wolnego czasu, a kto wie, ile dobrego mogą bogobojne słowa wyświadczyć gromadzie takich nicponiów jak my. Dalej, włącz pan na ten pieniek i gadaj, co ci ślina do gęby przyniesie.

Wszyscy teraz zaczęli się cisnąć dokoła kramarza, ten zaś spojrział znacząco na kapitana, któremu pozwolono wsiąść bez przeszkody, i odrzekł:

— Niewątpliwie, bo to jest mój obowiązek. Ale ty, Cezarze, jedź przodem i oddaj list; nieszczęsny więzień czeka na książkę, a godziny jego są policzone.

— To, to — jedź Cezarze i przywieź książkę — krzyknęło naraz kilkanaście głosów, a na wszystkich twarzach malowała się uciecha ze spodziewanej zabawy.

Kramarz lękał się, że się zaczną nadto tłoczyć, kapelusz i peruka mogą mu się przekrzywić lub zgoła spaść, a wtedy byłoby po wszystkim; uznał więc za właściwe nie sprzeciwiać się ich żądaniu. Wlazł tedy na pień, odchrząknął raz i drugi, spojrzął na Henryka, który nie ruszył się z miejsca, i zaczął jak następuje:

— Zwrócę waszą uwagę, bracia moi, na ten ustęp Pisma świętego, który znajdziecie w drugiej księdze Samuelowej, a który napisany jest następującemi słowy: „I król płakał nad Abnerem i rzekł: Zali Abner umarł, jak umiera głupiec? Ręce twoje nie były związane i nóg twych nie włożono w kajdany, a jak człowiek pada przed złymi ludźmi, tak padłeś ty. I naród cały płakał znów nad nim“. Cezarze, jedź naprzód, powtarzam, i przywieź książkę, jak ci poleciłem; twój pan łaknie jej i wyczekuje z utęsknieniem.

— Doskonały początek — zawołali dragońscy. — Dalej, dalej, wielebna osobo, a murzyn niech zostanie i słuca ku swemu zbudowaniu.

— Co wy tu robicie, hultaje? — zawołał porucznik Mason, wracając z przechadzki, którą odbył, by popatrzeć z drwinami na wieczorny capstryk pułku milicji — precz mi stąd do kwater, a niech mi tylko który koń będzie nie obrządzony jak należy, gdy tam przyjdę!

Głos oficera podzielał piorunująco; słuchacze wrzekomego kaznodziei rozpierzchli się w mgnieniu oka, z czego tenże skorzystał i dosiadł swego chudego wierzchowca, wciąż z tą samą uroczystą powagą, bo kilkanaście dragońskich koni, posiadanych i gotowych

na przyjęcie jeźdźców, stało w pobliżu i groziło pogonią na każde skinienie.

— I cóż, okiełznałeś tam pan tego biedaka — rzekł Mason — żeby mógł odbyć swą ostatnią przejażdżkę w bogobojnym rynsztunku?

— Świętokradzkie są słowa twoje, bluźnierco! — zawołał duchowny, podnosząc ze zgrozą obie ręce do nieba — przeto odjadę od ciebie nietknięty, jak Daniel został wyswobodzony z jaskini lwów.

— A jeźdź na złamanie karku, psalmy zawodzący hipokryto — rzekł Mason pogardliwie. — Na życie Washingtona! aż przykro patrzeć na takie żarłoczne szakale, włóczące się po kraju, za który on krew przelewa. Gdybym cię miał choć kwadrans na plantacji w Wirginji, nauczyłbym cię gryźć tytoń pospołu z indykami.

— Odjeżdżam, otrząsając proch z obuwia mego, by zaden pył z tego gniazda zepsucia nie splugawił szat sprawiedliwego.

— Jeźdź, powtarzam, bo ja cię przetrzepię porządnie. On tu będzie prawić kazania moim ludziom! Już i tak Hollister dość im naprzewracał w głowach swemi morałami; dojdzie do tego, że hultaje będą się oglądali, żeby komu przypadkiem nie zadrasnąć skóry. Ale stój! A ty poco tam jedziesz, czarny djable w tak świętobliwym towarzystwie?

— Jedzie — odpowiedział pośpiesznie wrzekomy duchowny za wrzekomego murzyna — aby wrócić z bogobojną i pocieszającą księgą dla tego grzesznego młodzieńca, którego dusza wybieleje wkrótce na słońcu skruchy. Chciałżebyś pan pozbawić umierającego człowieka pociechy religijnej?

— Nie, nie, biedaczysko; los jego jest dostatecznie opłakany. A takie wyborne śniadanie dała nam ta jego pocziwa ciotka! No, mniejsza z tem. Jedźcie sobie z Bogiem, ale pan, panie psalmisto, posłuchaj dobrej rady i nie szwendaj mi się tu więcej, bo ci to nie pójdzie na zdrowie.

— Psie głosy nie idą pod niebiosy — rzekł Birch, wyjeżdżając z wolna na drogę z zachowaniem swej całej kapłańskiej godności. — Zostawiam cię i tych, którzy cię potępią i odwrócą się od ciebie, jak na to zasługujesz.

— Niech go djabli porwą — mruknął kawalerzysta — a siedzi to na koniu jak pies na płocie. Ej! gdybym go tak spotkał gdzieś w innej okolicy, gdzie się tak ściśle nie przestrzega prawa... to...

— Kapralu dyżurny! kapralu dyżurny! — zawołał żołnierz, stojący na straży w korytarzu — kapralu dyżurny, kapralu dyżurny!

Mason wbiegł na wąskie schody, wiodące do pokoju więźnia, i zapytał, co znaczą te wrzaski.

Żołnierz stał w otwartych drzwiach pokoju i przyglądał się podejrzliwie mniemanemu angielskiemu oficerowi. Ujrawszy swego porucznika, cofnął się z uszanowaniem i powiedział zakłopotany:

— Nie wiem, panie poruczniku, ale więzień wydał mi się czegoś taki dziwny. Odkąd ten pała wyszedł, coś się w nim odmieniło, ale — tu spojrzął przez ramię oficera — przecież to musi być on. Ta sama pudrowana głowa, i cera w mundurze, tam gdzie był ranny w ostatniej potyczce z nieprzyjacielem.

— I to dlatego narobiłeś tyle hałasu, głupcze? A któżby to mógł być inny u diabła?

— Nie wiem, panie poruczniku — odpowiedział żołnierz posepnie — ale stał się jakiś niższy i tęszy, i — o! niech pan porucznik spojrzy, trzęsie się jak liść osiki.

Było to aż nadto prawdą. Cezar słuchał tej krótkiej rozmowy z panicznym strachem i choć uradowany z ucieczki młodego pana, zaczął mimowoli zastanawiać się nad jej możliwymi skutkami dla siebie samego. Chwila milczenia, jaka nastąpiła po tej ostatniej uwadze żołnierza, nie dodała mu bynajmniej otuchy. Porucznik Mason przyglądał się pilnie podejrzonej osobie murzyna, i Cezar spostrzegł to, rzuciwszy ukrad-

kiem spojrzenie przez szparę pod ręką, jaką sobie umyślnie dla rekonesansu zostawił. Kapitan Lawton byłby w mgnieniu oka zobaczył podstęp, ale Mason nie był tak bystry jak jego komendant. Odwrócił się więc pogardliwie do żołnierza i zauważył półgłosem:

— Ten przeklęty metodysta, anabaptysta, psalmista, czy ki djabeł przestraszył biednego chłopca swoją gadaniną o piekle i wiecznym ogniu. Wejść i pogawędzić z nim trochę po ludzku.

— Słyszałem, że człowiek blednie ze strachu — rzekł żołnierz, cofając się i wytrzeszczając oczy, jakby mu miały wyskoczyć z orbit — ale królewski kapitan poczerwiał z kretesem.

Widocznie Cezar, chcąc usłyszeć co mówił Mason, i już dostatecznie wystraszony tem co zaszło, nie uważnie odsunął trochę perukę z jednego ucha, niepomny, że tym sposobem cała ta maskarada może się wydać. Jakoż żołnierz, który nie spuszczał oka z więźnia, dostrzegł to natychmiast. Mason, zdziwiony jego słowami, spojrzał i zauważył to także i zapominając o wszelkich względach, należnych bratu oficerowi w tak ciężkiem położeniu, a raczej pomny tylko nagany, jaką oddział jego mógł ściągnąć na siebie, skoczył i chwycił wystraszonego murzyna za gardło, bo Cezar, usłyszawszy, co powiedział żołnierz, pewnym już był, że wszystko się wyda; nim więc Mason zdążył wpaść do pokoju, zerwał się z miejsca i zasunął w kąć najciemniejszy.

— Kto jesteś? — wrzasnął Mason, tłukąc głową biedaka o ścianę, za każdym pytaniem — kto jesteś u djabła i gdzie jest Anglik? Gadaj, ty oczajduzo! Odpowiadaj huncwocie, bo cię powieszę na szubienicy szpiega.

Cezar trzymał się dzielnie. Ani groźby, ani kuksańce nie wydołyły z niego odpowiedzi, i byłoby to potrwało może jeszcze chwilę, gdyby porucznik, zmieniając formę ataku, nie był trafił swym ciężkim butem w najdrażliwszą część ciała murzyna, to jest

w jego łydkę. Tego już Cezarowi było za wiele, więc wrzasnął:

— O jej! massa! Czy to ja kamień!

— Na Boga! — wykrzyknął porucznik — to murzyn! Łotrze, gdzie jest twój pan i kto był ten kapłan?

Z temi słowy podniósł znów groźnie nogę, ale Cezar zaczął wołać głośno o litość, przyrzekając powiedzieć wszystko co wie.

— Kto był ten kapłan? — powtórzył dragon, cofnąwszy potężny but, lecz trzymając go w groźnym zawieszaniu.

— Harvey! Harvey! — zawołał Cezar, skacząc z jednej nogi na drugą w panicznej trwodze o swoje, tak bardzo czułe kończyny.

— Co za Harvey, ty murzyńska mordo? — krzyknął porucznik niecierpliwie i kopnął biedaka z całej siły.

— Birch! — zaskomlał Cezar padając na kolana, a łzy wielkimi kroplami potoczyły się po jego błyszczącej twarzy.

— Harvey Birch! — powtórzył kawalerzysta i odtrąciwszy murzyna wypadł z pokoju jak z procy. — Do broni! Do broni! Pięćdziesiąt gwinei za życie kramarza-szpiega. Nie dawać pardonu żadnemu. Do broni! Na koń!

Powstał nieopisany zamęt, dragoni hurmem rzucili się do koni, a Cezar, pozostawiony własnemu losowi, powstał z ziemi i zaczął oglądać doznane uszkodzenia. Szczęściem padł był na głowę, więc mu się nic nie stało.

ROZDZIAŁ XXIX.

„Precz poszedł Gilpin, głową na dół; precz poszła peruka i kapelusz. Nie przypuszczał ruszając z miejsca, że w taki udaje się pościg.“

C o w p e r.

Droga, jaką kramarz i kapitan angielski musieli odbyć, aby dostać się do zbawczych skał, oddalonych o pół mili od domostwa, które do tak niedawna było więzieniem tego ostatniego, biegła otwartą równiną, ciągnącą się do samego podnóża gór, co wznosiły się tu prawie prostopadle, potem skręcała na prawo i wiała się dalej węzłem wskroś ich wnętrza.

Dla zachowania wrzekomej różnicy stanów Harvey jechał przodem w pewnej odległości od towarzysza, zachowując uroczystego i wstrzemięźliwego stępu, jak przystało jego duchownemu powołaniu. Po prawej stronie drogi wspomniany już pułk piechoty obozował w namiotach, i widać było strażę ich, przechadzające się miarowym krokiem tuż pod samymi skałami.

Ulegając pierwszemu popędowi, Henryk chciał wypuścić konia w cwał i nietylko jak najprędzej dokonać ucieczki, lecz zarazem uwolnić się od tego dręczącego stanu niepewności, jaki stawał mu się nie do zniesienia. Lecz kramarz, spostrzegłszy jego zamiar, zapobiegł mu w porę.

— Zwolna — zawołał, zajeżdżając mu z ręcznie drogę — chcesz pan zgubić nas obu. Trzymaj się na stanowisku murzyna, jadącego za swoim panem. Wi-

działeś ich rasowe rumaki, posiadłane i stojące w pogotowiu przed domem. Jak długo, myślisz pan, dotrzymałbyś pola na tym lichym stępaku pościgowi Wirgińczyków? Każdy krok, jaki zyskujemy, nie budząc podejrzeń, to jeden dzień więcej w naszym życiu. Jedź pan spokojnie za mną i pod żadnym pozorem nie oglądaj się. To szczerwane lisy, a chciwe krwi jak wilki.

Henryk niechętnie powściągnął niecierpliwość i zastosował się do wskazówek kramarza. Ciągłe jednak wydawało mu się, że już słyszy pościg za sobą, chociaż Birch, który raz po raz odwracał się pod pozorem rozmowy z towarzyszem, upewniał go, że wszystko jest dotychczas w porządku.

— Ale — rzekł Henryk — czy podobna, aby to długo potrwało? Lada chwila zobaczą Cezara i wszystko się wyda. Więc, czy nie lepiej wypuścić konie w cwał, a zanim się zorientują, dlaczego uciekamy, będziemy mogli dopaść lasu.

— Ach! nie znasz ich pan, kapitanie Whartonie — odparł kramarz. — Widzę w tej chwili sierżanta, jak patrzy za nami, jak gdyby odgadywał, że się coś święci; bestja wierci mnie czasami jak tygrys, gotujący się do skoku. Gdym stał na pieńku, już mi się coś zanadto przyglądał. Nie, musimy jechać stępa, bo oto kładzie rękę na kłębie siodła. Jeżeli wsiądzie, zginęliśmy. Piechotni żołnierze ustrzelą nas z muszkietów.

— A co robi teraz? — zapytał Henryk, wstrzymując konia, lecz jednocześnie ściskając mu boki piętami, by być w pogotowiu do skoku.

— Odwrócił się i patrzy w inną stronę. Teraz popędź pan trochę konia — nie tak prędko — nie tak prędko... Uważaj pan na straż tam w polu przed nami — patrzy na nas przenikliwie...

— Mniejsza o niego — rzekł Henryk niecierpliwie — ten może nas tylko zastrzelić, a ci dragoni mogą znów wziąć w niewolę. Harveyu! mnie się zdaje, że

tam za nami słyhać tętent. Czy nie widzisz nic szczególnego?

— Hm! — wymówił kramarz — widać istotnie coś szczególnego tam pod laskiem na lewo. Obróć pan trochę głowę, a możesz zobaczyć i skorzystać.

Henryk skwapliwie uchwycił się tego pozwolenia. Krew ścięła mu się w żyłach, gdy zobaczył szubienicę, niewątpliwie dla niego przygotowaną. Ze zgrozą odwrócił twarz od tego widoku.

— To jest ostrzeżenie, żeby być ostrożnym — rzekł kramarz sentencjonalnie, jak to bywało czasem jego zwyczajem.

— Straszny widok, istotnie — rzekł Henryk, przesłaniając na chwilę oczy ręką.

Kramarz obrócił się ku niemu i przemówił z ponurą energją i goryczą:

— A przecież, kapitanie Whartonie, widzisz ją, gdy słońce w pełni świeci nad tobą, gdy oddychasz czystem powietrzem, idącym z gór, co ci dadzą schronienie. Każdy krok oddala cię od tej nienawistnej szubienicy, a każda rozpadlina w skale stać się może kryjówką. Ale ja widziałem ten szafot tam, gdzie żadnego schronienia dla mnie nie było. Dwukrotnie pochowano mnie żywcem w więziennej celi, gdzie zakuty w kajdany spędzałem bezsenne, męczeńskie noce, oczekując świtu, który miał mi dzień haniebnej śmierci zwiastować. Pot oblewał mi zdrtwiałe członki, a jeżeli spojrzałem przez okratowany otwór, aby dojrzeć choć jeden promyczek słońca, jakie z woli Bożej świeci dla najnędźniejszych z Jego stworzeń, szubienica stawała mi przed oczyma, jak złe sumienie, dręczące duszę konającego. Cztery razy byłem w ich mocy, ale dwukrotnie zdawało mi się, że już moja ostatnia godzina nadeszła. Ciężka to rzecz umierać w najlepszym razie, kapitanie Whartonie, ale spędzić ostatnie chwile samemu, bez słowa pociechy, wiedzieć, że nikt z tych co są blisko nie zatroszczy się o ciebie, myśleć, że za

parę godzin wyprowadzą cię z tej ciemnej celi, która w porównaniu z tem, co czeka poza nią, niemal drogą się staje... że, mówię, wyprowadzą cię na światło dzienne i że tam ujrzysz oczy wszystkich utkwione w tobie, jak gdybyś był dzikiem zwierzęciem, i stracić świadomość wszystkiego wśród naigrawań i obelg twoich bliźnich, to kapitanie Whartonie, nazywa się istotnie umierać.

Henryk słuchał w zdumieniu tych słów, wypowiedzianych z niewysłowioną goryczą i mocą; obaj zdawali się zapominać o swem przebraniu i grożącym im niebezpieczeństwie.

— Jakto! Byłeś już tak bliski śmierci!

— Od trzech lat tropią mnie po tych górach jak dzikie zwierzę — ciągnął dalej Harvey — a raz stałem już pod szubienicą, i tylko nagły alarm, że idą wojska królewskie, mnie ocalił. Gdyby się byli spóźnili o kwadrans, byłbym wisiał. Tak; postawili mnie tam, wśród obojętnych mężczyzn i gapiących się kobiet i dzieci jak potwora na urągowisko i złorzeczenia. Gdy chciałem się modlić, o moje uszy obijały się wylizania moich zbrodni; a gdy szukałem w tym tłumie choć jednej litościwej twarzy, nie znalazłem żadnej; nie — wszyscy przeklinali mnie jak niegodziwca, który za złoto zaprzedałby swoją ojczyznę. Słońce świeciło cudnie, cudniej niż kiedykolwiek, a ja miałem patrzeć na nie po raz ostatni. Wszystko dokoła było jasne, wesołe, jak gdyby świat ten był rodzajem nieba. O! jakie słodkie wydawało mi się życie w owej chwili! Straszna to była godzina, kapitanie Whartonie, taka, jakiej ty nigdy nie zaznałeś. Ty masz rodzinę, która z tobą współczuła, a ja miałem tylko ojca, by opłakiwał moją stratę, gdy się o niej dowie; ale przy mnie nie było nikogo, żadnej pociechy, żadnej litości. Wszystko mnie opuściło. Zdawało mi się, nawet, że i On zapomniał o mnie.

— Jakto! Zdawało ci się, że sam Bóg opuścił cię, Harveyu?

— Bóg nigdy nie opuszcza sług swoich — odrzekł Birch ze czcią, która tym razem nie była udaną.

— Więc któż był ów On?

Kramarz wyprostował się sztywno na siodle w sposób odpowiadający jego wyglądowi. Blask zapołu, jaki na krótko płonął w jego rysach, zgasł, ustępując miejsca wyrazowi uroczystej, nieubłaganej, tępej powagi. Takim tonem, jak gdyby przemawiał do murzyna, odpowiedział:

— W niebie niema różnicy kolorów, mój bracie; masz przeto do spełnienia ważną powinność, z której tam w górze będziesz musiał zdać rachunek.

Tu, znizywszy głos, dodał:

— Mijamy teraz ostatnią straż blisko drogi; nie oglądaj się pan, jeżeli ci życie miłe.

Henryk przypomniał sobie swoje położenie i natychmiast przybrał pokorną postawę niewolnika, a wślad za tem wróciło mu poczucie bezpośredniego niebezpieczeństwa, o którym chwilowo zapomniał.

— Co tam widzisz, Harveju? — zawołał, spostrzegłszy, że kramarz patrzy za siebie z natężeniem — co widzisz przed domem?

— Coś, co nam nic dobrego nie wróży — odpowiedział wrzekomy ksiądz. Zrzuć pan maskę i perukę, za chwilę będziesz potrzebował całej swobody ruchów; rzuć je na drogę; przed nami nikogo już nie potrzebujemy się obawiać, ale ci co są za nami, wnet nas ścigać zaczną.

— A zatem — zawołał kapitan, rzucając przybory, o których wspomniał Harvey, na drogę — wypuśćmy konie wskok. Kwadrans drogi dzieli nas od zakrętu, więc czemu nie skorzystać z każdej chwili.

— Nie trać pan zimnej krwi; są zaalarmowani, ale nie dosiędą koni bez oficera, chyba gdyby spostrzegli, że uciekamy. Otóż i on; zmierza do stajen, jedź pan prędzej; dwunastu wsiadło na koń, ale oficer przystanął, aby zacieśnić popręgi; już jest na siodle; teraz,

kapitanie Whartonie, pędź co koń wyskoczy i trzymaj się mnie. Gdybyś mnie stracił z oczu, zginąłeś.

Henrykowi nie trzeba było tego dwa razy powtarzać! Skoro tylko Harvey wypuścił konia, kapitan dopędził go, nagłąc lichego podjezdka do pośpiechu. Birch sam sobie wybierał wierzchowca, i ten, choć nie dorównywający rasowym i doskonale żywionym rumakom dragonów, przecież przewyższał znakomicie szkapinę, którą uznano za aż nadto dobrą dla Cezara Thompsona. Zaledwie ujechali kawałek drogi, gdy kapitan ujrzał, że towarzysz wyprzedza go znacznie, a obejrawszy się trwożnie poza siebie, dostrzegł, że ścigający zbliżają się szybko. Z tym instynktownym lękiem osamotnienia, podwajającym każde nieszczęście, Henryk zaczął głośno wołać na kramarza, aby go nie opuszczał. Harvey natychmiast wstrzymał konia i czekał, aż go Henryk dopędzi. Trójgraniasty kape-lusz i peruka spadły mu z głowy od szybkiego pędu. Dostrzegli to dragoni i głośnym okrzykiem powitali to spostrzeżenie; a uciekającym wydało się, że krzyknęli im w same uszy, tak krótką była odległość pomiędzy nimi, a okrzyk tak donośny.

— Czy nie byłoby lepiej zsiąść z koni — rzekł Henryk — i polami biec do skał; płót zatrzyma pościg.

— To byłaby droga na szubienicę — odpowiedział kramarz — a dragoni tyle sobie robią z płotów, co my z tych korzonków. Ale już niedaleko do zakrętu, a zaraz za łaskiem są dwie drogi. Mogą się zatrzymać trochę, nie wiedząc, którą wybrać, a to nam pozwoli zyskać nieco na czasie.

— Ależ ta marna szkapa już pada — zawołał Henryk, bijąc cugłami konia, podczas gdy Harvey ściągnął go swoją ciężką szpicrutą — i kwadransa dłużej nie pójdzie.

— Kwadrans wystarczy, kwadrans wystarczy — rzekł kramarz — jeden kwadrans ocali nas, jeżeli pan będzie mnie słuchał.

Nieco pokrzepiony zimną krwią i pewnością siebie Harveya, Henryk w milczeniu podążał za nim. Po kilku minutach dopadli zakrętu, a gdy okrążali niskie zarośla, spostrzegli rozrzuconych wzdłuż gościńca ściągających ich dragonów. Mason i sierżant, siedzący na najlepszych koniach, byli już znacznie bliżej, niż nawet kramarz przypuszczał.

U stóp gór na pewnej przestrzeni wijącej się pomiędzy niemi ciemnej doliny rósł gęsty zagajnik sosnowy, którego większe drzewa wycięto na opał. Ujrawszy tę gęstwinę, Henryk znowu zaczął nalegać na kramarza, by zsiadli i zapuścili się w las, lecz tamten wstrząsnął tylko głową przecząco. Obie drogi, o których wspomniał, spotykały się tu pod bardzo ostrym kątem, niedaleko zakrętu i obie były wązowate, tak że tylko mały kawałek każdej z nich widocznym był odrazu. Kramarz obrał drogę wiodącą na lewo, lecz tylko na chwilę, gdyż napotkawszy częściowe przedzielenie się gąszczu, wpadł przez nie na drogę po prawej ręce i zaczął pięć się po stromem tuż przed nimi leżącym zboczem. Ten manewr ich uratował. Dragoni, dotarłszy do rozwidlenia, pojechali dalej śladem kopyt i minęli miejsce, któredy zbiegowie przesunęli się na inną drogę. Po pewnej chwili dopiero spostrzegli, że ślad stracili, zaczęli się głośno nawoływać, krzycząc na towarzyszy jadących w tyle, aby się brali na prawo. Kapitan znowu zaproponował, aby zsiąść z koni i rzucić się w las.

— Jeszcze nie! jeszcze nie! — odpowiedział Birch pocichu — droga idzie w dół z wierzchołka tego wzgórza, tak samo jak pod górę; naprzód dostaniemy się na wierzchołek.

Co gdy się stało, obaj zeskoczyli z koni; Henryk natychmiast wpadł w gąszcz, zarastający zbocza góry, Harvey zaś ściągnął jeszcze kilkakrotnie wierzchowce szpicrutą, że jak szalone popędziły drogą na dół, poczem dopiero poszedł za przykładem towarzysza, czy-

niąc to możliwie najostrożniej i najciszej. Zaledwie zniknął w zaroślach, jeden z dragonów dopadł wierchołka i krzyknął:

— Widziałem jednego z koni jak zbiegał w dół przed chwilą.

— Dalej, chłopcy, ostro! — zawołał Mason — Anglika brać żywcem, ale kramarzowi nie dawać pardonu i raz z nim zrobić koniec.

Henryk uczył, jak towarzysz mocno ścisnął go za rękę a w chwilę potem, dwanaście koni dragonskich przeleciało drogę z błyskawiczną szybkością, która dała do poznania, jak mało mogli liczyć obaj na swoje pomęczone szkapę.

— Teraz — rzekł kramarz, powstając z za krzaków, gdzie leżeli przyczajeni — teraz każdy krok jest naszym zyskiem; bo kiedy my pójdziemy w górę, oni jadą na dół. Więc żywo naprzód.

— A jeżeli, okrążywszy górę, podążą za nami? — rzekł Henryk, powstawszy również i szybko idąc za towarzyszem — pamiętaj, że mają również dobre nogi jak konie, a w każdym razie pomrzemy z głodu w tych górach.

— Nie bój się niczego, kapitanie Whartonie — odparł kramarz z wielką pewnością siebie — nie na tej górze chciałbym być w tej chwili, ale konieczność nauczyła mnie radzić sobie tutaj jak u siebie. Zaprowadzę pana tam, gdzie nikt nie poważyłby się nas ścigać. Patrz pan, słońce chowa się już za temi zachodnimi szczytami i miną dwie godziny, nim księżyc wzejdzie. Jak się panu zdaje, kto zapuści się w listopadową noc pomiędzy te skały i przepaści?

— Słuchaj! — zawołał Henryk — dragoni nawołują się; już wiedzą, żeśmy im uszli.

— Pójdź pan tu na tę krawędź skały, a zobaczysz ich — rzekł kramarz siadając spokojnie, by odpocząć. I oni nas też mogą dostrzec. Jako żywo! Pokazują nas

sobie palcami. Ot! jeden wystrzelił z pistoletu; ale odległość jest za wielka nawet dla muszkietowej kuli.

— Na Boga! chodźmy prędzej — zawołał niecierpliwie Henryk — będą nas ścigali.

— Ani im to postanie w głowie — odparł kramarz, zrywając borówki rosnące na jałowym gruncie, na którym siedzieli, i rozważnie żując je dla odświeżenia ust. — Dalekoby zaszli w swych ciężkich butach, ostrogach i z temi długimi szablami. Nie, nie, mogą wrócić i okrążyć skałę, ale jazda trzyma się siodła, póki może, i niebardzo własnym nogom dowierza w tych zakamarkach. Pójdź, kapitanie Whartonie, uciążliwą drogę mamy przed sobą, ale zaprowadzę cię tam, gdzie nikt nie poważyłby się zapuścić nocą.

To powiedziawszy wstał. Henryk za nim i wkrótce obaj zniknęli wśród skał i rozpadlin.

Przypuszczenia kramarza były trafne. Mason i jego ludzie pędzili w dół skłonem wzgórza, w pogoni, jak sądzili, za swemi ofiarami, lecz znalazłszy się na równinie, zastali tylko porzucone konie zbiegów. Czas jakiś zszedł im na przetrząsaniu pobliskich zarośli i wyszukiwaniu ścieżki, po której mogliby się konno zapuścić w góry, gdy jeden z dragonów spostrzegł Henryka i kramarza, siedzących na skale.

— Drapnął! — mruknął Mason, spoglądając na Harveya z wściekłością — drapnął, a my najemy się wstydu. Na Boga, Washington nigdy już nam nie powierzy straży nad podejrzanym torysem, skoro pozwalamy temu łotrowi tak sobie drwić z wojska, a obok niego siedzi Anglik i spogląda na nas z pobłażliwym uśmiechem, jakbym to widział. Dobrze, dobrze, mój chłopcze, siedzisz sobie wygodnie, przyznaję, ale jeszcze nie jesteś na zachodnim brzegu Harlemu, a ja już się postaram nie dopuścić, żebyś opowiedział sir Henrykowi, coś tu widział, jakem żołnierz!

— Panie poruczniku! Strzelę i wystraszę kramarza — rzekł jeden z dragonów, wyciągając pistolet z olster.

— Dobrze, spłosz ptaki z grzędy; zobaczymy jak fruują.

Dragon strzelił, a Mason ciągnął dalej:

— Na honor, jakbym widział, że łotry śmieją się z nas. Dalej, do domu, albo zaczną nam ciskać kamienie na głowy, a potem królewskie gazety będą rozpisywać się o dwóch rojalistach, którzy cały pułk buntowniczy wystrychnęli na dudka. Większych jeszcze kłamstw dopuszczają się ciągle.

Dragoni ruszyli posępnie za oficerem, ten zaś wracając do kwatery rozmyślał, co mu dalej czynić wypada. Zmierzchało się już, gdy oddział Masona przybył przed dom, gdzie zastali gromadę oficerów i żołnierzy opowiadających sobie wzajemnie o ucieczce szpiega. Skwaszeni i zawstydzeni dragoni dołączyli do tych opowiadań i swoje niepokieszące nowiny, i oficerowie skupiwszy się dokoła Masona, zaczęli radzić nad dalszem postępowaniem. Panna Peyton i Fanny, na które nikt nie zwracał uwagi, słuchały z zapartym oddechem tych narad z okna znajdującego się tuż nad głowami oficerów.

— Coś trzeba przedsięwziąć i to niezwłocznie — zauważył komendant pułku, obozującego przed domem, — ten oficer angielski jest niewątpliwie narzędziem wielkiej klęski, jaką w ostatnich czasach zadał nam nieprzyjaciel, zresztą nasz honor zaangażowany jest w tej ucieczce.

— Przetrząsnijmy lasy! — zawołało kilka głosów naraz — do rana schwytemy ich obu.

— Zwolna, zwolna, panowie — odpowiedział pułkownik — tylko ktoś doskonale obznajmiony z tutejszymi wzgórzami może się odważyć na szukanie pociemku. Zresztą tylko konnica może przedsięwziąć

pościg, a mniemam, iż porucznik Mason nie uczyni tego bez rozkazu swego majora.

— Oczywiście, że nie uczynię tego — odparł porucznik, wstrząsając głową — chyba, że pan pułkownik weźmie odpowiedzialność tego kroku na siebie; ale major Dunwoodie wróci za parę godzin, i jeszcze przed świtem możemy rozesłać wiadomości na wszystkie strony, w ten sposób, że rozstawimy patrole od rzeki do rzeki i naznaczywszy nagrodę wieśniakom za schwytanie zbiegów, uniemożliwimy im ucieczkę, chyba że uda im się połączyć z oddziałem, który jakoby znajduje się na Hudsonie.

— To plan bardzo dobry — zawołał pułkownik — i musi się powieść, ale trzeba wyprawić posłańca do Dunwoodie'go, bo może tam czekać u przewozu, aż będzie za późno, choć z drugiej strony uciekiniery z pewnością przenocują gdzieś w górach.

Mason zgodził się na propozycję; posłano kurjera do majora z ważną wieścią o ucieczce Henryka i wiadomością, że obecność jego konieczną jest dla zarządzenia pościgu. Poczem oficerowie rozeszli się.

Panna Peyton i jej siostrzenica zaledwie mogły wierzyć własnym uszom, gdy usłyszały o ucieczce Henryka. Obie wierzyły tak niezachwianie w powodzenie usiłowań Dunwoodie'go, że czyn Henryka wydał im się nadzwyczaj nieroztropnym, ale za późno już było to zło naprawić. Rozmowa oficerów otworzyła im oczy na pogorszenie położenia Henryka, gdyby go ponownie ujęto, i drżały na myśl o tem wszystkim, co będą robili, aby dopiąć tego celu. Panna Peyton pocieszała siebie i siostrzenicę przypuszczeniem, że zbiegowie nie spoczną, dopóki nie wydostaną się na grunt neutralny, wpierv nim wiadomość o ich ucieczce rozejdzie się po okolicy. Nieobecność Dunwoodie'go grała w tem ważną rolę, i zacna kobieta łamała sobie głowę, w jaki sposób można by ją było przedłużyć. Ale Fanny inaczej zapatrywała się

na to. Nie mogła dłużej wątpić, że postacią, jaką widziała na wzgórzu, był Birch, i była pewną, że zamiast uciekać niezwłocznie i schronić się pod opiekę wojsk przyjaznych, obaj z Henrykiem przenocują w owej tajemniczej chatce.

Dość długo potem obie z ciotką naradzały się nad czemś z ożywieniem; ciotka sprzeciwiała się zrazu, wreszcie uległa i uściskawszy gorąco i pobłogosławiwszy siostrzenicy, pozwoliła jej iść i spełnić czyn siostrzanej miłości.

ROZDZIAŁ XXX.

„I oto błędę wyczerpany
Bez przewodnika i bez stróża,
A tej przestrzeni szlak nieznanym,
W miarę gdy idę, się wydłuża.“

Goldsmith.

Noc była chłodna i ciemna, gdy Fanny Wharton z bijącym sercem, lecz lekkim krokiem wymknęła się przez leżący w tyle domu ogródek i poszła w stronę góry, na której widziała postać domniemanego kramarza. Było jeszcze wcześniej, ale ciemności listopadowego wieczora i dzikość otaczającej ją natury byłyby ją w każdej innej chwili skłoniły do natychmiastowego powrotu pod ciepły dach bezpieczny. Nie dając sobie jednak czasu do namysłu, dzielna bohaterka nasza biegła szybko i dopiero znalazłszy się na pół drogi do owej skały, gdzie dziś jeszcze zrana widziała Bircha, przystanąła, by odpocząć.

Dobre obchodzenie się z kobietami jest najpewniejszym dowodem cywilizacji danego kraju, a niema narodu, któryby pod tym względem przewyższył Amerykanów. Fanny nie czuła żadnego lęku, mijając spokojnie i w ryzach trzymane wojsko, wieczerzające wzdłuż drogi naprost pola, którem biegła. Byli to jej rodacy i wiedziała, że wschodnia milicja, składająca ten pułk, jej płęć uszanuje, ale lekkomyślny i burzliwy temperament południowej konnicy nie budził w niej takiego zaufania. Wprawdzie niezmiernie rzadki to był wypadek, aby prawdziwy żołnierz amerykański dopuścił się jakiego wybryku; ale Fanny z wrodzoną

delikatnością uczuć drżała na samą myśl bodaj pozoru zniewagi. To też usłyszawszy stąpanie konia na drodze, cofnęła się bojaźliwie za krzaki nad źródelkiem, sączącym się w pobliżu u zbocza skały. Była to wideta, i żołnierz przejechał tuż obok niej, nie spostrzegłszy jej postaci, otulonej w ciemny płaszczyk, nucąc coś zcicha, zapewne marząc o jakiejś innej piękności, którą zostawił nad brzegami Potomaku. Fanny wsłuchiwała się z niepokojem w oddalające się stąpanie konia i gdy już zupełnie ucichło, wyszła z ukrycia i podążyła dalej polem, aż przerażona coraz większą ciemnością i pustką przystanęła, aby się namyslić. Odrzuciwszy kapturek kardynałki, oparła się o drzewo i wpatrzyła w szczyt góry, będącej celem jej wyprawy. Góra ta wyrastała z równiny w kształcie piramidy, a ostry jej wierzchołek słabo rysował się na tle chmur, wśród których gdzie niegdzie przebłyskiwały gwiazdy; lecz wkrótce przesłoniła go mgła, podmuchem wiatru napędzona i coraz bardziej gęstniejąca. Fanny uczuła, że serce w niej zamiera, że ogarnia ją niepewność. Co czynić? co czynić? Jeżeli wróci Henryk i kramarz, niewątpliwie spędzą noc we wrzekomem bezpieczeństwie na tem właśnie wzgórzu, ku któremu wyteżala wzrok w próżnej nadziei, iż dojrzy tam jakieś światło, coby jej dodało odwagi do dalszej drogi. Rozważny i, o ile się zdawać mogło, niechybny plan oficera schwytania zbiegów wciąż dźwięczał jej w uszach i pchał naprzód, ale ta straszliwa pustka, ciemności, niebezpieczeństwo takiej wędrowki po nocy wśród skał i rozpadlin, niepewność czy znajdzie szałas, lub co gorsza, że znajdzie w nim zupełnie innych, i to najgorszego rodzaju mieszkańców, wszystko to, razem wzięte, nagliło do powrotu. A ciemność wzrastała z każdą chwilą i coraz posępniejsze chmury zbierały się nad wierzchołkiem, aż zakryły go zupełnie. Fanny obu rękoma odrzuciła obfite loki ze skroni, wyteżając ze wszystkich sił wzrok w kierunku, gdzie, jak jej się zdawało, stał ów szałas. Wreszcie dostrzegła coś jak-

by migotliwy blask, lecz trwało to krótką chwilę; poczem horyzont wyjaśnił się znowu i gwiazda wieczorna wyblęśla z poza chmury, jak gdyby po ciężkiej stoczzonej z nią walce. Teraz Fanny ujrzała wyraźnie szczyt góry, na lewo od owej planety, i nagle smuga łagodnego światła oblała fantastycznie rozrzucone po wierzchołku, karłowate dęby, stopniowo osunęła się po skłonie, aż cała góra stanęła w blaskach wschodzącego księżyca. Gdyby nie to przyjazne światło, dalsza droga byłaby fizycznym niepodobieństwem dla naszej bohaterki, ale i teraz nie czuła się do niej zdolną. Bo ujrawszy cel swoich dążeń, ujrzała również połączone z dopięciem go trudności.

Miotana tą okrutną niepewnością, to cofając się z właściwą jej płci i wiekowi bojaźnią przed tem, tak bardzo niebezpiecznym przedsięwzięciem, to znów postanawiając ratować brata za wszelką cenę, zwróciła wzrok ku wschodowi, gdzie znów gromadziły się chmury, grożąc ponownie zgaszeniem zbawczego światła. I nagle jak pod ukąszeniem żmii skoczyła w bok, po raz pierwszy spostrzegłszy, o co była oparta, i co w pierwszej chwili brała za pień drzewa. Dwa proste słupy i poprzeczna nad nimi belka z niewielką platformą u dołu aż nazbyt wyraźnie powiedziały jej swą nazwę i przeznaczenie; powróż nawet zarzucony w górze chwiał się zlekka, kołysany nocnym powiewem. Fanny nie wahała się dłużej. Pędem strzały przebiegła łąkę i znalazła się u stóp skały, gdzie miała nadzieję odnaleźć jakąś ścieżkę, któraby ją zaprowadziła na szczyt. Jakoż przystanąwszy dla nabrania oddechu, dostrzegła wijącą się wskroś drzew i skalnych obrywów dróżkę pastuszą i raz jeszcze trwożnie poza siebie spojrzawszy, wstąpiła na nią bez wahania. Młoda, silna, podtrzymywana szlachetnem dążeniem, szybko pięła się pod górę i wkrótce wyszła na otwartą, płaskawą przestrzeń, widocznie wykarczowaną w celu uprawy. Ale czy wojna, czy jałowość gruntu zniechęciła przedsiębiorczego pracownika do prób dalszych,

i krzaki poczynają kiełkować na nowo, jak gdyby pług nie przeorał nigdy ziemi, która je żywiła.

Te ślady pracy ludzkiej w tem pustkowiu pokrzyły Fanny, szła dalej z rozbudzoną na nowo nadzieją powodzenia. Ścieżka wiła się teraz w tak różnych kierunkach, że porzuciwszy ją na pierwszym zakręcie, Fanny zaczęła piąć się wprost przed siebie najkrótszą, jak sądziła, drogą do wierzchołka. Wprędce minęła wytrzebioną przestrzeń, a zarośla i obrywy skalne, czepiające się przepastnych zboczy, tamowały jej znów przejście. Raz po raz trafiała na ścieżkę, przebiegającą wpoprzek bardziej otwarte miejsca i ginącą znów wśród traw i chwastów, ale nigdzie nie dostrzegła, aby prowadziła wyżej. Strzępy wełny, zwieszające się z kolczastych krzaków, objaśniały dostatecznie pochodzenie tych drózek i Fanny słusznie wywnioskowała, że przy schodzeniu z góry mogą jej znacznie ułatwić to zadanie. Usiadłszy na kamieniu, zmęczona dziewczyna zaczęła znowu zastanawiać się nad swoim położeniem. Księżyc rozpędził chmury, i cały krajobraz leżał u jej stóp, skąpany w jego czarodziejskiem świetle.

Tuż pod nią w regularnych szeregach ciągnęły się białe namioty milicji. W oknie pokoju panny Peyton świeciło się, i Fanny odgadywała z łatwością, że ciotka spogląda tam w stronę góry, nurtowana niepokojem o nią. Koło stajen migały latarnie; zapewne czyniono przygotowania do nocnego wymarszu, i Fanny, tknięta tą myślą, zerwała się na równe nogi.

Miała już za sobą dwie trzecie wysokości góry, ale jeszcze pozostawało jej przeszło ćwierć mili do wierzchołka. Szczęściem miał on kształt ostrokągu jak większość gór w tem pasmie; Fanny wiedziała przeto, że idąc wciąż pod górę, musi nareszcie dojść do owego szafasu, który jak zapamiętała, leżał na samym szczycie. Blisko godzinę walczyła z licznymi trudnościami, kilkakrotnie omal nie spadła w przepaść,

lecz nareszcie udało jej się wydostać na niewielką płaszczyznę, tworzącą czubek szczytu.

Wyczerpana i bliska omdlenia, osunęła się na skałę dla nabrania sił i męstwa do czekającej ją przeprawy. Teraz należało tylko odnaleźć szłaś. Księżyc oświetlał jasno wszystkie sąsiednie wzgórza i Fanny ze swego miejsca widziała dokładnie trakt, wiodący z równin w góry. Idąc za nim oczyma, odnalazła wprędce punkt, z którego zobaczyła ów tajemniczy szłaś, wiedziała więc, że musi on się znajdować dokładnie nawprost tego punktu.

Chłodny powiew wzdychał wśród bezlistnych gałęzi karłowatych dębów, gdy Fanny, krokiem tak lekkim, że prawie nie sprawiającym szelestu wśród suchych liści, po których stąpała, ruszyła na poszukiwanie owej samotnej chatynki, nie mogła jednak dostrzec nic, coby w najmniejszym stopniu przypominało siedzibę ludzką. Naprózno oglądała każde zagłębienie w skałach i chodziła po całym wierzchołku; nigdzie nie natrafiła nietylko na żaden szłaś, czy chatę, lecz nawet na ślad czyjegoś pobytu w tem miejscu. Bezgraniczna pustka wiała zewsząd i mroziła jej serce. Wystraszona i bliska rozpaczki podeszła na krawędź stromej skały i pochyliła się, by spojrzeć w dolinę, by się nieco widokiem sąsiedztwa ludzi pokrzepić, gdy nagle promień światła olśnił jej oczy, a ciepły prąd powietrza owiał całą jej postać. Ochłonawszy z pierwszego wrażenia, spojrzała trochę niżej i zobaczyła, że stoi tuż nad celem swoich poszukiwań. Przez otwór w dachu uchodził dym, a gdy go wiatr rozproszył, oczom Fanny ukazał się wielki jasny ogień, trzaskający na kamiennem palenisku. Kręta ścieżka, wijąca się dokoła skalnej wyniosłości, na której stała Fanny, wiodła do drzwi chatki, i Fanny ostrożnie zeszła tą ścieżką.

Poukładane jeden na drugim kloce drzewa tworzyły trzy ściany tej osobliwszej budowli, jeżeli to tak

nazwać było można, czwartą stanowiła skała, do której była przyparta. Dach uczyniony był z kory drzewnej, długimi pasami poukładanej na podstrzeszu. Szpary pomiędzy kłocami pozalepiane były gliną, która w wielu miejscach odpadła i którą zastąpiono suchymi liśćmi dla zabezpieczenia od wiatru. Jedno jedyne okienko o czterech szybach, umieszczone we frontowej ścianie, osłonięte było starannie deskami, by nie dopuścić blasku światła, czy ognia nazewnątrz. Obejrząwszy tę osobliwą kryjówkę na wszystkie strony, Fanny przytknęła oko do szpary, by zobaczyć co się dzieje w środku. Nie paliła się tam ani lampa, ani świeca, ale ogień płonął dość jasno, by można było czytać przy nim. W jednym kącie mieściło się posłanie ze słomy, a na niem parę niedbale porzuconych kołder. Na ścianach i na skale wisiała na kołkach różna odzież męska i kobieca wszelakiego rodzaju. Angielskie i amerykańskie mundury tuliły się przyjacielsko do siebie; na jednym z kołków, na którym jaśniała perkalowa kobieca suknia w paški, zwykły strój okolicznych wieśniaczek, mieściła się również obficie wypudrowana peruka; jednym słowem był to istny skład garderoby stosownej dla każdego wieku i każdego stanu.

W kącie, dotykającym skały, naprost ogniska płonącego w drugim, stała otwarta szafka, a w niej parę talerzy, kubek i resztki mięsiwa. Przed ogniskiem znajdował się stół z prostych, nieheblowanych desek, takież stołek i trochę naczyń kuchennych dopełniało umeblowania. Zamknięta książka, kształtem i wielkością przypominająca biblię, leżała na stole. Lecz uwagę Fanny pochłonał przedewszystkiem mieszkanie owej chaty. Był nim mężczyzna, siedzący przy stole, z głową opartą na dłoni w taki sposób, że zasłaniał nią twarz, pilnie zajęty przeglądaniem różnych papierów. Na stole obok leżała para przedziwnej roboty kawaleryjskich pistoletów, a rękojeść rapira, również bogato i delikatnie cyzelowana, wysuwała się

z pomiędzy nóg owego mężczyzny, niedbale opierającego na niej drugą rękę. Atletyczna budowa i wyniosły wzrost nieznanego na pierwszy rzut oka przekonały Fanny, że nie był to ani jej brat, ani Harvey, o czym zresztą w dalszym ciągu jeszcze wyraźniej zaświadczył jego ubiór. Obcisły, pod samą szyję zapięty surdut rozchyłał się u kolan, ukazując bawole rajtuzy i wojskowe buty z ostrogami. Włosy miał zaczesane wtył i stosownie do panującej mody obficie spudrowane. Okrągły kapelusz leżał na kamieniach, któremi wybrukowana była podłoga chaty, widocznie, aby nie zajmować miejsca na stole, gdzie wśród innych papierów leżała rozpostarta wielka mapa.

Widok ten zaskoczył całkowicie naszą bohaterkę. Była tak pewną, że kramarz, a nie kto inny był ową dwukrotnie widzianą na owej górze postacią, iż dowiedziawszy się o jego uczestnictwie w ucieczce brata, nie wątpiła ani na chwilę, że znajduje ich obu tu, gdzie teraz spostrzegła nieznanego. Stała więc, wciąż patrząc przez szparę i sama nie wiedząc, czy cofnąć się, czy czekać możliwego przyjścia Henryka, gdy nieznanomy odjął rękę od oczu i podniósł głęboko zadumaną twarz, w której Fanny poznała natychmiast wyraziste, a tak dziwnie dobrotliwe oblicze Harpera.

Wszystko co Dunwoodie powiedział jej o jego potędzie i znaczeniu, wszystko co sam przyrzekł jej bratu, zaufanie, jakie wzbudziło w niej pełne godności i wprost ojcowskie obejście jego, wszystko to błyskawicznie przemknęło przez umysł Fanny. Otworzyła drzwi i padłszy mu do nóg, objęła jego kolana, wołając:

— Uratuj go, panie, uratuj mego brata, przypomnij sobie twoją obietnicę i uratuj go.

Na skrzyp otwierających się drzwi Harper powstał i mimowoli sięgnął ręką ku pistoletom, lecz wzrok jego powstrzymał ten ruch. Podniósł kaptur kardynałki, który opadł na twarz Fanny, i zawołał z pewnym niepokojem:

— Panno Wharton! Kto panią tu przyprowadził?

— Nikt, nikogo tu niema prócz pana i Boga, i na Jego święte Imię zaklinam pana, abyś pomny swojej obietnicy uratował brata mego.

Harper łagodnie podniósł ją z kłęczek i posadził na stołku, prosząc aby się uspokoiła i opowiedziała mu, co ją tu sprowadza. Fanny niezwłocznie spełniła to życzenie, wtajemniczając go pokrótce w powody, jakie skłoniły ją do przyścia samej o tak spóźnionej porze w to odludne miejsce.

Harper był człowiekiem powściągliwym do najwyższego stopnia, umiejącym panować nad swemi wrażeniami tak dalece, że najbystrzejsze oko nie potrafiłoby dostrzec tego, co się działo w jego duszy; jednakże, gdy słuchał pośpiesznego opowiadania Fanny, myślące jego oko zabłysło, a muskuły ust drgnęły kilkakrotnie. Ucieczka Henryka obudziła w nim wielkie zajęcie; widocznie było, że udzielił mu się niepokój Fanny i obawa, by jednak nie zapóźnił się w górach, bo gdy skończyła, przeszedł się parę razy po ształasie w milczącej zadumie.

Tymczasem Fanny pragnęła jeszcze coś dodać, ale to coś nie chciało jej przejść przez gardło... Kilkakrotnie otwierała usta i zamykała je, gorący rumieniec oblał jej bledziuchną przed chwilą twarzyczkę, dłoń bezwiednie spoczęła na rękojeści pistoletu i cofnęła się natychmiast, wreszcie wciąż zapłoniona zdobyła się na odwagę i rzekła:

— Możemy bardzo polegać na przyjaźni majora Dunwoodie, ale jest on tak drażliwy na punkcie swego honoru, że... że... pomimo całej chęci przysłużenia się nam, pomimo tego co... co... może czuć, będzie uważał za swój obowiązek pojmać znów brata mego. Tem bardziej, iż nie będzie widział w tem żadnego niebezpieczeństwa dla niego; liczy bowiem bardzo na pańskie wstawienictwo.

— Na moje! — rzekł Harper, podnosząc oczy ze zdziwieniem.

— Tak, na pańskie. Gdyśmy mu powiedzieli o pańskiej dobroci, upewniał nas wszystkich, że leży w pańskiej mocy uzyskać ulaskawienie Henryka i że skoro pan obiecał, to pan z pewnością dotrzyma słowa.

— Czy powiedział co więcej? — zapytał Harper, lekko zaniepokojony.

— Nie, ale kilkakrotnie zaręczał nam, że możemy być pewni ocalenia Henryka, i teraz nawet poszukuje pana.

— Panno Wharton! — przemówił Harper — nie będę zaprzeczał, iż pełnię nieposlednią rolę w tej nieszczęśliwej ucieczce brata zawdzięczasz pani memu przeswiadczeniu o jego niewinności i pamięci danego słowa. Major Dunwoodie myli się, gdy mówi, że mógłbym jawnie uzyskać jego ulaskawienie. Teraz, istotnie, mogę mieć wpływ na jego losy i daję pani słowo, które nie jest bez znaczenia u Washingtona, że będą przedsięwzięte środki, aby zapobiec jego ponownemu pojmaniu. Ale nawzajem żądam od pani słowa, że to spotkanie nasze i wszystko, co zaszło pomiędzy nami, pozostanie najgłębszą tajemnicą, aż do chwili, kiedy pozwolę pani mówić o tym przedmiocie.

Fanny skwapliwie dała żądane zapewnienie, on zaś mówił dalej:

— Kramarz i brat pani wkrótce tu przybędą, ale oficer królewski nie powinien mnie widzieć, gdyż narażę to mogło Bircha na utratę życia.

— Przenigdy! — zawołała Fanny z zapałem — Henryk nie mógłby być tak nikczemnym, żeby zdradzić człowieka, który go ocalił.

— Panno Wharton! To co czynimy obecnie, nie jest dziecinną igraszką. Życie i losy ludzkie wiszą na bardzo cienkich niteczkach, i niczego nie należy zostawiać przypadkowi, przeciw czemu można się zabezpieczyć. Gdyby sir Henryk Clinton wiedział, że kramarz znosi się ze mną i to w takich okolicznościach, śmierć tego nieszczęśliwego człowieka byłaby

nieuchronną; przeto jeżeli cenisz pani krew ludzką i pamiętasz o ocaleniu brata, bądź ostrożną i milcz. Powiedz im obu, co wiesz, i nalegaj, by natychmiast puścili się w dalszą drogę. Jeżeli zdążą przejść ostatnie pikiety naszej armji przed świtem, moją rzeczą będzie, aby ich nikt nie zatrzymał. Będzie lepsza robota dla majora Dunwoodie niż nastawanie na życie przyjaciela.

Powiedziawszy to, Harper starannie zwinął mapę, którą przedtem rozpatrywał, i schował ją wraz z innymi papierami do kieszeni. Zaledwie skończył, głos kramarza, niezwykle głośno mówiący, dał się słyszeć nad ich głowami.

— Spójrzaj pan w tę stronę, kapitanie Whartonie, a zobaczysz ich namioty przy blasku księżyca. Ale niech wsiadają na koń i jadą, mam tu gniazdko, które starczy dla nas obu; zaraz się do niego dostaniemy.

— Gdzież to gniazdko? Wyznam szczerze, że w ciągu ostatnich dwóch dni prawie nic nie jadłem i chętniebym co przekąsił.

— Hm! — rzekł kramarz, podnosząc głos jeszcze bardziej — hm! ta mgła nabawiła mnie chrypki; ale idź pan ostrożnie i uważaj, abyś nie spadł, bo mógłbyś się nadziać na bagniet strażnika na równinie. Ciężko się tu wdrapać, ale zsunąć się w dół bardzo łatwo.

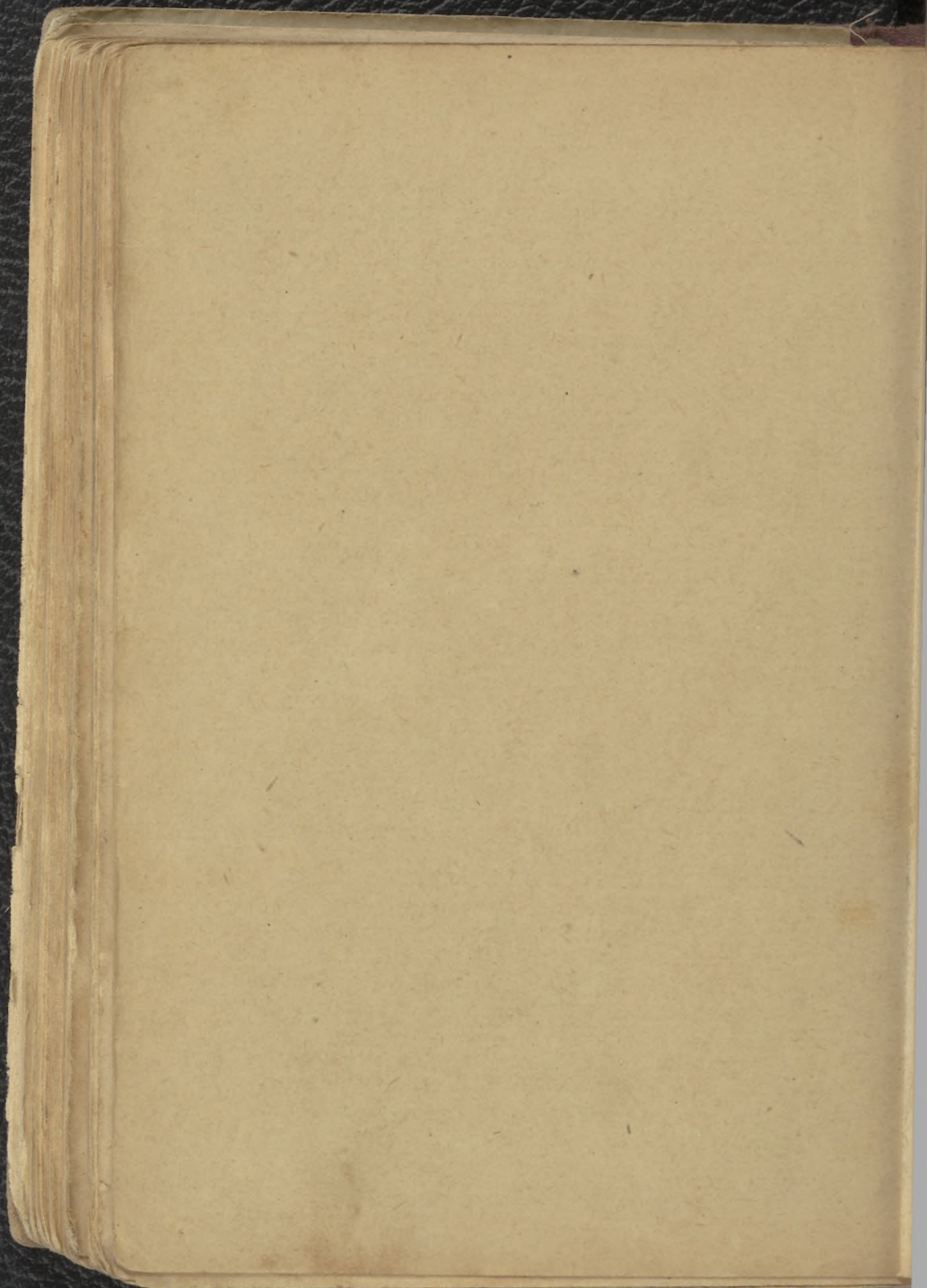
Harper położył palec na ustach, aby przypomnieć Fanny o danej obietnicy, i zabrawszy kapelusz i pistolety, tak że nie został żaden ślad jego bytności, rozsunął parę sztuk odzieży w najdalszym kącie chaty i wszedł do rodzaju wydrążenia w skale, opuściwszy tę zaimprovizowaną kotarę za sobą. Gdy wchodził, Fanny przy silnym blasku ognia spostrzegła, że w owej naturalnej alkowie nie było nic prócz paru sprzętów domowego użytku.

Łatwo sobie wyobrazić zdumienie Henryka i kramarza, gdy wszedłszy zastali Fanny w szafasie. Nie wdając się w żadne tłumaczenia i pytania, kochające dziewczę rzuciło się w objęcia brata i wybuchnęło



— Panno Wharton! Kto panią tu przyprowadził? Str. 398.

Szpieg.



placzem. Ale kramarz był jakby innemi zgoła uczuciami przejęty. Pierwsze jego spojrzenie padło na ogień, świeżo podsycony paliwem; następnie otworzył szufladę stołu i zaniepokoił się trochę, ujrawszy ją pustą.

— Czy pani tu jest sama, panno Fanny? — zapytał żywo — pani tu przyszła sama?

— Jak mnie pan widzisz, panie Birch — rzekła Fanny, wysuwając się z objęć brata i rzucając w stronę alkowy wymowne spojrzenie, które kramarz zrozumiał natychmiast.

— Ale dlaczego i jakim sposobem jesteś tutaj? — zawołał zdumiony Henryk — jakim sposobem dowiedziałas się o tej kryjówce?

Fanny opowiedziała mu pokrótce wszystko, co zaszło w domu po jego ucieczce i co ją skłoniło do ich wyszukania.

— Ale — rzekł kramarz — dlaczego pani przyszła tutaj, skoro dragoni widzieli nas na przeciwnym wzgórzu?

Fanny opowiedziała mu, jak w drodze przez góry spostrzegła ten szałas i kramarza, jak ponownie zobaczyła go dzisiaj i jak wywnioskowała natychmiast, że zbiegowie szukać tu będą schronienia na noc. Birch wpatrywał się w nią uważnie, gdy szczerze i z prostotą mówiła, w jaki sposób stała się panią jego tajemnicy, poczem przyskoczył do okienka i trzymanym w rękę kijem stłukł je od jednego zamachu.

— Mało ja w życiu zaznałem przyjemności i wyczerpanie — rzekł — ale nawet tej odrobiny spokojnie żyć nie mogę. Panno Wharton — ciągnął dalej, zbliżając się do Fanny i mówiąc z właściwą mu gorzką melancholją — ścigają mnie wszędy jak dzikie zwierzę; ale ilekroć zmęczony pracą i wyczerpany trudami chroń się do tej nędznej kryjówki, mogę przynajmniej bezpiecznie pędzić tu swoje samotne noce. Czy przyczynisz się pani do tego, by jeszcze cięższemu uczynić życie nieszczęśliwego człowieka?

— Nigdy! — zawołała Fanny z zapałem — tajemnica twoja jest dla mnie świętą!

— Major Dunwoodie — rzekł kramarz z wolna, spoglądając na nią, jak gdyby chciał zajrzeć w głąb jej duszy.

Fanny zwiesiła głowę na piersi w dziewiczym zawstyżeniu, lecz wnet podniósłszy zapłonioną twarzyczkę, wykrzyknęła z uniesieniem:

— Nigdy, przenigdy, Harveyu, jak pragnę, by Bóg wysłuchał moich modłów!

Kramarz poprzestał na tem, a skorzystawszy z chwili, gdy Henryk zajęty był siostrą, wsunął się do alkowy.

Fanny i brat jej, który spostrzegłszy po chwili nieobecność kramarza, sądził, że tenże wyszedł drzwiami, rozmawiali jeszcze czas jakiś o położeniu w jakim się Henryk znajdował. Fanny nalegała gorąco, by nie wylekał z dalszą ucieczką, dla wyprzedzenia Dunwoodie'go, o którego niezłomnem poczuciu obowiązku dobrze wiedzieli oboje. Kapitan wyjął z kieszeni notesik, napisał słów kilka ołówkiem, poczem złożył wydarta kartkę i podał ją siostrze.

— Fanny — rzekł — dowiodłaś dziś, że jesteś niezrównaną kobietą. Jeżeli mnie kochasz, oddaj to nie czytając Dunwoodie'mu i pamiętaj, że dwie godziny zwłoki mogą ocalić mi życie.

— Dobrze, oddam, ale ty nie ociągaj się: uciekaj, korzystaj z tych chwil cennych.

— Siostra pana dobrze mówi — zawołał Harvey, który wszedł niepostrzeżenie — musimy wyruszyć niezwłocznie. Oto żywność, będziemy jedli w drodze.

— Ale kto odprowadzi tę uroczą istotę? — zawołał kapitan. — Nie mogę zostawić mojej siostry samej w takim miejscu.

— Zostaw mnie! Zostaw! — rzekła Fanny — zjedę, jak przyszedłam. Nie troszcz się o mnie. Nie znasz mojej odwagi i sił moich.

— Nie znalazłem cię dotąd, najmilsza, to prawda; ale teraz, gdy oceniłem wartość twoją, czy mogę cię opuścić? Nigdy! Nigdy!

— Kapitanie Whartonie — rzekł Birch, otwierając drzwi — może pan masz jakie zbędne życie w zapasie i możesz niem igrać; ale ja mam tylko jedno i strzec go muszę. Czy mam sam odejść?

— Idź, idź! drogi Henryku — rzekła Fanny, całując go — idź i pamiętaj o ojcu, pamiętaj o Sarze.

Nie czekając odpowiedzi, popchnęła go lekko ku drzwiom, i zamknęła je za nim własnoręcznie.

Chwilę jeszcze słycać było żwąwą utarczkę słów pomiędzy Henrykiem a kramarzem, ale ten ostatni zwyciężył, i Fanny, wyczekująca z zapartym oddechem pode drzwiami, usłyszała jak schodzili szybko z boczem góry.

Zaledwie ucichły ich kroki, wszedł Harper. W milczeniu ujął rękę Fanny i wyprowadził ją z szałas. Widocznie znał dobrze tę drogę, bo wydostawszy się na sam szczyt, powiódł swą tworzyszkę dalej troskliwie, ostrzegając ją o trudniejszych przejściach i chroniąc od uszkodzeń. Fanny, idąc obok tego nadzwyczajnego człowieka, czuła, że czuwa nad nią moc nieprzeciętna. Jego pewny i spokojny krok świadczył o stanowczości i rozwadze umysłu. Okrążywszy wzgórze od tyłu, schodzili szybko i z niewielkiem niebezpieczeństwem. To co kosztowało Fanny godzinę mozolnej drogi, nie zajęło im teraz więcej nad dziesięć minut, po których upływie znaleźli się na wspomnianej już, wytrzebionej przestrzeni. Harper skręcił w jedną z pastuszych ścieżyn; przebywszy ją szybko, ujrzeni nagle wierzchowca, przybranego w bogaty czaprak jak dla jeźdźca niepośledniego znaczenia. Szlachetny rumak, ujrawszy pana, zaczął parskać i grzebać kopytem ziemię, podczas gdy ten wkładał pistolety w olstrza. Następnie Harper zwrócił się do Fanny, ujął jej rękę i rzekł:

— Ocalałaś pani brata, panno Wharton. Nie mogę wdawać się w objaśnienia, dlaczego są pewne granice, których moja władza nie może przekroczyć; ale jeżeli potrafisz pani wstrzymać jazdę przez dwie godziny, bezpieczeństwo jego jest zapewnione. Po tem co pani już uczyniłaś, ufam, że dokażesz tego. Bóg odmówił mi dzieci, ale gdyby nie był odmówił mi tego błogosławieństwa, byłbym pragnął, aby mnie takim jak ty obdarzył skarbem. Lecz wszak ty jesteś mojem dzieckiem; wszyscy, którzy żyją w tym rozległym kraju, są memi dziećmi; przyjmij więc błogosławieństwo tego, który ma nadzieję spotkać się jeszcze z tobą w dniach szczęśliwszych.

Mówiąc to z powagą, która przejęła Fanny do głębi serca, położył uroczyście rękę na jej głowie. Niewinne dziewczę podniosło ku niemu swą śliczną twarzyczkę, skąpaną w księżycowych blaskach. Kapturek zsunął się jej znów na plecy, odsłaniając jej cudne rysy. Dwie łzy błyszczały na jej liljowych policzkach, a słodkie błękitne oczy spoglądały ze czcią na Harpera. Ten pochylił się, złożył ojcowski pocałunek na jej czole i mówił dalej:

— Każda z tych pastuszych ścieżyn zaprowadzi cię na równinę. Ale tu musimy się rozstać. Mam dużo do czynienia i muszę jechać daleko. Pamiętaj o mnie jedynie w twoich modlitwach.

Dosiadł konia i uchylwszy kapelusza, pojechał ku tylnemu zboczcu góry i wkrótce znikł wśród drzew. Fanny poskoczyła z lekkim sercem naprzód i pierwszą wiodącą w dół ścieżką zeszła bezpiecznie na dół. Gdy szybko dążyła przez łąkę ku domowi, tętent zbliżających się koni przestraszył ją i pojęła, jak w pewnych okolicznościach o wiele bardziej trzeba się lękać ludzi niż samotności. Przyczaiwszy się pod płotem w pobliżu drogi, czekała. Mały oddział dragonów, innego umundurowania niż Wirgińczycy, minął ją szybkim kłusem. Wśląd za nim podążał jeździec w obszernym płaszczu, w którym natychmiast poznała Harpera.

Za nim jechał murzyn w liberji, a dwóch młodzieńców w uniformach tworzyło straż tylną. Zamiast wjechać na drogę, wiodącą do obozu, skręcili na lewo i znikli wśród gór.

Napróżno łamiąc sobie głowę, kim mógłby być ten potężny przyjaciel jej brata, Fanny poszła dalej polem i z nadzwyczajną ostrożnością przemknąwszy się koło domu, niepostrzeżona dostała się do wnętrza.

ROZDZIAŁ XXXI.

„Precz, kunsztowny wstydziel!
Kieruj mną prosta, święta niewin-
[ności.
Jestem twoją żoną, jeżeli chcesz
[się ze mną ożenić!“
Szekspir. *Burza.*

Wszedłszy do pokoju panny Peyton, Fanny dowiedziała się, że Dunwoodie jeszcze nie wrócił, lecz że, stosownie do życzenia Henryka, prosił bardzo szanownego duchownego ich własnego wyznania, by przybył mu z religijną pociechą. Ten przybył już i od półgodziny prowadził z panną Peyton uprzejmą rozmowę, nie potracając ani słowem o jej sprawy rodzinne.

Zarzucona gorączkowemi pytaniami ciotki, Fanny odpowiadała tylko tyle, że musi milczeć, i zaleciła to samo zacnej starej pannie. Ale uśmiech igrający na pięknych ustach dziewczeczki, gdy to mówiła, uspokoił ciotkę, napełniając ją błogiem przeświadczeniem, że wszystko jest, jak być powinno. Właśnie namawiała siostrzenicę, by się trochę posiliła, gdy tętent przed domem oznajmił powrót majora. Kurjer, wyprawiony przez Masona, znalazł go u przewozu niecierpliwie oczekującego na powrót Harpera. Dunwoodie dowiedziawszy się wrócił natychmiast do domu, dręczony tysiącem sprzecznych obaw. Serce zatłukło się w piersiach Fanny na odgłos jego kroków. Brakowało jeszcze godziny do czasu, jaki nazначył kramarz jako najkrótszy dla urzeczywistnienia ucieczki. Nawet Harper, tak potężny i życzliwie usposobiony, jak sam to przyznawał, kładł wielki nacisk na potrzebę zatrzy-

mania pościgu Wirgińczyków przez tę właśnie godzinę. Fanny nie zdążyła jeszcze zebrać myśli, gdy Dunwoodie wszedł do pokoju, a panna Peyton z taktem kobiecym wymknęła się drugimi.

Twarz majora silnie zapłoniona zdradzała rozdrażnienie i rozczarowanie.

— A! to było w najwyższym stopniu nieroztropne; więcej powiem, to było złe — zawołał rzucając się na krzesło — uciekać właśnie w chwili, gdy zapewniłem go, że jest ocalony. Doprawdy, Fanny, zaczynam myśleć, że stwarzacie rozmysłne sprzeczności pomiędzy naszymi uczuciami i obowiązkami.

— Nasze obowiązki mogą być sprzeczne — odparła Fanny, zbliżając się i opierając swą wiotką postać o ścianę — ale nie nasze uczucia, Peytonie. Musisz chyba cieszyć się w duszy z ucieczki Henryka.

— Nie groziło mu żadne niebezpieczeństwo. Miał obietnicę Harpera, a w jego słowo nigdy wątpić nie można! Ach! Fanny! Fanny! gdybyś знаła tego człowieka, wierzyłabyś ślepo jego zapewnieniom i nie narażałabyś mnie na tę straszną konieczność.

— Jaką konieczność? — zapytała Fanny, użalając się w duszy nad nim, ale korzystając z każdej okoliczności, mogącej przedłużyć rozmowę.

— Jaką konieczność! Czyż nie jestem zmuszony spędzić tę noc na siodle, żeby schwytać znów twego brata, kiedy sądziłem, że położę się spać szczęśliwy, z przeświadczeniem, że przyczyniłem się do jego uwolnienia. Zmuszacie mnie do tego, bym postępował z wami jak wróg, ja który ohotnie ostatnią kroplę krwi wylałbym za was. Powtarzam, Fanny, to było nieroztropnie, to było złe, to był wielki, wielki błąd.

Pochyliła się ku niemu i nieśmiało ujęła jego rękę, a druga łagodnie odgarnęła mu kędziory z płonącego czoła.

— Ale poco masz to czynić, drogi Peytonie? — spytała. — Uczyniłeś już dużo dla ojczyzny. Ta nie może wymagać od ciebie takiego poświęcenia.

— Fanny! — wykrzyknął młodzieniec, zrywając się z miejsca z ogniem na smągłem obliczu i oczami zaiskrzonymi poczuciem dotkniętej prawości. — Nie moja ojczyzna, lecz mój honor domaga się tego poświęcenia. Alboż nie uciekł z pod straży moich własnych ludzi? Gdyby nie to, byłbym mógł oszczędzić sobie tego ciosu. Ale jeżeli oczy Wirgińczyków ślepe są na oszukaństwo, konie ich są szybkie, a szable ostre. Zobaczymy, nim słońce wzejdzie jutro, kto ośmieli się powiedzieć, że piękność siostry stała się parawanem dla brata. Tak, tak — dodał, śmiejąc się gorzko — chciałbym nawet w tej chwili usłyszeć niegodziwca, który poważyłby się zarzucić mi podobne przemieszczenie.

— Peytonie! drogi Peytonie — rzekła Fanny, cofając się przed jego zaiskrzonym gniewnie wzrokiem. — Krew mi ścinasz w żyłach! czyżbyś chciał zabić mego brata?

— Życie dałbym za niego! — wykrzyknął Dunwoodie, zwracając się do niej łagodniej. — Wiesz o tem dobrze, ale jestem zrozpaczony okrutnem położeniem, w jakim mnie postawił krok Henryka. Co pomyśli o mnie Washington, gdy się dowie kiedyś, że zostałem twoim mężem?

— Jeżeli ten wzgląd tylko nakazuje ci taką srogość względem mego brata — rzekła Fanny z lekkim drżeniem w głosie — to niech się to nigdy nie stanie.

— I to ma mi być pociechą, Fanny?

— Nie, drogi Peytonie, nie chciałam cię dotknąć, ani sprawić ci przykrości. Ale czy nie przeceniasz trochę znaczenia nas obojga w oczach Washingtona?

— Tuszę sobie, że nazwisko moje nie jest zupełnie obce Naczelnemu Wodzowi — odrzekł major z pewną dumą — ani ty nie jesteś tak nic nieznacząca, jak to w swojej skromności mniemasz. Wierzę ci, Fanny, gdy mówisz, że się nade mną litujesz, i muszę w dalszym ciągu być godnym tego uczucia. Ale tracę tu drogocenne chwile. Musimy zaraz wyruszyć w góry.

by jutro zrana być w pogotowiu. Mason czeka już na moje rozkazy, Fanny; odjeżdżam z ciężkiem sercem, pocałuj mnie, ale nie lękaj się o brata; musi znów zostać więźniem, ale włos mu z głowy nie spadnie.

— Poczekaj, Peytonie, zaklinam cię! — zawołała Fanny, z trudem chwyając oddech i widząc, że sporo jeszcze czasu brakuje do owej upragnionej godziny — zanim pojedziesz spełnić ten nieszczęsny obowiązek, przeczytaj tę kartkę, którą Henryk zostawił dla ciebie i którą niewątpliwie pisał w mniemaniu, że pisze do przyjaciela młodości.

— Fanny! wybaczam ci te słowa; przyjdzie czas, kiedy oddasz mi sprawiedliwość.

— Ten czas już przyszedł — odpowiedziała, wyciągając rękę, niezdolna udawać dłużej żalu, którego nie czuła.

— Skąd dostałaś tę kartkę? — zawołał młodzieniec, przebiegłszy ją oczyma. — Biedny, drogi Henryku, tyś jest naprawdę moim przyjacielem! Jeżeli ktoś zyczy mi szczęścia, to ty.

— O! tak! tak! — zawołała Fanny skwapliwie — z całej duszy życzy ci szczęścia. Wierzaj wszystkiemu, co ci pisze. Każde słowo jest prawdą.

— Wierzę mu, najmiłsza, i on właśnie odsyła mnie do ciebie po potwierdzenie tych słów. Obym mógł tak samo wierzyć w twoją miłość.

— Możesz, Peytonie — rzekła Fanny, podnosząc na niego oczy z niewinną ufnością.

— Więc przeczytaj sama i daj świadectwo tym słowom — przerwał Dunwoodie, wręczając jej kartkę.

Fanny wzięła ją ze zdziwieniem i przeczytała, co następuje:

„Życie zbyt jest cenne, aby je powierzać niepewnościom. Zostawiam Cię, Peytonie, bez wiedzy wszystkich, prócz Cezara, którego twemu miłosierdziu i łasce polecam. Ale wielka troska przygniata mnie do ziemi. Spójrz na mego wiekowego i niedołęznego ojca. Spójrz na te biedne siostry moje, pozbawione opiekuna. Dał

mi dowód, że kochasz nas wszystkich. Niech ten duchowny, którego sprowadzisz, połączy cię dzisiaj z Fanny; a ty stań się odrazu bratem, synem i mężem”.

Kartka wypadła z rąk Fanny. Chciała spojrzeć na Dunwoodie'go, lecz zawstydzona utkwiała wzrok w ziemię.

— Jestem godny tego zaufania? Czy pošlesz mnie dzisiaj na spotkanie brata, czy też tylko oficer Kongresu uda się na poszukiwanie angielskiego oficera?

— A czy mniej gorliwie spełnisz swój obowiązek dlatego, że zostanę żoną twoją, majorze Dunwoodie? W jakim stopniu oddziała to na polepszenie doli Henryka?

— Henrykowi, powtarzam, nie grozi żadne niebezpieczeństwo. Słowo Harpera jest tego rękojmią, a ja pokażę światu oblubieńca — ciągnął dalej młodzieniec, sam siebie łudząc poniekąd, — który spełnił swój obowiązek, aresztując brata swej oblubienicy!

— Alboż świat zrozumie to należycie i oceni? — rzekła Fanny w zadumaniu i z takim wyrazem twarzy, że zbudził najsłodsze nadzieje w sercu młodzieńca.

Istotnie pokusa była niezwykle silna. Zdawało się, iż niema innego sposobu zatrzymania Dunwoodie'go, póki owa fatalna godzina nie minie. Słowa samego Harpera, który tak niedawno powiedział jej, że otwarcie nie może ocalić Henryka i że wszystko zależało od zyskania na czasie, dźwięczały w uszach Fanny. Być może również, iż tkwiła w niej niejasna obawa wiecznej rozłąki z narzeczonym, gdyby mu się udało pochwycić brata i gdyby ten odcierpiał karę. Rzeczą zawsze jest trudną określić ludzkie wrażenia, zwłaszcza gdy chodzi o serce kobiety, w którym rodzą się i przez które przechodzą z szybkością błyskawicy.

— Czemu się wahasz, Fanny droga? — zawołał Dunwoodie, śledząc pilnie grę uczuć malujących się

na jej twarzy. — Kilka minut może mi dać prawo męzowskiej opieki nad tobą.

Fanny czuła, że jej się kręci w głowie. Spojrzała na zegar. Skazówka posuwała się tak wolno, jak gdyby dla umyślnego jej udręczenia.

— Mów, Fanny — szepnął Dunwoodie — czy mogę przywołać moją dobrą kuzynkę? Czas nagli. Postanów.

Chciała przemówić, lecz zaledwie wybełkotała coś niezrozumiałego, w czem jednak Dunwoodie, przywilejem od niepamiętnych czasów przysługującym kochankom, domyślił się zgody. Poskoczył ku drzwiom, lecz ona głos odzyskała.

— Stój, Peytonie, nie mogę złożyć tak uroczystej przysięgi z podstępem na sumieniu. Widziałam Henryka już po jego ucieczce, i czas jest wszystkim dla niego. Oto moja ręka. Jeżeli ze świadomością skutków, jakie zwłoka pociągnąć za sobą może, nie odrzucisz jej, ręka ta jest twoją.

— Ja miałbym ją odrzucić! — wykrzyknął uszczęśliwiony młodzieniec — biorę ją jak najcenniejszy dar nieba. Czasu mamy dosyć na wszystko. Za dwie godziny przejadę góry, a jutro około południa wrócę z ułaskawieniem Washingtona dla twego brata, i Henryk będzie się śmiał na naszym weselu.

— Więc czekaj tu na mnie za dziesięć minut — rzekła Fanny, czując, że wielki ciężar spadł jej z serca i będąc już prawie pewną ocalenia Henryka — a wrócę i złożę przysięgę, która mnie z tobą połączy na zawsze.

Dunwoodie przycisnął ją do serca i pobiegł uwiadomić księdza.

Z wielkiem zdziwieniem, a poniekąd i niezadowoleniem wysłuchała panna Peyton nowiny, jaką jej siostrzenica przyniosła. Taki pośpiech i bezczeremonjalność gwałciły jej pojęcia o należnych takiej uroczystości względach. Ale Fanny skromnie lecz stanowczo oświadczyła, że postanowienie jej jest niecofnione; że

oddawna już posiada zezwolenie rodziny i że tylko od niej zależało, by ślub odbył się był znacznie dawniej. Przymknęła teraz Dunwoodie'mu i chce obietnicy dotrzymać! Więcej nie śmiała powiedzieć, lękając się wchodzić w objaśnienia, mogące narazić Bircha albo Harpera, albo obu. Panna Peyton nienawykła do sprzeczek i szczerze przywiązana do krewnego, ustąpiła wobec stanowczości siostrzenicy. Pan Wharton był już tak pozbawiony wszelkiej energii, że nawet przez myśl mu nie przeszło stawiać jakieś trudności prośbie oficera tego znaczenia w buntowniczej armii co Dunwoodie, więc w oznaczonym czasie Fanny wróciła do pokoju, gdzie Dunwoodie i duchowny już czekali na nią w towarzystwie ojca i ciotki. Fanny w milczeniu i bez udanej wstydlivosti podała kapłanowi ślubną obrączkę matki, pan Wharton i panna Peyton ustawili się za młodą parą, i zaczął się święty obrządek.

Zegar stał tuż przed oczyma Fanny. Spoglądała na niego z niepokojem, lecz uroczyste słowa kapłana wnet pochłonięły jej uwagę i skupiły wszystkie jej władze na przysięgę, jaką składała. Ślub odbył się prędko, i gdy duchowny domawiał słów błogosławieństwa, zegar wybił dziewiątą. Godzinę tę oznaczył Harper, i Fanny uczyła znów, że jeszcze większy ciężar spadł jej z piersi.

Dunwoodie wziął ją w objęcia, kilkakrotnie ucałował dobrą ciotkę i uściskał ręce pana Whartona i duchownego. Wtem zapukano do drzwi i wszedł Mason.

— Jesteśmy gotowi — rzekł porucznik — i z pozwoleniem pańskim poprowadzę oddział: pan ma tak świetnego wierzchowca, że z łatwością dopędzić nas może.

— Tak, tak, kochany chłopcze, ruszajcie — zawołał Dunwoodie skwapliwie, chwytając się każdej zwłoki — dopędzę was na pierwszym popasie.

Porucznik wyszedł, a za nim pan Wharton i duchowny.

— Teraz, Peytonie — rzekła Fanny — jedziesz istotnie na poszukiwanie brata, nie potrzebuję polecać ci go, gdybyś go na nieszczęście odnalazł.

— Powiedz na szczęście — zawołał — bo postanowiłem sobie, że będzie tańczył na naszym weselu. Och! gdybym mógł zjednać go dla naszej sprawy! to sprawa jego ojczyzny; o ileż ochotniej walczyłbym, mając go przy swoim boku.

— Och! nie mów tego! Straszliwe wzbudzasz wspomnienia.

— Nie będę — odrzekł jej mąż. — Ale teraz muszę cię opuścić. Lecz im prędzej odjadę, Fanny, tem prędzej wrócę.

Zatętniało przed domem i Dunwoodie żegnał się jeszcze z panną młodą i ciotką, gdy służący jego wprowadził jakiegoś oficera do pokoju. Miał on na sobie ubiór adjutanta, i major poznał go odrazu jako należącego do przybocznej straży Washingtona.

— Majorze Dunwoodie — rzekł nowoprzybyły, skłoniwszy się paniom. — Naczelny Wódz polecił mi wręczyć panu ten rozkaz.

Co skuteczniejszy, pożegnał się natychmiast.

— Doprawdy! — zawołał major — to coś całkiem nieoczekiwanego. Ale rozumiem. Harper otrzymał mój list; czujemy już jego wpływ.

— Czy otrzymałeś jakie wiadomości o Henryku? — wykrzyknęła Fanny, przyskakując do niego.

— Posłuchaj a osądzisz.

„Panie!

Po otrzymaniu niniejszego zbierzesz pan swój szwadron, aby stawić czoło oddziałowi, który nieprzyjaciel wysłał dla osłony swoich furazystów i o dziesiątej jutro zrana stawisz się pan na wzgórzach Crotonu, gdzie znajdziesz oczekujące cię posiłki piechoty.

Doniesiono mi o ucieczce angielskiego szpiega, ale schwytanie go jest rzeczą mało ważną w porównaniu z zadaniem, jakie panu obecnie naznaczam. Odwołasz pan przeto ludzi, jeżeliby już byli wysłani z pościgiem, i postarasz się zmusić nieprzyjaciela do odwrotu.

Powolny sługa
Jerzy Washington".

— Dzięki Ci, Boże! — zawołał Dunwoodie — mogę umyć ręce od schwytania Henryka i spełnić z honorem naznaczoną mi powinność.

— I z rozważą również, drogi Peytonie — rzekła Fanny, poblądłszy śmiertelnie. — Pamiętaj, że zostawiasz tu nowe prawa do twego życia.

Młodzieniec popatrzył z zachwytem w jej poblądną twarzyczkę i tuląc ją do serca wykrzyknął:

— Będę pamiętał, najdroższa.

Fanny rozpląkała się w jego objęciach; on zaś, ucałowawszy ją najczulej, wybiegł z pokoju.

Przed udaniem się na spoczynek panna Peyton uznała za właściwe udzielić siostrzenicy pewnych rad i wskazówek o obowiązkach małżeńskich. Nauki te zostały przyjęte skromnie, choć może nieco skutecznie przetrawione. Żałujemy bardzo, iż historia nie przekazała nam tej cennej rozprawy, ale wszelkie poszukiwania nasze celem odzyskania jej spełzły na niczem. Pozostawimy teraz te panie, a powrócimy do kapitana Whartona i Harveya Bircha.

ROZDZIAŁ XXXII.

„Nie dopuść mu pożegnalnego słowa;
Krótka niech będzie spowiedź, a po-
[wróż mocny.“

W. Scott. *Rokeby*.

Kramarz i jego towarzysz szybko zesłi w dolinę, a zatrzymawszy się chwilę, żeby posłuchać, i upewniwszy się, że nikt ich nie goni, weszli na gościńiec. Obznajmiony z każdą piędzią drogi, wiodącą wskroś gór, i nawykły do pieszych wędrówek Birch szedł przodem, wielkimi krokami, właściwemi jego zawodowi, brak mu było tylko toboła, by wyglądał jak zwykłe, gdy odbywał swe kramarskie wędrówki.

Ilećcro zbliżali się do małych amerykańskich posterunków, tak licznych w tych górach, zbaczał z gościńca i bez wahania zapuszczał się w gąszcze, lub wdrapywał na skały, na wygląd niedostępne. Lecz on znał doskonale wszystkie zakamarki tej uciążliwej i trudnej drogi, wiedział, gdzie można przedrzeć się wąwozem, lub przejść strumień w bród. Parę razy Henrykowi wydało się, że nie postąpią dalej ani kroku; ale spryt i obrotność przewodnika zwyciężyła wszelkie trudności.

Po trzech godzinach śpiesznego marszu zesłi nagle z gościńca, odchylającego się ku wschodowi, i podążyli wprost wzgórzami, kierując się na południe.

Kramarz objaśnił towarzysza, że uczynił to, aby uniknąć oddziałów nieustannie patrolujących u południowego podnóża gór, a także by skrócić drogę idąc w prostej linii. Gdy znaleźli się na szczycie pagórka,

Harvey usiadł przy maleńkim potoczku i otworzywszy torbę, jaką sobie zarzucił na plecy zamiast toboła, zaprosił towarzysza, by zabrał się z nim do skromnego posiłku.

Henryk dotrzymywał kroku kramarzowi, podniecany wewnętrznym niepokojem, tak łatwo zrozumiałym w jego położeniu. Mając wciąż na myśli możliwość pościgu, byłby szedł i szedł bez przerwy, by wyprzedzić jazdę, mogącą zagrozić im ucieczkę przez grunt neutralny. Podzielił się więc tą obawą z towarzyszem, nalegając, by poniechali odpoczynku i posiłku.

— Pójdź pan za moim przykładem, kapitanie Whartonie — rzekł kramarz, zabierając się do jedzenia. — Jeżeli jazda już wyruszyła, to wszelkie nasze usiłowania wyprzedzenia jej na nic się nie zdadzą; a jeżeli nie, to już się tam dla nich szykuje robota, która im wszelką myśl o panu i o mnie wypędzi z głowy.

— Ale sam mówiłeś, że dwie godziny zwłoki są dla nas nadzwyczaj ważne; a jeżeli tu marudzić będziemy, to na cóż się nam przyda to, cośmy już zyskali na czasie?

— Ten czas już minął, i major Dunwoodie ani myśli ścigać dwóch ludzi, gdy setki czekają na niego nad brzegiem rzeki.

— Słuchaj! — przerwał Henryk — otóż i dragoni. Przejeżdżają w tej chwili u stóp wzgórza. Słyszę nawet, jak się śmieją i rozmawiają. Cyt! To głos samego Dunwoodie'go. Mówi coś do kolegi w sposób zgoła wesoły. Zdawałoby się, że położenie przyjaciela powinno go trochę zmartwić. Chyba Fanny nie zdążyła oddać mu kartki.

Na dźwięk pierwszych słów kapitana Birch powstał i zbliżywszy się na krawędź wzgórza, tak aby go znikąd dostrzec nie było można, pilnie rozpatrywał oddział przejeżdżających dragonów. Słuchał, dopóki szybki tętent ich wierzchowców nie ucichł w oddali,

poczem wrócił na dawne miejsce i z niezrównaną zimną krwią zabrał się znów do jedzenia.

— Masz pan przed sobą długą i uciążliwą drogę; pójdz lepiej za moim przykładem. Mówiłeś pan, że jesteś głodny, gdyśmy byli w szałasie nad Fishkillem; ale widocznie wędrówka odebrała ci apetyt.

— Myślałem wtedy, że jestem ocalony; ale to co mi powiedziała siostra, napełnia mnie obawą i nie mogę jeść.

— Mniej masz pan powodu do obaw niż kiedykolwiek od chwili, gdyś odrzucił moją radę i chęć odprowadzenia cię w bezpieczne miejsce — odparł kramarz.

— Major Dunwoodie nie jest człowiekiem, któryby się śmiał i weselił, kiedy jego przyjacielowi grozi niebezpieczeństwo. Bądź więc pan dobrej myśli i jedz, bo żadna jazda nie zastąpi nam drogi, jeżeli nogi posłużą nam jeszcze przez cztery godziny, a słońce nie wzejdzie wcześniej niż zazwyczaj.

Było tyle pewności siebie w zachowaniu się kramarza, że dodało to otuchy jego towarzyszowi; zresztą raz postanowiwszy zdać się na jego wolę, wziął się do jedzenia i zaspokoił głód w zupełności, jeżeli nie jakościowo, to przynajmniej ilościowo. Gdy skończyli wiecezrę, kramarz puścił się w dalszą drogę.

Henryk szedł za nim ze ślepą ufnością. Przez dwie godziny porali się z trudnościami i niebezpieczeństwami górskich przesmyków, bez wytkniętej drogi i przewodnika prócz księżycy, który wędrował po niebie to świecąc jasno to kryjąc się w chmurach. Wreszcie doszli do miejsca, gdzie pasmo gór zniżało się, przechodząc w nierówne i postrzępione pagórki, i z jałowej nagości rozpadlin wydobyli się na jako tako uprawne pola „neutralnego gruntu”.

Kramarz stał się teraz ostrożniejszym i dawał pilne baczenie, by się nie natknąć na ruchome oddziały amerykańskie. Ze stałemi posterunkami tak był obznajmiony, że z tej strony nie groziło mu niebezpieczeństwo nagłego spotkania. Przemykał się więc wskroś pagórków i dolin, to trzymając się gościńców,

to schodząc na boki z jakąś instynktowną dokładnością. Chód jego nie miał w sobie nic zgoła elastycznego; pomykał jednak olbrzymiemi krokami, nieco ku przodowi podany, bez śladu zmęczenia i wysiłku.

Księżyc zaszedł i bładny pasek światła zaczął ukazywać się na wschodzie. Kapitan Wharton, czując ogarniające go coraz większe zmęczenie, zapytał, czy nie znajdują się jeszcze w tej części okolicy, gdzie bezpiecznie mogliby zapukać do jakiego domu i wypocząć.

— Patrz pan — rzekł kramarz, wskazując na wzgórek w niewielkiej poza nimi odległości — widzisz człowieka chodzącego tam i napowrót po skale. Obróć się pan do światła... tak; widzisz, porusza się i zdaje się przypatrywać uważnie czemuś na wschodzie. To straż królewska; dwustu regularnego wojska leży na tym pagórku i zapewne śpi na broni.

— W takim razie — zawołał Henryk — połączmy się z nimi i będziemy poza niebezpieczeństwem.

— Zwolna, zwolna, kapitanie Whartonie — rzekł kramarz sucho — byłeś już raz pomiędzy trzystu i znalazł się taki, co cię pojmał. Widzisz pan tamten ciemny punkt na zboczu przeciwległego pagórka, tuż ponad rżyskiem. Tam są zbuntowani (skoro tak my lojalni poddani mamy ich nazywać) i czekają, rychło dzień zaświta, by się przekonać, kto będzie panem placu.

— A więc — wykrzyknął zapalczywy młodzian — przyłączę się do wojsk mego króla i podzielę ich los zły czy dobry.

— Zapominasz pan, że walczyłyś ze stryczkiem na szyi. Nie, nie, przyrzekłem temu, komu zawodu zrobić nie mogę, że przeprowadzę cię bezpiecznie, i o ile pan nie zechcesz zapomnieć tego, co już zrobiłem i na co się dla ciebie naraziłem; zawrócisz i pójdziesz ze mną do Harlemu.

Na tego rodzaju powiedzenie młodzieniec, acz niechętnie, musiał ustąpić. Szli więc dalej w kierunku miasta. Wkrótce potem dotarli do brzegów Hudsonu.

Poszukawszy czas jakiś pod brzegiem, kramarz wynalazł łódkę, widocznie dobrze mu znaną, wsiadł w nią wraz z towarzyszem i wylądował na południowej stronie Crotonu. Tutaj oświadczył, że są już bezpieczni, gdyż wojska królewskie, będące w znacznej sile, trzymały lądowców w szachu, ci bowiem nie śmieli się tu zapuszczać, nie rozporządzając narazie znacznymi oddziałami.

Przez cały czas, jaki trwała ucieczka, kramarz okazywał niezmaconą przytomność umysłu i zimną krew. Zdawać się mogło, że właściwe fizycznemu ustrojowi człowieka ułomności nie mają do niego dostępu, a wszystkie władze wydoskonalone są ponad zwykłą miarę. Henryk szedł za nim jak dziecko na paskach i teraz otrzymał nagrodę tego ślepego posłuszeństwa, usłyszawszy, że już żadne nie grozi mu niebezpieczeństwo.

Stroną i uciążliwą dróżką wydostali się na wzgórze, tworzące w tem miejscu wschodni brzeg Hudsonu. Cofnąwszy się nieco z gościńca pod cień cedrowego lasku, kramarz rzucił się na płaską skałę i oświadczył towarzyszowi, że godzina wypoczynku i posiłku nadeszła wreszcie. Dzień się już uczynił, i można było widzieć wszystko wyraźnie w znacznej odległości. Tuż pod nimi leżał Hudson, płynąc w prostej linii na południe, jak okiem dało się sięgnąć. Z północnej strony oderwane fragmenty górskiego pasma wznosiły swe dumne szczyty ponad oponę mgły, wiszącej nad rzeką, która wrzynała się w łono gór, bezładnie piętrzących swe wierzchołki, jakby w olbrzymim, a bezskutecznym wysiłku wstrzymania biegu wód. Wydobywszy się z pośród tej płataniny, piękna rzeka, jakby uradowana odzyskaną swobodą, rozlewała się szeroką zatoką, gdzie niegdzie po brzegach bujną roślinnością umajona. Z przeciwległej, czyli zachodniej strony skały Jersey skupione w prostym szeregu, który im pozyskał miano palisad, jeżyły swe ostre szczyty, jak gdyby osłaniając leżącą za nimi żyzną i bogatą krainę, od najścia zdo-

bywcy, lecz rzeka, gardząc takim wrogiem, opływała dumnie ich stopy, dążąc wytkniętą, prostą drogą ku oceanowi.

Nagle promień wschodzącego słońca rozdarł lekką chmurkę, wiszącą ponad spokojną rzeką, i naraz cały krajobraz ożył, przybierając coraz nowe kształty i z każdą chwilą coraz nowe odsłaniając widoki. W dzisiejszych czasach, po podniesieniu się tej wielkiej kurtyny natury, oko spostrzeża mnóstwo białych żagli i statków, sunących rzeką z pośpiechem i ożywieniem, wskazującym sąsiedztwo stolicy wielkiego i kwitnącego państwa, ale Henryk i kramarz zobaczyli tylko kwadratowe reje i wysokie maszty wojennego okrętu, płynącego o mil parę przed nimi. Zanim mgła się podniosła, widać było tylko czubki tych masztów i zwieszającą się z jednego z nich długą banderę, lecz gdy lekki wiatr zwał te opary, czarny kadłub i ciężka płatanina rei i sznurów zaczęły się ukazywać kolejno.

— Tam, kapitanie Whartonie — rzekł kramarz — tam jest bezpieczne schronienie dla pana, i Ameryka już cię nie dosięgnie, jeżeli dostaniesz się na pokład tego okrętu. Przybył on tu, aby osłaniać furazystów i posiłkować wojska. Regularni oficerowie lubią słuchać huku armat z okrętów.

Nie raczywszy odpowiedzieć na te sarkastyczne słowa, a może nawet ich nie zauważywszy, Henryk ochoczo zgodził się na propozycję kramarza, by skoro tylko posilą się i wypoczną trochę, on sam spróbował dostać się na pokład okrętu.

Jedli jeszcze w najlepsze, gdy o uszy ich odbił się odgłos dalekich strzałów. Zrazu były to tylko pojedyncze, bezładne wystrzały, po nich nastąpił długi i ożywiony huk muszkietów, a potem jeszcze szybkie, ciężkie salwy.

— Sprawdźła się twoja przepowiednia — zawołał oficer angielski zrywając się z miejsca. — Nasze wojska starły się z buntowniczymi oddziałami; dałbym swój półroczny żołd, żebym to mógł widzieć.

— Hm — rzekł kramarz, nie przestając jeść — bardzo to dobrze wygląda zdaleka, ale ja wolę towarzystwo tej wędzonki, chociaż zimna, niż żeby mnie miał prażyć ogień ładowców.

— Ogień, zdaje się, jest silny jak na tak szczupłe siły, tylko bardzo nieregularny.

— To milicja Connecticutu strzela w ten sposób — rzekł Harvey, podnosząc głowę i nadsłuchując — uwijają się dzielnie, niema co mówić, a oko mają celne. Te salwy pochodzą od regularnych, którzy, jak pan wie, strzelają bez przerwy, póki tylko mogą.

— Nie podoba mi się ta milicja — rzekł kapitan z pewnym niepokojem. — To już nie jakaś bezładna strzelanina, ale jakby nieustanny warkot bębna.

— Ano — odparł kramarz, przestawszy jeść i przyklekając na jedno kolano — póki stoją, lepszych i w królewskiej armji nie znajdzie. Każdy żołnierz strzela jak na obstalunek i nie mają zwyczaju posyłać kul w chmury zamiast zabijać ludzi na ziemi.

— Tak mówisz i wyglądasz, jak gdybyś im życzył powodzenia — rzekł Henryk surowo.

— Życzę powodzenia jedynie dobrej sprawie, kapitanie Whartonie. Sądziłem, że pan mnie zna zbyt dobrze, by mieć wątpliwości, czyją trzymam stronę.

— O! masz opinię lojalisty, panie Birch; ale otóż i salwy ustały.

— Biją się na bagnety — rzekł kramarz. — Regularni poszli na bagnety i zbuntowani związali się z nimi.

— Niema jak bagnety! — zawołał Henryk — angielski żołnierz przepada za bagnetem.

— O ile wiem — rzekł kramarz — to niema się znów czem tak bardzo rozkoszować. Nienawidzę tej strasznej broni. A i milicja podziela moje zdanie, bo rzadko który z nich nosi to szkaradzieństwo. Ach! Boże! Boże! gdybyś pan, panie kapitanie, znalazł się kiedy w buntowniczym obozie i posłuchał, co oni tam wy-

gadują o Bunkner Hill i Burgyne'm, tobyś myślał, że im smakuje bagnet jak dobry obiad.

Kramarz wyrzekł to z jakąś miną niewiniątka, która podrażniła Henryka, nie raczył więc odpowiedzieć.

Ogień teraz stał się dorywczy, raz po raz mieszając się z potężnymi salwami. Obaj zbiegowie stali nadsluchując z niepokojem, gdy na skraju cedrowych zarośli, częściowo pokrywających wzgórze, ukazał się człowiek uzbrojony w muszkiet i począł skradać się ku nim. Henryk spostrzegł go pierwszy i natychmiast wskazał towarzyszowi, Birch drgnął i uczynił taki ruch, jakby chciał uciekać; ale opamiętał się natychmiast i stał w ponurem milczeniu, czekając aż tamten się zbliży.

— Jak się pan miewa, panie Birch — rzekł nieznamy opuszczając broń, ale trzymając się przezornie w pewnem oddaleniu. Ja tu bez złych zamiarów, proszę mi wierzyć.

— Ruszaj lepiej w swoją drogę — rzekł Birch. — Regularni są tuż, a Dunwoodie i jego jazda daleko; więc ci dziś dużo za mnie nie zapłacą.

— Niech djabli porwą majora Dunwoodie'go i jego jazdę — zawołał herszt skinnerów (bo on to był). — Boże, błogosław króla Jerzego! i zeslij szybki koniec zbuntowanym, powiadam. Jeżeli mi pan pokażesz bezpieczną drogę do zbiegów¹⁾, zapłacę ci dobrze, a w dodatku będę zawsze twoim przyjacielem.

— Droga leży otworem zarówno dla mnie jak dla ciebie — rzekł Birch odwracając się ze wstrętem — jeżeli chcesz znaleźć „zbiegów“, wiesz dobrze, gdzie ich szukać!

— Kiedy się boję trochę iść do nich sam; a pan znasz ich dobrze i co ci to szkodzi, jeżeli mi pozwolisz iść razem?

¹⁾ Tak nazywano ochotnicze oddziały cow-boyów.

Tu Henryk wmieszał się do rozmowy i po krótkiej wymianie słów zawarł ze skinnerem układ, że pod warunkiem oddania broni, będzie mu wolno przyłączyć się do towarzystwa. Bandyta zgodził się na to bez wahania, zaś Birch przyjął muszkiet skwapliwie i zarzucił go na ramię, obejrzawszy w pierw starannie panewkę i upewniwszy się ku wielkiemu swemu zadowoleniu, że zawiera dobry, suchy ładunek. Poczem wszyscy trzej puścili się w dalszą drogę.

Szli brzegiem niepostrzeżeni przez nikogo, aż znaleźli się nawprost fregaty; ktoś z załogi ujrzał sygnał i spuszczone łódź. Sporo czasu zeszło i wiele ostrożności przedsięwzięto, zanim marynarze odważyli się wylądować. Wkońcu jednak udało się Henrykowi przekonać oficera, dowodzącego załogą, o prawdziwych słów i skłonić, aby go zabrał na pokład. Żegnając się z Birchem, kapitan wręczył mu sakiewkę dobrze wypchaną jak na owe czasy. Kramarz przyjął ją i niepostrzeżenie wsunął w zanadze.

Łódź odbiła od brzegu, a Birch odetchnawszy głęboko, jak gdyby mu wielki ciężar spadł z piersi, zawrócił i właściwemi mu sążnistemi krokami poszedł ku wzgórzom. Skinner postępował za nim i obaj odbywali tę wspólną drogę, rzucając często podejrzliwe na siebie spojrzenia i zachowując jak najgłębsze milczenie.

Wzdłuż rzeki widać było jadące furgony, konwojowane przez przygodne oddziały jazdy. Kramarz jednak miał swoje własne widoki i raczej unikał natknięcia się na te patrole, niż szukał ich opieki. Uszedł w ten sposób mil kilka, trzymając się wciąż brzegów rzeki, i pomimo prób zawiązania rozmowy ze strony skinnera, trwając w nieprzerwanem milczeniu, poczem raptem skręcił na gościniec z zamiarem przecięcia gór i udania się do Harlemu. W tej samej chwili jednak oddziałek jazdy ukazał się na pewnej wyniosłości i zrównał się z nimi, zanim Birch go spostrzegł. Za późno już było cofać się, zresztą Birch, obejrzawszy ów oddział, ucieszył się ze spotkania, jako mogącego uwol-

nić go od niepożądanego towarzysza. Jeźdźców było około dwudziestu, przybranych dragońską modą, ale wygląd ich nie świadczył, by byli wdrożeni do dyscypliny wojskowej. Na czele ich jechał krępy, lat średnich mężczyzna, którego twarz wyrażała tyleż właśnie zwierzęcej odwagi co tępości. Miał na sobie oficerski mundur, ale nosił go bez tej elegancji i wdzięku w ruchach, jakimi zazwyczaj odznaczali się królewscy wojskowi. Budowę miał silną i siedział na siodle z wielką pewnością siebie; ale najlichszy jeździec z pomiędzy Wirgińczyków byłby go wyśmiał za sposób powodowania koniem. Jak się tego kramarz spodziewał, kawalerzysta ów, ujrawszy go, zaczępił natychmiast, wołając głosem równie mało zachęcającym jak jego powierzchność:

— Hej, panowie! Gdzie tak śpieszno? Czy to Washington wysłał was na przespīgi?

— Jestem spokojny kramarz — rzekł Harvey potulnie i właśnie idę do miasta po nowy zapas towarów.

— A jakże się tam myślisz dostać, mój spokojny kramarzu? Czy sądzisz, że poto trzymamy załogę w Kingsbridge, by osłaniała takich kramarskich nicponiów jak ty w ich wędrówkach?

— Mam tu papier, za którym myślę, że mnie przepuszczą — rzekł kramarz — podając mu go z wielką obojętnością.

Oficer przeczytał go, poczem spojrział na Harveya z wielką ciekawością i zdziwieniem. Następnie zwróciwszy się do paru swoich ludzi, którzy usłuźnie zastąpili drogę, krzyknął:

— Czemu zatrzymujecie człowieka? Puśćcie go, niech przejdzie spokojnie. Ale kogo tu jeszcze mamy? Twoje nazwisko, mój panie, nie jest wymienione w pasporcie.

— Nie, wielmożny panie oficerze — rzekł skinner zdejmując z wielką uniżonością kapelusz — jestem biednym zbłąkanym człowiekiem, który służył w buntowniczej armji, ale dzięki Najwyższemu przejrzałem

i przychodzę złożyć dowody skruchy i zaciągnąć się pod sztandary pomazańca Bożego.

— Hm! Dezerter-skinner, przysięgłbym na to, chcący przedzierzgnąć się w cow-boya. W ostatniej utarcze z tymi hultajami ledwo mogłem odróżnić moich ludzi od nieprzyjaciół. Nie obfitujemy w przyodziewek, a z twarzy ich trudno rozpoznać, bo zmieniają skórę jak węże. Ale mniejsza z tem, wędruj, a może wcześniej lub później przydasz nam się na co.

Skinner był tak uszczęśliwiony z pozwolenia, aczkolwiek niezbyt uprzejmie danego, że skorzystał zeń skwapliwie i podążył za oddziałem ku miastu. Tymczasem żołnierz, pełniący obowiązek sierżanta w tem przynagrodnem wojsku, podjechał do swego komendanta i zaczął z nim jakąś poufną rozmowę. Mówili cicho i rzucali częste i badawcze spojrzenia na skinnera, aż ten zauważył to wreszcie, lecz nie zaniepokoił się; owszem nabrał otuchy, widząc uśmiech zadowolenia, igrający na ustach kapitana. W ten sposób minęli jakiś wawóz i wjechali na drugie wzgórze. Tu kapitan i sierżant zsiadli z koni, rozkazując oddziałowi stać na miejscu. Obaj partyzanci wydobyli pistolety z olster, co również nie wzbudziło podejrzania ni obawy, gdyż była to ogólnie przestrzegana ostrożność, i skinęli na kramarza i opryszka, aby szli za nimi. Wkrótce znaleźli się w miejscu, gdzie wzgórze prostopadle prawie zwieszało się nad rzeką. Na krawędzi tej wyniosłości stała nawpół rozwalona stodoła. Pokrycie dachu zdarte było w wielu miejscach, a wielkie wrota leżały jedne na przodzie budynku, a drugie nad samą przepaścią, widocznie przez wiatr wyrwane i tam porzucone. Wszedłszy do wnętrza, oficer wyjął z kieszeni krótką fajeczkę, która na skutek długiego używania nabrała nietylko barwy, ale i połysku hebanu, kapciuch z tytoniem, krzesiwo i hubkę. Przy pomocy tych narzędzi wnet dostarczył swym ustom towarzystwa, które widocznie stało mu się niezbędnem w chwilach namysłu. Wypuściwszy pierwsze kłęby dymu, kapitan

wyciągnął znacząco rękę do sierżanta, ten zaś wyjął z kieszeni kawał powroza i podał swemu dowódcy. Cow-boy otoczył się znów chmurą dymu, że ledwie go było z poza niej widać, i zaczął rozglądać się po stodole. Nareszcie wyjął z ust fajkę, zaczerpnął świeżego powietrza w piersi i od razu zabrał się do dzieła. Ciężka belka spoczywała na podciesiu stodoły, niedaleko drzwi wywartych od południa, przez które widać było rzekę, ciągnącą się wdał aż do zatoki New-Yorku. Cow-boy przerzucił jeden koniec powroza przez tę belkę i ściągnawszy go złączył oba końce w rękę. Na podłodze w głębi leżała mała baryłka bez dna, o mocno rozklekotanych klepkach. Na dany przez oficera znak sierżant postawił ją pod belką. Wszystkie te przygotowania odbywały się z niewzruszonym spokojem i ku widocznemu zadowoleniu oficera.

— Chodź! — rzekł tenże chłodno do skinnera, który milcząc przypatrywał się całej tej procedurze, i dopiero gdy mu zdjęto chustkę z szyi i zrzuciono kapelusz, przestraszył się nieco. Sam wszakże tak często uciekał się do podobnego manewru, aby wymusić zeznanie lub łup, że przestach ten był znacznie mniejszy, niżby go był doznał mniej doświadczony człowiek na jego miejscu.

Tymczasem założono mu powróż na szyję z tym samym spokojem, jaki charakteryzował wszystkie te przygotowania, baryłkę przykryto kawałkiem deski i kazano mu wejść na nią.

— Ale ona spaść może — rzekł skinner, zadrżawszy po raz pierwszy. — Powiem wam wszystko bez tego zachodu, nawet jak zająć nasz własny oddział w Pond, którym mój brat dowodzi.

— Nie potrzeba mi żadnych zeznań — odpowiedział oprawca (bo takim się teraz wydawał), okręciwszy kilkakrotnie belkę powrozem, po uprzednim zaciśnięciu go na szyi skinnera w taki sposób, żeby mógł oddychać, lecz żeby mu się zrobiło trochę nie-

przyjemnie, poczem rzucił drugi koniec daleko od siebie, aby go nikt nie mógł dosięgnąć.

— Ejże! dosyc tych żartów — rzekł skinner tonem perswazji, unosząc się na palcach w daremnej nadziei wysunięcia głowy z pętli. Ale przezorność i doświadczenie dowódcy „zbiegów” zapobiegło temu.

— Co zrobiłeś z koniem, któregoś mi ukradł, łotrze? — rzekł ten ostatni, wypuszczając nowe kłęby dymu w oczekiwaniu na odpowiedź.

— Padł w pościgu — odrzekł skinner prędko — ale powiem panu, gdzie możesz znaleźć drugiego, który wart trzech tamtych.

— Kłamco! Sam go znajdę, gdy mi będzie potrzebny. A ty lepiej wezwij swego Boga na pomoc, bo chwile twoje są krótkie. — To rzekłszy, kopnął gwałtownie ciężkim swym butem baryłkę, że słabe klepki rozsypały się na wszystkie strony, a skinner zakręcił się w powietrzu. Ponieważ miał ręce wolne, podniósł je w górę i uchwycił się niemi belki.

— No, kapitanie — rzekł prosząco, lekko już ochryplym głosem, a kolana poczęły mu się trząść ze strachu — skończ te żarty, wszystko dobre w miarę, ręce mi już mdleją, nie utrzymam się dłużej.

— Słuchaj, panie kramarzu — rzekł dowódca cow-boyów, tonem niecierpiącym oporu — nie potrzebuję twego towarzystwa. Ruszaj więc w swoją drogę, a poważ się dotknąć tego psa, będziesz wisiał na jego miejscu, choćby dwudziestu sir Henryków potrzebało usług twoich.

To powiedziawszy wyszedł z sierżantem ze stodoły, podczas gdy kramarz ulotnił się szybko przeciwnymi wrotami.

Ale zaledwie zniknął w pobliskich zaroślach, gdy ogarnęła go nieprzeparła chęć zobaczenia, jak się to wszystko skończy.

Zostawszy sam, skinner jął rozglądać się trwożliwie dokoła, dy dojrzeć, gdzie się jego dręczyciele ukryli. Po raz pierwszy przeleciała mu przez głowę

straszliwa myśl, że cow-boye nie żartują. Zaczął wołać błagalnie, aby go puścili, czyniąc bezładne obietnice ważnych zeznań, wciąż udając, że nie bierze tego wszystkiego na serjo. Ale gdy usłyszał tętent oddalających się koni, a dokoła nie widział ludzkiej duszy, gwałtowne drżenie chwyciło jego członki, a oczy niemal nie wylazły z głowy. Rozpaczliwym wysiłkiem spróbował wydzwignąć się na belkę, ale wyczerpany przedniem miotaniem się, chwycił tylko powróż zębami, by go przegryźć, i ręce mu opadły. Tu krzyki jego zmieniły się w nieludzkie wrzaski:

— Pomocy! Odetnijcie powróż! Kapitanie! Birch! Dobry kramarzu! Precz z Kongresem! Sierżancie! na miłość Boską, pomocy! Niech żyje król! O! Boże! O Boże!... łaski!... łaski... łaski...

Głos mu się załamał w krtani: udało mu się wsunąć jedną rękę pomiędzy szyję a powróż, ale druga opadła dygocząc wzdłuż ciała. Konwulsyjne drganie wstrząsnęło jego postacią, poczem zawiśł bezwładnie.

Birch patrzył na to jak urzeczony. Wreszcie zatkanął uszy rękoma i popędził w stronę gościńca. Ale błagalne krzyki wisielca dzwięczały mu w mózgu, i wiele tygodni minęło, nim wspomnienie tego ohydnego zdarzenia zatarło się w jego pamięci. Cow-boye pojechali dalej, jak gdyby nic nie zaszło, a trup skinera pozostał, kołysząc się na wietrze, póki przypadek nie skierował kroków jakiegoś włóczęgi w tę stronę.

ROZDZIAŁ XXXIII.

„Zamknęła się murawa nad tobą,
przyjacielu mych lepszych dni. Kto
cię znał, kochać cię musiał; a kto
cię wspomniał, to tylko z pochwałą.”

Halleck.

Podczas gdy się to wszystko działo, cośmy opisali, kapitan Lawton prowadził swój oddziałek powolnym i uciążliwym marszem z Czterech Kątów na front nieprzyjacielski, gdzie czas jakiś manewrował w ten sposób, że wymykał się zawsze w porę, nie zdradzając szczupłości swych własnych sił i nękając wroga ciągłym oczekiwaniem napadu ze strony Amerykan. Postępował tak na skutek wyraźnego rozkazu swego dowódcy. Gdy Dunwoodie opuścił swój szwadron, wiedziano już, że nieprzyjaciel zbliża się zwolna, polecił więc Lawtonowi, by go trzymał w szachu aż do swego powrotu i przybycia piechotnych posiłków.

Kawalerzysta wypełnił ten rozkaz co do joty, pomimo że wrzała w nim niecierpliwość, jak zwykle gdy nie mógł zetrzeć się wręcz z nieprzyjacielem.

Przez cały ten czas wózek Betty Flanagan towarzyszył niezmordowanie dragonom; ona zaś sama skraçała sobie zmuadne chwile, to rozprawiając z sierżantem Hollisterem o złych duchach, to kłócąc się z chirurgiem o metody praktyczne doraźnego leczenia ranych.

Nadeszła wreszcie chwila, mająca rozstrzygnąć, kto zostanie tymczasowym panem placu. Oddział wschodniej milicji wyruszył z fortów i posunął się ku nieprzyjacielowi.

Spotkanie Lawtona z posiłkami nastąpiło o północy i natychmiast obaj dowódcy naradzili się ze sobą. Wysłuchawszy sprawozdania partyzanta, który lekceważył sobie sprawność i siły nieprzyjaciela, komendant piechoty postanowił zaatakować Anglików, nie czekając na Dunwoodiego i jego jazdę, skoro tylko świt pozwoli mu rozejrzeć się w ich pozycjach. Późem Lawton wyszedł z domku, w którym odbywała się narada, i podążył do swoich.

Oddziałek kawalerzysty roztasował się na nocleg w pobliżu stoğu siana, a w pewnej odległości od jeźdźców i koni. Doktor Sitgreaves, sierżant Hollister i Betty Flanagan zasiedli razem na rozpostartych na twardej powierzchni skały derkach. Lawton rzucił się na nie obok chirurga i owinąwszy się płaszczem, wsparł głowę na rękę i spoglądał w głębokiej zadumie na wędrujący po niebie księżyc. Sierżant siedział wyprostowany z należnem chirurgowi uszanowaniem, a praczka raz po raz podnosiła głowę, by wygłosić jaką ulubioną maksymę, to znów opierała ją o bezczulkę dżynu, w daremnym zamiarze usnięcia.

— Tak, sierżancie — mówił doktor Sitgreaves, prowadząc dalej zaczęłą rozmowę, — jeżeli ciąc będziesz z dołu, cios, tracąc dodatkową siłę twego ciężaru, będzie mniej morderczy, a jednocześnie odpowiesz celom wojny, ubezwładniając nieprzyjaciela.

— E!! sierżancie kochany — rzekła praczka — nie zwracaj też sobie głowy: Cóż to szkodzi odebrać życie nieprzyjacielowi w bitwie? Czy to regularni są takimi dobrodziejami? Zapytaj kapitana Jacka, czy kraj uzyskałby wolność, gdyby chłopcy nie machali szablą ze wszystkich sił? Dobrze bić i dobrze pić, w tem grunt.

— Nie można się dziwić, że niewiasta tak ograniczona jak ty, pani Flanagan — odparł chirurg ze spokojem, który potęgował tylko pogardliwość słów jego — nie rozumie się na subtelnościach chirurgicznej wiedzy, a i władanie szablą jest ci obce; tak więc roz-

mowa z tobą o sprawiedliwym posługiwaniu się tą bronią nie może doprowadzić do żadnego rezultatu ani w teorii, ani w praktyce.

— Wiele ja tam o to dbam; ale bitwa to nie zabawka; i żołnierz nie powinien troszczyć się o to, jak bije i kogo bije, byle bił dobrze i kwita.

— Czy zanosi się na dzień gorący, kapitanie Lawtonie?

— Bardzo prawdopodobne — odparł kawalerzysta. — Milicja zawsze doprowadza do wielkiego rozlewu krwi, albo przez swoje tchórzostwo albo przez głupotę, a prawdziwy żołnierz musi cierpieć za ich postępowanie.

— Czyś ty chory, Johnie? — zapytał chirurg, przesuwając dłoń po przedramieniu kapitana i zatrzymując ją instynktownie na pulsie; lecz jego równe silne tętno nie zdradzało ani fizycznego, ani duchowego niedomagania.

— Serce mnie boli, Archibaldzie, gdy myślę o zaślepieniu naszych dowódców, którym się zdaje, że mogą walczyć i odnosić zwycięstwo ludzie, którzy trzymają muszkiet jak cepy, mrugają oczami, pociągając za cyngiel, a formują linję w pałak. Zaufanie, jakie pokładamy w tych fuszerach, zmarnuje najlepszą krew w kraju.

Chirurg słuchał ze zdumieniem. Nietyle słowa, ile sposób wypowiedzenia ich był tego przyczyną. Zwykle przed bitwą Lawton bywał ogromnie podniecony, w przeciwieństwie do cechującej go w codziennych warunkach zimnej krwi. Ale teraz była jakaś szczególna apatja w jego głosie i zniechęcenie w wyrazie jego twarzy. Chirurg zawahał się przez chwilę, rozmyślając, w jaki sposób mógłby wykorzystać tę zmianę dla swej ulubionej teorii, i mówił dalej:

— Roztropnie byłoby, Johnie, poradzić pułkownikowi, by trzymał się na odległość dalekiego strzału; pozbawiona pierwszego impetu kula może obezwładnić.

— Nie — przerwał Lawton porywczo — niech sobie osmałą wąsy o lufy angielskich muszkietów, jeżeli uda się ruszyć ich z miejsca; ale dość już o nich, Archibaldzie; jak sądzisz, czy księżyc jest takim światłem jak nasz i czy są na nim istoty do ludzi zbliżone?

— Nic bardziej prawdopodobnego, drogi Johnnie. Znamy jego rozmiary i wypływająca stąd analogja ła-two może doprowadzić do takiego wniosku. Czy mieszkańcy tamtejsi dosięgli tej doskonałości w naukach jaka jest naszym udziałem, zależy to może w znacznym stopniu od ich społecznego, a poniekąd i fizycznego ustroju.

— Nie chodzi mi o ich uczoność, Archibaldzie; myślę o tej potędze nadzwyczajnej, która stwarza takie światy i kieruje nimi w ich wędrówkach. Nie wiem dlaczego ogarnia mnie dziwna melancholja, gdy patrzę na tę tarczę świetlną, poprzerywaną ciemnymi plamami, które jakoby mają przedstawiać lądy i morza. I wydaje mi się, że tam właśnie przebywają duchy zmarłych tu na ziemi.

— Łyknij sobie kropelkę, kochasiu — rzekła Betty, podnosząc znów głowę i podając mu własną flaszkę. — To ta wilgoć nocna tak krew studzi; a przytem gadanie z tą przeklętą milicją nikomu nie może pójść na zdrowie. Łyknij kropelkę, kochasiu, i będziesz spał smaczno do rana. Sama nakarmiłam Romanoke'go, bo myślałam, że i jego czeka jutro praca niezgorsza.

— Jak wspaniale przedstawia się niebo — ciągnął dalej kawalerzysta tym samym tonem, nie zważając na propozycję Betty — i aż litość bierze pomyśleć, że takie nędzne robaki jak ludzie psują Boże dzieło swemi marnemi zatargami.

— Mówisz prawdę, Johnnie, miejsca jest dosyć na świecie dla wszystkich, by żyli w spokoju i szczęśliwości. Jednakże wojna ma swoje dobre strony, rozwija specjalnie chirurgiczną sztukę i...

— Oto tam gwiazda — mówił dalej Lawton, wciąż idąc za biegiem swych myśli — stara się błysnąć przez zasłaniające ją chmurki; może i ona także jest światem i może na niej żyją również istoty obdarzone rozumem, jak my; jak sądzisz, czy i tam także toczą się wojny i krew się leje?

— Gdybym był tak śmiały — rzekł sierżant Hollister, machinalnie podnosząc rękę do czapki — ale w księdze świętej napisano jest, że Pan kazał słońcu stanąć, kiedy Jozue prowadził pułk na nieprzyjaciela; zapewne dlatego, jak przypuszczam, by mieli światło dzienne do odwrotu lub jakiego innego manewru. Otóż, jeżeli sam Bóg użył im pomocy, to wojna nie może być rzeczą grzeszną. Wprawdzie nie może mi się pomieścić w głowie, dlaczego oni używali tych wozów zamiast ciężkiej kawalerji, która lepiej przecież potrafi złamać szyki piechoty, dostać im się na tyły i narobić większego zamętu niż wszystkie wozy na świecie.

— Mówisz tak, sierżancie Hollisterze, bo nieznaną ci jest budowa tych starożytnych wehikułów — rzekł chirurg. — Posiadały one ostrą broń, sterczącą z pośród kół i cięły niemi kolumny piechoty na sieczkę. Nie wątpię, że gdyby zastosować podobne przyrządy do wózka pani Flanagan, to dziś jeszcze narobiłyby on nielada popłochu w nieprzyjacielskich szeregach.

— Tylko, że kobyłka nie byłaby taka głupia, żeby iść w ogień — mruknęła Betty z pod derki. — Gdyśmy jechali ostatni raz ze zdobyczą z Jersey, to myślałam, że ją zatłukę na śmierć, wcale z miejsca ruszyć nie chciała, taka strachliwa na strzały. Roanoke i kapitan Jack wystarczą dla tych czerwonych kurtek. Nie potrzeba tam mego wózka.

Przeciągły warkot bębna ze wzgórza, zajętego przez Anglików, oznajmił, że nieprzyjaciel gotuje się do boju, i takież sam sygnał dał się wnet słyszeć ze strony Amerykan. Trąbka Wirgińczyków zagrała podobkę i w jednej chwili oba wzgórza zakwitły uzbro-

jonymi ludźmi. Dzień już świtał, i oba wojska przygotowywały się do ataku i obrony. Siły amerykańskie miały przewagę liczebną, ale pod względem dyscypliny i moderunku wyższość była całkowicie po stronie wrogów. Przygotowania do bitwy były zresztą krótkie, i ze wschodem słońca milicja ruszyła do ataku.

Teren nie dopuszczał udziału jazdy, jedynym zatem obowiązkiem dragonów było wyczekiwać chwili zwycięstwa i wtedy starać się poprzeć je ze wszystkich sił. Lawton uszykował swój oddział, a zostawwszy go pieczy Hollistera, podjechał sam ku linii piechoty rozmaicie umundurowanej i niedostatecznie uzbrojonej. Pogardliwy uśmiezek igrał na ustach kawalerzysty, zręcznie kierował Roanoke'm wskroś ich szeregów, a gdy ruszyły z miejsca, podążył tuż za nimi.

Aby zbliżyć się do nieprzyjaciela, Amerykanie musieli zejść w dolinę a potem starać się wydostać na przeciwległe wzgórze. Zrazu szło dosyć dobrze, aż gdy już znajdowali się u stóp wzgórza, królewskie wojska rozwinęły się wspaniałą linią, mając boki osłonięte właściwościami terenu. Na widok Anglików milicja dała ognia i celność jej strzałów zmieszała chwilowo regularnych. Lecz wnet oficerowie przywrócili porządek, i salwy szły za salwami z wielką akuratnością, poczem Anglicy ruszyli z nastawionemi bagnietami. Milicja nie była dostatecznie wyćwiczona, by wytrzymać ten atak. Linja jej zachwiała się, wygięta do środka i ostatecznie rozproszyła się w pojedyncze gromadki, podtrzymując równocześnie dorywczy ogień.

Lawton spoglądał na to w milczeniu i nie otworzył ust, dopóki pole nie zaroiło się od uciekających Amerykan. Wówczas, jak gdyby tknięty do żywego hańbą, spadającą na wojska jego kraju, spał Roanoke'go ostrogami i zabiegłszy drogę uciekającym, począł wołać na nich swym potężnym głosem, wskazując nieprzyjaciela i zapewniając ich, że nie plecy ale twarz powinni mu pokazywać. Tyle było ironji i chłodu w tych jego nawoływaniach, że niektórzy przystanęli

zdziwieni, inni poszli za ich przykładem i podnieceni zapałem Lawtona, zaczęli wołać, aby ich prowadził na wroga.

— Naprzód tedy, dzielni przyjaciele! — wykrzyknął kawalerzysta, zwracając konia ku linji angielskiej, gdy jedno skrzydło nieprzyjacielskie było już bardzo blisko — naprzód! ognia do nich, aż im się brwi osmala.

Żołnierze podskoczyli żwawo i biegli czas jakiś, nie dając ognia ani go nie przyjmując, aż znaleźli się w bardzo niewielkiej odległości od nieprzyjaciela. Angielski sierżant, ukryty za skałą, rozwścieczony zuchwałstwem oficera, który tak się zdawał urągać ich siłom, wypadł z kryjówki i zbliżywszy się o kilka kroków do kawalerzysty, zniżył muszkiet.

— Pal i giń! — krzyknął Lawton, spinając ostrogą rumaka, który wnet dał olbrzymiego susa. Ruch ten i głos tak wstrząsnęły nerwami Anglika, że niepewną ręką pociągnął za cyngiel. Roanoke wyskoczył w górę wszystkimi czterema nogami i wierzgnawszy konwulsyjnie, zwałił się bez życia u stóp swego mordercy. Lawton porwał się z ziemi błyskawicznie i stanął twarzą w twarz z przeciwnikiem. Ten nadstawił bagnet mierząc w serce kawalerzysty. Skry posypały się, gdy stał uderzyła o stal, i bagnet wyleciał w powietrze, a w chwilę potem właściciel jego leżał w przedśmiertnych drgawkach na ziemi.

— Naprzód! — krzyknął Lawton, gdy oddział Anglików ukazał się na skale, i dał zbliiska ognia. — Naprzód! — powtórzył i błysnął szablą w powietrze. Poczem olbrzymia jego postać pochyliła się wtył, jak majestatyczna sosna pod ciosem siekiery, ale padając zwolna wciąż jeszcze wymachiwał szablą i raz jeszcze basowy głos jego rozległ się: — Naprzód!

Następujący Amerykanie stanęli w przerażeniu, poczem zawróciwszy, zostawili pole wojskom królewskim.

Ale dowódca angielski nie miał bynajmniej zamiaru korzystać ze zwycięstwa; wiedział bowiem do-

brze, że silne posiłki amerykańskie wprędce nadejdą, pozbiierał więc tylko swoich rannych i sformował kwadrat, rozpoczął odwrót ku okrętowi. Nie upłynęło dwudziestu minut od upadku Lawtona, a na polu bitwy nie pozostał nikt, zarówno ze strony Anglików jak Amerykanów.

Gdy mieszkańcy kraju bywali powoływani pod broń, obsługę chirurgiczną pełnili przy nich miejscowi, nader miernie wykwalifikowani lekarze. Doktor Sitgreaves żywił prawie taką samą pogardę dla tych medyków milicji, jak kapitan Lawton dla samychże oddziałów milicyjnych. Chodził zatem po polu, spoglądając krytycznym okiem na ich dokonywane tu i owdzie mało znaczące operacje, lecz gdy wśród uciekających wojsk nie dostrzegł przyjaciela i kolegi, wrócił śpiesznie do miejsca, gdzie stał Hollister z oddziałem, by się dowiedzieć, czy wrócił Lawton. Oczywiście usłyszał odpowiedź przeczącą. Zaniepokojony, nie bacząc na mogące mu grozić niebezpieczeństwo, szybkim krokiem pośpieszył tam, gdzie, jak wiedział, rozegrały się ostatecznie losy bitwy. Raz już przedtem w podobnych okolicznościach ocalił przyjaciela od śmierci i doznał tajemnej radości, płynącej z przeświadczenia o swej sumiennej wiedzy, gdy zobaczył Betty Flanagan, siedzącą na ziemi i trzymającą na kolanach głowę żołnierza, w którym natychmiast po wzroście i ubiorze poznał Lawtona. Ale gdy się zbliżył, widok praczki go przeraził. Czarny czepeczek spadł jej z głowy, a potargane, siwizną już przyprószone włosy zwieszały się beładnie dokoła twarzy.

— Johnie! drogi Johnie! — rzekł doktor tkliwie i pochyliwszy się, ujął bezwładną rękę kawalerzysty, której dotknięcie przejęło go dreszczem. — Johnie! drogi Johnie! Gdzie jesteś ranny? Powiedz.

— Mówisz pan do martwej gliny — rzekła Betty, kołyszac się wtył i naprzód i bezwiednie przesuwając dłoń po krucznych kędziarach kawalerzysty.

— Już on pana nie usłyszy i nic mu leki pańskie nie pomogą. O! Boże! Boże! Cóż się teraz stanie z wolnością! Kto będzie walczył i wygrywał bitwy! O! Boże! Boże!

— Johnie! — powtórzył chirurg, nie chcąc jeszcze uwierzyć świadectwu własnych oczu — drogi Johnie! odezwij się! powiedz co chcesz, tylko przemów. Wielkie nieba! nie żyje! O! bodajbym umarł z nim razem!

— Na co się zdało teraz żyć i walczyć — rzekła Betty — obaj polegli; patrz pan: tu leży to biedne zwierzę, a tu jego pan. Sama nakarmiłam konia wczoraj, a i to co on zjadł ostatnie, było mego gotowania. O! Boże! Boże! Na to mu przyszło, by go regularni zabili.

— Johnie, drogi mój Johnie! — wymówił chirurg wśród konwulsyjnych łkań — przyszła więc twoja godzina; wielu rozważniejszych przeżyło cię, ale nie przeżył cię nikt lepszy ani mężniejszy. O! Johnie! tyś był mi drogim przyjacielem; wiem, że łyzy na nic się nie zdadzą, ale muszę płakać po tobie, bo serce pęka mi z bólu.

Doktor ukrył twarz w dłoniach i siedział tak czas jakiś, oddając się niepohamowanej żałości; a Betty, wciąż kołysząc się wtył i naprzód, zawodziła jęklwym głosem:

— Któż teraz będzie dodawał chłopcom odwagi? Och! kapitanie Jacku! kapitanie Jacku! Tyś był duszą wojska; z tobą byliśmy bezpieczni. Och! nigdyś ty biednej wdowie marnego słowa nie rzekł o przypalone mięso, albo o śniadanie, jeżeli go nie było w porę. Łyknij kropelkę, kochasiu, może cię to ożywi. Och! nie łyknie on już, nie łyknie; a tu doktor, pocziwina, z którym się zawsze przekomarzałeś, płacze, jak gdyby duszę miał wypłakać, biedaczysko. Och! niema go już! niema! i wolność z nim razem zginęła.

Tu rozległ się ogłuszający tętent, i wślad za tem cały szwadron Wirgińczyków wypadł na równinę z Dunwoodie'm na czele. Wiedział już o losie kapi-

tana, bo skoro tylko zobaczył ciało, wstrzymał odziać, zsiadł z konia i przystąpił do leżącego. Twarz Lawtona była spokojna, tylko gniewne ściągnięcie brwi, towarzyszące mu podczas bitwy, pozostało. Wyglądał, jak gdyby spał. Dunwoodie ujął jego rękę i popatrzył nań chwilę w milczeniu. Ciemne jego oczy zaiskrzyły się, a na blade policzki wystąpił krwisty rumieniec.

— Twoją własną szablą pomszczę cię — zawołał, usiłując wyjąć broń z ręki Lawtona, ale napróżno.

— A więc pochowamy go z nią — dodał po chwili. — Sitgreavesie, czuwaj nad naszym przyjacielem, a ja popieszę pomścić śmierć jego!

Dosiadł rumaka i puścił się w pogoń za nieprzyjacielem, a za nim dążył cały szwadron, podobnie jak ich dowódca, pałający zemstą. Lawton był ulubieńcem całego wojska; widok jego trupa wzburzył je do najwyższego stopnia; ani oficerowie, ani żołnierze nie posiadali w tej chwili tej zimnej krwi, tak koniecznej w każdym wojennym przedsięwzięciu; parła ich wyłącznie ślepa żądza odwetu.

Anglicy, sformowawszy czworobok, pośrodku którego znajdowali się ich dość zresztą nieliczni ranni, postępowali miarowo po nierównym gruncie. Dunwoodie uderzył na nich kolumną, pragnąc przedrzeć się do środka i rozproszyć ich od jednego zamachu. Ale nieprzyjaciel znalazł zbyt dobrze swoje własne siły i wykonawszy szybki zwrot, nadstawił szarżującym bagnety. Konie Wirgińczyków cofnęły się, a tymczasem tylne szeregi angielskiej piechoty dały ognia zbliska, i major wraz z kilku innymi spadli z koni. Anglicy, odparwszy atak, w dalszym ciągu wykonywali odwrót, a major, ciężko lecz nie niebezpiecznie ranny, odwołał swoich ludzi, gdyż dalsza podróż po tym skalistym gruncie była bezowocną.

Pozostał teraz smutny obowiązek do spełnienia. Dragoni z wolna cofnęli się przez wzgórze, unosząc swego rannego dowódcę i ciało Lawtona. To ostatnie

złożono pod wałami jednego z górskich fortów, a majora oddano tkliwym staraniom jego zasmuconej oblubienicy.

Wiele tygodni minęło, nim Dunwoodie odzyskał dotyła siły, by go można było przewieźć w inne miejsce. Przez cały ten czas błogosławił wciąż chwilę, która dała mu prawo do opieki jego pięknej pielęgniarki. Fanny czuwała nad nim dniem i nocą; własnymi rękoma podawała mu lekarstwa i spełniała wszystkie zalecenia niezmordowanego Sitgreaves'a, z każdą chwilą jednając sobie coraz większą miłość i szacunek męża. Rozkaz Washingtona odesłał wojska na leże zimowe, i Dunwoodie, już w randze pułkownika-lejtnanta, otrzymał pozwolenie udania się na własną plantację dla zupełnego odzyskania zdrowia. Kapitan Singleton towarzyszył mu również, i cała rodzina usunęła się z czynnej widowni wojny w ciszę i dostatek posiadłości Dunwoodie'go. Jeszcze przed wyjazdem z Fishkill, listy przesłane niewiadomą ręką doniosły im o bezpieczeństwie i dobrem zdrowiu Henryka, a także i o tem, że pułkownik Wellmere opuścił Amerykę i wrócił do Anglii, straciwszy szacunek wszystkich uczciwych ludzi w królewskiej armji.

Szczęśliwa to była zima dla Dunwoodie'go; uśmiech zaigrał znów na pięknych usteczkach Fanny.

ROZDZIAŁ XXXIV.

„Wśród futer, jedwabi i klejnotów stał w swym prostym lincolnskim stroju; cel spojrzeń całego tego świetnego koła. I oto rycerz Snowdonu jest królem Szkocji.“

W. S c o t t. *Pani Jeziora.*

Początek następnego roku zszedł ze strony Amerykan na wielkich przygotowaniach łącznie ze sprzymierzeńcami, by wreszcie położyć kres wojnie. Na południu Greene i Rawdon odbyli krwawą kampanję nader zaszczytną dla wojsk tego ostatniego, ale która, ukończywszy się zupełnem zwycięstwem Greene'a, dowiodła, że jednak on był lepszym generałem niż rycerski Rawdon.

Sprzymierzone armje zagrażały New-Yorkowi, i Washington, trzymając wciąż stolicę w szachu, nie dopuszczał przysłania posiłków dla Cornwallisa.

Nareszcie z nadejściem jesieni wszystko zdawało się wskazywać, że nadeszła rozstrzygająca chwila.

Siły francuskie przeszedłszy „grunt neutralny“ przysunęły się do królewskiego frontu i groziły atakiem na Kingsbridge, a znaczne oddziały wojsk amerykańskich dopomagały im na swoją rękę. Krążąc dookoła posterunków angielskich i podchodząc pod Jersey, niepokoiły wojska królewskie i z tej strony. Ale sir Henryk Clinton, będąc w posiadaniu przejętych listów Washingtona, trzymał się bezpiecznie w obrębie linii swoich i puszczał mimo uszu wzywania o pomoc Cornwallisa.

Na schyłku burzliwego dnia wrześniowego znaczna liczba oficerów zgromadziła się w pobliżu budynku, znajdującego się w samym sercu amerykańskich wojsk, które zajmowały Jerseys. Ubiór, wiek i postawa większości tych wojowników świadczyły, że są to wszystko oficerowie wyższej rangi; znajdował się pomiędzy nimi wszelako jeden, któremu świadczone honory wskazywały, że jest pierwszym wśród pierwszych. Prosty ubiór jego posiadał zwykle wojskowe odznaki dowództwa. Siedział na pysznym, ciemnokasztanowatej maści rumaku, w otoczeniu świty, złożonej z młodzieńców świetnie przybranych i baczących na każde jego skinienie. Niejeden kapelusz unosił się z głowy, podczas gdy jego właściciel rozmawiał z tym oficerem, a gdy on sam przemówił, słuchano go z najgłębszym skupieniem i uszanowaniem. Nareszcie generał uchylił kapelusza i skłonił się z powagą wszystkim otaczającym. Po odwzajemnieniu tego ukłonu zgromadzeni rozjechali się, pozostawiając generała jedynie ze służbą i przybocznym adjutantem. Generał zsiadł i odstąpiwszy parę kroków, obejrzał troskliwie konia, poczem rzuciwszy wymowne spojrzenie na adjutanta, wszedł do budynku, a za nim ów oficer.

Znalazłszy się w pokoju, widocznie przygotowanym na jego przyjęcie, usiadł na krześle i czas jakiś pozostał tak zadumany, jak ktoś nawykły do częstego przebywania z własnymi myślami. W trakcie tego milczenia adjutant stał, czekając na rozkazy. Wreszcie generał podniósł oczy i przemówił niskim, spokojnym głosem, który jakby był mu właściwy.

— Czy przybył człowiek, którego chciałem widzieć?

— Oczekuje na wezwanie Waszej Ekscelencji.

— Sam go przyjmę tutaj.

Adjutant skłonił się i wyszedł. W parę minut potem drzwi otwarły się znowu i postać jakaś, wsuwając się przez nie bez szelestu, stanęła milcząco w pewnej odległości od generała. Ten nie zauważył

tego i siedział, patrząc w ogień, wciąż w głębokiej zadumie pogrążony. Kilka minut przeszło w ten sposób, aż generał przemówił sam do siebie półgłosem:

— Jutro musimy podnieść zasłonę i ujawnić nasze plany. Oby mi Nieba sprzyjały!

Na lekki ruch nieznanego odwrócił głowę i spostrzegł, że nie jest sam. Milcząco wskazał na ogień, ku któremu przystąpiła postać, tak okutana w mnóstwo odzieży, że mogło jej być raczej za ciepło niż przeciwnie. Drugim grzecznym, łagodnym ruchem generał wskazał proste krzesło, lecz nieznamy odmówił, skłoniwszy się skromnie z podziękowaniem. Nareszcie generał wstał i otwarłszy stojącą na stole szkatułkę, wydobyl mały, ale widocznie ciężki woreczek.

— Harveju Birchu — przemówił, zwracając się do przybysza — nadszedł czas, kiedy nasze stosunki muszą ustać; od tej chwili i na zawsze musimy być sobie obcy.

Kramarz odrzucił kaptur fałdzistego płaszcza, zasłaniający mu twarz, i przez chwilę patrzył w oblicze mówiącego, poczem zwiesiwszy głowę na piersi, rzekł potulnie:

— Skoro takie jest życzenie Waszej Ekscelencji.

— To konieczność. Odkąd zająłem stanowisko, które dzierzę obecnie, stało się moim obowiązkiem znać wielu ludzi, którzy jak ty byli memi wywiadowcami narzędziami. Z pomiędzy nich wszystkich w tobie największe pokładałem zaufanie; od razu dostrzegłem w tobie cześć dla prawdy i zasad i z przyjemnością to zaznaczam, nie zawiodłem się na niej nigdy; ty jeden znasz moich tajnych agentów w stolicy i od twojej wierności zależy nietylko ich mienie, ale i życie.

Umilkł, jak gdyby zastanawiając się, w jaki sposób oddać pełną sprawiedliwość kramarzowi, poczem mówił dalej:

— Jesteś jednym z niewielu tych moich tajnych wywiadowców, którzy pozostali wierni naszej sprawie, i uchodząc za nieprzyjacielskiego szpiega, nie udzieli-

leś nigdy wrogom wiadomości, jakich nie było ci dozwolone ujawniać. Ja tylko jeden na całym świecie wiem, że postępowałeś zawsze z jak najszczerzem przywiązaniem do swobód Ameryki.

Podczas tej przemowy Harvey stopniowo podnosił głowę, aż wyprostował ją całkiem; lekki rumieniec zabarwił mu chude policzki, a gdy generał skończył całą twarz rozpromieniła mu się nieopisaną błogością; stał tak napełniony dumą wezbranych uczuć; lecz oczy jego wciąż tkwiły skromnie u stóp mówiącego.

— Obowiązkiem moim jest teraz zapłacić ci za twoje usługi — ciągnął dalej generał. — Dotychczas odkładałeś zawsze przyjęcie nagrody i dług urósł znacznie. Nie chcę niedoceniać twoich trudów i niebezpieczeństw; oto jest sto dublonów, pamiętaj o ubóstwie naszego kraju i jemu przypisz to skromne wynagrodzenie.

Kramarz podniósł oczy na mówiącego, ale gdy ten podał mu pieniądze, cofnął się, jakby nie chcąc przyjąć woreczka.

— Bardzo to mało zważywszy na zasługi, jakie oddałeś, i niebezpieczeństwa, na jakie narażałeś życie — ciągnął dalej generał — ale to wszystko, czem rozporządzam; po skończonej kampanji może zdołam powiększyć tę sumę.

— Czy Wasza Ekscelencja myśli, że narażałem życie i hańbiłem dobre imię dla pieniędzy?

— Jeżeli nie dla pieniędzy, więc dlaczego?

— A co zaprowadziło Waszą Ekscelencję na pole walki? Dlaczego Wasza Ekscelencja naraża codziennie swoje cenne życie na śmierć w bitwie lub na stryczek? Cóż mówić o mnie, gdy tacy ludzie jak Wasza Ekscelencja oddają wszystko na usługi naszej ojczyzny. Nie, nie, nie — nie dotknę tego złota; biedna Ameryka potrzebuje go.

Woreczek wysunął się z ręki generała i padł u nóg kramarza, gdzie pozostał do końca rozmowy.

Generał popatrzył z powagą na twarz Bircha i mówił dalej:

— Istnieje wiele nieznanych ci powodów, które mogą mną rządzić. Nasze położenie różni się także. Ja jestem znany jako naczelny wódz armji, a ty musisz zstąpić do grobu z opinią wroga rodzinnego kraju. Pamiętaj, że zasłona, pod którą się kryje twój prawdziwy charakter, nie podniesie się przez długie lata — może nigdy.

Birch znowu opuścił głowę na piersi, ale nie był to ruch ustępstwa.

— Niezadługo będziesz starym, młodość twoja mienia. Z czegoż żyć będziesz?

— Z tego — rzekł kramarz, wyciągając przed siebie spracowane ręce.

— Ale i one mogą cię zawieść. Weź tyle, żeby sobie zapewnić jakikolwiek byt na starość. Pomnij na trudy i niebezpieczeństwa, jakie ponosiłeś. Powiedziałem ci już, że opinja najbardziej szanowanych ludzi zawisła od twojej dyskrekcji. Jakaż rękojmię twego milczenia dać im mogę?

— Niech Wasza Ekscelecja powie im — rzekł Birch, postępując krokiem naprzód i bezwiednie stawiając nogę na woreczku — niech im Wasza Ekscelecja powie, że nie chciałem przyjąć złota.

Spokojną twarz generała rozjaśnił dobrotliwy uśmiech; ujął rękę kramarza i uściśnął ją silnie.

— Teraz dopiero poznaję cię naprawdę — rzekł — a choć te same przyczyny, które skłaniały mnie do narażania twego cennego życia, istnieją dotąd i nie pozwalają mi oddać ci jawnie sprawiedliwości, prywatnie będę zawsze twoim przyjacielem; jeżeli będziesz w potrzebie i w niedoli, pamiętaj odwołać się do mnie, a póki mnie samemu starczy, podzielę się zawsze z człowiekiem, który czuje tak szlachetnie i postępuje tak uczciwie. Jeżeli cię dotknie choroba lub niedostatek, a pokój znowu uśmiechnie się naszemu krajowi, zapukaj do drzwi tego, którego tak często

widywałś jako Harpera, a nie powstydzi się on z pewnością twojej znajomości pod swoim własnym nazwiskiem.

— Mało ja w życiu potrzebuję — rzekł Harvey — i póki Bóg daje mi zdrowie i uczciwy zarobek, nie znam nigdy braku w tym kraju, ale myśl, że Wasza Ekscelencja jest moim przyjacielem to skarb, cenniejszy dla mnie nad wszystko złoto Anglii.

Generał stał przez chwilę pogrążony w głębokiej zadumie. Wreszcie przysunął sobie pulpit, napisał kilka wierszy na kawałku papieru i wręczył go kramarzowi.

— Muszę uwierzyć, że Opatrzność przeznacza ten kraj do wielkich i chwalebnych celów, gdy widzę taki patriotyzm w jego najlichszych mieszkańcach, — rzekł uroczyście. Straszna to musi być rzecz dla takiego jak ty człowieka, zejść do grobu z piętnem wroga ojczyzny na czole; ale niema na to rady, bo wiesz, jakich ludzi należałoby poświęcić, gdyby się twój rzeczywisty ujawnił charakter. Nie mogę w żaden sposób oddać ci teraz sprawiedliwości, ale bez obawy powierzam ci to świadectwo; gdybyśmy się już nigdy spotkać nie mieli, przydać się ono może twoim dzieciom.

— Dzieciom! — wykrzyknął kramarz — czyż ja mogę przekazać rodzinie hańbę mego nazwiska?

Generał popatrzył z bólem na wzruszoną do głębi twarz Bircha i znów mimowoli sięgnął po złoto; ale błagalny ruch Harveya wstrzymał go, on zaś sam mówił dalej spokojnie:

— Wasza Ekscelencja powierza mi skarb prawdziwy i powierza go w pewne ręce. Są ludzie, którzy mogliby zaświadczyć, że życie było dla mnie niczem, gdy chodziło o tajemnice Waszej Ekscelencji. Tamten papier, o którym mówiłem, żem go zgubił, połknąłem, gdy mnie Wirgińczycy schwytali. Pierwszy to i ostatni raz oszukałem Waszą Ekscelencję; tak, to istotnie będzie moim całym skarbem; może — ciągnął dalej z melancholijnym uśmiechem — ludzie dowiedzą się,

kto był moim przyjacielem; a jeżeli nie, — nie zostawię nikogo, coby mnie opłakiwał.

— Pamiętaj — rzekł generał głęboko wzruszony — że we mnie będziesz miał zawsze tajemnego przyjaciela, chociaż jawnie nie mogę cię znać.

— Wiem to, wiem — rzekł Birch — wiedziałem o tem, gdym rozpoczynał moją służbę. Zapewne po raz ostatni widzę Waszą Ekszelencję. Niech Bóg zsyła wszystkie Swe błogosławieństwa na głowę Waszej Ekszelencji.

Umilkł i postąpił ku drzwiom. Generał powiódł za nim oczyma z wyrazem szczerzej życzliwości. Kramarz odwrócił się raz jeszcze, popatrzył na spokojne, ale nakazujące oblicze generała z żalem i czcią, i skłoniwszy się nisko, wyszedł.

Połączone armje Francji i Ameryki poszły na Cornwallisa pod wodzą Washingtona, i zupełny triumf zakończył kampanję, rozpoczętą wśród tylu trudności. Wielkiej Brytanji wojna sprzykrzyła się wkrótce i ogłoszono niepodległość Stanów Zjednoczonych.

Z biegiem lat wielu z pomiędzy biorących udział w wojnie i ich potomkowie chlubili się swem poświęceniem dla sprawy, która tyle dobrodziejstw sprowadziła na ich kraj; ale imię Harveya Bircha zginęło wśród mnóstwa innych agentów, o których myślano, że działali skrycie na szkodę swych rodaków. Obraz jego wszelako często jawił się przed oczyma potężnego Wodza, który sam jeden znał jego prawdziwy charakter; niejednokrotnie wywiadywał się tajemnie o jego losie, zawsze prawie bezowocnie. Raz tylko doszła go wiadomość, że kramarz o podobnej powierchowności, lecz innego nazwiska wędrował po zaludniających się na nowo okolicach, i że walczył ze zbliżającą się słabością i ubóstwem. Śmierć położyła kres dalszym poszukiwaniom generała, i wiele lat minęło, nim usłyszano znów o kramarzu.

ROZDZIAŁ XXXV.

„Może jakiś wiejski Hampden,
który nieustraszoną pierś nadsta-
wiał tyranowi swych pól; może
jakiś nieznan, niemy Milton tu
spoczywa. Może jaki Cromwell,
krwią swej ojczyzny niesplamiony.“

Gr a y.

Trzydzieści trzy lat minęło od opisanych powyżej wypadków i amerykańskie wojska stanęły znów przeciwko armji angielskiej, tylko teatr wojny przeniósł się z nad brzegów Hudsonu na brzegi Niagary.

Ciało Washingtona oddawna już rozsypało się w proch w grobie, ale w miarę jak czas zacierał drobne polityczne zawiści i osobiste uprzedzenia, imię jego coraz większego nabierało blasku, a jego wartość i nieskalaność charakteru stawała się coraz widoczniejszą, nietylko w oczach jego rodaków, ale całego świata. Uznano go już powszechnie za bohatera wieku rozumu i prawdy, i niejedno młode serce pośród tych, którzy stanowili chlubę naszej armji w 1814 r. płonęło wspomnieniem tego wielkiego imienia w Ameryce i biło tajemną żądzą dorównania choć w pewnym stopniu jego sławie. W żadnej piersi szlachetna ta nadzieja nie jaśniała czystszy płomieniem niż w łonie młodego oficera, który 25 lipca tego krwawego roku stał na skalistym płaskowzgórzu, przyglądając się wielkiemu wodospadowi. Postać tego młodzieńca była smukła i wysoka, znamionująca doskonale ustosunkowanie siły fizycznej i dzielności ducha; czarne, głębokie oczy jaśniały przenikliwym i olśniewającym bla-

skiem. Chwilami gdy patrzył na fale, burzliwie kłębiące się u stóp jego, w oczach tych jawił się dumny, zuchwały wyraz, zdradzając zapalczywą duszę entuzjasty. Ale dumne to spojrzenie łagodziły miękkie zaręsy ust, na których igrał uśmiech figlarny, pełen kobiecego niemal wdzięku. Włosy jego błyszczwały w słońcu jak złoto, gdy powiew wodny poruszał zlekka bujne kędziory wieńczące mu czoło, którego białość była aż rażąca przy smagłości opalonych i zdrowiem kwitnących lic.

Obok tego pięknego młodzieńca stał drugi oficer, i obaj, sądząc po głębokiem wrażeniu, jakie malowało się na ich twarzy, po raz pierwszy widocznie spoglądali na to cudo natury zachodniego świata. Obaj milczeli; wreszcie towarzysz oficera, któregośmy opisali, drgnął nagle i wskazując szablą leżącą pod nimi otchłań wodną, zawołał:

— Patrz, Whartonie! jakiś człowiek płynie tuż prawie pod wodospadem w maleńkiej łodzi, istnej łupinie orzecha.

— Ma na plecach tornister; to zapewne żołnierz, — odpowiedział tamten. — Pójdźmy do przystani, Masonie, może się czego od niego dowiemy.

Minęło sporo czasu, nim obaj młodzieńcy doszli do miejsca, gdzie śmiały żeglarz wylądował. Wbrew ich przypuszczeniom okazało się, że był to człowiek w podeszłym wieku i widocznie nic wspólnego z żołnierzką nie mający. Mógł mieć około siedmdziesięciu lat; aczkolwiek cała jego postawa, poza srebrną białością rzadkich włosów, ocieniających pomarszczone skronie, nie zdradzała niedołęstwa starości. Chudy był i pochylony, ale jakby z przyzwyczajenia, bo muskuły miał jeszcze silne, sprężyste. Odziany był ubogo, a wielka ilość łąt i cer świadczyła o oszczędności właściciela. Na plecach miał niewielki toboł, który zdaleka stał się przyczyną pomyłki o jego zawodzie. Obaj młodzieńcy powitali go, wyrażając zdziwienie, iż człowiek

tak sędziwy odważył się na tak niebezpieczną przeprawę; poczem nieznamy, drżącym już nieco ze starości głosem zapytał o nowiny z pola walki.

— Przetrzepaliśmy skórę czerwonym kurtkom, na równinach Chippewa — rzekł ten, którego towarzysz nazwał Masonem — a potem graliśmy w ciuciubabkę z okrętami; ale teraz wracamy na dawne pozycje i bardzo nam to nie w smak.

— Może masz pan syna w wojsku — przemówił drugi, widocznie łagodniejszego usposobienia — jeżeli tak, powiedz mi jego nazwisko i pułk, w którym służy, a zabiorę cię do niego.

Starzec wstrząsnął głową i przesunawszy ręką po srebrnych włosach odpowiedział z cichą rezygnacją.

— Nie, jestem sam na świecie.

— Powinieneś być dodać: o ile go znajdziesz, kapitanie Dunwoodie — zawołał tamten — bo prawie połowa naszej armji jest w drodze, i może w tej chwili znajdować się już pod murami fortu Jerzego.

Starzec przystanął nagle i popatrzył badawczo na obu młodzieńców, co oni zauważywszy, zatrzymali się również.

— Czy ja dobrze słyszałem — wymówił nieznamy, ręką osłaniając oczy przed blaskiem słońca — jak on pana nazwał?

— Nazywam się Wharton-Dunwoodie — odpowiedział młodzieniec z uśmiechem.

Nieznamy w milczeniu dał mu znak, żeby zdjął kapelusz, a gdy młodzian spełnił to żądanie, jasne jego włosy rozwiały się jak jedwabna przedza odsłaniając w zupełności piękne, szlachetne oblicze.

— Podobny! — wykrzyknął starzec z zapalem — podobny do obojga!... Bóg pobłogosławił im, jak naszej ojczyźnie.

— No, co tak patrzysz, poruczniku Masonie? — zawołał kapitan Dunwoodie ze śmiechem — wydajesz

się jakby bardziej zdziwiony, niż kiedy zobaczyłeś wodospad.

— Och! wodospad! To widok dobry do oglądania przy księżycu dla twojej ciotki Sary i tego wesołego starego kawalera pułkownika Singletona; ale ludzie jak ja nie dziwią się niczemu, chyba gdy ujrzą coś w tym rodzaju.

I wzrokiem wskazał na jakby wniebowziętą twarz starca. Ten jednak uspokoił się raptem i jakby przygaśł w sobie; a Dunwoodie odrzekł z pewną powagą:

— No, no, Tomie, tylko bez żarcików na temat mojej zacnej ciotki; proszę, jest ona uosobieniem dobroci, a słyszałem, że nie była szczęśliwą w młodości.

— O! rzekł Mason — a ja znowu słyszałem, że pułkownik Singleton oświadcza jej się rok rocznie na świętego Walentego, i że twoja cioteczna babka bardzo popiera jego konkury.

— Babcia Joasia! — rzekł Dunwoodie, śmiejąc się — kochana babcia; ale sądzę, że od śmierci doktora Sitgreaves'a żadne małżeństwo jej nie w głowie. Tak, mówiono coś o tem dawniej; ale skończyło się na niczem i według mnie pogłoskom tym dała pole dawna zażyłość mego ojca z pułkownikiem Singletonem. Wiesz przecież, że służyli razem w kawalerji, jak zresztą i twój ojciec.

— Wiem to wszystko, oczywiście, ale nie wmówisz we mnie, że ten stary dziwak bywa tak często u generała Dunwoodie'go tylko dlatego, by z twoim ojcem gawędzić o dawnych czasach. Za ostatnią moją bytnością u was, stara gospodyni waszej matki powiedziała mi w tajemnicy, że pułkownik Singleton nie jest partją do pogardzenia, jak się wyraziła, i że sprzedaż plantacji w Georgji przyniosła mu Bóg wie ile pieniędzy.

— Zapewne — odpowiedział kapitan. — Katy Haynes to doskonały rachmistrz.

Przystanęli podczas tej rozmowy, nie wiedząc, czy pożegnać swego przygodnego towarzysza, czy iść z nim dalej.

Starzec słuchał każdego słowa z natężoną uwagą, a przy wzmiance o Katy Haynes coś nakształt uśmiechu przemknęło po jego zwiędłych ustach. Wstrząsnął głową i przesunął ręką po czole jakby myślał o dawnych czasach.

Mason nie uważał na to i mówił dalej:

— Dla mnie to wcielenie sobkostwa.

— Jej sobkostwo nikomu szkody nie wyrządza — odparł Dunwoodie. — Największą jej wadą, to wstręt do murzynów. Powiada, że znała tylko jednego, którego lubiła.

— A któż to był taki?

— Nazywał się Cezar, był domownikiem mego dziadka Whartona. Nie pamiętasz go zapewne, umarł tego samego roku, co jego pan, kiedy byliśmy jeszcze dziećmi. Katy modli się zawsze za niego w rocznicę jego śmierci i doprawdy zasługiwał on na to. Słyszałem, że dopomógł memu angielskiemu wujowi, jak nazywamy generała Whartona, w jakiejś ciężkiej chwili podczas dawnej wojny. Moja matka mówi zawsze o nim z wielkiem przywiązaniem. Gdy wyszła zamaż zabrała ich oboje, Cezara i Katy, do Wirginji. Moja matka była...

— Aniołem! — przerwał starzec, głosem, który zastanowił obu młodzieńców swą energją i nagłością.

— Znałeś ją pan? — zawołał jej syn, mile zdziwiony.

Odpowiedź starca przerwały nagle ciężkie wybuchy artylerji, po których nastąpiły szybkie salwy ręcznej broni, i w ciągu paru minut powietrze napęłniło się wrzawą gorącej walki.

Obaj oficerowie pośpieszyli ku obozowi w towarzystwie nowego znajomego. Podniecenie i niepokój,

spowodowane zbliżającą się walką, stanęły na przeszkodzie wznowieniu rozmowy, i wszyscy trzej szli prędko, czyniąc dorywcze przypuszczenia o powodach tej strzelaniny i prawdopodobieństwie walnej utarczki. Kapitan Dunwoodie spoglądał jednak raz po raz przyjaźnie na starca, który szedł ze zdumiewającą na jego lata sprężystością, a tym pełnym zachwytem wykrzyknikiem o uwielbianej przez młodzieńca matce zyskał sobie jego gorące serce. Wkrótce doszli do pułku, do którego należeli obaj oficerowie, a kapitan, uściśnawszy dłoń nieznanego, prosił go usilnie, aby nazajutrz rozpytał się o niego i odwiedził go w jego namiocie. I tak się rozstali.

W amerykańskim obozie wszystko gotowało się do walki. Huk armat i ogień karabinowy, dochodzący z odległości paru mil, rozlegał się wyraźnie i przygłuszał szum wodospadu. Wkrótce wojska ruszyły, śpiesząc na pomoc już walczącym oddziałom. Noc już zapadła, nim rezerwy te doszły do stóp Lundy Lane'u, drogi idącej od rzeki tuż koło dość wyniosłego wzgórza w niewielkiej odległości od gościńca Niagary. Szczyt tego wzgórza wieńczyły armaty angielskie, a na równinie u jego podnóża stały resztki rycerskiej brygady Scotta, podtrzymującej od dłuższego czasu nierówną walkę z niepospolitem męstwem. Wnet sformowała się nowa linja i jedna kolumna amerykańska ruszyła do ataku na wzgórze równoległe do drogi. Kolumna ta uderzyła na Anglików z boku i wykłuwszy bagnętami artylerzystów, zdobyła armaty. Natychmiast przyłączyły się do niej inne oddziały, i nieprzyjaciel musiał ustąpić ze wzgórza. Ale znaczne posiłki pospieszyły Anglikom z pomocą, a były to zbyt dzielne wojska, by się łatwo pogodzić z porażką. Nastąpiły tedy kilkakrotne i krwawe ataki w celu odzyskania armat, wszystkie jednak zwycięsko odparto. Podczas ostatniej z tych utarczek młodzieńczy kapitan Dunwoodie zapędził się dość daleko wraz ze swymi ludźmi, by rozproszyć nacierający śmiało oddział nieprzy-

jacielski. Powiodło mu się to; ale wracając na linę, zauważył brak swego porucznika na stanowisku, jakie powinien był zajmować. Wnet potem dano rozkazy, ściągając wojska zpowrotem do obozu. Anglików nigdzie nie było widać, zaczęto więc zbierać rannych. Wharton-Dunwoodie, powodowany przywiązaniem do przyjaciela, chwycił pochodnię i z dwoma ludźmi udał się sam na poszukiwania jego ciała, tam gdzie przypuszczalnie paść musiał. Jakoż znalazł go siedzącego spokojnie na zboczu wzgórza, ale nie mogącego się ruszyć z powodu złamanej nogi. Dunwoodie poskoczył ku niemu wołając:

— Ach! drogi Tomie! — wiedziałem, że cię znaję najbliżej nieprzyjaciela.

— Zwolna, zwolna, bierzcie mnie ostrożnie — odparł porucznik — nie, jest tu jakiś dziwny człowiek, który był ich jeszcze bliżej; ale kto to taki, nie wiem. Wypadł z naszego dymu tuż koło mego plutonu, by pojmać jakiegoś jeńca, czy coś w tym rodzaju; ale biedak już nie wrócił. Leży tam na wzgórzu. Odzywałem się do niego kilka razy, ale myślę, że już nikomu nie odpowie.

Dunwoodie poszedł na wskazane miejsce i ku wielkiemu zdziwieniu ujrzał sędziwego przybysza.

— To ten starzec, który znał moją matkę — zawołał. — Dla jej miłości sprawię mu pogrzeb uczciwy. Podnieście go i zabierzcie. Kości jego spoczną na ojczyściej ziemi.

Ludzie zbliżyli się, by spełnić rozkaz. Nieznajomy leżał nawznak, twarzą zwrócony ku światłu pochodni. Oczy miał zamknięte jak we śnie. Zapadłe usta były lekko rozchylone jakby uśmiechem. Wystrzelony muszkiet leżał w pobliżu. Ręce miał przyściśnięte do piersi; a w jednej z nich trzymał jakiś połyskujący niby srebro przedmiot. Dunwoodie pochylił się i rozsunawszy ręce ujrzał miejsce, którędy kula trafiła do serca. Przeszła ona przez małe blaszane pudełeczko, ukryte na piersiach i starzec konając musiał je wi

docznie wydobyć z tego schowania. Dunwoodie otworzył je; znalazł w niem jakiś złożony w kilkoro papier i ku najwyższemu zdumieniu przeczytał co następuje:

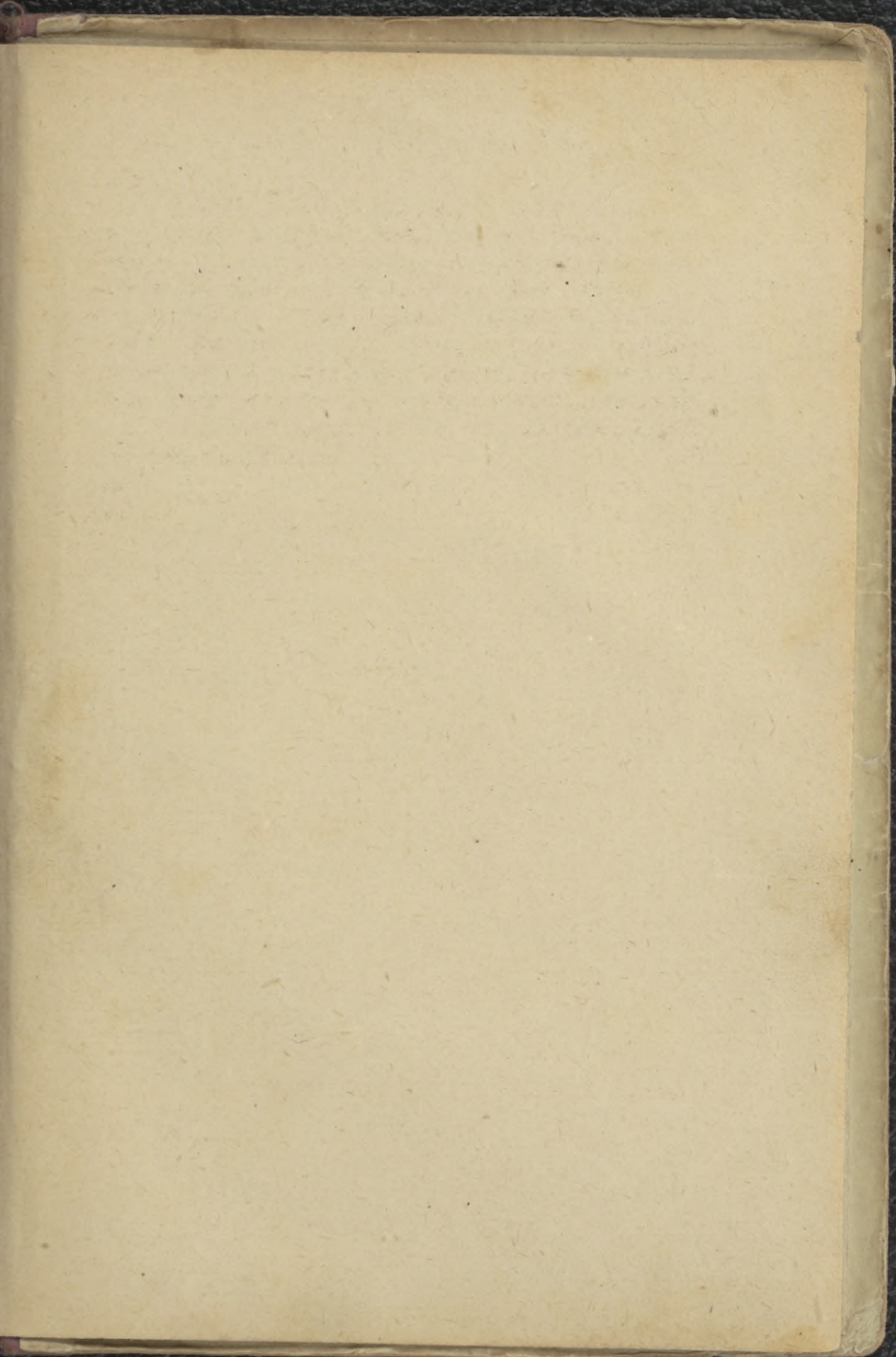
„Okoliczności politycznego znaczenia, stanowiące o losach i życiu wielu ludzi, trzymały dotychczas w tajemnicy to, co ten papier obecnie ujawnia. Harvey Birch był przez szeregi lat wiernym i bezinteresownym sługą swego kraju. Skoro człowiek nie może, niechaj Bóg wynagrodzi mu jego postępowanie.

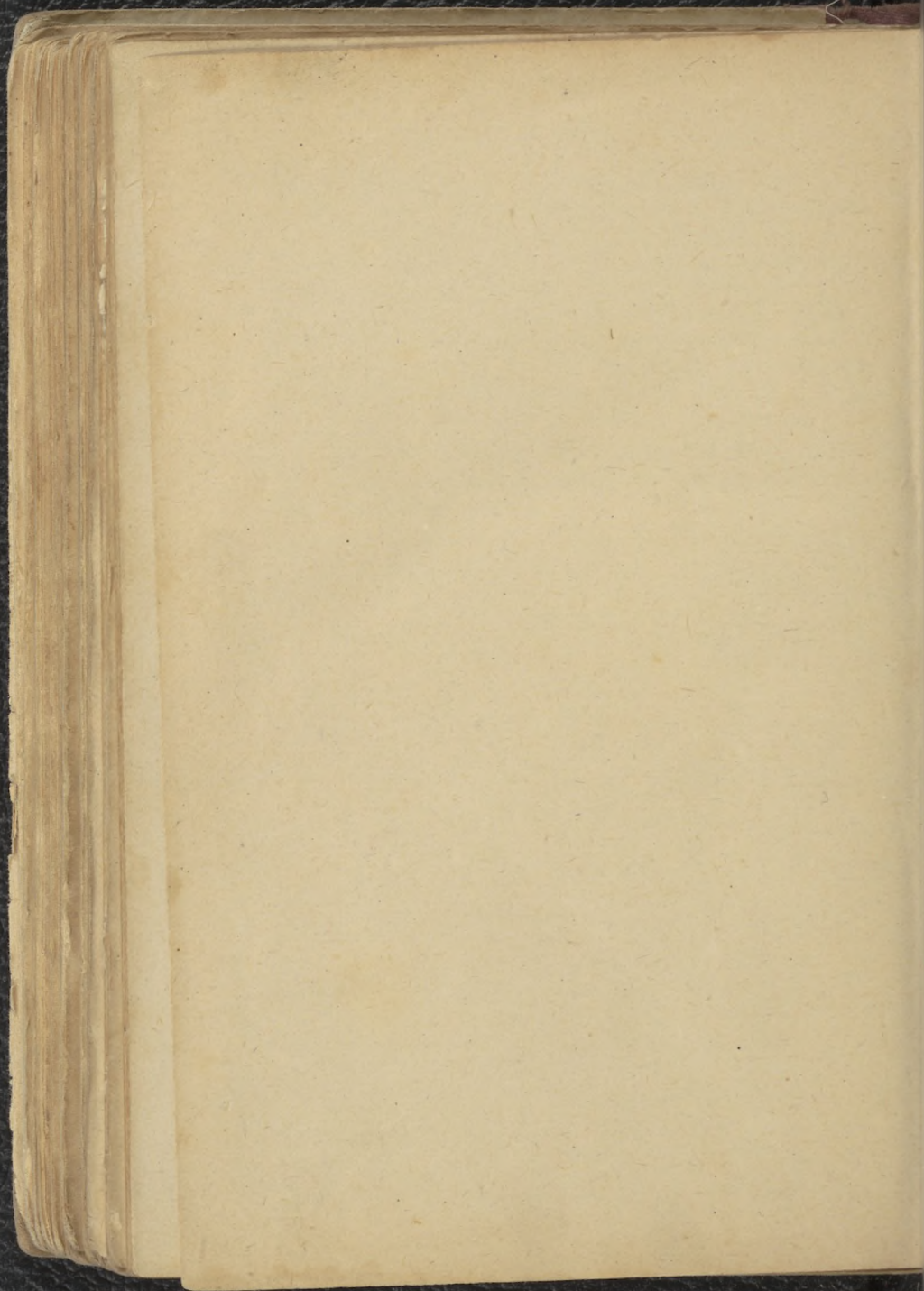
Jerzy Washington“.

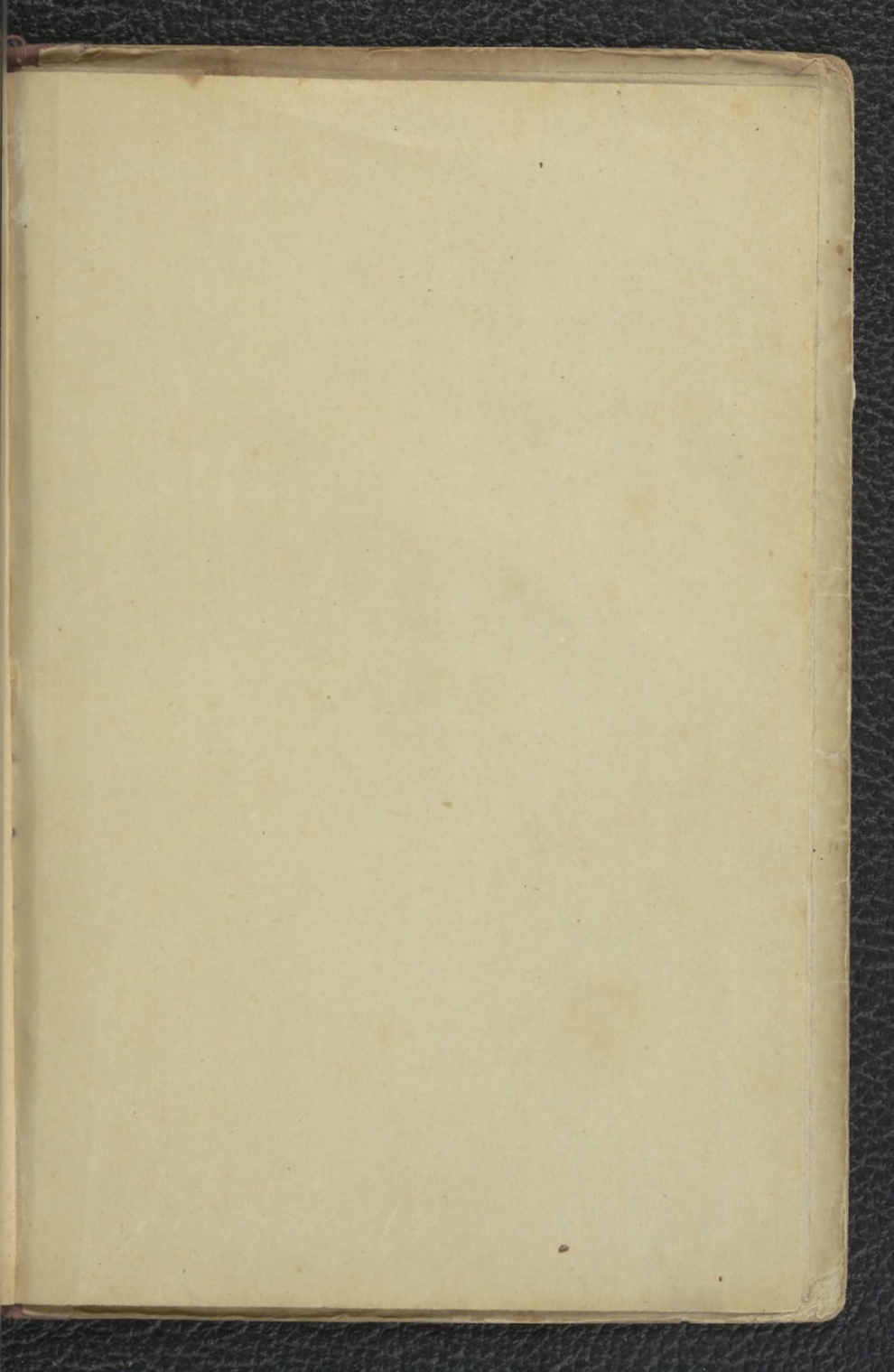
Był to więc szpieg „Neutralnego Gruntu“ i umarł, jak żył, w poświęceniu swojej ojczyźnie i męczeństwem jej swobód.

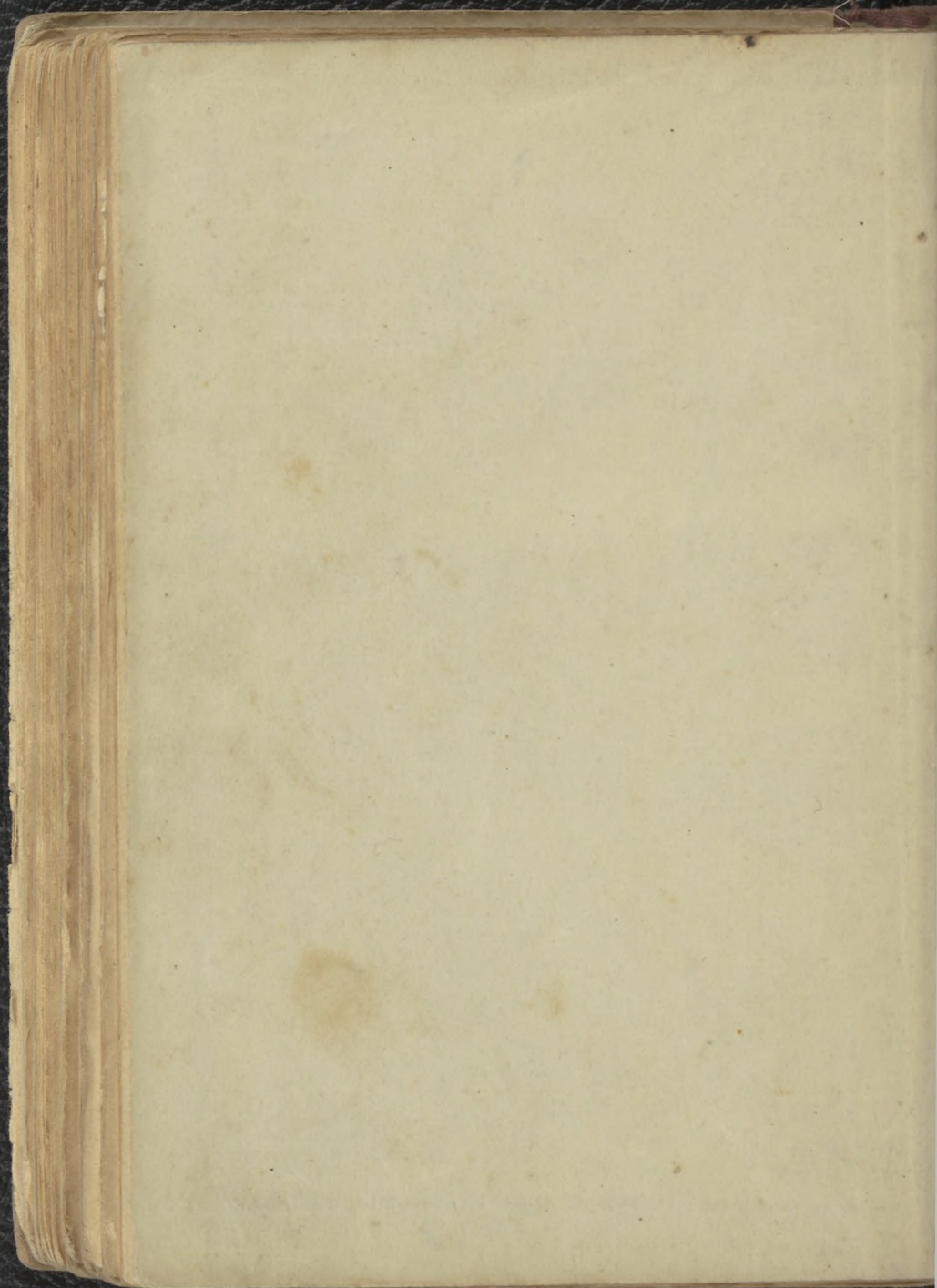
KONIEC.











Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001029011160

3.101.810

[Illegible scribbled text]